

Patricia

CORNWELL

Gniazdo szerszeni



Prószyński i S-ka

Spis treści

Karta tytułowa

Dedykacja

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

ROZDZIAŁ 15

ROZDZIAŁ 16

ROZDZIAŁ 17

ROZDZIAŁ 18

ROZDZIAŁ 19

ROZDZIAŁ 20

ROZDZIAŁ 21

ROZDZIAŁ 22

ROZDZIAŁ 23

ROZDZIAŁ 24

ROZDZIAŁ 25

ROZDZIAŁ 26

O autorce

**PATRICIA
CORNWELL**

**Gniazdo
szerszeni**

(HORNET'S NEST)

Przełożyła: Ewa Grządek



Prószyński i S-ka

2002

Gliniarzom

ROZDZIAŁ 1

Tamtego ranka lato nadąsało się i wisiało ponuro nad Charlotte, a nawierzchnia jezdni parowała od upału. Na ulicach był olbrzymi ruch, ludzie przejeżdżali obok nowych budowli, torując sobie drogę ku obietnicom sukcesu, a przeszłość usuwano w cień. Sześćdziesięciopiętrowy budynek US-Bank Corporate Center, który wznosił się nad centrum miasta, wieńczyła korona, podobna do organów grających hymn dla boga mamony. Charlotte to miasto wielkich ambicji i zmian. Rozrastało się tak szybko, że czasami traciło z oczu swoje ulice. Rozwijało się gwałtownie jak młodzieniec w okresie pokwitania, czasami nieco niezdarnie i ze zbyt wielkim poczuciem tego, co dawni mieszkańcy nazywali dumą.

Miasto i całe hrabstwo nazwano na cześć księżniczki Charlotte Sophii Mecklenburg-Strelitz, zanim jeszcze została żoną króla Jerzego III. Po jednej stronie osiedlili się tu Niemcy, którzy chcieli takich samych praw jak Szkoci i Irlandczycy. Po drugiej byli Anglicy. Kiedy lord Cornwallis w 1780 roku zajął część miasta, znaną wtedy jako Queen City, i rozpoczął jego okupację, spotkał się z taką wrogością upartych prezbiterian, że ochrzcił Charlotte mianem amerykańskiego „gniazda szerszeni”. Dwieście lat później symbol roju stał się oficjalnym znakiem miasta, lokalnej drużyny koszykówki oraz departamentu policji, który czuwał nad bezpieczeństwem wszystkich obywateli.

To, co Virginia West, zastępczyni komendantki, nosiła na ramionach śnieżnobiałej koszuli służbowego munduru z mosiężnymi odznakami, przypominało derwisza wirującego na ciemnogrnatowym tle. Tak naprawdę, większość gliniarzy nie miała pojęcia, co przedstawiał ów symbol. Niektórzy

myśleli, że to tornado, biała sowa lub broda. Inni byli przekonani, że ma to jakiś związek z imprezami odbywającymi się w hali sportowej lub na nowym, wybudowanym za dwieście trzydzieści milionów dolarów stadionie, górującym nad centrum miasta niby pojazd kosmiczny. Virginia jednak, która nie raz już została użądlna, doskonale wiedziała, co to gniazdo szerszeni. Przypominała sobie o tym każdego ranka, gdy jadąc do pracy, przeglądała „The Charlotte Observer”. W ten poniedziałek była w wyjątkowo ponurym nastroju, gotowa do prawdziwego buntu.

Miejski departament policji został przeniesiony niedawno do nowego zespołu budynków z perłowego betonu. Kompleks nosił nazwę Centrum Zapobiegania Przestępczości i znajdował się w samym środku miasta, przy Trade Street, tej samej ulicy, którą dawno temu weszli do Charlotte brytyjscy najeźdźcy. Jak okiem sięgnąć, widać było dokoła nowe budowle, jakby zmiana była wirusem, który zaatakował życie porucznik West. Na parkingu przed centrum panował potworny bałagan, a poza tym nie całkiem jeszcze urządziła się w swoim nowym gabinecie. Wszędzie pełno było błotnistych kałuż i pyłu, a ona miała nowy, służbowy samochód. Tak więc musiała co najmniej trzy razy w tygodniu odwiedzać myjnię samochodową.

Kiedy dotarła do zarezerwowanego miejsca parkingowego przy frontowej ścianie budynku, osłupiała ze zdziwienia. Na jej miejscu stało jaskrawozielone suzuki, wyposażone w ulubione przez handlarzy narkotyków chromowane zderzaki pokaźnych rozmiarów. Auto, Virginia była tego pewna, nie raz już dachowało.

- Niech to szlag!

Rozejrzała się dookoła, jakby szukała śmiałka, który zdobył się na tak karygodny czyn.

Gliniarze przyjeżdżali i odjeżdżali spod budynku, transportując więźniów do znajdującego się w nieustannym ruchu departamentu, gdzie pracowało tysiąc sześciuset policjantów oraz wielu niezaprzysiężonych cywilów. Virginia przez chwilę siedziała w aucie, walcząc z pokusą sięgnięcia po

przyjemnie pachnące tosty Bojangles z jajkami i bekonem, który z pewnością już wystygł. Wreszcie ustawiła samochód na płatnym miejscu parkingowym tuż przed błyszczącymi, szklanymi drzwiami frontowymi i wysiadła, starając się nie upuścić żadnej z najpotrzebniejszych rzeczy: teczki, notesu, akt, gazet, śniadania i kawy.

Właśnie zamykała biodrem drzwiczki, gdy zauważyła wychodzącego z budynku przyjemniaczka, za którym jeszcze przed chwilą się rozglądała. Lansował więzienną modę: spodnie spięte paskiem nisko na biodrach, tak że nad sprzączką wystawało jakieś piętnaście centymetrów pastelowych bokserek. Ten zwyczaj wywodził się z więzienia, gdzie zatrzymanym zabiera się paski, aby nie mogli się sami na nich powiesić ani też uśmiercić nikogo innego. Więzienny fason przekroczył wszelkie granice rasowe oraz socjoekonomiczne i wkrótce już połowa miasta nosiła opadające spodnie. Porucznik West zupełnie tego nie rozumiała. Zostawiła samochód tam, gdzie go zaparkowała, i zaczęła zbierać swoje rzeczy. Goguś minął ją, mamrocząc pod nosem „dzień dobry”.

- Brewster!

Jej głos zatrzymał go natychmiast, jak wycelowany w plecy pistolet.

- Do cholery, co ty sobie wyobrażasz? Parkujesz na moim miejscu?

Uśmiechnął się do niej krzywo i rozłożył ręce, na których zabłyśły pierścionki i podróbka roleksa, spod marynarki zaś wysunął mu się pistolet.

- Spójrz tylko. Co widzisz? W całym Charlotte nie ma żadnego wolnego miejsca do parkowania.

- Właśnie dlatego takim ważnym ludziom jak ja przyznaje się je ze specjalnej puli - powiedziała do podlegającego jej detektywa, wręczając mu kluczyki od samochodu. - Zwróć mi je, gdy przestawisz wóz - zażądała.

Virginia West miała czterdzieści dwa lata. Była atrakcyjną kobietą, za którą mężczyźni nadal się oglądali, ale nigdy nie wyszła za mąż i poświęciła się całkowicie temu, do czego, jak sądziła, została stworzona. Miała intensywnie rude włosy, domagające się już ręki fryzjera, nieco dłuższe, niż

być powinny, ciemne, bystre oczy oraz piękne ciało, na które nie zasługiwała, ponieważ nie robiła absolutnie nic, aby zachować krągłości i płaskości we właściwych miejscach. Nosiła swój mundur w taki sposób, że inne kobiety patrzyły na nią z zazdrością, ale to nie był powód, dla którego wolała nosić policyjne błękity zamiast cywilnego ubrania. Podlegało jej ponad trzystu bezczelnych detektywów, takich jak Ronald Brewster, i przy każdej nadarzającej się okazji należało im przypominać o prawie i porządku.

Koledzy gliniarze pozdrawiali ją, gdy szła korytarzem. Skręciła w prawo, kierując się w stronę biur, gdzie jej szefowa, Judy Hammer, decydowała o wszystkim co istotne w dziedzinie przestrzegania prawa na tym terenie, zamieszkanym przez niemal sześć milionów ludzi. West uwielbiała swoją przełożoną, ale tego ranka jej nie znosiła. Doskonale wiedziała, dlaczego wezwano ją na to spotkanie tak wcześnie rano. Była to sprawa bez sensu i poza jej kontrolą. Po prostu chora. Weszła do sekretariatu komendantki, gdzie kapitan Fred Horgess rozmawiał przez telefon. Trzymając w ręku słuchawkę, potrząsnął głową w taki sposób, jakby chciał powiedzieć: „nic na to nie mogę poradzić”. Virginia podeszła do ciężkich drzwi z ciemnego drewna, na których wisiała błyszcząca, mosiężna tabliczka z nazwiskiem „Hammer”.

- Nie jest dobrze - ostrzegł ją, wzruszając ramionami.

- Ciekawe, dlaczego nie musisz mnie o tym uprzedzić? - zapytała poirytowanym głosem.

Starając się nie wypuścić niczego z rąk, zapukała w drzwi czubkiem błyszczącego, czarnego pantofla, a potem nacisnęła łokciem klamkę, o mały włos nie wylewając kawy. Szefowa siedziała przy zarzuconym papierami biurku, na którym stały także fotografie jej dzieci i wnuków. Na ścianie za nią wisiała tabliczka z wyrytą sentencją: „Zapobiegaj kolejnej zbrodni”. Judy Hammer, kobieta około pięćdziesiątki, miała na sobie elegancki kostium w czarnobiałą kratkę. Telefon dzwonił bez przerwy, ale głowę komendantki zaprzętały teraz ważniejsze sprawy.

Virginia położyła swoje rzeczy na krzesła i usiadła na drugim, stojącym obok brązowej statuetki Uskrzydłonej Wiktorii, nagrody Międzynarodowego Stowarzyszenia Szefów Policji, którą Judy Hammer otrzymała w zeszłym roku. Do tej pory nie zadbała o to, aby postawić ją na bardziej eksponowanym miejscu. Blisko metrowej wysokości trofeum zajmowało wciąż ten sam kawałek dywanu przy biurku, czekając na przeniesienie w lepsze miejsce. Judy zdobywała takie nagrody, ponieważ nie to ją motywowało. Virginia zdjęła przykrywkę z kubka kawy i para uniosła się w górę.

- Wiem, o co chodzi - powiedziała - a ty wiesz, co o tym myślę.

Szefowa przerwała jej gestem dłoni. Pochyliła się w jej stronę i złożyła ręce na blacie biurka.

- Virginio, od dawna nie miałam takiego zgodnego poparcia rady miasta, szefa administracji, burmistrza... - zaczęła.

- I każdy z nich, łącznie z tobą, jest w błędzie - odparła jej zastępczyni, mieszając śmietankę i cukier w kawie. - Nie mogę uwierzyć, że namówiłaś ich do tego, i powiem ci teraz, że znajdą jakiś powód, aby ukreślić łeb tej sprawie, ponieważ tak naprawdę wcale nie są do niej przekonani. Ty też tak naprawdę tego nie chcesz. To cholerny konflikt interesów dla dziennikarza piszącego o policji, gdy pracuje jako gliniarz wolontariusz i wychodzi z nami na ulicę.

Bibułka zaszleściła, gdy Virginia rozwinęła tłusty tost Bojangles, którego Judy nigdy nie wzięłaby do ust, nawet dawniej, gdy ważyła dużo mniej i była cały czas na nogach, pracując w więzieniu, z nieletnimi przestępcami, pisząc raporty o popełnionych przestępstwach, zajmując się inspekcjami, kradzieżami samochodów, tymi wszystkimi niezwykle wyczerpującymi obowiązkami, do których kobiety wracają, gdy już nie wychodzą na patrole. Wtedy nie wierzyła, że można utyć.

- No więc przypomnij sobie! - ciągnęła Virginia, przełykając kęs tosta. - Ostatni policyjny reporter z „Observera” przypieprzył nam tak mocno, że

pozwałaś gazetę do sądu.

Jej przełożona nie lubiła wspominać Weinsteina, ciekawskiego cwaniaka, tak naprawdę kryminalistę, którego modus operandi polegał na wchodzeniu do biura dyżurnego kapitana lub sekcji detektywów, gdy nikogo nie było w pobliżu. Kradł raporty wprost z biurka, drukarek i faksów. To nieuczciwe postępowanie najdobitniej dało o sobie znać w jego artykule o Judy Hammer, na pierwszej stronie niedzielnego wydania gazety, w którym zarzucił szefowej policji, że wykorzystywała do prywatnych celów służbowy helikopter, kazała policjantom po służbie wozić się samochodem i wykonywać różne prace u siebie w domu. A kiedy jej córkę zatrzymano za jazdę po pijanemu, komendantka rzekomo użyła swoich wpływów, aby zniszczyć raport. Wszystko to były wyssane z palca kłamstwa. Nawet nie miała córki.

Judy Hammer wstała z krzesła, najwyraźniej rozdrażniona i zdenerwowana bałaganem, jaki panował na świecie. Wyjrzała przez okno, trzymając ręce w kieszeniach spódnicy, odwrócona tyłem do podwładnej.

- „The Charlotte Observer”, miasto, oni wszyscy myślą, że ich nie rozumiemy lub mamy ich w nosie - znowu zaczęła wygłaszać swoją ewangelię. - I ja wiem, że oni nie rozumieją nas. Albo nie chcą nas rozumieć.

Virginia zmięła serwetkę śniadaniową.

- „Observer” dba jedynie o to, aby po raz kolejny zdobyć nagrodę Pulitzera - powiedziała.

Judy się odwróciła. Na jej twarzy malowała się taka powaga, jakiej porucznik West nigdy jeszcze nie widziała.

- Jadłam wczoraj lunch z nowym właścicielem gazety. Po raz pierwszy od co najmniej dziesięciu lat odbyłam cywilizowaną rozmowę z kimś od nich. To cud. - Rozpoczęła rytualne krążenie po gabinecie, gestykulując z pasją. Uwielbiała swoje posłannictwo. - Naprawdę chcemy spróbować. Czy może nam to wybuchnąć prosto w twarz? Oczywiście. - Przerwała na chwilę. - Ale jeśli się uda? Andy Brazil...

- Kto? - zapytała jej zastępczyni z naburmuszoną miną.

- Jest bardzo, bardzo zdeterminowany - mówiła dalej Judy Hammer. - Skończył naszą szkołę dla wolontariuszy z najwyższą oceną, jaką tam kiedykolwiek przyznano. Instruktorzy są o nim jak najlepszego zdania. Czy to znaczy, że nie będziemy mieli z nim problemów? Nie, z pewnością nie. Ale przede wszystkim nie chcę, aby ten młody dziennikarz utrudniał dochodzenie albo wyrobił sobie błędne zdanie o tym, co robimy. Nie można mu kłamać i nie można także pozwolić, aby przeszkadzał, czy też aby ktoś go skrzywdził albo zranił.

Virginia objęła dłońmi głowę i głośno jęknęła. Judy Hammer wróciła do biurka i usiadła.

- Jeśli wszystko pójdzie dobrze - mówiła dalej - pomyśl o korzyściach dla departamentu, dla społeczności lokalnych tu i na całym świecie. Ileż to razy słyszałam, jak mówiłaś: „Gdyby tylko jakiś szary obywatel mógł pojeździć z nami chociaż jedną noc?”.

- Nigdy już tego nie powiem - obiecała porucznik West.

Judy pochyliła się na biurku, wyciągając palec wskazujący w stronę swojej zastępczyni, którą wprowadziła podziwiała, ale czasami miała ochotę nią potrząsnąć za zbyt wąskie postrzeganie problemów.

- Chcę, abyś znowu patrolowała ulicę - oświadczyła. - Razem z Andym Brazilem. Daj mu taką próbkę, aby nie mógł jej zapomnieć.

- Cholera, Judy! - wykrzyknęła Virginia. - Nie rób mi tego! Mam po uszy problemów z koordynowaniem dochodzeń. We wszystkich brygadach do spraw przestępstw ulicznych panuje bałagan, dwaj moi kapitanowie odeszli. Jeannie Goode i ja w niczym się nie zgadzamy, jak zwykle...

Szefowa nie słuchała. Założyła okulary do czytania i zaczęła przeglądać notatki.

- Przygotuj się na dzisiaj - powiedziała.

Andy Brazil biegł szybko i zapamiętałe. Oddychał głośno. Sprawdził czas na swoim zegarku Casio, mijając furgonetkę z napisem „Davidson College”.

W miasteczku o tej samej nazwie, położonym na północ od wielkiego miasta, dorastał i chodził do szkoły, zdobywając stypendia sportowe i naukowe. Tak się złożyło, że całe życie mieszkał na terenie college'u, w zniszczonym, drewnianym domu przy Main Street, na wprost cmentarza, który, podobnie jak szkoła, zmieniona ostatnio na koedukacyjną, pochodził sprzed wojny domowej.

Jeszcze siedem lat temu jego matka pracowała w college'u, w dziale żywienia. Brazil dorastał na kampusie, obserwując bogate nastolatki i stypendystów Cecila J. Rhodesa, śpieszących do swoich zajęć. Nawet gdy już był bliski dyplomu z wyróżnieniem, niektórzy z jego kolegów z roku, zwykle ci najbardziej widocznymi i przebojowymi, sądzili, że był pracownikiem z miasta. Żartowali z nim, gdy nakładał na talerze jajka i kaszę. I zawsze potwornie się dziwili, gdy mijał ich na korytarzach, obładowany podręcznikami, przestraszony, że spóźni się na zajęcia.

Tak naprawdę Brazil nigdy nie czuł, że przynależy tu lub gdziekolwiek indziej. Było tak, jakby obserwował ludzi przez grubą, szklaną szybę. Niezależnie od tego, jak bardzo się starał, nie potrafił się do nikogo zbliżyć, podobnie jak nikt nie zdołał zbliżyć się do niego, chyba że byli to wykładowcy lub inni ludzie, których uważał za swoich mentorów. Odkąd pamiętał, zakochiwał się w nauczycielach, trenerach, pastorach, ochroniarzach z kampusu, administratorach, dziekanach, doktorach i pielęgniarkach. Cenili jego oryginalne refleksje i samotne wędrówki, a także podobało im się to, co pisał, gdy z zażenowaniem pokazywał własne próby owym idolom, odwiedzając ich po zajęciach i przynosząc lemoniadę ze sklepu M&M oraz ciasteczka matki. Mówiąc najprościej, Andy był pisarzem, rejestratorem życia i tego wszystkiego, co ono ze sobą niesie. Przyjmował swoje powołanie z pokorą i odwagą.

Było jeszcze za wcześnie na przechodniów. Spotkał tylko żonę jednego z wykładowców, której obfite kształty mogłaby zmienić tylko śmierć, oraz dwie inne kobiety w obszernych bluzach, bezustannie narzekające na swoich

mężów, choć dzięki nim mogły sobie teraz spacerować, podczas gdy większość ludzi na świecie pracowała. Brazil miał na sobie koszulkę z napisem „Charlotte Observer” i krótkie spodenki. Wyglądał na mniej niż dwadzieścia dwa lata. Był przystojny i tryskał energią, miał wystające kości policzkowe, blond włosy oraz mocne, atletyczne, wspaniałe ciało. Zachowywał się tak, jakby nie zwracał uwagi na to, jak inni reagują na jego widok, a może rzeczywiście nie miało to dla niego znaczenia. Jego uwaga była skupiona na czymś zupełnie innym.

Odkąd sięgał pamięcią, zawsze pisał, i kiedy po ukończeniu College’u Davidson szukał pracy, obiecał wydawcy „Observera”, Richardowi Panesie, że jeśli tylko da mu szansę, gazeta z pewnością na tym nie straci. Panesa zatrudnił go w dziale „Tydzień w telewizji”, gdzie Andy zajmował się przygotowaniem bieżącego programu telewizyjnego i pisaniem notek o programach i filmach. Nienawidził pisania o czymś, czego nawet nie oglądał. Poza tym nie lubił kolegów z działu i swojego szefa, nadciśnieniowca z nadwagą. Jedyłą szansę dla siebie widział w obietnicy, jaką złożył mu wydawca, że któregoś dnia zleci mu napisanie materiału dnia. W związku z tym zaczął się pojawiać w redakcji już o czwartej rano, dzięki czemu zwykle koło południa miał zebrane wszystkie informacje o programach telewizyjnych.

Przez resztę dnia mógł wędrować po redakcji od biurka do biurka, prosząc o artykuły, które doświadczeni dziennikarze wyrzucali do koszy na śmieci, jako nieudane. Zwykle było tego mnóstwo. Dział ekonomiczny podrzucił mu kiedyś sensację o najnowszym kompresorze powietrza firmy Ingersoll Rand. Brazil napisał też duży artykuł o pokazie mody „Ebony”, który odbył się w Charlotte, jak również o kolekcjonerach znaczków pocztowych i o mistrzostwach tryktraka w Radisson Hotel. Przeprowadził również wywiad z Rickiem Flairem, zapaśnikiem o długich, platynowych włosach, gościem honorowym na zjeździe skautów.

Po pięciu miesiącach pracy w „Observerze” miał aż sto nadgodzin i

napisał więcej artykułów niż większość zatrudnionych tam dziennikarzy. Gdy przepracował w gazecie pół roku, Panesa zwołał zebranie za zamkniętymi drzwiami, na które zaprosił redaktora naczelnego, szefa administracji gazety oraz redaktora merytorycznego, aby przedyskutować możliwość zatrudnienia tego zdolnego praktykanta jako dziennikarza. Uzyskał zgodę współpracowników i nie mógł się doczekać, kiedy zobaczy reakcję Brazila. Podejrzewał, że ta wiadomość zrobi na młodym adeptcie wstrząsające wrażenie. Nie zrobiła.

Andy zapisał się już wcześniej do szkoły dla wolontariuszy przy departamencie policji w Charlotte. Wstępne testy przeszedł pozytywnie i zakwalifikował się na kurs rozpoczynający się wiosną. Do tego czasu postanowił kontynuować swoje nudne zajęcia w dziale telewizyjnym, ponieważ zapewniało mu ruchomy czas pracy. Miał nadzieję, że po ukończeniu kursu wydawca przydzieli mu sprawy związane z policją i będzie mógł kontynuować pracę w gazecie, a jednocześnie być wolontariuszem. Zamierzał pisywać najbardziej rzeczowe i wnikliwe artykuły o pracy policji, jakie kiedykolwiek czytano w tym mieście. Gdyby „Observer” nie poszedł na to, Brazil miał zamiar znaleźć jakąś agencję informacyjną, która chciałaby skorzystać z jego materiałów. Mógłby też zostać zawodowym policjantem. Zresztą niezależnie od tego, co inni pomyślą, i tak będzie robił swoje.

Ranek był gorący i parny i Andy zaczął się pocić jak mysz na początku dziewiątego kilometra. Przyglądał się pochodzącym sprzed wojny domowej domom z czerwonej cegły, porośniętym bluszczem, zwieńczonemu kopułą budynkowi z salami wykładowymi i kortom tenisowym, na których zmagali się z kolegami ze studiów z taką determinacją, jakby przegrana oznaczała śmierć. Przez całe swoje dotychczasowe życie walczył o to, aby mieć prawo przesunąć się trzydzieści kilometrów wzdłuż drogi numer I-77, na South Tryon Street, do samego serca miasta, gdzie mógłby zarabiać na życie pisaniem. Pamiętał, że zaczął jeździć do Charlotte w wieku szesnastu lat. Wtedy sylwetka miasta wyraźnie rysowała się na tle nieba, a centrum było

miejszem, gdzie miło spędzało się czas. Teraz przypominało ponad miarę rozrośnięte imperium z kamienia i szkła, które wciąż się powiększało. Nie był już pewien, czy wciąż jeszcze je lubi. Nie był też pewien, czy ono lubi jego.

Po dziewięciu kilometrach rzucił się na trawę i zaczął robić pompki. Ramiona miał silne i dobrze umięśnione, a napięte żyły podkreślały ich kształt. Na wilgotnej skórze Andy'ego lśniły złote włoski, twarz zaczerwieniła mu się z wysiłku. Przewrócił się na plecy i wdychał świeże powietrze. Po chwili powoli usiadł, leniwie się przeciągnął i bez pośpiechu stanął na nogi, co znaczyło, że na dziś koniec.

Pobiegł z powrotem do swojego zaparkowanego na ulicy dwudziestopięcioletniego czarnego BMW 2002. Auto było wywoskowane i pokryte lakierem firmy Armor Ali, oryginalny białoniebieski emblemat na bagażniku dawno już wytarł się całkowicie i został pięknie pomalowany nową farbą. Samochód miał na liczniku prawie sto osiemdziesiąt tysięcy kilometrów i psuł się mniej więcej raz na miesiąc, ale Andy sam wszystko reperował. Auto miało skórzaną tapicerkę, a do tego było wyposażone w policyjny skaner i radio. Chociaż obowiązki Brazila w „Observerze” zaczynały się dopiero o czwartej po południu, już o dwunastej zatrzymał wóz na swoim miejscu do parkowania przed redakcją. Był dziennikarzem od spraw policyjnych i musiał parkować na specjalnie wydzielonym miejscu tuż przy drzwiach, aby w razie konieczności móc natychmiast ruszyć w miasto.

Gdy wszedł do holu, natychmiast poczuł zapach świeżej farby drukarskiej, tak jak wampiry wyczuwają zapach ludzkiej krwi. Ta woń podniecała go tak samo silnie jak światła policyjnego radiowozu i dźwięk syren. Brazil był zadowolony, że strażnik w recepcji nie prosi go już o przepustkę. Czuł się tu zadowolony. Wszedł na ruchome schody i pobiegł w górę, przeskakując po kilka metalowych stopni, jakby był spóźniony. Po drugiej stronie barierki stali nieruchomo ludzie zjeżdżający w dół. Przyglądali mu się ze zdziwieniem. Chociaż w redakcji „Observera” wszyscy doskonale znali

młodego pracocholika, nikt się z nim nie przyjaźnił.

Pomieszczenie redakcji było obszerne, ale urządzone bez wyrazu. W środku aż huczało od zmasowanych uderzeń w klawiatury, dzwoneków telefonicznych, warkotu drukarek, przekazujących najnowsze wiadomości wprost z ekranów komputerów. Dziennikarze wpatrywali się z napięciem w monitory, przerzucając nerwowo notatniki z nazwą gazety na kartonowych okładkach. Kręcili się po sali, a reporterka zajmująca się lokalną polityką po każdej sensacyjnej wiadomości wybiegała na zewnątrz. Brazil ciągle nie mógł uwierzyć, że należy do tego ważnego, burzliwego świata, gdzie słowa mogły zmienić losy i sposób myślenia ludzi. On sam czuł się w stresujących sytuacjach jak ryba w wodzie, być może dlatego, że był nimi karmiony od urodzenia, aczkolwiek nie zawsze wychodziło mu to na dobre.

Jego nowe biurko stało w dziale miejskim, zaraz za przeszklonym gabinetem Panesy, którego Brazil lubił i za wszelką cenę chciał na nim zrobić dobre wrażenie. Wydawca był przystojnym, szczupłym mężczyzną o srebrzystosiwych włosach i nawet po przekroczeniu czterdziestki nie stracił nic ze swojej atrakcyjności. Wysoki i wyprostowany, nosił eleganckie granatowe lub czarne garnitury i używał doskonałej wody kolońskiej. Andy uważał Panesę za mądrego człowieka, chociaż nie miał jeszcze konkretnych dowodów, że było tak w istocie.

Panasa pisywał felietony do niedzielnego wydania gazety. Dostawał mnóstwo listów od kobiet z Charlotte, które w skrytości ducha zastanawiały się, jaki jest w łóżku Richard Panesa, chociaż może Andy tylko to sobie wyobrażał. Panesa miał właśnie spotkanie w swoim gabinecie, kiedy Brazil zasiadł za biurkiem i zerkał ukradkiem na znajdujące się za przezroczystą ścianą królestwo wydawcy. Chciał wyglądać na bardzo zajętego, kartkował więc gorączkowo notatki, otwierał szuflady i przeglądał wycinki ze starymi artykułami. Panesa zauważył, że młody, gorliwy dziennikarz przyjechał do pracy cztery godziny przed rozpoczęciem nowych obowiązków na dyżurze policyjnym. Nie był jednak ani trochę tym zaskoczony.

Pierwszą rzeczą, jaką Andy zauważył po przyjściu do pracy, była róża, nie pierwsza zresztą, którą Tommy Axel postawił mu na biurku. Kwiat był smutny i bez wyrazu, z gatunku tych sprzedawanych w nowo otwieranych sklepach, gdzie przy ladzie oferuje się ciemnoczerwoną, ciasno zwiniętą namiętność za dolara dziewięćdziesiąt osiem centów. Wciąż była zapakowana w przezroczysty celofan, a Axel wstawił ją w butelkę po wodzie Snapple. Tommy był krytykiem muzycznym i Brazil wiedział, że przyglądał mu się teraz bezczelnie, oczekując na reakcję. Andy wyciągnął spod biurka kartonowe pudełko.

Jeszcze nie skończył się tu urządzić, ale bynajmniej nie dlatego, że otrzymał jakieś czasochłonne zadanie. Nie przydzielono mu żadnego tematu, skończył jedynie pierwszy szkic artykułu o policyjnej szkole dla wolontariuszy, który zresztą sam postanowił napisać. Rozbudowywał, skracał i szlifował ten materiał w nieskończoność, przerażała go bowiem wizja beczynnego siedzenia w redakcji. Z tego samego powodu przeglądał wszystkie sześć wydań gazety, wiszących na drewnianych drążkach obok miejskich książek telefonicznych. Często czytał też tablice z ogłoszeniami i co pewien czas sprawdzał swoją pustą skrzynkę na listy, jak również bardzo skrupulatnie i celowo powoli zajmował się przenoszeniem rzeczy z biurka, które zajmował poprzednio, na nowe miejsce odległe zaledwie o dwanaście metrów.

Był wśród nich służbowy notes z kilkoma ważnymi telefonami do różnych stacji telewizyjnych i programów oraz do filatelistów i Ricka Flaira, które obecnie stały się już całkowicie bezużyteczne. Poza tym puste notatniki, długopisy, ołówki, kopie tekstów, plany miasta, a niemal wszystko to mógł bez problemu zmieścić w teczkę, którą kupił na wyprzedaży w sklepie Belk, zaraz po tym, gdy dostał stałą pracę w gazecie. Teczka była z błyszczącej, czerwonej skóry, miała mosiężne okucia i Brazil czuł się bardzo dumny, gdy zaciskał na niej palce.

Nie posiadał żadnych zdjęć, które mógłby ustawić na biurku, był bowiem

jedynakiem, nie miał nawet ulubionego psa lub kota. Przyszło mu do głowy, że mógłby zadzwonić do domu i sprawdzić, co się dzieje. Kiedy wrócił po porannym bieganiu, aby wziąć prysznic i przebrać się, jego matka robiła to co zwykle: spała na kanapie w dużym pokoju, a telewizor był włączony na jakąś mydlaną operę, z której matka i tak później nic nie pamiętała. Pani Brazil codziennie oglądała mydlane opery na kanale siódmym, ale nigdy nie potrafiła opowiedzieć fabuły. Telewizja dawała jej jedyny kontakt z ludźmi, jeśli nie liczyć spotkań z synem.

Pół godziny po tym, gdy Brazil pojawił się w redakcji, na jego biurku zadzwonił telefon. Całkowicie go to zaskoczyło. Chwycił słuchawkę, a serce zabiło mu szybciej, gdy rozglądał się wokół, zastanawiając się, kto wiedział, że tutaj pracuje.

- Andy Brazil - odezwał się bardzo profesjonalnie.

Natychmiast rozpoznał ciężki oddech i głos tej samej kobiety, która od miesięcy do niego telefonowała. Brazil wyobrażał ją sobie leżącą na kanapie lub na rozesłanym łóżku, gdzie sprawiała sobie przyjemność.

- W moim ręku - usłyszał niski, drżący głos. - Mam go. Wślizguje się i wyślizguje jak wąż...

Brazil rzucił słuchawkę na widełki i posłał oskarżające spojrzenie Axelowi, ale on rozmawiał właśnie z jakimś specjalistą od żywienia. Andy po raz pierwszy w życiu dostawał obsceniczne telefony. Z podobną, a nawet bardziej dosłowną, sytuacją zetknął się przedtem tylko raz, gdy pucował swoje BMW w myjni samochodowej Wash & Shine niedaleko stacji benzynowej Corneliusa. Pod myjnię podjechał jakiś facet o twarzy jak pizza, zatrzymał żółtego volkswagena i zapytał Brazila, czy chce zarobić dwadzieścia dolarów.

W pierwszej chwili Andy pomyślał, że facet proponuje mu, aby umył jego samochód, widząc, jak fachowo zajmuje się własnym autem. Mylił się jednak. Po usłyszeniu właściwej propozycji Brazil puścił na faceta strumień wody z węża zupełnie za darmo. Zapisał też numer rejestracyjny tego

sukinsyna i wciąż nosił go w portfelu, mając nadzieję, że pewnego dnia go dopadnie. To, co zaproponował mu mężczyzna z volkswagena, było przestępstwem przeciw naturze, tak by to określiło konserwatywne prawo Karoliny Północnej. I tego właśnie chciał ów facet w zamian za swoje pieniądze. Brazil nie wyobrażał sobie, jak można robić coś takiego z obcym. On sam nie pił nawet z tej samej butelki, co ktoś, kogo znał.

Andy nie był naiwny, ale wiedział, że jego seksualne doświadczenia z Davidson są znacznie uboższe niż chociażby kolegi z pokoju. W ciągu ostatniego semestru na roku dyplomowym większość nocy spędził w męskiej toalecie w budynku biblioteki college'u. Była tam całkiem wygodna kanapka i podczas gdy jego kolega spał z dziewczyną, on spał z książkami. Nikt się niczego nie domyślał, może z wyjątkiem portierów, którzy regularnie widywali Brazila wychodzącego z gmachu około szóstej rano, chociaż nie widzieli go przedtem wchodzącego. Wracał potem do swojego mieszkanka, które dzielił z kolegą. Oczywiście, mieli osobne pokoje, ale ściany były cienkie i nie mógł się skupić, gdy aktywność Jennifer i Todda wzrastała. Słyszał każde ich słowo i wszystko, co robili.

Od czasu do czasu Brazil umawiał się na randki z Sophie, która pochodziła z San Diego. Trwało to przez wszystkie lata college'u. Nigdy jednak nie był w niej zakochany i być może dlatego dziewczyna przestała panować nad swoimi emocjami. Zapewne to właśnie było powodem, że nie odniosła sukcesu w nauce. Najpierw straciła na wadze, później zaś utyła. Zaczęła palić, ale szybko rzuciła papierosy, potem zachorowała na mononukleozę i wyzdrowiała, aż w końcu poszła do psychoterapeuty i wszystko mu opowiedziała. Żaden z tych faktów nie okazał się jednak afrodyzjakiem, na co liczyła Sophie, ale na ostatnim roku jej stan się ustabilizował i podczas ferii zimowych poszła do łóżka z nauczycielem gry na fortepianie. Potem wyznała swój grzech Brazilowi. Analizowali całą sprawę w jej saabie i w jej pokoju w akademiku. Sophie była doświadczona, chętna i przygotowywała się do studiów medycznych. Z wielką ochotą i

cierpliwie tłumaczyła mu, jak funkcjonuje ludzki organizm, on zaś był otwarty na takie badania, chociaż w zasadzie nie widział ich potrzeby.

O pierwszej po południu Andy zalogował się do swojego komputera i właśnie miał po raz kolejny przejrzeć tekst o szkole policyjnej, gdy przy jego biurku pojawił się redaktor Packer. Ed Packer miał co najmniej sześćdziesiątkę, falujące, siwe włosy i szare oczy, patrzące z dystansem. Nosił niegustowne krawaty, byle jak zawiązane, rękawy koszuli miał zwykle podwinięte. Był dość tęgi, lubił obszerne spodnie, a jedną rękę zawsze wtykał za pasek, upychając wyłożoną koszulę. Robił to i tym razem. Brazil spojrział na niego pytającym wzrokiem.

- Wygląda na to, że dziś jest ta noc - powiedział Packer, gdy uporał się już z koszulą.

Andy doskonale wiedział, o co chodzi, i przebił pięścią powietrze, jakby właśnie wygrał US Open.

- Tak! - wykrzyknął.

Packer nie mógł się powstrzymać i zerknął na tekst, widniejący na monitorze komputera. Najwyraźniej przyciągnął jego uwagę, bo wyjął okulary z kieszeni na piersiach.

- To coś w rodzaju relacji z pierwszej ręki o tym, jak było w szkole policyjnej - wyjaśnił speszony Andy, niepewny reakcji tamtego. - Wiem, że nie była zamówiona, ale...

Packerowi naprawdę podobało się to, co czytał, i uderzył knykciem w ekran.

- Ten akapit ma coś w sobie. Możesz trochę przesunąć w górę?

- Oczywiście. Oczywiście. - Podekscytowany, przejechał kursorem do początku tekstu.

Packer przysunął sobie bliżej krzesło, aby lepiej widzieć, i zagłębił się w tekście, który był dość długi. Jego zdaniem doskonale nadawałby się do niedzielnego wydania. Zastanawiał się, kiedy, do diabła, młody dziennikarz zdążył to napisać. Przecież przez ostatnie dwa miesiące normalnie pracował,

a wieczorami uczył się w szkole policyjnej. Czy ten chłopak w ogóle sypiał? Packer nigdy przedtem nie spotkał się z takim przypadkiem. To, co robił Brazil, odbierało mu pewność siebie i sprawiało, że narastało w nim poczucie nieprzydatności. Naprawdę czuł, że się starzeje. Packer pamiętał, jak bardzo fascynowało go dziennikarstwo, gdy sam był w wieku Andy'ego, a świat nieustannie go zadziwiał.

- Przed chwilą rozmawiałem z zastępczynią komendantki, Virginią West - powiedział do swojego protegowanego, nie przerywając czytania. - Szefowa dochodzeniówki...

- No więc, z kim mam jeździć? - przerwał mu Brazil, który tak bardzo chciał już zacząć pracę w policji, że z trudem nad sobą panował.

- O czwartej po południu masz się spotkać z porucznik West w jej gabinecie, będziesz z nią jeździł aż do północy.

Andy poczuł się wykiwany i nie mógł w to uwierzyć. Wpatrywał się w redaktora, który właśnie zawałił jedyną rzecz, jakiej Brazil od niego oczekiwał.

- Nie ma mowy, żebym dał się zrobić w jazdę jak dzieciak, kontrolowany przez jakiegoś waśniaka! - wykrzyknął, nie dbając o to, kto go słyszy. - Nie po to chodziłem do tej cholernej szkoły, aby...

Packer też nie zwracał uwagi na to, kto go słyszy, ale z innych powodów. Przez trzydzieści lat sam ciągle narzekał, w pracy i w domu, a światełka kontrolne jego uwagi migotały i gasły w czasie, gdy odbywał podróż mentalną przez swoje komórki mózgowie, koncentrując się na wybranych fragmentach różnych rozmów. Ni z tego, ni z owego przypomniał sobie nagle, co powiedziała dziś przy śniadaniu żona. Miał kupić jedzenie dla psa w drodze powrotnej do domu. Pamiętał też, że o trzeciej powinien zawieźć jej ulubienca do weterynarza na jakiś zastrzyk, a potem stawić się na umówioną wizytę u lekarza.

- Nie rozumiesz? - denerwował się Andy. - Wmanipulowali mnie. Chcą mnie wykorzystać jako swojego rzecznika.

Packer wstał. Unosił się ciężko nad Brazilem jak wyschnięte drzewo, dające z wiekiem coraz więcej cienia.

- Co mogę ci powiedzieć? - zafrasował się, a koszula znowu wyszła mu ze spodni. - Nigdy przedtem tego nie robiliśmy. Taka jest propozycja glin i miasta. Będziesz musiał podpisać zobowiązanie. Możesz robić notatki, ale żadnych zdjęć i żadnych filmów wideo. Robisz tylko to, co ci powiedzą. Nie chcę, aby cię tam zastrzelili.

- Dobrze, pojedę do domu przebrać się w mundur - zdecydował Brazil.

Packer odszedł w stronę męskiej toalety, podciągając opadające spodnie. Andy wyciągnął się na krześle i zaczął ponuro patrzeć w sufit, jakby właśnie stracił swój jedyny kapitał. Panesa obserwował go przez szklane drzwi, ciekaw, jak sobie z tym poradzi. Miał jednak przecucie, że poradzi sobie doskonale. Brenda Bond, analityczka systemów komputerowych, także bezczelnie przyglądała się Brazilowi znad komputera, który właśnie sprawdzała. Andy nigdy nie zwracał na nią uwagi. Chuda i blada, z czarnymi włosami jak szczecina, budziła w nim odrazę. Była zawistna, zazdrosna i z pewnością inteligentniejsza niż Brazil, ponieważ eksperci od komputerów już tacy są. Wyobrażał sobie, że Brenda spędza życie w Internecie, bo któż by ją chciał?

Westchnął i wstał z krzesła. Panesa widział, jak wyjął paskudną czerwoną różę z butelki po wodzie Snapple. Wydawca się uśmiechnął. On i jego żona bardzo pragnęli mieć syna. Spłodzili jednak pięć córek i mogli przeprowadzić się do większego domu, przejść na katolicyzm, zostać mormonami lub stosować bezpieczny seks. Zamiast tego się rozwiedli. Nie potrafił sobie wyobrazić, jakie to uczucie mieć takiego syna jak Andy Brazil. Był przystojny, wrażliwy i chociaż jeszcze tego nie udowodnił, miał bez wątpienia największy talent, z jakim wydawca „Observera” zetknął się w ciągu ostatnich lat.

Tommy Axel wpisywał do komputera obszerny tekst na temat nowego albumu muzycznego, słuchając go jednocześnie przez słuchawki. To

nieudacznik, ktoś w rodzaju Matta Dillona, tylko nigdy nie był sławny i z pewnością nie będzie, pomyślał Brazil, podchodząc do jego biurka. Postawił różę tuż przy klawiaturze, podczas gdy Axel wybijał rytm na swojej koszulce ze Star Trekiem. Zaskoczony, zdjął z uszu słuchawki, które opadły mu na szyję. Dobiegały z nich słabe dźwięki muzyki. Miał taką minę, jakby dostał w twarz. To był przecież Ten, o którym marzył. Wiedział o tym od chwili, gdy skończył sześć lat. Miał niejasne przeczucie, że takie boskie stworzenie, jak Andy Brazil, złączy kiedyś swoją orbitę z jego.

- Axel - powiedział Brazil głosem, który brzmiał jak grzmot - nigdy więcej kwiatów!

Potem oddalił się z godnością, a Tommy utkwiał wzrok w swojej ślicznej róży. Był pewien, że Andy nie mówił tego poważnie. Axel cieszył się, że jego biurko stało tam, gdzie stało. Odsunął się trochę na krześle, skrzyżował nogi i z ciężkim sercem obserwował, jak jasnowłosy bóg opuszczał redakcję. Zastanawiał się, dokąd on idzie. Wziął ze sobą teczkę, jakby nie zamierzał już tu wracać. Axel miał telefon domowy Brazila, znalazł go w książce telefonicznej. Wiedział, że obiekt jego uwielbienia nie mieszka w centrum, tylko gdzieś na peryferiach, czego Tommy nie mógł zrozumieć.

Oczywiście, Brazil nie zarabiał dwudziestu tysięcy dolarów rocznie i miał naprawdę okropny samochód. Axel jeździł fordem escortem, który też nie był nowy. Stan lakieru na karoserii zaczynał mu już przywozić na myśl twarz Keitha Richardsa. Nie miał też odtwarzacza CD i „Observer” nie chciał mu go kupić, chociaż Axel przypominał wszystkim, że kiedyś pracował dla „Rolling Stone’a”. Miał trzydzieści dwa lata. Był kiedyś żonaty, dokładnie przez rok. W tym czasie urządzali sobie z żoną kolacje przy świecach, a ich układy na zawsze pozostaną tajemnicą, gdyż każde z nich wydawało się pochodzić z innej planety.

Jak przybysze z obcych planet rozstali się w zgodzie, aby wyruszyć ku nowym światom, dokąd nikt z ludzi jeszcze nie dotarł. To nie miało nic wspólnego z jego zwyczajem podrywania małolatów na koncertach Meatloaf,

Glorii Estefan, czy Michela Boltona i bajerowania ich na potęgę. Axel znalazł kilka sposobów. Umieszczał zdjęcia tych chłopców w gazecie, z ich świeżymi butami, ogolonymi głowami, dreadami, kolczykami w różnych częściach ciała. Dzwonili potem do niego podekscytowani i dopraszali się większej liczby egzemplarzy gazety, fotografii, wywiadów, biletów na koncerty, wejściówek za kulisy. Jedna rzecz prowadziła zwykle do następnej.

Podczas gdy Axel myślał o Brazili, ten bynajmniej nie zaprzętał sobie nim głowy. Jechał swoim BMW, usiłując obliczyć, kiedy będzie musiał ponownie zatankować, ponieważ w jego samochodzie nie działały już ani wskaźnik zużycia paliwa, ani szybkościomierz. Części do BMW były dla Andy'ego równie niedostępne jak części do samolotu, całkowicie poza możliwością zakupu. Nie była to korzystna sytuacja dla kogoś, kto jeździł prędko i nie lubił kłopotów w stylu przymusowego postoju na poboczu i czekania, aż kolejny nieseryjny morderca podwiezie go do najbliższej stacji benzynowej.

Matka wciąż chrapała przed włączonym telewizorem. Brazil nauczył się poruszać po swoim popadającym w ruinę domu i życiu rodzinnym, niedostrzegając destrukcji ani pierwszego, ani drugiego. Poszedł wprost do maleńkiej sypialni, otworzył drzwi i dokładnie je za sobą zamknął. Włączył radio, ale niezbyt głośno, pozwalając, aby Joan Osborne otuliła go swoim głosem, a następnie otworzył szafę. Wkładanie munduru traktował jak rytuał i był pewien, że ta czynność nigdy mu się nie znudzi.

Na początku zawsze rozkładał go na łóżku i pozwalał sobie na chwilę przyjemności, przyglądając się ubraniu, bo nie mógł uwierzyć, że wolno mu nosić coś tak wspaniałego. Jego mundur policjanta z Charlotte był granatowy, zaprasowany w kant i zupełnie nowy, ze śnieżnobiałym emblematem gniazda szerszeni, które wyglądało jak biały wir, umieszczonym na pagonach obu ramion. Najpierw włożył czarne, bawełniane skarpetki, a następnie ostrożnie wciągnął letnie spodnie, zdecydowanie za ciepłe na tę porę roku. Wzdłuż obu nogawek miały delikatne, cienkie paski.

Najbardziej lubił koszulę, z uwagi na pagony i to wszystko, co mógł do niej przypiąć. Włożył ręce w krótkie rękawy i zaczął zapinać guziki, z dołu do góry, cały czas patrząc w lustro. Potem zawiązał krawat. Wreszcie nadeszła pora na plakietkę z nazwiskiem i gwizdek. Do ciężkiego, skórzanego paska przypiął futerał z latarką Mag-Lite i pager, zostawiając miejsce na radio, które miał dostać w Centrum Zapobiegania Przemocności. Buty z miękkiej skóry nie przypominały tych w stylu militarnym, były raczej podobne do obuwia sportowego dobrej jakości. Mógł w nich biegać, gdyby zaszła taka konieczność, i miał nadzieję, że do tego dojdzie. Nie dostał kapelusza, ponieważ komendant Judy Hammer ich nie lubiła.

Brazil obejrzał się dokładnie w lustrze, aby sprawdzić, czy wszystko jest w należyтым porządku. Wracał do miasta samochodem. Otworzył okna i szyberdach, i co jakiś czas wyciągał na zewnątrz rękę, ciesząc się reakcją kierowców na sąsiednim pasie, którzy widzieli jego policyjne insygnia. Tamci zwalniali. Dawali mu pierwszeństwo, gdy zapalało się zielone światło. Ktoś zapytał go o drogę. Jakiś facet splunął na jego widok z oburzeniem, na które Brazil nie zasłużył, ponieważ nie zrobił tamtemu nic złego. Dwóch nastolatków w ciężarówce zaczęło na jego widok stroić miny, ale patrzył przed siebie i jechał jakby nigdy nic. Nie robiło to na nim wrażenia. Był gliną od zawsze.

Budynek Centrum znajdował się kilka przecznic od redakcji gazety i Andy tak dobrze znał drogę, jakby jechał do domu. Skierował samochód do sektora dla gości i zaparkował swoje BMW w części dla prasy, ustawiając auto pod takim kątem jak zwykle, aby ludzie nie uderzali w jego drzwi. Wysiadł i ruszył lśnjącymi korytarzami do gabinetu zastępczyni komendantki, nie miał bowiem pojęcia, gdzie znajdował się wydział dochodzeniowy i czy można tam wejść bez przepustki. W szkole policyjnej spędzał czas w klasie, w sali z nadajnikiem radiowym, lub na ulicach, gdzie uczył się, jak kierować ruchem i zażegnawać drobne incydenty. W tym czteropiętrowym kompleksie budynków czuł się zagubiony. Stał w jakichś

drzwiach, nagle zawstydzony, w mundurze, przy którym nie było pistoletu, pałki, rozpylacza ani żadnej innej broni.

- Przepraszam - odezwał się, aby zwrócić na siebie uwagę.

Przy biurku siedział kapitan dyżurny, starszy mężczyzna okazałej postury. Wspólnie z sierżantem przeglądali zdjęcia podejrzanych. Najwyraźniej ignorowali przybyłego. Przez chwilę Brazil przyglądał się reporterowi telewizyjnemu z kanału trzeciego, Brentowi Webbowi, który grzebał w papierach i kradł wszystko, co mogło mu się przydać. To niesłychane. Andy patrzył, jak ten gnojek upychał w swojej teczce raporty, których żaden inny dziennikarz z miasta już nie zobaczy, tak jakby to było zupełnie naturalne, że oszukuje Brazila i każdego, kto chce przekazać najnowsze informacje. Spojrzał na Webba, a potem na sierżanta i kapitana, chociaż ci najwyraźniej nie przejmowali się przestępstwem, które popełniano na ich oczach.

- Przepraszam - spróbował jeszcze raz, tym razem głośniej.

Wszedł do środka, bezczelnie ignorowany przez gliniarzy, którzy od tak dawna nienawidzili tych z gazet, że już zapomnieli, dlaczego.

- Szukam gabinetu zastępczyni komendantki, Virginii West.

Nie można było ignorować Brazila.

Dyżurny kapitan jak gdyby nigdy nic wziął do ręki kolejną partię zdjęć. Sierżant odwrócił się tyłem do intruza. Webb przerwał swoją robotę i uśmiechnął się z satysfakcją, a nawet nieco szyderczo, taksując przybysza spojrzeniem z góry na dół. Ten chłopak wyglądał, jakby szedł na bal przebierańców. Brazil tak często widywał Webba w telewizji, że rozpoznałby go wszędzie; poza tym wiele o nim słyszał. Dziennikarze przezywali Webba „Bomba”, właśnie z powodu takich akcji, jak ta, której świadkiem był przed chwilą Andy.

- No i jak ci się podoba praca wolontariusza? - zapytał łaskawie Webb, nie mając pojęcia, kim jest ten chłopak.

- Którędy do dochodzeniówki? - odwzajemnił pytanie Andy, przeszywając go wzrokiem.

Reporter pokiwał głową.

- Schodami na górę, z pewnością trafisz.

Z zainteresowaniem studiował strój Brazila, a potem zaczął się śmiać, podobnie jak sierżant i kapitan dyżurny. Brazil podszedł do teczki Webba i wyciągnął z niej garść ukradzionych raportów. Wygładził je i wyprostował. Przejrzał pobieżnie i nie śpiesząc się, złożył na pół. Wszyscy patrzyli na niego, a twarz reportera nabiegła krwią.

- Wierzę, że komendant Hammer będzie chciała zobaczyć „Bombę” w akcji. - Andy uśmiechnął się do Webba i wyszedł.

ROZDZIAŁ 2

Największą jednostką w departamencie policji miasta Charlotte była sekcja patrolowa, ale dochodzeniówka miała najtrudniejsze, najbardziej karkołomne zadania, tak przynajmniej uważała Virginia West. Obywatele interesowali się włamaniami, gwałtami i morderstwami, śledząc z niepokojem postępy w śledztwie, i narzekali, jeśli bandytów nie chwymano natychmiast po popełnieniu przestępstwa. Telefon na biurku Virginii dzwonił bez przerwy.

Kłopoty zaczęły się trzy tygodnie temu, gdy Jay Rule, biznesmen z Orlando, przyleciał do miasta na spotkanie fabrykantów tekstyliów. Kilka godzin po tym, jak opuścił lotnisko w wynajętym maksimie, puste auto odnaleziono na ciemnym, pustym placu przy South College Street, w samym centrum miasta. W samochodzie włączony był sygnał alarmowy informujący o otwartych drzwiach od strony kierowcy i zapalonych światłach. Walizka i torba podręczna leżały na tylnym siedzeniu. Pieniądze, biżuteria, telefon komórkowy, pager i kto wie, co jeszcze, zniknęły.

Jay Rule, lat trzydzieści trzy, został trafiony w głowę pięcioma kulami z pistoletu czterdziestkiątki, załadowanego morderczą, wydrążoną amunicją, zwaną „Silvertips”. Ciało wciągnięto w zarośla, spodnie i bieliznę miał ściągnięte do kolan, a na genitaliach wymalowany jaskrawopomarańczową farbą w sprayu kształt przypominający klepsydrę. Ani policjanci, ani agenci FBI niczego podobnego nigdy przedtem nie widzieli. Tydzień później zdarzył się podobny wypadek.

Kolejne morderstwo miało miejsce dwie przecznice dalej, przy West Trade Street, na tyłach lokalu Cadillac Grill, zamkniętego tamtego wieczora z

powodu morderstwa. Jeff Calley miał czterdzieści cztery lata i był pastorem baptystą. Przyjechał do Charlotte z Knoxville, w stanie Tennessee. Chciał załatwić w mieście pewną sprawę. Przeprowadzał swoją leciwą matkę do domu spokojnej starości „Pod Sosnami” i na czas trwania wszystkich formalności miał się zatrzymać w hotelu Hyatt. Nigdy tam się nie zameldował. Późno w nocy znaleziono wynajętą przez niego jettę, drzwi były otwarte, alarm działał, ten sam modus operandi.

Trzy tygodnie później koszmar się powtórzył, gdy do miasta przyjechał z Atlanty pięćdziesięciodwuletni Cary Luby. Virginia rozmawiała właśnie o tym morderstwie przez telefon, gdy w drzwiach jej pokoju pojawił się Brazil. Nie widziała go, była zbyt zajęta przeglądaniem wstrząsających fotografii z miejsca zbrodni i dyskutowała przy tym gwałtownie z zastępcą prokuratora okręgowego.

- To nie było tak, nie wiem, skąd to wytrzasnąłeś, rozumiesz? Został zabity kilkoma strzałami w głowę, z bliskiej odległości. Czterdziestkapiątka, załadowana amunicją Silvertips...Tak, tak, dokładnie. W odległości kilku przecznic od siebie. - Najwyraźniej zaczynała się irytować. - Chryste Panie, oczywiście, że posłałam w tamtą okolicę tajniaków, mają się pokręcić, pogadać z prostytutkami i naganiaczami, a w ogóle mieć oczy szeroko otwarte. Co ty sobie myślisz?

Przełożyła słuchawkę do drugiej ręki, zastanawiając się, po co w ogóle zakłada klipsy, wściekła, że ktoś śmie kwestionować jej profesjonalizm. Rzuciła okiem na zegarek, przeglądając kolejne zdjęcia. Zatrzymała się przy tym, na którym widać było wyraźnie namalowaną klepsydrę, a właściwie pomarańczową ósemkę. Podstawa znajdowała się ponad genitaliami, górna część sięgała brzucha ofiary. To robota szaleńca. Zastępca prokuratora okręgowego nadal pytał o szczegóły dotyczące śledztwa i Virginia zaczęła już tracić cierpliwość. Ten dzień i tak już był spieprzony.

- Tak jak inni - odpowiedziała z naciskiem. - Wszystko. Portfel, zegarek, obrączka. - Przez chwilę słuchała. - Nie. Nie. Żadnych kart kredytowych,

niczego z nazwiskiem ofiary... Dlaczego? Bo zabójca jest inteligentny, ot co.
- Westchnęła, i zaczęła nerwowo kiwać głową. - Na rany Chrystusa. John, właśnie o to mi chodzi! Jeżeli byłby to zwykły złodziej samochodów, to dlaczego nie zabrał tego wypożyczonego thunderbirda? Nie ukradziono żadnego samochodu.

Odwróciła się na obrotowym krześle i omal nie upuściła słuchawki, gdy zobaczyła w drzwiach młodego gliniarza wolontariusza, spieszenie robiącego notatki. Ten skurczybyk rozglądał się po jej gabinecie, zapisując każde słowo dotyczące najbardziej sensacyjnych, przerażających morderstw, jakie zdarzyły się w tym mieście. Jak dotąd, szczegóły zbrodni nie trafiły do prasy, bo wokół sprawy narastała coraz silniejsza presja polityczna.

- Muszę kończyć - oznajmiła kategorycznie Virginia. Rzuciła słuchawkę na widełki, przerywając rozmowę z zastępcą prokuratora okręgowego, i przeszła Brazila groźnym spojrzeniem. - Zamknij drzwi - poleciła lodowatym głosem, który mógłby zmrozić każdego, kto dla niej pracował lub spodziewał się aresztowania.

Brazil podszedł spokojnie do biurka. Nie miał zamiaru dać się zastraszyć tej biurokratce grubego kalibru, która już go oszukała. Rzucił jej na blat skradzione raporty.

- Co ty wyprawiasz? - zapytała porucznik West.

- Jestem Andy Brazil z „Observera” - przedstawił się z zimną uprzejmością. - Webb grzebie w policyjnych papierach. Mówię na wypadek, gdyby to panią interesowało. Poza tym potrzebuję radia. Miałem się z panią spotkać o czwartej.

- I co? Miałeś podsłuchiwać? - Odsunęła krzesło od biurka i wstała. - Mam wrażenie, że już zdobyłeś swój materiał.

- Będę potrzebował radia - powtórzył jeszcze raz Brazil, ponieważ nie potrafił sobie wyobrazić, że na ulicy nie będzie mógł się kontaktować z dyspozytorem.

- Zapewniam cię, że nie. Możesz mi zaufać - odpowiedziała Virginia.

Z wściekłością upchnęła do torby akta i zamknęła ją z trzaskiem. Złapała swój notes i ruszyła w kierunku drzwi. Brazil deptał jej po piętach.

- Jesteś irytujący - rzuciła w jego stronę, jakby ten młody mężczyzna w mundurze drażnił ją od zawsze. - Jak każdy inny dupek stamtąd. Daj im trochę, to zechcą więcej. Nikomu nie można ufać.

Nie wyglądała tak, jak Brazil sobie to wyobrażał. Nie miał pojęcia dlaczego, ale oczekiwał, że zastępczyni komendant Hammer będzie otyłą i arogancką kobietą z płaskim biustem i kwadratową, męską twarzą oraz zniszczonymi włosami. Tymczasem nie. Pani porucznik West ważyła jakieś pięćdziesiąt sześć, pięćdziesiąt siedem kilogramów, miała ciemnorude włosy do szyi i drobnokościstą budowę ciała. Można powiedzieć, że była przystojna, a z pewnością atrakcyjna. Miała znakomitą figurę, bez jednego zbędnego grama tłuszczu, chociaż chyba jej na tym nie zależało. Jemu jednak bynajmniej nie wydawała się pociągająca, lecz raczej niemila.

Otworzyła szklane drzwi, prowadzące na parking, i ruszyła w stronę swojej nieoznakowanej crown victorii.

- Mówiłam wszystkim, że to zły pomysł, ale czy ktoś mnie słuchał? - Zaczęła szukać kluczyków.

- A pani by posłuchała? - zapytał Brazil. Zamilkła i spojrzała na niego. Po chwili otworzyła samochód, ale Brazil przytrzymał ręką drzwiczki.

- Byłoby miło, gdybym mógł liczyć na uczciwy proces. - Wyciągnął w jej stronę notatnik, pokazując zapiski, które zrobił, gdy była zajęta rozmową. - Opisywałem pani gabinet i panią - oświadczył tonem zastępcy prokuratora okręgowego, z którym rozmawiała przez telefon.

Nie musiała długo patrzeć w pokazane notatki, aby zrozumieć, że źle go oceniła. Westchnęła, cofnęła się o krok i obrzuciła wolontariusza taksującym spojrzeniem, zastanawiając się, jak to możliwe, aby dziennikarz był ubrany tak jak on. Dokąd zmierza policja? Judy Hammer naprawdę straciła głowę. Brazila powinno się aresztować za odgrywanie roli policjanta, taka była prawda.

- Gdzie mieszkasz? - zapytała.

- W Davidson.

Świetnie. A zatem najbliższe półtorej godziny będą mogli spędzić w drodze do Davidson i z powrotem. Już ona postara się jeszcze wydłużyć ten czas. Im później wyjadą na ulice, tym lepiej. Wsiadając do samochodu, prawie się uśmiechała.

- Pojedziemy najpierw do ciebie, żebyś się przebrał - oznajmiła.

Przez jakiś czas nie odzywali się do siebie. Policyjne radio mrugało światełkami, dyspozytorzy i policjanci niemal bez przerwy nadawali bieżące komunikaty. Przenośny terminal danych sygnalizował zgłoszenia i wyświetlał na monitorze adresy i potrzebne informacje. Virginia i Brazil jechali przez miasto w godzinie szczytu. Zanosilo się na deszcz. Andy wyglądał przez okno. Zdjął krawat od policyjnego munduru i rozpiął kołnierzyk koszuli. Czuł się głupio i uważał, że potraktowano go niesprawiedliwie.

- Jak długo pracujesz w „Observerze?” - zapytała porucznik West.

Coś uciskało jej piersi, jakby kamizelka kuloodporna była źle dopasowana, tylko że niczego takiego na sobie nie miała. Dręczyły ją lekkie wyrzuty sumienia w związku z tą jazdą.

- Rok - odpowiedział Brazil, czując niechęć do zastępczyni komendantki i zastanawiając się, czy będzie chciała jeszcze z nim jeździć.

- Jak to się stało, że nigdy o tobie nie słyszałam? - pytała dalej.

- Nie pisałem o policji przed ukończeniem szkoły. Taka była umowa.

- Jaka umowa?

- Moja umowa. - Zamilkł i znowu ponuro wpatrywał się w okno.

Virginia usiłowała zmienić pas, ale jakiś palant jadący obok nie zamierzał jej tego ułatwić. Wykonała w jego stronę gest zniecierpliwienia.

- Spadaj, trutniu!

Zatrzymała się na czerwonym świetle i spojrzała na chłopaka.

- Co to za umowa?

- Chciałem poznać pracę w policji, aby to, co robię, miało jakiś sens.

- Co to znaczy?

- Chcę poznać policjantów. Wtedy będę mógł o nich pisać. Taka jest moja zasada działania.

Ani trochę mu nie wierzyła. Dziennikarze zawsze opowiadają takie bajeczki, kłamią jak z nut, tu nie ma żadnych wyjątków. Ruszyła spod świateł, wyciągnęła papierosa i zapaliła.

- Jeśli tak cię interesuje to, co robimy, dlaczego po prostu nie wstąpiłeś do policji? - zaczepiła go.

- Jestem pisarzem - oznajmił Brazil, jakby to była kategoria, do której należał, religia, najgłębsza identyfikacja.

- A przecież wszyscy wiedzą, że gliniarze nie potrafią pisać. - Virginia wydmuchała dym. - Nie potrafią nawet czytać, jeśli nie ma tam obrazków.

- Są obrazki.

Machnęła ręką i roześmiała się lekko.

- Widzisz? Brazil milczał.

- Dlaczego mieszkasz tak daleko, w Davidson?

- Chodziłem tam do college'u.

- Domyślam się, że jesteś wykształcony.

- Mam nadzieję.

Błyszcząca crown victoria skręciła w Main Street, która w tym uroczym, akademickim miasteczku była rzeczywiście tym, na co wskazywała jej nazwa. Stały przy niej eleganckie domy z czerwonej cegły, z białą stolarką i werandami porośniętymi bluszczem. West także wychowała się poza Charlotte, ale pochodziła z innej, rolniczej części stanu, gdzie dominującym elementem krajobrazu była czerwona glina. Nie mogła sobie pozwolić na naukę w Davidson i wątpiła, aby jej poziom wykształcenia zrobił na kimś wrażenie. College w Davidson, którego absolwentem był Brazil, dorównywał rangą takim uczelniom jak Princeton i inne, o których mogła tylko marzyć.

- Skoro już o tym rozmawiamy - odezwała się - nie pamiętam żadnego

twojego tekstu na temat policji.

- To mój pierwszy dzień w pracy.

Virginia czuła narastające obawy w związku z tym, co czekało ją dzisiejszej nocy. Jakiś pies zaczął szczekać i rzucił się w pogoń za samochodem. Nagle rozpętała się prawdziwa ulewa.

- No więc, co robiłeś przez ten rok? - dopytywała się dalej.

- Pracowałem w dziale programów telewizyjnych - wyjaśnił Brazil. - Brałem dużo nadgodzin, pisałem wiele tekstów, których nikt nie chciał drukować. - Wyprostował się, odpinając pasy bezpieczeństwa. - Takie tam rzeczy.

- Nie zdejmuj pasów, dopóki samochód jest w ruchu. Zasada numer jeden.

- Zatrzymała wóz na nierównym niewybrukowanym podjeździe.

- Dlaczego każe mi pani się przebrać? Mam prawo... - Andy usiłował wyrzucić wreszcie z siebie to, co dręczyło go przez całą drogę.

- Ludzie tak ubrani dostają na ulicy kulkę w łeb - przerwała mu Virginia. - Zasada numer dwa. Nie masz żadnych praw. Nie przy mnie. Nie chcę, aby ktokolwiek sądził, że jesteś gliną. Nie chcę, aby ktokolwiek sądził, że jesteś moim partnerem. Robię to wbrew sobie, kapujesz?

Dom, w którym mieszkał Brazil, tak dawno nie był odnawiany, że z trudem dałoby się określić jego kolor. Może jasnożółty, kremowy lub biały. Teraz wydawał się szary, farba łuszczyła się i odpadała. Przypominał smutną starą kobietę o pomarszczonej twarzy. Na podjeździe parkował sędziwy, pokryty rdzą biały cadillac. Virginia uznała, że ktokolwiek tu mieszka, nie ma gustu, pieniędzy lub czasu na remont i prace porządkowe na podwórku. Brazil ze złością otworzył drzwiczki, zebrał swoje rzeczy i wysiadł. Miał ochotę powiedzieć tej kobiecie, aby się stąd wynosiła i więcej nie wracała. Jednak jego BMW zostało w Charlotte i to był pewien problem. Pochylił się i spojrzał na panią porucznik West.

- Mój ojciec był policjantem.

Zatrzasnął za sobą drzwi.

Virginia była typowym gliną, zachowywała się jak każdy, kto ma władzę, wściekał się Brazil, wchodząc do domu. Nie zamierzała pomóc komuś, kto dopiero zaczynał. Kobiety były najgorsze, jakby nie chciały, aby komukolwiek innemu się powiodło, ponieważ nikt nie był dla nich miły, gdy same zaczynały, a może w ten sposób pragnęły odpłacić mężczyznom, prześladować niewinnych facetów, których nigdy przedtem nawet nie widziały, i tak dalej. Brazil wyobraził sobie Virginię West przy siatce tenisowej: na jego śmiertelny smecz znad głowy odpowiadała perfekcyjnym lobem. Ale on też potrafi wykonać zwycięski serw.

Otworzył drzwi domu, w którym mieszkał całe życie. Już w środku odpiął guziki koszuli i rozejrzał się dookoła, patrząc nagle zupełnie innym wzrokiem na ciemny salon o depresyjnym nastroju, zastawiony tanimi meblami, z poplamionym dywanem na podłodze. Popielniczki z niedopałkami i brudne naczynia stały tam, gdzie je zostawiono, nad wszystkim unosiła się muzyka gospel ze zgranej płyty George'a Beverly Shea. Brazil podszedł do starego sprzętu grającego i z niecierpliwością go wyłączył.

- Mamo? - zawołał.

Zabrał się do sprzątnięcia, bo taki sam bałagan panował w starej kuchni, gdzie na stole stały mleko, sok i ser, jakby ktoś nie chciał wykonać najmniejszego nawet wysiłku, aby schować to wszystko do lodówki, podobnie jak resztkę niedopitej, taniej wódki w kieliszku. Andy pozbierał naczynia i wstawił je do zlewu. Ze złością wyciągnął koszulę ze spodni i rozpiął pasek. Spojrzał na plakietkę ze swoim nazwiskiem, błyszczącą i nową. Dotknął gwizdka na piersi. Przez moment poczuł smutek, którego nie potrafił wytłumaczyć.

- Mamo? - zawołał znowu. - Gdzie jesteś?

Przeszedł przez korytarz i kluczem, który miał tylko on, otworzył drzwi do małej sypialni, gdzie mieszkał. Wnętrze było czyste i uporządkowane, na

biurku stał komputer, a na półkach i ścianach tłoczyło się wiele nagród za zwycięstwa w turniejach tenisowych i innych zawodach sportowych. W tym skromnym, bezpretensjonalnym pokoiku człowieka o skomplikowanej naturze znajdowało się setki książek. Ostrożnie powiesił na wieszaku mundur, a następnie przebrał się w szorty koloru khaki i bawełnianą koszulę. Na drzwiach wisiała podniszczona, lotnicza skórzana kurtka, zbyt duża na niego. Wyglądała na bardzo starą. Włożył ją, chociaż wiedział, że jest ciepło.

- Mamo!

Na sekretarce telefonicznej paliło się czerwone światło, postanowił więc odsłuchać wiadomości. Pierwsza była z działu kredytów gazety i Brazil niecierpliwie nacisnął ponownie guzik, a potem jeszcze trzy razy, przewijając taśmę. Ostatnia pochodziła od Axela. Grał na gitarze, śpiewając Hootie & the Blowfish.

- Pragnę być tylko z tobą...Tak! Andy, tu Axel nie zbywaj mnie. Może zjemy razem kolację? Co sądzisz o restauracji Jacka Strawa...

Brazil z niecierpliwością przerwał nagranie i w tej samej chwili zadzwonił telefon. Tym razem dzwoniąca osoba była pełna życia i namiętności, dyszała w słuchawkę, odbywając w wyobraźni stosunek z Brazilem, ponownie bez pytania go o zgodę.

- Trzymam cię tak mocno, a ty dotykasz mnie językiem, wślizgujesz się... - dyszała niskim głosem, przypominającym mu programy z psycholami, które oglądał czasami jako dziecko.

- Jesteś chora. - Rzucił słuchawkę na widełki.

Stanął przed lustrem wiszącym nad komodą i zaczął szczytywać włosy z czoła. Przeszkadzały mu, były zdecydowanie za długie i rozjaśnione od słońca. Usiłował zaczepić niesforny kosmyk za uchem, gdy nagle ujrzał w lustrze odbicie swojej matki, otyłej kobiety, pijanej i agresywnej.

- Gdzie byłeś? - krzyknęła, usiłując uderzyć syna w twarz.

Brazil w porę uniósł ramię, zasłaniając się przed ciosem. Odwrócił się i złapał matkę za oba nadgarstki, stanowczo, aczkolwiek delikatnie. To był

wciąż ten sam męczący dramat, powtarzająca się w nieskończoność bolesna sztuka.

- Spokojnie, spokojnie, spokojnie - powtarzał, prowadząc zamroczoną kobietę w stronę łóżka i ostrożnie sadzając.

Muriel Brazil zaczęła płakać, kołysząc się i bełkocząc.

- Nie odchodź. Nie zostawiaj mnie, Andy. Błagam, och, błaaagam.

Spojrzał na zegarek. Z niepokojem rzucił okiem w stronę okna, obawiając się, że pani West mogła dostrzec coś przez zaciągnięte żaluzje i poznać przeklęty sekret jego życia.

- Mamo, przyniosę ci lekarstwo, dobrze? - zaproponował. - Pooglądasz sobie telewizję i położysz się spać. Niedługo wrócę.

Nie zgodziła się; łkała, kołysała się i głośno zawodziła.

- Przepraszam, przepraszam, przepraszam! Nie wiem, co się ze mną dzieje. Andeeee!

Virginia nie słyszała wyraźnie słów, ale dotarło do niej wystarczająco dużo, ponieważ otworzyła okno, aby zapalić papierosa. Podejrzewała, że Brazil mieszkał z dziewczyną i właśnie się pokłócili. Pokręciła głową, wyrzucając niedopałek na porośnięty chwastami, zaniedbany podjazd. Czemu ktoś od razu po skończeniu szkoły postanawia zamieszkać z drugim człowiekiem, jakby nie pamiętał lat, kiedy dzielił z kolegami mieszkanie w akademiku? I po co to? Gdy odjeżdżali, nie zapytała Brazila o nic. Nie miała ochoty wysłuchiwać niczego, co ten młody reporter miałby jej do powiedzenia na temat swojego życia. Wracali do miasta, które było jarzącą się światłami łuną nad horyzontem, dumnym pomnikiem banków i dominacji mężczyzn. To nie była zbyt oryginalna myśl. Judy Hammer wygłaszała ją każdego dnia.

Virginia często wozila swoją szefową po mieście. Judy rozglądała się i z wyciągniętym palcem mówiła o biznesmenach za wysokimi ścianami ze

szkła, decydujących, co ukaże się w gazetach, jakie przestępstwa mają być wyjaśnione, kto zostanie kolejnym burmistrzem. Narzekała na ludzi, którzy nie mieszkali w tej okolicy, a decydowali, czy policja potrzebuje brygady rowerowej, laptopów czy może pistoletów. Kilka lat temu bogaci faceci postanowili zmienić im mundury i połączyć policję miejską z policją hrabstwa Mecklenburg. Wszystkie te decyzje, zdaniem komendant Hammer, były podejmowane bez wyobraźni i opierały się na czynnikach ekonomicznych.

Virginia myślała podobnie, przejeżdżając z Brazilem obok olbrzymiego, nowego stadionu, gdzie pokazywał swoje magiczne sztuczki David Copperfield, a miejsca parkingowe w okolicy zajęte były przez tysiące samochodów. Młody dziennikarz wydawał się dziwnie przygaszony, nie robił żadnych notatek. Obserwowała go bacznie, podczas gdy policyjny skaner brutalnie informował o prymitywnych przestępstwach współczesnego miasta, z radia zaś płynęła łagodna muzyka Eltona Johna.

- Do wszystkich załóg w okolicy - rozległ się w pewnej chwili głos dyspozytora. - Włamanie i wtargnięcie w toku, budynek numer czterysta przy East Trade Street.

Virginia przyspieszyła i włączyła policyjne światła. Zawyła syrena, a ich wóz błyskawicznie zaczął wymijać inne samochody.

- To dla nas - powiedziała, włączając mikrofon. Brazil wyraźnie się ożywił.

- Załoga siedemset - odezwała się do dyspozytora. Ten nie spodziewał się zgłoszenia zastępczyni komendantki i był trochę zaskoczony i zdezorientowany.

- Jaka załoga? - chciał wiedzieć.

- Siedemset - powtórzyła porucznik West. - Jestem w okolicy numeru dziewięćset. Biorę W&W w toku.

- Dziesięć-cztery, siedemset!

Radio nadało komunikat. Inne samochody ułatwiały im przebijanie się

przez zatłoczone ulice. Brazil spojrział na policjantkę z nagłym zainteresowaniem. Może jednak nie będzie aż tak źle.

- Od kiedy to zastępczyni komendantki odbiera zgłoszenia? - zapytał.

- Odkąd kibluję tu z tobą.

Celem, do którego zmierzali na East Trade, były cementowe baraki, subwencionowane przez rząd i użytkowane przez kryminalistów, którzy prowadzili interesy pod osłoną ciemności, a kiedy pojawiały się gliny, zmuszali swoje kobiety do kłamstw. Włamanie i wtargnięcie w owej okolicy to najczęściej, jak wynikało z doświadczenia Virginii, sygnał, że ktoś ma być zrobiony w konia. Zwykle odbywało się to w ten sposób: dzwoniła jakaś dziewczyna i zgłaszała, że coś się dzieje w mieszkaniu, gdzie ukrywał się jej facet, na którego wydano dość wyroków sądowych, aby go zamknąć ze dwadzieścia razy.

- Zostań w aucie - zarządziła porucznik West, parkując za dwoma wozami patrolowymi.

- W żadnym wypadku. - Brazil chwycił za klamkę. - Nie po to przebrnąłem przez tyle problemów, aby siedzieć teraz cały czas w samochodzie. Poza tym, to niebezpieczne być tu samemu.

Nie skomentowała tego, przyglądając się barakowi i obserwując, które okna są oświetlone, a które ciemne. Obrzuciła też wzrokiem parking, pełen samochodów handlarzy narkotyków, i nie zauważyła w pobliżu żywego ducha.

- W takim razie trzymaj się za mną, nie odzywaj się i rób, co ci powiem - rzuciła, wychodząc z wozu.

Plan był dość prosty. Dwaj policjanci mieli podejść do mieszkania na parterze od frontu, a ona i Brazil od tyłu, aby uniemożliwić przestępcom wymknięcie się tylnymi drzwiami. Serce Brazila waliło jak młotem, aż się spocił pod skórzaną kurtką, gdy przemykali w ciemności pod sznurami z bielizną w jednej z najniebezpieczniejszych dzielnic miasta. Virginia, nie spuszczać wzroku z okien, otworzyła kaburę i włączyła radio.

- Światła się nie palą - przekazała wiadomość. - Podchodzimy.

Wyciągnęła pistolet. Brazil szedł trochę za nią, chociaż wolałby brać udział w najściu na lokal od frontu jak skradający się policjanci, ukryci za radiowozem pokrytym graffiti. Wszędzie było pełno śmieci, pozatykanych nawet na zardzewiałych płotach i gałęziach drzew. Policjanci, zbliżając się do drzwi, wyciągnęli spluwy.

Jeden z nich połączył się z nimi, podając informację swojemu szefowi, czyli porucznik West.

- Wchodzimy.

- Policja! - zawołał jego partner.

Noc była czarna jak smoła. Andy starał się uważać na nierówny teren i leżące wszędzie rozbite szkło, jak również na sznury od bielizny, wiszące tak nisko, że groziły uduszeniem. W obawie, że pani West może się pokaleczyć, zapalił latarkę, obejmując policjantkę strumieniem silnego światła. Jej niewyraźna sylwetka z pistoletem wydawała mu się większa niż sam Bóg.

- Zgaś to cholerne światło! - syknęła, odwracając się do niego.

Tym razem policja nikogo nie schwytła. Virginia i Brazil jechali samochodem w nie najlepszych nastrojach, a radio nadawało kolejne komunikaty. Mogli ją trafić. Na szczęście jej podwładni nie widzieli, co zrobił ten głupi dziennikarz. Virginia nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie powie Judy Hammer, co o tym wszystkim myśli, i miała wielką ochotę zadzwonić do swojej szefowej do domu. Potrzebowała czegoś, co mogłoby ją doładować, i podjechała pod Starvin Marvin na South Tryon Street. Zanim zdążyła zaparkować, Brazil już chwycił za klamkę.

- Słyszałeś o tym, że trzeba patrzeć, gdzie się skacze? - zapytała jak surowa nauczycielka.

Odpinając pasy, rzucił jej pełne oburzenia, niezadowolone spojrzenie.

- Nie mogę się doczekać, aby o pani napisać - ostrzegł.

- Posłuchaj. - Wskazała głową na sklep, na szklane drzwi i krążących w środku klientów, robiących zakupy. - Załóżmy, że jesteś gliną. To nie

powinno być dla ciebie trudne. A więc wychodzisz z policyjnego wozu. Nie sprawdzasz sytuacji? Wchodzisz wprost na odbywający się właśnie rabunek? I zgadnij, co się dzieje? - Wyszła z wozu i spojrzała na Brazila, wciąż siedzącego w środku. - Jesteś martwy.

Zatrzęsnęła drzwiami.

Andy patrzył, jak weszła do sklepu. Zaczął robić notatki, ale po chwili zrezygnował i rozsiadł się wygodnie w fotelu. Nie rozumiał, co się działo. Przeszkadzała mu świadomość, że zastępczyni komendantki nie akceptuje jego obecności, nawet jeśli najpierw wydawało mu się, że nic go to nie obchodzi. Nic dziwnego, że nie wyszła za męża. Kto chciałby mieszkać z kimś takim jak ona? Brazil wiedział, że jeśli kiedykolwiek odniósłby sukces, nigdy nie byłby tak wredny dla młodych ludzi. Tak postępują ludzie bez serca i taka właśnie była porucznik West.

Oczywiście kazała mu zapłacić za przyniesioną kawę. Kosztowała dolara i piętnaście centów, a nawet nie pomyślała, aby go zapytać, jaką pije. Z pewnością nie była to kawa ze śmietanką i dwudziestoma torebkami cukru. Brazil z trudem ją przełknął, chociaż robił, co mógł, po czym znowu ruszyli na patrol. Policjantka paliła papierosa. Krążyli po ulicach w śródmieściu, gdzie ospale przechadzały się prostytutki, ściskając w rękach ręczniki. Przyglądały im się święcącymi, pustymi oczami.

- Po co im ręczniki? - zapytał Brazil.

- A czego się spodziewałeś? Miseczek do płukania palców? To brudna profesja - odrzekła porucznik West.

Przyjrzał się jej z uwagą.

- Niezależnie od tego, jakim jeżdżę samochodem, zawsze wiedzą, że tu jestem - zauważyła, strząsając popiół za okno.

- Naprawdę? - zapytał. - Domyślam się, że niektóre z nich są na ulicy od, powiedzmy, piętnastu lat, prawda? I pamiętają panią? Proszę o tym pomyśleć.

- Wiesz co, to nie jest dobry sposób na wyciąganie wniosków - ostrzegła

go.

Wyrzwał przez okno i zamyślił się na chwilę.

- Nie brakuje tego pani?

Virginia przyglądała się damom nocy i nie miała ochoty mu odpowiadać.

- Jesteś w stanie powiedzieć, który z nich to mężczyzna?

- Może ten?

Brazil patrzył na dużą, brzydką dziwkę w elastycznej minispódnicy i w obcisłej, czarnej bluzeczce opinającej operowy biust. Poruszała się wolnym i ociężałym krokiem, wpatrując się z nienawiścią w policyjny samochód.

- Nie. To kobieta - oświadczyła Virginia, nie dodając jednak, że prostytutka była także tajną policjantką i matką dwojga dzieci. Miała broń i pozostawała w kontakcie z innymi gliniarzami.

- Faceci mają zgrabne nogi - pouczała go dalej. - I poprawne anatomicznie, doskonałe, sztuczne piersi. Zero bioder. A jeśli podejdziesz bliżej, czego nie polecam, zauważysz, że się golą.

Brazil milczał.

- Domyślam się, że nie dowiedziałbyś się tego, pracując dla dodatku telewizyjnego - dodała.

Czuł, że mu się przygląda, jakby miała na myśli jeszcze coś innego.

- A więc jeździsz tym cadillakiem z płetwami rekina? - zapytała, zmierzając ogródkami do tego, co ją interesowało.

Brazil wciąż obserwował przez okno handel uliczny, usiłując odróżnić mężczyzn i kobiety.

- Stał na twoim podjeździe - mówiła dalej. - Nie wyglądał na wóz, którym można jeszcze jeździć.

- Bo nie można - odpowiedział.

- Aha. - Zaciągnęła się papierosem i strząsnęła przez okno popiół. - Nie mieszkasz sam.

Brazil wciąż patrzył przez okno.

- Mam starego BMW 2002. Należał jeszcze do mojego ojca. Kupił

używany wóz i sam go naprawił. Potrafił naprawić wszystko.

Mijali właśnie srebrnego lincolna, który wyglądał na wynajęty. Virginia zwróciła na niego uwagę, ponieważ kierowca miał włączone w środku światło i wyglądał na zagubionego. Rozmawiał przez telefon komórkowy i najwyraźniej szukał czegoś w tej części miasta, która nie cieszyła się zbyt dobrą reputacją. Skręcił w Mint Street. Brazil obserwował prostytutki na chodnikach, które odwzajemniały mu spojrzenie, a Virginia zainteresowała się jadącą przed nimi toyotą z wybitym bocznym oknem i tablicą rejestracyjną zawieszoną na wieszaku na ubrania. W środku było dwóch nastolatków. Kierowca obserwował ją w tylnym lusterku.

- Założę się, że ten samochód przed nami jest kradziony - oznajmiła policjantka.

Wpisała numer rejestracyjny do terminalu danych i urządzenie zaczęło brzęczeć tak, jakby wygrała w automacie. Przeczytała wyświetloną informację, a potem włączyła niebieskoczerwone światła na dachu wozu. Toyota pomknęła do przodu na pełnym gazie.

- Cholera! - zakląła Virginia.

Rzuciła się w pościg za uciekającym autem, trzymając w dłoniach papierosa, kubek z kawą i jednocześnie próbując włączyć mikrofon. Brazil nie wiedział, jak może jej pomóc. Przeżywał przygodę swojego życia.

- Siedemset! - zawołała do mikrofonu. - Rozpoczęłam pościg!

- Jedź dalej, siedemset - odezwał się głos w radiu. - Słyszemy cię.

- Jadę na północ Pine Street, skręcam w lewo na Seventh, za sekundę podam ci opis.

Andy z trudem nad sobą panował. Czemu ta kobieta nie wyprzedzi auta i nie zajedzie mu drogi? Jak szybko może jechać toyota?

- Włącz syrenę! - zawołała do niego, przekrzykując warkot silnika.

Brazil nie przerabiał takich sytuacji w szkole policyjnej. Odpiął pas i zaczął szukać po omacku na tablicy rozdzielczej, przy kierownicy, w okolicy kolan Virginii, na których niemalże siedział, aż znalazł przycisk, który wydał

mu się tym właściwym. Nacisnął go, gdy wóz policyjny mknął ulicami miasta na pełnym gazie. Bagażnik otworzył się głośnym trzaśnięciem. Samochód porucznik West zakołysał się gwałtownie i na chodnik wypadły przyrządy do zabezpieczania miejsca przestępstwa, płaszcz przeciwdeszczowy, latarka i rakiety świetlne. Virginia nie mogła w to uwierzyć. Patrzyła we wsteczne lusterko i widziała, jak cała jej dotychczasowa kariera zawodowa znika w oddali w dymie z rury wydechowej. Brazil milczał. Jechali coraz wolniej, aż samochód stanął. Policjantka spojrzała na swojego towarzysza.

- Przepraszam - powiedział spokojnie.

ROZDZIAŁ 3

Virginia nie odzywała się przez godzinę i dwadzieścia pięć minut. W tym czasie oboje jeździli ulicą, zbierając policyjny ekwipunek, który wypadł z bagażnika. Lampa miała stłuczoną niebieską plastikową osłonę. Papierowe opakowania rac sygnalizacyjnych popękały i wyciekły z nich jakieś toksyczne substancje. Polaroid do robienia zdjęć na miejscu przestępstwa nie nadawał się już do użytku. Płaszcz przeciwdeszczowy znaleźli kilka kilometrów dalej; był zaczepiony o rurę wydechową małej ciężarówki, o włos od spalenia.

Jechali i zatrzymywali się, zbierali rzeczy i ruszali znowu. Wszystko to odbywało się w milczeniu. Virginia była tak wściekła, że wolała się nie odzywać. W tym czasie minęły ich dwa inne wozy patrolowe. Szefowa dochodzeniówki nie miała wątpliwości, że cała zmiana, pracująca od czwartej po południu do północy, doskonale wiedziała, co się stało, i wszyscy zapewne sądzą, że to ona otworzyła bagażnik podczas jazdy, ponieważ już od dawna nie brała udziału w pościgu. Mogła przez to stracić szacunek podwładnych, którzy do tej pory podziwiali ją i cenili za profesjonalizm. Rzuciła pełne nienawiści spojrzenie swemu towarzyszowi, który właśnie znalazł kabel elektryczny i starannie go zwijał. Następnie położył go obok zapasowego koła, jedynej rzeczy, jaka nie wypadła z bagażnika, ponieważ była przymocowana do podłoża.

- Proszę posłuchać - odezwał się nagle dziennikarz, patrząc na nią w świetle ulicznej latarni. - Nie zrobiłem tego umyślnie. Co mam jeszcze powiedzieć?

Porucznik West wróciła do samochodu. Idąc za nią, Brazil zastanawiał

się, czy mogłaby odjechać bez niego, zostawiając go tutaj, aby zamordował go jakiś handlarz narkotyków lub prostytutka, która okazałaby się facetem. Być może podobnie myślała Virginia. Czekala, aż wsiądzie do wozu. Zatrzasnął drzwiczki i zapiął pasy. Skaner wciąż pracował i Andy miał nadzieję, że wkrótce znowu coś się wydarzy i będzie mógł się zrehabilitować.

- Nie miałem okazji, aby zapoznać się z pani samochodem - tłumaczył spokojnym, rzeczowym tonem. - Radiowóz Crownvic, którym jeździłem w czasie nauki w szkole policyjnej, był starszy od tego wozu i bagażnik otwierał się od zewnątrz. A poza tym nie uczono nas, jak uruchamiać syrenę...

Policjantka włączyła silnik i ruszyła.

- Wiem o tym. Nie winię cię. Nie zrobiłeś tego specjalnie. A teraz już dość - oświadczyła.

Postanowiła spróbować w innej części miasta, położonej poza Remus Road, w pobliżu psiej sadzawki. Tam nic nie powinno się dziać. Jej przypuszczenia mogłyby się sprawdzić, gdyby pewna pijana stara kobieta nie zaczęła krzyczeć na trawniku przed kościołem baptystów obok stacji autobusów Greyhound i baru Presto Grill. Virginia usłyszała wezwanie przez radio i nie miała wyboru, musiała wesprzeć patrol, który przyjął zgłoszenie. Byli z Brazilem jakieś cztery przecznice od tego miejsca.

- To nic poważnego, upewnimy się tylko, czy wszystko przebiega, jak należy - poinformowała swego towarzysza, przyśpieszając i skręcając w prawo, w Lancaster Street.

Jednopiętrowy kościół z żółtej cegły miał w oknach kolorowe witraże, był rzęście oświetlony, ale najwyraźniej nikt nie interesował się tym, co działo się na zewnątrz. Na zaniedbanym trawniku, obok tablicy z napisem „Jezus woła” wałały się puszki po piwie. Kobieta krzyczała histerycznie, usiłując wyrwać się dwóm umundurowanym policjantom. Andy i Virginia wysiedli z samochodu i podeszli w stronę szamoczącej się grupki. Kiedy patrolowi zobaczyli szefową dochodzeniówki, zaniemówili ze zdziwienia i

najwyraźniej się zdenerwowali.

- Co się dzieje? - zapytała, zrównując się z nimi.

Krzycząca kobieta nie miała zębów i Andy nie mógł zrozumieć ani słowa z tego, co próbowała z siebie wyartykułować.

- Pijana, zakłóca porządek publiczny - zameldował gliniarz, na którego plakietce widniało nazwisko Smith. - Mieliśmy z nią do czynienia już wcześniej.

Kobieta wyglądała na co najmniej sześćdziesiąt kilka lat. Brazil nie mógł oderwać od niej wzroku. Była pijana, szamotała się z funkcjonariuszami w jasnym świetle latarni stojącej obok kościoła, do którego zapewne nie uczęszczała. Ubrana była w wyblakły, zielony sweter i brudne dżinsy. Brzuch miała rozdęty, piersi zwisały jej jak rękawy do wskazywania kierunku wiatru w bezwietrzny dzień, ramiona oplatała pajęczyna długich, ciemnych włosów.

Matka Andy'ego też urzędowała kiedyś sceny poza domem, ale już od dawna tego nie robiła. Doskonale pamiętał pewien wieczór dawno temu, gdy po powrocie ze sklepu spożywczego Harris-Teeter wsiadł w samochód, aby jej szukać. Policja zatrzymała ją, gdy krzyczała i demolowała drewniane ogrodzenie na ulicy. Andy próbował powstrzymać matkę, uważając, by nie znaleźć się w zasięgu siekiery. Policjant z Davidson znał każdego w tym mieście i nie zamknął jej za zakłócanie porządku i pijaństwo w miejscu publicznym, chociaż miał do tego prawo. Porucznik West sprawdziła, jak policjanci skuli z tyłu ręce starej kobiety. Migają niebieskoczerwone światła radiowozów, zatrzymana jęczała głośno, także z powodu bólu. Szefowa rzuciła obu mężczyznom gniewne spojrzenie.

- Gdzie jest klucz? - zapytała. - Spięliście ją za mocno.

Smith pracował w policji od niepamiętnych czasów i przypominał Virginii steranych, niezadowolonych z życia, starych gliniarzy, którzy kończą zwykle jako prywatni ochroniarze. Wyciągnęła rękę po mały, metalowy kluczyk i otworzyła kajdanki. Gdy tylko okrutna stal puściła ręce kobiety, krzycząca natychmiast się uspokoiła. Delikatnie pocierała wyraźne, czerwone ślady na

nadgarstkach, podczas gdy Virginia upominała patrolowych.

- Nie można tego tak robić - strofowała ich. - Sprawiliście jej ból.

Poprosiła zatrzymaną o uniesienie rąk w górę, aby ją przeszukać, i wtedy pomyślała, że powinna włożyć rękawiczki. Niestety, w samochodzie ich nie miała, ponieważ nie przewidywała, że tego typu rzeczy mogą być jej jeszcze kiedyś potrzebne. Poza tym starsza kobieta została już wystarczająco poniżona. Virginia nie lubiła przeszukiwać ludzi i zawsze ją to mierziło; doskonale pamiętała, jeszcze z dawnych czasów, jak trafiała przy tej okazji na różne zaskakujące niespodzianki: fetysze w postaci ptasich łapek, ekskrementy, zużyte kondomy i erekcje. Przypomniał jej się pewien incydent, gdy jako początkująca policjantka wyciągnęła z kieszeni niejakiego Kurzego Skrzydełka oślizłą, zasmarkaną chusteczkę, a zaraz potem bandzior zdzielił ją swoim jedynym ramieniem. Stara kobieta miała przy sobie tylko czarny grzebień i klucz na sznurowadle, zawieszony na szyi.

Nazywała się Ella Joneston i zachowywała się bardzo spokojnie, gdy policjantka ponownie skuła ją kajdankami. Stała była chłodna, ale nie miała zębów, jak jeszcze przed chwilą, gdy te lotry związały ją węzami. Doskonale wiedziała, chociaż nie mogła tego zobaczyć, co oni tam obwinęli jej wokół nadgarstków. To ją gryzło i gryzło bez przerwy, jad wnikał w ciało, wywoływał konwulsje, kiedy krzyczała. Jej serce nabrzmiało, uderzało o klatkę piersiową i mogłoby pęknąć, gdyby nie pojawił się niebieski samochód z tą miłą panią.

Ella Joneston wiedziała, że jeśli serce pęka, człowiek umiera. Jej serce już kilka razy prawie pękło, poczynając od czasu, gdy miała dwanaście lat i chłopcy z bloku przewrócili ją na ziemię, zaraz po tym jak skończyła myć włosy. Robili z nią takie rzeczy, o których nigdy nie odważyła się nikomu powiedzieć, a potem wróciła do domu i próbowała się wyczyścić, zdejmowała z włosów resztki liści, a gdy nikt nie widział, wyszorowała dokładnie całe ciało. Pani policjantka była bardzo słodka, miała też do

pomocy kogoś po cywilnemu, schludnie wyglądającego chłopaka o miłej twarzy. Ella pomyślała, że to pewnie detektyw. Wzięli ją pod rękę, jakby była ubrana w coś eleganckiego i wybierała się z wizytą w wielkanocną niedzielę.

- Jak pani się tu znalazła, pijana?

Pani w mundurze wykonywała swoje obowiązki, ale to nie było przykre.

Ella nie miała pojęcia, gdzie było tu. Szła piechotą, z pewnością nie oddaliła się więc od swojego mieszkania w Earle Village, gdzie siedziała przed telewizorem, gdy wczesnym wieczorem zadzwonił telefon. Dzwoniła jej córka z tą straszną wiadomością o Efrimie, czternastoletnim wnuczku Elli, który przebywał w szpitalu. Tego ranka Efrim został kilkakrotnie postrzelony. Wszyscy uważali, że biali lekarze zrobili, co mogli, aby go uratować, ale Efrim zawsze był uparty. Wspomnienie o tym, co się stało, napełniło oczy Elli gorącymi łzami.

Opowiedziała to wszystko pani policjantce i detektywowi, gdy sadzali ją na tylnym siedzeniu radiowozu, które było oddzielone szybą od przedniej części pojazdu po to, aby mieć pewność, że zatrzymana nie może nikomu zrobić krzywdy. Ella przypomniała sobie całe krótkie życie Efrima, od momentu, gdy trzymała go w ramionach zaraz po urodzeniu. Zawsze były z nim kłopoty, zupełnie jak z jego ojcem. Efrim zaczął tańczyć, gdy miał dwa lata. Gdy był już duży, spotykał się pod latarniami z tymi innymi chłopakami, którzy mieli pieniądze.

- Zapnę pani pasy - powiedział jasnowłosy detektyw, pochylając się nad nią.

Pachniał jabłkami i przyprawami.

Od zatrzymanej bił smród dawno niemytego ciała i przetrawionego alkoholu, co przywołało kolejne wspomnienia Brazila. Ręce drżały mu lekko. Nie rozumiał nic z tego, co mamrotała pod nosem, na co się użalała i o czym biadoliła. Każdy jej oddech śmierdział. Virginia nie pomagała mu, stała z tyłu i patrzyła, czekając, aż dziennikarz skończy swoją brudną robotę. Jego palce

dotknęły szyi starej kobiety i zdziwił się, że była taka delikatna i ciepła.

- Wszystko będzie dobrze - powtarzał cały czas, co wcale nie musiało być prawdą.

Virginia nie była pierwszą naiwną. Wiedziała, że z patrolami zawsze są problemy. Jakże mogło być inaczej, skoro szefową tego oddziału była Goode, druga zastępczyni komendantki? To, że gliniarze okazali się zbyt brutalni lub po prostu nieprofesjonalni, wcale jej nie zaskoczyło, chociaż nie mogła przejść nad tym do porządku. Podeszła do patrolowych, obu starych i żalonych w swojej pracy. Spojrzała Smithowi w twarz i przypomniała sobie czasy, gdy była sierżantem i często stykała się z takimi martwymi kłodami jak ten facet. Miała świadomość, że znajdował się tak nisko w łańcuchu pokarmowym, że nie mogłaby nakarmić nim nawet świń.

- Uważaj, żebym już nigdy więcej tego nie widziała ani nie usłyszała o czymś podobnym - powiedziała takim tonem, że Brazilowi przebiegły ciarki po plecach.

Stała wystarczająco blisko policjanta, aby dostrzec kilkudniowy zarost, wyglądający jak piasek, i popękane naczynka krwionośne, wskazujące na to, czym zajmował się Smith, gdy nie jeździł radiowozem. Jego oczy patrzyły na nią bez życia.

- Jesteśmy po to, aby pomagać, a nie sprawiać ból - dodała szeptem. - Rozumiesz? To dotyczy także ciebie - zwróciła się do jego partnera.

Żaden z gliniarzy nie miał pojęcia, kim jest chłopak jeżdżący z zastępczynią komendantki. Wsiedli do radiowozu z emblematem gniazda szerszeni na drzwiach i przyglądali się, jak granatowa crown victoria rusza w dalszą drogę. Zatrzymana pochrapywała cichutko na tylnym siedzeniu.

- Może panna Virginia znalazła sobie wreszcie narzeczonego - stwierdził Smith, odpakowując gumę do żucia.

- Tak - pokiwał głową drugi gliniarz - kiedy znudzi ją już zabawa w

przedszkole, pokażę jej, co potrafią stare psy.

Obaj zarechotali, ruszając z miejsca. Chwilę później skaner podał kolejną złą wiadomość.

- Numer tysiąc trzysta na Beatties Ford Road - usłyszeli. - Zgłoszenie porwania ambulansu, napastnik z nożem.

- Całe szczęście, że jesteśmy zajęci - powiedział Smith, przeżuując gumę.

Virginia miała pecha, że Jerome Swan nie bawił się zbyt dobrze tego wieczora. Zaczęło się o szarej godzinie tuż przed zachodem słońca, w zaniedbanej części miasta. Nie wiedziała, że w pobliżu znajdowała się pijacka speluna zwana Miednicą, zaraz za Tryon Street, niedaleko psiej sadzawki, dokąd właśnie zmierzała. Ale kiedy nadeszło zgłoszenie, nie miała wyjścia. Dwa oznakowane radiowozy już tam były, a zaraz po nich nadjechał kapitan Jennings ze swoim pasażerem, radnym miejskim, niejakim Hugh Bledsoe'em.

- Cholera! - zaklęła, gdy znaleźli się już na miejscu. - Ja to chrzanię. - Zaparkowała samochód w wąskiej, ciemnej uliczce. - Widzisz tego wysokiego faceta, który właśnie wysiada z wozu, tego w garniturze? Wiesz, kto to?

Brazil chwycił za klamkę, a potem zatrzymał się na chwilę.

- Dobrze wiem, kto to - odpowiedział. - Wielka Odleżyna.

Spojrzała na niego zaskoczona. To prawda, że gliniarze nadawali przezwiska radnym, ale nie spodziewała się, że chłopak może je znać.

- Nigdzie się nie pokazuj - ostrzegła go, otwierając drzwi. - Nie włącz nikomu w drogę. - Wsiadła. - I niczego nie dotykaj.

Silnik ambulansu pracował, pojazd, z szeroko otwartymi tylnymi drzwiami, tkwił na środku ulicy, ze środka padało na jezdnię światło i mieszało się z czerwone niebieskimi błyskami lamp z policyjnych radiowozów. Kilku mężczyzn stało na tyłach karetki, zastanawiając się nad

dalszymi działaniami. Virginia także ruszyła do tylnych drzwi, aby zorientować się w sytuacji. Brazil szedł tuż za nią, żałując, że nie idzie pierwszy. Swan ukrył się w głębi pojazdu, trzymając w dłoni chirurgiczne nożyce. Gdy w polu widzenia pojawiła się policjantka w białej bluzce, jego przekrwione gałki oczne zabłyśły furją.

Miał zmierzwione włosy, krwawił w wyniku ran odniesionych w walce, jaką stoczył w knajpie, gdzie oddawał się hazardowi i popijał Night Train Express wzmocniony winem. Gdy wsadzono go do karetki, poczuł nagle, co mu się czasami zdarzało, że nie ma najmniejszej ochoty nigdzie jechać. W takich sytuacjach Swan najpierw rozglądał się wokół siebie. Tym razem schwycił najbliższy niebezpieczny przedmiot i wrzasnął do sanitariuszy, że ma AIDS i zrani każdego, kto się do niego zbliży. Sanitariusz wyskoczyli z karetki i wezwali policję, samych facetów oprócz tej jednej z dużymi cyckami, która patrzyła na niego, jakby mogła coś zrobić.

Virginia szybko oceniła sytuację. Napastnik trzymał rękę na klamce bocznych drzwi i była to jedyna droga, aby ktoś z zewnątrz mógł dostać się do środka. Plan był prosty. Podeszła do grupki policjantów, którzy wciąż stali przy tylnym kole samochodu.

- Odwróć jego uwagę - powiedziała, a Bledsoe nie spuszczał z niej wzroku, jakby nigdy w życiu nie widział kobiety w mundurze. - W momencie gdy puści klamkę, złapiecie go, chłopcy. - Upewniła się, że ją rozumieją.

Podeszła bliżej do otwartych tylnych drzwi ambulansu i nagle skrzywiła się, machając ręką przed oczami.

- Kto używał gazu pieprzowego? - zawołała.

- Nawet to go nie powstrzymało - odpowiedział jej jeden z gliniarzy.

Chwilę później Andy zobaczył, jak policjantka wchodzi do ambulansu i chwyta aluminiowe nosze, których użyła jak tarczy. Zrobiła to bez wysiłku, lekko poruszając biodrami. Powiedziała coś, co Swanowi zdecydowanie się nie podobało. Wpatrywał się w nią z nienawiścią, żyły na jego karku

pulsowały, przez twarz przebiegł mu skurcz. Atakował ją wzrokiem i słowami. Virginia była już w połowie drogi, gdy rzucił się gwałtownym ruchem do przodu. W tej samej niemal chwili został wyciągnięty na zewnątrz z taką siłą, jakby otworzył drzwi w lecącym samolocie. Brazil podszedł bliżej i zobaczył, że przestępca leży już na ulicy twarzą do ziemi, skuty kajdankami. Radny Bledsoe przyglądał się całej akcji, trzymając ręce w kieszeniach. Przez chwilę obserwował policjantkę, która szybkim krokiem zmierzała do swojego samochodu, a potem jego wzrok spoczął na Brazilu.

- Podejdź tutaj - zwrócił się do niego.

Andy rzucił szybkie spojrzenie w stronę porucznik West przekonany, że policjantka może go zostawić na tej ciemnej, nieprzyjaznej ulicy. Pamiętał, że zakazała mu z kimkolwiek rozmawiać.

- Jesteś tym dziennikarzem przydzielonym do patroli - stwierdził Bledsoe, gdy Brazil się zbliżył.

- Nie wiem, czy jestem tym przydzielonym do patroli - odpowiedział.

Starał się być skromnym, ale radny zrozumiał to inaczej. Uznał, że szczeniak jest przemądrzały.

- Domyślam się, że ta Supermenka dała ci już niezłą szkołę, co?

Radny wskazał ruchem głowy w kierunku policjantki, która wsiadała już do samochodu. Andy zaczął się denerwować.

- Muszę iść - powiedział.

Bledsoe miał kozią bródkę i używał dużo żelu. Był pastorem w kościele baptystów na Jeremiah Avenue. Pulsujące światła policyjnych radiowozów odbijały się w jego okularach, gdy patrzył na Brazila i wycierał kark chusteczką.

- Pozwól, że coś ci powiem - zwrócił się doń z obłudną miną. - My w Charlotte nie potrzebujemy tu ludzi niewrażliwych na problemy bliźnich, biedę i przestępstwa. Nawet tamten facet nie zasługiwał na to, aby z niego szydzić.

Swana prowadzono już do radiowozu, szedł, lekko się zataczając. Jeszcze

niedawno zajmował się w knajpie swoimi sprawami, a teraz zgarnęły go gliny. Bledsoe wyciągnął rękę, wskazując na miasto wznoszące się dumnie na tle ciemnego nieba i jarzące się jak królestwo.

- Czemu nie piszesz o tym? - zapytał, jakby chciał skłonić Brazila do robienia notatek, co też uczynił. - Przyjrzyj się rzeczom pozytywnym, naszym dokonaniom. Spójrz, jak się rozwijamy. To najprzyjemniejsze miasto w całym kraju, trzecie co do wielkości centrum bankowe, bogate w sztukę. Ludzie czekają w kolejce, aby tu zamieszkać. Ale nie. O, nie! - Klepnął Brazila po ramieniu. - Obudzę się rano i przeczytam w gazecie o kolejnej smutnej historii. Ambulans opanowany przez mężczyznę z nożem. Gazety podsycają tylko strach w sercach obywateli.

Porucznik West ruszyła i Brazil rzucił się biegiem w stronę samochodu, jakby obawiał się spóźnić na szkolny autobus. Bledsoe był zaskoczony i wściekły, że nie skończył swojego wywodu. Virginia wiedziała, że radny nie pojawił się tutaj przypadkiem, tylko akurat wtedy, gdy jeździła z Andym Brazilem, tym eksperymentem zarządu miasta. Bledsoe chciał zapewne wpłynąć na treść artykułu, aby zrobić wrażenie na wyborcach, że niby jest taki oddany swojej pracy i dba o bezpieczeństwo obywateli. „RADNY ZNAJDUJE CZAS, ABY JEŹDZIĆ Z POLICJĄ!” - już widziała te nagłówki w gazetach. Otworzyła schowek i zaczęła szukać w nim paczki dropsów.

Zatrzymała się, aby Brazil mógł wsiąść. Nawet nie miał zadyszki, chociaż biegł dobre pięćdziesiąt metrów. To, o czym przed chwilą myślała, tak ją zdenerwowało, że miała ochotę zapalić.

- Mówiłam ci, żebyś z nikim nie rozmawiał - upomniała go, zaciągając się papierosem.

- Co miałem robić? - obruszył się lekko. - Pani sobie poszła, nie oglądając się na mnie, a on po prostu stanął mi na drodze.

Mijali zniszczone domy, z których większość była podstemplowana i nikt w nich nie mieszkał. Brazil przyglądał się policjantce, zastanawiając się nad określeniem, jakiego użył w stosunku do niej Bledsoe.

- Zrobili błąd, awansując panią - powiedział. - To było naprawdę coś, ta pani akcja.

Tym razem Virginia zgodziła się z nim. Egzamin na sierżanta to był pierwszy krok w kierunku papierkowej roboty i politycznej poprawności. Gdyby Judy Hammer nie przyjechała do miasta, Virginia z pewnością już dawno poszukałaby innej roboty.

- Proszę mi powiedzieć - odezwał się Brazil.

- Co mam ci powiedzieć? - zapytała, wydmuchując dym z papierosa.

- Co mu pani powiedziała?

- Komu?

- Pani wie, temu facetowi w ambulansie.

- Nie mogę ci tego powtórzyć.

- Ależ powiedziała pani coś, co go naprawdę wkurzyło - nalegał dziennikarz.

- Nic z tego. - Strząsnęła popiół za okno.

- No, proszę. Co?

- Nic mu nie powiedziałam.

- Przecież powiedziała pani.

- Nazwałam go pizdą - przyznała się wreszcie. - Ale nie wolno ci tego napisać.

- Ma pani rację - zgodził się Brazil.

ROZDZIAŁ 4

Rozjarzone centrum miasta oświetlało miejsce przerażającej zbrodni. Było kilka minut po dziesiątej wieczorem. Policja pracowała w napięciu i szybko, pulsujące reflektory radiowozów rozjaśniały parking na tyłach niezamieszkanego budynku, a także porośnięty chwastami teren, gdzie znaleziono opuszczony samochód, czarnego, wynajętego lincolna. Drzwi od strony kierowcy były otwarte, światło włączone, wewnętrzny alarm ostrzegał, niestety za późno. Detektyw Brewster został wezwany z domu i stał obok lincolna, rozmawiając przez telefon komórkowy. Miał na sobie dżinsy i starą koszulę, do paska przypięte były policyjna odznaka, Smith & Wesson, czterdziestka oraz dodatkowy magazynek.

- Wygląda na to, że mamy kolejny przypadek - relacjonował swojej szefowej.

- Co z dziesięć-czternaście? - W telefonie rozległ się głos porucznik West.

- Dziesięć-czternaście czysty. - Brewster się rozejrzał. - Ale nie na długo. A co z dziesięć-dwanaście?

- Dilworth. Jedziemy na czterdzieści-dziewięć. E.O.T. Dziesięć-piętnaście.

Brazil uczył się w szkole, jak używać policyjnego radia, i rozumiał kody oraz to, dlaczego Brewster i Virginia West ich używali. Czasami przekazywano sobie bardzo złe wiadomości i policjanci nie chcieli, aby ktokolwiek inny, na przykład jakiś dziennikarz, dowiedział się, o czym rozmawiano. Teraz Brewster powiadomił szefową dochodzeniówki, że na miejscu zbrodni nie ma jeszcze niepożądanych gapiów ale ta sytuacja długo

się nie utrzyma. Virginia jechała już do niego i powiedziała, że będzie tam mniej więcej za piętnaście minut.

Teraz sięgnęła po swój telefon komórkowy, który ładował się tam, gdzie znajduje się na desce rozdzielczej zapalniczka do papierosów. Pędziła na pełnym gazie, jednocześnie wystukując numer Judy Hammer. Jej rozmowa z szefową była bardzo krótka.

Potem rzuciła Brazilowi groźne spojrzenie.

- Rób, co ci każe - powiedziała. - To poważna sprawa.

Gdy dojechali na miejsce przestępstwa, byli tam już dziennikarze i wszyscy, podobnie jak Brazil, mieli nadzieję dostać się jak najbliżej miejsca przerażającej zbrodni. Webb trzymał mikrofon i mówił do kamery, a jego twarz przyjemniczka wyrażała bezbrzeżny smutek.

- Ofiara nie została jeszcze zidentyfikowana. Podobnie jak trzy poprzednie zastrzelone w pobliżu tego miejsca jechała wynajętym samochodem. - Reporter nagrywał informację do wiadomości o jedenastej wieczorem.

Porucznik West i Brazil spokojnie, ale zdecydowanie torowali sobie drogę. Omijali wycelowane w ich twarze mikrofony i kamery rejestrujące, jak przeciskali się przez tłum. Zewsząd spadał na nich grad pytań. Andy był przerażony. Prawdę powiedziawszy, czuł się skrępowany i zażenowany, mimo że nie rozumiał, dlaczego.

- Teraz widzisz, jak to jest - szepnęła do niego Virginia West.

Jaskrawożółta taśma policyjna ograniczała teren od pobliskich drzew do ulicznej latarni. Duże, drukowane, czarne litery ostrzegały: UWAGA, MIEJSCE PRZESTĘPSTWA. NIE WCHODZIĆ. Taśma odgradzała dziennikarzy i ciekawskich od lincolna i bezsensownej śmierci. Wewnątrz stał ambulans z włączonym silnikiem, wszędzie kręcili się gliniarze i detektywi z latarkami. Nagrywano materiał wideo do policyjnej dokumentacji, błyskały flesze, a technicy z wydziału kryminalnego przygotowywali samochód, aby go odholować na komendę, gdzie

przeprowadzone zostaną szczegółowe oględziny.

Andy był tak zajęty obserwowaniem tego, co działo się wokół, i rozważaniem, jak blisko pozwoli mu podejść, że nie zauważył pani komendant Hammer i wpadł wprost na nią.

- Przepraszam - wymamrotał do nobliwej kobiety w mundurze.

Była zdenerwowana i natychmiast zaczęła rozmawiać z porucznik West. Brazil zwrócił uwagę na jej ładną twarz o stanowczych rysach, otoczoną krótkimi, siwiejącymi włosami, i niewysoką, filigranową postać. Nigdy przedtem nie spotkał osobiście komendant Hammer, ale momentalnie ją rozpoznał, znał jej twarz z telewizji i zdjęć w gazetach. Przejęty, nie spuszczał z niej wzroku. Przecież mógł ją porządnie potrącić! Porucznik West odwróciła się i wydała mu komendę, jakby był psem.

- Zostań! - rzuciła.

Nie oczekiwał niczego więcej, chociaż wcale mu się to nie podobało. Zaczął nawet protestować, ale nikt nie zwracał na niego uwagi. Obie policjantki zanurkowały pod taśmą, a stojący obok gliniarz rzucił Brazilowi groźne spojrzenie, aby nie przyszło mu nawet do głowy iść w ich ślady. Andy patrzył, jak obie zatrzymały się, aby obejrzeć coś na zniszczonych płytach chodnika. W świetle latarki załśniły krwawe ślady po ciągnięciu ciała i Virginia, patrząc na niewielką, mazistą kałużę, dosłownie kilka centymetrów od otwartych drzwi samochodu, natychmiast wydedukowała, co się tu stało.

- Tam został zastrzelony - zwróciła się do szefowej. - I upadł. - Wskazała dłonią kałużę krwi. - To ślady po uderzeniu głową. Ciągnięto go za nogi.

Krew zaczynała już krzepnąć. Judy Hammer czuła ciepło pulsujących lamp policyjnych, czuła noc i narastający horror. Czuła też śmierć. Nauczyła się ją rozpoznawać od pierwszego roku pracy w policji. Krew szybko się psuje, jest w stanie ciekłym na brzegach, a gęstnieje w środku, i jej zapach wydaje się dziwnie słodki, a jednocześnie zgniły. Ślad prowadził w kierunku gąszczu dzikich winorośli i sosen, otoczonych chwastami.

Ofiarą był mężczyzna w średnim wieku, ubrany w garnitur koloru khaki,

zmięty po podróży. Głowę miał rozwaloną strzałami z pistoletu. Spodnie i bokserki ściągnięto mu aż do pulchnych kolan, na genitaliach widniała znajoma klepsydra, wymalowana jaskrawopomarańczową farbą, plamy krwi oblepiały liście i fragmenty roślin.

Doktor Wayne Odom już ponad dwadzieścia lat pracował jako lekarz sądowy w rejonie Charlotte-Mecklenburg. Zauważył, że ślady sprayu widoczne były też w miejscu, gdzie znaleziono ciało, ponieważ wiatr poniósł kropelki farby na leżące w pobliżu liście topoli. Lekarz zmienił film w aparacie. Na rękach miał rękawiczki poplamione krwią. Był niemal pewien, że ma do czynienia z seryjnym morderstwem na tle seksualnym. Pełnił obowiązki diakona w kościele baptystów Northside i wierzył, że rozgniewany Bóg karze Amerykę za jej perwersje.

- Cholera! - rzuciła pod nosem Judy Hammer, gdy ekipa techniczna zbierała ślady z miejsca zbrodni.

- I co my tu mamy? Sto metrów od miejsca ostatniej zbrodni? Moi ludzie byli wszędzie w okolicy. Nikt nic nie widział. Jak to się mogło stać? - Virginia dała upust rozdrażnieniu i narastającemu lękowi.

- Nie jesteśmy przecież w stanie strzec każdej ulicy w tym mieście przez każdą sekundę doby - odpowiedziała z wściekłością jej szefowa.

Brazil obserwował z daleka, jak detektyw przeglądał portfel ofiary. Czekając niecierpliwie przy samochodzie porucznik West i robiąc notatki, domyślał się tylko, co widziały policjantki. Zdając egzaminy pisemne, nauczył się jednego: nawet jeśli nie miał dość informacji, zawsze mógł stworzyć odpowiedni nastrój. Przyjrzał się dokładnie tyłom opuszczonego budynku z cegły, który mógł być kiedyś magazynem. Wszystkie szyby w oknach dawno zostały powybijane i wyzierała z nich pełna grozy czarna pustka. Przeżarte rdzą schody przeciwpożarowe były do połowy zwalone.

Pulsujące światła policyjnych radiowozów docierały do gęstych zarośli,

gdzie wszyscy się zgromadzili, i potęgowały jeszcze niesamowity nastrój. Wokół wynajętego samochodu, w którym wciąż słychać było elektroniczny alarm, latały chmary świateł. Z oddali docierały do Andy'ego odgłosy ulicznego ruchu. Na miejscu zbrodni pojawili się już sanitariusze w kombinezonach, niosąc nosze i złożony, czarny worek na ciało. Postawili nosze na nóżkach, a Judy Hammer odwróciła się, słysząc odgłos szczęknięcia metalu. Virginia West i Brewster przeglądali prawo jazdy ofiary. Nikt nie kwapił się, aby udzielić Brazilowi jakiegokolwiek informacji.

- Carl Parsons - przeczytał Brewster na karcie prawa jazdy. - Spartanburg, Karolina Południowa. Czterdzieści jeden lat. Brak gotówki, a także biżuterii, jeśli taką posiadał.

- Gdzie się zatrzymał? - zapytała komendantka.

- Wygląda na to, że mamy tu potwierdzenie rezerwacji z hotelu Hyatt, niedaleko Southpark.

Virginia ukucnęła, aby przyjrzeć się sytuacji pod innym kątem. Parsons leżał częściowo na plecach, a częściowo na boku, na kupie zakrwawionych liści. Oczy miał sennie przymknięte, martwe spojrzenie. Doktor Odom dopuścił się jeszcze jednej poniżającej czynności, wkładając długi termometr w odbyty ofiary, aby zmierzyć wewnętrzną temperaturę ciała. Za każdym razem, gdy lekarz sądowy dotykał ciała, z ran postrzałowych w głowie wypływało trochę krwi. Virginia wiedziała, że kimkolwiek był zabójca, nie zamierzał na tym poprzestać.

Brazil także nie zamierzał zrezygnować, niezależnie od tego, jak bardzo utrudniała mu pracę szefowa dochodzeniówki. Zrobił wszystko, aby oddać szczegóły obserwowanej sceny i jej nastrój, a teraz był gotowy wyruszyć na polowanie. Już wcześniej jego uwagę zwrócił nowy jasnoniebieski mustang, zaparkowany obok nieoznakowanego wozu policyjnego, w którym na przednim fotelu siedział jakiś nastolatek, rozmawiający z detektywem. Brazil pamiętał tego funkcjonariusza, który udawał handlarza narkotyków. Robił

dalsze notatki, podczas gdy małolat tkwił w wozie detektywa, a pielęgniarze wkładali ciało do plastikowego worka. Dziennikarze, a zwłaszcza Webb, starali się za wszelką cenę zarejestrować coś na wideo, zrobić pomiary i sfotografować zabitego mężczyznę, niesionego jak wielki, czarny kokon. Tylko Brazil zwrócił uwagę, że nastolatek wysiadł z samochodu detektywa i bez pośpiechu wrócił do mustanga.

Kiedy Brazil ruszył w kierunku błyszczącego samochodu, krew w żyłach nastolatka zaczęła ponownie szybciej pulsować z emocji. Sympatycznie wyglądający blondyn trzymał w rękach dziennikarski notes. Jeff Deedrick przetarł wargi sztyftem do ust i uruchomił silnik, usiłując zachować spokój, mimo że dłonie jeszcze mu drżały.

- Pracuję w „The Charlotte Observer” - powiedział dziennikarz, zatrzymując się przy drzwiach od strony kierowcy. - Chciałbym ci zadać kilka pytań.

Deedrick będzie sławny. Miał siedemnaście lat, ale dawano mu dwadzieścia jeden, chyba że musiał się wylegitymować. Mógłby mieć te wszystkie dziewczyny, które, aż do tego wieczora, nie zwracały na niego najmniejszej uwagi.

- Dobra, zgadzam się - odpowiedział z ociąganiem, jakby zmęczony dotychczasowym napięciem.

Andy wsiadł do mustanga, który był zupełnie nowy i nie mógł należeć do chłopaka. Brazil wywnioskował to, patrząc na elegancki niebieski łańcuszek przy kluczykach, pasujący do koloru auta. Wiedział też, że większość nastolatków, którym nie sprzedawano jeszcze alkoholu, nie miała telefonów komórkowych, chyba że zajmowali się handlem narkotykami. Mógł iść o zakład, że ten wóz należał do matki Deedricka.

Najpierw zapisał sobie jego imię, nazwisko, adres, numer telefonu i powtórzył wszystko dokładnie, aby mieć pewność, że nie zrobił żadnego błędu.

Nauczył się sprawdzać tego typu informacje, odkąd na własnej skórze

odczuł konsekwencje takich pomyłek. W czasie pierwszego miesiąca pracy w gazecie popełnił aż trzy drobne błędy z rzędu. Dotyczyły one pozornie nieistotnych szczegółów, takich jak nazwanie kogoś „juniozem” zamiast „trzecim”. W wyniku tego zamiast nekrologu ojca ukazał się nekrolog syna. Syn miał zresztą w tym czasie problemy z urzędem podatkowym i specjalnie się tym błędem nie przejął. Osobiście zatelefonował do Brazila, prosząc, aby gazeta dała sobie spokój z przeprosinami. Ale Packer mimo wszystko nie mógł mu tego darować.

Chyba najbardziej żenującą pomyłką, o której wolał zapomnieć, Andy popełnił w notatce ze spotkania lokalnej społeczności, dotyczącego kontrowersyjnego rozporządzenia w sprawie psów i innych zwierząt domowych. Pomylił miejsce z nazwiskiem osoby i upierał się, że Latta Park to panna Park. Dlatego teraz w rozmowie z Jeffem Deedrickiem upewnił się, że wszystko zapisał poprawnie. Tu nie powinno być żadnych problemów. Brazil widział z daleka, jak sanitariusze pakują ciało ofiary do ambulansu.

- Cóż, zachciało mi się sikać, jechałem i wiedziałem, że nie wytrzymam do domu - powiedział Deedrick, trochę zdenerwowany i przejęty.

- Stałeś więc tutaj, aby skorzystać z toalety? - Brazil szybko robił notatki.

- Zatrzymałem się i zobaczyłem ten samochód z zapalonymi światłami i otwartymi drzwiami, pomyślałem więc, że ktoś jeszcze chciał się tu odlać. - Nastolatek zawahał się nieco. Zdjął czapkę baseballową i włożył ją tył na przód. - Czekałem chwilę, ale nikt się nie pojawił. Zainteresowało mnie to, podszedłem więc bliżej i wtedy go zobaczyłem! Dzięki Bogu, że miałem telefon.

Szeroko otwarte oczy Deedricka błędziły wokół niespokojnie. Na jego czole zebrały się kropelki potu, pocił się też pod pachami. Najpierw pomyślał, że facet był pijany, zdjął spodnie, aby się odlać, przewrócił się i zasnął. Ale potem zauważył pomarańczową farbę i krew. Nigdy w życiu nie miał takiego stracha! Wrócił pędem do swojego samochodu, zrzucił kurtkę i

na pełnym gazie odjechał z tego piekielnego miejsca. Po pewnym czasie zjechał na pobocze i załatwił swoją potrzebę. Potem zadzwonił pod numer 911.

- Jaka była moja pierwsza myśl? - mówił dalej Deedrick, nieco odprężony.

- Że to wszystko zły sen. To znaczy, ten sygnał cały czas dzwonił i dzwonił, ta krew, spodnie ściągnięte do kolan. I ja... No wiesz, jego jaja.

Andy spojrzał na niego. Deedrick zaczął się jękać.

- Co z nimi? - dopytywał się Brazil.

- Wyglądały tak, jakby były pomalowane pomarańczową farbą w sprayu. To miało taki kształt.

Chłopak zaczerwienił się, gdy rysował w powietrzu cyfrę osiem.

Brazil podał mu notatnik.

- Możesz to narysować? - zapytał.

Ku jego zaskoczeniu Deedrick drżącą ręką nakreślił klepsydrę.

- Jak pająk czarna wdowa - mruknął Brazil, obserwując Virginie West i Judy Hammer, które wyszły zza policyjnej taśmy, gotowe do odjazdu.

Skończył wywiad w pośpiechu, obawiając się, że Virginia go zostawi. Chciał też zadać jej i pani Hammer parę pytań. Najpierw zwrócił się do komendantki, respektując jej stanowisko.

- Czy morderca wymalował pomarańczową farbą w sprayu znak klepsydry na ciałach wszystkich ofiar? - zapytał szybko, podniecony.

Virginia milczała, co w jej przypadku było rzadkością. Stała bez ruchu, a Brazil pomyślał, że komendant Hammer była najbardziej władczą osobą, jaką kiedykolwiek spotkał. Dała znak ręką, że nie będzie żadnych komentarzy.

- Powierzam ci tę sprawę - powiedziała do swojej zastępczyni.

Pani Hammer ruszyła w stronę pogrążonego w ciemnościach miejsca, gdzie stał jej samochód. Virginia West bez słowa skierowała się do swojego forda, a kiedy Andy wsiadł do środka i zapiął pas, okazało się, że nie mają sobie nic do powiedzenia. Skaner cały czas pracował, zrobiło się już bardzo późno. Nadszedł czas, aby Brazil wrócił na parking, przesiadł się do

własnego samochodu i zniknął jej z oczu. To właśnie myślała porucznik West. Co za noc.

Gdy wracali do Centrum, dochodziła już północ, oboje byli zdenerwowani i spięci. Virginia nie mogła pogodzić się z myślą, że osobiście dowiozła młodego dziennikarza na miejsce zbrodni. Dręczyło ją to przez całą drogę. To tak, jakby przeżywała inne życie w wymiarze, nad którym nie miała kontroli, co przypomniawszy jej czasy, o których nikomu i nigdy nie opowiadała. Chodziła wtedy do ostatniej klasy małej, kościelnej szkoły w Bristolu, w stanie Tennessee. Kłopoty zaczęły się od momentu, gdy poznała Mildred.

Mildred była bardzo duża i wszystkie dziewczyny mieszkające na tym samym piętrze bały się jej. Ale nie Virginia. Dla niej Mildred była szansą, ponieważ dziewczyna pochodziła z Miami. Rodzice posłali ją do King College, aby sprowadzić rozwyrzoną córkę na właściwą drogę. Mildred znalazła kogoś w Kingsport, kto znał kogoś w Johnson City, kto załatwiał interesy z chłopakiem z Eastman Kodak, który handlował trawką. Pewnego wieczora obie zapaliły skręty na kortach tenisowych, gdzie nic nie było widać, może z wyjątkiem maleńkich, pomarańczowych punkcików, które żarzyły się i przygasały obok słupka do siatki na korcie numer dwa.

To było okropne. Virginia nigdy dotąd nie zrobiła czegoś tak okropnego. Straciła nad sobą kontrolę, brzuch trząsł jej się ze śmiechu i opowiadała jakieś dziwaczne historie, a Mildred wyznała wtedy, że od dziecka była gruba, toteż doskonale rozumie, co to znaczy być czarną i dyskryminowaną. Mildred to był ktoś. Obie przesiadywały całymi godzinami na czerwonozielonym kocu, a potem kładły się na plecach i gapiły na gwiazdy i księżyc, który wyglądał jak olbrzymia, żółta huśtawka otoczona okrągłym cieniem nadziei. Rozmawiały o tym, jak to będzie, gdy będą miały dzieci. Piły colę i jadły to, co Mildred przynosiła w swojej teczce.

Najczęściej były to różne batoniki i tym podobne rzeczy. Boże, jakże

Virginia nienawidziła wspomnień z tamtych czasów. Miała szczęście, że marihuana doprowadziła ją w końcu do paranoi. Po kilku machach przy trzecim skręcie miała ochotę uciec jak najszybciej, schować się w pokoju, zamknąć za sobą drzwi, ukryć się pod łóżkiem i wyjść dopiero w przebraniu. Mildred uznała wreszcie, że Virginia jest fizycznie atrakcyjna, ale nie był to najlepszy moment.

Virginia uważała, że kobiety są wspaniałe. Kochała się w każdej nauczycielce i trenerce, tak długo, jak długo wydawały jej się miłe. To ścierało pewne problemy. Nigdy jednak tak naprawdę nie zastanawiała się, co może wyniknąć dla niej, dla jej rodziny albo dla jej przyszłego życia z faktu, że Mildred się nią zainteresowała. Mildred zabierała się do niej tak, jak robiłby to facet. Nawet nie pytała jej o zdanie, co było dość niefortunne, ponieważ Virginia była w przebraniu, a przynajmniej tak jej się zdawało. Skręciła na parking dla gości przed budynkiem Centrum.

- Nic wolno ci tego zrobić - powiedziała do Brazila ostrzegawczym tonem.

- Czego? - zapytał spokojnie.

- Wiesz, o czym mówię. Po pierwsze, nie powinieneś rozmawiać ze świadkami - oświadczyła.

- Na tym polega praca dziennikarza - odpowiedział.

- Po drugie, o klepsydrze wie tylko morderca. Rozumiesz? Nie wolno ci pisać o tym w gazecie. Kropka.

- Skąd może być pani pewna, że tylko morderca o tym wie? - Andy zaczął tracić cierpliwość. - Skąd pani wie, że nie dowiedziałem się o tym od kogoś z zewnątrz?

- Jeśli to zrobisz, jesteś następną ofiarą morderstwa w tym mieście. - Podniosła głos, żałując, że kiedykolwiek spotkała na swojej drodze Andy'ego Brazila.

- Będiesz - poprawił ją spokojnie.

- Właśnie. - Wjechała na poziom dla policjantów. Nie miała ochoty

wysłuchiwać, jak ten zarozumialec koryguje jej gramatykę. - Jesteś martwy.

- Wydaje mi się, że pani mi grozi - zwrócił jej uwagę dziennikarz.

- Ależ skąd. To nie jest groźba - odrzekła. - To obietnica. - Zaparkowała wóz. - Znajdź sobie kogoś innego, z kim będziesz jeździł. - Ogarnęła ją dzika wściekłość. - Gdzie stoi twój samochód?

Brazil nacisnął klamkę, zastanawiając się nad morderczą odpowiedzią.

- Wie pani co? Mam panią gdzieś!.

Wysiadł i trzasnął drzwiami. Rozpłynął się w ciemności. Zdążył na czas napisać swój tekst do gazety i ruszył do domu. Po drodze kupił dwie półlitrowe puszki piwa Miller Lite i popijał je, prowadząc wóz z dużą prędkością. Brazil miał niebezpieczne skłonności do szybkiej jazdy. Ponieważ prędkościomierz w jego samochodzie był zepsuty, mógł tylko zgadywać, jak szybko jechał. Czuł, że prawie unosił się w powietrzu, co wskazywało na to, że pędził jakieś sto sześćdziesiąt na godzinę i nie było to po raz pierwszy. Czasami zastanawiał się, czy przypadkiem nie próbuje się zabić.

W domu sprawdził, co z matką. Leżała pijana na łóżku, chrapiąc przez otwarte usta. Andy oparł się w ciemności o ścianę. Był załamany i rozdrażniony. Myślał o porucznik West i zastanawiał się, czemu ta kobieta nie ma serca.

Virginia wróciła do swojego niewielkiego domu i rzuciła klucze na kuchenny blat. Natychmiast pojawił się Niles, jej abisyński kot. Chodził za nią krok w krok, zupełnie jak Brazil przez cały wieczór. Włączyła muzykę i głos Eltona Johna przypomniał jej, że jest noc. Zmieniła płytę na Roya Orbisona. Weszła do kuchni, otworzyła puszkę piwa i nie wiedzieć czemu nagle ogarnął ją rzewny nastrój. Wróciła do saloniku i włączyła telewizor, aby wysłuchać nocnych wiadomości. Cały materiał informacyjny poświęcony był ostatniemu morderstwu. Virginia usiadła ciężko na kanapie, a kot natychmiast ułożył się obok. Kochał swoją panią i czekał, aż się nim

zainteresuje po wysłuchaniu fatalnych informacji o kolejnym przerażającym mordzie w mieście.

- Należy sądzić, że kolejny biznesmen, który przyjechał do naszego miasta, znalazł się po prostu w złym czasie w złym miejscu - mówił do kamery Webb.

West czuła się wyczerpana, bez sił i jednocześnie zde gustowana. Poza tym była zła na Nilesa. Gdy nie było jej w domu, wdrapał się na regał z książkami. Mogła się tego spodziewać. Cóż to dla niego za problem? Pokonał trzy półki, zwałił podpórki na książki i wazonik. A fotografia w ramce, przedstawiająca jej ojca na farmie? Czemu Niles miałby na nią uważać? To tylko kot. West nienawidziła go. Nienawidziła wszystkich.

- Chodź tutaj, maleńki - powiedziała.

Niles przeciągnął się, aż zatrzeszczały mu żebra; wiedział, jak bardzo to lubiła. Za każdym razem skutkowało. Niles nie był głupi. Odwrócił się i spokojnie zaczął wylizywać tylną łapkę. Kiedy ponownie spojrzał na swoją panią, oczy miał słodkobłękitne, lekko zmrużone. Ludziom bardzo się to podoba i jego właścicielce też, co z łatwością mógł przewidzieć. Przywołała go do siebie i zaczęła głaskać. Niles był szczęśliwy.

Ale nie Virginia. Następnego dnia, gdy tylko pojawiła się w pracy, Judy Hammer już czekała na nią w swoim gabinecie i wyglądało na to, że ów fakt dostrzegł cały personel. Virginia rzuciła swoje śniadaniowe tosty, nie otwierając nawet torebki. Zostawiła też resztę rzeczy i od razu poszła do szefowej. Niemal wbiegła do sekretariatu i miała wielką ochotę pokazać Horgessowi figę. Był taki zadowolony, widząc jej wściekłość, gdy została wezwana do komendantki w natychmiastowym trybie.

- Pozwól, że do niej zadzwonię - zaproponował kapitan.

- Pozwalam.

Virginia nie ukrywała, że czuła się bardzo pewnie.

Horgess był młody i golił głowę. Dlaczego? Już wkrótce zatęskni zapewne za włosami. Będzie o nich marzył. Będzie oglądał filmy, gdzie grają

aktorzy z włosami.

- Chce cię widzieć natychmiast - zwrócił się do Virginii, odkładając słuchawkę.

- Byłam tego pewna. - Uśmiechnęła się do niego sarkastycznie.

- Na litość boską, Virginio - odezwała się na powitanie Judy Hammer, gdy jej podwładna pojawiła się w drzwiach.

Komendantka trzymała w dłoni poranną gazetę i chodziła po gabinecie, potrząsając nią ze złością. Judy rzadko nosiła spodnie. Tego dnia jednak miała na sobie granatowy spodniem, bluzkę w czerwono-białe paski, a na nogach czarne pantofle z miękkiej skóry. West przyznała w duchu, że jej szefowa wyglądała oszałamiająco. Judy Hammer mogła pokazywać lub zasłaniać nogi i nie było wątpliwości co do jej płci.

- Wiesz, co tu jest napisane? - mówiła dalej komendantka. - Czterech biznesmenów w cztery tygodnie. Kradzieże samochodów, podczas których zabójca zmienia zdanie i zostawia auta? Napady rabunkowe? Tajemniczy symbol klepsydry malowany sprayem na przyrodzeniu ofiar? Nazwiska, zawody. Wszystko tu jest, brakuje tylko cholernych fotografii z miejsca zbrodni, aby cały świat mógł to zobaczyć!

Nagłówek był olbrzymi: „Morderca Czarna Wdowa ma już czwartą ofiarę”.

- Co z tym zrobić? - zapytała Virginia.

- Pilnuj, aby nie narobił sobie i nam kłopotów.

- Nie jestem niańką.

- Biznesmen z Orlando, handlowiec z Atlanty, bankier z Karoliny Południowej, pastor baptystów z Tennessee. Witamy w naszym pięknym mieście! - Judy rzuciła gazetę na fotel. - Co mamy robić?

- To nie ja wymyśliłam, żeby z nami jeździł - przypomniała jej podwładna.

- Co się stało, to się nie odstanie. - Komendantka usiadła za biurkiem. Podniosła słuchawkę i wybrała jakiś numer. - Nie możemy się go pozbyć.

Masz jakiś pomysł, jak to zorganizować? Biorąc pod uwagę to, co zaszło? - Jej oczy zaszklily się, gdy usłyszała w słuchawce głos sekretarki burmistrza. - Posłuchaj, Ruth, muszę z nim natychmiast rozmawiać. Nie interesuje mnie, co teraz robi. - Zaczęła stukać paznokciami po blacie biurka.

Gdy Virginia West opuszczała gabinet szefowej, miała jeszcze gorszy humor niż rano. To niesprawiedliwe. Życie jest wystarczająco ciężkie. West pomyślała o swej przełożonej. Co właściwie o niej wiedziała, poza tym, że przyjechała do Charlotte z Chicago, wielkiego miasta, gdzie ludziom przez pół roku marzną tyłki, a mafia ma konszachty z lokalną władzą. Judy Hammer przyjechała tutaj, ciągnąc ze sobą męża, który był gospodynią domową.

Brazil także nie był zadowolony ze swojej sytuacji. Tego ranka zadał sobie pokutę, ciężko wbiegając po stopniach stadionu, gdzie drużyna Wildcats z Davidson przegrywała każdy mecz w football, a nawet, jak się wydawało, te, w których nie brała udziału. Andy z determinacją wspinał się pod górę, nie dbając o to, czy dostanie ataku serca i czy jutro będzie go coś bolało. Zastępczyni komendantki okazała się żalonym kowbojem i osobą pozbawioną wszelkiej wrażliwości, a Judy Hammer też wcale nie jest taka, jaką ją sobie wyobrażał. Tej nocy mogła przecież się do niego uśmiechnąć lub przynajmniej przychylnie na niego spojrzeć, aby poczuł się kimś mile widzianym. Andy zawrócił i zaczął zbiegać po schodach, zostawiając na betonie krople potu.

Pani Hammer miała ochotę odłożyć słuchawkę. Irytowało ją, gdy do rozwiązywania istotnych problemów zabierali się ludzie bez wyobraźni.

- O ile rozumiem, lekarz sądowy uważa, że te morderstwa mają podłoże homoseksualne - mówił burmistrz.

- To tylko jedna z opinii - odparła komendantka. - Chodzi o to, że nie wiemy nic na pewno. Wszyscy zamordowani mieli żony i dzieci.

- Właśnie - zauważył burmistrz znaczącym tonem.

- Na Boga, Chuck, nie denerwuj mnie z samego rana. - Wyjrzała przez okno. Z miejsca, gdzie siedziała, niemal widziała biuro tego palanta.

- Chodzi o to, że taka teoria może być pomocna - kontynuował burmistrz. Mówił z akcentem z Karoliny Południowej.

Burmistrz Charles Search pochodził z Charlestonu. Był w wieku Judy Hammer i często się zastanawiał, jaka jest w łóżku. Może właśnie to przypomniałoby jej o rzeczach, o których zdawała się nie pamiętać. Na przykład o tym, gdzie jej miejsce. Gdyby nie to, że miała męża, mógłby przysiąc, że jest lesbijką. Siedział w swoim skórzanym fotelu ze słuchawkami na uszach i rysował coś na kartce z notesu.

- Wtedy Charlotte i biznesmeni spoza miasta nie będą się tym tak przejmować... - zaczął.

- Gdzie jesteś, bo mam ochotę skrócić ci kark - przerwała mu. - Kiedy przechodziłeś lobotomię? Może powinnam ci wysłać kwiaty?

- Judy! - Rysunki były naprawdę interesujące. Włożył okulary i zaczął im się lepiej przyglądać. - Uspokój się, dobrze wiem, co robię.

- Z pewnością nie wiesz.

Może i była lesbijką lub miała skłonności biseksualne, a z pewnością przykry akcent ze Środkowego Zachodu. Zafascynowany własną twórczością, sięgnął po czerwony długopis. To był atom z orbitami składającymi się z maleńkich molekuł, które dziwnie przypominały jaja. Narodziny. Nasienie.

Aby jeszcze bardziej pogłębić się tego ranka, Virginia pojechała do prosektorium. Jej zdaniem w Karolinie Północnej źle rozwiązano kwestie dotyczące medycyny sądowej. Niektórymi przypadkami zajmowano się na miejscu, zlecając badania doktorowi Odomowi i policyjnym laboratoriom sądowym. Czasami zaś przesyłano ciała do głównego lekarza sądowego w Chapel Hill. Nikt nie wiedział, jaka jest zasada selekcji. Pewnie znowu

chodziło o sport. Fani drużyny Hornets zostawali w Charlotte, ci, którzy kibicowali Tarheels, otrzymywali wspaniałe cięcie w kształcie litery Y w dużym mieście uniwersyteckim.

Biuro lekarza sądowego hrabstwa Mecklenburg znajdowało się przy North College Street, na wprost nowej biblioteki publicznej. Strażnik zatrzymał „Wirginię przy oszklonych drzwiach wejściowych. Musiała pokazać przepustkę. Budynek, w którym kiedyś mieściło się centrum ogrodnicze Searsa, był jaśniejszy i bardziej nowoczesny niż większość kostnic. Kiedy niedawno w pobliżu rozbił się samolot amerykańskich linii lotniczych, zorganizowano w kostnicy nową chłodnię. To wstyd, że władze Karoliny Północnej nie zabiegały o zatrudnienie jeszcze kilku lekarzy sądowych dla „wspaniałego hrabstwa Mecklenburgii”, jak niektórzy zgorzkniali senatorowie zwykli byli czasami nazywać ten najszybciej rozwijający się i aktywny region stanu.

Pracowało tu tylko dwóch anatomopatologów, którzy rocznie musieli się zajmować ponad setką zabójstw. Kiedy przyjechała Virginia, obaj byli w sali do przeprowadzania sekcji zwłok. Martwy biznesmen nie wyglądał lepiej niż wtedy, gdy doktor Odom badał go po raz pierwszy. Brewster stał przy stole, ubrany w jednorazowy plastikowy fartuch i rękawiczki. Kiwnął do niej głową na przywitanie, Virginia także włożyła fartuch, nie chcąc ryzykować. Ubrudzony krwią doktor Odom trzymał w ręku skalpel niczym ołówek i badał tkankę na plecach ofiary. Ciało pacjenta było dość tłuste i wyglądało znacznie gorzej po wywróceniu na drugą stronę.

Pomocnikiem w kostnicy był potężny mężczyzna, który mocno się pociał. Podłączył do przedłużacza piłę do autopsji i zabrał się do czaszki. Tego West nie lubiła. Dźwięk był jeszcze gorszy niż warkot dentystycznej wiertarki, kość śmierdziała, nie mówiąc już o samym widoku. Virginia nie chciała być ofiarą morderstwa lub zginąć w podejrzanych okolicznościach. Nie chciała, aby coś podobnego robiono z jej ciałem, aby patrzyli na nie tacy ludzie jak Brewster, a urzędnicy oglądali zdjęcia i komentowali.

- Rany kontaktowe, wyjścia po kulach są tutaj, za prawym uchem. - Doktor Odom wskazał jej miejsce palcem w zakrwawionej rękawiczce. - Duży kaliber. To wygląda na egzekucję.

- Zupełnie tak samo jak w poprzednich przypadkach - zauważył Brewster.

- A co z łuskami? - zapytał doktor Odom.

Czterdziestkapiątka, Winchester, prawdopodobnie Silvertips - odpowiedziała Virginia, myśląc znowu o artykule Brazila i tym wszystkim, co ujawnił. - Pięć za każdym razem. Przestępca nie pofatygował się nawet, aby je pozbierać, w ogóle o to nie dbał. Musimy zwrócić się do FBI.

- Cholerna prasa - powiedział Brewster.

Virginia nigdy nie była w Quantico. Marzyła, aby dostać się do Narodowej Akademii FBI, która była czymś w rodzaju Uniwersytetu Oxfordzkiego w rankingu szkół policyjnych. Ale od początku miała dużo pracy, potem zaczęła awansować, w końcu zaś skierowano ją na szkolenie dla kierowników. A to oznaczało całe gromady szefów z wielkimi brzuchami, asystentów szefów, szeryfów, którzy na strzelnicy usiłowali się nauczyć, jak odróżniać trzydziestkęósemkę od pistoletu półautomatycznego. Nasłuchiwała się przy okazji wielu opowieści. Judy obiecała, że wyśle ją do akademii na ostatni rok nauki, nic z tego jednak nie wyszło i Virginia nigdy nie była w FBI.

- Ciekawa jestem, co powiedzieliby ich psychologowie - odezwała się z namysłem.

- Zapomnij o tym. - Brewster skrzywił się, żując wykałaczkę, i zapaścił sobie krople do nosa.

Doktor Odom wziął dużą gąbkę i pokropił wodą organy, a następnie odessał krew z otwartej klatki piersiowej.

- Cuchnie, jakby pił alkohol - zauważył detektyw, który nie czuł już niczego poza wspomnieniami z dziecięcych przeziębień.

- Może wypił coś w samolocie. - Odom pokiwał głową. - I co z tymi facetami z Quantico?

Spojrzał na Brewstera, jakby to nie Virginia poruszyła ten temat.

- Są zajęci jak pszczołki - odrzekł detektyw. - Tak jak mówiłem, zapomnijmy o tym. Czym oni dysponują? Mają dziesięciu, może jedenastu psychologów policyjnych, rozpracowali już pewnie z tysiąc przypadków. Myślicie, że rząd będzie finansował gówno? Nie, nie gówno, do cholery. To niedobrze. Ponieważ ci psychologowie są cholernie dobrzy.

Brewster także usiłował dostać się do FBI i jemu również się nie udało. Nie było naboru, a może miało to coś wspólnego z testem na wykrywaczu kłamstw, którego nie przeszedł. Wciągnął jeszcze trochę kropli do nosa. Boże, jak on nienawidził śmierci! Była wstrętna i śmierdziała. Obnażała ludzi. Weźmy na przykład fujarę tego gościa. Facet wyglądał jak balon z małym supelkiem, żeby nie mogło z niego ujść powietrze.

Virginia była wściekła. Z zaciśniętymi ustami patrzyła na mięsiste, nagie ciało, rozkrojone od szyi do pępka i połyskujące pomarańczową farbą, której nie można było zmyć. Pomyślała o żonie i rodzinie denata. Żaden człowiek nigdy nie powinien znaleźć się w tak potwornym miejscu i przechodzić przez coś podobnego. Znowu ogarnął ją gniew na Brazila.

Czekała na niego przed budynkiem Knight-Ridder. Po pewnym czasie wyszedł, trzymając w ręku notatnik. Widać było, że śpieszył się do samochodu i kolejnych tekstów. Virginia, w policyjnym mundurze, wysiadła z nieoznakowanego forda i ruszyła w stronę Brazila, jakby chciała się z nim zmierzyć. Żałowała, że nie można zamknąć w butelce odrobiny trupiego zapachu. Z ochotą psiknęłaby nim w twarz temu dziennikarzynie, wepchnęłaby jego nos w taką rzeczywistość, z którą sama musiała się stykać każdego dnia. Andy szedł szybko, zamyślony. Skaner podał informację, że na parkingu przed szpitalem psychiatrycznym paliła się honda. Prawdopodobnie nic poważnego, ale jeśli w środku ktoś był? Zatrzymał się zdumiony, gdy porucznik West szturchnęła go wyciągniętym palcem w pierś.

- Hej! - zawołał i złapał ją za rękę.

- Jak się dziś czuje dziennikarz od Czarnej Wdowy? - spytała zimno. -

Wiesz, co ci powiem? Właśnie wracam z kostnicy, gdzie kroi się zwłoki. Założę się, że nigdy tam nie byłeś. Może ktoś powinien ci kazać kiedyś na to popatrzeć. Mógłbyś napisać fantastyczny artykuł, mam rację? Leży tam facet, który spokojnie mógłby być twoim ojcem. Rude włosy, waga dziewięćdziesiąt siedem kilogramów. Zgadnij, jakie miał hobby?

Brazil puścił jej rękę. Chciał coś powiedzieć, ale nie potrafił znaleźć słów.

- Tryktrak, fotografia. Pisywał do gazetki kościelnej, a jego żona umiera na raka. Mieli dwoje dzieci, jedno już dorosłe, drugie studiuje na pierwszym roku na Uniwersytecie Karoliny. Chcesz coś jeszcze o nim wiedzieć? A może pan Parsons jest dla ciebie tylko materiałem do artykułu? Drobne literki na papierze?

Dziennikarz najwyraźniej był wstrząśnięty. Podszedł do swojego BMW, ale nie przejmował się już płonąca na parkingu hondą. Jednak Virginia nie zamierzała mu pozwolić tak łatwo odejść. Schwyciła go za ramię.

- Niech pani weźmie te cholerne ręce - rzucił. Uwolnił się, otworzył samochód i wsiadł do środka.

- Wkurzasz mnie, Andy - powiedziała Virginia.

Brazil odjechał, a ona wróciła do centrum, lecz nie poszła od razu do działu dochodzeń, ponieważ jedno śledztwo miała zamiar przeprowadzić sama. Wstąpiła do archiwum, gdzie rządziły kobiety w innych mundurach. Naprawdę musiała zabiegać o ich względy, zwłaszcza Wandy, która ważyła jakieś sto dwadzieścia kilogramów i umiała pisać na maszynie z prędkością stu pięciu słów na minutę. Gdy Virginia musiała zerknąć w jakieś akta lub przygotować raport o zaginionej osobie, wtedy Wanda była albo dobrym duchem, albo diabelskim nasieniem, wszystko zależało od tego, kiedy ostatnio jadła. Virginia przynosiła jej raz w miesiącu sporą porcyjkę z KFC, a także czekoladę lub ciasteczka. Teraz podeszła do kontuaru i zawołała Wandę, która ją uwielbiała. Wanda marzyła w głębi duszy, aby być detektywem i pracować dla porucznik West.

- Potrzebuję twojej pomocy - powiedziała Virginia, a policyjny pas znowu

zaczął tak ją uciskać, że wywoływał bóle kręgosłupa.

Wanda rzuciła okiem na nazwisko podane jej na kartce.

- Na litość boską, pamiętam wszystko, jakby to miało miejsce wczoraj.

Virginia nie była pewna, ale wydawało jej się, że tamta jeszcze przytyła. Niech Bóg ma ją w swojej opiece. I tak zajmuje już tyle miejsca, co dwie osoby.

- Siadaj. - Wanda wskazała jej krzesło. - Zaraz przyniosę mikrofilmy.

Asystentki Wandy stukały w klawiatury, układały fiszki i wkładały je do kartoteki, a Virginia, w okularach, przeglądała mikrofilm. Była poruszona tym, co znalazła w starych artykułach o ojcu Brazila. Na imię miał też Andrew, ale nazywano go Drew. Służył tu jako policjant, gdy ona była jeszcze na stażu. Zupełnie o nim zapomniała i ich drogi nigdy się nie przecięły. Chryste, podczas przeglądania mikrofilmów wróciły wspomnienia o tamtej tragedii i życie Brazila stało jej przed oczyma.

Gdy Drew Brazil zatrzymał na ulicy nieoznakowany samochód, miał trzydzieści sześć lat i był detektywem od spraw rabunkowych. Dostał kulę w pierś z bliskiej odległości i zmarł na miejscu. Virginia długo czytała artykuły i przyglądała się fotografiom policjanta. Potem poszła na górę do swojego gabinetu i wyciągnęła akta, do których przez dziesięć lat nikt nie zaglądał, ponieważ sprawa okazała się absolutnie jasna, a sprawca przebywał w celi śmierci. Drew Brazil był przystojnym mężczyzną. Na fotografii miał na sobie skórzaną, lotniczą kurtkę, którą widziała już wcześniej.

Zdjęcia z miejsca zbrodni zrobiły na niej przygnębiające wrażenie. Martwy detektyw leżał na ulicy, na plecach, patrząc w słońce tego niedzielnego, wiosennego poranka. Kula z czterdziestkiątki rozerwała jego serce niemal na pół i na zdjęciach z autopsji Odom demonstrował ranę, wkładając w nią swoje dwa grube paluchy. To było coś, czego młody Andy Brazil nigdy nie powinien zobaczyć, i Virginia postanowiła już z nim nie rozmawiać.

ROZDZIAŁ 5

Brazil także przeszukiwał zasoby archiwalne „Observera”. To zdumiewające, jak niewiele w ostatnich latach napisano o Virginii West. Przeglądał krótkie wzmianki i czarnobiałe fotografie, zrobione w czasach, gdy jeszcze miała dłuższe włosy, upięte pod policyjną czapkę. Była pierwszą kobietą, którą wybrano na rekruta roku i ta wiadomość zrobiła na Andym duże wrażenie.

Bibliotekarka też była pod wrażeniem. Cały czas zerknęła na Brazila, a serce jej biło mocniej za każdym razem, gdy tu przychodził, co zdarzało się dość często. Nie spotkała dotychczas nikogo, kto traktowałby pisanie artykułów w tak poważny sposób, jak ten młody człowiek. To, o czym pisał, nie miało znaczenia, zawsze solidnie się przygotowywał i szukał odpowiedzi na pojawiające się pytania. Najszczęśliwsza była wówczas, gdy podchodził do jej schludnego, klonowego biurka, by o coś zapytać. Zanim zatrudniła się tutaj, tuż po tym, jak jej mąż odszedł na emeryturę, pracowała jako bibliotekarka w szkole publicznej. Nazywała się Booth. Skończyła już sześćdziesiąt lat i była święcie przekonana, że Brazil to najpiękniejszy okaz ludzki, jaki kiedykolwiek spotkała. Był miły i uprzejmy, zawsze dziękował jej za pomoc.

Andy poczuł się wstrząśnięty, gdy przeczytał, że Virginia West została kiedyś ranna w strzelaninie. Nie mógł w to uwierzyć. Szybciej przesuwał szpulę z mikrofilmami, szukając szczegółów, ale kiepski dziennikarz, który opisywał ten wypadek, całkowicie przegapił okazję na duży materiał na pierwszą stronę. Cholera. W końcu znalazł jeszcze kilka szczegółów, dotyczących wydarzenia sprzed jedenastu lat, kiedy to Virginia West,

pierwsza kobieta detektyw zajmująca się morderstwami, dostała cynk od informatora.

Przestępca, którego szukała, znajdował się w lokalu Presto Grill. Ale zanim Virginia i inni policjanci przyjechali na miejsce, już go tam nie było. Zaraz potem dostała kolejny telefon z informacją, gdzie widziano przestępcę, który tym razem był już nieźle wkurzony. Otworzył ogień w momencie, gdy tylko ją zobaczył. Zanim go zabiła, zdążył ją postrzelić. Brazil miał wielką ochotę porozmawiać z nią o tym, poznać szczegóły całej akcji, ale na razie nie przewidywał okazji. Wiedział tylko, że pocisk trafił policjantkę w lewe ramię, w zasadzie było to tylko draśnięcie. Brazil chciał ją zapytać, czy to prawda, że kula jest gorąca. Czy pali tkankę wokół rany? Jak bardzo to boli? Czy upadła od razu, czy też dzielnie strzelała dalej, nie zdając sobie sprawy, że jest ranna, i dopiero gdy wyciągnęła rękę, zobaczyła na niej krew, tak jak to bywa na filmach?

Następnego dnia pojechał do Shelby. Ponieważ interesował się tenisem, słyszał o tym małym, miłym miasteczku w hrabstwie Cleveland, skąd pochodził Buck Archer, przyjaciel Bobby'ego Riggsa, który przegrał z Billie Jean King w Battle of Sexes. Szkoła średnia w Shelby mieściła się w dobrze utrzymanym kompleksie budynków z cegły, gdzie młodzież z zamożnych rodzin przygotowywała się do studiów w college'ach w większych miastach, takich jak Chapel Hill czy Raleigh. Wokół Shelby rozciągały się farmy i malowniczo położone wsie jak Boiling Springs i Lattimore. Auto Brazila objechało korty tenisowe, na których trenowała chłopięca drużyna na letnim obozie. Chłopcy w znoju i pocie ćwiczyli serwy, uderzenia znad głowy i ścięcia po przekątnej kortu.

Trener stał pod siatką, trzymając w ręku notes. Ubrany był w długie, białe spodnie Wimbledon, białą koszulę, na głowie miał bezkształtną czapkę, na nosie okulary, a wszystko to niemodne i znoszone.

- Ruszaj się! Szybciej! Szybciej! - krzyczał do chłopca, który nie mógł już biec szybciej. - Nie chcę widzieć tych nóg stojących bez ruchu!

Chłopiec miał nadwagę i nosił okulary. Bez wątpienia był bardzo zmęczony i mrużył oczy, a Brazil przypomniał sobie męki, na jakie jego też kiedyś narażali trenerzy i ich musztra. Jednak on był zawsze dobry we wszystkim, do czego się zabierał, współczuł więc temu chłopakowi i żałował, że nie może chociaż godzinę z nim popracować, aby trochę poprawić mu humor.

- Dobry strzał! - zawołał Andy, gdy chłopakowi udało się odebrać uderzenie i odbić piłkę nad siatką.

Biedak zepsuł następne podanie, szukając wzrokiem swojego fana, ukrytego za ogrodzeniem. Trener przerwał zajęcia, przyglądając się dobrze zbudowanemu blondynowi, który szedł w jego kierunku. Pewnie szukał pracy, ale trener nie potrzebował nikogo do pomocy na tym obozie, jednym z najgorszych w ostatnich latach.

- Trener Wagon? - zapytał Brazil.

- Hmm, hmm?

Stary trener był zdziwiony i zastanawiał się, skąd ten obcy zna jego nazwisko. No tak. Może grał tu w tenisa kilka lat temu, a Wagon po prostu go nie pamiętał. Zdarzało mu się to ostatnio coraz częściej i nie miało nic wspólnego z czerwonym Johnnie Walkerem.

- Jestem dziennikarzem z „The Charlotte Observer” - szybko przedstawił się z dumą Brazil. - Piszę artykuł o pewnej kobiecie, która wiele lat temu grała w tenisa w męskiej sekcji.

Wagon mógł zapomnieć o wielu rzeczach z tamtych lat, ale nigdy nie zapomniał Virginii West. W tamtych czasach Shelby nie miało żeńskiej sekcji tenisowej, a ta dziewczyna była zbyt dobra, aby ją zignorować. Ileż z tego powodu mieli problemów. Po pierwsze, nie mogły się o tym dowiedzieć władze stanowe. W pierwszej klasie Virginia nie trenowała więc z chłopakami, a Wagon cały czas walczył, aby zmienić zasady na jej korzyść. W ostatniej klasie była już trzecia w grupie i miała najmocniejszy płaski serw, jaki Wagon kiedykolwiek widział w wykonaniu dziewczyny, i taki

bekhend, że jej piłka mogła przebić ciepły bochenek chleba i postawić go na sztorc. Wszyscy chłopcy marzyli, aby dać Virginii do wiwatu, i gdy tylko mogli, starali się trafić ją piłką.

Przez trzy lata, gdy grała w tenisa pod okiem trenera Wagona, nigdy nie przegrała żadnego meczu - ani pojedynczego, ani debla. W „Shelby Star” pisano o niej kilka razy, podobnie jak w „Observerze”, gdy pięła się w górę w rozgrywkach regionalnych. Doszła do ćwierćfinałów w mistrzostwach stanowych, zanim nie rozprawił się z nią Hap Core, co zakończyło jej karierę w męskich rozgrywkach. Gdy Brazil wrócił do redakcji gazety, znalazł w archiwum mikrofilmy z tymi artykułami. Przeglądał je podekscytowany, z wypiekami na twarzy, i robił notatki.

Kobieta, która zamęczała go obscenicznymi telefonami, także była podekscytowana, ale na tym kończyły się analogie między nią a Brazilem. Wiła się na kozetce w swojej zaciemnionej sypialni w małym domku w Dilworth, gdzie mieszkała samotnie, niedaleko od domu Virginii West. Te dwie nie znały się jednak. Dewiantka miała gołe stopy, spuszczone majtki i ciężko dyszała. Nie zbierano na jej temat informacji, ale psycholog z FBI określiliby ją jako białą kobietę w wieku między czterdzieści a siedemdziesiąt lat, ponieważ kobiety nie mają problemów z zaspokojeniem popędu seksualnego tak wcześnie, jak to bywa u mężczyzn. Niemniej jednak psycholog zaznaczyłby też, że kobiety zaczynają tracić zainteresowanie seksem mniej więcej w tym samym czasie, gdy przestają wytwarzać estrogen.

Z tego właśnie powodu agent specjalny Gil Bird z Quantico, intensywnie pracujący nad seryjnymi mordercami, ograniczyłby wiek dewiantki do czterdziestu, pięćdziesięciu lat, kiedy biologiczny zegar, sygnalizujący upływ czasu, pracował jedynie w jej wyobraźni. Wciąż jeszcze miała miesiączki. I tak naprawdę wcale nie pragnęła Brazila. Tak tylko jej się wydawało. Jej pożądanie było kwestią dużo bardziej złożoną. Bird mógłby przedstawić prawdopodobny scenariusz, który wyjaśniałby to zjawisko, gdyby oficjalnie skierowano go do tej sprawy.

Hipoteza agenta specjalnego Birda zakładałaby, że w życiu tej kobiety nadszedł czas odpłacenia ludziom za doznane krzywdy. Za wszystkie te lata, kiedy była odtrącana, nie miała szansy na założenie rodziny, nikt jej nie uwielbiał, nikt nie poządał. W młodości pracowała w kawiarni na Garden Webb, gdzie przychodzili koszykarze, najczęściej Ernie Presley, którzy pochrząkiwali i zwracali się do niej w taki sposób, jakby była czymś tak pospolitym jak tłusta jajecznicą, którą zamawiali. Andy Brazil zapewne potraktowałby ją dokładnie tak samo. Nie znała go jednak na tyle, aby potwierdzić te przypuszczenia. Na tym etapie swojego nieudanego życia pragnęła go jedynie pieprzyć, wtedy kiedy chciała i tak jak chciała.

Żaluzje były zaciągnięte, w telewizji pokazywano stary film ze Spencerem Trącem i Katherine Hepburn. Dewiantka bez tchu szeptała do słuchawki:

- Widziałam cię, jak prowadzisz. Zmieniasz biegi. W górę i w dół, w górę i w dół...

Władza, jaką nad nim miała, była najbardziej ekscytującą rzeczą w całym jej beznadziejnym życiu. Nie mogła powstrzymać radości, jaką czerpała z upokarzania go. Kontrolowała go tak dokładnie jak rybę w akwarium, psa lub kota. W jej sercu grzmiąły werble, gdy wsłuchiwała się w pełną zażenowania ciszę, jaka panowała na linii. Katherine Hepburn wchodziła właśnie do sypialni, ubrana w aksamitny szlafrok. Co za widok. Dewiantka nienawidziła jej i chciała zmienić kanał, ale nie miała wolnej ręki.

- Pieprz się - odezwał się wreszcie Andy. - Pozwalam ci na to.

Nie potrzebowała jego pozwolenia.

Packer przeglądał najświeższy i najlepszy jak dotąd tekst Brazila.

- To wspaniały materiał! - Zachwycał się każdym słowem. - Co za robota! Dziki, Dziki Zachód. Podoba mi się!

Szef zerwał się z krzesła i zaczął wpychać za pasek białą koszulę, a jego

dłonie tańczyły wokół, jakby spodnie były jakąś marionetką. Pod szyją miał krawat w czarnoczerwone paski, zdecydowanie nieelegancki.

- Prześlij to natychmiast, pójdzie na pierwszą stronę - powiedział.

- Kiedy? - zatrwożył się Andy, bo jego artykuły nigdy jeszcze nie ukazywały się na pierwszej stronie.

- Jutro - obiecał Packer.

Tej nocy Brazil po raz pierwszy miał do czynienia z wypadkiem samochodowym. Był w mundurze, z notatnikiem w ręku i odpowiednimi formularzami. To okazało się dużo bardziej skomplikowane, niż ktoś postronny mógłby sobie wyobrazić, nawet jeśli uszkodzenia były bardzo drobne lub nie przekraczały sumy pięciuset dolarów. Kobieta w toyocie camry jechała Queens Road, a facet w hondzie prelude także jechał Queens Road, bo w tej fatalnej części miasta przecinały się ze sobą dwie ulice o tej samej nazwie.

Dewiantka także była w pobliżu w swoim aerovaniu, skradając się, i podsłuchiwała z ukrycia policyjny skaner, w którym słychać było głos Brazila. O mało sama nie spowodowała drobnej kolizji, gdy wpatrywała się w młodego policjanta, który kierował ruchem, cały granatowy i połyskujący. Przyglądała się swojej ofierze, przejeżdżając wzdłuż rzędu latarni, których światło odbijało się pomarańczowymi błyskami na chodniku. Przecięła Queens Road, skręcając na zachód także w Queens Road.

Ulice o tej samej nazwie ciągle się mnożyły, przeżywały nagły, hormonalny wzrost i sytuacja przypominała zjawisko nadawaniu dziecku imienia po którymś z rodziców, bez zwracania uwagi na płęć i względy praktyczne, nawet gdy już troje starszych dzieci nazywało się identycznie. Queens i Queens, Providence i Providence, Sardis i Sardis, przykłady można by mnożyć w nieskończoność i Myra Purvis w żaden sposób nie mogła tego

zrozumieć. Wiedziała, że jeśli skręci z Queens Road West w Queens Road East, a następnie pojedzie Queens Road w kierunku szpitala ortopedycznego, będzie mogła odwiedzić brata.

Jechała toyotą camry i w pewnym momencie znalazła się na odcinku drogi, którego szczerze nie znosiła, w okolicy Edehill Park. Było już ciemno, bo dzień robił się coraz krótszy. Pani Purvis pracowała jako menedżer w meksykańskiej restauracji La Pez przy Fenton Place. W tę sobotę miała wyjątkowo dużo pracy, dopiero niedawno wyszła i czuła się okropnie zmęczona. Ale to nie była jej wina, gdy na skrzyżowaniu Queens i Queens ta szara, mało widoczna honda prelude wjechała prosto na nią.

- Proszę pani, widzi pani ten znak stop? - zapytał młody policjant.

Myra Purvis poczuła, że traci cierpliwość. W lutym skończyła siedemdziesiąt lat i miała już dość tych głupot.

- Czy to jest napisane brajlem? - zapytała bezczelnie tego gołowąsa w granatowym mundurze z białym tornado na ramionach, które przypominało jej coś, czym zmywała kiedyś podłogę w kuchni.

Jak to się nazywało? Dżin w butelce? Nie. Boże, to się zdarza coraz częściej.

- Muszę jechać do szpitala - narzekał mężczyzna z hondy. - Boli mnie szyja.

- Łże jak pies - powiedziała pani Purvis gliniarzowi, zastanawiając się, dlaczego ten młokos nie ma przy sobie żadnej broni, tylko gwizdek. A co będzie, jeśli ktoś do niego strzeli?

Virginia West dość rzadko wyjeżdżała na miasto, aby kontrolować swoich ludzi. Tym razem była jednak w odpowiednim nastroju. Jechała przez zaniedbane, ciemne ulice w sektorze David One, słuchając głosu Brazila na skanerze w swoim aucie.

- Poszkodowany wymaga transportu do Carolinas Medical Centre - informował dziennikarz.

Przyglądała mu się z daleka, siedząc w swoim wozie, granatowego koloru, ale Andy był zbyt zajęty, aby zauważyć, że przyjechała, gdy sporządzał raport. Okrążyła powoli skrzyżowanie i obserwowała, jak się starała, rozmawiając z kierowcami niegroźnie uszkodzonych samochodów. Ulicę rozjaśniały latarnie, alarmowe światła radiowozu rytmicznie pulsowały, a twarz Brazila zmieniała się w niebieskich i czerwonych odblaskach. Virginia widziała, że się uśmiechał, rozmawiając z jakąś starą sekutnicą w toyocie camry. Po chwili uniósł do ust nadajnik, by przekazać kolejną informację.

Andy skończył swoją służbę i pojechał do redakcji. Miał pewien zwyczaj, o którym mało kto wiedział, i po napisaniu krótkiego tekstu o problemach drogowych w Charlotte pośpieszył do drukarni. Wjechał na górę ruchomymi schodami, przeskakując po trzy stopnie. Pracownicy drukarni przywykli już do niego i nie przeszkadzało im, gdy co pewien czas przychodził do hali z potężnymi maszynami, w której panował ogłuszający hałas. Andy lubił patrzeć, jak po taśmie lekko spływały dwie tony papieru, zmierzając prosto do maszyn składających je w egzemplarze gazet, skąd potem, już w paczkach, ruszały w drogę, z jego nazwiskiem na pierwszej stronie.

Teraz, jeszcze w mundurze, stał tam i patrzył. Nic nie mówił, zafascynowany potęgą tego, co widział.

W szkole przywykł do pisania prac semestralnych, które czasami trwały kilka miesięcy, a jego tekst czytała potem może jedna osoba. Obecnie pisał artykuł zaledwie kilka dni, a nawet minut, i miliony ludzi śledziło każde słowo. Tego nie da się porównać. Przechadzał się po drukarni, uważając na ruchome części maszyn, pojemniki z mokrym tuszem i kursujące po hali wózki, a ogłuszający hałas wypełniał mu uszy jak szalejące tornado.

W niedzielę rano był chłodny i siąpił deszcz. Virginia stawiała wysoki, drewniany płot wokół swojego podwórka na Elmhurst Road, w starej części Dilworth. Mieszkała w domu z czerwonej cegły z białymi ozdobami i odkąd

sięgała pamięcią, zawsze naprawiała ten budynek. Teraz postanowiła zrealizować bardziej ambitny projekt, częściowo wymuszony przez ludzi, którzy jadąc South Boulevard, wrzucali na jej posesję butelki po piwie i inne śmiecie.

Pracowała mimo deszczu. W talii przewiązana była pasem z narzędziami, w ustach trzymała gwoździe i usiłowała przezwyciężyć ogarniającą ją chandrę. Denny Raines, sanitariusz, który też miał wolną niedzielę, sam otworzył sobie jej nową bramę i wszedł na podwórko. Miał na sobie dzinsy i wesoło pogwizdywał. Był postawnym, przystojnym mężczyzną, dobrze znanym tej pracowitej kobiecie, która nie zwracała na niego najmniejszej uwagi, odmierzając odległość między kolejnymi deskami.

- Czy ktoś ci już mówił, że wyglądasz bardzo ponętnie od tyłu? - zapytał.

Nadal w milczeniu uderzała młotkiem, co przypominało mu, jak się czuł, gdy zobaczył ją pierwszy raz, oczywiście na miejscu przestępstwa. Domyślał się wtedy, że ściągnięto ją z domu, ponieważ była szefową dochodzeniówki. Ofiarą był jakiś biznesmen, wymalowany na genitaliach pomarańczową farbą i z kulkami w głowie. Raines tylko spojrział na tę cizię z odznakami i wpadł jak śliwka w kompot. A teraz ona waliła młotkiem i jadła gwoździe, a wszystko to w deszczu.

- Zastanawiałem się nad drugim śniadaniem - powiedział. - Może chili?

Podszedł do niej od tyłu i objął ją ramionami, a potem pocałował w szyję, która była wilgotna i odrobinę słona. Virginia nie uśmiechnęła się, nie odezwała ani nie wyjęła z ust gwoździ. Pracowała i nie chciała, by jej przeszkadzano. Dał więc spokój i oparł się o płot, który właśnie stawiała. Skrzyżował ręce na piersiach i obserwował, jak krople deszczu spadały z daszka czapki baseballowej, którą miała na głowie.

- Założę się, że czytałaś dzisiaj gazetę - powiedział.

Virginia nie odpowiadała. Odmierzała kolejny odcinek między deskami.

- Bardzo pochlebny. Trzeba to uczcić. Największy artykuł na pierwszej

stronie. - Przesadnie gestykulował rękami, jakby poranna gazeta z tekstem o porucznik West była długości czterech metrów. - Jest taki wielki - kontynuował. - Świetny artykuł. Jestem pod wrażeniem.

Virginia nadal mierzyła i przybijała deski.

- Prawdę powiedziawszy, dowiedziałem się o tobie pewnych rzeczy, o których nie miałem pojęcia. Na przykład ta część o szkole w Shelby. Grałaś w chłopięcej sekcji tenisowej trenera Wagona? Nigdy nie przegrałaś żadnego meczu? Tak było?

Podobała mu się bardziej niż kiedykolwiek i wodził za nią oczami, wprost rozbierając ją wzrokiem.

Virginia była tego świadoma, ale jedyne, co czuła, to smak metalu w ustach.

- Masz pojęcie, co czuje facet, gdy widzi przystojną kobietę w pasku z narzędziami? - Nie mogło się obyć bez fetyszyzmu. - Albo gdy przyjeżdżamy na miejsce przestępstwa, a ty już tam jesteś, w tym swoim cholernym mundurze. Wtedy nachodzą mnie takie myśli, których nie powinienem mieć w pracy, bo ludzie mogą się wykrwawić na śmierć. Teraz też je mam, omal mi spodnie nie pękają.

Wyjęła z ust gwoździe i spojrzała na Rainesa, a potem na jego dżinsy. Wsunęła młotek w miejsce przy pasku i to było jedyne narzędzie, którego tego dnia potrzebowała. Każdej niedzieli jadali razem drugie śniadanie, pili drinki, oglądali telewizję w jej łóżku, a Denny bez przerwy opowiadał o wezwaniach, do których jeździł w czasie weekendu, jakby w jej życiu nie było dość krwi i bólu. Raines był przystojny, ale nudny.

- Idź kogoś ratować i zostaw mnie samą - odezwała się wreszcie.

Uśmiechnął się niewyraźnie i cały jego dobry humor spłynął nagle jak spłukany ścianą deszczu prosto z nieba.

- Co ja, do diabła, takiego zrobiłem? - wyrzekał.

ROZDZIAŁ 6

Virginia została sama na podwórku, w deszczu. Przybijała gwoździe, mierzyła odległość i stawiała swój płot, jakby był symbolem tego, co czuła do ludzi i życia w ogóle. Kiedy o trzeciej po południu furka na jej podwórku ponownie otworzyła się i zamknęła, przypuszczała, że to Raines postanowił spróbować jeszcze raz. Wbiła kolejny gwóźdź w deskę i poczuła wyrzuty sumienia, że tak paskudnie go potraktowała. Nic takiego nie zrobił, a jej zły humor nie miał najmniejszego związku z jego osobą.

Niles mógłby się z nią zgodzić. Siedział na parapecie okiennym nad zlewozmywakiem w kuchni i przyglądał się swojej pani moknącej na deszczu. Wymachiwała czymś, co z pewnością mogłoby go zranić, gdyby wszedł jej pod rękę. Wcześniej tego ranka Niles zajmował się swoimi sprawami, kręcił się w kółko za własnym ogonem i wylegiwał na pościeli, szukając odpowiednio ciepłego miejsca, które znalazł wreszcie na piersi pani. Później bawił się w kosmonautę i cyrkowego akrobatę, wystrzelonego z armaty. To było cholernie fajne, że mógł lądować na czterech łapach. Teraz przez strugi deszczu przyglądał się komuś, kto wszedł na podwórko od strony północnej. Niles, kot obserwator, nigdy przedtem nie widział tego mężczyzny, ani razu w swoim długim, kocim życiu.

Gdy Brazil wchodził na podwórko, dostrzegł przyglądającego mu się z okna kota. Porucznik West przybijała młotkiem deski, wołając coś do jakiegoś Rainesa.

- Posłuchaj, przepraszam cię, dobrze? - mówiła.

- Nie jestem w nastroju.

Andy przyniósł trzy grube egzemplarze niedzielnej gazety, owinięte w plastikową torbę z pralni, którą znalazł u siebie w szafie.

- Przeprosiny przyjęte - oświadczył.

Virginia odwróciła się i utkwiała w nim wzrok, młotek zawisł w powietrzu.

- Co ty tu, do cholery, robisz?

Była zaskoczona i zdumiona, usiłowała nadać swojemu głosowi nieprzyjemny ton.

- Kto to jest Raines? - Podszedł bliżej, czując, że jego sportowe buty zaczynają przemiękać.

- Nie twój zakichany interes. - Znowu zajęła się przybijaniem gwoździ w takt walącego jak młot serca.

Brazil podszedł jeszcze bliżej, nagle onieśmielony, bez poprzedniej pewności siebie.

- Przyniosłem pani kilka egzemplarzy. Pomyślałem, że może...

- Nie pytałeś mnie o zgodę. - Znowu uderzyła młotkiem. - Nie powiadomiłeś mnie wcześniej. Jakbyś miał jakieś prawo do grzebania w moim życiu.

- Gwóźdź się zgiał i niezręcznie usiłowała go wyprostować. - Całą noc wokół tego się kręciłeś. Cały czas po prostu szpiegowałeś.

Przestała pracować i spojrzała na niego. Był mokry i najwyraźniej stropiony. Chciał sprawić jej przyjemność, ofiarując jej to, co miał najlepszego.

- Nie miałeś pieprzonego prawa! - powiedziała.

- To dobry materiał. - Zaczął się bronić. - Jest pani bohaterką.

- Jaką bohaterką? Kogo to obchodzi? - protestowała dalej, coraz bardziej wściekła, chociaż nie była do końca pewna dlaczego.

- Mówiłem, że chcę o pani napisać.

- Wydawało mi się, że to groźba. - Znowu zaczęła przybijać gwoździe. - Nie wierzyłam, że to zrobisz.

- Czemu nie? - Nie rozumiał jej zarzutów i uważał, że są niesprawiedliwe.

- Nikt się tym wcześniej nie zajmował. - Znowu przerwała pracę, usiłując powstrzymać wściekłość, ale nie bardzo jej się to już udawało. - Nie sądziłam, że kogoś może zainteresować moja osoba.

- Wykonałem dobrą robotę, Virginio - przekonywał ją Brazil.

Czuł się bezbronny i usiłował to ukryć. Powtarzał sobie, że to, co myśli ta wymachująca młotkiem policjantka, nie ma znaczenia. Stała na deszczu, oboje mierzyli się wzrokiem, a Niles obserwował ich ze swojego ulubionego miejsca na oknie, machając ogonem.

- Wiem o twoim ojcu - powiedziała. - Wiem, co się stało. To dlatego bawisz się w gliniarza rano, w południe i w nocy?

Brazil walczył z emocjami, których nie chciał przed nikim ujawniać. Virginia nie umiała powiedzieć, czy jest wściekły czy może bliski łez, gdy atakowała go faktami, które zdobyła, przeprowadzając śledztwo na temat jego przeszłości.

- Był po cywilnemu - mówiła - gdy zdecydował się odebrać skradziony samochód. Błąd numer jeden. Nie powinno się tego robić, jadąc nieoznakowanym wozem. Ten dupek okazał się zbiegłym przestępcą, który wycelował w niego ze spluwy. Ostatnie słowa, jakie wypowiedział twój ojciec, brzmiały: „Boże, błagam, nie”. Jednak ten skurwysyn zrobił to. Wywalił dziurę w piersi twojego ojca, który zmarł, zanim zważył się na chodnik. Twoja ulubiona gazeta uczyniła wszystko, aby detektyw Drew Brazil nie wypadł najlepiej. Zrobili go na szaro. A teraz jego syn zaczyna się zachowywać tak samo.

Brazil usiadł na mokrym trawniku i patrzył na nią.

- Nie. Wcale nie. Nie o to chodzi. A ty jesteś okrutna.

Virginia była zaskoczona reakcją, jaką wywołały jej słowa. Raines nigdy się tak nie przejmował, nawet jeśli z nim zrywała, co do tej pory zdarzyło się już trzy razy. Zwykle się wściekał, wychodził i ignorował ją, nie dzwoniąc

tak długo, aż wreszcie nie mógł już wytrzymać. Nie rozumiała reakcji młodego dziennikarza, ale prawdę powiedziawszy, nie miała wcześniej do czynienia z pisarzami ani w ogóle z twórcami. Usiadła obok niego w trawiastej kałuży i oboje mokli. Rzuciła młotek, który wylądował parę metrów dalej, rozpryskując wodę. Tego dnia był to już koniec jego działalności. Westchnęła, a młody dziennikarz i gliniarz wolontariusz wpatrywał się w padające krople, sztywny z wściekłości i urazy.

- Powiedz mi, dlaczego - zażądała.

Nie chciał na nią patrzeć. Nigdy się już do niej nie odezwie!

- Chcę wiedzieć - nalegała. - Mógłbyś zostać gliniarzem. Albo też dziennikarzem. Ale nie. Chcesz być jednym i drugim? - Zaczepnie szturchnęła go w ramię, lecz nie zareagował. - Mam wrażenie, że mieszkasz z matką. Jak to możliwe? Taki przystojny facet jak ty? Żadnej dziewczyny? Wydaje mi się, że nie umawiasz się na randki. Jesteś gejem? Dla mnie to żaden problem, wiesz? Brazil wstał.

- Żyj i daj życie innym, zawsze to powtarzam - mówiła dalej Virginia, nadal siedząc w kałuży.

Rzucił jej piorunujące spojrzenie i ruszył w stronę furtki.

- To nie o mnie mówią, że mam inne preferencje seksualne - dobiegł ją jego głos w deszczu.

Słyszała już takie uwagi wcześniej i nie robiły teraz na niej wrażenia. W społeczeństwie pokutowało przekonanie, że kobiety, które idą do policji lub wojska, zajmują się profesjonalnie sportem, zostają trenerkami, inżynierami lub nauczycielkami wychowania fizycznego, mają skłonności do własnej płci. Te, które osiągnęły sukces, wykonując jeden z owych zawodów, prowadząc własne firmy, robiąc doktoraty, pracując jako prawniczki czy bankierzy, i nie malowały paznokci, też były lesbijkami. To bez znaczenia, że niektóre z nich miały mężów i dzieci. Albo że nawet chodziły na randki z mężczyznami. To tylko pozory, sposoby na oszukanie rodziny i przyjaciół.

Jedynym i całkowicie przekonującym dowodem heteroseksualności było

to, aby niczego nie robić tak dobrze jak faceci i czerpać z tego dumę. Virginie uważano za lesbijkę od czasu, gdy awansowała na sierżanta. Oczywiście, w jej wydziale zdarzały się prawdziwe lesbijki, ale trzymały się na osobności i opowiadały kłamstwa o narzeczonych, których nigdy nie miały. Virginia usiłowała zrozumieć, dlaczego ludzie sądzili, że jest jedną z nich. Podobne plotki krążyły nawet o Judy Hammer. Wszystko to było pożałowania godne i wolałaby, aby inni zajmowali się własnymi sprawami.

Już dawno temu zrozumiała, że w wielu kwestiach moralnych tak naprawdę chodzi o poczucie zagrożenia. Przecież w czasach jej dzieciństwa na farmie ludzie często rozmawiali o niezamężnych kobietach misjonarkach, które pracowały w kościele prezbiteriańskim w Shelby, niedaleko Cleveland Feeds i szpitala okręgowego. Wiele z tych wspaniałych kobiet pełniło swoje obowiązki w egzotycznych krajach, takich jak Kongo, Brazylia, Korea i Boliwia. Potem wracały na urlop lub na odpoczynek i mieszkały razem w jednym domu. Nie zdarzyło się nigdy, aby komukolwiek, kogo znała Virginia, przyszło do głowy, że te bogobojne orędowniczki kościoła miały jakiś inny interes poza modlitwą i pomaganiem biednym.

Kiedy dorastała, największym zagrożeniem była perspektywa, że mogła zostać starą panną. Straszono ją tym, gdy okazało się, że w wielu rzeczach była lepsza od chłopców i nauczyła się prowadzić traktor. W końcu, ujmując rzecz statystycznie, można było ją traktować jak starą pannę. Jej rodzice bardzo się tym martwili, ostatnio zaś przerażała ich myśl, że córka jest starą panną o niewłaściwej orientacji seksualnej. Prawdę powiedziawszy, Virginia mogła zrozumieć, że kobieta pragnie drugiej kobiety. Zastanawiało ją jednak, jak można kłócić się z kobietą.

Już z mężczyznami nie było łatwo, rzucali bowiem przedmiotami i przestawali się odzywać. Kobiety zaś płakały i krzyczały, i były niesłychanie przewrażliwione, zwłaszcza gdy następowały zmiany hormonalne. Nie mogła sobie wyobrazić dwóch kobiet kochanek, które jednocześnie miałyby zespół napięcia przedmiesiączkowego. Nieuniknione byłyby wtedy domowe

awantury, kto wie, może nawet kończące się morderstwem, zwłaszcza gdyby obie były policjantkami i miały broń.

Po lekkim, zjedzonym w samotności obiedzie, na który złożyły się resztki pizzy z kurczakiem, Virginia zasiadła w fotelu przed telewizorem, oglądając, jak drużyna Atlanta Braves gromi Florida Marlins. Niles ułożył się na jej kolanach, bo tak sobie życzył. Jego pani była już teraz spokojna. Ubrana w policyjny dres, popijała z butelki piwo Miller Genuine Draft i czytała artykuł, którego była bohaterką. Nie powinna tak ostro potraktować tego chłopaka, nie przeczytawszy na spokojnie tego, co napisał. Wybuchnęła głośnym śmiechem, przewracając z szelestem stronę. Skąd, do diabła, wziął te wszystkie informacje?

Tak była zajęta czytaniem, że na czternaście minut i jedenaście sekund zapomniała o głaskaniu swojego ulubieńca. Niles nie spał, udawał tylko i liczył czas, zastanawiając się, jak długo to jeszcze potrwa i czy będzie to mógł zaliczyć do listy jej przewinień. W razie czego, zawsze była na podorędziu tamta porcelanowa figurka na regale z książkami. Jeśli wydawało jej się, że Niles tam nie wskoczy, powinna sobie o czymś przypomnieć. Wywodził się z Egiptu, od faraonów i piramid, jego umiejętności sięgają czasów starożytnych i nie pokazał jeszcze, na co go stać. Któraś z drużyn baseballowych zdobyła punkt, ale Virginia nie zauważyła tego, śmiała się bowiem znowu głośno, sięgając po słuchawkę.

Brazil z początku nie słyszał dzwoniącego telefonu, siedział bowiem przed komputerem, pochłonięty tym, co pisał, a z głośników rozbrzmiewała piosenka Annie Lennox, puszczone prawie na cały regulator. Jego matka była w kuchni, przygotowywała sobie kanapkę z masłem orzechowym. Kiedy rozległ się dzwonek, popijała właśnie kolejny łyk taniej wódki z plastikowego kubeczka. Zachwiała się i dla zachowania równowagi chwyciła ręką za blat i gałkę od szuflady, ale na ścianie wciąż widziała dwa niebieskie telefony. Gdy na podłogę w kuchni z hałasem spadły sztucce, Andy zerwał się z krzesła, ale jego matce udało się właśnie złapać słuchawkę podwójnie

widzianego telefonu, która natychmiast wypadła jej z ręki. Obijała się o ścianę, dyndając na skręconym przewodzie. Kobieta schyliła się po nią, o mały włos nie przewracając się na podłogę.

- Co? - wymamrotała do telefonu.

- Chciałabym rozmawiać z Andym Brazilem - powiedziała Virginia po chwili milczenia.

- W swoim pokoju, siedzi. - Pani Brazil wykonała po pijanemu gest pisanania na maszynie. - Bo wiesz. Normalne. Myśli, że będzie taki jak Hemingway czy coś.

Pani Brazil nie zauważyła stojącego w drzwiach syna, który z przerażeniem słuchał, jak wyrzucała z siebie strzępy zdań, na tyle mętnie, że trudno było wyłowić z jej wypowiedzi jakiś sens. W tym domu panowała zasada, że matka nie odbierała telefonów. Robił to jej syn albo wiadomości nagrywały się na automatyczną sekretarkę. Brazil patrzył na matkę zrozpaczony i bezradny, upokorzony przez nią po raz kolejny w życiu.

- Ginia West - powtórzyła pani Brazil, gdy wreszcie zauważyła idących ku niej dwóch synów.

Brazil wyjął jej z ręki słuchawkę.

Virginia zadzwoniła z zamiarem wyznania Andy'emu, że jego artykuł tak naprawdę jest wspaniały, że czuje się wdzięczna, a w ogóle wcale na to nie zasłużyła. Nie spodziewała się, że telefon odbierze owa nieznówoważona kobieta, ale teraz już wszystko było dla niej jasne. Nie powiedziała Brazilowi nic więcej poza tym, że już do niego jedzie, więc niech na nią czeka. To był rozkaz. Przez lata pracy w policji miała do czynienia z różnymi typami i pani Brazil nie zrobiła na niej większego wrażenia, chociaż była wstrętną, wzbudzającą odrazę i wrogo usposobioną kobietą. Położyli ją do łóżka i zmusili do wypicia dużej ilości wody. Pani Brazil zasnęła pięć minut po tym, jak Virginia zaprowadziła ją do toalety. Potem wybrali się na spacer. Było już ciemno, tylko gdzieniegdzie na Main Street świeciło się światło w oknach

starych domów w południowym stylu. Padał delikatny jak mgiełka deszcz. Brazil milczał. Zbliżali się do kampusu w Davidson, który o tej porze roku był cichym i spokojnym miejscem, chociaż na jego terenie rozlokowano różne wakacyjne obozy. Ochroniarz w meleksie z uwagą przyglądał się przechodzącej parze. Wydawał się zadowolony, że Andy Brazil znalazł sobie wreszcie dziewczynę. Była od niego dużo starsza, ale wciąż warta grzechu, a jeśli ktoś potrzebował matkowania, to z pewnością właśnie ten chłopak.

Ochroniarz nazywał się Clyde Briddlewood i pracował w siłach porządkowych Davidson College od czasów, gdy jedynym problemem na świecie były psoty i pijaństwo. Potem na uczelnię zaczęto przyjmować dziewczyny. To był zły pomysł i Briddlewood ostrzegał przed tym każdego, kogo mógł. Robił, co w jego mocy, aby uświadomić to zajęтым nauczycielom, wiecznie śpieszącym na zajęcia do klas, zaalarmował też Sama Spencera, ówczesnego dyrektora. Nikt go nie słuchał. Teraz Briddlewood został szefem oddziału ochrony w sile ośmiu ludzi i trzech meleksów. Mieli krótkofalówki, pistolety i pijali kawę z lokalnymi gliniarzami.

Briddlewood zażył odrobinę tabaki i splunął do styropianowego kubka, gdy Brazil i jego dziewczyna skręcili na brukowaną drogę, prowadzącą do kościoła prezbiteriańskiego. Clyde zawsze lubił tego chłopaka i bardzo żałował, że już dorósł. Pamiętał Andy'ego, gdy był jeszcze dzieckiem. Ciągle się gdzieś śpieszył, z rakieta tenisową Western Auto w jednej ręce, a w drugiej trzymając plastikową torbę, w której nosił stare, wytarte piłki znalezione w śmieciach lub wyżebrane od trenera. Brazil zawsze dzielił się z Briddlewoodem swoją gumą do żucia i cukierkami, co rozczulało ochroniarza do łez. Chłopak klepał biedę, jego sytuacja była nie do pozazdroszczenia. Wprawdzie Muriel Brazil nie była jeszcze wtedy taka jak teraz, ale jej syn i tak nie miał łatwego życia i wszyscy w Davidson o tym wiedzieli.

Andy nie podejrzewał nawet, jak wiele osób ze szkolnej społeczności przez lata potajemnie spiskowało, zbierając pieniądze od bogatych

absolwentów, a nawet sięgając do własnych portfeli, aby zapewnić mu, gdy dorośnie, możliwość nauki na tej uczelni. Briddlewood sam dorzucił na ten cel parę dolców, chociaż nie miał wiele. Mieszkał w małym domku, dość daleko od Lake Norman, ale chociaż nie widział z okien wody, mógł przynajmniej obserwować niekończące się kawalkady ciężarówek holujących łodzie po zakurzonej drodze. Znowu splunął i bezszelestnie podjechał meleksem do kościoła. Obserwował parę, aby się upewnić, że są bezpieczni w ciemności.

- Co ja mam z tobą zrobić? - zwróciła się Virginia do Brazila.

Andy miał swoją dumę i był w wyjątkowo złym humorze.

- Nie potrzebuję twojej pomocy.

- Ależ potrzebujesz. Masz poważne problemy.

- A ty może nie - przyciął jej. - Wszystko, co masz w życiu, to ekscentryczny kot.

To zaskoczyło Virginię. Czego się jeszcze o niej dowiedział?

- Skąd wiesz o Nilesie? - zapytała.

Już dawno zauważyła, że obserwuje ich ktoś w meleksie z ochrony kampusu. Schował się w cieniu i wydawało mu się, że ona i Brazil nie widzą go, ukrytego za magnoliami i bukszpanami. Wyobrażała sobie, jaki to musi być nudny zawód.

- Moje życie jest bardzo bogate - powiedziała.

- To fantazje - parsknął Andy.

- Wiesz co? Szkoda na ciebie czasu.

Poszli dalej wąskimi alejkami, oddalając się od kampusu w stronę, gdzie w dobrze utrzymanych domach, otoczonych trawnikami i starymi drzewami, mieszkała kadra college'u. Jako dziecko Brazil wałęsał się po tych ścieżkach, wyobrażając sobie, jak żyją ludzie w tych eleganckich domach, profesorowie, profesorki, ich mężowie i żony. Okna były zwykle rzęsiście oświetlone i miał wrażenie, że wewnątrz panuje bardzo przytulna atmosfera. Czasami, gdy zasłony były odsunięte, mógł się przyglądać ludziom krążącym po salonach z

drinkami w dłoniach, siedzącym z książkami w fotelach lub pracującym przy biurkach.

Chociaż Andy przyzwyczał się do samotności, nie potrafił dokładnie określić tego uczucia. Nie wiedział, jak nazwać tępy ból, który zaczynał się gdzieś w piersi i ścisnął mu serce jak dwie zimne dłonie. Nigdy nie płakał, gdy czuł ucisk owych dłoni, ale drżał gwałtownie jak płomień na wietrze, zupełnie tak samo jak wtedy, gdy myślał o tym, że mógłby przegrać w tenisa lub dostać ocenę niższą od najlepszej. Nie lubił smutnych filmów, wzruszało go piękno, zwłaszcza muzyka na żywo, symfonie i kwartety skrzypcowe.

W czasie spaceru Virginia wyczuwała narastającą złość Brazila. Milczenie, jakie między nimi zapadło, stawało się nie do zniesienia. Mijali jasno oświetlone domy i pogrążone w mroku kępy drzew porośniętych bluszczem i dzikim winem. Virginia nie rozumiała tego chłopaka i zaczynała podejrzewać, że popełniła duży błąd, sądząc, że potrafi mu pomóc. Co z tego, że w swojej policyjnej praktyce wielokrotnie prowadziła negocjacje z porywaczami, mordercami i miała ogromne doświadczenie w odwodzeniu ludzi od samobójstw lub zamiaru skrzywdzenia innych? To nie oznaczało wcale, że w najmniejszym nawet stopniu zdoła pomóc takiemu dziwnemu facetowi jak Andy Brazil. W dodatku, nie miała czasu.

- Chcę dostać tego mordercę - odezwał się nagle, głośniejszym głosem niż trzeba. - Rozumiesz? Chcę go złapać.

Mówił w taki sposób, jakby zbrodnie popełniane przez tamtego osobiście go dotyczyły. Virginia nie zamierzała mu przeszkadzać. Brazil zamyślił się i nagle z wściekłością kopnął kamyk. Na nogach miał modne czarnopurpurowe skórzane buty do tenisa firmy Nike, których nie powstydziliby się Agassi.

- Co on robi? - Andy dalej kopał kamyki. - Wiesz, jak to wygląda? - Znowu podniósł głos. - Jedziesz przez nieznanne miasto, jesteś zmęczona, daleko od domu, rozmyślasz nad wieloma sprawami. Tracisz orientację i zatrzymujesz się, aby zapytać kogoś o drogę. - Kolejny kamień potoczył się

po asfalcie. - Ktoś cię kieruje do jakiegoś zapomnianego przez Boga i ludzi miejsca, na tyłach opuszczonego budynku czy magazynu.

Virginia przystanęła. Patrzyła, jak chłopak z furią kopie następny kamyk, okręcając się wokół własnej osi.

- Czujesz zimną stal przyłożoną do głowy i błagasz, aby nie zabijał! - zawołał, jakby ta zbrodnia przytrafiła się jemu. - A potem i tak twój mózg rozpryskuje się na strzępy!

Znieruchomiała, będąc pod wrażeniem tego, co mówił. Nigdy przedtem nie widziała, aby ktoś tak reagował. Na werandach pobliskich domów zaczęły zapalać się światła.

- Potem ściąga ci spodnie i maluje farbą ten symbol! Chciałabyś zginąć w ten sposób?

Pojawiło się więcej świateł. Słysząc było szczekanie psów. Virginia instynktownie zareagowała jak policjantka. Podeszła do Brazila i chwyciła go za ramię.

- Andy, zakłócasz ciszę w całej okolicy. - Mówiła do niego spokojnym tonem. - Chodźmy do domu.

- Chcę coś z tym zrobić. - Popatrzył na nią wyzywająco.

- Wierz mi. Robisz. - Rozejrzała się nerwowo dookoła.

Pojawiło się jeszcze więcej świateł, ktoś wyszedł na werandę, aby sprawdzić, co za wariat awanturuje się w tej spokojnej okolicy. Chwilę wcześniej przyjechał w swoim meleksie Briddlewood.

- Musimy już wracać - perswadowała Virginia, popychając Brazila. - Chcesz pomóc. Dobrze, powiedz mi tylko, jak to sobie wyobrażasz, poza hałasami i słownymi deklaracjami.

- Może powinniśmy umieścić coś w moim artykule, aby zastawić pułapkę na mordercę.

- Chciałabym, aby to było takie proste - odparła. - Zakładasz, że on czytuje prasę?

- Założę się, że czyta.

Andy pragnął, aby porucznik West była bardziej otwarta. Proponował jej przecież działanie na podświadomość mordercy; coś, co mógłby zamieścić w swoim artykule, aby złapać tego potwora.

- Odpowiedź brzmi: nie. Żadnych podchwytliwych artykułów.

Brazil aż podskoczył z podekscytowania.

- Razem możemy go złapać! Ja to wiem.

- Co to znaczy: razem? - zapytała Virginia. - Jesteś tylko dziennikarzem.

Przykro mi, że muszę ci o tym przypominać.

- Jestem policjantem wolontariuszem - poprawił ją Andy.

- Uhu. Nieuzbrojonym.

- Mogłabyś mi dać kilka lekcji strzelania - zaproponował. - Mój ojciec chodził ze mną na pola za miastem...

- Powinien był cię tam zostawić - stwierdziła.

- Strzelaliśmy do puszek z trzydziestkiósemki.

- Ile miałeś wtedy lat? - zapytała, gdy byli już na podjeździe przed jego domem.

- Zaczęliśmy, gdy miałem siedem, tak myślę. - Andy szedł, trzymając ręce w kieszeniach, i patrzył pod nogi, światło latarni iskrzyło się w jego włosach.

- Chyba byłem w drugiej klasie.

- Pytałam o to, ile miałeś lat, kiedy zginął - powiedziała cicho.

- Dziesięć. Skończyłem dziesięć.

Andy przystanął. Nie chciał, aby Virginia odeszła. Nie chciał iść do domu i stawić czoła swojemu życiu.

- Nie mam pistoletu - powiedział.

- Dzięki Bogu - stwierdziła z ulgą.

ROZDZIAŁ 7

Mijały kolejne dni. Virginia nie zamierzała dalej zajmować się sprawą Andy'ego Brazila. To jego problemy i już najwyższy czas, aby dorósł do ich rozwiązania. Gdy jednak nadeszła kolejna niedziela i Raines objawił chęć zjedzenia wspólnie drugiego śniadania, zadzwoniła do młodego dziennikarza. Miała przecież dyplom instruktora strzelania. Jeśli potrzebował lekcji, mogła mu ją zaoferować. Zapewnił ją, że będzie gotowy za dziesięć minut. Powiedziała, że ponieważ nie wybiera się do Davidson concorde'em, będzie tam najwcześniej za pół godziny.

Pojechała swoim samochodem, fordem explorerem z dwoma poduszkami powietrznymi. Był to biały, sportowy wóz z napędem na cztery koła. O trzeciej po południu wjechała z rykiem silnika na podjazd przy domu Andy'ego, który wybiegł tak szybko, że nie zdążyła otworzyć drzwi. W zasadzie najprościej byłoby, gdyby pojechali na strzelnicę do akademii policyjnej, ale Virginia nie mogła tam zabrać Brazila, ponieważ zarówno wolontariusze, jak i goście mieli tam wstęp wzbroniony. Postanowiła więc pojechać z nim do strzelnicy Firing Line na Wilkinson Boulevard, gdzie można się było dostać, mijając Bob's Pawn Shop, parking dla ciężkich wozów, motel Oakden, budynek Country City USA i bar Coyote Joe's.

Gdyby przejechali jeszcze dwie przecznice dalej, znaleźliby się w okolicy parkingu Paper Doll Lounge. Virginia dobrze pamiętała to miejsce z policyjnych akcji. Było naprawdę okropne. Sąsiadowały tam ze sobą lokale z półnagimi kobietami, sklepy z bronią oraz lombardy, jakby gołe piersi i podwiązki należały do tej samej kategorii co używane rzeczy i broń. Zastanawiała się, czy Brazil był kiedykolwiek w lokalu z panienkami topless

i siedział sztywno na krześle, trzymając ręce na poręczach, z palcami zaciśniętymi i zbieleńszymi kostkami, podczas gdy naga kobieta pieściła wewnętrzne strony jego ud.

Pewnie nie, uznała po chwili namysłu. Miała wrażenie, że był przybyszem z innych stron, który nie znał tego języka, nie kosztował tego typu stawy i nie poznał innych atrakcji. Jak to możliwe? Czyżby w gimnazjum i w college'u nie biegały za nim dziewczyny? Lub chłopcy? Nie, zdecydowanie nie rozumiała Andy'ego Brazila, który buszował tymczasem po półkach sklepowych z amunicją, wybierając naboje Winchestera 95 do trzydziestkiósemki oraz lugera 115 i zastanawiał się nad automatyczną czterdziestkąpiątką, Federal Hi-Power, Hydra-Shok i Super X 50 Centerfire, które były stanowczo zbyt drogie do nauki strzelania. Kompletnie zwariował. To był dla niego sklep ze słodyczami, a ona fundowała.

Huk wystrzałów brzmiał jak odgłosy bitwy, rozgrywającej się w środku strzelnicy, gdzie wsiochy z Narodowego Stowarzyszenia Strzeleckiego oddawały cześć swoim spluwom, a forsiaści handlarze narkotyków wprawiali się w zabijaniu. Virginia West i Brazil nałożyli protektory na uszy, okulary ochronne i zapakowali pudełka z amunicją. Drobną kobietą w dżinsach uzbrojona była w dwa pistolety ciężkiego kalibru. Groźnie wyglądający faceci rzucali jej nienawistne spojrzenia, niezbyt zadowoleni, że wtargnęła do ich klubu. Brazil także odbierał wrogie sygnały, gdy rozglądał się wokoło.

Najwyraźniej również nie spodobał się obecnym. Pod ciężarem ich wzroku uświadomił sobie nagle, że ubrany był w dres z kortu tenisowego w Davidson, a na głowie miał kolorową bandanę, którą przewiązał włosy, aby nie wpadały mu do oczu. Wszyscy ci faceci zaś mieli wielkie brzuszyska i szerokie ramiona, jakby pracowali na podnośnikach widłowych i nosili beczki z piwem. Andy widział na parkingu ich ciężkie wozy, niektóre z sześcioma kołami, jakby musieli pokonać góry i strumienie, aby przejechać z drogi I-74 do I-40. Brazil nie rozumiał męskiego plemienia, wśród którego dorastał w Karolinie Północnej.

To było coś więcej niż tylko biologia, genitalia, hormony czy testosteron. Niektórzy z tych gości mieli przyklejone na błotnikach swoich krążowników zdjęcia gołych kobiet, co go naprawdę przerażało. Koleś zobaczył rudą babkę z ponętym ciałem i chciał, aby chroniła opony jego samochodu przed żwirem? To nie dla Andy'ego. On chciałby ją zabrać do kina, na kolację przy świecach.

Przymocował pistoletem ze zszywkami do kartonu kolejną planszę z celem i umieścił ją na statywie w swojej linii. Instruktorka West oglądała wcześniejsze rezultaty strzelania swojego podopiecznego. Sylwetka, którą poprzednio umocowała na planszy, miała otwory po kulach bardzo blisko siebie, w samym centrum na piersi. Virginia była zdumiona. Obserwowała, jak Brazil ładował magazynek sigsauera trzydziestkiósemki z nierdzewnej stali.

- Jesteś niebezpieczny - powiedziała.

Brazil chwycił niewielki pistolet obiema rękami i stanął w pozycji, jakiej nauczył go ojciec jeszcze w dzieciństwie, z którego niewiele już pamiętał. Był w całkiem dobrej formie, ale można ją było jeszcze poprawić. Opróżniał jeden magazynek za drugim. Walił bez przerwy, jakby chciał strzelać wystarczająco szybko, aby zabić tego, kto będzie chciał go kiedyś skrzywdzić. Ale to nie tak. Virginia doskonale знаła rzeczywistość ulicy.

Nacisnęła przycisk na stanowisku Brazila. Papier z wymalowanym celem nagle nabrał życia i zaczął się szybko zbliżać w jego stronę, jakby zamierzał go zaatakować. Zaskoczony Andy strzelał jak szalony. Barn! Bam! Bam! Kule odbijały się od metalowej ramy, na której rozpięty był karton z celem, od gumowych ścian i wreszcie amunicja się skończyła. Cel zatrzymał się w miejscu i kołysał na lince tuż przed jego twarzą.

- Hej! Co ty robisz?

Odwrócił się do Virginii, oburzony i zdezorientowany.

Nie odpowiadała, wkładając naboje do metalowych magazynków. Jeden z nich włożyła do wielkiej i czarnej, półautomatycznej czterdziestki Smith &

Wesson. Dopiero potem spojrzała na swojego ucznia.

- Strzelasz zbyt szybko. - Zarepetowała broń i skierowała lufę na cel na swoim torze. - Nie masz amunicji. - Wypaliła. Bambam. - I szczęścia. - Bambam.

Przerwała na chwilę, a potem wystrzeliła jeszcze dwa razy. Odłożyła pistolet i podeszła do Andy'ego. Wzięła od niego pistolet, aby sprawdzić, czy broń jest pusta i odpowiednio zabezpieczona. Wycelowała pistolet na cel, ustawiając się w odpowiedniej pozycji, dłonie i ramiona unieruchomione, kolana lekko ugięte.

- Taptap i stop - powiedziała, demonstrując postawę strzelecką. - Taptap i stop. Obserwujesz, co robi przeciwnik, i odpowiednio działasz. - Zwróciła mu broń, podając pistolet lufą zwróconą w jego stronę. - I nie dotykaj spustu. Weź to do domu i poćwicz.

Tego wieczora Brazil został w swoim pokoju i ćwiczył na sucho strzelanie z trzydziestkiósemki, którą zostawiła mu Virginia, aż na wskazującym palcu zrobił mu się sporych rozmiarów pęcherz. Celował z broni do swojego odbicia w lustrze, aby przyzwyczać się do widoku skierowanej w siebie broni. Robił to przy dźwiękach muzyki, puszczając wodze fantazji. Śmiertcionośne, małe, czarne oko wpatrywało się w jego głowę i serce. Myślał przy tym o swoim ojcu, który nie zdążył wyciągnąć broni. Nie zdążył nawet włączyć radia. Ręce zaczęły mu drżeć i przypomniał sobie, że nie jadł jeszcze kolacji.

Było kilka minut po dziewiątej. Jego matka odmówiła wcześniej jedzenia, kiedy proponował, że przygotuje jej hamburgera i sałatkę ze świeżych pomidorów z cebulą, oliwą i octem winnym. Bardziej niż zwykle pobudzona oglądała w telewizji sitcom, ubrana w stary flanelowy szlafrok w spłowiałym niebieskim kolorze i kapcie, których prawie nie zdejmowała z nóg. Nie pojmował, jak mogła żyć w ten sposób, lecz dawno już zrezygnował z myśli, że może zmienić ją lub jej życie, którego nienawidziła. Będąc w gimnazjum, Andy, jej jedyne dziecko, zabawiał się w detektywa, przegrzebując cały dom

i cadillaca w poszukiwaniu ukrytych zapasów pigułek lub alkoholu. Pomysłowość matki była zdumiewająca. Pewnego razu Muriel posunęła się nawet do tego, że zakopła butelkę whisky w ogrodzie pod krzakiem róż, które kiedyś sadziła, gdy jeszcze ją to interesowało.

Największym lękiem Muriel Brazil była konieczność życia. Nie chciała żyć, a koszmar rehabilitacji i spotkań w grupie AA wisiały nad jej pamięcią jak cień potwornego ptaszyska, krążącego nad nią i wyciągającego szpony, gotowego ją porwać i pożreć żywcem. Nie chciała nic odczuwać. Nie chciała spotykać się z ludźmi, których znała tylko z imion, i którzy opowiadali o tym, jakimi kiedyś byli pijakami, w jakich pijatykach brali udział i jak wspaniale jest być trzeźwym. Wszyscy mówili o tym ze szczerością skruszonych grzeszników.

Ich nowy bóg nazywał się „trzeźwość” i pozwalał na palenie papierosów oraz picie czarnej kawy bez kofeiny. Ćwiczenia, picie dużej ilości wody i regularne rozmowy z partnerem były podstawą terapii, ale bóg oczekiwał też, że osoba uzależniona powinna zwrócić się do wszystkich, których kiedykolwiek obraziła, i ich przeprosić. Innymi słowy, pani Brazil miała powiedzieć synowi i ludziom, z którymi pracowała w Davidson, że jest alkoholiczką. Spróbowała to kiedyś zrobić, mówiąc o swoim problemie studentom, którzy pracowali z nią w stołówce.

- Już ponad miesiąc lecę się w poradni - powiedziała pani Brazil Heather, która pochodziła z Connecticut. - Jestem alkoholiczką.

Próbowała przyznać się do swojej choroby także Ronowi z pierwszej grupy, który mieszkał w Ashland w Wirginii. Oczekiwane katharsis nie nastąpiło. Studenci nie tylko nie zareagowali pozytywnie, ale wręcz zaczęli unikać Muriel. Spoglądali na nią z lękiem, a wieść szybko rozprzestrzeniła się po całym kampusie. Część z tego dotarła również do Andy'ego, wzbudzając w nim poczucie wstydu i wzmagając osamotnienie. Wiedział, że nie może mieć bliskich przyjaciół, ponieważ każdy, kto się do niego zbliży, natychmiast pozna prawdę. Nawet Virginia zetknęła się z tym natychmiast,

gdy tylko po raz pierwszy zadzwoniła do niego do domu. Był zaskoczony, a nawet zdumiony, że nie wpłynęło to na jej opinię o nowym znajomym.

- Mamo, może ci ugotuję jajka? - Zatrzymał się w otwartych drzwiach.

Światło z ekranu telewizora rozjaśniało ciemny pokój.

- Nie jestem głodna - odrzekła, nie odrywając wzroku od ekranu.

- Co dziś jadłaś? Zapewne nic, mam rację? Mamo, wiesz przecież, że to dla ciebie niedobre.

Matka, mierząc pilotem w telewizor, zmieniała program, w którym ludzie śmiali się i wymyślali sobie nawzajem.

- A może zrobię ci smażony ser? - Jeszcze raz spróbował.

- Jak chcesz.

Ponownie zaczęła zmieniać kanały. Nie potrafiła zachowywać się spokojnie w obecności syna. Było jej ciężko patrzeć mu w twarz, napotykać jego wzrok. Im Andy był dla niej miłszy, tym bardziej czuła się znieważana, chociaż nigdy nie mogła zrozumieć, dlaczego. Bez niego nie dałaby sobie rady. Kupował jedzenie i utrzymywał cały dom. Bony z opieki społecznej i niewielka renta z policji wystarczały na alkohol. Nie potrzebowała już wiele, aby się upić, ale wciąż zdawała sobie sprawę, jak wygląda jej życie. Pragnęła zapisać się na śmierć i pracowała nad tym każdego dnia. Gdy syn krzątał się po kuchni, w oczach pani Brazil pojawiły się łzy, w gardle czuła ucisk. Alkohol stał się jej wrogiem od chwili, gdy po raz pierwszy z nim się zetknęła. Miała wówczas szesnaście lat i Micky Latham zabrał ją wieczorem nad jezioro Norman, gdzie poczęstował ją morelową brandy. Ledwie pamiętała, że leżała w trawie i patrzyła na konstelacje gwiazdne, które rozmywały się jej przed oczami, gdy on, ciężko dysząc, niezręcznie dobierał się do guzików przy jej bluzce, jakby były jakimś nowym wynalazkiem. Miał dziewiętnaście lat i pracował w garażu, od czego stwardniała mu skóra na rękach, a Muriel niby pazury czuła je na swoich piersiach, których przed tą alkoholową inicjacją jeszcze nikt nigdy nie dotykał.

Kiedy słodka Muriel straciła swoje dziewictwo, też była noc, ale to nie

miało nic wspólnego z Mickym Lathamem. Raczej z zawiniętą w brązowy papier butelką ze sklepu ABC. Gdy Muriel piła, jej umysł unosił się tak, jakby mógł zaśpiewać. Czuła się szczęśliwa, wesoła i była w nastroju do zabawy. Jechała cadillakiem swojego ojca, gdy policjant Drew Brazil zatrzymał ją za przekroczenie dozwolonej prędkości. Muriel miała siedemnaście lat i była najpiękniejszą dziewczyną, jaką do tej pory spotkał. Jeśli nawet poczuł od niej tego wieczora alkohol, był zbyt oczarowany, aby wyciągnąć z tego jakiegokolwiek konsekwencje. On też wyglądał wspaniale w swoim mundurze, więc mandat nigdy nie został wypisany. Zamiast tego, gdy tylko Drew skończył służbę, pojechali na smażoną rybę do Big Daddy's. Pobrali się w Święto Dziękczynienia, gdy już drugi miesiąc z rzędu nie miała okresu.

Syn Muriel pojawił się w pokoju ze smażonym serem na żytnim chlebie, świeżo podgrzanym i przeciętym po przekątnej, tak jak lubiła. Na talerz Andy nalał sporo keczupu, aby matka mogła maczać w nim tosty. Przyniósł jej także wodę, której wcale nie miała zamiaru wypić. Był tak podobny do swojego ojca, że z trudem znosiła jego widok.

- Wiem, jak bardzo nie lubisz wody, mamó - powiedział, kładąc jej talerz i serwetkę na kolanach.

- Ale musisz ją wypić, zgoda? Na pewno nie chcesz sałatki?

Potrząsnęła głową i żałowała, że nie potrafiła mu podziękować. Niecierpliwiła się, ponieważ zasłaniał jej telewizor.

- Będę w swoim pokoju - dodał.

Dalej wprawiał się w strzelaniu na sucho, aż zaczął mu krwawić palec. Miał niesłychanie pewną rękę, ponieważ lata gry w tenisa wzmocniły mu mięśnie ramion i dłoni. Jego uchwyt był mocny jak z żelaza. Następnego dnia Andy obudził się podekscytowany. Była słoneczna pogoda i Virginia obiecała zabrać go późnym popołudniem na strzelnicę, aby jeszcze trochę z nim poćwiczyć. Poza tym poniedziałki miał wolne. Zupełnie nie wiedział, co

robić do popołudnia i jak sprawić, aby godziny płynęły szybciej. Zwykle poświęcał swój wolny czas na pracę.

Trawa była ciężka od rosy, gdy wymknął się z domu o wpół do ósmej. Z rakieta tenisową i siatką pełną piłek poszedł najpierw na bieżnię. Tam przebiegł sześć okrążeń, robiąc skłony i przysiady, aby uzyskać odpowiedni poziom endorfiny. Gdy skończył, trawa była już sucha i ciepła. Leżał w niej tak długo, aż krew w jego żyłach przestała się burzyć. Wsłuchiwał się w brzęczenie owadów w koniczynie i wdychał słodkogorzki zapach wegetującej roślinności i dzikiego czosnku. Gdy zbiegał ze wzgórza w stronę kortów tenisowych, jego spodenki gimnastyczne i koszulka były mokre od potu.

Na kortach kobiety grały w debla, więc Brazil grzecznie przebiegł za nimi, wybierając dla siebie możliwie odległe miejsce, aby nikomu nie przeszkadzać. Zamierzał odbić co najmniej sto piłek. Serwował najpierw po jednej stronie kortu, potem po drugiej, za każdym razem zbierając piłki do siatki. Był trochę zdenerwowany. Tenis to bezwzględny sport i od razu można poznać różnicę, jeśli nie ćwiczyło się tyle, ile trzeba. Czuł, że stracił nieco ze swojej zwykłej precyzji, i wiedział, co to oznacza. Jeśli znowu nie zacznie regularnie ćwiczyć, szlag trafi jedną z tych umiejętności, w których zawsze był świetny. Cholera. Kobiety na korcie numer jeden zauważyły, że grają gorzej, i cały czas z zawiścią obserwowały młodego mężczyznę na korcie numer cztery, który uderzał w piłki tak mocno, że wydawały dźwięki podobne do piłek baseballowych odbijanych kijem.

Komendant Judy Hammer także miała problemy z koncentracją. Przewodniczyła spotkaniu kierownictwa, które odbywało się w jej prywatnej sali konferencyjnej na trzecim piętrze. Okna wychodziły na Davidson i Trade, widziała przez nie także budynek potężnego US-Bank Corporate Center, zwieńczony idiotycznie wyglądającą, aluminiową koroną, która dziwnie przypominała fryzurę dzikusa z kością w nosie. Tego dnia dokładnie o ósmej rano, gdy Judy niosła na biurko swój pierwszy poranny kubek kawy,

wezwał ją do siebie dyrektor tego sześćdziesięciopiętrowego kolosa.

Solomon Cahoon był Żydem i jego matka najwyraźniej inspirowała się Starym Testamentem przy wyborze imienia dla swego pierworodnego męskiego potomka. Jej syn mógł być królem, który podejmował mądre decyzje, na przykład takie, jak ta w piątek, kiedy przekazał szefowej policji polecenie, aby zwołała konferencję prasową w celu poinformowania obywateli, że seryjne morderstwa mają podłoże homoseksualne i nie stanowią zagrożenia dla normalnych mężczyzn, odwiedzających w sprawach służbowych miasto. A także o tym, że w kościele baptystów Northside odbędzie się msza za rodziny ofiar i dusze zamordowanych. Poza tym policja bada wszelkie poszlaki.

- Tylko, żeby omówić sprawy - zapewnił komendantkę przez telefon Cahoon.

Judy i jej sześcioro zastępców, razem z ludźmi ze strategicznego planowania i analizy kryminalistycznej, omawiali najnowsze rozporządzenie przekazane z góry. Wren Dozier, zastępca komendantki do spraw administracyjnych, był wyjątkowo rozdrażniony. Miał czterdzieści lat, delikatne rysy twarzy i łagodnie wykrojone usta. Mieszkał samotnie w okolicy Fourth Ward, gdzie także wynajmowali mieszkania Tommy Axel i jego koledzy. Dozier wiedział, że nigdy nie awansuje powyżej kapitana. Wtedy do miasta przyjechała Judy Hammer, która nagradzała ludzi za dobrą pracę. Dałby się za nią pokroić.

- Co za cholerna bzdura - powiedział Wren, powoli i z wściekłością obracając swój kubek z kawą na blacie stołu. - Jak to wygląda z drugiej strony, ha? - Spojrzał na twarze zebranych. - Co z żonami i dziećmi ofiar? Mają pozostać w przekonaniu, że ich ojcowie i mężowie zapłacili za swoje homoseksualne skłonności, którym chcieli się oddać podczas przypadkowego spotkania na ulicy jakiegoś miasta?

- Nie ma dowodów, aby rozpowszechniać takie hipotezy - dodała Virginia West, która także nie popierała owego pomysłu. - Nie można im tego

powiedzieć. - Patrzyła badawczo na szefową.

Judy Hammer i Cahoon mogli nie dojść do porozumienia, a wtedy Sol, komendantka doskonale to wiedziała, miałyby powód, aby ją zwolnić. To i tak tylko kwestia czasu, takie rzeczy już się zdarzały. Przy obsadzie stanowiska, które piastowała, przede wszystkim chodziło o politykę. Miasto miało nowego burmistrza, a ten z całą pewnością wolał zatrudnić jako szefa policji kogoś ze swoich kręgów. To właśnie przytrafiło jej się w Atlancie i mogło się także zdarzyć w Chicago, jeśli sama by nie zrezygnowała. Naprawdę, nie chciałyby przeżyć kolejnego takiego doświadczenia. Następne miasta byłyby już tylko mniejsze, aż pewnego dnia skończyłyby dokładnie tam, gdzie zaczynała, w pogrążonym w zastoju ekonomicznym miasteczku Little Rock.

- Oczywiście, nie spotkam się z dziennikarzami, aby mówić im takie rzeczy - zapewniła Judy Hammer. - Nie zrobię tego.

- No tak, ale można poinformować opinię publiczną, że mamy pewne poszlaki dotyczące tych przypadków - odezwał się oficer informacyjny.

- Jakie poszlaki? - zapytała Virginia która kierowała działem dochodzeniowym i pierwsza powinna o tym wiedzieć.

- Jeśli coś będziemy mieli, z pewnością pójdziemy tym tropem - odrzekła Judy Hammer. - O to właśnie chodzi.

- Tego też nie możesz powiedzieć - uprzedzał ją oficer informacyjny. - Musimy sobie darować wszystkie „jeśli trafimy na cokolwiek”...

Komendantka przerwała mu niecierpliwie.

- Oczywiście, oczywiście. To się rozumie samo przez się. Nie chodziło mi dosłownie o to. Ale dość już na ten temat. Idźmy dalej. Oświadczenie dla prasy. - Spojrzała na oficera informacyjnego zza szkieł okularów. - Chcę mieć to na biurku do wpół do jedenastej, a do gazet puścimy to wczesnym popołudniem, aby zdążyli opublikować w jutrzejszym wydaniu. Zobaczą, czy uda mi się dojść do porozumienia z Cahoonem i wybić mu z głowy tamte bzdury.

Sekretarka Judy Hammer i jej asystentka niemal przez cały dzień

wydzwaniały do pracowników Cahoona. Wreszcie udało się zaaranżować spotkanie na późne popołudnie, mniej więcej między kwadrans po czwartej a piątą, w zależności od tego, kiedy pojawi się jakaś przerwa w napiętym do granic możliwości planie spotkań dyrektora. Pani Hammer nie miała innego wyjścia, tylko pojawić się w jego biurze o wyznaczonej porze i czekać.

O czwartej wyszła z budynku policji i udała się spacerem przez centrum miasta. Zachwyciła się pięknym popołudniem, bo dopiero teraz miała szansę to zauważyć. Minęła Trade, Tyron i po kilku minutach znalazła się przed siedzibą zarządu korporacji, gdzie płonął wieczny znicz i stały kamienne posągi. Jej obcasy stuknęły po marmurze, którym był wyłożony olbrzymi hol, gdy przechodziła obok okazałej, drewnianej boazerii i słynnych fresków przedstawiających filozofię Shingon: chaos, twórczość, czynienie i budowanie. Kiwnęła głową do jednego ze strażników, który także się jej uklonił, uchylając czapkę. Bardzo lubił panią komendant i uważał, że chodzi jak ktoś, kto doskonale wie, czego chce; poza tym była miła i nigdy nikim nie pogardzała, czy to był policjant czy ktoś inny.

Judy weszła do zatłoczonej windy i jako ostatnia wysiadła na samym szczycie korony, którą tworzyły aluminiowe rury. Dość często odwiedzała Cahoona. Przynajmniej raz w miesiącu wzywał ją do swojego gabinetu z mahoniem i szkła, z którego roztaczał się widok na całe miasto. Podobnie jak w Hampton Court Palace, goście musieli przejść przez wiele zewnętrznych poziomów i dziedzińców, aby dostać się do króla. Jeśli jakiś szaleniak uzbrojony w pistolet zamierzałby spełnić swój zamiar, zanim dotarłby do samego tronu, wiele sekretarek i asystentek mogłoby stracić życie, ale Cahoon, co jest wysoce prawdopodobne, nie usłyszałby najmniejszego hałasu.

Po przejściu przez kilka biur Judy Hammer znalazła się wreszcie w sekretariacie bezpośrednio sąsiadującym z gabinetem Cahoona. Pracowała w nim pani Mullis-Mundi, zwana także M&M przez tych, którzy jej nie lubili, a byli to w zasadzie wszyscy. Porównywano ją do cukierka, ale z orzechami.

Rozpuszczała się w ustach, łatwo jednak można było złamać na niej ząb. Judy doprawdy nie rozumiała, jaki był pożytek z tej pewnej siebie młodej osóбки, która po wyjściu za mąż zatrzymała swoje nazwisko i dodała do niego to po mężu, Joe Mundim. Pani Mullis-Mundi była typem bulimiczki, miała silikonowe implanty w piersiach i długie, farbowane blond włosy. Kupowała ubrania Annę Klein, rozmiar cztery, i używała perfum Escada. Codziennie ćwiczyła w Gold's Gym. Nigdy nie nosiła spodni i tylko patrzeć, jak oskarży kogoś o molestowanie seksualne.

- Judy, miło cię widzieć. - Osobista sekretarka wstała i wyciągnęła do niej radośnie rękę. - Zaraz sprawdzę, co on robi.

Pół godziny później Hammer wciąż siedziała na miękkiej, skórzanej kanapie w kolorze kości słoniowej. Przeglądała statystyki, notatki i setki spraw, które czekały w jej teczce na decyzje. Pani Mullis-Mundi nie odchodziła od telefonu i wcale nie wydawała się tym zmęczona. Zdjęła jeden kolczyk, potem następny, wreszcie przełożyła słuchawkę do drugiej, mniej zmęczonej ręki, jakby chciała podkreślić bolesne strony zajęcia sekretarki. Często patrzyła na swój duży, odporny na zadrapania zegarek marki Rado i wzdychała, potrząsając fryzurą. Miała olbrzymią ochotę zapalić jednego ze swoich cienkich, mentolowych papierosów, na którym wokół filtra znajdowała się kwiatowa otoczka.

Cahoon zdecydował się przyjąć komendantkę dokładnie po godzinie i trzynastu minutach. Jego dzień jak zwykle był długi, obfitował w zbyt wiele spraw, co kazało mu mniemać, że wszyscy chcą rozmawiać tylko z nim. Prawda jednak była taka, że wcale się nie śpieszył, aby poprosić Judy Hammer do siebie, niezależnie od tego, że to właśnie on nalegał na spotkanie. Miała przykre, buntownicze usposobienie, nigdy nie odstępowała od swoich poglądów, a poza tym od pierwszego spotkania traktowała go jak złego psa. W związku z tym, za każdym razem, gdy musiał coś z nią załatwić, stawał się nieomylny i konsekwentny. W taki dzień posłałby ją z powrotem na ulicę i zatrudnił na jej miejsce jakiegoś operatywnego mężczyznę, który nosiłby w

teczce „Wall Street Journal” i browning Hi-Power. Cahoon tak właśnie wyobrażał sobie nowego komendanta: jako kogoś, kto znał rynek, potrafił strzelać tak, aby zabić, i okazywał choć trochę szacunku władzom miasta.

Pierwszą myślą, która przychodziła Hammer do głowy za każdym razem, gdy spotykała się z władcą tego miasta, było, że ten człowiek zbił fortunę na kurzej farmie i przypisał swoją historię komuś innemu, o innym nazwisku. Niemal wierzyła, że tą drugą osobą był Frank Purdue. Solomon Cahoon zbił miliony na tłustych piersiach i udkach. Został bogaczem dzięki patelniom, tłustym, pieczonym kurczakom i małym termometrom, które wskazują dokładnie czas, gdy pieczone jest gotowe. To jasne, Cahoon wykorzystał te doświadczenia i efekty w bankowości. Był dość inteligentny, aby zdawać sobie sprawę, że jego przeszłość może stwarzać problem wiarygodności dla kogoś, kto zabezpiecza hipotekę przez US-Bank, jeśli ta osoba widziała dyrektora śmiejącego się do kawałków kurczaków w Harris-Teeter. Judy nie winiłaby go za stworzenie sobie alter ego, jednego lub nawet dwóch, jeśli naprawdę tak robił.

Jego biurko wykonano z klonowego drewna i choć niezbyt stare, wyglądało wspaniale i było dużo droższe od tego z okleiny, które miasto zafundowało szefowej policji. Cahoon kręcił się w skórzanym fotelu z zielonej, angielskiej skóry, przybitej mosiężnymi, ozdobnymi ćwiekami, i rozmawiał przez telefon, patrząc gdzieś poza szklaną ścianę i aluminiowe rury. Judy usiadła naprzeciw niego i znowu czekała. Właściwie wcale jej to nie przeszkadzało, gdyż z łatwością potrafiła przenieść się myślami gdzie indziej. Rozwiązywała w tym czasie różne problemy, podejmowała decyzje, układała w myślach listę rzeczy, które należałoby zbadać, i zastanawiała się, co powinno być na obiad i kto miałby go ugotować.

Cahoon zawsze wydawał jej się nagi od szyi w górę. Miał srebrzystosiwe włosy, ostrzyżone tak, że układały się na głowie jak korona. Krótko obcięte, rosły w górę i odstawały. Był zapalonym żeglarzem, dzięki czemu zawsze miał ogorzałą cerę i dużo zmarszczek na twarzy, rozpierała go energia i

znakomicie wyglądał w czarnym garniturze, śnieżnobiałej koszuli i jedwabnym krawacie od Fendiego w złote i purpurowe zegarki.

- Witaj, Sol - pozdrowiła go uprzejmie, gdy wreszcie odłożył słuchawkę.

- Judy, bardzo ci dziękuję, że przyszedł - odpowiedział swoim miękkim głosem z południowym akcentem. - Więc co zrobimy z tym gejowskim pogromem, zabójstwami pedziów? Tymi lachociągami zakażającymi nasze miasto? Domyślasz się, jaki fałszywy obraz Charlotte mają te wszystkie korporacje i firmy, które zastanawiają się nad zainwestowaniem tu pieniędzy? Że nie wspomnę już o wpływie na lokalny biznes.

- Lachociągi? - powoli powtórzyła. - Zakażające?

- Tak, madame. - Pokiwał głową. - Chcesz się napić wody mineralnej lub czegoś innego?

Podziękowała i pokręciła głową, uważnie ważąc słowa.

- Gejowski pogrom. Zabójstwa pedziów. Skąd to wzięłeś?

Nie żyła na tej samej planecie co on i to był jej wybór.

- Ależ, daj spokój. - Pochylił się do przodu, opierając łokcie na swoim kosztownym biurku. - Wszyscy wiemy, o co tu chodzi. Jacyś faceci przyjeżdżają do naszego miasta. Czują się swobodnie, oddają się swojemu zboczeniu, wydaje im się, że nikt ich nie przechytrzy. Ale anioł śmierci pokarał tych zboków. - Pokiwał głową z namaszczeniem. - Prawda, sprawiedliwość i poczucie godności. Bóg spuścił na dół swoją nogę.

- Synonimy - powiedziała.

- Hmm? - Cahoon zmarszczył brwi.

- To wszystko synonimy? - zapytała. - Prawda. Sprawiedliwość. Poczucie godności. Bóg spuścił swoją nogę na dół.

- Żebyś wiedziała, młodziku.

- Sol, nie nazywaj mnie tak. - Judy wyciągnęła przed siebie palec w taki sam sposób, jak wtedy, gdy dyskutowała z Virginią West, jeżdżąc z nią po mieście. - Nie nazywaj mnie tak. Nigdy.

Cahoon rozparł się wygodnie w swoim skórzanym fotelu, śmiejąc się

serdecznie, rozbawiony przez swoją rozmówczynię. Co za historia. Na szczęście ma męża, który ją usadzi i wskaże należne jej miejsce. Mógłby się założyć, że mąż Judy nazywa ją młodzikiem, a ona czeka na to w fartuszku, zupełnie tak jak Heidi, pierwsza i jedyna żona Sola. W sobotnie poranki Heidi podawała mu śniadanie do łóżka, oczywiście wtedy, kiedy zostawali w mieście. Robiła to zresztą do dzisiaj, po tylu latach wspólnego pożycia, chociaż efekt nie był już taki sam. Co się dzieje z ciałem kobiety, gdy przekracza trzydziestkę? Mężczyźni są gotowi i chętni aż do śmierci. Siedzą prosto w siodle, nie działa na nich siła grawitacji i dlatego właśnie rozważają znalezienie sobie młodszej kobiety.

- Wiesz, co to jest miód? - dopytywała się Judy Hammer. - To pożywienie dla larw. To znaczy łąsić się i być służalczym. Pochlebstwa. To właśnie mówisz, gdy chcesz, aby ktoś zacerował ci skarpetki i przyszył guziki. Boże, po co ja przeprowadziłam się do tego miasta? - Potrząsnęła głową całkiem poważnie.

- W Atlancie nie było wcale lepiej - przypomniał jej. - Ani w Chicago, a przynajmniej niezbyt długo.

- To prawda.

- A co z twoją konferencją prasową? - Przeszedł do poważniejszych kwestii. - Miałem bardzo dobry pomysł. I co? - Wzruszył drobnymi ramionami. - Gdzie moja konferencja prasowa? Czy za dużo chciałem? Ten budynek jest jak latarnia morska, dzięki której ściągamy biznes do Charlotte i całego okręgu. Musimy rozpowszechnić pozytywne informacje, takie jak na przykład sto pięć procent wykrywalności przestępstw w ostatnim roku...

Przerwała mu, ponieważ nie mogła już dłużej słuchać.

- Sol, to nie jest finansowy hokuspokus. Nie możesz manipulować końcowymi wynikami na papierze i w komputerach, i kazać, aby wszyscy to akceptowali.

Rozmawiamy o faktach. To gwałty, kradzieże, napady i morderstwa z ofiarami z krwi i kości. Chcesz, abym powiedziała społeczeństwu, że

wyjaśniliśmy w zeszłym roku więcej spraw, niż w istocie się wydarzyło?

- Rozwiązano także trochę spraw sprzed lat, dlatego ich liczba... - zaczął powtarzać to, co już powiedział.

Judy potrząsała głową, a rozdrażnienie Cahoon'a rosło. Ta kobieta jest jedyną osobą, która miała czelność rozmawiać z nim w ten sposób, jeśli nie brać pod uwagę jego żony i dzieci.

- Jakie stare sprawy? - zapytała Judy. - I co to znaczy: stare? Rozumiesz, jak to wygląda? To tak, jakby ktoś mnie zapytał, ile zarabiam jako szefowa policji, a ja bym odpowiedziała milion dolarów, ponieważ zliczę swoje dochody z dziesięciu lat.

- Jabłka i pomarańcze.

- Nie, wcale nie, Sol. - Potrząsała głową bardziej energicznie. - W tym wypadku nie chodzi o jabłka i pomarańcze. Bynajmniej. To jest nawóz.

- Judy. - Wyciągnął w jej stronę zakrzywiony palec. - A co powiesz o zjazdach, które nie odbędą się tutaj z powodu...

- Ależ, na litość boską! - Machnęła ręką i wstała. - Zjazdy o niczym nie decydują, tylko konkretni ludzie, i nie chcę więcej o tym słyszeć. Po prostu pozwól mi wykonywać moją pracę, dobrze? Za to mi przecież płacą. I nie mam zamiaru rozpowszechniać żadnego gówna. Do tego będziesz musiał znaleźć sobie kogoś innego. - Wstała, kończąc wizytę w jego gabinecie z imponującym widokiem. - Sto pięć procent! - Wzniosła w górę ręce w geście irytacji. - A tak przy okazji, na twoim miejscu uważałabym na sekretarkę.

- A co ona ma z tym wspólnego? - Cahoon czuł się wyraźnie skonfundowany, co zresztą zdarzało się niemal zawsze po rozmowie z szefową policji.

- Znam ten typ - ostrzegła go. - Ile ona chce?

- Za co? - zapytał zaskoczony.

- Zaufaj mi, pewnie wkrótce ci powie - odrzekła Judy, kiwając głową. - Ja sama nie chciałabym z nią pracować lub polegać na lojalności tej damy. Pozbyłabym się jej zaraz.

Pani Mullis-Mundi wiedziała, że spotkanie nie przebiegło dobrze. Szef nie poprosił o wodę, kawę, herbatę lub koktajl. Nie połączył się też z nią przez interkom, aby poinformować, że komendantka policji wychodzi. Pani Mullis-Mundi poprawiła makijaż pudrem Chanel i właśnie sprawdzała swój uśmiech w lustrze, gdy w drzwiach pojawiła się Judy Hammer. To nie była kobieta, która wybiela sobie zęby lub depiluje nogi woskiem. Szefowa policji rzuciła na jej lakierowane chińskie biurko jakieś raporty w teczce na dokumenty.

- To moje statystyki, te prawdziwe - powiedziała wychodząc. - Przejrzyj je i podsuń mu, gdy będzie bardziej zrelaksowany.

Gdy opuszczała budynek, energicznie stukając obcasami, po marmurowym holu wędrowała szkolna wycieczka. Komendantka spoglądała na swój zegarek marki Breitling, nie mając zupełnie pojęcia, która może być godzina. Tego dnia była dwudziesta szósta rocznica ślubu jej i Seta. Zaplanowali uroczystą kolację w Beef & Bottle, jednej z niewielu „mięsnych” restauracji, które on lubił, a ona tolerowała. Mieściła się na South Boulevard i za każdym razem, gdy Judy tam przychodziła, była jedyną kobietą, która zamawiała mięso.

Zaczęła, jak zwykle, od żabich udek w sosie winnoczosnkowym i sałaty. W ciemnym, wyłożonym drewnem wnętrzu robiło się coraz głośniejsze. Od lat spotykali się tu ojcowie miasta i planiści na prostej drodze do ataku serca. Seth, jej mąż, kochał jedzenie bardziej niż życie i z apetytem pochłaniał koktajl z krewetek, sałatę w słynnym sosie z pleśniowego sera, chleb, masło i befsztyk z polędwicy dla dwóch osób, który tradycyjnie zjadał sam. Kiedyś Seth był świetnie wykształconym i przystojnym asystentem burmistrza Little Rock i wpadł na sierżant Judy Hammer w siedzibie lokalnych władz.

Nigdy nie było wątpliwości, kto był motorem ich wzajemnych stosunków, i to stanowiło część powabu tej sytuacji. Seth lubił jej siłę; Ona lubiła, że on to lubił. Pobrali się i założyli rodzinę, za którą bardzo szybko właśnie on musiał odpowiadać, ponieważ żona awansowała i często wzywano ją do pracy w nocy. Potem zaczęli się przeprowadzać. To, że Judy Hammer

zatrzymała swoje nazwisko i nie przyjęła nazwiska męża, było zrozumiałe dla ludzi, którzy ich znali i rozumieli. Seth był delikatny, miał łagodny podbródek, przywodzący na myśl wizerunki ksiąząt o jasnych oczach i biskupów z galerii portretów w muzeach.

- Powinniśmy zabrać trochę tego sera do domu - zauważył teraz, odkładając kawałek na bok.

- Seth, martwię się o ciebie - powiedziała Judy, sięgając po swój kieliszek z winem.

- Domyślam się, że to porto, chociaż nie wygląda - kontynuował. - Może dodali tam chrzanu albo pieprzu cayenne.

Pasjonował się prawem i giełdą. Największym nieszczęściem, jakie spotkało go w życiu, stało się to, że odziedziczył rodzinne pieniądze i nie musiał pracować. Był mężczyzną delikatnym, w zasadzie łagodnym, spokojnym i często zmęczonym. Na tym etapie swojego życia przypominał słabą kobietę bez kręgosłupa, a jego żona zastanawiała się, jak to możliwe, że mogła popaść w lesbijski związek z mężczyzną. Boże, gdy Seth zaczynał debatować na jeden ze swoich ulubionych tematów, jak właśnie w tej chwili, Judy rozumiała zjawisko przemocy w rodzinie i czuła, że są sytuacje, w których użycie siły powinno być usprawiedliwione.

- Seth, to nasza rocznica - przypomniała mu po cichu. - Przez całą wieczór prawie ze mną nie rozmawiasz. Zjadłeś już chyba wszystko w tej cholernej restauracji i wcale na mnie nie patrzysz. Chcesz mi dać do zrozumienia, że coś jest nie tak? Mam zgadywać, czytać w twoich myślach czy iść do psychiatry?

Jej żołądek skurczył się nagle. Seth fundował jej najlepszą dietę, jaką kiedykolwiek stosowała, i był w stanie wpędzić Judy w anoreksję szybciej niż wszystkie inne stresy. W rzadkich momentach wyciszenia, kiedy spacerowała samotnie po plaży lub w górach, docierała do niej świadomość, że przez większą część ich małżeństwa wcale męża nie kochała. Jednak był dla niej opoką. Jeśli on by się przewrócił, jej także zawaliłoby się pół świata.

Na tym polegała władza Seta nad nią, wiedziała o tym, jak każda dobra żona. Dzieci, na przykład, mogłyby stanąć wówczas po jego stronie. To było w zasadzie niemożliwe, ale mimo wszystko Judy się bała.

- Nie rozmawiam z tobą, bo nie mam nic do powiedzenia - odpowiedział rzeczowo.

- Świetnie.

Złożyła swoją serwetkę i rzuciła ją na stół, rozglądając się za kelnerem.

Kilka kilometrów dalej, na Wilkinson Boulevard, za Bob's Pawn Shop, parkingiem dla ciężarówek, Coyote Joe's i niedaleko lokalu topless Paper Doli Lounge, na strzelnicy Firing Line toczyła się wojna za wojną. Brazil masakrował sylwetki, które ze zgrzytem przesuwwały się na linii strzału. W powietrzu fruwały łuski od naboju, by z brzękiem opaść na podłogę. Uczeń Virginii West robił niewiarygodne postępy. Była z niego dumna.

- Bumbum, wypadłeś z gry! - krzyczała na niego, jakby był wsiowym idiotą. - Zabezpiecz. Włóż magazynek, przeładuj! Odpowiednia postawa, odbezpiecz. Bambam! Stop!

Trwało to już ponad godzinę i starzy kowboje zerkali na nich ze swoich stanowisk, zastanawiając się, co, do diabła, tam się dzieje. Kim była ta lala, wrzeszcząca jak sierżant podczas musztry na tego pedalsko wyglądającego chłoptasia? Bubba, zrodzony przez Bubbę i prawdopodobnie spokrewniony z wieloma innymi, oparł się o ścianę z pustaków i naciągnął na oczy czapkę z napisem „Exxon”. Był potężny i brzydki, nosił stare robocze ciuchy i wojskową kamizelkę moro. Obserwował, jak statyw z celem zbliża się coraz bliżej do młodego blondyna.

Bubba zauważył, że chłopak strzela celnie i jest dobry w te klocki. Splunął do butelki i obejrzał się za siebie, aby sprawdzić, czy ktoś nie zamierza dotknąć jego glocka 20 lub remingtona XP-100. Ten pistolet wyglądał doskonale na workach z piaskiem. Automatyczny calico, model 110, z magazynkiem na sto naboju i wyciemiaczem błysku też nie był zły,

podobnie jak pistolet typu Browning Hi-Power HP-Practical, wyposażony w gumowe uchwyty, ząbkowaną iglicę i ruchomy przyrząd celowniczy.

Niewiele było rzeczy, które Bubba lubił bardziej niż porządny cel dla jego pistoletu maszynowego, mosiężne łuski fruujące jak szrapnele lub wrażenie, jakie robił na handlarzach narkotyków, którzy czasem za nim chodzili, wyjątkowo jednak nieskorzy byli do zaczepki. Bubba przyglądał się teraz tej suce, która zdejmowała ze statywu planszę z celem. Obejrzała ją dokładnie i spojrzała na tego swojego słodkiego chłopca o drętym wzroku.

- Kto cię tak wkurzył? - zapytała Brazila.

Gdy kolejne serie strzałów eksplodowały jak fajerwerki, Bubba potoczył się w ich kierunku.

- Co tu się dzieje? Jakaś szkółka czy co? - zapytał, jakby był właścicielem strzelnicy.

Kobieta spojrzała nań tylko, a jemu bynajmniej nie spodobało się to, co zobaczył w jej oczach. Z pewnością nie było w nich strachu. Doprawdy, najwyraźniej nie doceniała tego, na kogo patrzyła. Podszedł do jej stanowiska i wziął do rąk pistolet typu Smith & Wesson, który położyła.

- Niezła sztuka jak dla takiej lali jak ty. - Bubba skrzywił się okrutnie, ponownie spluwając do butelki.

- Odłóż to, proszę - odpowiedziała spokojnie.

Brazil przysłuchiwał się zaintrygowany i trochę zaniepokojony, niepewny, co z tego wyniknie. Ten wieprz o wielkim bebechu, ubrany jak Ruby Ridge lub gość z Oklahoma City, wyglądał na kogoś, kto lubił krzywdzić ludzi i był z tego dumny. Nie tylko nie odłożył policyjnego pistoletu, ale powoli wyjął magazynek, sprawdził łożysko i wyciągnął nabój z komory. Brazil pomyślał, że Virginia jest zupełnie bezbronna, a on niewiele mógł jej pomóc, ponieważ wystrzelał całą amunicję.

- Odłóż to. Natychmiast. - Była niemila. - To własność miasta, jestem policjantką.

- Jakże to? - Bubba najwyraźniej zaczynał się dobrze bawić. - Taka mała

kobietka jest gliną? Świetnie, ojej, ojej.

Virginia nie chciała ujawniać swojego stanowiska, bo to mogłoby tylko pogorszyć sytuację. Podeszła do intruza tak blisko, że niemal dotykała go czubkami swoich butów. Mogłaby dotknąć piersiami brzucha Bubby, gdyby tylko tego chciała.

- Ostatni raz proszę, abyś odłożył mój pistolet tam, gdzie leżał - wycedziła przez zęby, patrząc na jego czerwoną od whisky twarz.

Bubba utkwiał wzrok w Brazilu, jakby sądził, że ten ładny chłopaczek zechce skorzystać z lekcji, którą podsuwało mu życie. Potem podszedł do toru Virginii, położył jej pistolet i ruszył w stronę Andy'ego. Prowokacyjnie wziął do ręki jego trzydziestkęósemkę i zaczął oglądać broń. Brazil bez chwili namysłu zdzielił go w twarz, łamiąc mu nos. Bubba zalał się krwią, która zabrudziła mu kamizelkę, i natychmiast upuścił broń napastnika. Andy pośpiesznie spakował swoją torbę. Już na schodach Bubba krzyknął, że oboje jeszcze go popamiętają.

- Przepraszam - powiedział chłopak, gdy zostali sami.

- Chryste Panie, nie wolno tak atakować ludzi. Virginia była na siebie zła, że nie rozwiązała tego konfliktu sama.

Gdy Brazil ładował nowy magazynek, nagle uświadomił sobie, że po raz pierwszy w życiu kogoś uderzył. Zastanawiając się, jak się z tym czuje, popatrzył pożądlivym wzrokiem na służbowy pistolet Virginii.

- Ile coś takiego kosztuje? - zapytał z szacunkiem właściwym ludziom ubogim.

- Nie stać cię na to - odpowiedziała.

- Może będzie, jeśli sprzedam artykuł o tobie do pisma „Paradę”. Mój redaktor uważa, że byliby chętni go opublikować. Dostałbym za niego trochę forsy. Może by starczyło...

Tego tylko potrzebowała, kolejnego artykułu!

- Zawrzyjmy umowę - zaproponowała. - Nie sprzedasz mnie do „Paradę”.

Pożyczę ci pistolet, dopóki nie będzie cię stać na własny. Jeszcze trochę poćwiczmy, może na jakiejś innej strzelnicy. Zamarkujemy kilka sytuacji, z którymi możesz się zetknąć. Na przykład, jak pozbyć się natrętów. Uważam, że to dobry pomysł. Posprzątaj łuski.

Na ich stanowiskach walały się setki błyszczących łusek po nabojach. Brazil zaczął je zbierać i wrzucać do metalowej puszki, podczas gdy Virginia pakowała swoje rzeczy. Nagle spojrzała na niego z niepokojem.

- A co z twoją matką? - zapytała. Przerwał pracę i spochmurniał.

- O co ci chodzi?

- Zastanawiam się, czy to bezpieczne, abyś trzymał w domu broń.

- Już dawno nauczyłem się chować różne rzeczy.

I energicznie zabrał się do zbierania łusek.

Bubba czekał na parking, ukryty w swojej nieskazitelnie czystej półciągarówce koloru czerni i chromu, ze stelażem na broń, błotnikami wymalowanymi we flagi konfederatów, pałkiem zabezpieczającym, światłami przeciwmgielnymi, znakiem Ollie North na zderzaku, plastikowymi tubami na wędki i neonowymi lampkami wokół tablicy rejestracyjnej. Przyciskając do krwawiącego nosa złożony podkoszulek, i obserwował, jak policjantka i jej dupkowaty chłopak wychodzą ze strzelnicy i zanurzają się w gęstniejący mrok. Poczekał jeszcze chwilę, aż wyjęła kluczyki i podeszła do białego forda explorera, stojącego w kącie parkingu. Bubba domyślał się, że to jej prywatny wózek, co było mu jeszcze bardziej na rękę. Wyskoczył z kabiny, trzymając w potężnej dłoni lewarek, gotów im odpłacić za zniewagę.

Virginia spodziewała się tego. Miała doświadczenie w kontaktach z takimi Bubbami, dla których wzięcie rewanzu było czymś naturalnym, jak wypicie darmowego piwa na promocji. Sięgnęła do torby i wyjęła z niej coś, co wyglądało jak czarna rączka od kija golfowego.

- Wejź do samochodu - poleciła Brazilowi.

- Ani myślę - zaprotestował, nie ruszając się z miejsca, podczas gdy napastnik szedł w ich stronę z ponurym grymasem na zakrwawionej twarzy.

Był mniej więcej dwa metry od wozu, gdy Virginia ruszyła mu na spotkanie. Bubba zdziwił się, nie oczekiwał bowiem ataku ze strony tej filigranowej policjantki. Wysunął przed siebie ostrzegawczo żelastwo od opon, a następnie uniósł lewarek w górę, patrząc znacząco na elegancką, przednią szybę białego forda.

- Hej! - rozległ się od strony strzelnicy głos Weasela, właściciela. - Bubba, co ty masz zamiar zrobić, człowieku!

Nagle powietrze przeszył świst stalowego pręta blisko metrowej długości. Wysunął się z zaokrąglonej rączki, którą Virginia skierowała w stronę Bubby. Rysowała w powietrzu zamasztyte kółka zupełnie jak szermierz.

- Odłóż to na ziemię i odejść - rozkazała napastnikowi policyjnym tonem.

- Pieprz się! - Bubba zdecydowanie stracił już cierpliwość, ponieważ puściły mu nerwy. Widział taką broń na pokazach i wiedział, jak działa.

- Bubba! Daj spokój, natychmiast! - zawołał Weasel, który prowadził czysty interes.

Brazil zauważył, że właściciel jest zdenerwowany, ale nie podszedł nawet o krok do rozwścieczonego mężczyzny. Andy kręcił się niecierpliwie, zastanawiając się, co zrobić. Wolał jednak nie wchodzić Virginii w drogę. Gdyby tylko miał amunicję! Mógłby strzelić w ten lewarek lub w coś innego, dla odwrócenia uwagi. Porucznik West rozegrała to jednak po swojemu. Bubba znowu zaczął wymachiwać żelazem, tym razem zdecydowany przywalić nim w samochód. Zresztą jego żądza zemsty nie była najważniejsza. Musiał to zrobić, zwłaszcza teraz, gdy obok Weasela zgromadził się spory tłumek gapiów. Jeśli Bubba nie pomści swojego zranionego nosa, wszyscy w regionie Charlotte-Mecklenburg będą o tym wiedzieć.

Porucznik West zdzieliła napastnika prętem w nadgarstek. Zawył z bólu, a lewarek upadł na parking. I to był koniec awantury.

- Dlaczego go nie aresztowałaś? - zapytał Andy nieco później, gdy przejeżdżali obok Latta Park w Dilwoth, gdzie mieszkała.

- Nie było potrzeby - wyjaśniła, zaciągając się papierosem. - W końcu nie zrobił mi krzywdy ani nie zniszczył samochodu.

- A co będzie, jeśli nas oskarży o napaść? - Przyszła mu nagle do głowy absurdalna myśl.

Zaśmiała się, jakby jej towarzysz zupełnie nie znał życia.

- Nie sądzę. - Skręciła na podjazd przed swoim domem. - Byłby ostatnim głupcem, gdyby chciał się pochwalić przed światem, że został pobity przez kobietę i dzieciaka.

- Nie jestem dzieciakiem! - zaprotestował Andy.

Jej dom był taki, jak go zapamiętał z czasu pierwszej wizyty, a płotu więcej nie przybyło. Brazil, nie pytając o nic, poszedł za nią przez podwórko do małego warsztatu, gdzie znajdował się stół z przymocowaną piłą i spora kolekcja narzędzi, porządnie poukładanych na półkach. Andy odniósł wrażenie, że Virginia robiła tu domki dla ptaków, szafki, nawet meble. Sam wykonywał wystarczająco dużo najróżniejszych prac przy domu, aby docenić niecodzienne umiejętności swej preceptorki.

- To dopiero - powiedział, rozglądając się wokół.

- Co takiego? - Zamknęła drzwi i włączyła radio.

- Co cię skłoniło, aby się tego wszystkiego nauczyć?

- Konieczność przeżycia - powiedziała, schylając się do małej lodówki.

Butelki zabrzczały, gdy wyjmowała piwo.

Brazil właściwie nie lubił piwa, ale czasami pił. Miało smak zgnilizny, dostawał po nim głupawki i robił się śpiący. Ale wolałby umrzeć, niż przyznać się do tego.

- Dzięki - powiedział, otwierając butelkę i wyrzucając kapsel do kosza.

- Gdy zaczynałam, nie stać mnie było na fachowców do pomocy przy pracach domowych. Więc nauczyłam się paru rzeczy sama. - Otworzyła

solidnie wyglądającą skrzynkę i wyjęła z niej pistolety. - Poza tym, jak wiesz, wychowywałam się na farmie. Wszystkiego nauczyłam się od mojego ojca i wynajmowanych ludzi.

- A czego nauczyłaś się od mamy?

Rozkładała na części pistolety z taką wprawą, że mogłaby to robić przez sen.

- Czego? - Spojrzała na niego znad stołu.

- No wiesz, chodzi mi o prace domowe. Gotowanie, sprzątanie, wychowywanie dzieci.

Uśmiechnęła się i otworzyła pudełko z przyborami do czyszczenia broni.

- Czy gotuję i sprzątam dla siebie? A czy widzisz tu gdzieś żonę? - Wręczyła mu wycior i szmatki.

Pociągnął z butelki duży łyk piwa i szybko je przełknął, jak zwykle. Poczul się bardziej pewny siebie i starał się nie zwracać uwagi na to, jak ślicznie Virginia wyglądała w szarej podkoszulce i džinsach.

- Ja przez całe życie babram się w takich gównach, a przecież także nie jestem żoną - powiedział.

- Co ty wiesz! - rzuciła, wkładając wycior do brązowej buteleczki z rozpuszczalnikiem.

- Nic. - Powiedział to wyzywającym tonem.

- Nie pokazuj mi tu swoich humorów, dobrze? - rzuciła Virginia, której nie chciało się bawić w żadne gierki, bo czuła się na to za stara.

Andy nałożył wacik na wycior i zanurzył go w płynie Hoppes. Kochał ten zapach i nie miał zamiaru z niczego jej się zwierzać. Jednak piwo miało swój własny język.

- Pogadajmy jeszcze o tym żoninym gównie - naciskała go.

- Co chcesz, abym ci powiedział? - zapytał Brazil, mężczyzna.

- Wytłumacz mi, co to znaczy - chciała wiedzieć.

- Co do teorii - zaczął czyścić lufę trzydziestkiósemki - nie jestem całkiem pewien. Może ma to coś wspólnego z rolami, systemem kastowym,

porządkiem dziobania, hierarchią, ekosystemem...

- Ekosystemem? - Zmarszczyła brwi, pryskając preparatem Gunk Off w lufę pistoletu i na inne jego części.

- Chodzi o to - wyjaśniał dalej - że bycie żoną nie ma nic wspólnego z tym, co robisz, ale z tym, co ktoś o tobie myśli. Tak jak ja robię teraz to, co chcesz, abym zrobił, ale to nie znaczy, że jestem niewolnikiem.

- Nie sądzisz, że tutaj rolę są trochę odwrócone? Kto komu daje instrukcje, jak strzelać? - Zaczęła czyścić lufę szczoteczką do zębów. - Robisz to, co chcesz. A ja robię to, co ty chcesz. Po nic, tak sobie. I kto jest niewolnikiem? - Prysnęła sprayem i podała mu puszkę.

Brazil sięgnął po piwo. Co do piwa, wiedział jedno: im jest cieplejsze, tym gorsze w smaku.

- Wyobraźmy sobie, że pewnego dnia dorośniesz i ożenisz się - powiedziała. - Czego będziesz oczekiwał od swojej żony?

- Partnerstwa. - Wrzucił butelkę do kosza. - Nie chcę mieć służącej. Nie potrzebuję nikogo, kto miałby się o mnie troszczyć, sprzątać po mnie i gotować. - Przyniósł jeszcze dwa piwa, otworzył je i jedną butelkę postawił na stole. - Uważasz, że któregoś dnia będę zbyt zajęty, aby samemu zajmować się tym głównym? To zatrudnię gosposię. Lecz nie zamierzam się z nią żenić - dodał takim tonem, jakby małżeństwo było najdziwniejszym wynalazkiem, jaki to społeczeństwo kiedykolwiek wymyśliło.

- Aha.

Wzięła do ręki lufę trzydziestkiósemki, sprawdzając, jak jest wyczyszczona. To mówi facet, pomyślała. Różnica była tylko taka, że ten akurat potrafił posługiwać się słowem lepiej niż inni. Nie wierzyła mu ani trochę.

- W środku powinna wyglądać jak lustro. - Położyła przed nim na stole lufę. - Czyść, ale tak, aby nie zadrapać.

Wziął do ręki lufę, a potem piwo.

- Wiesz co, ludzie powinni się żenić czy wychodzić za mąż, mieszkać

razem i tak dalej, robić te wszystkie rzeczy - mówił, zanurzając szczoteczkę w rozpuszczalniku i zabierając się do czyszczenia. - Ale nie powinno być żadnych ról. Sprawy muszą się układać praktycznie, a ludzie powinni sobie nawzajem pomagać jak przyjaciele. Jeden jest w tym słaby, lecz dobry w czymś innym, więc powinni wykorzystywać swoje zdolności, razem gotować, grać w tenisa, łowić ryby. Spacerować po plaży. Długo w nocy rozmawiać. Nie być egoistami i troszczyć się o siebie.

- Wydaje mi się, że sporo o tym myślałeś - zauważyła Virginia. - Niezły scenariusz.

- Jaki scenariusz? - Spojrzał na nią zdziwiony.

Napiła się piwa.

- Już to wszystko wcześniej gdzieś słyszałam. Jak widać, to wraca.

Podobnie uważała żona Bubby, pani Rickman, której imię przestało mieć znaczenie, gdy dwadzieścia lat temu wzięła ślub w kościele baptystów. To było w Mount Mourne, gdzie do dziś pracowała w B&B, knajpie znanej z najlepszych śniadań w mieście. Hot dogi i hamburgery z B&B także były bardzo popularne, zwłaszcza wśród studentów w Davidson no i, oczywiście, wśród innych Bubbów, zaglądających tam po drodze nad jezioro Norman, gdzie łowili ryby.

Kiedy skończyli czyścić broń, Andy zaproponował Virginii, aby w drodze powrotnej zatrzymali się coś zjeść, żadne z nich jednak nie miało pojęcia, że gruba, zmęczona kobieta, która do nich wyszła, to nieszczęsna żona Bubby.

- Dzień dobry, pani Rickman - przywitał kelnerkę Brazil.

Uśmiechnął się do niej jasnym, ujmującym uśmiechem i jednocześnie poczuł litość, jak zawsze, gdy przychodził do B&B. Doskonale wiedział, jaka to ciężka praca, i pomyślał ze smutkiem o swojej matce, która też tak harowała przez wiele lat, gdy mogła jeszcze pracować. Pani Rickman ucieszyła się na jego widok. Zawsze był taki miły.

- Jak tam, mój mały? - wychrypiała, podając mu oprawione w plastik

menu. - Spojrzała na jego towarzyszkę.

- Kim jest twoja piękna przyjaciółka?

- To Virginia West, zastępczyni komendantki policji w Charlotte. - Brazil popełnił błąd, mówiąc o tym.

Tak więc Bubba poznał nazwiska swoich wrogów.

- Oj, oj. - Pani Rickman była pod wrażeniem i nie spuszczała wzroku z tak ważnej osoby, siedzącej w B&B. - Zastępczyni komendantki. Nie wiedziałam, że kobiety mogą zejść tak wysoko. Co podać? Wieprzowe barbecue jest dziś znakomite.

- Cheeseburger i frytki, butelkę Millera - zamówiła Virginia. - Dodatkowy majonez i keczup. Może pani położyć kawałek masła na bułce przed podgrzaniem?

- Oczywiście, kochanie. - Pani Rickman pokiwała głową.

Nigdy nie zapisywała zamówień Brazila.

- To, co zawsze - mrugnął do niej.

Odeszła, czując, że biodro boli ją bardziej niż wczoraj.

- Co zwykle zamawiasz? - zapytała Virginia.

- Kanapkę z tuńczykiem, sałatkę z pomidorów, bez majonezu. Surówka z kapusty, lemoniada. Chcę pojechać z tobą na patrol. W mundurze.

- Po pierwsze, nie jadę na patrol. Po drugie, jeśli jeszcze tego nie zauważyłeś, mam swoją pracę, co prawda, to nic ważnego, tylko cały wydział dochodzeniowy: zabójstwa, włamania, gwałty, podpalenia, defraudacje, kradzieże samochodów - wyliczała. - Urzędnicy, komputery, zorganizowane przestępstwa. Wykroczenia popełniane przez nieletnich. Oczywiście, jest też sprawa seryjnego mordercy, nad którą pracują wszyscy moi detektywi. - Zapaliła papierosa i wyciągnęła rękę po piwo, zanim jeszcze pani Rickman zdążyła postawić butelkę na stole. - Wolałabym nie pracować dwudziestu czterech godzin na dobę, jeśli pozwolisz. Wiesz, jak zachowuje się mój kot? Nie przychodzi do mnie, nie chce ze mną spać. Nie wspomnę już o tym, że

od tygodni nie byłam w kinie ani w restauracji. - Napiła się piwa. - Nie skończyłam płotu. Kiedy po raz ostatni sprzątałam dom? - Czy to znaczy, że nic z tego? - zapytał Andy.

ROZDZIAŁ 8

Bubba nazywał się Joshua Rickman i pracował jako operator podnośnika widłowego w zakładach Ingersoll-Rand w Cornelius. Czasy największej świetności firma przeżywała we wczesnych latach osiemdziesiątych, kiedy to skonstruowano w niej maszynę do wytwarzania śniegu, wykorzystywaną na zimowych igrzyskach olimpijskich. Bubba nie znał szczegółów, ale niewiele go to obchodziło. Sprężarki powietrzne zaś spotykało się często na dużych autostradach, używano ich na całym świecie. Producenta czekała międzynarodowa kariera. Tego poniedziałkowego ranka Bubba ładował skrzynki do magazynu, głęboko zatopiony w myślach.

Żona wspomniała mu o chłopaku z Davidson, który spotyka się z jakąś kobietą, grubą rybą w policji. Tak. Bubba nie musiał się długo zastanawiać, aby połączyć jedno z drugim. Nos bolał go jak diabli, ale nie zamierzał iść do lekarza. Po co? Wyznawał filozofię, że nie da się nic zrobić z rozwalonym nosem, naderwanym uchem, wybitymi zębami i innymi, niezagrażającymi życiu obrażeniami głowy, chyba że ktoś ma zamiar zrobić sobie operację plastyczną, czego on z pewnością nie planował. Jego nos zawsze wyglądał jak wielki kartofel i w tym wypadku chodziło tylko i wyłącznie o ból. Za każdym razem, gdy Bubba wydmuchiwał nos, pojawiała się krew, oczy napęśniały mu się łzami, a wszystko to z powodu tego małego skurwysyna. Joshua Rickman nie zamierzał puścić tego płazem.

Miał kilka książek o tym, jak sobie radzić z życiowymi problemami i kiedy trzeba, zawsze do nich zaglądał. Do najpożyteczniejszych zaliczał: „Niech zapłacą” i „Załatw sam swoje porachunki”, tom pierwszy i drugi. Były to podręczniki skutecznych metod zemsty, napisane i opublikowane

własnym sumptem przez znanych oszustów w Kolorado. Bubba odkrył je na pokazach strzelniczych, na które jeździł od czasu do czasu. Jednym z polecanych tam sposobów rewanzu były bomby. A co z telewizyjną lampą elektronową, która może eksplodować, lub piłeczką do ping-ponga, wypełnioną chloranem potasowym i czarnym prochem? Może jednak nie to. Bubba chciał dokonać konkretnych zniszczeń, ale nie był zainteresowany ściąganiem na siebie uwagi agentów FBI. Wcale nie tęsknił za więzieniem. Zastanawiał się raczej nad jakimś innym sposobem, sztuczką, czymś w rodzaju specjalnych zapachów kupowanych w sklepie dla myśliwych, które przyciągnęłyby na podwórko tej policjantki gryzonie, robale, gady i inne zwierzęta z całej okolicy. Już one w jedną noc zniszczyłyby teren wokół domu. Bubba szarpnął wózkami, zafascynowany swoim pomysłem.

Mógłby też wlać śmierdzącą piwem urynę do jej samochodu, zamontowawszy rurkę pod przednimi drzwiami wozu. Mógłby anonimowo wysłać jej pocztą włosy. Czy w końcu by się stąd wyprowadziła? Do diabła, z pewnością tak. Sama by tego zapragnęła, tak, tak. A może spróbować z Morską Bryzą w gimnastycznych gatkach tego blondasa, z którym się pieprzy, chyba że oboje są homo-niewiadomo, a na ten temat Bubba też miał swoje zdanie. Prawdę powiedziawszy, jeśli mężczyzna jest taki przystojny, a babka ma taką władzę, to oboje są podejrzani. Po tym, co się wydarzyło, nie miał już wątpliwości. Tamten laluś dostanie to, na co zasłużył, od mężczyzny takiego jak Bubba, którego ulubionym filmem było „Uwolnienie”. Da nauczki temu gnojkiowi, oj da. Bubba tak bardzo nienawidził pedałów, że wypatrywał ich w każdym barze dla sportowców, na każdym postoju ciężarówek, w każdym wozie, który mijał na autostradach, a także w polityce i przemyśle rozrywkowym.

Virginia West i Brazil nie mieli pojęcia o groźącym im niebezpieczeństwie. Nie myśleli o własnych sprawach w tamten wtorkowy wieczór, kiedy światła policyjnego radiowozu wydobywały z mroku rozbite

szkło i pogieęte szczątki wozu patrolowego, który rozbił się w sąsiedztwie zamożnej dzielnicy mieszkalnej Myers Park. Raines i inni sanitariusze musieli skorzystać z narzędzi hydraulicznych, aby wydobyć ciała z mercedesa 300E, który dosłownie owinął się wokół drzewa. Wszyscy byli spięci i zdenerwowani. Syreny policyjne wyły, a policjanci ustawiali bramki, blokując ulicę. Brazil zaparkował swoje BMW tak blisko, jak tylko mu pozwolono, i pobiegł w stronę czerwono-niebieskich świateł i warczących silników.

Chwilę potem przyjechała porucznik West. Na jej widok policjanci cofnęli się, ustępując z drogi. Od razu zauważyła, że Andy swoim zwyczajem gorączkowo robił notatki. Był wyraźnie wstrząśnięty, widząc, jak Raines i inni sanitariusze wnoszą z mercedesa kolejne zwłoki i pakują do plastikowego worka. Ratownicy ułożyli ciało ofiary obok trzech innych na chodniku, poplamionym olejem i krwią. Virginia oglądała rozbity wóz patrolowy z Charlotte, na drzwiach którego widać było emblemat z gniazdem szerszeni. Po chwili jej uwagę zwrócił stojący w pobliżu inny radiowóz. Z tyłu siedziała policjantka Michelle Johnson, trzymając przy poranionej twarzy zakrwawioną chusteczkę. Jej ciałem wstrząsały dreszcze. Virginia podeszła do wozu, otworzyła tylne drzwi i usiadła obok będącej w szoku policjantki.

- Wszystko będzie dobrze - powiedziała, obejmując ramieniem młodą kobietę, która nie mogła pojąć, co się stało. - Zawieziemy cię do szpitala.

- Nie! Nie! - krzyknęła Michelle, zakrywając głowę rękami, jakby samolot spadał w dół. - Nie widziałam go, aż do chwili gdy przejeżdżał przez skrzyżowanie. Ja miałam zielone światło. Odpowiadałam przez radio dziesięć-trzydzieścitrzy, ale miałam zielone światło. Przysięgam. Och, Boże. Nie, nie. Błagam, błagam, błagam.

Brazil też podszedł do radiowozu i usłyszał, co mówiła młoda policjantka. Przez szyby widział, jak Virginia uspokajała Michelle Johnson, która

kilkanaście minut wcześniej staranowała tamten samochód i zabiła wszystkich pasażerów. Virginia spojrzała na Andy'ego, a ich oczy na moment się spotkały. Długopis, który trzymał w ręku, zawisł w powietrzu. Chciał robić dalsze notatki, lecz doskonale wiedział, że nie mógłby zamieścić tego w swoim artykule. Zrezygnowany, opuścił ręce i wolnym krokiem oddalił się od radiowozu, czując, że nie jest już tym samym dziennikarzem i człowiekiem, jakim był jeszcze przed chwilą.

Wrócił do redakcji i wolno podszedł do swojego biurka. Był zgaszony i osowiały. Odsunął krzesło, wpisał do komputera hasło i zaczął przeglądać pliki. Betty Cutler, redaktorka nocnego wydania, wyglądała jak stara wrona. Krążyła po pokoju, czekając na Brazila, i gdy tylko go zauważyła, rzuciła się nań jak drapieznik. Gdy mówiła, miała nieznośny zwyczaj pociągania nosem. Andy zastanawiał się nawet, czy nie był to przypadkiem efekt problemów kokainowych.

- Musimy to oddać w ciągu czterdziestu pięciu minut - oświadczyła. - Co mówiła policjantka?

Brazil zaczął spisywać informacje z notesu.

- Jaka policjantka? - zapytał, chociaż doskonale wiedział, o kogo pyta Betty Cutler.

- Chryste Panie, policjantka, która właśnie wyprawiła na tamten świat całą pięcioosobową rodzinę. - Pociągnęła nosem, ukazując dolne zęby.

- Nie rozmawiałem z nią.

Redaktorka nocnego wydania nie mogła w to uwierzyć. Nie chciała w to uwierzyć. Jej oczy żarzyły się, jakby zamierzała prześwidrować go nimi na wylot.

- Do cholery, co to znaczy, że z nią nie rozmawiałeś, Brazil? - Podniosła głos tak, że wszyscy usłyszeli. - Przecież tam byłeś!

- Trzymali ją w radiowozie - powiedział, kartkując notes.

- Więc trzeba było zapukać w okno - besztła go głośno Betty. - Otworzyć drzwi i zrobić to, co należało.

Andy przestał pisać i spojrzał na kobietę, która naprawdę działała na niego przygnębiająco. Nie interesowało go nawet, czy zdawała sobie z tego sprawę.

- Może jednak ty powinnaś to zrobić - powiedział.

Gdy następnego dnia o szóstej rano na podłodze werandy wylądowała poranna gazeta, Andy był już na nogach. Zdażył nawet przebiec pięć okrążeń bieżni. Wziął też prysznic i ubrał się w policyjny mundur. Otworzył drzwi, podniósł gazetę i ściągnął gumkę z rulonu, chcąc jak najprędzej zobaczyć swój tekst. Szybko przeszedł przez ponuro wyglądający pokój i zagraconą, brudną kuchnię, gdzie przy nakrytym ceratą stole siedziała jego matka i w trzęsących się rękach trzymała kubek z kawą. Paliła papierosa i tylko chwilami miała kontakt z rzeczywistością. Brazil rzucił gazetę na stół. Na pierwszej stronie wielkimi literami krzychał tytuł: „W policyjnej kraksie ginie pięcioosobowa rodzina”. Na dużej, kolorowej fotografii widać było zbite szyby, poskręcane fragmenty karoserii i policjantkę Michelle Johnson płaczącą w radiowozie.

- Nie mogę w to uwierzyć! - zawołał Brazil. - Spójrz! Ten cholerny nagłówek sugeruje, że to wina policjantki, chociaż nikt jeszcze nie wie, jaka była przyczyna wypadku!

Matka nie wykazywała najmniejszego zainteresowania sprawą. Powoli wstała z krzesła, kierując się w stronę drzwi prowadzących na ganek z tyłu domu. Jej syn przyglądał się z obawą, gdy niepewnym krokiem podeszła do ściany, by zdjąć z wieszaka klucze.

- Dokąd idziesz? - zapytał.

- Do sklepu. - Zaczęła szukać czegoś w starej, zniszczonej torbie.

- Byłem tam wczoraj.

- Skończyły mi się papierosy. - Otworzyła portmonetkę i zmarszczyła brwi.

- Kupiłem ci cały karton, mamó.

Popatrzył na nią z niepokojem.

Doskonale wiedział, co matka chciała kupić, i ogarnęło go dobrze znane uczucie klęski. Westchnął ze złością, widząc, jak matka przelicza pieniądze.

- Możesz mi dać dziesięć dolarów?

- Nie będę ci kupował alkoholu - oświadczył. Zatrzymała się przy drzwiach, spoglądając na swojego jedyne go syna, którego nie umiała kochać.

- Dokąd się wybierasz? - zapytała z okrutnym grymasem, który nadawał jej twarzy nieprzyjemny i obcy wyraz. - Na bal przebierańców?

- Na paradę - odpowiedział ze złością. - Będę kierował ruchem.

- Srada parada - zadrwiła. - Nie jesteś policjantem i nigdy nie będziesz. Tak ci spieszo, żeby dać się zabić? - Na moment ogarnął ją smutek. - Chcesz, bym została sama? - Trzasnęła drzwiami i wyszła.

Później wcale nie było lepiej. Andy piętnaście minut przebijał się przez zatłoczony, wielokondygnacyjny parking policyjny i w końcu zostawił swoje BMW na miejscu dla prasy, chociaż w zasadzie nie przyjechał tam w sprawach gazety. Dzień był piękny, ale Brazil nie miał ochoty spotykać ludzi, udał się więc do departamentu policji tunelem, łączącym parking z budynkiem. Po każdym spięciu z matką napełniał go wewnętrzny spokój. Chciał być wtedy sam. Nie miał ochoty z nikim rozmawiać.

W dziale kontroli wyposażenia otrzymał krótkofalówkę i kluczyki do nieoznakowanego auta, którym miał jeździć podczas dorocznej Parady Wolności w sektorze Charlie Two, między Tryon a Independence Boulevard. Była to skromna impreza, sponsorowana przez lokalnych Shrinersów, którzy brali w niej udział na skuterach, wystrojeni w swoje kapelusze z kitkami. Brazil nie mógł dostać gorszego samochodu. Ford crown victoria był stary, z porysowaną karoserią i miał na liczniku sto siedemdziesiąt tysięcy kilometrów. Połączenie radiowe w każdej chwili mogło się urwać, zakładając oczywiście, że ten cholerny grat w ogóle ruszy, co wcale nie było pewne.

Brazil po raz kolejny włożył kluczyk do stacyjki i przycisnął pedał gazu tak mocno, jakby chciał wyrzucić ten stary silnik na drugą stronę. Akumulator dostarczał tylko tyle prądu, aby uruchomić skaner i radio, ale na

więcej już nie starczało. W końcu samochód rozpaczliwie zakwilił. Brazil się wściekł.

- Cholera.

Walnął w kierownicę, uderzając niechcący w klakson. Stojący niedaleko gliniarze odwrócili się zdziwieni.

Komendant Judy Hammer też przeżywała złe chwile, siedząc nieopodal w restauracji Carpe Diem na South Tryon, naprzeciwko budynku Knight-Ridder. Dwie jej zastępczynie, Virginia West i Jeannie Goode, zajęły miejsca w zacisznym kącie stołu. Jadły lunch i zawzięcie dyskutowały. Goode, w wieku Virginii, była zazdrosna o każdą kobietę, która czegoś w życiu dokonała, zwłaszcza jeśli w dodatku nieźle wyglądała.

- To najbardziej zwariowana rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałam - mówiła teraz, nabierając na widelec sałatkę z kurczaka. - Trzeba zacząć od tego, że on w ogóle nie powinien tam z nami być. Widziałyście nagłówek w dzisiejszej gazecie? Sugeruje, że to policja jest odpowiedzialna za wypadek, bo Michelle Johnson ściagała tego mercedesa. Niewiarygodne. Nie wspomnę już o tym, iż droga hamowania jednoznacznie pokazuje, że nasz wóz nie przejechał na czerwonym świetle.

- Andy Brazil nie napisał tego - oświadczyła Virginia, zwracając się do swojej szefowej, która jadła ser z owocami. - Proszę tylko, abym mogła przynajmniej jeszcze przez tydzień zabierać go na patrole.

- Chcesz jeździć do wezwań? - zdziwiła się Judy, sięgając po mrożoną herbatę.

- Zdecydowanie - odrzekła szefowa dochodzeniówki, widząc, że Jeannie patrzy na nią wzrokiem pełnym potępienia.

Judy Hammer odłożyła widelec i spojrzała na Virginie.

- Dlaczego on nie może jeździć z normalnym patrolem? Poza tym mamy jeszcze pięćdziesięciu innych wolontariuszy. Nie mógłby pracować z nimi?

Virginia zawahała się i dała znak kelnerce, że napiłaby się jeszcze kawy.

Poprosiła też o dodatkowy majonez oraz keczup do swojej kanapki i frytek. Dopiero potem zwróciła się do przełożonej, ignorując zupełnie Jeannie.

- Nikt nie chce z nim jeździć - powiedziała. - Ponieważ jest dziennikarzem. Dobrze wiesz, co gliniarze sądzą o „Observerze”. Tego się nie da zmienić do jutra. Poza tym czuję tu spory element zazdrości. - Spojrzała znacząco na szefową patroli.

- Zapomniałaś dodać, że jest aroganckim mądrą o roszczeniowej postawie - wtrąciła tamta.

- Roszczeniowej? - Virginia przeciągnęła wypowiedziane słowo, które jak smuga pary wypełniło rozrzedzone powietrze w Carpe Diem, gdzie regularnie spotykały się silne kobiety. - Powiedz mi, Jeannie, kiedy ostatnio kierowałaś ruchem?

To była wstrętna robota. Mieszkańcy miasta nie traktowali poważnie policjantów z drogówki. Poziom tlenku węgla był niebezpiecznie wysoki, a zasada, że nie wolno odwracać się plecami do kierunku ruchu pojazdów, stawała się fikcją w przypadku poczwórnego skrzyżowania. Jak można stać przodem jednocześnie do czterech kierunków? Andy kwestionował to już w szkole policyjnej. Oczywiście bez skutku, zresztą i tak najgorszy był ten brak szacunku. Kiedy Brazil stał na skrzyżowaniu, co najmniej pół tuzina małolatów, kobiet i biznesmenów nabijało się z niego lub wykonywało obraźliwe gesty, na które nie mógł zareagować. O czym to świadczyło? Obywatele tego miasta dobrze znali takich stróżów prawa jak on, którzy nie nosili broni i wydawali się niedoświadczeni w swojej pracy. Zwracali na to uwagę. Komentowali.

- Hej, Star Trek! - wołała przez okno kobieta w średnim wieku. - Weź sobie miotacz ognia! - krzyknęła, skręcając w Enfield Road.

- Strzelasz ślepymi nabojami, prawda, królowo elfów? - darł się gość w zielonym dżipie, który miał wgnieciony zderzak, stelaż na sprzęt sportowy na dachu i drzwi typu safari.

Brazil przepuścił dżipa, zaciskając zęby i wpatrując się w kierowcę

wzrokiem, który mógłby zabić. Właściwie chciałby, aby ten dupek wysiadł i stanął do walki. Andy poczuł, że świerzbi go ręka. Pragnął kogoś zatrzymać i czuł, że to tylko kwestia czasu i może znowu rozwali komuś nos.

Czasami Judy Hammer miała dość swojej diety. Pamiętała jednak, że gdy skończyła trzydzieści dziewięć lat, musiała się poddać zabiegowi częściowej hysteroktomii, ponieważ jej macica przestała prawidłowo funkcjonować. Przytyła wtedy osiem kilogramów w ciągu trzech miesięcy, zmieniając rozmiar ubrań z czwórki na ósemkę. Lekarze powiedzieli, że za dużo jadła, ale jej zdaniem to głupoty. Zwykle winę za takie zmiany ponoszą hormony. Są w życiu kobiety jak pogoda. Hormony przepływają nad kobiecą planetą i decydują, czy panuje na niej nastrój kojący czy lodowaty, a może nadchodzi czas burzy. Hormony wywołują wilgoć lub wysuszają. Wpływają na to, czy kobieta chce pójść z kimś na spacer w księżycową noc czy też woli być sama.

- Co ma do tego kierowanie ruchem? - zapytała Jeannie Goode.

- Chodzi o to, że ten chłopak pracuje ciężiej niż większość z nas, policjantów - wyjaśniła Virginia West. - A przecież jest tylko wolontariuszem. Nie musi tego robić. Mógłby zająć się własnymi problemami, ale nie chce.

Judy zastanawiała się, czy sól bardzo jej zaszkodzi. Boże, jak to byłoby wspaniale posmakować tego i owego i nie wyglądać potem jak jej mąż.

- To mnie podlegają patrole. A on właśnie tam został przydzielony - powiedziała Jeannie, odwracając widelcem liść sałaty, aby sprawdzić, czy nie zostało pod nim coś smacznego, na przykład kawałek grzanki lub orzeszek.

Brazil pocił się w swoim mundurze i jaskrawopomarańczowej kamizelce odblaskowej. Po zablokowaniu bocznej ulicy zwijał się jak w ukropie. Kierował samochody okrężną drogą w lewo lub w prawo, gwizdząc i sygnalizując polecenia rękami. Klaksony trąbiły, a jakiś kierowca natarczywie dopytywał się przez okno o kierunek jazdy. Andy pomagał

wszystkim, jak mógł, lecz nikt tego nie doceniał ani mu nie dziękował. To była strasznie niewdzięczna robota, ale kochał ją, chociaż naprawdę nie rozumiał, dlaczego.

- Tak więc dzięki niemu przynajmniej jeden zawodowy policjant nie musi pełnić dyżuru na skrzyżowaniu - powiedziała Virginia do szefowej, która postanowiła nie słuchać obu swoich zastępczyń.

Prawdę powiedziawszy, Judy przywykła do kłótni między podwładnymi, ale wszystko miało swoje granice. To po prostu wydawało się nie mieć końca. Spojrzała na zegarek i wyobraziła sobie Cahoona na szczycie swojej korony. Głupiec. Gdyby ktoś go nie powstrzymał, zamieniłby to miasto w żandarma Ameryki. Byłoby zamieszkane przez prostaków ze spluwami, złotymi kartami kredytowymi i wypełnione łóżami dla kibiców Panthers and Hornets.

Cahoona aż trzy razy zatrzymywano w drodze na lunch do restauracji na szesnastym piętrze. Czekał tam na niego przewodniczący, czterech wiceprzewodniczących, prezes i wiceprezes oraz członkini zarządu Dominion Tobacco Company, która to firma w ciągu najbliższych dwóch lat zamierzała pożyczyć z US-Bank ponad czterysta milionów dolarów na badania nad rakiem. Przy talerzu Sola piętrzyły się wydruki komputerowe. Stół był ozdobiony świeżymi kwiatami, a obok czekali w gotowości kelnerzy w smokingach.

- Dzień dobry. - Dyrektor przywitał się skinieniem głowy z siedzącymi gośćmi, zatrzymując na chwilę wzrok na kobiecie z zarządu firmy tytoniowej.

Cahoon nie lubił jej, chociaż nie był pewny dlaczego, jeśli nie chodziło tu o jego zadeklarowaną niechęć do papierosów, którą wykazywał od siedmiu lat, kiedy sam rzucił palenie. Sol miał poważne obawy przed udzieleniem tak poważnej pożyczki na projekt, który był tak bardzo naukowy i tajny, że nikt

nie mógł dokładnie wyjaśnić, na czym polegał, poza oczywistym faktem, że US-Bank miałyby swój udział w badaniach nad wynalezieniem pierwszych na świecie naprawdę nieszkodliwych dla zdrowia papierosów. Przejrzał materiały z niekończącymi się wykresami i projektami papierosa z filtrem, wokół którego widniała złota korona. Ów niezwykły produkt miał się nazywać US-Choice. Papierosy nowej generacji mogłyby palić wszyscy, byłyby całkowicie nieszkodliwe, a nawet zawierałyby w swoim składzie różne witaminy, minerały i środki uspokajające, które po inhalowaniu zostały natychmiast zabsorbowane przez układ krwionośny. Gdy Cahoon sięgnął po wodę gazowaną, poczuł się nagle szczęśliwy. Pojął bowiem, że jego bank mógłby stać się dobroczyńcą całej ludzkości.

Czekając na Paradę Wolności, ludzie zgromadzeni wzdłuż Eastway Drive także czuli się szczęśliwi. Byli pełni nadziei i oczekiwań, Shrinersi jeździli zygzakami na skuterach, machali do tłumu, przypominając wszystkim o karach i dobrych uczynkach. Brazil zauważył, że policjanci na innych skrzyżowaniach nudzili się trochę i niecierpliwili. Nie było aż takich tłumów, jak się spodziewano. W pewnej chwili Andy zobaczył jadący w jego stronę wóz patrolowy. Usłyszał klakson i krzyki jakiejś wściekłej kobiety w chevrolecie. Chociaż bardzo się starał, była nieprzyjemna i nie chciała go słuchać.

- Proszę pani - powiedział uprzejmie - musi pani zawrócić i pojechać Shamrok Drive.

Parsknęła coś opryskliwie i odjechała z rykiem silnika, a tuż za nią do stanowiska Brazila zbliżył się wóz patrolowy z wyraźnie zdenerwowanym policjantem za kierownicą.

- Okazało się, że parada i pogrzeb spotkają się dokładnie w tym miejscu - wyjaśnił pośpiesznie Brazilowi.

- Co takiego? - zapytał Andy z niedowierzaniem. - Jak to?

Ale wóz patrolowy już odjechał.

- Nic mnie nie obchodzi, że pomaga w kierowaniu ruchem - mówiła Jeannie Goode, kończąc jedzenie. - Nie chcę go. On jest szpiegiem, CIA, KGB, jak wolicie.

- Czy musimy wysłuchiwać tych głupot? - zapytała Virginia, odsuwając talerz. - Na Boga.

Judy Hammer milczała, rozglądając się po restauracji i szukając znajomych twarzy.

Nieopodal jedli lunch felietonista z „Observera” i pewien redaktor z tej samej gazety, ale siedzieli przy osobnych stolikach. Komendantka nie miała zaufania do żadnego z nich. Nie znała osobiście Andy’ego Brazila, ale może to wcale nie jest zły pomysł. Z opowiadań Virginii wydawał się interesującym młodym człowiekiem.

Karawany jechały wolno, spowite w czerń, z zapalonymi światłami. Brazil przyglądał się im z niedowierzaniem, usiłując jednocześnie zatrzymać ruch po swojej stronie ulicy i kierując samochody na objazd. Niekończący się kondukt pogrzebowy posuwał się do przodu powoli i z godnością, a setki ludzi oczekiwało Shrinersów na skuterach, pijąc wodę sodową, patrząc i machając rękami. Nie tego się spodziewali, gdy rano wyruszyli z domów po odrobinę darmowej rozrywki, ale skoro już tu przyszli, niech będzie, jak jest.

Wewnątrz długiej, czarnej limuzyny lincoln Continental, z siedzeniami z białej skóry, telewizorem i magnetowidem, siedzieli odświętnie ubrani osierocony brat i wdowa, wyglądając przez przyciemnione szyby. Byli pod wrażeniem tłumów zgromadzonych wzdłuż ulicy. Ludzie składali hołd zmarłemu. Wielu miało ze sobą coś do jedzenia i picia, a dzieci trzymały w rękach amerykańskie flagi. Machali do nich i pozdrawiali, bo tak to właśnie miało być, gdy ktoś przechodził na drugą stronę, aby znaleźć się w kochających ramionach Jezusa, bardzo uroczyście.

- Nie wiedziałem, że Tyvola miał tylu przyjaciół - dziwił się brat zmarłego, pozdrawiając tłumy.

- I tylu policjantów tu przyjechało. - Wdowa także nieśmiało machała ręką.

Brazil zagwizdał ostro, gdy omal nie przejechał go dodge'em darta starszy mężczyzna, który najwyraźniej nie zrozumiał, że policjant wyciągający przed siebie obie dłonie daje znak, żeby się zatrzymał. Nieprzerwany potok limuzyn, miejskich samochodów, karawanów, wszystkich czarnych i z włączonymi światłami najwyraźniej z niczym się nie kojarzył Howiemu Songowi, który jechał swoim dodge'em, nie zwracając na nic uwagi. Ugrzązł w połowie skrzyżowania, a tuż za nim stał rząd samochodów, zderzak przy zderzaku. Nie mógł się już cofnąć, chyba że ktoś zrobiłby mu miejsce.

- Nie ruszaj się! - ostrzegł Brazil niecierpliwego kierowcę, który miał włączone na cały regulator radio i słuchał muzyki country.

Andy ustawił przed dodge'em trzy słupki, które rozsypały się jak kręgle w tej samej chwili, gdy odszedł skierować inne wozy do tyłu. Amator westernowej muzyki z darta posuwał się dalej w stronę Boulevard pewien, że sunące wolno pogrzebowe limuzyny pozwolą mu przejechać i dostać się w końcu do sklepu z narzędziami.

O to ci właśnie chodzi, pomyślał Chad Tilly, dyrektor Rodzinnego Domu Pogrzebowego Tilly, słynącego z klimatyzowanego budynku, wybitych pluszem salonów i wysokiej jakości trumien. Pokażnych rozmiarów ogłoszenie firmowe na pięćset trzydziestej siódmej stronie Yellow Pages zostało niefortunnie wydrukowane zaraz obok anonsu firmy zajmującej się usuwaniem grzybów i pleśni. Sekretarka ciągle musiała tłumaczyć ludziom przez telefon, że aczkolwiek mogą im pomóc przy zorganizowaniu pogrzebu, nie są w stanie nic poradzić na pleśń w piwnicy lub przeciekającą pompę ściekową.

Tilly nie pamiętał już nawet, w ilu uroczystościach pogrzebowych brał udział. Nie był oferantem, ale świetnym biznesmenem, który nosił wykwintne garnitury i kosztowną biżuterię. Najpierw udaremnił temu śmieciowi w niebieskim dodge'u przejechanie przez kondukt, a potem włączył radio w samochodzie. Natychmiast skontaktował się ze swoim pracownikiem, jadącym w pierwszym aucie na czele kolumny.

- Flip - odezwał się do człowieka numer dwa w swojej firmie.
- Słucham, szefie.
- Daj po hamulcach - polecił Tilly.
- Jest pan pewien?
- Jak zawsze - oświadczył Tilly.

Cały kondukt czarnych samochodów z zapalonymi światłami zatrzymał się nagle. Teraz dart nie mógł przejechać przez ulicę i Song nagle stracił orientację. Zatrzymał się, a wówczas kierujący ruchem policjant szarpnął drzwiczki auta i wyciągnął z niego upartego faceta.

- Flip. - Tilly ponownie połączył się ze swoim pracownikiem. - Jedziemy. Zachichotał cicho.

Judy Hammer nie było do śmiechu, gdy po lunchu poprawiała szminkę i słuchała, jak jej zastępczyni kłóciły się ze sobą niczym zazdrosne siostry.

- Ja kieruję patrolami - oznajmiła Jeannie Goode w Carpe Diem, jakby nazwa restauracji właśnie do niej się odnosiła. - I nie pozwolę, aby on z nami jeździł. Bóg jeden wie, co tam jeszcze powypisuje w tej swojej gazecie. Jeśli jesteś tak na niego napalona, niech jeździ z twoimi ludźmi.

Judy zamknęła puderniczkę i spojrzała na zegarek.

- Dochodzeniówka nie bierze nikogo do samochodów. Nigdy - odpowiedziała porucznik West. - To wbrew naszym zasadom.
- Co zatem proponujesz? - zapytała Goode.
- Odkąd tu pracuję, osoby towarzyszące i wolontariusze zawsze jeździli z patrolami - przypomniała jej Virginia ostrym tonem.

Judy Hammer wyjęła portfel i zaczęła studiować rachunek.

- Zastanawiam się, czy nie wchodzi tu w grę jakieś sprawy osobiste - stwierdziła Jeannie.

Virginia doskonale wiedziała, co ta suka usiłuje insynuować. W całym departamencie już gadano, że Andy Brazil to niezły przystojniaczek, chociaż zastępczyni komendantki była znana z tego, że nie umawia się na randki. Aktualna plotka głosiła jednak, że znalazła sobie zabawkę, ponieważ nie mogła mieć prawdziwego faceta. Porucznik West już dawno nauczyła się ignorować takie opinie.

- Chodzi też o to - kontynuowała tamta - że wolontariusze zwykle nie jeżdżą z zastępczynią komendantki, która od pięćdziesięciu lat nikogo nie aresztowała ani nawet nie wypisała mandatu. On nawet nie może czuć się bezpieczny z kimś takim jak ty.

- W kilku sytuacjach poradziliśmy sobie lepiej niż regularny patrol - oświadczyła Virginia.

Ich szefowa miała już dosyć.

- Oto, co zrobimy - powiedziała. - Virginio, zgadzam się, abyś jeździła z nim na patrole. To ciekawy pomysł. Może nauczymy się czegoś nowego. Ja z pewnością już dawno powinnam zrobić to samo. - Położyła na stole pieniądze, a obie jej zastępczynie zrobiły to samo. Komendantka spojrzała znacząco na Jeannie Goode.

- A ty zrobisz wszystko, aby pomóc - rozkazała.

Jeannie wstała i chłodno spojrzała na Virginie.

- Liczę, że nie będzie z tym żadnych problemów - wyraziła nadzieję. - Pamiętaj, że twoje stanowisko nie jest stałe.

- Podobnie jak twoje - przypomniała jej szefowa. - Mogę cię zwolnić bez powodu. Ot tak. - Strzeliła palcami, w głębi duszy życząc sobie, aby ta kobieta znalazła sobie jakąś inną pracę. Na przykład w zakładzie pogrzebowym.

ROZDZIAŁ 9

Chad Tilly powinien był jednak zatrudnić innego pracownika w swoim domu pogrzebowym. Wprawdzie znakomicie załatwił sprawę z dodge'em darterem i jego kierowcą-kamikadze, słuchającym westernowej muzyki, i tę rundę dyrektor wygrał bez trudu, ale Tilly powinien był pamiętać, że kiedy czuł się zrelaksowany i jego uwaga malała, wtedy zwykle dostawał kopa w tyłek. Posuwał się wolniutko do przodu i nagle zachciało mu się jednocześnie zapalić cygaro i pobawić się radiem.

Nie zauważył młodego blondyna w mundurze i bez broni, który nagle zatrzymał cały kondukt, gdyż na horyzoncie, jakby wszystkiego było jeszcze mało, pojawiła się niespodziewanie platforma na kołach, jak na Dzień Niepodległości, która zepchnęła już pierwszą limuzynę z drogi. To wprost niesamowite. Słodki Jezu, to niemożliwe! Tilly z impetem nacisnął na hamulce i w tej samej chwili okazało się, że jego pracownik nie domknął tylnych drzwi karawanu. Trumna w miedzianym kolorze, suto wyłożona w środku atłasem, uderzyła najpierw w ściankę przy szoferce, a następnie odbiła się i rykoszetem rąbnęła w drzwi niczym pocisk ze stopu metali lekkich. Później zaś wraz z zawartością wypadła na chodnik i poturlała się dalej, ponieważ kondukt pogrzebowy znajdował się właśnie na lekkim wzniesieniu.

Brazila nie uczono, jak postępować w takich sytuacjach, więc natychmiast, zanim jeszcze w polu jego widzenia pojawiła się następna platforma, włączył krótkofalówkę. To było straszne. Na jego skrzyżowaniu! To tylko jego wina. Był spocony, a serce waliło mu jak oszalałe, gdy

próbował jakoś zaradzić temu największemu na świecie nieszczęściu. Z limuzyn wybiegli mężczyźni w czarnych garniturach, ze złotymi sygnetami i złotymi koronkami w zębach, i rzucili się w pogoń za uciekającą w dół po bulwarze paradną trumną. Boże, nie! Brazil zagwizdał i zatrzymał cały ruch na ulicy, łącznie z dwoma platformami. Potem dołączył do pościgu za trumną, która kontynuowała swoją samotną podróż. Ludzie gapili się na biegnącego policjanta i kibicowali mu.

- Dogonię ją! - krzyknął Andy do facetów w garniturach, przyśpieszając.

Pościg był krótki, porządek został przywrócony, a elegancki mężczyzna, który przedstawił się jako Tilly, oficjalnie podziękował Brazilowi za interwencję.

- Czy mogę jeszcze w czymś pomóc? - zapytał go Brazil, miejski policjant.

- Tak - warknął dyrektor domu pogrzebowego. - Zabierz mi z drogi te pieprzone platformy!

Platformy usunięto, aby zrobić miejsce, i przez godzinę żadna z nich nie drgnęła ani o centymetr. Nikt z gapiów nie poszedł do domu, za to przyszło wielu innych. To była najlepsza Parada Wolności w historii Charlotte.

Jeannie Goode, szefowa sekcji patroli, nie podzielała tego entuzjazmu, gdyż podlegała jej także kontrola ruchu drogowego, a uciekająca trumna to nie było coś, o czym chciałyby usłyszeć w wieczornych wiadomościach. Zamierzała osobiście wyjaśnić tę sprawę, ale trochę później. Wzięła swoją lekką torebkę z miękkiej skóry i poszła na parking. Miasto płaciło dziewiętnaście dolarów miesięcznie za to miejsce do parkowania. Miała zwyczaj przyjeżdżać do pracy własnym samochodem, czarną miatą.

Wsiadła do wozu, otworzyła torebkę, z której wyciągnęła perfumy Obsession i obficie się nimi spryskała. Przeczyściła też zęby suchą szczoteczką. Poprawiła trochę włosy i wrzuciła wsteczny bieg. Lubiła, gdy silnik warczał. Ruszyła w stronę Myers Park, najbogatszej i najstarszej

dzielnicy, gdzie stały okazałe rezydencje z dachami pokrytymi dachówką, a podwórka i chodniki wokół były wyłożone kostką brukową, aby nie dotarł tu brud miasta.

Zbudowany z szarego kamienia kościół metodystów w Myers Park wznosił się na horyzoncie jak zamek. Jeannie Goode nigdy nie była tam na mszy, ale doskonale знаła przylegający do niego parking, ponieważ regularnie się na nim modliła. Brent Webb miał przerwę po wiadomościach o szóstej wieczorem i jego porsche stało pod drzewem magnolii w kącie parkingu. Zgasił silnik w samochodzie, chociaż inny już się rozgrzewał. Reporter wyszedł z auta, rozejrzał się w jedną i drugą stronę, jakby miał zamiar przejść przez ulicę, i wślizgnął się do wozu szefowej patroli.

Bardzo rzadko rozmawiali, chyba że miała dla niego jakąś sensacyjną wiadomość, o której powinien wiedzieć. Ich usta zwarły się, ssały, gryzły i atakowały, podobnie jak języki i ręce. Prowadzili się nawzajem tam, gdzie żadne z nich nigdy nie było, i za każdym razem odbywało się to bardziej prymitywnie i nietypowo. Nawzajem podniecali się swoim szaleństwem i siłą. Webb miał sekretne fantazje o Jeannie w mundurze, jak błyskawicznym ruchem wyciągała kajdanki i pistolet. Ona lubiła oglądać go w telewizji, gdy była sama w domu i smakowała każdą sylabę, którą wypowiadał, cytując światu jej słowa, o czym wiedzieli tylko oni.

- Domyślam się, że słyszałeś o kłopotach z trumną. - Jeannie Goode mówiła z trudem, i - Jakich? - zapytał Webb, który nigdy o niczym nie wiedział, jeśli nie ukradł informacji lub nie dotarł do niego jakiś przeciek.

- Nieważne.

Oddychali ciężko, w radiu śpiewały Pointer Sisters. Męczyli się na przednim siedzeniu, tak manewrując, aby nie uszkodzić skrzyni biegów. Przez przednią szybę widać było rozświetlone niebo nad miastem, na którego tle rysowała się sylwetka US-Bank Corporate Center, symbolu dobrego humoru Webba. Odpiął stanik Jeannie, chociaż nie wiedział, czemu tak się trzusi. Wyobraził ją sobie w krawacie i w policyjnym pasie i jego

podniecenie wzrosło.

Policjantka Jenny Frankel także czuła się podniecona, ponieważ była młoda i entuzjastycznie nastawiona do swojej pracy. Szukała guza, prosiła się o niego, a wręcz modliła, kiedy więc zauważyła dwa samochody stojące w oddalonym kącie na parkingu przy kościele metodystów w Myers Park, postanowiła sprawdzić, co się tam dzieje. Po pierwsze, chór miał zajęcia wczoraj, a spotkania AA odbywały się zawsze w czwartki. Poza tym handlarze narkotyków byli wszędzie i niczego się nie bali. Cholera, to przecież jej obowiązek. Oczyszczi to miasto, odda je z powrotem skromnym i ciężko pracującym ludziom, nawet gdyby miała to być ostatnia rzecz, jakiej w życiu dokona.

Zaparkowała w cieniu, skąd nie było jej widać. Stała jednak na tyle blisko, że widziała jakiś ruch na przednim siedzeniu ostatniego modelu czarnej miaty, która wydawała jej się dziwnie znajoma. Policjantka podejrzewała, sugerując się fryzurami, że w środku jest dwóch mężczyzn. Wpisała numery rejestracyjne do terminalu w radiowozie i cierpliwie czekała, obserwując, jak dwaj geje całują się i pieszczą namiętnie. Kiedy na ekranie pojawiły się nazwiska zastępczyni komendantki Jeannie Goode i Brenta Webba, Jenny Frankel pośpiesznie opuściła swój punkt obserwacyjny. O tym, co zobaczyła, nie powiedziała nikomu poza sierżantem, z których umawiała się kilka razy w tygodniu na drinka. Sierżant także powiedział o tym tylko jednej osobie i w taki dyskretny sposób plotka docierała do coraz większej liczby ludzi.

Brazil miał za sobą długi dzień, ale nie chciał wracać do domu. Po pracy na skrzyżowaniu przebrał się i spędził osiem godzin w redakcji „Observera”. Dochodziła pierwsza w nocy. Czas płynął mu bardzo wolno. Pokręcił się trochę po drukarni, przyglądając się wstępnej fazie wędrówki gazety do jej końcowego miejsca przeznaczenia, jakim były psie budy i pojemniki z makulaturą. Patrzył na drukujące się egzemplarze jak zahipnotyzowany, chociaż tym razem nie mógł zobaczyć swojego nazwiska, ponieważ napisał

jedynie krótką wzmiankę w dziale miejskim o wypadku w Mint Hill, w którym zginął przechodzień. Ofiarą był pijak i redaktor nocnej zmiany uznał, że wystarczy mała notka.

W końcu Brazil wsiadł do BMW i ruszył w stronę Trade Street. O tej porze nocy w mieście nie było bezpiecznie, doskonale o tym wiedział. Przejechał obok stadionu i stacji przekaźnikowej Duke Power i zatrzymał się w ślepej uliczce West Third. Stał tam stary, rozpadający się budynek, który wydawał się jeszcze straszniejszy niż późna pora. Andy siedział chwilę i rozmyślał o dokonanym tu morderstwie. Był przekonany, że ktoś musiał słyszeć strzały z pistoletu. Gdzieś był ktoś, kto wiedział. Brazil nie zgasił silnika. Sig Sauer leżał między przednimi fotelami, w zasięgu ręki.

Po chwili wysiadł i zaczął kręcić się po okolicy, oświetlając sobie drogę latarką. Był zdenerwowany, jakby się obawiał, że ktoś go obserwuje. Krew na chodniku zrobiła się już czarna, zlizywał ją jakiś opos. W świetle latarki oczy zwierzęcia jarzyły się bielą. Natychmiast zauważył intruza i czmychnął. W gałęziach drzew roiło się od owadów, błyszczwały świetliki. W oddali słyhać było przejeżdżający pociąg. Andy'emu po plecach przebiegły ciarki. Czuł w tym miejscu morderstwo. Wyczuwał złą energię, która kłębiła się tu, wiała i czekała, aby znowu się uaktywnić. Wszystkie te morderstwa były pospolite, popełnione z zimną krwią. Brazil wierzył, że potwór, który ich dokonywał, znany był ludziom nocy, ale strach nie pozwalał im tego ujawnić.

Brazil nie pochwalał prostytucji. Jego zdaniem za takie rzeczy nie powinno się płacić. Świadomość, że jest inaczej, wywoływała u niego przygnębienie, ponieważ wyobrażał sobie, co musi czuć nieatrakcyjny facet w średnim wieku, który wie, że nie zechce go żadna kobieta, jeśli jej za to nie zapłaci. Andy wyobrażał sobie również, co czuje kobieta, która obsługuje mężczyzn, aby mieć za co nakarmić dziecko, siebie lub uniknąć kolejnego lania, jakie sprawia jej alfons. Potworne niewolnictwo, przerażające i trudne do pojęcia. Aktualnie jednak Brazil nie miał najmniejszych złudzeń co do kondycji człowieka, biorąc pod uwagę fakt, że to nieludzkie zachowanie nie

zmieniło się ani trochę od początku świata. Wyglądało na to, że zmianie uległ jedynie sposób życia i komunikowania się ludzi ze sobą oraz rodzaj broni, jakiej w stosunku do siebie używali.

Andy wsiadł do wozu i odjechał. Na poboczu drogi numer 277 zauważył jedną z tych żałosnych postaci. Spacerowała powolnym krokiem, z wypiętym biustem, ubrana w obcisłe dżinsy i skąpą, białą bluzeczkę robioną na drutach. Młoda prostytutka była wytatuowana i nie nosiła stanika. Brazil zwolnił i napotkał jej tępe spojrzenie, bez cienia strachu. Chociaż musiała być mniej więcej w jego wieku, prawie nie miała przednich zębów. Usiłował wyobrazić sobie, że z nią rozmawia i zabiera do swojego samochodu. Zastanawiał się, czym jest seks: skradzionym ogniem i mistycznym przeżyciem, chorą gorączką, która pozwala ludziom czuć władzę, jej nad nim, jego nad nią, choćby nawet przez ów jeden ciemny, poniżający moment. Wyobrażał sobie, jak ta dziewczyna naśmiewa się z klientów i nienawidzi ich, tak samo jak nienawidzi siebie samej i całego świata. Obserwował prostytutkę w tylnym lusterku, a ona też na niego patrzyła z lekkim, figlarnym uśmiechem, jakby czekając, aż chłopak podejmie decyzję. Kiedyś mogła być całkiem ładna. Brazil dodał gazu, widząc, jak zatrzymuje się obok niej jakaś furgonetka.

Następnego wieczora znowu był na ulicy, ale rzeczywistość wydawała mu się jakaś inna, dziwna i z początku myślał nawet, że to wybryk jego wyobraźni. Od chwili gdy wyjechał swoim BMW z redakcji, wszędzie napotykał policjantów w nieskazitelnie białych wozach patrolowych. Obserwowali go i jeździli za nim, aż powiedział sobie, że to nie może być prawda. Po prostu był zmęczony i wyobraźnia płatała mu figle. Wieczór toczył się leniwie, w informacjach dla prasy nie było żadnych raportów, chyba że Webb zdążył je już ukraść. Na skanerze też nie znalazł interesujących zgłoszeń, aż do chwili, gdy pojawiła się wiadomość o pożarze. Brazil nie tracił czasu. Ogień był potężny, widoczny na nocnym niebie w okolicach sektora Adam One, niedaleko miejsca, gdzie zbiegały się Nations Ford i York Roads. Andy poczuł, że rośnie mu poziom adrenaliny i ogarnęła

go nerwowa energia. Za wszelką cenę chciał jak najszybciej znaleźć się na miejscu, gdy nagle usłyszał za sobą policyjną syrenę. Spojrzał w tylne lusterko.

- Cholera - zaklął.

Po chwili siedział już na miejscu dla pasażera w policyjnym radiowozie, odbierając mandat. Pożar dopalał się bez niego.

- Mam zepsuty szybkościomierz - próbował się tłumaczyć w taki trywialny sposób.

- Proszę go zreperować.

Policjantka nie była do niego przychylnie nastawiona i bardzo opieszła.

- Czy mogłaby się pani pośpieszyć? - grzecznie zapytał Andy. - Muszę przygotować materiał do gazety.

- Trzeba było pomyśleć o tym wcześniej, zanim złamał pan przepisy.

Wcale nie była miła.

Pół godziny później połączył się przez radio z gazetą, opuszczając już miejsce pożaru, który trawił opuszczony budynek. Płomienie jeszcze tańczyły na dachu, podczas gdy strażacy pompowali strumienie wody przez wybite szyby w oknach. W górze huczał helikopter z ekipą telewizyjnych wiadomości. Brazil informował redaktora działu miejskiego, co się zdarzyło.

- Niezamieszkania, stary magazyn. Brak ofiar - mówił do mikrofonu.

W tylnym lusterku zauważył jadący za nim radiowóz. To nie do wiary. Kolejny policjant miał go na oku.

- Tylko kilka linijek. - Usłyszał przez radio polecenie redaktora.

Z tym nie będzie problemów, ale w tej chwili miał ważniejsze problemy. Nie chodziło o wymaginowane zagrożenie, nie mógł już sobie pozwolić na więcej mandatów czy punktów karnych. Zaczął prowadzić wóz w taki sposób, w jaki grywał w tenisa, serwując to tu, to tam, ścinając i wysyłając podkręconą piłkę nad głowę rywala. Co za dupki, pomyślał, gdy radiowóz wciąż siedział mu na ogonie. Jak wszyscy, Andy mógł znieść dużo, ale bez

przesady.

- A więc tak - warknął.

Radiowóz jechał za nim prawym pasem. Brazil prowadził ze stałą prędkością i w pewnej chwili skręcił w lewo, w Runnymede Lane. Patrol jechał tuż za nim. Oba samochody zwolniły, zatrzymując się na czerwonym świetle. Andy nie oglądał się i nie zdradzał w żaden inny sposób, że jest świadomy problemu. Na pozór był zupełnie opanowany i usiłował nastroić radio, którego od lat nie używał. W ostatniej chwili przejechał na lewy pas, a policjant stanął obok niego, chłodno się uśmiechając. Brazil odwzajemnił uśmiech. Podstęp się udał. Był gotowy do walki. To wojna! Nie było odwrotu. Błyskawicznie ocenił sytuację. Oficer Martin, uzbrojony w służbową czterdziestkę, strzelbę i pistolet 350 V8, nie musiał myśleć.

Światła zmieniły się na zielone i Brazil wrzucił w swoim starym samochodzie luz, a następnie dodał gazu, jakby chciał wylecieć w kosmos. Oficer Martin także dodał gazu, tylko że jego potężnej mocy ford musiał jechać prosto. Był dopiero w połowie skrzyżowania, gdy Brazil kończył swój skręt w kształcie litery U i wjeżdżał w Barclay Downs. Następnie skręcił w Morrison i wybrał krętą uliczkę, kończącą się w ciemnej alejce w samym środku Southpark Mail, obok Dumpster.

Serce waliło mu jak młotem, gdy wreszcie się zatrzymał i wyłączył światła. Do głowy przychodziły mu różne dziwne myśli i podejrzenia. Zastanawiał się, co by się stało, gdyby ten policjant go tu znalazł. Czy zatrzymałby go za ucieczkę, zaaresztował? Czy pojawiłby się tu z innymi gliniarzami, aby dać mu wycisk w miejscu takim jak to, ciemnym i opuszczonym, gdzie nie przechodzi żaden obywatel z kamerą wideo? Domysły przerwał nagle alarm antywłamaniowy, który zawył niespodziewanie jak syrena, zakłócając ciszę. W pierwszej chwili Andy pomyślał, że ma to jakiś związek z jego ucieczką, ale zaraz potem zauważył, jak tylne drzwi jakiegoś sklepu otworzyły się z hukiem i uderzyły o ścianę. Wybiegli z nich dwaj młodzi ludzie, obładowani sprzętem elektronicznym,

który ukradli właśnie w Radio Shack.

- Dziewięćset jednaście! - krzyknął Brazil do mikrofonu, łączącego go z redakcją.

Dopiero po chwili zorientował się, z kim się połączył.

- Co się stało? - odezwał się głos redaktora.

Brazil włączył światła w samochodzie i ruszył w pościg. Złodzieje byli w kłopotcie, musieli uciekać, z trudem dźwigając swoje łupy. Najpierw upuścili mniejsze pudełka, walkmany, przenośne odtwarzacze płyt kompaktowych i modemy komputerowe. Andy miał wrażenie, że tych dwóch uparło się taszczyć miniaturowe telewizory aż do samego końca. Jeszcze raz połączył się przez radio z redakcją. Tym razem polecił redaktorowi zadzwonić pod numer dziewięćset jednaście i położyć słuchawkę przy odbiorniku radiowym, aby dyżurny słyszał, co mówił Brazil.

- Kradzież z włamaniem w toku. - Wyrzucał z siebie słowa z szybkością pistoletu maszynowego, cały czas kontynuując pościg. - Southpark Mail. Dwaj młodzi mężczyźni uciekają na wschód Faindeew Road. Gonię ich. Poślijcie kogoś na zaplecze sklepu Radio Shack, aby pozbiarał to, co zgubili, zanim zrobi to ktoś inny.

Złodzieje przebiegli przez parking i zniknęli w ciemnej uliczce. Brazil podawał przez radio pozycje, depcząc im po piętach jak owczarek collie, pilnujący stada owiec. Żaden z tych chłopców nie mógł jeszcze legalnie kupić piwa, obaj palili trawkę, kradli, kłamali i odsiadywali różne wyroki, odkąd tylko odrośli od ziemi. Obaj byli w kiepskiej formie. Skakać i wygłupiać się z kolegami na rogu ulicy to jedno, ale biec co sił między domami to zupełnie coś innego. Devon czuł, że zaraz pękną mu płuca. Pot zalewał mu oczy. Nogi zaczynały odmawiać posłuszeństwa i o ile nie miał omamów wzrokowych, widział pulsujące czerwone niebieskie światła swojego dzieciństwa, które zbliżały się jak statki UFO ze wszystkich kątów galaktyki.

- Człowieku! - wychrypiał Devon. - Zostawmy to! Uciekajmy!
- Uciekamy, facet!

Jeśli chodzi o Ro, którego imię było skrótem od czegoś, czego nikt nie pamiętał, za nic w świecie nie oddałby tego, co już trzymał w ramionach. Z samego telewizora miałby za co żyć przez tydzień, no chyba że zamieniłby go na nowy pistolet, tym razem na taki z kaburą. Wykonany z nierdzewnej stali rewolwer typu Smith & Wesson o lufie długości dziesięciu centymetrów, który miał zatknięty z tyłu za szerokie spodnie, mógł lada chwila wypaść. Ro czuł to, a pot zalewający mu oczy mącił ostrość widzenia. Wokół rozbrzmiewały głośno policyjne syreny.

- Cholera - zaklął.

Rewolwer zsunął się do spodni i powoli przemieszczał się w dół. Boże, Ro miał nadzieję, że nie postrzeli się w intymne miejsce. Nie przeżyłby tego. Broń prześlizgnęła się przez nogawki obszernych bokserek i zjeżdżała w dół wzdłuż jego uda, kolana, aby w końcu wysunąć się tuż nad skórzanym butem marki Fila. Usiłował się jej pozbyć, potrząsając nogą. Nie było to łatwe, biorąc pod uwagę, że ścigała ich połowa departamentu policji w Charlotte i jakiś szalony biały facet w BMW, który go o mały włos nie przejechał. Rewolwer z brzękiem wypadł na chodnik i w tym samym momencie krąg białych samochodów z pulsującymi światłami zamknął im drogę ucieczki. Dwaj złodzieje po prostu stanęli w miejscu jak wryci.

- Cholera - powtórzył Ro.

Gwoli sprawiedliwości, nagrodą dla Brazila za jego istotny wkład w pracę policji miejskiej powinna być satysfakcja z zaskoczenia włamywaczy i ścigania ich aż do chwili, gdy pojawiły się policyjne radiowozy. Okazało się jednak, że nie miał do tego prawa. Tej nocy pracował dla redakcji i nie potrafił przekonująco wytłumaczyć, czemu parkował w ciemnej uliczce za sklepem Radio Shack, w czasie gdy dokonano włamania. Policjantka Weed ciągle do tego wracała, przesłuchując Brazila na przednim siedzeniu

radiowozu.

- A więc wyjaśnijmy to raz jeszcze - powiedziała. - Dlaczego siedział pan tam z tyłu, ze zgaszonymi światłami?

- Wydawało mi się, że jestem śledzony - po raz kolejny cierpliwie tłumaczył jej Brazil.

Policjantka przyglądała mu się i nie miała zielonego pojęcia, co z nim zrobić. Wiedziała tylko, że dziennikarz kłamał. Oni wszyscy byli tacy sami. Mogłaby się założyć, że ten facet zaparkował tam samochód, aby się zdrzemnąć podczas pracy lub dogodzić sobie albo popalić trawkę, a może wszystko po kolei.

- Śledzony przez kogo? - Funkcjonariuszka trzymała na kolanach notes, w którym spisywała raport.

- Jakiegoś faceta w białym fordzie - wyjaśnił Brazil. - To nie był nikt, kogo znam.

Kiedy odjeżdżał wreszcie z Southpark, było już bardzo późno. Nikt z policjantów ani słowem mu nie podziękował. Z obliczeń Andy'ego wynikało, że została mu jeszcze godzina wolnego czasu. Potem będzie musiał wrócić do redakcji, aby opisać to, co zauważył podczas swojego ośmiogodzinnego dyżuru na mieście, a nie było tego wiele.

Znajdował się blisko Myers Park, gdzie zdarzył się ten straszny wypadek z udziałem policjantki Michelle Johnson, i miał niejasne wrażenie, że tamten ponury wieczór i jej osoba wciąż go prześladowają. Wolno przejeżdżał obok rezydencji na Eastover, próbując sobie wyobrazić, kto tam mieszkał i co ci ludzie czuli po wypadku, w którym zginęli ich sąsiedzi. Rodzina Rollinsów mieszkała niedaleko, tuż za rogiem, obok Mint Museum. Brazil zatrzymał się przed ich domem z białych cegieł, pokrytym dachem z miedzianej blachy. Obserwował posesję, nie wychodząc z samochodu. Przed domem paliło się światło, ale mogło się przydać jedynie włamywaczom, ponieważ w domu nikogo nie było i nikt już do niego nie wróci. Pomyślał o matce, ojcu i trojgu dzieci, którzy zginęli w jednej straszliwej chwili, gdy ich linie życia

przypadkowo skrzyżowały się ze śmiertelną drogą i wszystko przepadło.

Nieczęsto spotykał się z sytuacjami, gdy bogaci ludzie ginęli w wypadkach samochodowych lub strzelaninie. Znacznie częściej zdarzało się, że spadały ich prywatne samoloty. Przypomniawszy sobie też, że w latach osiemdziesiątych w Myers Park grasował seryjny gwałcień. Brazil wyobraził sobie młodego człowieka w kapturze, który pukał do drzwi, aby zgwałcić jakąś samotną kobietę. Czy to nienawiść prowadziła do takiego okrucieństwa? Nienawiść do bogatych? Przejeżdżając wolno obok rozświetlonych okien, usiłował wczuć się w psychikę takiego młodego przestępcy.

W pewnej chwili uświadomił sobie, że gwałcień robił zapewne dokładnie to samo, co on tej nocy. Czaił się, podglądał, tylko prawdopodobnie na piechotę. Szpiegował i układał plany, a rzeczywiste okrucieństwo było tylko produktem ubocznym jego fantazji. Andy nie umiał sobie wyobrazić niczego gorszego od gwałtu seksualnego. W swoim krótkim życiu doznał wystarczająco wielu poniżeń od różnych prymitywów, aby bać się gwałtu tak samo mocno jak kobiety. Do tej pory nie zapomniał słów, które usłyszał kiedyś od Bridlewooda, szefa ochrony w Davidson. „Nigdy nie daj się wsadzić do więzienia, chłopcze. Przez cały czas nie byłbyś w stanie stać prosto”.

Wypadek zdarzył się tam, gdzie zbiegały się obie Queens Road i Selwyn. Brazil natychmiast rozpoznał to miejsce. Nie spodziewał się jednak, że na poboczu stać będzie jakiś samochód. Był to nissan.

Gdy podjechał bliżej, zaskoczył go widok policjantki Michelle Johnson, która siedziała w środku i płakała. Zaparkował w pobliżu, wysiadł z samochodu i ruszył w stronę wozu policjantki. Szedł pewnym krokiem, jakby odpowiadał za to, co się tu działo. Zajrzał przez szybę od strony kierowcy i nagle poczuł wzruszenie na widok zapłakanej kobiety. Serce zaczęło mu mocniej bić. Policjantka nie spodziewała się tu nikogo o tak późnej porze i schwyciła pistolet, ale zaraz rozpoznała w nim dziennikarza, którego widziała

już rano. Ochłonęła, ale ogarnęła ją wściekłość. Opuściła szybę w oknie.

- Odpieprz się ode mnie! - zawołała.

Patrzył na nią, niezdolny do najmniejszego ruchu. Michelle Johnson zapaliła silnik.

- Sępy! Pieprzone sępy! - zawołała.

Brazil stał bez ruchu, osłupiały. Zachowywał się tak dziwnie i nietypowo, jak na dziennikarza, że policjantka się uspokoiła. Odeszła jej ochota, aby odjechać, i oboje przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu.

- Chcę pani pomóc - powiedział bezbarwnym głosem Andy.

Światło ulicznej latarni skrzyło się na potłuczonym szkłe i wsiąkało w ciemne plamy na chodniku. Ukazywało też pokiereszowane drzewo, na którym rozbił się mercedes. Pojawiły się świeże łyzy. Michelle wytarła twarz dłońmi, a jej upokorzenie dopełniło się, gdy młody dziennikarz nie spuszczał z niej wzroku. Skuliła się i jęknęła, przytłoczona rozpaczą i świadomością, że pistolet mógłby położyć temu kres.

- Gdy miałem dziesięć lat - powiedział Andy - mój ojciec służył w tutejszej policji. Był mniej więcej w twoim wieku, gdy zginął na służbie. Czuję się wtedy podobnie jak ty.

Młoda kobieta spojrzała na niego i pociągnęła nosem.

- Ósma dwadzieścia dwie wieczorem, dwudziesty dziewiąty marca. Niedziela. Powiedzieli, że to jego wina - kontynuował Brazil drżącym głosem. - Był po cywilnemu, ścigał skradziony samochód, wyjechał poza swój rewir. Pomoc nie nadeszła w porę. Zrobił, co mógł, ale... - Przerwał i przełknął ślinę. - Nie miał szansy, aby opowiedzieć, co się właściwie stało. - Popatrzył w ciemność, wściekły na ulicę i noc, że wtedy zrabowano także część jego życia. Uderzył pięścią w dach wozu. - Mój ojciec nie był złym gliną! - zawołał.

Michelle Johnson milczała, czując w sobie okropną pustkę.

- Wołałabym być na jego miejscu - wyznała po chwili. - Wołałabym nie żyć.

- Nie. - Andy pochylił się, aby spojrzeć jej w oczy. - Nie. - Zobaczył jej lewą rękę, zaciśniętą na kierownicy, i ślubną obrączkę na palcu. Ścisnął ramię policjantki. - Nie zostawiaj nikogo - powiedział.

- Oddałam dziś odznakę - wyznała.

- Zmusili cię do tego? - spytał z oburzeniem. - Nie ma dowodu, że...

- Nikt mnie nie zmuszał. Sama tak chciałam - przerwała mu. - Uważają mnie za potwora. - Załkała.

Brazil wyprostował się nagle.

- Możemy to zmienić - zaproponował. - Pomogę ci.

Otworzyła drzwi samochodu i wsiadł do środka.

ROZDZIAŁ 10

Judy Hammer podlewała właśnie rano kwiaty, gdy do jej gabinetu weszła Virginia. Jak zwykle miała ze sobą kawę i zdrowe śniadanie z Bojangles, tym razem dla odmiany tost z jajkiem na kiełbasie. Telefon na biurku dzwonił jak oszalały, ale komendantka była zajęta zraszaniem orchidei. Spojrzała na swoją zastępczynię bez słowa powitania. Judy Hammer znana była z krótkich, ostrych komunikatów, które wypowiadała z lekkim akcentem z Arkansas.

- Wiem. - Prysnęła wodą z plastikowej konewki. - Brał udział w pościgu, który zakończył się aresztowaniem dwóch przestępców. W pojedynek przerwał całą serię włamań do sklepów Radio Shack, które były plagą tego miasta od ośmiu miesięcy.

Przyjrzała się egzotycznym, białym kwiatom i jeszcze raz spryskała je wodą. Wyglądała naprawdę świetnie w garsonce z czarnego jedwabiu w drobniutkie, różowe prążki i bluzce z wysokim kołnierzem, także z czarnego jedwabiu. Virginia doceniała gust szefowej. Była dumna, że pracuje dla kobiety, która jest tak elegancka i ma świetne nogi, a poza tym kocha ludzi i kwiaty.

- Poza tym w jakiś sposób udało mu się wydobyć prawdę od Michelle Johnson. - Judy wskazała głową na poranną gazetę, leżącą na jej biurku. - Ukręcił łeb przypuszczeniom, że to ona jest odpowiedzialna za śmierć tamtych biednych ludzi. Johnson nie odejdzie z policji. - Podeszła do drzewka cytrynowego, stojącego pod oknem, i zerwała zwiędłe liście z gałęzi, która zawsze rodziła owoce. - Rozmawiałam z nią dziś rano - kontynuowała. - Tyle się wydarzyło, a Brazil wczoraj nawet z nami nie

jeździł. - Przerwała na chwilę robotę i spojrzała na swoją zastępczynię. - Miałaś rację, on nie powinien jeździć sam. Bóg jeden wie, do czego byłby zdolny, gdyby miał na sobie mundur. Chciałabym przenieść go do jakiegoś innego miasta, oddalonego od nas o co najmniej pięćset kilometrów.

Virginia uśmiechnęła się, widząc, jak jej szefowa troskliwie zrasza następną roślinę.

- Chcesz, aby on w dalszym ciągu dla nas pracował - powiedziała. Zaszleścił papier, gdy sięgnęła do torby ze śniadaniem.

- Jesz za dużo śmieci - upomniała ją Judy. - Gdybym ja pochłaniała tego tyle, co ty, byłabym gruba jak beczka.

- Brazyl dzwonił dziś do mnie. - Virginia rozpakowała wreszcie swoje śniadanie. - Wiesz, czemu zaparkował na tyłach sklepu Radio Shack?

- Nie. - Judy przeniosła wzrok z afrykańskich fiołków na swą zastępczynię.

Pięć minut później komendantka szła korytarzem na pierwszym piętrze. Nie wyglądała na osobę przyjaźnie nastawioną do świata. Napotkani policjanci kłaniali się jej i oglądali się za szefową ze zdziwieniem. Podeszła do jakichś drzwi i otworzyła je z impetem. Funkcjonariusze po cywilnemu, którzy znajdowali się w środku, byli zdumieni widokiem komendantki. Jeannie Goode była właśnie w trakcie odprawy z podwładnymi.

- Wszystkie, mam na myśli wszystkie informacje, jakie docierają do dyżurnego kapitana... - mówiła, zanim nie przerwała na widok idącej w jej stronę przełożonej.

Instynktownie od razu spodziewała się kłopotów.

- Zastępczyni komendantki, Jeannie Goode - odezwała się Judy głośno, aby wszyscy słyszeli. - Czy wiesz, co to jest nękanie?

Z twarzy Jeannie odpłynęła cała krew. Wydawało jej się, że zaraz zemdleje, i oparła się plecami o tablice, podczas gdy struchlali policjanci stali bez ruchu. Goode nie mogła uwierzyć, że szefowa upomina ją w obecności trzydziestu trzech szeregowych, ulicznych gliniarzy z rewiru David One,

dwóch sierżantów i jednego kapitana.

- Może pójdziemy na górę do mojego gabinetu? - zaproponowała, uśmiechając się słabo.

Judy skrzyżowała ramiona na piersiach i stanęła na wprost oddziału policji.

- Myślę, że wszyscy mogą na tym skorzystać - powiedziała spokojnym tonem. - Doniesiono mi, że policjanci śledzili po całym mieście dziennikarza z „Observera”.

- Kto tak powiedział? - wybuchnęła Jeannie. - On? I uwierzyłaś mu?

- Nie powiedziałam, że wiem o tym od niego - odparła komendantka.

Milczała dłuższą chwilę i cisza, jaka zapanowała w pokoju, przyprawiła Jeannie Goode o dreszcze. Pomyślała o różowych pigułkach, które trzymała w szufladzie biurka. Niestety, trzecie piętro było bardzo daleko.

- Jeszcze raz o czymś takim usłyszę - zwróciła się do niej szefowa - i zapłacisz mi za to.

Opuściła pokój, stukając obcasami. Gdy zadzwoniła do domu Andy'ego Brazila, telefon odebrała jakaś kobieta. Była albo kompletnie pijana, albo nie miała zupełnie zębów, a może jedno i drugie. Komendant Hammer odłożyła słuchawkę i połączyła się z Panesą.

- Judy, nie pozwolę, aby moi dziennikarze byli zastraszeni i nękanymi... - zaatakował ją natychmiast.

- Richardzie, wiem o tym - odpowiedziała, patrząc przez okno na panoramę miasta. - Proszę, przyjmij moje przeprosiny i obietnicę, że nic podobnego nigdy już się nie zdarzy. Chciałabym także pochwalić Brazila za pomoc, jakiej ostatniej nocy udzielił policji.

- Kiedy?

- Natychmiast.

- A my napiszemy o tym w gazecie - zaproponował wydawca.

Judy nie mogła powstrzymać się od śmiechu. Lubiła tego faceta.

- Coś ci powiem. Możesz dać to do gazety, ale wyświadczyć mi przysługę.

Pomiń kwestię, dlaczego Brazil ukrył się w ciemnej uliczce.

Panesa musiał to rozważyć. Tekst o tym, jak policja nadużywa władzy i nęka obywateli, byłby dużo atrakcyjniejszy niż artykuł pozytywny, na przykład o pomocy obywatelskiej lub właściwej postawie Andy'ego, poczuciu odpowiedzialności za bezpieczeństwo lokalnej społeczności i pochwalę, jaka kogoś takiego spotkała.

- Posłuchaj mnie - odezwała się znowu Judy Hammer. - Jeśli coś takiego się jeszcze kiedyś zdarzy, będziesz mógł zrobić z tego materiał na pierwszą stronę, zgoda? Nie będę miała do ciebie pretensji. Ale postaraj się nie winić całej policji za jednego bęcwała.

- Jakiego bęcwała?

Panesę naprawdę interesował ten temat i chciał pociągnąć komendantkę za język.

- Już się tym zajęłam. - Nie miała mu nic więcej do powiedzenia. - Jaki jest numer telefonu do Brazila? Chciałabym do niego zadzwonić.

To zrobiło na nim nawet silniejsze wrażenie. Wydawca widział Andy'ego przez szybę w swoim gabinecie. Jak zwykle młody dziennikarz był w pracy dużo wcześniej i pracował nad czymś, o co nikt go nie prosił. Panesa zerknął na wykaz i podał Judy wewnętrzny do Brazila. Potem z rozbawieniem przyglądał się zaskoczonej minie chłopaka, który chwilę później podniósł słuchawkę i usłyszał głos komendantki policji.

- Mówi Judy Hammer.

Znajomy głos był mocny i stanowczy.

- Tak, słucham. - Andy natychmiast wyprostował się na krześle, wywracając przy tym filiżankę z kawą. W ostatniej chwili udało mu się uratować notes od zalania.

- Posłuchaj, wiem wszystko o wczorajszej nocy. - Judy zmierzała prosto do celu. - Chcę ci powiedzieć, że z punktu widzenia departamentu policji w Charlotte takie zachowanie jest naganne. To nie do przyjęcia i nigdy więcej się nie powtórzy. Andy, przyjmij moje przeprosiny.

Słyszając, jak wymawia jego imię, Brazil poczuł, że ogarnęła go fala gorąca. Uszy mu płonęły.

- Tak, proszę pani, tak, proszę pani. - To wszystko, co był w stanie wykrztusić, i powtarzał te trzy słowa w kółko.

Zarabiał na życie słowami, ale gdzie one wszystkie się podziały, kiedy naprawdę ich potrzebował? Czuł się zdruzgotany, gdy szefowa policji odłożyła słuchawkę. Mogła sobie pomyśleć, że zrobiono mu lobotomię, że jest debilem, jakimś kompletnym przygłupem. Na Boga, mógłby jej przynajmniej podziękować! Brazil wytarł rozlaną kawę i utkwiał niewidzący wzrok w monitorze komputera. Był przekonany, że pani Hammer nie zechce z nim więcej rozmawiać, nawet gdyby natychmiast do niej zadzwonił. Z pewnością zajęła się już ważniejszymi sprawami i nie miałaby ochoty tracić cennego czasu na rozmowę z nim. Brazil całkowicie zapomniał o tekście, jaki pisał na temat defraudacji w First Union Bank. Tommy Axel, który siedział niedaleko od niego, także był myślami gdzie indziej.

Axel przyglądał się Brazilowi przez całe rano i był pewien, że burzyły się w nim emocje. Chłopak czerwienił się, gdy tylko Tommy na niego spojrzał. To z pewnością dobry znak. Axel z trudem koncentrował się na pisanej właśnie recenzji o płycie Wyuonny Judd, która nie wypadła dla niej najlepiej. W innych okolicznościach mogłaby być porywającą opowieścią o ostatnim, fantastycznym albumie, a tak skończyło się na głupawym żargonie, co bez wątpienia przyniesie jej miliony dolarów strat. Axel miał taką siłę. Westchnął, zbierając odwagę, aby jeszcze raz zaprosić Andy'ego na kolację, koncert lub do klubu z męskim striptizem. Może udałoby mu się go upić, namówić do zapalenia trawki i pokazać, o co naprawdę chodzi w życiu.

Brazil z desperacją wpatrywał się w telefon. Do cholery! Czyżby był zupełnie bez jaj? Złapał za słuchawkę, przewertował kartki swojego notesu i wykręcił numer.

- Biuro komendant Hammer - usłyszał.

Przełknął ślinę.

- Mówi Andy Brazil z „Observera” - przedstawił się zadziwiająco spokojnym głosem. - Chciałbym zamienić słowo z panią komendant.

- W jakiej sprawie?

Nie mógł teraz stchórzyć. Było już za późno. Nie miał dokąd uciec.

- W odpowiedzi na jej telefon - oświadczył dzielnie, jakby to było zupełnie naturalne, że szefowa policji do niego dzwoniła, a on oddzwaniał.

Kapitan Horgess był zaskoczony. Co ta Hammer wyprawia? Sama wybrała numer do tego gogusia z redakcji. Horgess nienawidził, gdy to robiła, wolał, aby to jego prosiła o wszelkie połączenia telefoniczne. Cholera. Nie nadążał za tą kobietą. Nie pozwalała się kontrolować. Horgess przełączył Brazila do jej gabinetu, nie trując się, aby go o tym poinformować. Dwie sekundy później Andy usłyszał w słuchawce głos Judy Hammer, który znowu go sparaliżował.

- Przepraszam, że panią niepokoję - szybko wyrzucił z siebie Brazil.

- Nic nie szkodzi. W czym mogę pomóc? - zapytała.

- Ależ nie o to chodzi. Chciałbym tylko podziękować za to, co pani zrobiła.

Judy milczała. Odkąd to dziennikarze za cokolwiek jej dziękują?

Brazil wytłumaczył sobie tę ciszę opacznie. Boże, z pewnością pomyślała, że jest idiotą.

- Nie będę pani zabierać więcej czasu. - Mówił coraz szybciej i szybciej, jeszcze bardziej się pograżając. - Och, ja, no tak. Chodzi o to, że to naprawdę wielka sprawa. Tak sobie pomyślałem. Przecież nie musiała pani tego robić. To znaczy, ktoś inny na pani stanowisku z pewnością by tego nie zrobił.

Judy uśmiechnęła się, stukając paznokciami o papiery leżące na biurku. Przydałby jej się manicure.

- Do zobaczenia w departamencie - powiedziała i gdy odłożyła słuchawkę, poczuła lekkie ukłucie w sercu.

Miała dwóch synów, którzy regularnie przysparzali jej zmartwień. Mimo to dzwoniła do nich każdej niedzieli wieczorem, gromadziła fundusze na szkoły dla wnucząt i proponowała im bilety lotnicze zawsze wtedy, gdy tylko mogli ją odwiedzić. Jednak synowie nie odziedziczyli po niej charakteru, za co w skrytości ducha winiła uwarunkowania genetyczne ze strony ich ojca, który, prawdę powiedziawszy, był jak jajko z samym białkiem, zupełnie pozbawione żółtka. Każde zajście w ciążę przez Judy graniczyło nieomal z cudem. Okazało się bowiem, że Seth miał bardzo słabą spermę. Randy i Jude pozostali kawalerami, ale mieli rodziny. Można ich było spotkać na Venice Beach lub w Greenwich Village. Randy chciał być aktorem. Jude grał na perkusji w zespole rockowym. Obaj pracowali jako kelnerzy. Judy ich uwielbiała. Seth natomiast nie okazywał synom żadnych uczuć i właśnie dlatego tak rzadko przyjeżdżali z wizytą, a ich matka cierpiała w samotności.

Judy poczuła nagle, że ogarnia ją depresyjny nastrój. Powinna zrobić sobie przerwę. Zadzwoiła do kapitana Horgessa.

- Co mam zaplanowane na lunch? - zapytała.
- Spotkanie z radcą Sniderem - padła odpowiedź.
- Przełóż to i zadzwoń do porucznik West - poleciła. - Poproś ją o spotkanie w moim gabinecie w południe.

ROZDZIAŁ 11

Nazwa Presto Grill była akronimem od Prędko, Rewelacyjnie, Ekspresowo Służymy, Tylko Opłacić. Bar wcale nie znajdował się w najlepszej części miasta. Każdy gliniarz z okręgu Charlotte-Mecklenburg wiedział, że w każdy piątek Judy Hammer i Virginia West jadały tam lunch. Informację o tym przekazywano sobie dużo bardziej precyzyjnie, niż się wydawało gliniarzom i niż przypuszczały obie kobiety, żaden oficer na służbie bowiem nie chciałby ryzykować, że komendantce lub jej zastępczyni stanie się coś złego podczas jego dyżuru.

Mały grill przypominał lokale z lat czterdziestych. Znajdował się na West Trade Street, w pobliżu zaniedbanych parkingów, niedaleko kościoła baptystów Mount Moriah Primitive. Gdy dopisywała pogoda, Judy lubiła chodzić tam z biura policji spacerkiem, tak jak tego dnia. Virginia nigdy nie chodziła piechotą, gdy mogła gdzieś dojechać samochodem, ale w tym wypadku dostosowywała się do zwyczajów szefowej.

- Przyjemny zestaw - pochwaliła Judy swą zastępczynię, która postanowiła zostawić w domu mundur i miała na sobie czerwoną bluzkę i granatowe spodnie. - Czemu nigdy nie nosisz spódnic? - zapytała.

Nie krytykowała jej, była jedynie ciekawa. Virginia miała świetną figurę i szczupłe, zgrabne nogi.

- Nienawidzę spódnic - odpowiedziała teraz, ciężko oddychając, ponieważ szefowa narzuciła ostre tempo marszu. - Uważam, że pończochy i wysokie obcasy to wynik męskiej zmywy. To wiązanie stóp. Okaleczanie nas. Spowolnianie naszych ruchów.

Złapała oddech.

- Interesujące - stwierdziła Judy Hammer.

Troy Saunders, policjant z rewiru David One, zauważył je pierwszy i natychmiast umknął, skręcając w Cedar Street. Był sztywny z przerażenia, niezdolny do podjęcia decyzji, co dalej. Czy powinien ostrzec kumpli? Nagle, jak nocny koszmar, przypomniała mu się wizyta komendant Hammer podczas odprawy i surowe ostrzeżenie, aby policjanci nie śledzili obywateli, nie nękali ich i nie jeździli za nimi bez powodu. Czy w oczach szefowej wyglądałoby to jak nękanie, gdyby on, Saunders, zrobił coś takiego, że obie poczułyby się szpiegowane podczas lunchu? Chryste. Saunders zatrzymał się na najbliższym parkingu. Serce waliło mu jak młotem.

Zerknął w lusterko na stojące obok samochodu, wciąż bijąc się z myślami, jak postąpić. Zdecydowanie, gra nie była warta świeczki. Tym bardziej że uczestniczył w tym spotkaniu i słyszał każde słowo, jakie komendant Hammer skierowała do Jeannie Goode. Komendantka z pewnością mogłaby sprawdzić, że brał udział w tej odprawie, siedział trzy krzesła od niej. Łatwo dobrąaby mu się do skóry za niesubordynację i nieprzestrzeganie poleceń. Pamiętał jej świdrujący wzrok, gdy mówiła: „Następnym razem odpowiesz za to”. Saunders nie włączył nawet radia. Zaparkował w najdalszym kącie płatnego parkingu i zapalił papierosa.

Dochodziła za dwadzieścia dwunasta i wszyscy stali klienci zajęli już ulubione miejsca przy barze. Ostatni pojawił się Gin Rummy, który jak zwykle miał w tylnej kieszeni banana, zachomikowanego na później, gdyby znowu poczuł się głodny, prowadząc swoją czerwono-białą taksówkę Ole Dixie.

- Możesz mi zrobić hamburgera? - zapytał Spiker, który stał przy grillu.

- Pewnie, hamburger dla ciebie - odpowiedział ten, naciskając prasę do bekonu.

- Wiem, że jest wcześniej.

- Człowieku, wcale nie jest wcześniej. - Spike wyczyścił grill i położył na nim bułkę. - Rummy, kiedy ostatni raz patrzyłeś na zegarek?

Tak zwracali się do niego przyjaciele. Rummy uśmiechnął się i z zakłopotaniem pokręcił głową. Zwykle jadał tu śniadania, ale tego dnia przyszedł trochę później. Te dwie białe kobiety najwyraźniej także były stałymi gośćmi. Może tu tkwił problem. Trudno mu się było w tym połapać. Znowu potrząsnął głową, skrzywił się i przesunął banana, aby go nie rozgnieść.

- Czemu nosisz tam banana? - zapytał go siedzący obok Jefferson Davis, który był operatorem żółtego traktora i przechwalał się, że budował US-Bank. - Wsadź go do kieszeni koszuli. - Puknął Rummy'ego w kieszeń naszytą na koszulę w czerwoną kratkę. - Wtedy na pewno na nim nie usiądziesz.

Mężczyźni siedzący przy barze, a było ośmiu, rozpoczęli dyskusję o bananie Rummy'ego i propozycji Davisa. Niektórzy jedli wołowinę w sosie, inni smażoną wątróbkę z kapustą.

- Jeśli wsadzę go do kieszeni na piersi, będę go cały czas widział - Rummy usiłował wyłożyć im swoją filozofię. - I wtedy zjem go szybciej. Rozumiecie? Nigdy nie wytrzymały do trzeciej lub czwartej.

- No to włóż go do kasetki w desce rozdzielczej.

- Tam nie ma miejsca.

- A na siedzeniu pasażera z przodu? Twój klient jeździ z tyłu, prawda?

Spike podał mu hamburgera, jak zwykle z podwójnym sosem jogurtowym zamiast majonezu, podwójnym amerykańskim serem i smażonymi cebulkami.

- Nie da rady. Czasami z przodu kładą jakieś bagaże. - Rummy delikatnie podzielił na pół swój lunch. - Zdarza się też, że biorę czterech klientów z przystanku autobusowego i wtedy jeden siada z przodu. Kiedy widzą banana, myślą, że jem podczas pracy.

- No tak, ale przecież jesz, człowieku.

- O to chodzi.

- To prawda.

- Tak, bracie.

- Ale nie, gdy kogoś wiozę, wtedy nie jem.

Rummy pokręcił głową, przeżuując kęs hamburgera. Banan wciąż pozostawał w tylnej kieszeni spodni, tam gdzie jego miejsce.

Judy Hammer nie pamiętała, kiedy ostatni raz w Presto było tak głośno. Przyglądała się facetom przy barze, spodziewając się, że w każdej chwili mogą zacząć bójkę. Wyglądało na to, że jeden z nich powiedział drugiemu, aby włożyć coś gdzie indziej, a inni też byli tego zdania. Judy od dawna z nikim nie walczyła, jeśli nie liczyć kłótni z Sethem. Oczywiście, nie była głupia. Wiedziała, że po okolicy krążyło co najmniej dwadzieścia radiowozów, z których śledzono każdy kęs sałatki nakładanej przez nią na widelec. Irytowało ją to, ale nie winiła swoich policjantów, a nawet doceniała ich troskę i uwagę. To było wręcz wzruszające, chociaż domyślała się, że tak naprawdę przede wszystkim dbali o swoją skórę, a dopiero potem o bezpieczeństwo szefowej.

- Zapewne powinnam dać jej reprimendę na osobności. - Nawiązała do porannego zdarzenia.

Virginia życzyłaby sobie, aby szefowa ochrzaniła Jeannie Goode przed całym departamentem policji w liczbie tysiąca sześciuset policjantów lub na spotkaniu rady miasta transmitowanym przez telewizję.

- Niepotrzebnie robisz sobie wyrzuty - odrzekła dyplomatycznie, kończąc frytki.

- Przysięgam, że mają tu rewelacyjne jedzenie - powiedziała komendantka. - Spójrz na te rumsztyki. Świeżutkie, że palce lizać.

Virginia obserwowała, jak Spike przygotowywał dania, zwijając się jak w ukropie i trzaskając pokrywkami. Faceci przy barze wciąż się spierali, gdzie ukryć skradzione rzeczy, może nawet chodziło o narkotyki. W skrytce w desce rozdzielczej. Pod fotelem. Trzymać je przy sobie. Była zdumiona, jak bezczelni potrafią być w obecnych czasach przestępcy. Chociaż obie były po cywilnemu, wszyscy wiedzieli, kim są, a przenośne radio Virginii stało

włączone na stole obok niej. Ale czy tym cwaniakom to przeszkadzało? Czy mieli chociaż trochę respektu dla prawa?

- Posłuchaj - odezwał się jeden z nich, wskazując palcem na gościa w czerwonej koszuli w kratkę.

- Chcesz wiedzieć, co z tym zrobić? Dam ci radę. Zjedz go. Szybko, zanim ktoś zauważy. I co wtedy powiedzą, ha?

- Nic nie powiedzą.

- Ani słowa.

- Masz rację.

- Rummy, siedzenie na nim to kiepskie wyjście - odezwał się Spike. - Poza tym, u nas możesz dostać bez porównania lepsze. Najwyższej jakości, importowane, za dobrą cenę. Codziennie świeży towar. - Złożył omlet z szynką i serem. - Ale co z tego? Codziennie przychodzisz tu z tą samą cholerną rzeczą wetkniętą do tylnej kieszeni. Po co? Może ci się wydaje, że to robi wrażenie na kobietach? Myślą, że cieszysz się na ich widok?

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, poza Virginią West, szefową miejskiego wydziału dochodzeniowego. Była gotowa natychmiast wezwać tu kilku swoich ludzi i rozerwać ten krąg, wysledzić wszystkich współników, nawet w samej Kolumbii, i pozamykać do więzienia.

- Narkotyki - szepnęła do szefowej.

Judy była pochłonięta myślami i wciąż tak wściekła na Jeannie Goode, że czuła, jak burzy się w niej krew. Jak ta głupia, zadufana w sobie suka śmiała narazić na szwank reputację całego departamentu policji, a zwłaszcza kobiet. Komendantka nie pamiętała już, kiedy ostatni raz coś ją do tego stopnia wyprowadziło z równowagi. Zauważyła, że Virginia także jest rozdrażniona, i to sprawiło jej ulgę. Niewiele osób zdawało sobie sprawę z odpowiedzialności i stresu, jakie są udziałem kogoś na kierowniczym stanowisku. Virginia West była ze wszech miar uczciwa i prawa. Doskonale wiedziała, co znaczy nadużywanie władzy.

- Czy możesz w to uwierzyć? - zapytała teraz, z wściekłością gniotąc

serwetkę i patrząc na handlarza narkotyków w czerwonej koszuli w kratkę, któremu z tylnej kieszeni spodni wystawał banan. - Czy wierzysz w ludzi?

Judy potrząsnęła głową, hamując narastającą złość.

- Nie - powiedziała. - Zawsze mnie zdumiewa... Przerwała i obie zaczęły się wsłuchiwać w komunikat nadawany właśnie przez radio.

- Do wszystkich patroli w rejonie, West Trade numer sześćset. Napad w toku, uzbrojony biały mężczyzna w autobusie, rabuje pasażerów...

Policjantki zerwały się na równe nogi i wybiegły z baru, kierując się w stronę dworca greyhoundów, który był zaraz obok. Natychmiast zgłosiły się radiowozy z rewiru David One, ale żaden z nich nie znajdował się wystarczająco blisko miejsca przestępstwa. Zdziwiło to komendantkę, która z pewnym trudem biegła w pantoflach na wysokich obcasach. Virginia była tuż za nią. Okrążyły dworzec i skierowały się w stronę autobusu z czterdziestoma siedmioma miejscami dla pasażerów, który z otwartymi drzwiami stał na swoim stanowisku.

- Będziemy udawać pasażerki - wyszeptała Virginia, gdy zwolniły.

Judy pokiwała głową, rozumiejąc, co zamierza jej zastępczyni.

- Wchodzę pierwsza - rzuciła.

Virginia wyobrażała to sobie nieco inaczej, ale absolutnie nie chciała w tej chwili, ani zresztą nigdy, udowodniać, że komendant Hammer zapomniała, jak to jest być gliniarzem. Obcasy szefowej głośno stukały na metalowych stopniach, gdy z uśmiechem wchodziła do autobusu jak nieświadoma niczego kobieta, mająca zamiar wybrać się w podróż. Pasażerowie siedzieli sparaliżowani ze strachu i sterroryzowani przez tajemniczego, młodego białego mężczyznę, który chodził między fotelami i zabierał portfele, pieniądze, biżuterię, wrzucając to wszystko do plastikowego worka na śmiecie.

- Przepraszam - zagadnęła uprzejmie Judy, chociaż nikt z pasażerów jej nie słuchał.

Mężczyzna, zwany Czarodziejem, odwrócił się i spojrzał na elegancką

kobietę w wytwornym kostiumie. W tej samej chwili komendantka zauważyła w jego ręku pistolet. Jej uśmiech zbladł, a twarz stężała, podobnie jak tej następnej kobiecie, która weszła zaraz za nią. Nieźle. Te suki wyglądały na dziane.

- Czy to autobus do Kannapolis? - zapytała ta starsza, w czerni.

- To autobus, w którym oddacie mi swoje pieniądze.

Czarodziej wycelował w jej stronę dwudziestkędwójkę.

- Dobrze. Nie chcę żadnych kłopotów - powiedziała ta w czarnym kostiumie.

Czarodziejowi wydawało się, że wyglądała na bardzo przestraszoną, jakby zaraz miała zemdleć lub zsikać się w majtki. Trzęsąc się jak osika, podeszła do niego bliżej, grzebiąc w swojej dużej, skórzanej torbie. Czarodziej ją też miał ochotę skonfiskować, dla swojej matki. Może również te czarne pantofle? Ciekawe, jaki to rozmiar? Wciąż jeszcze zastanawiał się nad kwestią butów, gdy ta suka kopnęła go znieścacka ostrym czubkiem pantofla tak mocno w goleń, że aż ugryzł się w język. Nagle w jej ręku pojawiła się wielka splota, którą mu przystawiła do głowy, ktoś wyrwał mu pistolet i chwilę potem leżał już między fotelami twarzą do ziemi, a ta druga suka zakładała mu plastikowe kajdanki na nadgarstki.

- Ludzie, chwileczkę. To za mocno - jęknął Czarodziej, czując, że drętwieją mu ręce. - Chyba złamałem nogę.

Pasażerowie w autobusie gapili się na nich z otwartymi ustami i w całkowitym milczeniu, przyglądając się, jak dwie eleganckie damy wyprowadzały z autobusu tego skurczybyka, bandytę. Nadszedły radiowozy na sygnale, migające niebieskoczerwonymi światłami, i wtedy wszyscy w autobusie nagle zdali sobie sprawę z tego, co się stało.

- Dzięki ci, Jezu - westchnął ktoś.

- Rany boskie.

- To istny cud.

- Batman i Robin!

- Podajcie tu tę torbę, abym mógł wyjąć swój złoty łańcuszek.

- Ja chcę z powrotem moją obrączkę.

- Proszę, aby wszyscy zostali na swoich miejscach i niczego nie ruszali - rozkazał policjant, który wszedł do autobusu.

Saunders miał nadzieję, że komendantka nie zauważy, jak wysiadał z radiowozu.

- Gdzie byłeś? - zapytała go jednak, szybko podchodząc do auta. Następnie zwróciła się do porucznik West. - Nie wydaje ci się to trochę dziwne? Zwykle kręcą się po okolicy, gdy przychodzimy na śniadanie.

Virginia także tego nie rozumiała, nabrała jednak szacunku do spódnicy i wysokich obcasów swojej szefowej. Nie tylko nie spowolniły jej ruchów, ale pantofle jeszcze się na coś przydały. Była z niej dumna, gdy wróciły do grilla, aby uregulować rachunek. Faceci przy barze palili papierosy, wciąż się sprzecząc, nieświadomi, co zaszło tuż obok, na dworcu autobusowym. Virginia pomyślała, że handlarze narkotyków nie przejmują się, kiedy ktoś napada na niewinnych ludzi. Rzuciła im złowieszcze spojrzenie, podczas gdy szefowa dopijała swoją mrożoną herbatę, zerkając przy tym na zegarek.

- No dobrze, musimy już wracać - stwierdziła.

Andy Brazil dowiedział się o incydencie na dworcu autobusowym z włączonego skanera, podczas pracy nad tekstem o długofalowych konsekwencjach gwałtów i efektach, jakie tego typu czyny wywierały na rodzinach ofiar. Zanim zdążył zjechać windą, wsiąść do samochodu i dotrzeć na West Trade, cały dramat miał już swój finał w areszcie.

Virginia West i Judy Hammer właśnie wychodziły, gdy dobiegał do Presto Grilla. Zdumiony Brazil zatrzymał się i utkwiał w nich wzrok. Po pierwsze, nie mógł zrozumieć, dlaczego dwie najwybitniejsze kobiety w mieście jadają w takiej speluncie. Poza tym, nie był w stanie pojąć, jak mogły spokojnie kończyć lunch, gdy tuż obok, pięćdziesiąt metrów stąd, zagrożone było ludzkie życie, a one z pewnością o tym wiedziały. Virginia miała przy

sobie policyjne radio.

- Andy. - Pani Hammer uśmiechnęła się na powitanie.

Virginia West rzuciła mu zachęcające spojrzenie, więc zaczął zadawać pytania. Obie kobiety ubrane były elegancko, a w czarnej, skórzanej torebce komendant Hammer znajdował się sekretny schowek na pistolet. Brazil domyślał się, że schowała tam też swoją policyjną odznakę. Podobał mu się sposób, w jaki napinały się jej łydki, gdy odchodziła. Idąc w kierunku dworca autobusowego, zastanawiał się, jak wyglądały łydki porucznik West. Policjanci zwijali się jak w ukropie, spisując zeznania, a było tego sporo. Brazil naliczył czterdziestu trzech pasażerów, nie licząc kierowcy, z którym przeprowadził całkiem interesujący wywiad.

Antony B. Burgess od dwudziestu dwóch lat pracował jako zawodowy kierowca i niejedno już widział. Okradziono go, obrabowano, napadli na niego uzbrojeni bandyci i dostał nożem. W motelu w Shreveport postrzelono go, gdy wziął do samochodu kobietę, która okazała się facetem. Wszystko to, a nawet dużo więcej, opowiedział Brazilowi, ponieważ ten blondasek był piekielnie miły i wystarczająco spostrzegawczy, aby rozpoznać gawędziarza.

- Nie miałem pojęcia, że to były gliny - jeszcze raz powtórzył Burgess, drapiąc się po głowie. - Nigdy bym nie pomyślał. Weszły do środka, całe w czerni, czerwieni i błękicie, zupełnie jak Batman i Robin. Batman natychmiast kopnęła tego bydlaka i miała zamiar rozwalić jego pieprzony mózg po całym autobusie, Robin zaś skuła go kajdankami. Do diabła! - Potrząsnął głową, jakby zobaczył to wszystko na nowo. - I to była komendantka policji! Tak przynajmniej słyszałem. Możesz w to uwierzyć?

O piątej po południu tekst był już gotowy i miał się ukazać na pierwszej stronie. Brazil widział już nagłówek w składzie: „Komendantka policji i jej zastępczyni udaremniły porwanie autobusu. Batman i Robin w szpilkach?”.

Virginia West dowiedziała się o tym nieco później, gdy Brazil, znowu w mundurze, wskoczył do jej samochodu, aby spędzić kolejną noc, jeżdżąc z nią po mieście. Był z siebie bardzo zadowolony i uważał, że napisał

najlepszy tekst w całej swojej dotychczasowej karierze. Z niecierpliwością oczekiwał opinii obu zainteresowanych, niemal miał zamiar poprosić je o autografy lub o plakat z ich wizerunkami, który mógłby powiesić w swoim pokoju.

- Ja to chrzanię! - wykrzyknęła po raz kolejny Virginia, gdy jechali South Boulevard bez konkretnego celu. - Nie musiałeś w to mieszać tego cholernego Batmana.

- Musiałem - upierał się Andy, a jego nastrój pogarszał się, jakby słońce zaszło za ciemnymi i burzowymi chmurami. - To cytat. Ja tego nie wymyśliłem.

- Pieprzę to. - Przewidywała, że jutro będzie pośmiewiskiem całego departamentu. - Cholerny skurwieli. - Zapaliła papierosa, wyobrażając sobie ryczącą ze śmiechu Jeannie Goode.

- Tu chodzi o problem z twoim ego. - Brazil nie lubił, gdy krytykowano jego pracę, wręcz nie mógł tego znieść. - Jesteś wściekła, bo nie lubisz być postacią drugoplanową, Robinem zamiast Batmanem, za bardzo przypomina ci to rzeczywistość. Ty nie jesteś Batmanem. A ona tak.

Virginia rzuciła mu spojrzenie, które mogłoby zabić. Jeśli chciał przeżyć tę noc, powinien siedzieć cicho.

- Byłem po prostu szczery - tłumaczył się. - To wszystko.

- Czyżby? - Spojrzała na niego ponownie. - Dobrze, ja także przez chwilę będę szczerą. Mam w dupie to, co tam sobie cytujesz, rozumiesz? Wiesz, jak nazywa się takie cytaty? Nazywa się je gównami. Nazywa się je kłamstwem, pogłoską, zniesławieniem, pozbawieniem pieprzonego szacunku.

- Jak brzmiało to ostatnie określenie? Chyba z łącznikami? - Brazil z trudem powstrzymywał się od śmiechu i starał się notować, podczas gdy Virginia gestykulowała dłonią z papierosem i robiła się coraz zabawniejsza.

- Chodzi o to, Sherlocku, że nie zawsze to, co ktoś coś powiedział, nadaje się do powtarzania, a tym bardziej do druku. Kapujesz?

Pokiwał głową ze śmiertelną powagą.

- A poza tym, ja nie noszę pantofli na szpilkach i nie chcę, aby ktokolwiek tak myślał - dodała.

- Dlaczego? - zapytał.

- Co, dlaczego?

- Nie chcesz, aby ludzie tak myśleli? - wyjaśnił.

- W ogóle nie chcę, aby ludzie o mnie myśleli. Kropka.

- Dlaczego nigdy nienosisz pantofli na wysokich obcasach ani spódnic? - Brazil nie chciał dać się zbyć unikami.

- To nie twój cholerny interes. - Virginia wyrzuciła papierosa przez okno.

Policyjne radio podało adres na Wilkinson Boulevard, który każdy, kto chociaż trochę znał miasto, rozpoznałby jako Paper Doli Lounge, spelunę ze striptizem. Tego typu lokale były w Charlotte bardzo popularne, występowały w nich kobiety, mające na sobie jedynie stringi, by kusić mężczyzn, którzy mieli w kieszeniach pełno banknotów. Tej nocy bezdomni włóczędzy popijali przed wejściem piwo z ćwierćlitrowych butelek, zakamuflowanych w torbach z brązowego papieru. Nieopodal kręcił się po śmietniku zniszczony życiem, ale jeszcze młody mężczyzna.

- Nie była dużo starsza ode mnie. - Andy opowiadał policjantce o młodej prostytutce, którą zauważył na ulicy poprzedniej nocy. - Straciła prawie zupełnie przednie zęby, miała długie, tłuste włosy i tatuaże. Ale założyłbym się, że kiedyś musiała być całkiem ładna. Chciałbym z nią kiedyś porozmawiać, dowiedzieć się, dlaczego jej życie przemieniło się w coś tak ohydneho.

- Ludzie powtarzają swoje historie i znajdują innych, których wykorzystują - odrzekła dziwnie zirytowana jego zainteresowaniem prostytutką, która kiedyś była ładną dziewczyną.

Wysiedli z samochodu. Virginia podeszła do pijaka w baseballowej czapce. Zataczał się, mocno dzierżąc w dłoni butelkę.

- Dobrze się dzisiaj bawimy - zagadnęła go.

Mężczyzna zataczał się, ale wyglądał na całkiem zadowolonego.

- Czołem - wybełkotał. - Niezła z ciebie lala. A ten drugi to kto?
- Wylej to albo pójdziesz do pierdła - poleciała.
- Tak, proszę pani. To łatwa decyzja, niech mi pani wierzy.

Wylał na parking zawartość butelki, o mały włos przy tym się nie wywracając, i ochlapał przy okazji spodnie od munduru Brazila i jego czyściutkie buty. Andy miał dobry refleks, uskoczył jednak o sekundę za późno. Natychmiast zaczął się zastanawiać, gdzie jest najbliższa męska toaleta. Miał nadzieję, że Virginia go tam zaprowadzi, jednak dalej rozpędzała pijaczków, każąc im opróżniać flaszki, a oni przyglądali się jej i obliczali swoje szanse, zastanawiając się, jak szybko mogliby się dostać do jednego z najbliższych barów.

Brazil poszedł za nią do samochodu. Wsiedli do środka i zapięli pasy. Andy'ego krępował kwaśny odór, który wydzielaly nogawki jego spodni. Ta część pracy policjanta najmniej mu odpowiadała. Nie lubił pijaków i strasznie go irytowali. Przyglądał im się przez szyby samochodu i widział, że chociaż porządnie chwiali się już na nogach, alkohol znów się pojawi, zanim ich patrol na dobre się oddali. Ludzie najwyraźniej akceptowali ten sposób na życie, uzależnienie, wyniszczenie, brak szans i sprawianie kłopotów innym.

- Jak można upaść tak nisko? - mruzczał, obserwując przez okno ulice, gotów w każdej chwili wysiąść.

- Każdy z nas może - odrzekła Virginia. - To właśnie jest takie przerażające. Jedno piwo za dużo. To grozi każdemu.

W swoim czasie miewała już okresy, że była bardzo blisko tej drogi, pijąc noc w noc, aby zasnąć. Nie pamiętała wówczas swoich myśli ani tego, co czytała, czasami gdy się budziła, w pokoju wciąż paliło się światło. Niedorozwinięty młody mężczyzna z uśmiechem na twarzy zmierzał w stronę ich samochodu i zaczęła się zastanawiać, co sprawia, że los umieszcza jednych ludzi tam, gdzie ona się znajdowała, a innych rzuca na parkingi i do śmietników. Nie zawsze jest to tylko kwestia wyboru. Z pewnością nie było tak chociażby w przypadku tego niedorozwiniętego chłopaka, który mieszkał

na ulicy, dobrze znanego policji.

- Jego matka usiłowała dokonać aborcji, ale nie całkiem jej się to udało - wyjaśniła spokojnie. - To jest jego historia. - Opuściła szybę od strony Brazila. - Odkąd pamiętam, mieszka na ulicy. - Wychyliła się i zawołała: - Jak leci?

Chłopak nie mówił żadnym językiem, który Andy mógłby zrozumieć. Jak szalony wymachiwał rękami, wydając dziwne przerażające dźwięki. Brazil chciał, aby jak najszybciej stąd odjechali, zanim ten stworzyciel zionie na niego lub go zaślina. Boże, ten facet śmierdział jak brudne butelki po piwie i sterta śmieci razem wzięte. Brazil odsunął się od okna, opierając się o mocne ramię Virginii.

- Śmierdzisz - zauważyła, uśmiechając się do chłopaka na ulicy.

- To nie ja - zaproponował Brazil.

- Ależ tak - upierała się, po czym zwróciła się do swojego znajomego: - Co ty tam robisz?

Młody człowiek zaczął jeszcze mocniej gestykulować z podnieceniem, opowiadając tej miłej pani policjantce o wszystkim, co się zdarzyło, a ona uśmiechała się, najwyraźniej ucieszona, że z nią rozmawia. Jej partner natomiast wyglądał na onieśmiałego.

Chłopak, jak go tu wszyscy nazywali, zawsze rozpoznawał nowego gliniarza po tym, że był spięty, a to zawsze go kusiło, aby się trochę zabawić kosztem żółtodzioba. Zaczął się przyglądać Brazilowi, szeroko otwierając obślinione usta, jakby zobaczył nieznaną mu egzotyczną istotę. Gdy dotknął lekko młodego policjanta, ten cofnął się ze wstrętem. To bardzo uradowało Chłopaka, zaczął więc zachowywać się jeszcze głośniej, tańczyć na ulicy i jeszcze raz udało mu się dotknąć tego blondyna. Virginia zaśmiała się, zerkając na swego towarzysza.

- No wiesz co - powiedziała - chyba mu się spodobałeś.

Wreszcie zasunęła szybę, a Brazil poczuł się kompletnie sponiewierany. Nie dość, że miał mundur zalany piwem, to jeszcze dotykał go jakiś

bezzębny facet, który spędził całe życie na śmietnikach. Chciało mu się wymiotować. Był oburzony i dotknięty, podczas gdy ona śmiała się, jadąc dalej, i zapalała kolejnego papierosa. Nie tylko nie zapobiegła jego upokorzeniom, ale sama się do nich przyczyniła i na dodatek jeszcze ją to bawiło. Milczał urażony, gdy jechali West Boulevard w stronę lotniska.

Skrećiwszy w Billy Graham Parkway, Virginia zaczęła się zastanawiać, co by czuła, gdyby główną arterię nazwano jej nazwiskiem. Nie była pewna, czy zaakceptowałyby to, że dniami i nocami gnają po niej samochody osobowe i ciężarówki, pozostawiając ślady na asfalcie, kierowcy wyrzucają śmiecie i wykrzykują nieprzyzwoite uwagi pod adresem innych jadących, wykonują obraźliwe gesty i wyciągają spluwy. Im więcej o tym myślała, tym bardziej była przekonana, że nie ma żadnych analogii między drogą a chrześcijaństwem, poza tym, że używano jej symboliki w biblijnych metaforach, takich jak droga do piekła. Współczuła wielebnemu Billy'emu Grahamowi, urodzonemu w Charlotte w domu, który później został włączony, wbrew woli jego właściciela, do pobliskiego parku, należącego do kościoła.

Brazil nie miał pojęcia, dokąd jechali, ale z pewnością nie tam, gdzie się coś działo, ani nie tam, gdzie mógłby się wyczyścić. Wsłuchiwał się w komunikaty, nadawane przez skaner, i wiedział, że było wezwanie do Charlie Two na Central Avenue. Dlaczego zatem jechali w przeciwną stronę? Rozmyślał o swojej matce, która całymi dniami oglądała w telewizji Billy'ego Grahama, niezależnie od tego, co było w tym czasie na innych kanałach, lub też co chciał oglądać Andy.

- Dokąd jedziemy? - zapytał, gdy skręcili w Boyer, kierując się znowu w stronę Wilkinson Boulevard.

Na tej trasie z pewnością mogło się coś wydarzyć, ale Virginia nie zamierzała długo na niej zostać. Szybko minęli Greenbriar Industrial Park i skręcili w lewo, na Alleghany Street, w kierunku Westerly Hills, gdzie mieściła się szkoła średnia Hardinga. Brazil miał coraz gorszy humor.

Podejrzewał, że jego przewodniczka zachowywała się w ten sposób, aby mu przypomnieć, że tak naprawdę wcale nie chciała z nim jeździć, i wyraźnie dać do zrozumienia, że nie powinny go interesować policyjne wezwania, na które wcale nie miała zamiaru odpowiadać.

- Do wszystkich jednostek w okolicy numeru dwieście pięćdziesiąt na Westerly Hills Drive. - Skaner przerwał nagle spokój, jaki zdawał się ogarniać Virginie. - Podejrzani osobnicy na parkingu przy kościele.

- Cholera - zaklęła, przyspieszając.

Co za parszywe szczęście. Jak na ironię byli właśnie na Westerly Hills Drive, a Zjednoczony Kościół Żywego Boga mieli dokładnie po prawej stronie. Niewielki, biały kościółek należał do zielonoświątkowców. O tej porze nocy nie było w nim już nikogo. Parking, na który wjechała, także wydawał się pusty. Jednak po chwili zauważyła tam grupkę ludzi, z pół tuzina młodych mężczyzn oraz kobietę na wózku inwalidzkim. Wszyscy wpatrywali się wrogo w policyjny radiowóz. Virginia nie była pewna, jak rozwinie się sytuacja, i gdy oboje wysiedli, poleciała Brazilowi, aby został przy wozie.

- Dostaliśmy komunikat... - zwróciła się do kobiety wyglądającej na matkę tamtych.

- Tylko tędy przechodziliśmy - odezwał się na ochotnika najstarszy syn, Rudof.

Matka rzuciła mu karcące spojrzenie.

- Nie musisz nikomu odpowiadać! - warknęła. - Słyszysz mnie? Nikomu!

Rudof spuścił wzrok. Nosił opadające spodnie i widać było spod nich czerwone spodenki gimnastyczne. Miał dość pouczeń matki i ukrywania się przed policją. Co on takiego zrobił? Nic. Po prostu wracał do domu ze sklepu, ponieważ matce zachciało się papierosów i wszyscy z nią poszli, robiąc sobie miły spacer i skracając drogę przez kościelny parking. Co w tym złego?

- Nie zrobiliśmy nic złego - powiedział, krzyżując ręce na piersi.

Brazil był pewien, że szykuje się awantura, tak jak potrafił wyczuć nadchodzącą burzę. Był cały spięty. Obserwował niewielką grupkę zdenerwowanych ludzi, stojących w ciemności. Kobieta podjechała na wózku bliżej do Virginii. Miała ochotę powiedzieć coś, co już dawno chciała z siebie wyrzucić, a teraz nadarzyła się doskonała okazja. Niech wszystkie jej dzieci to usłyszą, zresztą ci policjanci nie wyglądali na ludzi, którzy mogliby skrzywdzić kogoś bez powodu.

- Po prostu tu przyszliśmy - zwróciła się do policjantki. - Wracamy do domu, spacerujemy, jak wszyscy inni. Mam już tego dość, że nas prześladujecie.

- Nikt... - zaczęła Virginia.

- Ależ tak. Ależ tak, prześladujecie. - Matka zaczęła mówić głośniej i z większą złością. - To wolny kraj! Myślicie, że jeśli bylibyśmy biali, ktoś wzywałby policję?

- To dobry argument - przytaknęła Virginia.

Kobieta była zdumiona. Jej synowie także. Nigdy nie słyszeli, aby biała policjantka mówiła coś takiego. To istny cud.

- A więc zgadzasz się ze mną, że wezwano was tylko dlatego, ponieważ jesteśmy czarni? - chciała się upewnić.

- Musiałabym zgadywać, a to zupełnie nie fair. Nie wiedziałam, że jesteście czarni, gdy odebrałam komunikat przez radio - mówiła spokojnym, stanowczym tonem porucznik West. - Nie przyjechaliśmy dlatego, że myśleliśmy, iż jesteście czarni, biali, żółci czy jacyś inni. Przyjechaliśmy, ponieważ to nasz zawód, chcemy się upewnić, czy wszystko w porządku.

Matka starała się jeszcze podtrzymać złość, odjeżdżając na wózku i zaganiając całą gromadkę do odwrotu. Czuła jednak, że się rozkleja. Miała ochotę się rozplakać i nie wiedziała dlaczego. Patrol wrócił do samochodu i odjechał.

- Rudof, podciągnij spodnie, synu - gderwała. - Potkniesz się jeszcze i skręcisz sobie kark. To samo ty, Joshua. Przysięgam.

Odjechała w mrok, w stronę ich skromnego mieszkania.

Brazil i Virginia w milczeniu zmierzali w kierunku Wilkinson Boulevard. Andy zastanawiał się, co powiedziała tej rodzinie. Na pewno kilka razy użyła liczby mnogiej, „my”, w sytuacji, gdy wiele osób powiedziałoby „ja”, jakby jego tam nie było. To bardzo miłe, że pomyślała o nim, był też wzruszony jej delikatnością wobec tej rozżalanej, pełnej nienawiści rodziny. Chciał się odezwać, powiedzieć, co czuje, okazać wdzięczność, ale znowu był dziwnie skrępowany, zupełnie tak samo jak przy komendant Hammer.

Virginia wracała do centrum miasta, zastanawiając się, czemu jej pasażer jest taki milczący. Może był na nią zły, że unikała przyjmowania zgłoszeń, a przynajmniej tak to wyglądało. Jak by sama się czuła w takiej sytuacji, gdyby odwrócić role? To nie było w porządku z jej strony i miał prawo ją za to zniechęcić. Zrobiło jej się wstyd. Włączyła skaner i podniosła mikrofon.

- Siedemset - powiedziała.
- Siedemset - zgłosił się dyżurny dyspozytor.
- Tu dziesięć osiem.

Brazil nie wierzył własnym uszom. Zastępczyni komendantki właśnie powiedziała przez radio, że jest na służbie, co oznaczało, że chce przyjmować zlecenia jak każdy inny patrol w mieście. Oboje byli gotowi stawiać czoło kłopotom, które już wkrótce się pojawiły. Ich pierwsze zlecenie dotyczyło kościoła katolickiego pod wezwaniem Naszej Pani Pocieszycielki.

- Sprawdźcie głośną muzykę, dochodzącą z lokalu w centrum handlowym po drugiej stronie ulicy - dostali zlecenie przez radio.

Dyspozytor nie bez przyczyny miał przezwisko Radar. Zaczął swoją karierę zawodową w North Carolina Highway Patrol, gdzie wslawił się maniackim namierzaniem wszystkiego, co się ruszało: samochodów, ciężarówek, przechodniów, nisko przelatujących samolotów, balonów napełnionych helem i łapaniu wszystkich na przekroczeniu limitu prędkości. Po prostu uwielbiał posługiwać się radarem. Zaczajał się na autostradach i zatrzymywał tych, którzy łamali przepisy drogowe, śpiesząc się na ważne

spotkania lub uciekając przed czymś. Kiedy Radar przeszedł na emeryturę, zaczął nową karierę jako dyspozytor. Jego koledzy pracujący pod numerem dziewięćset jedenastcie wierzyli, że Radar potrafił wyczuć problem, zanim się jeszcze pojawił. Weźmy, na przykład, to wezwanie do kościoła katolickiego. Radar miał przeczucie, naprawdę złe przeczucie.

Przekazał więc to wezwanie porucznik West, ponieważ uważał, że żadna kobieta nie powinna nosić munduru, no chyba że jest pod nim zupełnie naga i w dodatku na okładce tych pism, które sam bardzo lubił oglądać. Oprócz kierowania się intuicją, Radar doskonale wiedział, że spelunę Fat Man's Lounge prowadziła grupa zbirów wyznających podobną jak on sam filozofię na temat miejsca kobiety. Radar osobiście znał Colta, wykidającą z tego lokalu, i wiedział, że nie będzie zachwycony, kiedy wkroczy tam Virginia West, ze swoją odznaką, dupą i dużymi cyckami.

Ona jednak nie zdawała sobie z tego sprawy, gdy zapalała papierosa i skręcała w Stateville Avenue. Wskazała ruchem głowy na terminal danych.

- Mnie zajęło czterdzieści minut, aby nauczyć się, jak to działa - powiedziała Brazilowi. - Ty masz dziesięć.

W kościele katolickim pod wezwaniem Naszej Pani Pocieszycielki odbywała się nocna impreza muzyczna i na pobliskim parkingu stało mnóstwo samochodów. W ciemnościach żarzyły się kolorowe witraże, przedstawiające sceny z życia Jezusa.

- Jesteś pewna, że to nie ktoś z baru skarżył się na imprezę w kościele? - zastanawiał się Brazil.

Virginia także była zdziwiona. Do diabła, jak ktoś z kościoła mógł słyszeć cokolwiek poza śpiewem chóru, któremu towarzyszyły gitary, organy, perkusja i skrzypce? Skręciła w stronę centrum handlowego, które znajdowało się dokładnie na wprost kościoła, i wjechała na parking. Fat Man's Lounge zajmował się zupełnie inną działalnością niż kościół. Przed wejściem kręciło się kilku podejrzanych typków, pijących piwo, palących i

gapiących się na ulicę.

Brazil nie słyszał najmniejszego nawet hałasu, z klubu nie dochodził żaden dźwięk. Zaczął podejrzewać, że ktoś z kościoła złożył skargę tylko po to, aby wywołać bójkę w Fat Man's, który faktycznie był podejrzaną speluną. Parafianie z pewnością woleliby mieć po drugiej stronie ulicy inne sąsiedztwo, coś bardziej przyzwoitego i związanego z rodziną, na przykład wypożyczalnię wideo czy bar dla sportowców. Goście spod klubu nieprzyjaznym wzrokiem przypatrywali się policjantce, która wysiadła z radiowozu. Oboje ruszyli w stronę komitetu powitalnego.

- Podobno są tu jakieś hałasy? - zapytała Virginia. - Otrzymaliśmy skargę.

- Jedyne hałasy dochodzą stamtąd - odrzekł jeden z typków, wskazując głową w stronę kościoła. Leniwie pociągnął z butelki łyk piwa.

- Powiedziano nam, że to wy hałasujecie - upierała się porucznik West.

Skierowała się do drzwi, Brazil ruszył za nią, a zebrane przed drzwiami typki niechętnie zrobiły im przejście. Fat Man's był ponurą, ciemną speluną.

W potwornie zadymionym pomieszczeniu grała muzyka, ale niezbyt głośno. Przy drewnianych stołach siedzieli faceci, pili i gapili się na kobietę na scenie, która kołysała ociężale swoim nagim ciałem, potrząsała piersiami, odziana jedynie w stringi i chwościki na brodawkach. Brazil nie chciał zbyt natrętnie się jej przyglądać, ale był niemal pewien, że na lewej piersi miała wytatuowaną jaskrawożółtą planetę Saturn z pierścieniami. Bez wątplenia były to największe piersi, jakie widział w życiu.

Striptizerka, której sceniczne imię brzmiało Minx, potrzebowała kolejnego valium. Poza tym chciało jej się pić i palić, no i pojawiły się te cholerne gliny. Która to godzina? Zaczęła się obracać w odwrotną stronę, a potem na przemian to w jedną, to w drugą. Zwykle podnieca to facetów, ale tej nocy zebrał się tu tłum skąpców, ponurych jak cmentarzysko. Minx uśmiechnęła się, widząc, że młody policjant nie może oderwać od niej oczu.

- Nigdy przedtem nie widziałeś cycków? - zapytała go, gdy przechodził obok sceny.

Brazil przyjął to obojętnie. Porucznik West obrzuciła Minx chłodnym spojrzeniem i pomyślała, że jej tatuaż na lewej piersi, przedstawiający smażone jajko, jest dość interesujący i na miejscu. Boże, miała rozstępy, cellulitis, ale jej klienci i tak nie byli zainteresowani niczym, co nie znajdowało się w szklankach. Wykidajło Colt stanowił wyjątek. Sunął w stronę policjantów jak pociąg towarowy. Potężny i groźny, miał na sobie błyszczący, czarny garnitur, czerwony, skórzany krawat, a na szyi grube, złote łańcuchy. Najwyraźniej chciał się rozprawić z niepożądanymi gośćmi, najpierw z Brazilem.

- Dostaliśmy skargę, że za głośno puszczacie muzykę - poinformowała go policjantka.

- Słyszeliście coś? - Colt poruszył ciężką szczęką, a na jego potężnym karku nabrzmiały grube jak postronki żyły.

Przepełniała go nienawiść do białych gliniarzy, zwłaszcza do tej suki. Do cholery, co ona sobie wyobrażała, wkraczając do Fat Man's w swoim śmiesznym mundurku i z tym całym błyszczącym gównem, aby znieważać ciężko pracujących ludzi, takich jak on? Rzucił okiem w stronę sceny, chcąc się upewnić, że Minx nie przestała tańczyć. Każdej nocy musiał ją wzmacniać zastrzykiem energii, zadać kobiecie ból tam, gdzie nie było tego widać, by zachęcić ją do lepszego wykonywania pracy. Zauważył, że opuszczały ją już siły. Nikt nie zwracał na to uwagi. Nikt nie dawał napiwków. Dwaj klienci zbierali się do wyjścia, a noc była jeszcze młoda. To wszystko przez te gliny.

Colt kopniakiem otworzył boczne drzwi wychodzące na małą uliczkę. Złapał Brazila za koszulę z taką siłą, że rozerwała się na piersi.

- Heeej! - zawołał Andy.

Colt uniósł frajera i wyrzucił za drzwi, prosto w śmieci, gdzie jego miejsce. Rozległ się głośny łoskot, pojemniki z odpadkami przewróciły się na chodnik, zabrzęczały puste butelki. W tej sytuacji Brazil mógł się tylko pocieszać, że i tak był już brudny. Natychmiast zerwał się na nogi i zobaczył,

że Virginia wyciąga kajdanki. Wykidajło trzymał ją za koszulę i zamierzał zrobić to samo, co z Brazilem, ale ta mała suka zaczęła wzywać pomoc.

- Mayday! Mayday! - wołała do mikrofonu.

ROZDZIAŁ 12

Colt poczuł nagle, że się dusi, i przez oślepiający ułamek sekundy pomyślał, że ktoś wpakował mu w szyję kij bilardowy. Gdy zaczynał już tracić przytomność, dotarło do niego, że ta suka wepchnęła mu palec wskazujący w miękkie zagłębienie nad tchawicą. Nie mógł oddychać. W miarę jak nacisk się zwiększał, coraz bardziej wysuwał język, krztusił się, rozpaczliwie próbując złapać powietrze. W końcu wybałuszył oczy i osunął się na kolana, a wówczas zobaczył lufę pistoletu, wycelowaną prosto w nos. W uszach mu dzwoniło, krew w żyłach huczała, a ta dziwka darła się, jakby zamierzała pożreć go żywcem.

- Jeśli się ruszysz, rozwalę ci łeb, skurwysynu!

Minx kręciła się na scenie, klienci pili. Wezwani gliniarze wpadli przez frontowe drzwi i przemknęli przez ciemną, zadymioną salę. W tym czasie Virginia West przygniatała kolanem gruby kark Colta, zapinając ciasno kajdanki na jego nadgarstkach. Brazil patrzył na to ze szczerym podziwem. Gliniarze zabrali Colta i pijaczków, kręcących się pod drzwiami, do więzienia. Minx skorzystała z okazji i wymknęła się z sali, wyciągając po drodze wymięte dolary, które klienci zatknęli jej za stringi. Włożyła bluzę i zapaliła papierosa, z mocnym postanowieniem, że tym razem rzuci tę robotę już na dobre.

- Czemu dałam się w to wpuścić? - dziwiła się Virginia, otwierając samochód. - Nigdy więcej tego nie zrobię.

Wsiadła do wozu, zapięła pas i uruchomiła silnik.

Oboje wciąż byli poruszeni zajściem w barze, ale starali się tego nie pokazywać po sobie. Andy przytrzymał ręką koszulę, której brakowało

połowy guzików. Virginia zauważyła, że miał wspaniały tors, podobnie jak ramiona, ręce i nogi. Natychmiast zaczęła kontrolować wszystkie sygnały, jakie niezależnie od jej woli mogło wysyłać ciało, zdradzając podniecenie. Skąd się to wszystko bierze? Z kosmosu. Bo z pewnością nie od niej. Nie, co to, to nie. Otworzyła schowek w tablicy rozdzielczej i zaczęła szukać po omacku, aż znalazła maleńki zszywacz. Wiedziała, że tam był.

- Nie ruszaj się - właściwie wydała mu polecenie.

Przysunęła się bliżej, bo inaczej nie mogłaby zrobić tego, co zamierzała: zebrać jego koszuli i spać. Serce Brazila podskoczyło. Czuł zapach włosów kobiety obok, a jego własne niemal stanęły dęba. Zamarł z przerażenia, bał się nawet oddychać, gdy go dotykała. Miał wrażenie, że Virginia West wie, co czuł. Gdyby nieopatrznie jej dotknął, nigdy by nie uwierzyła, że stało się to przypadkiem. Pomyślałaby, że był jeszcze jednym palantem, który nie potrafi utrzymać w spodniach swojej fujary. Nie widziała w nim konkretnej, czującej istoty ludzkiej. Został zredukowany do tej jednej rzeczy, symbolu męskości. Jeśli przysunie się do niego jeszcze choćby o centymetr bliżej, Andy umrze natychmiast, tam na przednim siedzeniu samochodu.

- Kiedy ostatni raz robiłaś coś takiego? - udało mu się zadać pytanie.

Zasłoniła swoje dzieło przypinanym krawatem. Im bardziej uważała, aby nie dotknąć Brazila, tym bardziej niezdarne stawały się jej palce, koszula się wymykała i Virginia raz po raz muskała dłońmi jego tors. Chciała odłożyć zszywacz na miejsce, ale ze zdenerwowania upuściła go na podłogę.

- Używam go do spinania raportów - wyjaśniła, szukając dłonią pod siedzeniem. - Nie wyobrażaj sobie, że korzystałam już z niego przy takich okazjach.

Dopiero za trzecim razem udało jej się zatrzasnąć skrytkę.

- To niesamowite - odezwał się Brazil, przełykając ślinę. - Mam na myśli to, co tam robiłaś. Ten facet ważył chyba ze sto dwadzieścia kilogramów, a ty dosłownie rozłożyłaś go na łopatki. Sama, bez niczyjej pomocy.

Virginia zmieniła biegi.

- Ty też mógłbyś to zrobić - powiedziała. - Potrzebujesz tylko treningu.

- Może ty...?

Uniosła w górę rękę, jakby chciała zatrzymać ruch na drodze.

- Nie! Nie jestem żadną cholerną jednoosobową akademią policyjną! -

Włączyła terminal danych. - Zamelduj, gdzie jesteście, partnerze.

Brazil na próbę położył palce na klawiaturze i zaczął pisać. Maszyna piknęła, jakby jej się to podobało.

- Boże, to całkiem przyjemne - zauważył.

- Małe mózdzki - skomentowała Virginia.

- Do jednostki siedemset - odezwał się dyspozytor Radar. - Zaginęła osoba na pięć-pięćdziesiąt-sześć Midland.

- Cholera. Tylko nie to. - Podała Brazilowi mikrofon. - Zobaczmy, czego dziś uczą wolontariuszy.

- Siedemset - zgłosił się, nadając do wszystkich. - Jesteśmy dziesięć-osiemnaście pięć-pięćdziesiąt sześć Midland.

Przy zgłoszeniu zaginięcia zawsze było nieprawdopodobnie dużo papierkowej roboty. W dodatku tego typu dochodzenia niemal zawsze okazywały się bezowocne, bo albo dana osoba tak naprawdę wcale nie zaginęła, albo zaginęła istotnie i odnajdowano ją martwą. Radar chciał, aby Virginia West dostała w tyłek w Fat Man's. Nie udało się, więc teraz miał nadzieję, że do końca życia będzie ślęczeć nad raportami, a poza tym Midland z pewnością nie było miejscem miłym dla kobiety ani jeżdżącego z nią dziennikarza.

Luellen Wittiker mieszkała w jednopokojowym mieszkaniu. Numer pięćset pięćdziesiąt sześć wymalowany był wielkimi literami na drzwiach w charakterystyczny dla Midland Court sposób. Taka była decyzja miejskich urzędników, aby w nocy policjanci szybko mogli trafić do właściwego lokalu, przeszukując okolicę z latarkami i psami. Luellen Wittiker

przeprowadziła się tu niedawno z Mint Hills, gdzie pracowała jako kontrolerka aż do momentu, gdy była w ósmym miesiącu ciąży i miała dość przychodzącego do niej Jeralda. Ileż to razy mówiła mu: nie. NIE.

Nerwowo krążyła po pokoju, a czteroletnia córeczka, Tangine, przyglądała się jej z łóżka, które stało tuż przy drzwiach. Pod ścianami piętrzyły się wciąż nierozpakowane kartony, chociaż nie było ich wiele; rodzina Wittiker nie podróżowała z dużą ilością rzeczy. Luellen każdego dnia modliła się, aby Jerald nie dowiedział się, dokąd przed nim uciekła.

W każdej chwili mógł się tu pojawić. To było pewne. Wciąż krążyła po pokoju. Gdzie, do cholery, jest ta policja? Czyżby nie potraktowali jej zgłoszenia jako pilne? Teraz nie możemy się tym zająć, zrobimy to później?

No tak. On może ją w każdej chwili znaleźć. Przez to przekłete ziółko, jej syna. Wheatiego nie było w domu, Bóg jeden wiedział, gdzie się włóczył, prawdopodobnie sam usiłował odszukać Jeralda, choć ten nie był jego biologicznym ojcem, tylko ostatnim facetem jego matki. Wheatie był zapatrzony w Jeralda jak w obraz i na tym polegał problem. Tangine obserwowała, jak matka nerwowo krąży po pokoju. Jadła chrupki. Jerald był nędznym ćpunem, handlującym twardymi narkotykami.

Kokaina, heroina, odłot, całe to gówno. Spacerował w tym swoim luźnym garniturze, jakby był z NBA, nosił też diamentowe kolczyki. Gdyby się tu zjawił, Wheatie z pewnością zacząłby go naśladować, kłąć, wyzywać, zupełnie tak jak Jerald. Zacząłby też obrzucać obelgami Luellen, może nawet ją bić i palić marihuanę. Zupełnie tak samo jak Jerald. Usłyszała czyjeś kroki na schodach i dla pewności zapytała, kto to.

- Policja - usłyszała kobiecy głos.

Luellen odsunęła spod drzwi duży kamienny blok i zdjęła stalową belkę do podtrzymywania betonu, którą znalazła na budowie. Tylne drzwi były zabezpieczone w ten sam sposób. Nawet jeśli Jerald lub jego kumple chcieliby się dostać do środka, w porę usłyszałyby hałasy i miałyby czas, aby wyjąć matowoczarny pistolet typu Baretta 92FS, kaliber dziewięć

milimetrów, z magazynkiem na piętnaście naboju. Pistolet należał do Jeralda, który zrobił poważny błąd, zostawiając go jej. Gdyby zaczął się dobijać do drzwi, mógłby to być jego ostatni raz.

- Proszę wejść - powiedziała Luellen do dwójki policjantów, stojących na betonowych schodach.

Oczy Brazila spoczęły na świecącej żarówce umieszczonej w plastikowym kloszu, przedstawiającym grecką kolumnę. Niewielki telewizor był włączony, transmitowano mecz baseballowy między drużynami Braves i Dodgers. Ściany pokoju były zupełnie puste, na rozesłanym łóżku siedziała mała dziewczynka. Miała warkoczyki i bardzo smutne oczy. W mieszkaniu było piekielnie gorąco i Andy natychmiast zaczął się pocić. Virginia także. Wyjęła pokaźną ilość formularzy i ułożyła je na podkładce, przygotowując się do papierkowej roboty. Luellen zaczęła opowiadać policjantce o Wheatem, o tym, że był dzieckiem adoptowanym, bardzo zazdrosnym o Tangine i nienarodzone maleństwo.

- Więc zadzwonił do pani po tym, jak spóźnił się na autobus - powtórzyła Virginia, robiąc notatki.

- Chciał, żebym po niego przyjechała, ale powiedziałam, że nie ma mowy - mówiła Luellen. - Gdy byłam w poprzedniej ciąży, skoczył mi na brzuch i straciłam dziecko. Miał wtedy piętnaście lat. Zawsze był pełen nienawiści, ponieważ został adoptowany, jak już wspominałam. Od samego początku mam z nim kłopoty.

- Ma pani jego aktualne zdjęcie? - zapytała policjantka.

- Są spakowane. Nie wiem, czy się teraz do nich dostanę.

Dokładnie opisała Wheatiego. Niskiego wzrostu, o brzydkiej cerze i płowych włosach, ubrany w adidas, szerokie džinsy, zielony podkoszulek i czapkę baseballową drużyny Hornets. Mógł być wszędzie. Luellen podejrzewała, że włóczy się gdzieś z jakimiś łobuziakami i bierze narkotyki. Brazil współczuł małej Tangine, zaniedbywanej z powodu innych spraw.

Dziewczynka wyszła z łóżeczka, zafascynowana blondynem w zabawnym mundurze z błyszczącej skóry. Brazil wyjął policyjną latarkę i zaczął świecić na podłogę, chcąc rozweselić dziewczynkę, ale Tangine nie podjęła zabawy. Nagle się przestraszyła, zaczęła płakać i nie chciała się uspokoić, dopóki policjanci nie wyszli. Jej matka patrzyła, jak schodzili po schodach, niemal w absolutnej ciemności.

- Uważaj - ostrzegała Virginia swojego partnera, przekrzykując płacz dziewczynki.

Brazil nie wyczuł stopnia i wylądował na tyłku.

- Włożyłabym tu jakąś żarówkę, gdybym miała - krzyknęła z góry Luellen.

Kolejne dwie godziny spędzili w archiwum akt i rejestrów. Virginia wypełniała formularze zdziwiona, że jest ich aż tak dużo. To było zaskakujące, poza tym nie знаła nikogo z policjantów, pełniących tej nocy dyżur. Byli niemili, wręcz niegrzeczni i nie respektowali jej rangi. Ogarnęło ją dziwne podejrzenie, że może to jakaś zмова, że ktoś namówił obecnych, by dać nauczkę zastępczyni komendantki i utrudnić jej pracę. Wszyscy odwracali się do niej plecami, pisząc raporty lub pijąc dietetyczną colę. Mogłaby, oczywiście, domagać się należytego traktowania, ale nie zdecydowała się na to. Osobiście wprowadziła dane o zaginionym do ogólnokrajowego rejestru danych.

Potem pokręcili się jeszcze jakiś czas po Midland, w nadziei, że zauważą gdzieś w okolicy niewysokiego chłopca o brzydkiej cerze i w czapeczce Hornets. Przyglądali się wystającym na rogach i pod latarniami nastolatkom, którzy rzucali im pełne nienawiści spojrzenia. Wheatie się nie odnalazł, a w miarę upływu czasu Brazil coraz bardziej wczuwał się w jego sytuację. Usiłował sobie wyobrazić, jak mogło wyglądać jego nie do pozazdroszczenia życie, jaki musiał być samotny i rozżalony. Czy ktoś taki jak Wheatie mógł mieć szansę na bycie porządnym człowiekiem? Nie zetknął się przecież z niczym poza złymi przykładami i gliniarzami, którzy jak kowboje usiłowali

zarzucić na niego lasso.

Dzieciństwo Andy'ego także nie było usłane różami, ale mimo wszystko to nie to samo. Uwielbiał grać w tenisa i miał miłych sąsiadów. Pracownicy ochrony w Davidson traktowali go jak krewniaka i chłopiec zawsze czuł się miłym gościem w ich małych domkach, gdzie słuchał opowiadań, plotek i pełnych emocji komentarzy. Kiedy przychodził, czuł się kimś ważnym. To samo było w pralni, pełnej leżących tam od lat zardzewiałych wieszaków, które zostawiali studenci. Doris, Bette i Sue zawsze miały dla niego czas. Podobnie jak pracownicy baru, sklepu M&M, księgarni i innych miejsc, gdzie się pojawiał.

Wheatie nigdy nie doświadczył niczego podobnego w swoim życiu i prawdopodobnie nie było mu to pisane w przyszłości. W chwili gdy porucznik West pouczała jakiegoś kierowcę, że należy jeździć w pasach, Wheatie szwendał się ze swoimi idolami po slumsach przy Beatties Ford Road. Był tam z trzema dużo starszymi od siebie kumplami. Jego koledzy nosili szerokie spodnie, mieli wysokie buty, duże spluwy, a w kieszeniach wielkie zwitki banknotów. Byli w doskonałych humorach, śmiali się, unoszeni na skrzydłach trawki. Tak, noc była cudowna i przez jedną słodką chwilę Wheatie zapomniał o tym pustym, bolesnym miejscu w sercu i czuł się dobrze.

- Daj mi spluwę, pójdę dla ciebie na robotę - powiedział do Slima.

- Chciałbyś ten drobiazg? - zaśmiał się Slim. - Ho, ho - potrząsnął głową. - Nagram ci robotę, dostaniesz łupnia i nic z tego nie będę miał.

- Bzdury - zaprzeczył Wheatie, starając się mówić możliwie niskim głosem. - Nikt mnie nie wykiwa.

- Gadanie, jesteś kiepski - powiedział Tote.

- Tak, jesteś kiepski - powtórzył Fright, poklepując Wheatiego po głowie.

- Człowieku, muszę zdobyć trochę żarcia - oświadczył Slim, który na haju mógłby zjeść nawet oponę. - Co myślicie o Hardee's?

Slim i jego kumple byli pod wpływem narkotyków, mieli broń i napad na sklep Hardee's wdawał się im tak samo dobrym pomysłem, jak wszystkie inne, które tej nocy mogły im przyjść do głowy. Wsiedli do czerwonego geotrackera, którym jeździł Slim. Ruszyli z piskiem opon i z radiem włączonym na cały regulator, tak że basy słychać było jakieś pięć samochodów od nich. Wheatie rozmyślał o Jeraldzie. Na pewno byłby z niego dumny, gdyby go teraz widział. Podobałoby mu się jego koledzy. Chłopak marzył, aby Slim, Tote i Fright zobaczyli Jeralda. Cholera, czy nie mogliby okazać Wheatiemu chociaż odrobiny szacunku? Kurwa, pewnie że mogliby. Przyglądał się mijanym samochodom i budkom telefonicznym, a serce biło mu coraz mocniej. Wiedział, co powinien zrobić.

- Daj mi spluwę, ja to załatwię - powiedział głośno, przekrzykując heavymetalową rąbaninę.

Slim, który prowadził, znowu się roześmiał, patrząc na niego w tylnym lusterku.

- Naprawdę? Czy napadałeś już na coś wcześniej?

- Na moją matkę.

Teraz roześmieli się wszyscy.

- On napadł na swoją matkę! Ha, ha, ha! Zły synek!

Krztusili się i zarykiwali ze śmiechu, jadąc zygzakiem po jezdni. Fright wyciągnął swój błyszczący rewolwer Ruger Blackhawk z nierdzewnej stali z szesnastocentymetrową lufą. Był naładowany sześcioma nabojami typu Hydra-Shoks. Wręczył spluwę Wheatiemu, który zachowywał się tak, jakby wiedział wszystko o broni palnej i sam miał co najmniej kilka pistoletów. Zatrzymali się przed sklepem Hardee's. Wszyscy trzej spojrzeli na Wheatiego.

- No dobra, kurwa - powiedział Slim. - Wejdiesz do środka i poprosisz o dwanaście porcji, tylko białe mięso. - Rzucił mu dwudziestodolarowy banknot. - Zapłać i czekaj. Nie rób niczego, dopóki nie dostaniesz żarcia, kapujesz? Wtedy wsadzisz torbę pod pachę, wyciągniesz spluwę, oczyścisz

kasę i w nogi.

Wheatie kiwał głową, serce waliło mu w piersi jak oszalałe.

- Będziemy czekać tam. - Fright wskazał głową na pobliską stację benzynową Payless. - Wymknij się od tyłu. Ale jeśli zejdzie ci, kurwa, zbyt długo, zostawiamy cię tutaj. Kapujesz?

Wheatie rozumiał.

- Spierdalajcie stąd - powiedział stanowczym i groźnym tonem, wsuwając rewolwer za pasek spodni i wyciągając na wierzch podkoszulek.

Nie miał jednak pojęcia, że ten sklep był już wcześniej obrabowany, o czym doskonale wiedzieli Slim, Fright i Tote. Gdy wysiadł, samochód ruszył, a kumple śmiali się i zaciągali kolejnym dzointem. Tej nocy dupek Wheatie skończy za kratkami. Nauczy się, co to znaczy siedzieć w pierdlu, spadną mu z dupy spodnie, ponieważ gliny zabiorą mu pasek, i będzie je za sobą ciągnął, aż jakiś skurwiel zechce zerznąć jego słodki tyłeczek.

- Dwanaście kawałków, białe mięso. - Przy ladzie głos Wheatiego nie brzmiał już tak stanowczo.

Drżał cały i bał się, że ta gruba, czarna baba w siatce na włosach przejrzała go na wylot.

- Co do tego? - zapytała.

Cholera. Slim mu nie powiedział. O, cholera. Jak zrobi coś nie tak, zabiją go. Wyrzwał na ulicę, ale trackera nigdzie nie było.

- Smażona fasola. Kapusta. Pieczywo. - Starał się, jak mógł.

Wybiła to na kasie i wzięła od niego pieniądze. Nie ruszał położonej na ladzie reszty, bo bał się, że jeśli włoży pieniądze do kieszeni, kobieta zauważy jego spluwę. Gdy już trzymał pod pachą torbę z jedzeniem, wyciągnął rewolwer, niezbyt pewnym ruchem, ale wyciągnął i wycelował lufę w twarz grubej baby.

- Dawaj cały szmal, kurwa! - rozkazał najgroźniejszym tonem, na jaki mógł się zdobyć, trzymając w drżącej ręce broń.

Wyona była właścicielką sklepu i tej nocy pracowała za ladą, ponieważ

obie jej pracownice zachorowały. Obrabowano ją już trzy razy i ten pieprzony mały gówniarz nie zrobi tego po raz czwarty. Oparła ręce na biodrach i spojrzała na niego groźnie.

- Co ty zamierzasz zrobić, draniu? Zastrzelisz mnie?

Wheatie nie przewidział tego. Zdjął palec ze spustu, ręce drżały mu coraz mocniej. Zwilżył wargi, oczy uciekały mu na boki. Musiał natychmiast podjąć jakąś decyzję. Nie mógł pozwolić, aby ta gruba kwoka pokrzyżowała mu plany. Do cholery. Jeśli wyjdzie stąd bez forsy, to koniec jego kariery. Nie był nawet pewien, czy dobrze zamówił dodatki. Kurwa, najwyraźniej miał kłopoty. Zamknął oczy i nacisnął spust. Odrzut był tak mocny, że rewolwer wyleciał mu z ręki. Kula przebiła na wylot napis „Duże frytki \$1.99” nad głową Wyony. Kobieta chwyciła rewolwer, a Wheatie, nie oglądając się za siebie, wybiegł ze sklepu.

Wyona wierzyła święcie w postawę obywatelską. Rzuciła się w pościg za Wheatiem i biegła za nim przez parking, do stacji benzynowej Payless, gdzie stał czerwony tracker, pełen małych palących trawę. Pasażerowie zamknęli drzwi od środka. Wheatie szarpał rozpaczliwie za klamkę i krzyczał, aż ta wielka baba złapała go za tylną część spodni, ściągając je w dół do skórzanych adidasów. Upadł na chodnik, zaplątany w czerwone spodenki, a Wyona przytknęła rewolwer do szyby, na wysokości głowy kierowcy.

Slim popatrzył na nią i rozpoznał spojrzenie osoby gotowej na wszystko. Ta suka była gotowa zastrzelić go, jeśli tylko mrugnie okiem. Powoli zdjął dłonie z kierownicy i uniósł je w górę.

- Nie strzelaj - zaczął błagać. - Proszę, nie strzelaj.

- Weź swój telefon komórkowy i zadzwoń na policję! - zawołała.

Zrobił, co chciała.

- Powiedz im, gdzie jesteście i co zrobiliście i że jeśli nie przyjadą tu za

dwie minuty, rozwałę ci ten pierdolony łeb! - krzyczała, przytrzymując nogą Wheatiego, który leżał na wznak i trząsł się, zakrywając twarz dłońmi.

- Właśnie napadliśmy na sklep Hardee's, jesteśmy na tyłach stacji Payless na Central Avenue! - wrzeszczał Slim do telefonu. - Proszę, przyjeżdżajcie jak najszybciej!

Selma, dyspozytorka w centrali policyjnej, nie była pewna, o co chodzi. Nadała jednak komunikat jako pilny, ponieważ instynkt podpowiadał jej, że może dojść do jakiejś tragedii. Tymczasem Radar nie skończył jeszcze z panią porucznik West. Posłał to zlecenie do jej radiowozu.

- Niech to diabli - westchnęła Virginia, gdy przejeżdżali obok gimnazjum. Wolą unikać następnych problemów i nie życzyła już sobie żadnych wezwań od dyspozytora.

Brazil niezgrabnie chwycił mikrofon.

- Tu siedemset - powiedział.

- Jakieś problemy na Central Avenue, numer cztery tysiące. - Usłyszeli głos Radara, który uśmiechał się, nadając komunikat.

Virginia dodała gazu, pędząc wzdłuż Tenth Street. Minęli Veterans Park i Saigon Square. Inne radiowozy także zmierzały w tym kierunku, ponieważ wszyscy gliniarze w okolicy wiedzieli już, że szefowa dochodzeniówki przyjęła tego wieczora kilka niebezpiecznych zgłoszeń i nikt jej nie pomógł. Gdy podjechała pod stację benzynową Payless, tuż za nią pojawiło się sześć radiowozów z migającymi światłami alarmowymi. To nie była normalna sytuacja, ale Virginia nie dociekała, skąd się tu wzięło tylu policjantów, i była im raczej wdzięczna za pomoc. Razem z Brazilem wysiedli z samochodu. Widząc, że nadchodzi pomoc, Wyona opuściła rewolwer.

- Chcieli mnie obrabować - powiedziała Andy'emu.

- Kto? - zapytała Virginia.

- To białe gówno pod moim butem - wyjaśniła Wyona.

Virginia zwróciła uwagę na płowe włosy, brzydką cerę, koszulkę i czapkę ze znaczkiem Hornets. Spodnie chłopaka zwijały się wokół butów do gry w koszykówkę, miał też na sobie żółte, sportowe spodenki. Obok niego leżała duża torba z kurczakami i dodatkami.

- Wszedł, zamówił dwanaście porcji białego mięsa, a potem wyciągnął tę zabawkę. - Wyona wręczyła rewolwer Andy'emu, ponieważ był mężczyzną, a ona nigdy jeszcze nie miała do czynienia z policjantką i wcale tego nie chciała. - Wybiegłam więc i dogoniłam go, gdy dopadł do samochodu tych skurczybyków. - Wściekłym ruchem ręki pokazała na Slima, Frigha i Tote'a, którzy kulili się wewnątrz trackera.

Virginia wzięła od Brazila rewolwer i spojrzała na grupę sześciu policjantów, którzy stali obok i czekali na rozkazy.

- Przymknijcie ich - poleciła. - Dziękuję - zwróciła się do Wyony.

Po chwili wszyscy czterej stali przy radiowozie, skuci kajdankami. Teraz, gdy byli już oficjalnie uznani za przestępców i nikt nie mógł ich zastrzelić, powróciła im odwaga. Patrzyli na policjantów z nienawiścią i spluwali. Już w samochodzie Virginia obrzuciła Andy'ego uważnym spojrzeniem. Przekazywał właśnie do centrali informację, że skończyli już służbę.

- Czemu oni nas tak nienawidzą? - zapytał.

- Ludzie zwykle traktują innych tak samo, jak ich traktowano - odpowiedziała. - Weźmy takich gliniarzy. Przecież wielu z nich zachowuje się w podobny sposób.

Przez chwilę jechali w milczeniu, mijając ubogie podmiejskie dzielnice.

- A ty? - zapytał Brazil. - Czemu ty nie masz w sobie nienawiści?

- Miałam przyjemne dzieciństwo.

Ta odpowiedź go rozzłościła.

- No cóż, ja nie miałem i też nie czuję nienawiści do ludzi - odrzekł. - Nie muszę jednak okazywać im współczucia.

- Co mam ci odpowiedzieć? - Zapaliła papierosa. - Trzeba by się cofnąć do Edenu, wojny domowej, zimnej wojny, Bośni. Do tych sześciu dni,

których potrzebował Bóg, aby to wszystko urządzić.

- Powinnaś rzucić palenie - zauważył i przypomniał sobie palce Virginii, które dotykały go, gdy spinała mu koszulę.

ROZDZIAŁ 13

Brazil musiał przemyśleć wiele rzeczy. Szybko napisał teksty i natychmiast wysłał je do różnych wydań gazety. Czuł dziwny niepokój i ogromne zmęczenie. Nie chciał jednak wracać do domu. Strach czaił się w nim, odkąd Andy wysiadł z samochodu Virginii West. Opuścił redakcję kwadrans po północy i zjechał ruchomymi schodami na drugie piętro.

W drukarni robota szła pełną parą, żółte transportery firmy Ferag przerzucały siedemdziesiąt tysięcy egzemplarzy gazety na godzinę. Gdy Brazil otworzył drzwi, natychmiast ogłuszył go potworny hałas. Pracownicy drukarni, którzy nosili na uszach protektory, a fartuchy mieli poplamione farbą drukarską, przywitwali dziennikarza z uśmiechem, tolerując jego dziwaczne wędrowki przez ich głośny i brudny świat. Wszedł do środka i zaczął się przyglądać kilometrom pędzącego z zawrotną prędkością drukowanego papieru, terkoczącym maszynom do składu i taśmom transporterów, przesyłającym gazety do urzędzeń segregujących. Ci naprawdę ciężko pracujący ludzie, spędzający wiele godzin w miejscu, gdzie nie sposób się skupić i pogrążyć w rozmyślaniach, nigdy przedtem nie spotkali dziennikarza, którego interesowałoby, w jaki sposób jego mądre słowa docierają każdego dnia do milionów obywateli tego miasta.

Andy był w niewytłumaczalny sposób oczarowany siłą tych potężnych, przerażających maszyn. Uwielbiał patrzeć, jak jego artykuł na pierwszej stronie gazety pojawia się wciąż na nowo w tysiącach egzemplarzy. Trudno było mu uwierzyć, że tak wielu ludzi interesowało się tym, jak on, Brazil, widział świat i co chciał im o nim powiedzieć. Największy nagłówek tego wydania dotyczył oczywiście Batmana i Robina, czyli najwyższych rangą

policjantek, które uratowały pasażerów autobusu przed rabunkiem. W dziale miejskim był niewielki materiał Andy'ego o tym, „dlaczego chłopiec uciekł” i kilka akapitów poświęconych akcji w Fat Man's Lounge.

Prawdę powiedziawszy, Brazil mógłby bez końca pisywać teksty o wszystkim, czego był świadkiem, jeżdżąc z porucznik West. Wspiął się po spiralnych schodach, prowadzących do działu pocztowego i rozmyślał o tym, że po raz pierwszy nazwała go partnerem. Wciąż brzmiały mu w uszach jej słowa. Podobał mu się ich ton, głęboki, ale zarazem dźwięczny i kobiecy. Kojarzył mu się ze starym lasem i dymem, kamieniami porośniętymi mchem i damskimi pantoflami porzuconymi wśród drzew, przez które przeświecało słońce.

Nie miał ochoty wracać do domu. W nastroju do włóczędzy i rozmyślań wsiadł do samochodu. Był smutny, ale nie wiedział czemu. Przecież życie było dla niego łaskawe. Miał świetną pracę, a policjanci w zasadzie nie traktowali go lekceważąco, czego wcześniej się obawiał. Zastanawiał się, czy jego stan psychiczny nie był przypadkiem efektem złej kondycji fizycznej. Ostatnio nie pracował tak intensywnie jak zwykle i jego organizm nie wyprodukował odpowiedniej ilości endorfiny. Jechał wzdłuż West Trade, przyglądając się przez szybę istotom nocy, sprzedającym swoje ciała za pieniądze. Stare dziwki odprowadzały go błyszczącym, niezdrowym spojrzeniem, a młoda prostytutka, którą widział już wcześniej, stała na rogu ulicy Cedar.

Gdy przejeżdżał wolno obok niej, ruszyła prowokacyjnym, kuszącym krokiem wzdłuż ulicy, bezwstydnie się na niego gapiąc. Miała na sobie głęboko wycięte, dzinsowe szorty, które ledwo zakrywały pośladki i króciutką bluzeczkę, sięgającą powyżej pępka. Nie nosiła biustonosza, jej ciało poruszało się płynnie, gdy sunęła po ulicy, przyglądając się blond chłopcu w czarnym BMW z wyjątkowo głośno pracującym silnikiem. Uśmiechnęła się; wszyscy ci chłopcy z Myers Park, w swoich drogich samochodach, wymykają się tutaj, aby zakosztować zakazanego owocu.

Brazil dodał gazu, nie zwracając uwagi na to, że żółte światło zmieniło się właśnie w czerwone. Skręcił w Pine i znalazł się na Fourth Ward, w ładnej, dobrze utrzymanej dzielnicy mieszkalnej, gdzie mieli swoje domy ważni ludzie, tacy jak komendant Judy Hammer, która do centrum miasta, któremu przysięgała służyć, szła kilka minut spacerkiem. Andy bywał tu wielokrotnie, głównie po to, aby oglądać okazałe, wiktoriańskie domy, pomalowane na jaskrawe kolory, takie jak fiolet czy błękit, i na przepiękne rezydencje ze szlachetnymi detalami architektonicznymi. Otaczały je zgrabne murki, wysokie krzaki azalii i stare drzewa, które niejedno widziały, ponieważ rosły tu od czasów, gdy tymi ulicami jeździły powozy, wożąc bogatych i szanowanych obywateli.

Zaparkował na rogu Pine Street, przed dużym, białym domem. Otaczający go taras był rzęsiście oświetlony, jakby na kogoś czekał. Judy Hammer lubiła barwinki, bratki, palmy yuka, rododendrony i ozdobne żywopłoty. Wietrzne dzwonki lekko się poruszały i wydawały przyjazne dźwięki prawdy, jak kamerton, jednocześnie zapraszające gościa i chroniące właścicieli. Andy nigdy by nie wszedł na cudzy teren, nawet by o tym nie pomyślał. Ale na Fourth Ward było wiele maleńkich publicznych skwerów, miejsc, gdzie można posiedzieć na ławce przy fontannie. Jedno z takich przytulnych miejsc znajdowało się tuż obok domu komendantki i Brazil wiedział o istnieniu tego sekretnego ogródka. Co jakiś czas siadywał tam po ciemku, kiedy nie mógł w nocy spać lub nie chciał wracać do domu, i nikomu nie działa się żadna krzywda, prawdziwa lub wymyślona.

Wcale nie znajdował się na terenie jej posesji. Nie śledził Judy Hammer ani nie podglądał. Naprawdę, chciał jedynie chwilę tam posiedzieć, w miejscu, gdzie nikt go nie będzie widział. Miał przed sobą okno jej salonu, przez które nic nie widział, ponieważ zasłony były szczelnie zasunięte. Przesuwał się tylko cień kogoś, kto należał do tego miejsca i mógł chodzić tam, gdzie mu się podobało. Brazil siedział na kamiennej ławce, która była zimna i twarda, czuł to przez swoje brudne spodnie od munduru. Patrzył w

mrok i nagle ogarnął go tak wielki smutek, że nie wyraziłyby tego żadne znane słowa. Wyobrażał sobie panią Hammer w jej pięknym domu, wśród rodziny, u boku męża. Ubrana w elegancki mundur, może rozmawiała przez telefon komórkowy, bardzo zajęta i bardzo ważna. Brazil zastanawiał się, jakie to uczucie, być kochanym przez taką kobietę.

Seth wiedział to dokładnie i kiedy włożył miseczkę po lodach do zmywarki, zaczęły go nawiedzać złe myśli. Późno w nocy umiłił sobie czas cukierkami toffi i karmelkami, podczas gdy żona-szefowa przychodziła do niego z butelką wody Evian. I co robiła? Gadu, gadu, gadu. O jego nadwadze, o wieńcówce, o diecie dla diabetyków, której powinien przestrzegać, o jego lenistwie i problemach dentystycznych. Zirytowany przeszedł do salonu i włączył muzykę, usiłując zagłuszyć słowa Judy. Zastanawiał się, co go kiedyś w niej pociągało.

Gdy spotkali się po raz pierwszy, była władcą kobietą w mundurze. Do dziś nie zapomniął wrażenia, jakie na nim zrobiła, gdy zobaczył ją w głębokim granacie. Co za figura. Nigdy nie przyznał się jej do swoich fantazji erotycznych, w których zniewalała go, skuwiała kajdankami, i tak ujarzmionego brała w erotyczną niewolę. Nie wiedziała o tym mimo tak wielu lat małżeństwa. I nigdy nic takiego się nie wydarzyło. Judy nigdy nie znęcała się nad nim fizycznie.

Nigdy nie kochała się z nim, gdy miała na sobie mundur, teraz też nie, chociaż posiadała już takie odznaki i tyle złotych galonów, że mogłaby rzucić na kolana nawet Pentagon. Gdy brała udział w uroczystościach policyjnych i przyjęciach, ubierała się w błękitne suknie, a wówczas Seth niemal mdlał z wrażenia. Czuł się pokonany i bezradny. Mimo swoich lat i przeżytych rozczarowań, Judy wciąż była fantastyczna. Gdyby tylko nie wywoływała w nim poczucia niskiej wartości i braku atrakcyjności. Gdyby tylko nie kazała mu tak o sobie myśleć, nie zmuszała go do tego, nie doprowadziła do ruiny jego życia. To jej wina, że był taki gruby i przegrany.

Jego żona-szefowa naprawdę nie zdawała sobie sprawy z ambicji męża i

jego erotycznych fantazji, jak również z całego szeregu urazów psychicznych Seta. Z pewnością nie pochlebiałoby jej to i nie śmieszyłoby ani nie czułaby się za nic odpowiedzialna. Nie miała rozbudzonej potrzeby dominacji ani kontroli, nie przychodziło jej też do głowy, że innych mogłaby porażać lub zafascynować jej pozycja zawodowa. Nigdy nie sądziła, że Seth zjadał lody z polewą toffi, olbrzymi krem z sosem karmelowym i wiśnie maraschino o tak nieprawdopodobnych i niekorzystnych dla zdrowia porach, ponieważ marzył o tym, aby przykuła go kajdankami do łóżka lub przeszukała w brutalny sposób. Że często ogarniało go dzikie pragnienie, aby go aresztowała i wyrzuciła klucz od kajdanek. Że pragnął, aby omdlewała z tęsknoty i zaczęła wątpić w siebie i we wszystko, co dotychczas osiągnęła. I że najmniej odpowiadało mu siedzenie w tej pustej samotnej celi, jaką stało się ich małżeństwo.

Judy Hammer nie była w mundurze, nie rozmawiała nawet przez telefon komórkowy. Miała na sobie długi szlafrok z grubego aksamitu. Cierpiała na bezsenność, czasami jej się to zdarzało. Rzadko dłużej sypiała, ponieważ jej mózg pracował własnym rytmem, zupełnie innym niż ciało. Siedziała w salonie, gdzie był włączony telewizor, i przeglądała „Wall Street Journal”, różne notatki, czytała kolejny list od swojej wiekowej matki i książkę Mariannę Williamson „Powrót do miłości”. Starła się nie zwracać uwagi na hałasy, jakie robił w kuchni Seth.

Jego życiową porażkę traktowała jako własne niepowodzenie. Niezależnie od tego, co sobie powtarzała lub co mówili jej psychoterapeuci, do których chodziła w Atlancie i w Chicago, codziennie, w każdej godzinie swojego życia, odczuwała głęboką, osobistą porażkę. Musiała zrobić coś bardzo złego, inaczej przecież Seth nie popełniałby samobójstwa za pomocą widelca, łyżeczki i czekoladowego kremu. Gdy spoglądała w przeszłość, wyraźnie uświadamiała sobie, że kobieta, która go poślubiła, to ktoś zupełnie inny. Ona, komendant Judy Hammer, była nowym wcieleniem tej wcześniejszej, na zawsze już straconej osobowości. Nie potrzebowała mężczyzny. Nie

potrzebowała Setha. Wszyscy o tym wiedzieli, on także.

To fakt, że najlepsze policjantki, komandoski, pilotki, kobiety pracujące w straży pożarnej i w wojsku, nie potrzebowały mężczyzn w życiu osobistym. Judy dowodziła wieloma takimi indywidualistkami. Brała je do siebie bez wahania, o ile nie upodobniały się do mężczyzn, nie przyjmowały złych, męskich nawyków, takich jak wdawanie się w bójkę, zaczepność, nadmierne pretensje czy chęć dominowania. Po wszystkich wspólnie przeżytych z Sethem latach doszła do wniosku, że posiada grubą, neurotyczną, niepracującą żonę, która nie robi nic poza tym, że ma za złe. Judy Hammer była gotowa do zmiany.

Może to właśnie było powodem, że tej nocy popełniła taktyczny błąd. Zdecydowała się wyjść na taras, gdzie mogła być sama ze swoimi myślami, usiąść w bujanym fotelu i popijać chardonnay.

Brazil był oczarowany, gdy nagle pojawiła się na tarasie jak nieziemska wizja. Bogini jaśniejąca w świetle lamp, cała biała i promieniejąca ciepłym blaskiem. Serce zaczęło mu bić tak szybko, że o mało nie wyskoczyło z piersi. Siedział bez ruchu na zimnej, betonowej ławce przerażony, że komendantka może go zauważyć. Widział każdy, najdrobniejszy nawet ruch, jaki wykonywała, gest, którym rozkołysała bujany fotel, skręt jej nadgarstka, gdy unosiła do ust wąski kieliszek, pochylenie głowy na oparciu. Wpatrywał się w linię jej szyi, kiedy kołysała się z zamkniętymi oczami.

O czym myślała? Czy była podobna do niego, czy ją też prześladowały mroczne cienie, zapadające w puste i zimne zakamarki egzystencji, które tak dobrze znał? Kołysała się wolno na fotelu, samotna. Brazil czuł ból w piersiach. Ta kobieta bardzo go pociągała, chociaż nie wiedział dlaczego. Była dla niego jak bogini. Gdyby miał szansę jej dotknąć, z pewnością nie wiedziałby, co robić. Wiedział jednak, że nie dopuściłaby do tego. Była ładna, nawet mimo swojego wieku. Nie miała delikatnej urody, ale z całą pewnością pociągającą, mocną, której trudno się było oprzeć, jak rasowy

samochód z kolekcji, na przykład starszy model BMW, z chromowymi akcesoriami zamiast plastikowych. Miała też charakter oraz ciekawą osobowość i Andy był przekonany, że jej mąż też jest takim człowiekiem, prawnikiem, chirurgiem, kimś, kto umie prowadzić interesujące rozmowy z żoną, podczas ich krótkich gorących spotkań.

Judy Hammer wypięła kolejny łyk wina. Nigdy nie przestawała być czujna i zawsze odbierała najdrobniejsze sygnały z zewnątrz, niezależnie od tego, jak bardzo była zajęta własnymi problemami. Już po chwili zorientowała się więc, że ktoś ją obserwuje. W pewnym momencie wstała i podeszła do balustrady tarasu. Zaczęła badawczo wpatrywać się w mrok i po chwili dostrzegła niewyraźną sylwetkę osoby siedzącej na ławce w maleńkim parku tuż obok jej domu. Ileż to razy powtarzała przedstawicielom komitetu mieszkańców, że nie życzy sobie, aby publiczne miejsce znajdowało się tak blisko jej domu? Czy ktoś jej wysłuchał? Ku przerażeniu Brazila, Judy Hammer zeszła po schodkach tarasu i stanęła wśród krzaków azalii, patrząc wprost na niego.

- Kto tam jest? - zapytała.

Andy nie był w stanie się odezwać. Ani pożar, ani konieczność wezwania pomocy nie zmusiłyby go do poruszenia sparaliżowanym językiem.

- Kto tam siedzi? - domagała się odpowiedzi, zirytowana i zmęczona. - Jest prawie druga nad ranem. Normalni ludzie śpią o tej porze w domu. Więc albo nie jesteś normalny, albo interesuje cię mój dom.

Andy zastanawiał się, co by się stało, gdyby zerwał się z ławki i zaczął uciekać. Gdy był małym chłopcem, potrafił zniknąć lub stawać się niewidzialnym. Ale to nie te czasy. Tkwił jak posąg na ławce, obserwując komendantkę, która podeszła krok bliżej. Jakaś część jego psychiki pragnęła, aby pani Hammer dowiedziała się, że tu jest, bo wówczas mógłby z tym skończyć, wyznać, co czuje, doprowadzić ją do gniewu, śmiechu, usunięcia go z policji lub zakończenia jego dziennikarskiej kariery, na co z pewnością zasługiwał.

- Nie będę już więcej pytać - ostrzegła go.

Przestraszył się, że mogła mieć przy sobie broń w kieszeni. Chryste Panie, jak do tego doszło? Nie planował niczego złego, wracając po pracy w redakcji do domu. Chciał tylko usiąść, przemyśleć swoją sytuację i zastanowić się, co dalej.

- Proszę nie strzelać - powiedział, wstając powoli z ławki i wyciągając przed siebie ręce w obronnym geście.

Judy pojęła, że ma przed sobą wariata. Nie strzelać? O co, do diabła, mu chodziło? No tak, wiedział, kim ona jest. Bo jak inaczej wytłumaczyć jego obawy, że może być uzbrojona i nie zawaha się użyć broni? Komendantka zawsze czuła irracjonalny lęk, że zginie kiedyś z ręki jakiegoś szaleńca, opętanego swoją misją. Zamachowca. No to do roboty, tylko spróbuj, takie było jej motto. Ruszyła ścieżką między azaliami, a Andy'ego nagle ogarnęła panika. Zerknął na swój zaparkowany w pobliżu samochód, wiedział jednak, że zanim go dopadnie, uruchomi silnik i odjedzie, szefowa policji będzie miała czas, aby zapisać numer rejestracyjny. Postanowił się odprężyć i udawać niewinnego. Usiadł z powrotem na ławce, a pani Hammer, w swoim białym szlafroku, podchodziła coraz bliżej.

- Czemu tu siedzisz? - zapytała, stanąwszy obok niego.

- Nie miałem zamiaru nikomu przeszkadzać - odrzekł.

Judy zawahała się, nie bardzo wiedząc, czego się naprawdę spodziewała.

- Jest prawie druga nad ranem - powtórzyła.

- Właściwie nawet trochę później - odrzekł Andy, opierając podbródek na dłoni i chowając twarz w głębokim mroku. - Przyjemne miejsce, nieprawdaż? Takie spokojne, sprzyja przemyśleniom, medytacji, dotarciu do własnej duchowej głębi.

Pani Hammer usiadła obok niego na ławce.

- Kim jesteś? - zapytała, a odległe światło latarni w artystyczny sposób rzeźbiło jej twarz.

- Nikim szczególnym - odpowiedział.

No tak. Pomyślała o swoim strasznym życiu i o mężu, tam, w domu. Ten mężczyzna na ławce z pewnością ją zrozumie. Podobała mu się taka, jaka była. Interesowały go jej myśli, poglądy, wspomnienia z dzieciństwa. Brazil przesunął palec wzdłuż jej szyi, aż do miejsca, gdzie otulał ją kołnierz białego, aksamitnego szlafroka i tu zatrzymał się na chwilę. Całował ją czule i delikatnie, czekając, aż odwzajemni mu pocałunek, a wtedy zaczął pieścić ustami jej dolną wargę, a ich języki się połączyły. Kiedy obudził się w swojej sypialni, jeszcze nie skończył. To straszne.

Boże, dlaczego to nie mogło być prawdą? Bo z całą pewnością nie było. Rzeczywiście siedział na skwerku, obserwując dom Judy Hammer, a ona wyszła na taras i usiadła w bujanym fotelu. I to wszystko. Cała reszta to jedynie wytwór jego fantazji, jego poplątanych snów. Nie wiedziała, że siedział tam w ciemności, wsłuchując się w łopotanie flagi Karoliny Północnej nad tarasem. Nic jej nie obchodził. Nigdy nie dotknęła jego ust, a on nigdy nie pieścił jej delikatnej skóry i nigdy nie będzie tego robił. Czuł ogromny wstyd. Był zdruzgotany i zawstydzony. Komendant Hammer była co najmniej trzydzieści lat starsza od niego. To chore. Musiało być z nim bardzo źle.

Gdy wrócił do domu kwadrans po trzeciej nad ranem, odsłuchiwał wiadomości nagrane na automatycznej sekretarce. Cztery razy ktoś odłożył słuchawkę. To tylko pogorszyło nastrój Andy'ego. Nie mógł powstrzymać się od myśli, że owa zboczona kobieta wybrała go, ponieważ też był dewiantem. Z pewnością dlatego przyciągał tę chorą istotę. Zły na siebie, włożył strój treningowy. Zabrał raketę tenisową, siatkę z piłkami i wybiegł z domu.

Świt był wilgotny od mgły, słońce dopiero zamierzało wzejść. Drzewa magnolii uginały się pod ciężkimi, woskowanymi kwiatami, które pachniały jak cytryny, gdy obok nich przebiegał. Skrócił sobie drogę przez kampus, skręcając w krętą dróżkę przy Jackson Court w kierunku bieżni. Przebiegł szybko dziewięć kilometrów i jak maszyna zaczął odbijać tenisowe piłki.

Potem w sali gimnastycznej pracował z ciężarkami, robił przysiady i pompki, aż do całkowitego wyczerpania.

Komendant Hammer czuła, że czeka ją nieprzyjemny poranek. Dostała za swoje, bo chciała się oderwać od rutyny codziennych obowiązków i poszła na służbowy lunch z Virginią West, która zwykle ściągała na siebie kłopoty. Tego dnia Judy włożyła mundur, co już samo w sobie było czymś niezwykłym. W ciągu ostatnich piętnastu lat ani razu nie kwestionowała terminów spotkań w sądzie z prokuratorem okręgowym i nadal nie chciała mieć z tym problemów. Wierzyła w siłę i skuteczność osobistych kontaktów i była przekonana, że i tym razem się nie rozczaruje. O dziewiątej rano znajdowała się już w okazałym, granitowym budynku Criminal Court i czekała w recepcji prokuratora okręgowego.

Nancy Gorelick już tyle razy była wybierana na to stanowisko, że jej kandydatura przechodziła bez żadnego oporu i zdecydowana większość wyborców nie trudziłaby się z pójściem do urn, gdyby nie wystawiano innych kandydatów. Ona i Judy Hammer nie były przyjaciółkami. Pani prokurator wiedziała oczywiście bardzo dobrze, kim jest komendantka, a w porannej prasie dużo czytała o jej bohaterskim wyczynie. Batman i Robin! Ależ, proszę. Nancy Gorelick, bezlitosna republikanka, wierzyła, że najpierw należy podejrzanego powiesić, a dopiero potem sprawdzić, czy aby na pewno był winien. Miała już dość ludzi, którzy uważali, że należą im się jakieś specjalne względy, i doskonale wiedziała, z jakiego powodu szefowa policji składa jej tak nagłą wizytę.

Kazała czekać przybyłej wystarczająco długo. Zanim dała znać sekretarce, że komendantka może wejść, Hammer przemierzała nerwowo recepcję, patrzyła na zegarek i z każdą sekundą była coraz bardziej zirytowana. Wreszcie sekretarka otworzyła ciężkie, drewniane drzwi i Judy szybko weszła do środka.

- Dzień dobry, Nancy - przywitała się komendantka.

- Miło mi. - Pani prokurator z uśmiechem skinęła głową, składając dłonie na blacie schludnego biurka. - Co mogę dla ciebie zrobić, Judy?

- Słyszałaś o wczorajszym incydencie na stacji autobusów Greyhound.

- Cały świat słyszał - odparła Nancy.

Pani Hammer przesunęła krzeselko na drugą stronę biurka, nie chcąc siedzieć na wprost swej rozmówczyni, oddzielona od niej grubym, drewnianym blatem. To typowy przykład biurowej psychologii, a Judy była w niej mistrzynią. Pani prokurator natychmiast przyjęła wybitnie władczą i nieprzyjazną pozę. Pochyliła się do przodu i przeniosła ręce na rejestr aresztowań. Z jej postawy można było wyczytać, że za wszelką cenę chce w tej rozmowie dominować. Wyraźnie była zła, że szefowa policji zmieniła porządek panujący w jej gabinecie i usiadła tuż obok niej, tak że obie kobiety dzieliły tylko ich skrzyżowane nogi.

- Sprawa Johnny'ego Martino - dodała Nancy.

- Właśnie. - Judy pokiwała głową. - Zwanego także Czarodziejem.

- Trzydzieści trzy oskarżenia kategorii D za napad z bronią w rękę - kontynuowała pani prokurator. - Jego adwokat wystąpił o ugodę. Na początek będziemy się upierać przy dziesięciu latach, potem zaproponujemy łączny wyrok za pięć przestępstw. Ponieważ poprzedni wyrok, jaki dostał, należy do drugiej kategorii, na długo może się pożegnać z warunkowym zwolnieniem i zmieni się w kościotrupa.

- Nancy, na kiedy zamierzasz wyznaczyć datę rozprawy?

To, co przed chwilą powiedziała prokurator, nie zrobiło na komendantce większego wrażenia, a właściwie nie wierzyła w ani jedno jej słowo. Ten facet dostanie minimalny wyrok. Wszyscy dostają jak najmniejsze.

- Już ją ustaliłam. - Wzięła z biurka długi, czarny terminarz i zaczęła przewracać kartki. - Rozprawa w Sądzie Najwyższym, Judy, dwudziestego drugiego.

Komendantka miała ochotę ją zamordować.

- Cały ten tydzień jestem na urlopie. W Paryżu. To zostało ustalone już

rok temu. Zabieram moich synów i ich rodziny, Nancy, mamy już kupione bilety. Dlatego przyszedłam do ciebie od razu dziś rano. Obie bardzo ciężko pracujemy, mamy napięte terminarze i spoczywa na nas duża odpowiedzialność. Doskonale wiesz, że szefowie policji z reguły sami nie dokonują aresztowań i nie uczestniczą w rozprawach. Kiedy ostatnio słyszałaś o czymś podobnym? Chciałabym cię prosić, żebyś współpracowała ze mną w tej sprawie.

Nancy nie dbała o to, kto kim był, a szczególnie nie zamierzała się przejmować bogatą i sławną szefową policji. Wszyscy podwładni prokurator Gorelick ciężko pracowali, mieli napięte harmonogramy spotkań, często poświęcali także swój czas prywatny, oczywiście oprócz obrońców, którzy zwykle niczego nie zapisywali w terminarzach. Pani Gorelick nigdy nie lubiła Judy Hammer. Szefowa policji była kobietą arogancką, nastawioną na rywalizację, upojoną władzą, niechętną do współpracy i próżną. Wydawała ogromne pieniądze na stroje i perły, a do tego jeszcze nie cierpiała na żaden z tak pospolitych problemów jak nadwaga, kłopoty z cerą czy klimakterium.

- Nie wybrano mnie po to, abym współpracowała z tobą lub kimkolwiek innym - oświadczyła teraz. - Moim zadaniem jest ustalanie terminów rozpraw, które odpowiadają sądowi, i to właśnie robiłam. Sądu nie interesują czyjeś plany wakacyjne i będziesz musiała podjąć odpowiednie decyzje. Jak wszyscy pozostali, biorący udział w rozprawie.

Judy zauważyła, że jej przeciwniczka, jak zwykle, była fatalnie ubrana. Miała upodobanie do krótkich spódniczek, jaskrawych kolorów i dużych dekoltów, które, za każdym razem, gdy nachylała się nad dokumentami, rejestrami czy aktami, stanowiły wyraźne zaproszenie. Nakładała za dużo makijażu, a szczególnie tuszu do rzęs. Krążyły plotki o jej wielu romansach, ale komendantka aż do tej chwili traktowała je jako bezpodstawne. Policjanci przezywali panią prokurator „jebicha”, co znaczyło coś gorszego niż dziwka i kurwa. Biurowa psychologia podpowiadała Judy, że powinna teraz wstać z krzesła.

Tak też zrobiła. Oparła się o biurko, wkraczając tym samym na teren swojej oponentki. Odetchnęła głęboko, wzięła do ręki kryształowy przycisk do papieru w kształcie budynku US-Bank i zaczęła go bezmyślnie przekładać z ręki do ręki. Była odprężona i czuła się szefową. Zaczęła mówić spokojnie, cicho i szczerze.

- Prasa dzwoniła już do mnie w sprawie wczorajszego incydentu - oznajmiła, a jej zabawa kryształowym przyciskiem wyraźnie irytowała Nancy. - Ogólnokrajowe tytuły: „The Washington Post”, „Time”, „Newsweek”, Jay Leno z „CBS This Morning”, Don Imus i Howard Stern z „New York Timesa”. - Zaczęła chodzić po pokoju, uderzając kryształem o dłoń. - Wszyscy chcą mieć relację z procesu, jestem tego pewna. Domyślałam się, że to ważny materiał. - Wciąż przemierzała gabinet i bawiła się przyciskiem. - Czy pamiętasz, aby coś takiego wydarzyło się przedtem? - Zaśmiała się. - Dzwonili też do mnie producenci z Hollywood. Możesz to sobie wyobrazić?

Pani Gorelick nie czuła się najlepiej.

- To niecodzienna sytuacja - musiała przyznać.

- Niezwykły przykład obywatelskiego zaangażowania, Nancy. Ludzie mają rację. - Pani Hammer nie przestawała krążyć po pokoju, gestykułując małym, kryształowym przedmiotem. - Ty zaś traktujesz komendantkę policji i jej zastępczynię jak szeregowych podwładnych, bez względu na okoliczności. - Pokiwała głową. - Myślę, że to się bardzo spodoba tym wszystkim dziennikarzom, nie uważasz?

Kariera prokurator Gorelick mogła lec w gruzy, a sama Nancy wysłaby na kompletną kretynkę, jaką zresztą była. Podczas następnych wyborów ktoś mógłby zająć jej miejsce, a ona musiałaby szukać pracy w jakiejś firmie prawniczej jako młodszy pełnomocnik w grupie aroganckich partnerów, którzy nie chcieliby jej dopuścić do swoich ekskluzywnych stanowisk.

- Mam zamiar opowiedzieć im to wszystko. - Szefowa policji uśmiechnęła się do niej łagodnie. - I to natychmiast. Wydaje mi się, że najlepiej będzie

zwołać konferencję prasową.

Termin rozprawy został przesunięty o tydzień i odpowiadał wszystkim poza Johnnym Martino, zwanym też Czarodziejem, który siedział w więziennej celi, ubrany w pomarańczowy kombinezon z napisem „Dept of Corr” na plecach. Wszyscy tu nosili takie ubrania i kiedy Martino zwrócił na to uwagę, zaczął się zastanawiać, co do diabła, znaczyło to Corr? Coś takiego jak Marinę Corps, Peace Corps, a może C&O Rail-Road? Jego ojciec pracował dla firmy Arntrak, przy czyszczeniu wagonów.

Nie było mowy, żeby młody Johnny skończył przy podobnym gównie. Niech się od niego odchrzanią. Był zdziwiony, jak bardzo bolała go goleń, w miejscu, gdzie kopnęła go ta suka. W obecnych czasach ludzie coraz częściej noszą przy sobie broń, zwłaszcza kobiety. Obie wycelowały w jego głowę półautomatyczne czterdziestki, niech je diabli. Skąd się bierze tyle broni? Z pieprzonego Marsa? Czy te babki spadły z nieba, czy coś w tym guście? Wciąż nie mógł się z tym pogodzić i siedząc na swojej wąskiej pryczy, rozmyślał nad wypadkami wczorajszego dnia.

W pewnej chwili jego wzrok padł na metalowy sedes, którego wczoraj nawet nie chciało mu się spłukać. Goleń dokuczała mu coraz bardziej, miał na niej opuchliznę wielkości pomarańczy i przeciętą skórę w miejscu, gdzie dosięgnął go metalowy czubek pantofla. Kiedy jeszcze raz przeanalizował wczorajsze zdarzenie, stwierdził, że od razu powinien być bardziej podejrzliwy wobec tych dwóch bogatych kobiet, które jako ostatnie wsiadły do autobusu. Przecież tacy, jak one, nie jeżdżą greyhoundami. Więźniowie powtarzali sobie jego historię i śmiali się w celach, opowiadając na lewo i na prawo, że dostał kopa w dupę od jakiejś starej baby z wielką torbą. Wszyscy wyśmiewali się z Czarodzieja. Wyciągnął papierosa i zaczął się zastanawiać nad apelacją. Myślał też o kolejnym tatuażu, który mógłby sobie zrobić, gdy już tu był.

Brazilowi też właściwie ten dzień nie układał się najlepiej. Razem z

Packerem redagował kolejny tekst napisany z własnej inicjatywy, dość długi artykuł na temat matek wychowujących samotnie dzieci. Podczas pracy ciągle napotykał błędy literowe, przerwy i puste linie, które z całą pewnością nie były jego dziełem. Ktoś musiał się dostać do jego katalogów w komputerze i przeglądać pliki. Postanowił przyznać się do swoich podejrzeń redaktorowi działu miejskiego, Packerowi, gdy przeglądali materiał.

- Widzisz - denerwował się Andy, ubrany w policyjny mundur i gotowy do spędzenia na ulicach miasta kolejnej nocy. - To bardzo dziwne. Od kilku dni znajduję w swoich tekstach takie rzeczy.

- Jesteś pewien, że sam tego nie zrobiłeś? Masz zwyczaj długo pracować nad każdym tekstem - zastanawiał się Packer.

Niezwykła aktywność młodego dziennikarza, którą od dawna obserwował redaktor, osiągnęła już poziom wykraczający poza ludzkie możliwości. Ten chłopak w mundurze policjanta przerażał Packera. Nie miał nawet ochoty zbyt często obok niego siedzieć. Brazil z pewnością nie był normalny. Zdobywał pochwały od policji i każdego dnia w gazecie ukazywały się przeciętnie trzy teksty, podpisane jego nazwiskiem, nawet wówczas gdy powinien mieć wolne. Poza tym jego materiały były niewiarygodnie dobre jak na kogoś bez doświadczenia, kto nigdy nie uczęszczał do żadnej szkoły dziennikarskiej. Packer podejrzewał, że Brazil mógłby jeszcze przed trzydziestką dostać nagrodę Pulitzera, a może nawet wcześniej. Z tego powodu postanowił zostać redaktorem tego chłopaka, nawet jeśli praca z nim była wyczerpująca, intensywna i budziła obawy, a także sprawiała, że redaktor z każdym dniem coraz bardziej nienawidził życia.

Ten rano był typowy. Budzik zadzwonił o szóstej i Packer nie miał ochoty wstawać. Niestety, musiał. Mildred, jego żona, w radosnym nastroju przygotowywała w kuchni owsiankę, a Dufus, szczeniak rasy terier bostoński, wesoło podskakiwał obok niej, szukając czegoś do jedzenia, chętny do zabawy i do obsiusionia wszystkiego. Packer pojawił się na tej domowej scenie, z trudem trafiając w rękawy koszuli. Zastanawiał się, co też

przyszło do głowy jego żonie.

- Mildred - powiedział. - Jest lato. Owsianka nie jest dobra na upały.

- Ależ oczywiście, że jest. - Energicznie mieszała potrawę. - Dobra na twoje podwyższone ciśnienie.

Dufus skakał i poszczekiwał, tańczył wokół jego nóg i usiłował się na nie wdrapać, chwytając zębami nogawki. Packer nigdy nie dotykał się do szczeniaka żony, jeśli nie musiał, i odmówił też jakiegokolwiek pomocy przy jego wychowywaniu, poza wymyśleniem imienia. Mildred zgodziła się wyjść za Packera pod warunkiem, że zgodził się, aby zawsze mogła trzymać jednego z tych obrzydliwych, małych piesków, które kojarzyły się jej z dzieciństwem. Dufus nie widział zbyt dobrze. Z jego psiej perspektywy Packer wyglądał jak wielkie i nieprzyjazne drzewo lub jakiś słup albo płot. Za każdym razem, gdy wyczuł Packera, skakał w górę, przykucał i znowu skakał, zapominając o całym świecie. Tym razem udało mu się rozwiązać obie sznurówki przy butach człowieka.

Packer szedł przez redakcję, widząc wszystko na szaro, jakby na świecie nie było innych kolorów. Upychając koszulę w spodnie, skierował się do męskiej toalety, czując wyraźną potrzebę, aby natychmiast się tam znaleźć, chociaż i tak dobrze wiedział, że nic się nie stanie. Przypomniało mu to o wizycie, jaką miał w przyszłą środę o drugiej u urologa.

Andy zjeżdżał ruchomymi schodami, zdecydowany wziąć wreszcie sprawy w swoje ręce. Minął kilka par drzwi i wszedł do klimatyzowanego pomieszczenia, gdzie światem rządziła Brenda Bond, siedząca na ergonomicznym zielonym fotelu obrotowym. Nogi opierała na wygodnym podnóżku, a jej cenne dłonie spoczywały na klawiaturze, która była tak zaprojektowana, aby nie męczyły się nadgarstki.

Brenda otoczona była komputerami IBM i Hewlett Packard, multiplekserami, modemami, a metalowe szafki wypełniały taśmy i dekodery. W zasięgu ręki miała łącza satelitarne z Associated Press. To był

jej kokpit i tam właśnie przyszedł Brazil. Nie mogła uwierzyć, że stał przed nią, że jej szukał i chciał tu być z nią, właśnie w tym momencie i w tym miejscu. Gdy patrzyła na niego, czuła, że twarz jej płonie. Mój Boże, jak ten chłopak jest zbudowany. Zrozumiał, co oznaczało jej spojrzenie, i natychmiast zaczął jej okazywać chłód.

- Myślę, że ktoś wchodzi do mojego komputera i szpera w plikach - oznajmił.

- To niemożliwe - odpowiedziała dość arogancko pani Bond, geniusz komputerowy. - Chyba że zna twoje hasło.

- Chcę je zmienić - oświadczył.

Brenda przyglądała się jego spodniom od munduru i podobało jej się, że były takie dopasowane, zwłaszcza w miejscu, gdzie znajdował się suwak. Obrzuciła przybyłego przychylnym i pełnym wyższości spojrzeniem. Podążył za jej wzrokiem zaniepokojony, że coś było nie w porządku z jego spodniami.

- Co? Obląłem się czymś? - zapytał i odwrócił się na pięcie.

Problem nie leżał w tym, że jego spodnie były zbyt obcisłe lub w jakikolwiek inny sposób prowokujące. Brazil nigdy nie nosił niczego, aby zwrócić na siebie uwagę lub zrobić na kimś wrażenie. Z tego powodu rzadko kupował ubrania. Zawartość jego szafy mogłaby się zmieścić w dwóch szufladach i na dwudziestu wieszakach. W większości były to oficjalne ubiory i stroje do tenisa, dostarczane przez klub sportowy i firmę Wilson, która przesyłała mu ubrania za darmo od czasu, gdy Andy był jeszcze w szkole średniej i wspinał się na szczyty listy najlepszych juniorów-tenisistów w kraju. Ale mimo że jego spodnie od munduru były dość szerokie, to ludzie tacy jak Brenda Bond wciąż się na nie gapili. Tak samo jak Axel.

Kiedy Andy zakładał granatowy mundur i czarną skórzaną kurtkę, nie zdawał sobie sprawy, jakie robił wrażenie na innych. Gdyby się nad tym zastanowił, doszedłby do wniosku, że mundur to władza, a władza to

afrodyzjak. Axel dobrze o tym wiedział. Nagle wstał od biurka i w pośpiechu wybiegł z redakcji. Wiedział, że Brazil zwykle sprintem pokonywał ruchome schody i wpadał na parking jak na metę. On sam zaś codziennie rano ćwiczył w siłowni Powerhouse Gym i też miał pięknie umięśnione ciało.

Dwa razy dziennie pił Met-Rx i na siłowni czuł na sobie pełne podziwu spojrzenia. Jego ciało lśniło od potu, gdy ubrany w kusy, obcisły podkoszulek i króciutkie szorty, robił pompki, aż żyły napinały mu się jak postronki. Ludzie, którzy obok niego ćwiczyli, przerywali swoje zajęcia i przyglądali mu się z pożądaniem. Kilkakrotnie zdarzyło się, że chodzili za nim faceci z osiedla apartamentów, gdzie mieszkał. W zasadzie Tommy Axel mógł mieć każdego i to wtedy, gdy wyraziłby na to ochotę.

- Cholera - zaklął, gdy wbiegłszy na parking, zobaczył, że Brazil właśnie odjeżdżał swoim starym BMW.

Panesa był umówiony tego wieczoru na oficjalną kolację i wychodził z redakcji wyjątkowo wcześnie. Siedział już w swoim bezpiecznym, srebrnym volvo z dwoma poduszkami powietrznymi, gdy zauważył bezwstydną pościg Axela za Brazilem.

- Chryste - mruknął pod nosem i pokręcił z niedowierzaniem głową, ruszając z zarezerwowanego miejsca na parking, które znajdowało się jakieś dwadzieścia kroków od szklanych drzwi frontowych.

Opuścił szybę i oschłym tonem zawołał krytyka.

- Podejź tu.

Axel uśmiechnął się do szefa obłudnie i seksownie niczym Matt Dillon i ruszył w jego kierunku. Czy ktoś mógłby mu się oprzeć?

- O co chodzi? - zapytał, a idąc napiął mięśnie, aby wyglądały jak najbardziej korzystnie.

- Axel, daj mi spokój - powiedział wydawca.

- Słucham? - Tommy położył dłoń na piersi w geście kompletnej niewinności.

- Doskonale wiesz, o co mi chodzi.

Wydawca dodał gazu, zapiął pas, zablokował drzwi, spojrzął w lusterka i przełączył radio na swoją prywatną częstotliwość, aby poinformować gosposię, że jest już w drodze.

Im dłużej pracował w biznesie prasowym, tym większa ogarniała go paranoja. Podobnie jak Brazil, Panesa zaczynał jako dziennikarz od spraw kryminalnych i zanim ukończył dwadzieścia trzy lata, zdobył już wiedzę na temat wszystkich plugawych, paskudnych, okrutnych i bolesnych historii, jakie zdarzały się wśród ludzi. Pisał o zamordowanych dzieciach, o kierowcach uciekających z miejsca wypadku, o mężach, którzy w czarnych rękawiczkach i kominiarkach potrafili dźgać sztyłem własne żony lub przyjaciółki, uprzednio poderznąwszy im gardła, a po wszystkim polecieć do Chicago. Panesa przeprowadził wywiad z kobietą, która z upodobaniem doprawiała przygotowywane przez siebie w domu potrawy arsenikiem, pisał o kraksach samochodowych, katastrofach lotniczych, wykolejonych pociągach, pożarach i utonięciach, o nieudanych skokach na bungee, do których brali się pijani, zapominając o linie. A także o innych horrorach, które nie zawsze kończyły się śmiercią. Jak na przykład jego małżeństwo.

Teraz pośpiesznie posuwał się po zatłoczonych ulicach, przecinając pasy i wyprzedzając inne wozy, do diabła z wami, pieprzę was, wynocha z drogi. Wyglądało na to, że znowu się spóźni. Był umówiony z Judy Hammer, która, jak mówiono na mieście, podobno wyszła za mąż za obżartucha. Szefowa policji, gdy tylko to było możliwe, unikała sytuacji, w których musiałaby publicznie się pokazać z mężem i jeśli to, co Panesa słyszał, było prawdą, to wcale się jej nie dziwił. Wieczorem miał się odbyć bankiet z okazji wręczenia nagród za publiczną służbę, przyznawanych przez US-Bank. Wydawca i Judy Hammer znajdowali się na liście nagrodzonych, podobnie jak prokurator okręgowy Nancy Gorelick, która ostatnio często pojawiała się w telewizyjnych wiadomościach, ostro krytykując władze Karoliny Północnej, że nie wyasygnowały dość pieniędzy, aby zatrudnić dla niej

kolejnych pracowników, chociaż powszechnie wiadomo było, iż region Charlotte-Mecklenburg tak naprawdę potrzebuje jednego albo nawet dwóch lekarzy sądowych. Bankiet został zorganizowany w hotelu Carillon, znanym z pięknych obrazów i innych dzieł sztuki. Panesa wciąż jechał.

Komendantka policji prywatnie jeździła mercedesem, niezbyt nowym i tylko z jedną powietrzną poduszką od strony fotela kierowcy. Panesa z całą pewnością nie używałby wozu, który nie miał takiej poduszki przy przednim siedzeniu dla pasażera. Judy także wyszła dziś do domu wcześniej niż zwykle.

Seth pracował w ogrodzie, wyrywał chwasty i nawoził rośliny. Upiekł też ciasteczka, czuła ich zapach. Zauważyła też w kuchni ślady mąki na blacie. Gdy wyjrzała przez kuchenne okno, mąż pomachał do niej, trzymając w ręku kilka dzikich cebul. Był dość dobrze wychowany.

Pośpiesznie weszła do sypialni. Boże, odbicie w lustrze ją przeraziło. Umyła twarz, wzięła na dłonie niewielką ilość żelu i wtarła go we włosy. Zaczęła nakładać makijaż. Oficjalne przyjęcia zawsze stanowiły dla niej problem. Mężczyźni biorą zwykle na takie okazje smoking, który kupują lub pożyczają. A co mają zrobić kobiety? Zanim weszła do domu, w którym pachniało jak w piekarni, nie miała pojęcia, co ma włożyć. Teraz wyjęła czarną, satynową spódnicę, krótki żakiet, wyszywany złotymi i czarnymi perełkami, oraz czarną jedwabną bluzkę w podłużne, cienkie paseczki.

Prawdę powiedziawszy, Judy przytyła jakieś trzy kilogramy, odkąd ostatni raz miała na sobie ten zestaw, co, o ile ją pamięć nie myliła, było rok temu, podczas zbierania funduszy w Pineville. Udało jej się dopiąć suwak, chociaż nie była zadowolona z efektu. Biust sprawiał wrażenie bardziej wydatnego niż zwykle, a Judy nie lubiła zwracać uwagi na coś, co zwykle ukrywała. Zirytowana, jeszcze raz przymierzyła haftowany żakiet, zastanawiając się, czy przypadkiem nie zbiegł się podczas chemicznego prania i może to wcale nie była jej wina. Zmiana kolczyków na proste

diamantowe słupki mocowane na sztyfty zawsze sprawiała jej kłopot, gdy się śpieszyła.

- Psiakrew - powiedziała, łapiąc zapinkę w ostatniej chwili, zanim wpadła do umywalki.

Panesa nie musiał robić żadnych zakupów na tę okazję, nie miał problemów z tuszą i mógł włożyć to, na co miał ochotę. Zdecydował się na smoking od Giorgio Armaniego, który kupił poza Charlotte. Wszystko wskazywało na to, że zwolennicy szerszeni mieli inne upodobania niż zagraniczne garnitury za dwa tysiące dolarów i w Queen City trudno było kupić coś odpowiedniego. Wydawca wyglądał znakomicie w smokingu z atłasowymi kłapami i w spodniach z lampasami. Do tego włożył matowy, złoty zegarek i czarne pantofle ze skóry jaszczurki.

- Proszę, zdradź mi swój sekret - powiedział, gdy Judy Hammer wsiadała do jego volvo.

- Jaki sekret? - zdziwiła się, zapinając pasy.

- Wyglądasz olśniewająco.

- Ależ nie - zaproponowała.

Cofając wóz z podjazdu, zauważył w lusterku otyłego mężczyznę, który zajmował się krzakami geranium w ogrodzie. Grubas patrzył, jak odjeżdżają, a Panesa udawał, że tego nie widzi, i zaczął sprawdzać klimatyzację.

- Robisz zakupy w tej okolicy? - zapytał.

- Mój Boże, rzeczywiście powinnam pójść do sklepu - westchnęła Judy, zastanawiając się, kiedy będzie miała na to czas.

- Niech zgadnę, gdzie. W Montaldo.

- Nigdy - zaprzeczyła. - Zauważyłeś, jak w takich miejscach traktuje się klientów? Usiłują ci coś sprzedać, ponieważ uważają, że stać cię na to, a następnie traktują cię jak kogoś pośledniej kategorii. Wobec tego pytam, jeśli to ja mam być kimś niższej kategorii, to dlaczego oni sprzedają pończochy i bieliznę?

Absolutna prawda - zgodził się Panesa, chociaż robił zakupy tylko w

sklepach z rzeczami dla mężczyzn. - To samo dotyczy pewnych restauracji, do których nigdy już nie pójde.

- Na przykład Morton - potwierdziła Judy, chociaż nigdy tam nie była.

- Chyba że jesteś na ich liście VIP-ów. Dają ci wtedy małą wizytówkę i zawsze otrzymasz dobry stolik i świetną obsługę. - Zmienił pas.

- Pracownicy policji powinni uważać na takie rzeczy. - Zwróciła uwagę wydawcy, którego gazeta pierwsza napisałaby o tym, że komendantka policji korzystała ze statusu VIP-a lub z innych, specjalnych względów, mogących w efekcie doprowadzić do sytuacji, że jakaś firma otrzymałaby lepszą ochronę policji niż inne.

- Prawdę powiedziawszy, rzadko jadam czerwone mięso - odrzekł Panesa.

Przejeżdżali obok Traveler's Hotel, niedaleko baru Presto Grill, który stał się ostatnio sławny dzięki Judy Hammer i Virginii West. Wydawca uśmiechnął się na wspomnienie tekstu Brazila o Batmanie i Robinie. Ten hotel to okropna speluna, pomyślała Judy, wyglądając przez okno. Budynek stał przy Trade Street, na wprost urzędu do spraw zatrudnienia bezrobotnych i obok pralni. W holu hotelu nie wolno było spożywać posiłków ani pić alkoholu. Kilka lat temu miało tam miejsce okropne morderstwo, ktoś zabił kogoś siekierą. A może to się zdarzyło w Uptown Motel? Nie mogła sobie przypomnieć.

- Jak utrzymujesz tak dobrą kondycję? - kontynuował pogawędkę Panesa.

- Staram się dużo spacerować. Nie jadam tłuszczu - odpowiedziała Judy, szukając w torebce szminki.

- To niesprawiedliwe. Znam kobiety, które chodzą godzinę dziennie i nie mają takich nóg jak ty - zauważył. - Chcę wiedzieć naprawdę, na czym to polega.

- Seth zjada wszystko, co jest w domu - tłumaczyła dalej Judy. - Je tak dużo, że tracę apetyt. Możesz sobie wyobrazić, jak się czuję, gdy wracam o ósmej wieczorem, po całym dniu piekielnego młyna, i widzę, jak mój mąż siedzi przed telewizorem, ogląda jakiś głupi serial i zjada trzecią miskę chili z

wołowiną i fasolą?

A zatem plotki były prawdziwe. Panesę ogarnęło nagle współczucie dla Judy Hammer. Wydawca „Charlotte Observer” codziennie wracał do domu, gdzie nie było nikogo poza gosposią, która zwykle przygotowywała mu piersi z kurczaka i sałatkę szpinakową. Biedna Judy. Odważył się wyciągnąć rękę i poklepać swą towarzyszkę po dłoni.

- To naprawdę okropne - powiedział ze współczuciem.

- Właściwie powinnam zrzucić kilka kilogramów - przyznała się Judy. - Mam tendencję do tycia w pasie, nie w nogach.

Panesa rozglądał się za miejscem do parkowania w pobliżu hotelu Carillon.

- Uważaj na drzwi. Przepraszam - powiedział szybko. - Stałem trochę za blisko parkometru. Mam nadzieję, że nie muszę tam nic wrzucać?

- Nie po osiemnastej - odrzekła Judy, która się na tym znała.

Pomyślała, że miło byłoby mieć takiego przyjaciela jak Panesa. On zaś pomyślał, że miło byłoby pojechać z nią na żagle albo na narty, pójść razem na lunch lub robić świąteczne zakupy czy po prostu porozmawiać, siedząc przed kominkiem. Można by się też wspólnie upić, chociaż to akurat nie byłoby wskazane dla wydawcy dużego, ogólnokrajowego dziennika lub szefowej departamentu policji. Judy piła czasem z Sethem, ale to co innego. On jadł, ona zapominała o problemach. Panesa upijał się w samotności, co było jeszcze gorsze, zwłaszcza gdy zapominał wpuścić do domu psa.

Upijanie się było pewną formą uciekania od rzeczywistości, ale zawsze tylko chwilową. Judy nigdy z nikim o tym nie rozmawiała, Panesa także. Żadne z nich nie korzystało również w tym czasie z pomocy terapeuty. Dlatego był to doprawdy cud, że oboje po trzech kieliszkach wina poruszyli ten temat. W tym czasie ktoś z US-Banku wygłaszał mowę o bodźcach ekonomicznych i rozwoju firmy, otwieraniu nowych oddziałów i wskaźniku nieistniejących przestępstw kryminalnych w Charlotte. Judy i Panesa ledwo tknęli łososia w sosie koperkowym. Przerzucili się na Wild Turkey. Żadne z

nich nie pamiętało dobrze chwili, gdy odbierali nagrody, ale ci, którzy ich obserwowali, zauważyli, że oboje byli ożywieni, dowcipni, mili i żywo gestykulowali.

W drodze powrotnej Panesa wpadł na śmiały pomysł i zaparkował samochód przy Latta Park w Dilworth. Stali tam z zapalonymi światłami, podśpiewywali i rozmawiali. Judy nie miała ochoty wracać do domu, wydawca zaś doskonale wiedział, że po powrocie będzie musiał wkrótce wstać i pójść rano do pracy. Jego kariera zawodowa nie była już tak pasjonująca jak kiedyś, ale jeszcze nie chciał się do tego przyznać, nawet przed samym sobą. Jego dzieci zajmowały się swoimi sprawami. Umawiał się czasami na randki z pewną prawniczką, która lubiła oglądać taśmy z rozprawami sądowymi i rozprawiać o tym, co zrobiłaby inaczej. Miał tego dość.

- Chyba powinniśmy już wracać - zauważyła Judy po godzinie siedzenia i pogawędki w jego ciemnym volvo.

- Masz rację - zgodził się Panesa. Na tylnym siedzeniu położył swoją nagrodę, w sercu miał pustkę. - Judy, muszę cię o coś zapytać.

- Słucham.

- Masz jakichś przyjaciół, z którymi dobrze się bawisz?

- Nie.

- Ja też nie - odrzekł. - Czy nie uważasz, że to dość dziwne?

Zastanawiała się chwilę.

- Nie - oświadczyła. - Ja nigdy nie miałam przyjaciół. Ani w podstawówce, gdzie byłam najlepsza w kickballu, ani w gimnazjum, gdzie byłam najlepsza w matmie i zostałam przewodniczącą samorządu szkolnego, ani też w college'u. Ani w akademii policyjnej, ani teraz.

- Ja byłem dobry z angielskiego - zaczął wspominać Panesa. - I chyba też w kiwaniu. Przez rok byłem przewodniczącym Klubu Biblijnego, ale nie wykorzystuj tego przeciwko mnie. Rok później grałem w uniwersyteckiej drużynie koszykówki. Było okropnie, bo zostałem sfaulowany w czasie

meczu, który przegraliśmy aż o czterdzieści punktów.

- Richardzie, do czego zmierzasz? - zapytała Judy, która z natury szybko i prosto szła do celu.

Milczał przez chwilę.

- Wydaje mi się, że ludzie tacy jak my potrzebują przyjaciół - powiedział w końcu.

Virginia West także potrzebowała przyjaciół, choć nigdy nie przyznałaby się do tego Brazilowi, który tej nocy znowu się uparł, aby zapobiegać wszystkim przestępstwom w mieście. Palila papierosa, a Andy jadł batonik Snickers, gdy otrzymali wiadomość, że wszystkie jednostki w okolicy Dundeen i Redbud mają szukać ciała ofiary na pobliskiej łące. Reflektory rozświetlały ciemności, wokół słychać było kroki ludzi przeszukujących zarośla, Virginia i Andy zaś krążyli w mroku. Brazil był zapaleńcem, udało mu się wysforować przed nią i oświetlał pole latarką. Virginia schwyciła go za koszulę i cofnęła za siebie jak niegrzecznego szczeniaka.

- Może pozwolisz, że pójde pierwsza? - zapytała.

Panesa zatrzymał wóz na Fourth Ward, przed domem Judy Hammer. Było dwadzieścia po pierwszej w nocy.

- No więc, gratuluję ci - powtórzył jeszcze raz.

- Ja tobie też - odpowiedziała, chwytając za klamkę.

- Dzięki, Judy. Spotkajmy się jeszcze któregoś dnia.

- Oczywiście. Z okazji nagród lub bez.

Judy widziała przez zaciągnięte zasłony migający ekran telewizora. Seth jeszcze nie spał i prawdopodobnie jadł pizzę.

- Naprawdę doceniam to, że pozwoliłaś Brazilowi jeździć ze swoimi ludźmi. To nam się bardzo przyda - powiedział wydawca.

- Nam też.

- A więc niech tak będzie. Zawsze jestem za nowymi pomysłami - dodał. -

Nie zdarzają się często.

- Są tak rzadkie jak zęby u kury - zgodziła się Judy Hammer.
- To prawda.
- Absolutna.

Opanował chęć dotknięcia jej ręki.

- Muszę już wracać - powiedział.
- Jest bardzo późno. - Kiwnęła głową. Otworzyła drzwi i wysiadła.

Panesa odjechał w stronę swojego pustego domu, czując narastający smutek. Judy weszła do swojego domu, w którym Seth mieszkał i jadł, także czując się bardzo samotna.

Virginia i Brazil ciężko pracowali, nie czując upływu czasu. Właśnie zaparkowali radiowóz na osiedlu Earle Village, subsydiowanym przez miasto, i weszli do mieszkania numer sto dwadzieścia jeden, gdzie widać było spore pieniądze. Na stoliku stał komputer, obok leżały gotówka, kalkulator i pager. Na kanapie siedziała starsza kobieta, przed nią skakał podstarzały przyjaciel z wyciągniętym w jej kierunku palcem.

- Wycelowała we mnie pistolet kaliber dwadzieścia dwa! - zawołał na widok wchodzących policjantów.

- Proszę pani - odezwała się Virginia. - Ma pani broń?
- Groził mi - powiedziała kobieta Brazilowi.

Nazywała się Rosa Tinsley, nie była pijana ani wściekła. Tylko raz w tygodniu, gdy przychodziła policja, ktoś poświęcał jej nieco uwagi. Świetnie się wtedy bawiła. Billy mógł sobie wówczas pofolgować i odgrażać się, jak zwykle gdy się upijał i przegrywał w pokera.

- Przychodzi tu robić te swoje interesy z dragami - mówiła dalej Rosa do Brazila. - Upił się i chciał mi poderznąć gardło.

- Czy są tu narkotyki? - zapytała porucznik West.

Rosa kiwnęła głową i wskazała Brazilowi tylną część mieszkania.

- Pudełko po butach w szafie - powiedziała.

ROZDZIAŁ 14

W szafie było wiele pudełek po butach, a przybyli przeszukali wszystkie. Nie znaleźli żadnych narkotyków, narzeczony został usunięty z domu, Rosa zaś otrzymała natychmiastową satysfakcję. Virginia i Andy wrócili do samochodu. Brazil miał poczucie, że wykonali kawał dobrej roboty. Wyrzucili tego zepsutego, śmierdzącego, zamroczonego alkoholem starego capa, a ta biedna kobieta będzie miała odrobinę spokoju. Jest bezpieczna.

- Sądzę, że mamy z nimi spokój - powiedział z dumą.

- Po prostu się go przestraszyła, co pewnie zdarza się mniej więcej raz w tygodniu - odrzekła jego towarzysząca. - Zanim stąd odjedziemy, znów będą razem.

Zapaliła silnik, obserwując w tylnym lusterku podstarzałego amanta. Stał na chodniku, trzymając pod pachą swoje rzeczy. Wpatrywał się w granatową crown victorię i czekał, aż sobie pojedzie.

- Pewnego dnia pewnie ją zabije - dodała Virginia.

Nienawidziła awantur domowych. To tego typu sprawy, jak również pogryzienia przez psy należały do najbardziej nieprzewidywalnych i groźnych dla policji. Obywatele wzywali gliny, a potem natychmiast żalowali, że prosili o interwencję. To wszystko było dość irracjonalne. Ale najgorszą cechą charakteru takich ludzi jak Rosa i jej narzeczony było uzależnienie, niemożność funkcjonowania bez tej drugiej osoby, niezależnie od tego, ile razy partner groził im nożami i pistoletami, bił ich i okradł. Virginia z trudem znosiła pracę z ludźmi nieprzystosowanymi, miotającymi się od jednego wyniszczającego związku do drugiego, którzy w dodatku nigdy się nad tym nie zastanawiali, podobnie jak nad całym swoim

nieszczęsnym życiem. Jej zdaniem Brazil nie powinien mieszkać z matką.

- Czemu nie wynajmiesz sobie mieszkania, aby wreszcie być na swoim? - zapytała.

- Nie stać mnie na to - odrzekł Andy, pisząc na klawiaturze terminalu danych.

- Ależ oczywiście, że cię stać.

- Nie, nie stać. - Pisał dalej. - Jednopokojowe mieszkanie w kiepskiej dzielnicy to prawie pięćset dolarów miesięcznie.

- No i co? - Popatrzyła na niego. - A na samochód cię stać? Jesteś winien jakieś pieniądze w Davidson?

To nie była jej sprawa.

- Na pewno stać cię na to - upierała się dalej. - Żyjesz w chorym układzie. Jeśli od niej nie odejdiesz, zestarzejecie się razem.

- Naprawdę? - Spojrzał na nią, najwyraźniej nie doceniając wagi owych spostrzeżeń. - Ty coś o tym wiesz, prawda?

- Obawiam się, że masz rację - odparła. - Gdybyś jeszcze na to nie wpadł, Andy, powiem ci, że nie jesteś pierwszą osobą na świecie, która uwikłała się w uzależniający, chory związek ze swoim partnerem lub współmałżonkiem. Autodestrukcyjna, okaleczająca choroba twojej matki to jej wybór. I ma służyć tylko jednemu ważnemu celowi. Kontrolowaniu jej syna. Nie chce, żebyś ją opuścił, i zgadnij, co się dzieje? Jak na razie jej taktyka się sprawdza.

Judy Hammer również zmagala się z podobnym problemem, chociaż jeszcze nie do końca zdawała sobie z tego sprawę. Seth także był kaleką. Kiedy jego władcza, przystojna żona wróciła nad ranem do domu z kolejnym trofeum, siedział przed telewizorem i skakał po setkach kanałów na kablówce, co było możliwe dzięki antenie satelitarnej ustawionej na tylnym ganku. Seth lubił muzykę country & western i szukał odpowiedniego programu. Wcale nie jadł pizzy Tombstone. Spałaszował ją wcześniej, przed

północą, kiedy żony wciąż nie było w domu. Później pochłaniał popcorn oblanym prawdziwym masłem, które stopił w kuchence mikrofalowej.

Seth Bridges nigdy nie uchodził za przystojnego mężczyznę. Ale to nie jego uroda fizyczna pociągała Judy Hammer dawno temu w Little Rock. Pokochała Seta za jego inteligencję i subtelną cierpliwość. Ich znajomość zaczęła się od przyjaźni, co powinno być naturalną kolejną rzeczą, gdyby świat kierował się zdrowym rozsądkiem. Problemem stały się możliwości Seta. Przez pierwsze dziesięć lat szedł łeb w łeb ze swoją żoną, potem jego potencjał się wyczerpał. Nie był już w stanie nic więcej osiągnąć w dziedzinie duchowej, intelektualnej i umysłowej. Pozostał mu tylko jeden sposób, aby dalej się rozwijać, czyli powiększać swoją objętość fizyczną. Istotnie, jedzenie było tym, co obecnie wychodziło mu najlepiej.

Judy zamknęła frontowe drzwi i włączyła alarm antywłamaniowy, upewniając się, czy czujniki ruchu działają. W domu pachniało jak w kinie: poza zapachem masła, który unosił się wszędzie, wyczuła też peperoni. Jej mąż leżał wyciągnięty na kanapie i głośno chrupał. Lśnięcymi od tłuszczu palcami wpychał sobie oblepiony masłem popcorn do ust, które cały czas pracowały. Hammer przeszła przez salon bez słowa komentarza, a programy na ekranie telewizora zmieniały się tak szybko, jak szybko Seth potrafił naciskać guziki w pilocie. W sypialni ze złością wepchnęła nagrodę do szafy, gdzie na dole stały wszystkie inne, o których już zdążyła zapomnieć. Była naprawdę wściekła, trzasnęła drzwiami od szafy, zdjęła z siebie ubranie i rzuciła je na krzesło. Przebrała się w ulubioną nocną koszulę, wyjęła z torebki pistolet i wróciła do salonu. Miała tego dość. Nigdy więcej. Starczy. Każda mordęga ma swój koniec. Seth zamarł na kanapie, gdy do salonu weszła jego żona z bronią.

- Czemu nie użyjesz tego? - zapytała, stojąc nad nim w bawełnianej koszuli w białoniebieskie paski. - Czemu się nie zabijesz i nie skończysz z tym? Proszę.

Odbezpieczyła pistolet i podała mu, lufą do przodu. Seth wpatrywał się w

broń. Nigdy przedtem nie widział żony w takim stanie. Uniósł się na łokciach.

- Czy dziś wieczór coś się wydarzyło? - spytał. - Pokłóciłaś się z Panesą czy co?

- Wręcz przeciwnie. Jeśli chcesz ze sobą skończyć, proszę.

- Oszalałaś - powiedział.

- Masz rację, a w każdym razie jestem na dobrej drodze, dzięki tobie. - Opuściła broń i zabezpieczyła ją. - Seth, jutro musisz zacząć szukać pomocy. Idź do psychiatry i do lekarza rodzinnego. I zacznij o siebie dbać. Natychmiast. Jesteś zwykłą świnią. Obzartuchem. Nudziarzem. Popełniasz powolne samobójstwo, a ja nie mam zamiaru na to patrzeć ani minuty dłużej.

- Wyjęła z zatłuszczonych rąk męża miskę z popcornem. - Jeśli czegoś z tym nie zrobisz, wyprowadzę się. Kropka.

Brazil i Virginia West także się sprzeczali, jadąc nieoznakowanym samochodem policyjnym. Patrolowali następny niebezpieczny sektor miasta, kontynuując wymianę zdań na temat sytuacji życiowej Andy'ego, oboje już porządnie zaciętrzewieni. Brazil obserwował swą towarzyszkę, nieświadom tego, gdzie się znajdują i jak agresywnie nastawieni są do gliniarzy ludzie, którzy tu mieszkają. Zastanawiał się natomiast, co go podkusiło, aby zmarnować tyle cennego czasu z tą grubiańską, niewrażliwą i niedelikatną kobietą, która w dodatku była stara, zacošana i prawdę powiedziawszy, głupia.

Wydawało się, że tego wieczora kłótnie wisały w powietrzu nad całym miastem. Miły nastrój Panesy także prysnął jak mydlana bańka, gdy zadzwoniła przyjaciółka prawniczka, dokładnie w chwili gdy Judy Hammer zamykała drzwi swojej sypialni, Virginia mówiła Brazilowi, aby wreszcie wydorósł, a Bubba rozpoczynał rajd swoim king cabem. Prawniczka rozmyślała o wydawcy, którego obserwowała w wieczornych wiadomościach, w momencie gdy w swoim nienagannie skrojonym

smokingu odbierał nagrodę. Coraz cieplej myślała o Panesie oraz jego srebrnych włosach i chciała wpaść do niego, a może nawet zostać dłużej. Wy tłumaczył jej jednak jasno i dobitnie, że to niemożliwe i nigdy już nie będzie możliwe, a w tym samym czasie Bubba parkował swój samochód niedaleko Latta Park.

Bubba zamaskował się, naciągając na głowę czarną czapkę. Gdy podszedł do domu Virginii West, ucieszył się, że nikogo nie było. Mógł się tylko domyślać, podchodząc bliżej do ceglanego budynku, że pieprzyła się gdzieś ze swoim ładniutkim chłoptasiem, i uśmiechnął się na myśl, że potem on będzie ją pieprzył. Nie miał zbrodniczych zamiarów, ale chciał zepsuć jej suce dobry humor, co niewątpliwie nastąpi, gdy nie będzie mogła otworzyć żadnych drzwi od swojego domu, bo ktoś zapcha zamki klejem Super Glue. Ten pomysł pochodził z jeszcze innego anarchistycznego podręcznika i mógłby się doskonale sprawdzić, gdyby okoliczności nie sprzysięgły się przeciwko Bubbie, w chwili kiedy otworzył składany nóż i odcinał czubek tubki z klejem.

Nadjeżdżał jakiś samochód i Bubba pomyślał, że to pewnie policjantka wraca do domu. Było za późno, aby uciekać, dał więc nura w żywopłot. Obok przejechała furgonetka cavalier, wioząca Neda Tomsa na targ rybny, gdzie niebawem miał zacząć wypakowywać owoce morza ze skrzynek z lodem. Zauważył, że coś, pewnie duży pies, buszowało w krzakach koło domu, przed którym często widywał zaparkowany, nieoznakowany samochód policyjny.

Bubba wynurzył się z żywopłotu. Miał posklejane palce, a lewą rękę przyklepioną do wewnętrznej części prawej nogawki spodni typu moro. Zaczął uciekać, kuśtykając. Z daleka wyglądał jak garbus. Nie mógł otworzyć drzwi swojego samochodu, musiał uwolnić rękę i właśnie starał się to zrobić, gdy zauważyła go policjantka Wood, która patrolowała okolicę i park, szukając zbrodnieców. Zaaresztowała Bubbę za nieprzyzwoite zachowanie.

Porucznik West i Brazil usłyszeli wezwanie, ale zajęci byli dyskusją na temat sposobu życia Andy'ego.

- Co ty możesz, do diabła, wiedzieć o mojej matce lub o tym, dlaczego postanowiłem się nią opiekować? - pytał Brazil.

- Wystarczająco dużo. Opieka społeczna i sądy dla nieletnich mają mnóstwo takich spraw - odparła szefowa dochodzeniówki.

- Nigdy nie interesowała się nami opieka społeczna. Ani sądy dla nieletnich.

- Jak na razie - odparła Virginia.

- Zajmij się lepiej sobą.

- Zaczynij żyć - namawiała go. - Okaż swoją niezależność. Idź na randkę.

- Och, uważasz, że do tej pory nie chodziłem na randki? - zachnął się Andy.

Zaśmiała się lekko.

- Kiedy? Może kiedy myjesz zęby? Co wieczór pracujesz, przed dziewiątą jesteś w redakcji, rano trenujesz na bieżni, a na koniec odbijasz milion tenisowych piłeczek. No więc, powiedz mi, Andy, kiedy ty masz czas na randki?

Na szczęście właśnie w tym momencie połączył się z nimi dyspozytor Radar. Na Monroe Street był jakiś napad.

- Załoga siedemset zgłasza się - zirytowanym głosem odebrał zlecenie Brazil.

- Nazywają cię Nocny Głos - oznajmiła Virginia.

- Jacy oni? - chciał wiedzieć Brazil.

- Gliny. Wiedzą, że to ty rozmawiasz przez radio, nie ja.

- Ponieważ mój głos jest niższy? A może dlatego, że mówię bardziej gramatycznie?

Prowadziła wóz przez złowrogo wyglądające okolice osiedla komunalnego i wciąż patrzyła w lusterka.

- Gdzie, do cholery, są posiłki? - denerwowała się, jadąc.

Brazil także lustrował teren.

- Biała furgonetka, EWR-117 - powiedział.

Furgonetka wolno skręciła za róg, a Virginia przyśpieszyła. Włączyła syrenę i światła alarmowe, a dwadzieścia minut później, gdy znowu patrolowali okolicę, gliny odholowały do aresztu kolejnego przestępcę.

Radar jeszcze z nimi nie skończył. Przekazał komunikat o włamaniu do samochodu na rogu Trade i Tryon i zlecił tę sprawę załodze numer siedemset, podczas gdy inne radiowozy kręciły się po okolicy bez zajęcia.

- Podejrzany to czarny mężczyzna, bez koszuli, w zielonych spodniach. Może być uzbrojony - rozbrzmiewał w skanerze głos dyspozytora.

Na miejscu patrolujący znaleźli chevroleta caprice z wybitą przednią szybą. Zdenerwowany właściciel wozu, Ben Martin, był obywatelem przestrzegającym prawa i nie zasługiwał na to, aby jego nowiutkie auto wyglądało tak, jak wyglądało. Co chcieli ukraść? Notes żony z kuponami rabatowymi leżący na tylnym siedzeniu, który wyglądał jak portfel? Jacyś zaszrani chuligani zniszczyli jego drogi samochód, aby kupić tuńczyka w puszcze, sos Uncle Ben czy kawę Maxwell House ze zniżką pięćdziesięciu centów?

- Ostatniej nocy to samo przydarzyło się mojemu sąsiadowi - poinformował Martin gliniarzy. - A dzień wcześniej okradli samochód Baileyom.

Jakie to zło załęgło się na tym świecie? Martin pamiętał, że kiedy był małym chłopcem w Rock Hill, w Karolinie Południowej, nikt nie zamykał drzwi na klucz, a alarm antywłamaniowy polegał na tym, że złodziej był zaskoczony, kiedy ktoś natknął się na niego, gdy okradał auto. Dostawał wtedy wycisk i było po sprawie. A teraz rabusie działają na oślep i niszczą nowego caprice, aby ukraść kilka kuponów rabatowych, schowanych w notesie oprawionym w czerwony plastik.

Brazil zauważył czarnego mężczyznę w zielonych spodniach, który

uciekał między domami, kierując się w stronę ciemnego starego cmentarza Settlers.

- To on! - zawołał.

- Włącz radio! - poleciła Virginia.

Rzuciła się w pościg za uciekającym. Zadziałał instynkt, niemający nic wspólnego z rzeczywistością, w której szefowa dochodzeniówki była kobietą w średnim wieku, zupełnie bez formy, uzależnioną od tłustych tostów palaczką. Od podejrzanego dzieliło ją jakieś trzydzieści metrów, a już czuła się zmęczona. Biegła niezdarnie, złana potem, a jej ciało i ciężki pas Sam Browne po prostu nie nadawały się do takich wyczynów. Tamten łajdak zaś nie miał na sobie koszuli, pod hebanową skórą tańczyły mięśnie. Był cholernie zwinny, niczym ryś. Jak miałyby schwytać kogoś takiego? Nie da rady. Podejrzani nie powinni być tacy sprawni. Nie mają przecież w zwyczaju popijać napojów energetycznych ani korzystać z siłowni w więzieniach.

Gdy zastanawiała się nad tym, minął ją Brazil, płynący w powietrzu jak olimpijski bóg. Był coraz bliżej Zielonych Spodni, dobiegali już do cmentarnej bramy. Andy skoncentrował się na muskularnych plecach uciekającego. Łobuz miał może pięć procent tłuszczu w stosunku do masy ciała, lśnił od potu i najwyraźniej wierzył, że uda mu się uciec ze skradzionymi kuponami. Brazil popchnął go mocno od tyłu i złodziej upadł na trawę, a kupony rozsypały się dookoła. Skoczył na plecy Zielonych Spodni i przycisnął go mocno kolanem. Przyłożył mu do głowy latarkę jak pistolet.

- Jeśli się ruszysz, rozwalę ci łeb, skurwysynu! - zawołał i uniósł głowę, dumny z siebie. Virginia w końcu dobiegła do nich, spocona jak mysz i z trudem łapiąc oddech. Mogła dostać ataku serca, była tego pewna. - Ukradłem te słowa tobie - powiedział Brazil.

Porucznik West z trudem wyciągnęła zza paska kajdanki, nie pamiętając już, kiedy używała ich ostatni raz. Może jeszcze jako sierżant, gdy goniła

faceta na Fourth Ward, a może w Fat Man's? Kręciło jej się w głowie, krew pulsowała w uszach. Zła forma fizyczna zaczęła dawać o sobie znak, gdy Virginia miała trzydzieści pięć lat, i kiedy, co było zbiegiem okoliczności, na progu jej domu pojawił się pewnej niedzielnej nocy Niles. Koty abisyńskie są egzotyczne i bardzo drogie. Mają także trudny charakter i są kocimi ekscentrykami, co być może tłumaczyło fakt, że Niles błąkał się bezdomny. Nawet Virginia miała czasami ochotę wyrzucić go z samochodu na autostradzie. To, dlaczego ten chudy kot ze skośnymi oczami, które pamiętały egipskie piramidy, wybrał właśnie ją, na zawsze pozostało dla jego pani tajemnicą.

Pojawienie się Nilesa wzmogło być może skłonności Virginii do samodestrukcji, co nie miało jednak nic wspólnego z jej rosnącym osamotnieniem, spowodowanym rozwijającą się karierą zawodową w świecie zdominowanym przez mężczyzn. Coraz większe uzależnienie od papierosów, niezdrowa, tłusta dieta i duże ilości piwa, jak również niechęć do ćwiczeń fizycznych nie miały najmniejszego związku z rozstaniem się policjantki z Jimmym Dinkinsem, który miał alergię na Nilesa i naprawdę nienawidził kota tak bardzo, że pewnego wieczora, podczas kłótni z Virginią, wycelował w zwierzaka z pistoletu. Stało się to wtedy, gdy Niles postanowił wtrącić swoje trzy grosze do ich sprzeczki i skoczył na Dinkinsa z lodówki.

Wciąż była spocona i z trudem oddychała, prowadząc więźnia do samochodu. Miała wrażenie, że zaraz się przewróci.

- Musisz rzucić palenie - powiedział Andy. Wepchnęła zatrzymanego na tylne siedzenie wozu, a Brazil usiadł z przodu.

- Masz pojęcie, ile tłuszczu znajduje się w tostach Bojangles i w innych głównianych potrawach, którymi się odżywasz? - kontynuował.

Więzień milczał, w lusterku widać było jego pałające nienawiścią oczy. Nazywał się Nate Laney. Miał czternaście lat, ale mógłby pozabijać te białe gliny. Nie dano mu tylko szansy. Laney był zły, zły od urodzenia, tak przynajmniej uważała jego biologiczna matka, która także była zła, tak

uważała jej matka. To zło w genach można by śledzić aż do więzienia w Anglii, skąd oryginalne złe geny zostały przywiezione statkiem do tego kraju, mniej więcej w tym samym czasie gdy oddziały z Queen City ścigały wojska Cornwalisa.

- Założę się, że nigdy nie ćwicyłaś. - Brazil nie miał wycucia, kiedy powinien skończyć.

Porucznik West spojrzała na niego nieprzyjaźnie i wytarła czerwoną z wysiłku twarz chusteczką higieniczną. Andy przebiegł sprintem sto metrów i nie miał nawet zadyszki. Ona zaś czuła się stara, niezdarna, zmęczona i chora od przestawiania z tym dzieciakiem i słuchania jego naiwnych, przemądrzałych opinii. Życie jest dużo bardziej skomplikowane, niż mu się wydawało, i pewnie zaczęłby to rozumieć, gdyby spędził tak jak ona rok lub dwa kompletnie sam, odwiedzając tylko smażalnie kurczaków, których pełno na każdym rogu. Bojangles,

Church's, Popeye's, Chic N Grill, Chick-Fil-A, Price's Chicken Coop. Poza tym, ponieważ gliny nie zarabiają dużo, przynajmniej nie na początku służby, nawet możliwości pójścia gdzieś po pracy na obiad były ograniczone do pizzy, hamburgerów i barów szybkiej obsługi.

- Kiedy ostatni raz grałaś w tenisa? - zapytał Brazil.

- Nie pamiętam - odpowiedziała.

- Może poszlibyśmy kiedyś razem poodbijać?

- Powinieneś zbadać sobie głowę - oświadczyła.

- Ależ, nie przesadzaj, grałaś kiedyś świetnie. Założę się też, że bywałaś w lepszej formie - ciągnął.

Masywny betonowy budynek, w którym mieściło się więzienie, stał w centrum Charlotte. Został zbudowany w tym samym mniej więcej czasie, co nowa, duża siedziba policji w mieście, które chlubiło się olbrzymią ilością wykrytych przestępstw, notabene przerastającą ilość zgłaszanych przypadków, tak przynajmniej niektórzy twierdzili. Aby dostać się do więzienia, należało przejść przez wiele zabezpieczeń i punktów kontroli,

poczynając od miejsca, gdzie policjanci musieli zdeponować broń. Przy wejściu sprawdzano wszystkich. Brazil chłonał wszystko z ciekawością, zapoznając się z nowym, budzącym lęk miejscem. Jakaś ubrana na czarno pakistańska kobieta z zakrytą twarzą była przesłuchiwana w związku z kradzieżą w sklepie. Pijakami, złodziejami i zwykłymi handlarzami narkotyków zajmowali się policjanci, ale nadzór nad wszystkim sprawowało biuro szeryfa.

W głównej przechowalni depozytów Virginia przeszukała aresztanta, wyjmując z jego kieszeni gumę do żucia, banknot jednodolarowy i trzynaście centów bilonem oraz paczkę dropsów. Następnie wypełniła stosowne formularze. Zatrzymany był już w lepszym humorze, uśmiechał się arogancko i uważnie przyglądał się osobie, która go aresztowała.

- Potrafisz czytać? - zapytała go porucznik West.

- Czy to moje zwolnienie?

Jej więzień miał na sobie trzy pary sportowych spodenek, dwie pary szortów, z których te na wierzchu były zielone i opadały bez paska. Rozglądał się dookoła, nie mogąc ustać spokojnie.

- Obawiam się, że nie - odpowiedziała Virginia.

W pomalowanej na niebiesko pojedynczej celi siedział inny młody chłopak, który przyglądał im się wzrokiem pełnym nienawiści. Brazil spojrział na niego przelotnie, a potem zainteresował go areszt tymczasowy, gdzie stłoczeni byli skazani, oczekujący na transport do więzienia na Spector Drive, skąd pójda dalej do Camp Green lub Central Prison. Mężczyźni zachowywali się spokojnie. Patrzyli przed siebie, trzymając się krat jak zwierzęta w zoo, gdyż nie mieli nic lepszego do roboty w tej więziennej oranżerii.

- Nie było mnie tu przez chwilę - odezwał się więzień Virginii.

- Ile trwała ta chwila? - zapytała, kończąc pisać protokół z oddania do depozytu rzeczy zatrzymanego.

Nate Laney wzruszył ramionami, rozglądając się dookoła.

- Jakieś dwa miesiące - powiedział.

ROZDZIAŁ 15

Zakończyli patrol śniadaniem w Presto. Brazil zupełnie nie był zmęczony i miał ochotę na dalsze przygody. Virginia padała z nóg, a przecież dzień dopiero się zaczynał. Wchodząc na podwórko, zauważyła w krzakach tubkę z klejem Super Glue. Obok leżał otwarty nóż. Przypomniała sobie jak przez mgłę komunikat podany w nocy o jakimś zatrzymanym, który obnażał się w Latta Park. Najwyraźniej używał też kleju. Zabezpieczyła ewentualne dowody, zastanawiając się, dlaczego znalazły się akurat na jej posesji. Potem nakarmiła Nilesa. O dziewiątej rano towarzyszyła już Judy Hammer w drodze przez hol ratusza.

- Co, do diabła, robi książka wezwań w twoim samochodzie? - zapytała szefowa, idąc jak zwykle energicznym krokiem.

To zaszło już za daleko. Jej zastępczyni spędziła całą noc na ściganiu przestępców, niektórych nawet na piechotę. Kilku aresztowała.

- To, że jestem twoją zastępczynią, wcale nie znaczy, że nie mogę brać udziału w takich akcjach - odpowiedziała Virginia, która starała się za nią nadążyć, odpowiadając na ukłony mijających je ludzi.

Nie mogę uwierzyć, że wypisywałaś mandaty. Dzień dobry, John. Cześć, Ben. I aresztowałaś tych bandziorów. Witaj, Frank. - Przywitała się z kolejnym radnym. - Znowu skończysz w sądzie. Jakbym nie miała dla ciebie roboty.

Porucznik West roześmiała się głośno. Dawno nie słyszała czegoś równie zabawnego!

- Ależ nie! - powiedziała. - A co ty mi kazałaś robić? Czyj to był pomysł, abym znowu zaczęła patrolować ulice?

Brak snu wywoływał u niej zawroty głowy.

Judy rozłożyła ręce w geście rozpaczony. Wchodziły już do sali, gdzie burmistrz zwołał nadzwyczajne zebranie radnych. W środku tłoczyli się obywatele Charlotte, dziennikarze i ekipy telewizyjne. Na widok najwyższych władz policji zgromadzeni zerwali się na równe nogi.

- Komendantka!

- Pani Hammer, co policja robi w związku z przestępstwami we wschodniej części miasta?

- Policja nie rozumie czarnej społeczności!

- Chcemy wrócić do pomocy sąsiedzkiej!

- Wybudowaliśmy nowe więzienie, ale nie uczymy dzieci, jak trzymać się od niego z daleka!

- W wyniku seryjnych zabójstw interesy w centrum miasta spadły o dwadzieścia procent! - krzyczał inny obywatel.

- Jakie podjęliście środki zaradcze? Moja żona umiera ze strachu.

Judy stanęła przed zgromadzonymi i wzięła do ręki mikrofon. Wokół ustawionych w podkowę wypolerowanych stołów siedzieli radni, a mosiężne tabliczki z nazwiskami wskazywały ich pozycję w radzie miasta. Oczy wszystkich skierowane były na pierwszego w historii Charlotte szefa policji, który sprawił, że ludzie poczuli się ważni, niezależnie od miejsca, w jakim mieszkali, i tego, kim są. Dla niektórych z nich Judy Hammer była w pewnym sensie jedyną matką, jaką w ogóle znali, a jej zastępczyni także wzbudzała sympatię. Stała razem z innymi, usiłując się dowiedzieć, jakie sprawy najbardziej ich niepokoją.

- Wrócimy do tradycji obrony sąsiedzkiej, by zapobiec następnym zbrodniom. - Głos komendant Hammer zabrzmiał stanowczo. - Policja nie poradzi sobie bez waszej pomocy. Koniec z odwracaniem głowy i przechodzeniem obok. - Przemawiała dalej niczym kaznodzieja. - Koniec z filozofią, że to, co się stało waszemu sąsiadowi, to wyłącznie jego problem. Jesteśmy jednym organizmem. - Rozejrzała się po sali. - To, co przytrafia się

tobie, może się też przytrafić mnie.

Zebrani słuchali w milczeniu, kiedy stała przed nimi i mówiła prawdę, do której jej poprzednicy nie chcieli się przyznać. Ludzie muszą na powrót odzyskać swoje ulice, sąsiedztwo, miasta, stany, swoje kraje i swój świat. Każdy powinien zacząć wyglądać przez okna domu, strzec jak policjant najbliższego otoczenia i reagować natychmiast, gdy coś złego stanie się jego sąsiadowi. Tak, proszę państwa. Powstańcie. Bądźcie jak żołnierze pospolitego ruszenia - Do dzieła - wzywała ich pani Hammer. - Pilnujcie porządku sami, a nie będziecie nas potrzebować!

W sali zapanował entuzjazm. Tego dnia późnym wieczorem Virginia, jak na ironię losu, przypomniała sobie ów powszechny zapał, gdy razem z Brazilem przejeżdżali obok monumentalnie wznoszącego się na tle ciemnego nieba stadionu, na którym tysiące fanów świętowało spotkanie z Randym Travisem. Porucznik West mknęła swoją crown victoria, mijając centrum, gdzie na olbrzymim ekranie wyświetlano napis „Witamy w Queen City”. Radiowozy policyjne, migając niebieskoczerwonymi światłami alarmowymi, zjeżdżały się do miejsca, gdzie popełniono kolejną zbrodnię. Brazil także zastanawiał się nad niesamowitym zbiegiem okoliczności, wspominając słowa Judy Hammer, które wypowiedziała rano. Był wściekły.

Virginia czuła strach, choć nie wolno jej było go okazywać. Jak to się mogło znowu stać? Co ze specjalnymi oddziałami, które powołano, z podwojonymi Phantom Force, mającymi dzień i noc ścigać mordercę Czarną Wdowę? Nie mogła przestać myśleć o konferencji prasowej, fragmenty której transmitowano przez radio i telewizję. Zastanawiała się, czy to tylko zbieg okoliczności, czy też może ktoś sobie drwi z Charlotte, jego policji i mieszkańców.

Zabójstwo popełniono na Trade Street, przy torach kolejowych na tyłach zrujnowanego ceglanego budynku, skąd widać było stadion i stację przekaźnikową Duke Power. Virginia i Brazil podeszli do miejsca opasanego żółtą taśmą policyjną obok migających niespokojnie świateł radiowozów.

Stały tam wagony towarowe i ostatni model białego maksima. Drzwi samochodu od strony kierowcy były otwarte, w środku paliło się światło i brzęczał sygnał alarmu. Virginia wyjęła telefon komórkowy i ponownie wybrała numer szefowej. Od dziesięciu minut sygnał był zajęty, ponieważ Judy rozmawiała z synem. Gdy tylko skończyła, telefon natychmiast zadzwonił, przynosząc jej kolejną złą wiadomość.

Cztery minuty później wyjeżdżała pośpiesznie z Fourth Ward. Virginia oddała telefon Brazilowi, który schował go do skórzanego futerału przy pasku. Bardzo lubił przyczepiać sobie do paska wszystko, co było „legalne na drodze”. Określenie to powstało w okolicach Charlotte, a jego etymologia sięgała czasów idoli NASCAR i rakiet, którymi się ścigali i które nie mogły się poruszać po autostradzie, chyba że umocowane do przyczepy. Brazil zazdrościł policjantom wszystkiego, na co ci narzekali. Nie przerażały go bóle w krzyżu, niewygody ani nadmierne obciążenie. Oczywiście miał też przy sobie radio z kanałami, na których mógł odbierać komunikaty ze wszystkich sektorów, i krótką anteną, pager - nikt nigdy do niego nie dzwonił - małą latarkę w skórzanym etui, jak również telefon komórkowy Virginii West, ponieważ kiedy nosił mundur, nie mógł mieć przy sobie służbowego telefonu z „Observera”. Brakowało mu pistoletu i gazu obezwładniającego. Przy jego służbowym pasku nie było też pałki policyjnej, pojemnika na podwójny magazynek i kajdanek.

Porucznik West miała to wszystko i jeszcze więcej. Była w pełni wyposażona i Niles słyszał, jak się zbliża, nawet z odległego końca miasta. Minuta za minutą samotny kot abisyński wyczekiwał na znajomy dźwięk, nasłuchiwał ulubionych pobrzękiwań i skrzypień oraz ciężkich kroków. Przesiadywał na parapecie okiennym nad zlewem, wiecznie rozczarowany, patrząc i czekając, coraz bardziej zainteresowany sylwetką US-Bank Corporate Center (US-BCC), dominującą na tle nieba. W swoich wcześniejszych życiach Niles poznał najwyższe budowle wszystkich

cywilizacji, piramidy, majestatyczne grobowce faraonów.

W fantazjach Nilesa US-BCC był potężnym władcą, królem Usbeece, który miał srebrną koronę i tylko kwestią czasu było, kiedy jego wysokość ożyje. Mógłby obrócić w pył wszystko, co stało mu na drodze. Niles wyobrażał sobie, jak król kroczy wolno, stawiając ciężkie kroki i szukając po raz pierwszy drogi, a ziemia pod nim drży. Kot czuł dla niego pełen lęku szacunek, ponieważ władca nigdy się nie uśmiechał, a kiedy w jego oczach odbijało się słońce, stawały się złote i władcze, jak cała jego sylwetka. Król Usbeece mógłby zmiażdżyć gazetę „The Charlotte Observer”, departament policji, całe Centrum Zapobiegania Zbrodni i ratusz. Mógłby zniszczyć wszystkich uzbrojonych policjantów, ich komendantkę, jej zastępczynię, burmistrza, wydawcę gazety i wszystkich obrócić w pył.

Komendant Hammer wysiadła z samochodu, ale nie traciła czasu na przeciskanie się pomiędzy detektywami oraz policjantami po cywilnemu. Schyliła się i przeszła pod żółtą taśmą, która zawsze napawała ją lękiem, niezależnie od tego, gdzie ją widziała. Judy nie była w najlepszej formie, zbyt wiele spraw zaprzętało jej myśli. Odkąd postawiła Sethowi ultimatum, jej życie uległo jeszcze większemu rozbiciu. Tego ranka w ogóle nie wstał z łóżka i wspominał coś o doktorze Kevorkianie, woli życia i cykucie. Seth uważał, że głupotą jest twierdzenie, iż samobójstwo to przejaw egoizmu, ponieważ każdy dorosły człowiek ma prawo opuścić ten świat, kiedy chce.

- Na litość boską - powiedziała mu. - Wstawaj i idź na spacer.

- Nie. Nie zmusisz mnie do tego. Nie muszę żyć, jeśli tego nie chcę.

To ją skłoniło, aby usunąć z domu broń. Przez lata nazbierało się jej sporo i Judy chowała pistolety w różnych miejscach. Gdy zadzwoniła Virginia, komendantka nie znalazła jeszcze tylko jednej, starej, pięciostrażkowej trzydziestkiósemki Smith & Wesson z nierdzewnej stali. Była niemal pewna, że jest w szufladzie komody w jej łazience, gdzie widziała broń ostatni raz, kiedy zamykała ją na klucz przed wnukami, gdy przyjechali do miasta.

Komendant Hammer miała wiele problemów. Już na konferencji prasowej, w której uczestniczyły ekipy z ogólnokrajowych mediów, była w fatalnym nastroju i robiła, co mogła, starając się odpowiadać na agresywne pytania. Najbardziej nienawidziła polityków. Byli prawdziwą zmorą jej życia. Sto pięć procent wykrywalności przestępstw! Żałowała, że teraz w tym przeklętym przez Boga miejscu nie zjawił się Cahoon. Właśnie to powinien był zobaczyć. Wszyscy Cahoonowie świata nie byliby w stanie się z tym zmierzyć, poddiliby się, zbledli i zemdleli. Zakrwawiony, martwy biznesmen to nie to samo co wizerunek miasta, rozwój ekonomiczny lub przemysł turystyczny. Zarośla przy torach kolejowych, latające wokół świetliki, wynajęty samochód z otwartymi drzwiami i brzęczącym alarmem - to była rzeczywistość.

Judy Hammer w milczeniu zbliżała się do miejsca tragedii, a niebieskoczerwone światła oświetlały jej surową, strapioną twarz. Podeszła do Virginii i Brazila, którzy stali przy maksimie. Doktor Odom przygotowywał kolejny czarny worek na kolejne ciało. Obciążone gumowymi rękawiczkami ręce lekarza sądowego były zakrwawione, na jego skroni zebrały się kropelki potu, serce biło mu wolno i rytmicznie. Przez większość swojego życia miał do czynienia z ofiarami mordów na tle seksualnym, lecz nigdy jeszcze z takimi przypadkami jak te. Doktor Odom był człowiekiem współczującym, ale twardym. Dawno temu nauczył się samokontroli i nie poddawał się emocjom. To smutna prawda, łatwiej jednak mu przychodziło zachować medyczny dystans, gdy ofiarami były kobiety lub homoseksualiści albo, w niektórych przypadkach, cudzoziemcy. Kategoryzacja zdecydowanie ułatwiała pracę.

Doktor Odom miał coraz więcej wątpliwości związanych z własną teorią, że te seryjne morderstwa mają podłoże homoseksualne. Tym razem ofiarą był pięćdziesięcioletni senator Ken Butler z Raleigh. Ostatnią rzeczą, przy której doktor Odom chciałby w najmniejszym nawet stopniu obstawać, było twierdzenie, że czarna skórzana kurtka ofiary znaczyła coś więcej niż tylko

modny ciuch. Doktor Odom wiedział także ze swojej długoletniej praktyki, że politycy o skłonnościach homoseksualnych nie jeżdżą po ulicach w poszukiwaniu chłopców. Chodzili raczej do publicznych parków lub męskich toalet, ponieważ tam łatwo mogliby zaprzeczyć oskarżeniom, że sami się wystawiają lub zaczepiają innych. Po prostu chcieli się załatwić.

Doktor Odom zaciągnął zamek błyskawiczny czarnego worka, kryjącego zakrwawione ciało z namalowaną pomarańczową farbą klepsydrą. Spojrzał na szefową policji i pokiwał głową. Bolał go kręgosłup. Brazil przyglądał się Maksimowi, trzymając ręce w kieszeni, aby mieć pewność, że niczego przypadkowo nie dotknie. To byłby koniec jego kariery. Mógłby nawet zostać uznany za podejrzanego. Bo przecież na skutek zbiegu okoliczności pojawiał się zawsze w miejscach, gdzie znajdowano ciała kolejnych ofiar. Rozejrzał się nerwowo dookoła, zastanawiając się, czy jeszcze komuś mogło to przyjść do głowy. Doktor Odom przekazywał swoje opinie obu policjantom.

- To jakiś cholerny koszmar - mówił. - Chryste Panie!

Zdjął rękawiczki i nie bardzo wiedział, co z nimi zrobić. Szukał wzrokiem pojemnika na niebezpieczne odpady. Jego spojrzenie zatrzymało się na Dennym Rainesie. Przywołał go gestem i wysoki, przystojny mężczyzna podszedł do nich, a razem z nim sanitariusze z noszami. Raines mrugnął do Virginii, wpatrując się w jej seksowny mundur. Niesamowicie go podniecała, zresztą Judy Hammer również była niczego sobie. Brazil też przyglądał się Rainesowi. Dziwnie się czuł, gdy obserwował tego wysokiego sanitariusza, który pożerał wzrokiem obie kobiety. Andy nie był pewien, co właściwie go zaniepokoiło, ale poczuł nagły ucisk w żołądku. Chciał ściągnąć na siebie spojrzenie Rainesa, chciał, aby coś się zaczęło dziać, chciał, aby tamten zniknął ze sceny.

- Oddaję go w wasze ręce - powiedział doktor Odom do komendantki, gdy sanitariusze odeszli z noszami. - Nie podam mediom żadnej wiadomości. Kompletnie nic. Jedyne oświadczenia będą pochodzić od was.

- Dzisiaj jeszcze nie ujawnimy jego tożsamości - zdecydowała stanowczo Judy Hammer. - Dopiero po oficjalnej identyfikacji.

Oczywiście, nie miała najmniejszej wątpliwości, kim jest ofiara. Jego prawo jazdy leżało na podłodze samochodu, pod fotelem pasażera. Judy rozpoznała też senatora po okazałej sylwetce, siwych włosach, koziej bródce i masywnej twarzy. Zginął od razu, więc na jego ciele nie znaleziono objawów reakcji tkanki na zadane obrażenia, żadnej opuchlizny ani siniaków. Butler wyglądał niemal tak samo, jak wtedy, gdy widziała go ostatni raz żywego, na przyjęciu w Myers Park. Była bardzo zdenerwowana i nie chciała, aby jakiegokolwiek wiadomości przedostały się do prasy. Podeszła do Brazila, który oglądał samochód senatora i robił notatki.

- Andy - powiedziała, dotykając jego ramienia. - Jestem przekonana, że wiesz, jaka to delikatna sprawa.

Znieruchomiał, patrząc na nią, jakby to właśnie ona była powodem, dla którego ludzie chodzą co niedziela do kościoła. Była Bogiem. Uwagę Judy przyciągnęła czarna, skórzana teczka ze złotymi inicjałami, która leżała wewnątrz wozu. Była otwarta, podobnie jak podręczna torba podróżna i walizka, obie przeszukane. Komendantka zauważyła klucze, kalkulator, paczkę orzeszków z samolotu, bilety lotnicze, telefon komórkowy, pióra, notes, kartki papieru, dropsy, prezerwatywy firmy Trojan, buty, skarpetki, spodenki, wszystko rozgrzebane czymiś niecierpliwymi dłońmi.

- Czy mamy pewność, że to senator? - ośmielił się zapytać Brazil.

Szefowa policji spojrzała na niego roztargnionym wzrokiem.

- Nie na tyle pewni, abyś mógł to ujawnić.

- W porządku - odpowiedział. - Chyba że potwierdzi pani tę informację najpierw komuś innemu.

- Nigdy. Zawrzyjmy umowę. Jeśli zrobisz to, o co proszę, ja też dotrzymam słowa. Zadzwoń do mnie jutro o piątej po południu. Podyktuję ci oświadczenie.

Odeszła. Brazil patrzył, jak opuszcza miejsce zbrodni, nurkuje pod żółtą

taśmą i szybkim krokiem przechodzi obok pulsujących w ciemności niebieskoczerwonych świateł. Ekipy telewizyjne, reporterzy radiowi i dziennikarze rzucili się w jej stronę jak barakudy. Opędziła się od nich jednym stanowczym gestem ręki i wsiadła do swojego wozu. Andy pokręcił się jeszcze trochę, chociaż nie pozwolono mu podejść do miejsca, gdzie zabito senatora. Raines i pozostali sanitariusze zanieśli ciało do karetki, a pomoc drogowa odholowała wynajęty samochód na policję.

Kamery filmowały ambulans, który wiozł ciało senatora do kostnicy. Brent Webb obserwował Brazila z nieukrywaną zazdrością. To niesprawiedliwe, że tego faceta traktowano w specjalny sposób i mógł kręcić się po miejscu zbrodni z latarką, jakby należał do grupy dochodzeniowej. Jednak Brent wiedział, że już wkrótce młody dziennikarz może stracić swoją uprzywilejowaną pozycję i złote kontakty. Reporter telewizyjny przygładził swoją doskonałą fryzurę i zwilżył usta balsamem. Stojąc przed kamerą, wyglądał bardzo wiarygodnie, gdy przekazywał w świat najświeższe, tragiczne wiadomości. W pobliżu słychać było dudnienie przejeżdżającego pociągu relacji Norfolk-Southern.

ROZDZIAŁ 16

Światło latarki Brazila wydobywało z mroku fragmenty zwirowej alejki i zarośla na skraju zarzewiałych torów kolejowych. W pobliżu słychać było łoskot wagonów przejeżdżającego pociągu towarowego, który oddalał się w gorącą noc. Zakrzepła krew połyskiwała jaskrawą czerwienią w silnym strumieniu światła, obok leżały na ziemi zakrwawione monety, które zapewne wypadły z kieszeni ofiary, kiedy morderca ściągał senatorowi spodnie. Grudki krwi przylepiły się także do liści na krzakach, widać tam było również fragmenty kości czaszki i mózgu. Brazil wziął głęboki oddech i spojrzał przed siebie, na tory kolejowe, nad którymi jarzyła się nocna panorama miasta.

Seth rozmyślał o własnej krwi i wyobrażał sobie, jak jego żona-szefowa wchodzi do pokoju i znajduje go na łóżku, na którym, właśnie siedział i popijał piwo, z trzydziestkąósemką na kolanach. Nie mógł oderwać oczu od broni, naładowanej jednym nabojem typu Remington +P. Przedtem, oglądając w telewizji „Przyjaciół”, „Mary Tyler Moore” i inne powtórki, Seth godzinami kręcił bębenkiem rewolweru, aby sprawdzić swój fart. Wyniki nie napawały go optymizmem. Jak dotąd, na mniej więcej sto obrotów, tylko dwa razy udało mu się popełnić samobójstwo. Jak to możliwe? Czy nie przeczy to rachunkowi prawdopodobieństwa? Oczekiwał, że nabój ustawi się do wystrzału co najmniej dwadzieścia razy, ponieważ rewolwer był pięciostrzałowy, a sto podzielone na pięć daje dwadzieścia.

Zresztą nigdy nie był dobry z matematyki. Właściwie nie był dobry w niczym. Każdy mógł być lepszy od niego, nawet jego niezdarni synowie i

oczywiście jego męska żona. Byłaby z tego najbardziej zadowolona. Wchodzi i znajduje go leżącego na łóżku, strzał w głowę przez poduszkę, wszędzie pełno krwi, wszystko skończone. Żadnych więcej problemów. Nie będzie już musiała zabierać ze sobą na przyjęcia męża-spaślaka i wstydić się za niego, wciąż jeszcze budząc zainteresowanie młodych mężczyzn. On jej pokaże. Zrobi to. Sprawí, że jego sposób odejścia z tego świata będzie budził w niej wyrzuty sumienia do końca życia.

Komendant Hammer była przekonana, że Seth nigdy nie odważyłby się tego zrobić. I gdy otworzyła szufladę komody i zobaczyła, że rewolwer zniknął, pomyślała, że jej sfrustrowany, załamany psychicznie mąż wiedział jednak, gdzie trzymała broń. I do czego była mu potrzebna? Do ochrony? Nie bardzo w to wierzyła. Seth zapominał nawet włączyć alarm antywłamaniowy. Nie lubił strzelać i nigdy nie nosił broni, nawet w Little Rock, gdzie był członkiem Narodowego Towarzystwa Strzeleckiego, ponieważ większość jego kolegów do niego należała. Judy analizowała sytuację i coraz bardziej się denerwowała.

Głupiec. Czyżby to miała być jego ostatnia i największa zemsta? Samobójstwo było nędznym i tchórzliwym czynem, chyba że śmierć i tak znajdowała się blisko i człowiek chciał się uwolnić od bólu i cierpienia. Jednak zdecydowana większość ludzi robiła to, aby komuś za coś odpłacić. Najokropniejsze listy pożegnalne, jakie Judy kiedykolwiek czytała, pochodziły właśnie od takich osób. Nie budziło to w niej współczucia, ponieważ doskonale wiedziała, że nie ma na świecie takiej duszy, która nie przeżywałaby wciąż i wciąż ciężkich chwil na autostradzie życia, nie walczyłaby przez długie, samotne godziny jazdy i nie przychodziłoby jej do głowy, że można zjechać z drogi i skończyć ze wszystkim. Ona sama też nie była wolna od takich doświadczeń. Znała własne skłonności do objadania się, picia, lenistwa i niechęć do dbania o formę. To się zdarzało, ale brała się w garść i szła dalej. Zawsze potrafiła się pozbierać i jakoś wychodziła na prostą.

Nigdy nie skończyłaby ze sobą, ponieważ była odpowiedzialna i ludzie jej potrzebowali.

Weszła do domu, nie wiedząc, co ją tam czeka. Zamknęła za sobą drzwi i uruchomiła alarm antywłamaniowy. W pokoju Seta, na wprost kuchni, głośno grał telewizor. Przez chwilę wahała się, czy tam nie wejść, ale nie mogła się na to zdobyć. Nagle ogarnął ją lęk. Poszła do swojej części domu, lecz gdy odświeżała się w łazience, czuła w sercu narastający niepokój. Było już bardzo późno, ale nie przebrała się w nocną koszulę ani nie nalała sobie whisky. Gdyby to jednak zrobił, w ciągu kilku minut na terenie jej posesji pojawiłby się tłum ludzi. Nie było sensu, aby się rozbierała lub upijała. Judy Hammer zaczęła płakać.

Pisząc artykuł, Brazil rozmyślał o umowie, jaką zawarł z szefową policji. Wciąż w mundurze, siedział przed komputerem, a jego palce szybko ślizgały się po klawiaturze, przenosząc na ekran informacje z notatek, które zrobił na miejscu zbrodni. Umieścił tam pewne szczegóły, dotyczące zabójstwa popełnionego przez Czarną Wdowę. Z fotograficzną dokładnością opisał to, co zobaczył wewnątrz samochodu, zakrwawione monety i chusteczkę do nosa, przytoczył pewne fakty, o których wspominali policjanci i lekarz sądowy, zobrazował słowami całą grozę tej gwałtownej śmierci. Jego tekst był czytelny i poruszający, nie zawierał jednak żadnych danych na temat tożsamości ofiary. Andy dotrzymał słowa.

Mimo to był w stresie. Jego dziennikarska dusza domagała się, aby wyjawić prawdę, nawet jeśli nie została jeszcze oficjalnie potwierdzona. Brazil miał jednak swój honor i nie mógł zawieść zaufania policji. Pocieszał się tym, że pani Hammer nigdy by go nie wystrychnęła na dudka, podobnie jak Virginia West. Dostanie oficjalną informację jutro o piątej po południu i nikt, a zwłaszcza Webb, nie dowie się o tym wcześniej, zanim nie przeczyta jego tekstu w „Observerze”.

Webb pojawił się na antenie o jedenastej wieczorem, gdy Judy Hammer weszła do sypialni męża. Poczła dziwną ulgę, nie widząc nigdzie krwi. Wszystko było normalnie. Seth leżał na łóżku, wsparty na poduszkach. Webb podawał wiadomości poważnym głosem, a najważniejszą z nich było kolejne zabójstwo.

- ...wstrząsającym faktem, dotyczącym nocnej tragedii, jest tożsamość ofiary, którą okazał się senator Ken Butler...

Słyszając te słowa, Judy skamieniała i wbiła wzrok w ekran telewizora. Seth wyprostował się na łóżku, poruszony do żywego.

- Mój Boże! - wykrzyknął. - Miesiąc temu byliśmy z nim na przyjęciu.

- Ciiiicho - wyszeptła jego żona.

- ...po raz kolejny na ciele ofiary zabójca wymalował dziwny symbol klepsydry. Wszystko wskazuje na to, że Butler został zastrzelony z bliskiej odległości z amunicji zwanej Silvertips...

Judy schwyciła telefon komórkowy leżący na stoliku przy łóżku Seta, gdzie stały trzy puszki po piwie i szklanka z płynem, który wyglądał jak burbon.

- Gdzie jest moja trzydziestkaósemka? - zapytała męża, wystukując numer.

- Nie mam pojęcia.

Seth czuł dotyk chłodnej stali pomiędzy swoimi nogami i zdecydowanie nie było to najlepsze miejsce na przechowywanie broni. Jednak lufa skierowana była tak, że gdyby nawet zasnął, nie stałaby mu się krzywda.

- ...według źródeł dobrze poinformowanych, jego teczka, torba podróżna i walizka były otwarte, a rzeczy rozrzucone po wynajętym maximie. Butler wynajął samochód o piątej piętnaście po południu. Jego pieniądze zniknęły, poza garścią zakrwawionych monet, które znaleziono pod ciałem denata. Krwawe pieniądze, jako piąte wyzwanie Czarnej Wdowy...

Głos Webba wyciszał się, zabarwiony tragiczną ironią.

Brazil chłonał w drukarni kolejną dawkę hałasu i maszynowej mocy, nie mógł więc odebrać telefonu od komendantki Hammer. Przyglądał się, jak po pasie transmisyjnym mkną tysiące egzemplarzy gazety. Tytuł jego artykułu na pierwszej stronie został wydrukowany dużą czcionką. Chociaż litery drżały, unoszone na taśmie, nawet z miejsca, w którym stał, mógł go odczytać.

KRWAWE PIENIĄDZE - PIĄTE WYZWANIE CZARNEJ WDOUY

Nie widział swojego nazwiska, ale wiedział, że tam było. Drukarze odpoczywali na krzesłach, gotowi do interwencji, gdyby pojawiły się problemy techniczne. Brazil obserwował papier na bębnach o wadze jednej tony, tajemniczo wyłaniających się spod ziemi i wolno sunących po szynach obok beczek z płynnym alunem i kadzi z żółtym, czerwonym, niebieskim i czarnym tuszem. Bele papieru przypominały mu gigantyczne rolki papieru toaletowego. Przeszedł do działu pocztowego, gdzie leżały przygotowane do wysyłki gazety. Specjalne maszyny nalepiały na nie kartki z adresami, a potem taśma przesyłała je do automatów segregujących. Z jakiegoś powodu Andy'ego nagle opuścił dobry nastrój. Nie rozumiał dlaczego, ale znowu ogarnął go niepokój i smutek, poczuł się tak, jakby znalazł się na bocznym torze.

Serce ciążyło mu w piersi jak kamień i bolało. Brazil przypomniał sobie, jak ten umięśniony sanitariusz mrugnął do Virginii West i lubieżnie pożerał wzrokiem komendant Hammer. Znowu ogarnęła go wściekłość i zląkł się. Podobnego uczucia doznał już kiedyś, gdy cudem uniknął wypadku samochodowego, a także wtedy, gdy omal nie przegrał meczu w tenisa. Czy to możliwe, aby Raines mógł się podobać jakiegokolwiek kobiecie, ta góra mięśni? Ostatnio dotarły do Brazila plotki o nieudanym małżeństwie szefowej policji z pewnym grubym, niepracującym facetem. Taka pełna energii kobieta musiała mieć swoje potrzeby. Brazil zastanawiał się, czy komendantka nie pójdzie na łatwiznę i nie spotka się z sanitariuszem.

Dla własnego spokoju ducha Andy postanowił się dowiedzieć, czy pani

Hammer pojechała prosto do domu. Nie uspokoi się, póki nie nabierze pewności, że nie zdradziła jego i całego świata i nie upadła tak nisko, aby spotkać się z Dennym Rainesem. Jechał szybko przez Fourth Ward. Był zdumiony, gdy przed domem komendantki zobaczył ambulans i jej granatowy, służbowy samochód na podjeździe. Serce Brazila waliło jak oszalałe, gdy parkował nieopodal swój wóz. Z niedowierzaniem i przerażeniem obserwował jej dom. Na Boga, czyżby nie zależało jej nawet na pozorach?

Zdrowy skądinąd umysł Brazila ogarnęło szaleństwo. Wsiadł z samochodu i ruszył w stronę domu kobiety, do której jeszcze niedawno się modlił, ale teraz stracił cały szacunek i nigdy się już do niej nie odezwie, nie będzie o niej myślał ani marzył. W jego świętym oburzeniu nie było jednak agresji, dopóki nie pomyślał znowu o Rainesie. Mógłby go znokautować, zmieść z powierzchni ziemi, zmiażdżyć. Wolał nie zastanawiać się nad posturą tamtego mięśniaka ani nad tym, że sanitariusz nie wyglądał na kogoś, kto się go przelęknie. Właśnie się zastanawiał, co powinien zrobić, gdy otworzyły się drzwi od domu.

Raines i drugi sanitariusz wynosili nosze, na których leżał starszy, tłusty mężczyzna. Za nimi szła Judy Hammer. Wyglądała na bardzo przejętą i Brazył, który stał na środku Pine Street, kompletnie zgłupiał. Szefowa policji asystowała przy wsuwaniu noszy do karetki.

- Jesteś pewien, że nie chcesz, abym z tobą pojechała? - zapytała grubego mężczyznę.

- Zdecydowanie.

Widać było, że leżący na noszach cierpi, był podłączony do kroplówki. Mówił wolno, jakby słowa sprawiały mu ból.

- Dobrze, niech będzie, jak chcesz - powiedziała Judy.

- Nie chcę, żeby ze mną pojechała - oznajmił grubas Rainesowi.

- Nie martw się, zostanę. - Pani Hammer powiedziała to urażonym głosem i odeszła w stronę domu.

Zatrzymała się przy drzwiach wejściowych, przyglądając się odjeżdżającej karetce. W pewnej chwili zauważyła, że na ulicy obok jej domu stoi Brazil. Gdy go rozpoznała, nagle wszystko jej się przypomniało. Boże, jakby mało miała kłopotów.

- Próbowałam złapać cię wcześniej telefonicznie. Pozwól, że wszystko wyjaśnię.

Andy podszedł bliżej.

- Słucham? - zapytał zaskoczony.

- Proszę, wejdź. - Skinęła dłonią.

Wszedł na werandę i usiadł na bujanym fotelu. Judy zgasiła światło, ukucnęła na schodach i zastanawiała się, co powiedzieć temu młodemu człowiekowi, który z pewnością uważa ją za najbardziej nieuczciwą i pozbawioną honoru osobę, jaką w życiu spotkał. Zdawała sobie również sprawę, że tej nocy może się zakończyć jej kontrowersyjny projekt dotyczący polityki społecznej w tym mieście.

- Andy - zaczęła - musisz mi uwierzyć, że nic nikomu nie powiedziałam. Przysięgam, że dotrzymałam przyrzeczenia.

- Co takiego? - Zaczęło go ogarniać złe przeczucie. - Jakiego przyrzeczenia?

Judy domyśliła się, że on jeszcze nic nie wie.

- Mój Boże - wyszeptała. - Nie słuchałeś wieczornych wiadomości?

- Nie, proszę pani. Jakich wiadomości? - Był coraz bardziej zniecierpliwiony, mówił podniesionym głosem.

Opowiedziała mu o sensacyjnej wiadomości, jaką Webb podał w telewizji.

- To niemożliwe! - zawołał Brazil. - To są moje szczegóły! Skąd on mógł wiedzieć o zakrwawionych monetach i chusteczce, i tym wszystkim. Przecież nie było go tam!

- Andy, proszę, mów ciszej.

W sąsiednim domu zapaliły się światła i zaczęły szczekać psy. Judy

wstała.

- To nieuczciwe. Ja grałem fair. - Brazil poczuł się oszukany. - Współpracuję z wami, pomagam, jak mogę. I za to zostaję ukarany! - Wstał, fotel bujał się wolno, pusty.

- Nie możesz przestać postępować uczciwie tylko dlatego, że inni nie są wobec ciebie w porządku. - Komendantka mówiła spokojnie i z przekonaniem, otwierając jednocześnie drzwi do domu. - Zrobiliśmy wspólnie dużo dobrego, Andy. Mam nadzieję, że nie zaprzepaścisz tego.

Jej twarz była miła, choć malował się na niej smutek, gdy patrzyła na niego. Brazil poczuł ukłucie w sercu i ból żołądka jednocześnie. Gdy jej słuchał, było mu zimno i pocił się; usiłował sobie wyobrazić, jak musi czuć się dziecko, wychowywane przez taką matkę.

- Dobrze się czujesz? - zapytała Judy, której wydawało się, że młody dziennikarz wygląda jakoś dziwnie.

- Nie bardzo wiem, co się dzieje. - Przetarł twarz dłońmi. - Chyba jestem chory albo coś w tym rodzaju. To nie moja sprawa, ale czy pani mąż zachorował?

- Jest ranny - odpowiedziała, zmęczona i przygnębiona tym, co się stało w jej domu.

Kiedy zażądała, aby Seth oddał broń, mąż się rozszłościł. Miał już dość tego, że ta kobieta ciągle wydawała mu rozkazy, a teraz pewnie będzie chciała go zrewidować i przeszukać sypialnię. Nie było wyjścia. Na nieszczęście weszła do pokoju, zanim zdążył schować rewolwer w miejscu, gdzie nie mogłaby go znaleźć. Co gorsza, Seth zasnął po pijanemu i zdrętwiała mu prawa ręka. Kiedy wsunął ją pod kołdrę, aby wyjąć spod siebie rewolwer, nie miał czucia w palcach. To pech, że tym razem, chociaż wcale tego nie chciał, nabój był w lufie.

- Zranił się w lewy pośladek - wyjaśniła Brazilowi, który wszedł za nią do środka, ponieważ nie mogła zostawić drzwi wejściowych otwartych na całą noc.

Patrzył na dywany orientalne w żywych barwach, leżące na lakierowanym parkiecie, na znakomite obrazy olejne i eleganckie meble, pokryte ciepłymi w tonacji tkaninami, na skórzane fotele. Stał w holu wspaniale odrestaurowanego domu Judy Hammer. Byli tu sami, tylko we dwoje. Andy poczuł, że znowu się poci, i modlił się, aby ona tego nie zauważyła.

- Zrobią mu oczywiście prześwietlenie - mówiła dalej - aby się upewnić, że kula nie utkwiła w jakimś niebezpiecznym miejscu.

Amunicja typu +P miała swoją ciemną stronę, pomyślała Judy. Ołowiany pocisk był tak skonstruowany, że po wejściu w tkankę rozpadał się na tysiące kawałków i rozpruwał ją jak rotorooter. Kule bardzo rzadko wychodziły na zewnątrz i trudno będzie stwierdzić, ile ołowiu zostało w ciele Setha. Brazil słuchał tego wszystkiego i zastanawiał się, czy Judy Hammer wezwie policję.

- Pani komendant - odezwał się, gdy wreszcie był w stanie przemówić - chyba nie powinna pani wzywać policji.

Kochanie. - Nigdy tak do niego nie mówiła. - Masz absolutną słusność. Musieliby sporządzić raport. - Zaczęła chodzić nerwowo po holu. - Nie, nie. Jeszcze tego mi trzeba. Zaraz usłyszę o wszystkim w telewizji, w radiu. Przeczytam w twojej gazecie. To straszne. Wiesz, ile osób się ucieszy, gdy się o tym dowie?

Wyobraziła sobie Cahoon, siedzącego w swojej koronie i śmiejącego się z nagłówka w gazecie.

POSTRZELIŁ SIĘ MĄŻ KOMENDANTKI POLICJI. PODEJRZEWA SIĘ ROSYJSKĄ RULETKĘ.

Nikt się nie da oszukać, nawet na chwilę. Pograżony w depresji, pozostający bez pracy, gruby mąż komendantki policji, leżący w łóżku, z rewolwerem swojej żony, w którym był tylko jeden nabój? Każdy gliniarz pracujący dla Judy uzna, że Seth usiłował popełnić samobójstwo. Wszyscy wiedzieli, że miała bardzo poważne problemy w małżeństwie. Niektórzy

mogli nawet podejrzewać, że sama postrzeliła męża, bo wiedziała, jak się do tego zabrać. Może wcale nie celowała w jego lewy pośladek. Może Seth po prostu odsunął się w ostatniej chwili. Judy poszła do kuchni i wzięła do ręki telefon.

Nie zamierzała po prostu wykręcić numeru dziewięćset jedenaście, aby jej zgłoszenie dotarło do wszystkich policjantów, sanitariuszy, dziennikarzy i innych osób z tego rejonu, które miały skanery. Połączyła się z oficerem dyżurnym. Służbę pełnił akurat Horgess. Był bardzo lojalny w stosunku do swojej szefowej, ale niezbyt bystry.

- Horgess - powiedziała. - Przyślij policjanta do mojego domu, aby spisał raport. Zdarzył się wypadek.

- Boże! - zdenerwował się Horgess. Jeśli coś by się stało z jego szefową, przeszedłby pod zwierzchnictwo Jeannie Goode. - Nic pani nie jest?

Komendantka się zachnęła.

- Mój mąż został odwieziony do szpitala Carolinas Medical. Prawdopodobnie postrzelił się z rewolweru. Wyjdzie z tego.

Horgess natychmiast włączył przenośne radio. Wezwał do dziesięć-pięć jednostkę pięćset trzydzieści osiem z sektora David Jeden. W radiowozie była młoda policjantka, zbyt przerażona, aby zrobić cokolwiek innego niż to, co jej polecono. Horgess podjąłby właściwą decyzję, gdyby dobrze pomyślał, dlaczego komendant Hammer zadzwoniła bezpośrednio do niego, do oficera dyżurnego.

- Jesteś tam potrzebna natychmiast, aby spisać raport z wypadku z bronią - polecił podekscytowanym głosem.

- Dziesięć-cztery - odezwała się jednostka pięćset trzydzieści osiem. - Są ranni?

- Dziesięć-cztery. Ofiara jest w drodze do Carolinas Medical.

Wszyscy policjanci na służbie i niektórzy już po, generalnie każdy, kto miał skaner, słyszał każde słowo tego meldunku. Najprawdopodobniej komendantka została przypadkowo postrzelona, co oznaczało, że Jeannie

Goode natychmiast zacznie pełnić jej obowiązki. Nic bardziej nie mogło przerazić policjantów w Charlotte. Judy miała w kuchni policyjne radio, które także było włączone.

- Horgess, ty idioto! - zawołała zdumiona.

Przestała chodzić po kuchni. Uderzyło ją, że Andy Brazil wciąż stał w drzwiach. Nie do końca docierało do niej, dlaczego tu był. Nagle zwątpiła w rozsądek tego przystojnego, ubranego w policyjny mundur młodego dziennikarza, który był z nią w domu i towarzyszył jej tuż po wypadku. Judy wiedziała jednak, że wszyscy policjanci na nocnej służbie jadą w stronę jej domu, płoną z niecierpliwości, aby się dowiedzieć, co stało się ich szefowej.

Jeannie Goode nigdy nie włączała radia, gdy była w domu lub gdy jechała samochodem, ale podwładni poinformowali ją, co się stało, i wkładała już mundur, przygotowując się do przejęcia departamentu policji w Charlotte. Radiowóz numer pięćset trzydzieści osiem mknął przez Fourth Ward, a jadąca w nim policjantka była śmiertelnie przerażona. Bała się nawet, że będzie zmuszona się zatrzymać, aby zwymiotować. Skręciła w Pine Street i ze zdumieniem zobaczyła przed domem komendant Hammer pięć innych radiowozów z pulsującymi światłami alarmowymi. W tylnym lusterku widziała, jak nadjeżdżają kolejne wozy, było ich wiele, a wszystkie gnały, pędząc przez noc na ratunek swojej szefowej. Radiowóz numer pięćset trzydzieści osiem zaparkował. Policjantka drżącymi rękami chwyciła metalową podkładkę pod formularze, zastanawiając się, czy nie powinna natychmiast stąd odjechać. Zdecydowała jednak inaczej.

Judy Hammer wyszła na werandę, aby porozmawiać z policją.

- Wszystko jest pod kontrolą - powiedziała.

- A więc nie jest pani ranna - stwierdził sierżant, którego nazwiska nie pamiętała.

- Mój mąż został ranny. Na szczęście to nic groźnego - wyjaśniła.

- Zatem wszystko w porządku.

- Ale się najedliśmy strachu.
- Co za szczęście, komendantko.
- Do zobaczenia rano.

Odprawiła ich gestem ręki.

To właśnie chcieli usłyszeć. Każdy z policjantów po cichu włączył mikrofon i przekazał w eter informację, że wszystko dziesięć-cztery. Tylko policjantka z radiowozu pięćset trzydzieści osiem nie skończyła swojej roboty i weszła za komendant Hammer do jej eleganckiego, starego domu.

- Zanim zaczniesz - uprzedziła ją szefowa - ja ci powiem, jak to powinno być zrobione.

- Tak, proszę pani - Nie może być najmniejszych wątpliwości, że wszystko zostało wykonane tak, jak powinno, że uczyniono jakiś wyjątek, ponieważ tak się składa, że poszkodowany jest moim mężem.

- Tak, proszę pani.

- To sprawa rutynowa i raport musi być sporządzony wzorowo.

- Tak, proszę pani.

- Mój mąż powinien zostać oskarżony za spowodowanie zagrożenia życia i użycie broni na terenie miasta - mówiła dalej szefowa.

- Tak, proszę pani.

Policjantka drżącą ręką zaczęła wypełniać formularze raportu o przypadkowym postrzeleniu. To było niesamowite. Komendantka najwyraźniej nie lubiła swojego męża. Potraktowała go z najwyższą surowością, obciążyła najbardziej, jak tylko się dało, zamknęła go i wyrzuciła klucz. Potwierdziło to tylko teorię policjantki z radiowozu numer pięćset trzydzieści osiem, że kobiety takie jak pani Hammer osiągnęły, to co osiągnęły, wykazując absolutną bezwzględność. Zachowywały się jak faceci wsadzeni w fabryce w niewłaściwe formy. Judy wyrecytowała wszystkie niezbędne informacje, odpowiedziała na wszystkie banalne pytania, jakie zadała policjantka, i pozbyła się jej tak szybko, jak to było możliwe.

Brazil siedział cały czas przy stole w kuchni, zastanawiając się, czy ktoś

mógłby rozpoznać jego charakterystyczne BMW, zaparkowane nieopodal domu komendantki. Jeśli policjanci spiszą jego numer, co sobie pomyślą? Czego tu szukał? Ze zgrozą przypomniał sobie, że zaraz za rogiem znajdowało się osiedle apartamentów, w którym mieszkali Axel i jego przyjaciele. Policjanci bywają podejrzliwi i mogli pomyśleć, że specjalnie zaparkował ulicę dalej, aby wprowadzić wszystkich w błąd. Jeśli Axel dowie się o tym, dojdzie do wniosku, że Brazil go śledził, że coś od niego chciał.

- Andy, skończmy z tym na dzisiaj - powiedziała pani Hammer, wchodząc do kuchni. - Myślę, że jest już za późno, aby napisać coś na ten temat do porannej gazety.

- Ma pani rację. Termin dostarczania materiału do tego wydania minął już kilka godzin temu - odpowiedział, patrząc na zegarek.

Był zdziwiony, że zamierzała umieścić w gazecie wzmiankę o wypadku.

- Będę potrzebowała twojej pomocy i chciałabym wierzyć, że mogę na ciebie liczyć, nawet po tym, co podano w wiadomościach na trójce - powiedziała.

Nikommu innemu na świecie nie pragnął bardziej pomóc.

Judy spojrzała na zegar ścienny i przeraziła się: była prawie trzecia rano. Musiała pojechać do szpitala, czy to się Sethowi spodoba czy nie, a za trzy godziny powinna się szykować do pracy. Chociaż organizm nie akceptował już nieprzespanych nocy, wciąż jeszcze stać ją było na to. Zawsze było ją stać. Nadchodzący dzień zaplanowała najlepiej jak mogła w tych ekstremalnych i frustrujących okolicznościach. Wiedziała, że poranne wiadomości pełne będą informacji o dziwnym wypadku Seta i komentarzy, dlaczego do tego doszło. Nie była w stanie wpłynąć na stacje radiowe i telewizyjne, ale z pomocą Brazila mogła przynajmniej wyjaśnić wszystkie fakty w gazecie.

Andy w milczeniu siedział na siedzeniu pasażera eleganckiej crown victorii. Pani Hammer mówiła, a on, wciąż nie dowierzając w swoje szczęście, robił notatki. Opowiedziała mu o swojej młodości i o tym,

dlaczego zdecydowała się wstąpić do policji. Mówiła o Secie, o tym, jak ją wspierał, gdy wspinała się po szczeblach zawodowej kariery i zdobywała kolejne stopnie, o które z reguły walczyli sami mężczyźni. Judy czuła się zmęczona i bez sił, jej życie osobiste legło w gruzach, od dwóch lat nie była u psychoterapeuty. Brazil spotkał tę kobietę w wyjątkowym momencie jej życia i czuł się wzruszony, a także zaszczycony zaufaniem, jakim go obdarzyła.

- Moje życie to doskonały przykład na to, że świat nie pozwala ludziom władzy na problemy - tłumaczyła Judy, gdy jechali Queens Road West aleją starych dębów. - Ale prawda jest taka, że wszyscy je mają. Przechodzimy przez burzliwe, a nawet tragiczne fazy w stosunkach z bliskimi nam ludźmi, bo nie mamy czasu, aby się o nich dostatecznie troszczyć, a wówczas tracimy odwagę i mamy wrażenie, że przegraliśmy.

Brazil pomyślał, że to najwspanialsza kobieta, jaką kiedykolwiek w życiu spotkał.

- Jak długo jesteście małżeństwem? - zapytał.

- Dwadzieścia sześć lat.

Judy już w noc przed ślubem wiedziała, że robi błąd. Ona i Seth połączyli się z potrzeby, nie z miłości. Bała się, że nie podoła swoim planom, a Seth wydawał się wtedy silny i wierzyła, że będzie ją wspierał.

Seth, który leżał na brzuchu na oddziale intensywnej terapii i miał już za sobą prześwietlenie, wyciąganie kuli i wożenie z miejsca na miejsce, zastanawiał się, jak mogło do tego dojść. Kiedyś jego żona podziwiała go, ceniła sobie jego zdanie i śmiała się z jego dowcipów. W łóżku nigdy nie było im dobrze. Judy miała dużo więcej energii, sił witalnych i niezależnie od tego, jak bardzo chciał ją zadowolić, nigdy nie nadawali na tych samych falach, a Seth bywał często zmęczony, gdy ona wracała z łazienki, gotowa kochać się dalej.

- Ouu! - krzyknął.

- Proszę leżeć spokojnie - powtórzyła po raz setny pielęgniarka.
- Czemu mnie po prostu nie znokautujesz albo coś w tym rodzaju!
Zaciskał pięści, do oczu napłynęły mu łzy.
- Panie Hammer, miał pan wiele szczęścia.

Tym razem był to głos pani chirurg, która potrzęsała kliszą rentgenowską, co brzmiało jak zgrzyt piły. Była malutka, miała długie, rude włosy. Seth poczuł się upokorzony, bo jedyne, co mogła zobaczyć, to jego potężny tyłek, który nigdy nie widział słońca.

ROZDZIAŁ 17

Carolinas Medical Center było świetnie przygotowane do przyjmowania nagłych przypadków, zwożono tu więc pacjentów z całego regionu. Tego ranka helikoptery z wielką literą H na kadłubach stały jeszcze na czerwonym placu do lądowania, a szpitalne autobusy krążyły między parkingami a poszczególnymi pawilonami masywnego, betonowego kompleksu szpitalnego. Karetki pogotowia jeździły w niebieskobiałych barwach, takich samych jak kolory drużyny Hornets, która przysparzała wiele dumy mieszkańcom Charlotte.

Cały personel szpitala wiedział, że przywieziono kogoś bardzo ważnego. Żadnego czekania, krwawienia na krześle, żadnych pokrzykiwań, lekceważenia ani zbywania. Seth Hammer, jak błędnie zapisano, co zresztą zdarzało się bardzo często podczas jego małżeństwa, natychmiast został przewieziony na oddział intensywnej terapii. Potem przewożono go jeszcze do wielu innych gabinetów. Jeśli dobrze rozumiał żargon medyczny, którym posługiwała się pani chirurg, to kula groźnie poszarpała jego ciało, ale na szczęście nie przecięła żadnej ważnej arterii ani żyły. Ponieważ był jednak bardzo ważną osobą, nie oszczędzono mu żadnych badań. Personel medyczny wyjaśnił, że zrobią mu arteriografię, a potem ewentualnie wlew z baru.

Dochodziła czwarta, kiedy Judy zaparkowała auto na miejscu dla policji, w pobliżu izby przyjęć. Brazil zapisał dwadzieścia stron notatek i wiedział o niej więcej niż jakikolwiek inny dziennikarz. Komendantka wzięła swoją podręczną teczkę z tajnym schowkiem i wysiadając, głośno westchnęła. Brazil wahał się, czy zadać jej jeszcze jedno pytanie, ale musiał to zrobić.

Także dla jej dobra.

- Pani Hammer. - Znowu się zawahał. - Czy pozwoli pani, że wezwę fotografa, aby zrobił zdjęcie, gdy będzie pani opuszczać szpital?

- Wszystko mi jedno. - Machnęła ręką lekceważąco.

Im więcej się zastanawiała, tym wyraźniej zdawała sobie sprawę, jak niewiele w gruncie rzeczy interesowało ją, co napisze młody dziennikarz. Jej życie było skończone. W ciągu jednego krótkiego dnia straciła wszystko. Zamordowano senatora, piątą ofiarę z serii brutalnych zabójstw, popełnianych przez kogoś, kogo policja wciąż nie mogła schwytać. US-Bank, który miał w kieszeni całe miasto, nie pochwalał jej metod działania. A teraz jej mąż postrzelił się podczas zabawy w rosyjską ruletkę. Żartom nie będzie końca. A co może sugerować fakt, że celował w swój najbardziej żywotny organ? Judy mogła nawet stracić pracę. Co za piekło. Brazil skończył właśnie rozmowę przez telefon i starał się za nią nadążyć.

- Po potwierdzeniu tożsamości ostatniej ofiary zamieścimy kolejny tekst o Czarnej Wdowie - przypomniał jej nerwowo.

Nic jej to nie obchodziło.

- Zastanawiam się - Andy kuł żelazo, póki gorące - czy zgodzi się pani, abym zamieścił w nim pewne szczegóły, które mogłyby wprowadzić zabójcę w błąd.

- Co takiego? - Spojrzała na niego nieprzytomnym wzrokiem.

- Rozumie pani, chciałbym się z nim trochę pobawić w kotka i myszkę. Ja wiem, pani zastępczyni także nie uznała tego za dobry pomysł - wyznał.

Judy zrozumiała wreszcie, o czym mówił, i wyraźnie ją to zainteresowało.

- O ile nie ujawnisz istotnych szczegółów śledztwa.

Przed nimi pojawiła się dyżurna pielęgniarka.

Komendantka nie musiała nawet mówić, kim jest.

- Mąż jest teraz w drodze na salę operacyjną - poinformowała ją siostra. - Chce pani zaczekać?

- Tak - powiedziała Judy.

- Mamy tu specjalny pokój, używany przez naszego kapelana, ale jeśli potrzebowaliby pani trochę spokoju... - Pielęgniarka podziwiała panią Hammer.

- Poczekam tam, gdzie wszyscy - zdecydowała szefowa policji. - Ktoś inny może potrzebować tego pokoju.

Pielęgniarka miała nadzieję, że tak się nie stanie. Przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny nikt nie umarł i wolałaby, aby na jej zmianie już tak pozostało. Gdy następował zgon, pielęgniarkom zwykle przypadała najbardziej niewdzięczna rola. Lekarze nagle gdzieś znikali. Odchodzili do kolejnych dramatów, a pielęgniarki musiały odłączać aparaturę, przyczepiać zmarłemu kartonik na dużym palcu u nogi, wieźć ciało do kostnicy i stawać twarzą w twarz ze zrozpaczoną rodziną, niemogącą uwierzyć w śmierć bliskiej osoby i grożącą procesem. Judy znalazła dwa wolne krzesła w kącie poczekalni. Czekają tam około dwudziestu chorych, prawie każdej osobie towarzyszył ktoś, kto ją podtrzymywał na duchu. Niektórzy się niecierpliwi, inni jęczeli i krwawili, trzymali się za połamane kończyny w łupkach lub przykładali sobie kompresy na stłuczenia. Prawie wszyscy ocierali łyż, kuśtykali do toalety, pili wodę z jednorazowych kubków i z trudem powstrzymywali mdłości.

Judy patrzyła na to wszystko przerażona. To właśnie dlatego wybrała swój zawód, a może to on wybrał ją. Świat się rozpadał, a ona chciała pomóc. Już dłuższą chwilę obserwowała młodego chłopca, który przypominał jej syna, Randy'ego. Był sam, siedział pięć krzeseł od nich. Trawiła go wysoka gorączka, pocił się i drżał cały, miał trudności z oddychaniem. Komendantka patrzyła na jego kolczyki, wychudzoną twarz i wycieńczone ciało. Domyśliła się, co mu jest. Chłopak zamknął oczy i gorączkowo oblizywał spieczone wargi. Miała wrażenie, że pozostali chorzy zajęli miejsca możliwie daleko od niego, zwłaszcza ci, którzy krwawili. Gdy Judy wstała, Brazil nie spuszczał z niej oczu.

Pielęgniarka dyżurna uśmiechnęła się, gdy szefowa policji podeszła do jej

stolika.

- W czym mogę pomóc? - zapytała.

- Kim jest ten młody człowiek, który tam siedzi?

- Ma infekcję górnych dróg oddechowych - fachowo wyjaśniła siostra. - Nie mogę podać jego danych.

- Tego mogę się sama dowiedzieć od niego - odrzekła Judy Hammer. - Potrzebuję dużej szklanki wody z lodem i koca. Kiedy ktoś z lekarzy będzie mógł się nim zająć? Wygląda bardzo źle, jakby za chwilę miał stracić przytomność, a jeśli tak się naprawdę stanie, nie tylko ja o tym się dowiem.

Chwilę potem wróciła do poczekalni z wodą i miękkim kocem. Usiadła obok chłopaka i otuliła go. Otworzył oczy, gdy przyłożyła mu do ust szklankę. Woda była cudownie zimna i wilgotna, smakowała fantastycznie. Ciepło przyjemnie rozchodziło się po całym ciele i dreszcze minęły. Jego rozgorączkowane oczy spoczęły na przybyłym aniele. Harrel Woods umarł, ale ożył, pijąc wodę życia.

- Jak się nazywasz? - usłyszał z oddali głos anioła.

Woods chciał się uśmiechnąć, lecz przy pierwszej próbie usta zaczęły mu krwawić.

- Masz przy sobie prawo jazdy? - chciał wiedzieć anioł.

Najwyraźniej w obecnych czasach nawet w niebie wymagają dowodu tożsamości ze zdjęciem. Z trudem odsunął suwak kieszeni w kurtce i wręczył aniołowi prawo jazdy. Judy zapisała jego dane, na wypadek gdyby potrzebował schronienia po wyjściu ze szpitala, lecz to było raczej mało prawdopodobne. Zaraz potem podeszły do nich dwie pielęgniarki i zaprowadziły Harrela Woodsa do poczekalni dla pacjentów chorych na AIDS. Judy wróciła na swoje krzesło, zastanawiając się, czy można tu gdzieś dostać kawę. Powiedziała Brazilowi, że gdy była młoda, marzyła, aby pomagać ludziom.

- Niestety, polityka to największy problem naszych czasów - stwierdziła. - Jak często naprawdę komuś pomagamy?

- Właśnie pani to zrobiła - zauważył.

Pokiwała głową.

- Ale to nie jest polityka, Andy, tylko człowieczeństwo. I wszyscy powinniśmy się kierować ideałami człowieczeństwa w tym, co robimy, bo inaczej stracimy nadzieję. Tu wcale nie chodzi o politykę, władzę czy łapanie przestępców. Polityka zawsze będzie i musi być w naszym życiu, ale musimy sobie nawzajem pomagać. Jesteśmy jednym organizmem.

Seth wciąż znajdował się na sali operacyjnej. Wykonany arteriogram był pozytywny i nie groził mu już wlew baru, ponieważ jednak był bardzo ważną osobą, nie chciano niczego zaniedbać. Ubrano go i przygotowano, a następnie ponownie ułożono na brzuchu. Pielęgniarki delikatnie zrobiły mu serię bolesnych zastrzyków i zagłębiły w jego ciele cewniki Foleya. Przyniosły pojemnik z azotem i podłączyły do niego rurkę. Przygotowały Seta do zabiegu, który nazywał się irygacją simpulse, czyli po prostu potężną lewatywą z soli przeczyszczającej i antybiotyków. Wlały w niego trzysta centymetrów sześciennych, oczyszczających wnętrzności.

- Dajcie mi narkozę - błagał Seth. To było zbyt ryzykowne.

- Cokolwiek! - jęczał.

Postanowiono pójść na kompromis i podano mu środek uspokajający, który nie łagodził bólu, ale pomagał o nim zapomnieć. Chociaż kula tkwiła w takim miejscu, że było ją widać na prześwietleniu, chirurg wiedziała, że nie dostaliby się do niej przez grube warstwy tłuszczu bez pocięcia Seta na plasterki, jakby mieli z niego zrobić sałatkę szefa kuchni. Lekarka nazywała się White, miała trzydzieści lat, była absolwentką uniwersytetów Harvarda oraz Johns Hopkinsa i przeszła praktykę w Cleveland Clinic. Doktor White nie byłaby tak bardzo przekonana, że lepiej zostawić kulę tam, gdzie się znajdowała, gdyby to był typowy pocisk z zaokrągloną końcówką.

Ale tego typu pociski otwierały się w ciele jak kwiat. Tak zdeformowana kula, tkwiąca w ciele Seta, poczyniła dużo większe spustoszenie niż typowy

nabój i skutki mogły się ujawnić dużo później. Bez wątpienia pacjent był narażony na poważne ryzyko infekcji. Doktor White wykonała nacięcie, aby płyny z rany miały ujście, a następnie założono opatrunek. Wzeszło już słońce, gdy doktor White spotkała się z komendantką w sali pooperacyjnej. Seth, otumaniony środkami uspokajającymi, leżał na boku, podłączony rurkami do skomplikowanej aparatury. Oddzielono go od reszty sali zasłoną, która zapewniała mu, jako bardzo ważnej osobie, odrobinę prywatności, co było niepisany zwyczajem tego szpitala.

- Wyjdzie z tego - powiedziała doktor White do pani Hammer.

- Dzięki Bogu - westchnęła ta z ulgą.

- Chcę zatrzymać go w szpitalu jeszcze jedną dobę i kontynuować podawanie antybiotyków. Jeśli pojawi się wysoka gorączka, zostanie tu dłużej. A to może się zdarzyć.

Judy znowu poczuła, że ogarnia ją lęk.

Doktor White nie mogła uwierzyć, że stoi przed komendantką policji, z nadzieją w oczach chłonącą każde jej słowo. Doktor White przeczytała wszystkie artykuły, poświęcone tej niezwykłej kobiecie. Pani Hammer była kimś, kim doktor White chciałaby zostać, gdy będzie starsza i bardziej wpływowa. Pełna współczucia, silna, przystojna, rozdawała ciosy, nie zdejmując z szyi pereł. Nikt nie śmiał wywierać na nią nacisku. Doktor White nie wyobrażała sobie, aby Judy Hammer babrała się w takim gównie jak ona, uwikłana w gierki ze starszymi kolegami chirurgami. Większość z nich kończyła uniwersytety Duke, Davidson lub Princeton i na wszystkie uroczystości wkładali swoje uczelniane krawaty. Żadnemu z nich nie przeszkadzało, gdy któryś brał wolny dzień, aby popływać na jeziorze Norman lub pograć w golfa. Kiedy jednak doktor White chciała się zwolnić na kilka godzin, aby pójść do ginekologa, odwiedzić chorą matkę lub nawet musiała wziąć zwolnienie z powodu grypy, traktowano to jako kolejny argument, że kobiety nie powinny studiować medycyny.

- Oczywiście, nie oczekujemy żadnych poważnych komplikacji -

zapewniła teraz szefową policji. - Jednak musimy pamiętać, że nastąpiło rozległe uszkodzenie tkanki. - Przerwała, szukając odpowiednich słów. - Normalnie, kula tego kalibru i takiej mocy powinna wyjść z ciała, zakładając, że strzał padł z bliskiej odległości. Jednak w tym wypadku masa ciała była zbyt duża i kula nie zdołała się przebić.

Słuchając tego, komendantka mimo woli pomyślała o testach broni, które przeprowadza się, strzelając do masywnych bloków trzęsącej się, balistycznej galarety, produkowanej przez firmę Knox. Brazil cały czas robił notatki. Nikomu to nie przeszkadzało. Jego obecność była tak dyskretna i pełna szacunku, że w ten sposób mógłby całymi latami towarzyszyć Judy i nie stwarzałyby jej najmniejszych problemów. Było całkiem prawdopodobne, że nawet by tego nie zauważyła. A jeśli koniec jej kariery okazałyby się tylko złym snem, mogłaby go zatrudnić u siebie jako asystenta.

Judy spędziła z mężem tylko chwilę. Był pod działaniem morfiny i nie miał jej nic do powiedzenia. Zdobyła się na kilka słów pocieszenia, ale w głębi duszy czuła się okropnie i była na niego tak wściekła, że sama miała ochotę go zastrzelić. Oboje z Brazilem wyszli ze szpitala, gdy poranna zmiana personelu medycznego śpieszyła do pracy. Andy odsunął się, aby fotograf z „Observera” mógł zrobić zdjęcie pani Hammer, która wychodziła z izby przyjęć z opuszczoną głową i przepełniona bólem. Szła chodnikiem, podczas gdy na pobliskim dachu lądował właśnie szpitalny helikopter. Pod izbę przyjęć podjechał ambulans, a sanitariusze w pośpiechu wyjmowali nosze z kolejnym pacjentem.

Właśnie to zdjęcie Judy Hammer, kiedy ze wzrokiem wbitym w ziemię i tragicznym wyrazem twarzy mijała ambulans, z helikopterem w tle, było najbardziej przejmujące. Następnego ranka oglądano je na wszystkich stojakach z gazetami i we wszystkich kioskach w całym regionie Charlotte-Mecklenburg. Artykuł Brazila był najlepszym psychologicznym studium odwagi, jakie Packer kiedykolwiek czytał. Cały dział miejski był zdumiony. Jak, do diabła, udało mu się zdobyć te informacje? Komendant Hammer była

znana z tego, że nigdy nie ujawniała żadnych faktów ze swojego życia ani z życia rodziny, a tu nagle właśnie wtedy gdy najbardziej powinno jej zależeć na dyskrecji, opowiedziała wszystko temu początkującemu dziennikarzowi?

Ale na burmistrzu, szefie miejskiej administracji, radzie miasta i Cahoonie ów tekst nie zrobił takiego wrażenia. W wywiadach radiowych i telewizyjnych otwarcie krytykowali szefową policji, za bardzo bowiem eksponowała sprawę seryjnych morderstw i niepotrzebnie zwracała uwagę mediów na inne problemy społeczne w Queen City. Obawiali się, że może to zniechęcić kilka poważnych firm i ogólnokrajową sieć restauracji do inwestowania w mieście. Biznesmeni już odwoływali spotkania. Rozeszły się plotki, że fabryka części komputerowych i park rozrywki Disneyland, które jeszcze niedawno planowano otworzyć w tym regionie, mają powstać w Wirginii.

Burmistrz Charlotte, szef administracji i kilku radnych miejskich publicznie oświadczyli, że w sprawie przypadkowego postrzelenia zostanie przeprowadzone dokładne postępowanie wyjaśniające. Cahoon w krótkim oświadczeniu zapewnił też, że wszystko odbędzie się regulaminowo. Urzędnicy poczuli krew i oszaleli. Panesa, który bardzo rzadko angażował się po jakiejś stronie, tym razem zakasał rękawy i napisał porywający artykuł wstępny na stronie opinii, która ukazywała się w niedzielnym wydaniu gazety.

Tekst nosił tytuł „Gniazdo szerszeni”. Wydawca opisał w nim dokładnie najgroźniejsze choroby tego miasta, widziane oczyma niezmordowanej, wrażliwej kobiety, ukochanej przez mieszkańców komendantki policji, która zmagając się z własnymi demonami, „nigdy nas nie zawiodła ani nie obciążała swoim bólem”. Panesa pisał dalej: „Teraz nadszedł czas, aby udzielić wsparcia komendant Hammer, okazać jej szacunek i współczucie, a także udowodnić, że my także możemy zająć stanowisko i podjąć słuszną decyzję”. Odwołał się też do artykułu Brazila, który opisał, jak Judy w szpitalnej izbie przyjęć podała szklankę wody i koc umierającemu na AIDS

chłopakowi. „Obywatele Charlotte, to nie jest tylko polityka, przede wszystkim jest to postawa chrześcijańska, wołał Panesa. Niech burmistrz Search, członkowie rady miasta lub Solomon Cahoon pierwsi rzucają kamieniem”.

To trwało kilka dni, napięcie rosło, wrogie nastroje, unoszące się z korony Cahoona, wpływały przez okno do gabinetu burmistrza. Telefony wciąż były zajęte, bo ojcowie miasta knuli intrygi, jak wyrzucić Judy Hammer z zajmowanego przez nią stanowiska.

- Powinni o tym zdecydować obywatele - poinformował burmistrz szefa miejskiej administracji. - Obywatele muszą tego chcieć.

- Oczywiście - zgodził się dyrektor banku w rozmowie telefonicznej, którą prowadził ze swojego gabinetu, patrząc przez aluminiowe rury na całe swoje królestwo. - To zależy wyłącznie od mieszkańców miasta.

Sol z całą pewnością nie chciałby dopuścić do sytuacji, kiedy zlekceważeni ludzie postanowiliby zmienić bank. Gdyby doszło do tego na większą skalę i obywatele przenieśliby swoje oszczędności do First Union, CCB, BB&T, First Citizen Bank lub Wachovia, odbiłoby się to na Cahoonie, który poniósłby olbrzymie straty. To byłoby jak epidemia, której skutki dotknęłyby potężnych, zdrowych inwestorów, niczym wirus komputerowy, wirus Ebola, salmonella lub gorączka krwotoczna.

- Do cholery, problemem jest Panesa - stwierdził burmistrz.

Cahoon poczuł, że ogarnia go świeża fala oburzenia. Wciąż nie mógł się uspokoić po niedzielnym artykule wstępnym od wydawcy, który użył metafory o rzuconiu kamieniem. Panesa także musi odejść. Cahoon gorączkowo przebiegał myślami nazwiska swoich stronników w sieci wydawniczej Knight-Ridder. To musiały być osoby z wysoką pozycją, na poziomie prezesa lub przewodniczącego rady koncernu. Cahoon znał ich wszystkich, ale media to cholerna stonoga. Gdyby chciał ją szturchnąć, natychmiast się zwinie i zacznie się bronić.

- Jediną osobą, która może wpłynąć na Panesę, jesteś ty sam - powiedział

Cahoonowi burmistrz. - Ja jestem już zmęczony. On mnie w ogóle nie słucha. To tak, jakbym mówił do samej Hammer. Zapomnij o tym.

Oboje, Panesa i Judy Hammer, byli nieprzewidywalni. Mieli poparcie i należało z tym skończyć. Brazil także stwarzał problemy. Cahoon nie pierwszy raz był w takiej sytuacji i dobrze wiedział, gdzie uderzyć.

- Pogadaj z chłopakiem - poradził burmistrzowi. - Pewnie i tak będzie próbował usłyszeć twoje zdanie, prawda?

- Oni wszyscy chcą.

- Niech więc się z tobą spotka, Chuck. Przeciągnij go na naszą stronę, tam gdzie jego miejsce - Cahoon powiedział to z uśmiechem, patrząc na zamglone, letnie niebo.

Brazil skupił całą uwagę na morderstwach Czarnej Wdowy, które, był tego pewien, szybko nie ustaną. Stały się jego obsesją, bo uważał, że w jakiś sposób uda mu się ujawnić ten jeden szczegół, istotny szczegół lub wątek, który pomoże policji trafić na trop psychopaty. Rozmawiał przez telefon z psychologiem Birdem z FBI i napisał bardzo dokładną i prawdopodobną, aczkolwiek zmanipulowaną analizę zbrodni i charakterystykę mordercy. Ostatniej nocy Andy poszedł jeszcze raz na torowisko przy West Trade Street, aby przeszukać zrujnowany ceglany budynek. Światło jego latarki pełzało po żółtej taśmie policyjnej, powiewającej na wietrze. Stał bez ruchu, przyglądając się temu przeklętemu, przerażającemu miejscu i usiłując wczuć się w jego nastrój. Próbował sobie wyobrazić, jak senator mógł się znaleźć na takim odludziu.

Możliwe, że chciał się z kimś spotkać na tyłach tego opuszczonego domu wśród zarośli, gdzie nikt go nie zobaczy. Brazil zastanawiał się, czy sekcja zwłok wykryła ślady narkotyków. Czy senator miał jakąś mroczną tajemnicę, która kosztowała go życie? Andy pojechał dalej South College Street, przyglądając się prostytutkom, wciąż nie będąc pewnym, które z nich to faceci, a które przebrane policjantki. Jedna z dziwek, którą widział już kilka

razy wcześniej, najwyraźniej rozpoznała jego BMW, bo podeszła bliżej i wyzywająco się nań gapiła.

Rano czuł się wyjątkowo zmęczony. Z trudem przebiegł szósty kilometr i nie miał ochoty grać w tenisa.

Ostatnio rzadko widywał się z matką, a ona karała go za to, nie odzywając się ani słowem w owych wyjątkowych momentach, gdy była trzeźwa i przytomna. Zostawiała mu listę spraw, które miał dla niej załatwić, i zachowywała się bardziej nieporadnie niż zwykle. Kaszłała, wzdychała, robiła wszystko, co tylko mogła, aby poczuł się winny. Andy coraz częściej myślał o tym, co powiedziała mu Virginia West o toksycznych relacjach między ludźmi. Jej słowa wciąż brzmiały mu w uszach. Słyszał je na każdym kroku, podczas porannego biegu i w nocy, gdy usiłował zasnąć.

Od kilku dni nie widział się ani nie rozmawiał ze swą mentorką. Zastanawiał się, co u niej słyhać, czemu nie zatelefonowała, aby zaproponować wspólne pójście na strzelnicę, jazdę w patrolu lub chociaż powiedzieć „cześć, co słyhać?”. Brazil miał zły humor, czuł się źle, drażył go jakiś wewnętrzny niepokój, ale nie miał już sił, aby pomyśleć, co się z nim dzieje. Nie rozumiał też, dlaczego Judy Hammer nie skontaktowała się z nim, aby podziękować za artykuł. Może coś ją rozgniewało? Może źle zinterpretował jakiś fakt z jej życia. Naprawdę, włożył w ten tekst całe serce i porządnie się przy nim napracował. Panesa też go chyba ignorował. Brazil wiedział, że gdyby był tak ważny i potężny, jak tamci ludzie, z pewnością byłby bardziej wrażliwy. Staraliby się pomyśleć o uczuciach maluczkich i robiliby im drobne przyjemności, telefonując, wysyłając listy, a może nawet kwiaty.

Jedynie kwiaty, jakie miała w tym momencie porucznik West, były rozwłócone przez Nilesa po całym stole w salonie. Przedtem, gdy pani brała prysznic, wyrzucił swoją kuwetę w łazience i Virginia omal nie stanęła bosymi stopami na rozsypany piasek i to, co było w nim zagrzebane. Nie

poprawiło jej to nastroju. Była wściekła z powodu burzy, jaka się rozpełtała wokół jej ukochanej szefowej, i bała się, że to wszystko może się źle skończyć. Dzień, w którym Goode zajęłaby miejsce Judy Hammer, byłby dniem powrotu Virginii na farmę. Dowiedziała się także, że Brazil był w domu komendantki, gdzie nawet jej zastępczyni nigdy nie została zaproszona.

Jakie to wszystko typowe, pomyślała, wymyślając Nilesowi, myjąc ponownie nogi i sprząając posadzkę w łazience. Brazil wykorzystał ją, aby zdobyć zaufanie Judy. Zachowywał się jak przyjaciel, a w momencie gdy miał szansę wkraść się w łaski kogoś potężniejszego, przestał się z nią kontaktować. Czyż nie tak sprawy mają się zawsze? Skurczybyk nie zadzwonił do niej, aby zaproponować wspólne pójście na strzelnicę, jazdę w patrolu lub po prostu sprawdzić, czy ona jeszcze żyje. Gdy Niles rzucił się pod kanapę, Virginia zobaczyła, co zostało z jej lilii ogrodowych.

Lilie Zmartwychwstania, które Judy Hammer wniosła o dziesiątej rano do separatki Seta, były purpurowe i nazywały się adekwatnie do okoliczności. Wstawiła je do wazonu na stole i przysunęła sobie krzesło. Łóżko było podniesione, co pozwalało jej spoczywającemu na boku mężowi jeść, czytać, przyjmować wizyty i oglądać telewizję. Seth miał otepiałe spojrzenie z powodu infekcji wywołanej paciorkowcem z nieznannej kolonii. Gotowe do walki płyny i antybiotyki nieustannie spływały wąskimi rurkami do obu jego rąk. Judy zaczynała się niepokoić - jej mąż spędził już w szpitalu trzy noce.

- Jak się czujesz, kochanie? - zapytała, gładząc go po ramieniu.

- Gównianie - odrzekł i ponownie zaczął patrzeć w telewizor, gdzie wyświetlano serial o Leezie.

Oglądał telewizję i czytał ostatnie wiadomości. Wiedział więc, że zrobił sobie coś strasznego. A przede wszystkim wiedział, co zrobił żonie i rodzinie. Prawdę powiedziawszy, nigdy niczego podobnego nie planował. Wolałby raczej umrzeć, niż skrzywdzić kogokolwiek. Kochał swoją żonę i

nie umiałyby bez niej żyć. A co będzie, jeśli zrujnuje jej karierę w tym mieście? Mogłaby się przenieść gdziekolwiek i byłoby jej nawet łatwiej go zostawić, jak ostrzegała wcześniej.

- A jak twoje sprawy? - wymamrotał, gdy Leeza zaczęła się kłócić z hydraulikiem.

- Nie martw się o mnie - uspokoiła go żona, ponownie dotykając jego ramienia. - Teraz najważniejsze jest tylko to, aby twój stan się poprawił. Myśl pozytywnie, kochanie. Umysł wpływa na wszystko. Żadnego pesymizmu.

To tak jakby prosiła ciemną stronę Księżyca, aby zaczęła choć trochę świecić. Seth patrzył na nią ze zdziwieniem. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz powiedziała do niego: „kochanie”. Może nigdy.

- Nie wiem, co powiedzieć - przyznał się cicho.

Doskonale rozumiała, o co mu chodzi. Zatrwały go wyrzuty sumienia, poczucie winy i wstyd. Zrobił coś, co mogło zrujnować jej życie i życie ich dzieci i całkiem dobrze mu to wyszło. Powinien się czuć jak kupa gówna.

- Nie musisz nic mówić - zapewniła go łagodnie. - Co się stało, to się nie odstanie. Teraz musimy działać dalej. Jeśli zostaniesz tu dłużej, będziemy starali się ci pomóc. Tylko to jest ważne.

Seth zamknął oczy, a pod powiekami pojawiły się łzy. Zobaczył młodego mężczyznę w białych, szerokich spodniach, krawacie i modnym kapeluszu, uśmiechniętego i radosnego, zbiegającego w słoneczny poranek po granitowych stopniach budynku, który był siedzibą władz stolicy stanu Arkansas. Był kiedyś czarującym i pewnym siebie człowiekiem. Wiedział, jak się zabawić z przyjaciółmi, jak zorganizować przyjęcie, potrafił opowiadać zabawne historyjki. Psychiatrzy przepisywali mu prozac, zoloft, nortriptylene i lit. Seth stosował też różne diety, kiedyś nawet przestał pić. Próbował hipnozy i poszedł na trzy spotkania z anonimowymi obzartuchami. A później zaniechał wszystkiego.

- Nie ma nadziei - wyszeptał do żony. - Nie pozostało mi nic innego, tylko

umrzeć.

- Nie wolno ci tak mówić - odparła załamującym się głosem. - Słyszysz mnie, Seth? Nie wolno ci tak mówić!

- Czemu nie wystarcza ci moja miłość? - zapłakał.

- Jaka miłość? - Judy wstała, wściekłość zaczynała górować nad jej opanowaniem. - Według ciebie miłość to czekanie, aż uczynię cię szczęśliwym, podczas gdy ty sam nie robisz dla siebie niczego. Nie jestem twoim stróżem, nie jestem twoim dozorcą, nie jestem twoim kucharzem. Nie jestem twoją opiekunką, kropka. - Chodziła rozgniewana tam i z powrotem po maleńkim pokoju. - Miałam nadzieję, że będę dla ciebie partnerką, Seth, twoją przyjaciółką, twoją kochanką. Ale wiesz, co? Jeśli nasze życie byłoby grą w tenisa, ja grałabym w pojedynkę w cholernego debła po obydwu stronach siatki, podczas gdy ty siedziałbyś w cieniu ze wszystkimi piłkami i liczyłbyś wyniki po swojemu!

Brazil spędził lepszą część poranka, zastanawiając się, czy powinien zadzwonić do Virginii i zapytać, czy nie chciałaby zagrać w tenisa. To było wystarczająco niewinne pytanie, prawda? Za żadne skarby nie chciał dać jej satysfakcji, nie chciał, aby pomyślała, że jest mu smutno, bo nie słyszał jej już trzy i pół dnia. Zaparkował przy West Trade niedaleko Presto i wszedł do baru na kawę. Umierał z głodu, ale wolał zjeść coś zdrowszego gdzie indziej. Później miał zamiar wpaść do Just Fresh, „jesz dobrze, czujesz się dobrze”, baru szybkiej obsługi w pasażu First Union. W ostatnich dniach żywił się głównie tam, jeśli nie liczyć kanapek z grillowaną pierśią kurczaka bez sera i majonezu. Wyraźnie tracił na wadze. Zaczął się nawet martwić, że stanie się anorektykiem.

Usiadł przy barze, mieszając kawę, i czekał, aż Spike przestanie rozbijać jedną ręką jajka nad miską. Brazil miał ochotę porozmawiać. Zegar, który wisiał na ścianie, tuż nad głową Spike'a, wskazywał dziesiątą czterdzieści pięć. Andy miał wiele do zrobienia i musiał to zrobić do czwartej po południu, kiedy zaczynał pracę dla gazety. Dopóki Packerowi podobały się

jego teksty, mógł regularnie zbierać informacje o włamaniach, napadach, gwałtach, samobójstwach, bijatykach w sportowych barach, przestępstwach urzędników bankowych, narkotykach, problemach domowych, pogryzieniach przez psy. Większość raportów policyjnych kradł Webb na długo przedtem, zanim ujrzał je ktoś inny. Prawdę powiedziawszy, powstała sytuacja, w której reszta mediów określała koszyk prasowy departamentu policji w Charlotte jako „Sito Webba”.

Virginia, pamiętając wcześniejsze skargi Brazila na ten temat, zadzwoniła do kanału trzeciego i złożyła zażalenie do głównego menedżera. To oczywiście niczego nie załatwiło. Jeannie Goode także zlekceważyła problem, o którym opowiedziała jej Virginia, w błogiej nieświadomości tego, że szefowa patroli sama regularnie loguje się na Sicie Webba. W tych dniach Jeannie i Brent spotykali się w jej samochodzie w różnych punktach miasta. Nie chodziło wcale o to, że nie mogli pójść do jej apartamentu, w którym mieszkała sama. Ryzyko, że ktoś zobaczy ich w trakcie stosunku, podniecało oboje. Dość często parkowali pod domem Webba, gdzie żona przygotowywała mu obiad, prała brudne rzeczy i sortowała skarpetki.

ROZDZIAŁ 18

Grupa specjalna zorganizowana przez porucznik West do obserwowania handlarzy narkotyków działających w okolicy baru Presto Grill także miała za zadanie grzebać się w brudach, i o ile dopisze szczęście, zapobiegać przestępstwom w mieście. Tajny detektyw Mungo jadł kurczaka z grilla, podczas gdy Brazil, którego gliniarz nie znał, sączył obok czarną kawę. Mungo nie bez powodu miał takie przezwisko. Wyglądał jak góra odziana w dżinsy i koszulkę, nosił portfel przymocowany łańcuchem do paska, a długie, gęste włosy ściągał gumką na karku i dodatkowo przewiązywał je na czole bandanką. W uchu miał kolczyk. Mungo palił papierosa, jednym okiem obserwując blondyna, który rozmawiał ze stojącym przy grillu Spikiem.

- Nie, proszę pana. - Spike przewrócił hamburgera na drugą stronę i zaczął siekać cebulę. - Rozumie pan, to nikt z okolicy, wie pan, co chcę powiedzieć?

Mówił z wyraźnym portugalskim akcentem.

- Nie ma znaczenia, skąd oni są - powiedział Brazil. - Ale to się zaczęło, kiedy się tu pojawili. Posłuchaj, przyczyna tego gówna w mieście znajduje się dokładnie tu, gdzie my. - Zaczął używać dosadnego języka, uderzając wskazującym palcem o bar. - To kwestia lokalna. Jestem tego pewien. A ty co myślisz?

Spike nie zamierzał wypowiadać się na ten temat szerzej i Mungo niczego więcej się nie dowiedział. Ten blondyn kogoś mu przypominał. Mungo musiał go już gdzieś widzieć i dlatego wydał mu się jeszcze bardziej podejrzany. Ale wszystko w swoim czasie. Detektyw postanowił posiedzieć dłużej w barze, zobaczyć, co się wydarzy, a poza tym nie skończył jeszcze śniadania.

- Jeszcze kilka tostów - powiedział do Spike'a, gdy Brazil wyszedł. - Kto to był? - Mungo wskazał głową w kierunku drzwi.

Spike wzruszył ramionami, bo już dawno nauczył się nie odpowiadać na takie pytania, a poza tym Mungo był gliną, wszyscy o tym wiedzieli. Kiedy Spike zaczął napełniać pojemnik na wykałaczki, Brazil jechał już w kolejne miejsce. Obok Presto stał Traveler's Hotel, gdzie już za pięćdziesiąt dolarów można było dostać pokój na tydzień, jeśli tylko ktoś potrafił gadać z Binkiem Lydle'em z recepcji. Brazil zapytał go o to samo co Spike'a i otrzymał taką samą odpowiedź jak w barze.

Lydle nie był zbyt przychylnie nastawiony do obcych. Siedział za porysowanym blatem recepcji, na którym stał dzwonek i telefon z jedną linią, ręce skrzyżował na wątej piersi. Powiedział temu białemu, że nic nie wie o biznesmenach, których załatwiono w tej okolicy, i nie wydaje mu się, aby to głównie było lokalne. Osobiście Lydle nigdy nie spotkał nikogo, kto wydałby mu się podejrzanym, a już na pewno nie w tym hotelu, który stanowił relikwiarz dawnych czasów, a jego historia sięgała epoki Old Southern Train Station.

Brazil przeszedł jeszcze kilka przecznic do Fifth Street i wszedł do Jazzbone's Pool Hall. Chciał tu z kimś pogadać, nawet gdyby to miało być ryzykowne. O tak wczesnej porze w barze było pustawo, siedziało tam tylko kilku facetów, którzy przy stolikach popijali Colty 45, palili i opowiadali sobie ulubione historie o rozróbach i kobietach. Stoły bilardowe z wyświechtanym filcem i równo poukładanymi na nich w trójkąty kulami czekały na wieczór, kiedy w tym miejscu zaczynało robić się tłoczno i niebezpiecznie aż do następnego rana. Jeśli ktoś mógł wiedzieć, co dzieje się w okolicy, to z pewnością był to Jazzbone.

- Szukam Jazzbone'a - powiedział Brazil do pijących facetów.

Jeden z nich wskazał ręką na bar, gdzie właściciel rozpakowywał zgrzewkę piwa Schiltz, obserwując spod oka palanta o złotych włosach, ubranego jak z college'u.

- Taak! - zawołał. - O co chodzi?

Brazil ruszył w jego stronę po dywanie upstrzonym dziurami od papierosów i śmierdzącym whisky. Drogę przebiegł mu olbrzymi karaluch, a na stołach, między którymi przechodził, wałały się rozsypana sól i popiół z papierosów. Im bliżej podchodził do Jazzbone'a, tym więcej widział szczegółów. Gość miał na każdym palcu złoty pierścionek, a na przednich zębach złote koronki. Na prawym biodrze nosił półautomatyczny pistolet. Jazzbone układał równo butelki piwa w lodówce.

- Z zimnych napoi mamy w tej chwili tylko Pabst Blue Ribbon - powiedział.

Ostatnia noc była bardzo męcząca i właściciel baru nie był w najlepszej formie. Mimo to czuł, że ten chłopak chce czegoś więcej niż piwa, nie był jednak tajniakiem jak Mungo. Jazzbone na odległość wyczuwał gliniarzy i facetów z FBI. Nie pamiętał już, kiedy ostatnio udało im się go zmylić. Dawał się zaskoczyć tylko innym cwaniakom z okolicy, ludziom przychodzącym na jego teren, którzy wyglądali tak samo jak on, mieli spluwy i wszystko inne.

- Pracuję w „The Charlotte Observer” - oświadczył Brazil, który wiedział, kiedy należy się podawać za policjanta-wolontariusza, a kiedy nie. - Chciałbym pana prosić o pomoc.

- Ach tak? - Jazzbone przestał ustawiać piwa, bo zawsze wierzył, że potrafi opowiedzieć dobrą historię. - O jaką pomoc chodzi? Taką dla gazety?

- Tak, proszę pana.

Powiedział to grzecznie, okazując szacunek rozmówcy. Jazzbone bacznie go obserwował, żując w zębach wykałaczkę i unosząc w górę jedną brew.

- No więc, o co chodzi? - Przeszedł na drugą stronę baru i przysunął sobie stołek.

- Słyszał pan zapewne o zabójstwach, które miały miejsce w tej okolicy - zaczął Brazil.

Tamten był wyraźnie zaskoczony.

- Hmm - mruknął. - Możesz powiedzieć coś więcej?

- Ofiarami są przyjezdni. Czarna Wdowa. - Brazil zniżył głos niemal do szeptu.

- Ach, te. - Jazzbone nie przejmował się, kto go słyszy. - To z pewnością robota jednej i tej samej osoby.

- I ta osoba może spierdolić pana biznes. - Brazil użył dosadniejszego języka, jakby też nosił broń. - Jakiś drań psuje interesy wszystkim.

- A więc o to chodzi, bracie. Prowadzę czysty interes. Nie chcę żadnych kłopotów ani też nikomu ich nie przysparzam. - Zapalił salema. - To inni tak działają. Dlatego noszę to. - Poklepał swój pistolet.

Brazil popatrzył na jego broń z zazdrością.

- Cholera, człowieku - westchnął. - Do diabła, co za sztuka.

To prawda, Jazzbone był dumny ze swojej broni. Odebrał ją pewnemu handlarzowi narkotyków, grającemu z nim w bilard. Ten palant z Nowego Jorku nie wiedział, że Jazzbone nie bez powodu jest właścicielem baru bilardowego. Jeśli Jazzbone zapalał się do czegoś, czy to była kobieta, samochód czy bilard, chciał to mieć, i był piekielnie dobrym graczem. Wyciągnął pistolet z kabury, aby Brazil mógł go lepiej zobaczyć.

- Colt Double Eagle czterdziestkapiątka z blisko trzynastocentymetrową lufą - wyjaśnił.

Brazil widział taki model w katalogu broni. Nierdzewna stal z matową powierzchnią, regulowane celowniki, szeroki, stalowy język spustowy i profesjonalna iglica. Takie cudo kosztowało około siedmiuset dolarów. Jazzbone widział, że chłopak był pod wrażeniem i miał ogromną ochotę dotknąć broni. Nie znał jednak na tyle faceta, aby mu na to pozwolić.

- A więc pan uważa, że tych białych facetów spoza miasta załatwiła ta sama osoba? - powtórzył Brazil.

- Nie mówiłem, że byli biali - poprawił go Jazzbone. - Ten ostatni, senator frajer, był czarny. Ale tak, to robi jeden skurwysyn.

- Podejrzewa pan kogoś? - Brazil ze wszystkich sił starał się ukryć podniecenie w głosie.

Jazzbone dobrze wiedział, kto to, i nie chciał więcej kłopotów w swojej okolicy, nie mniej niż ci bogaci faceci w wynajętych samochodach. Poza tym był zwolennikiem wolnej inicjatywy i zarabiał nie tylko na bilardzie i trunkach. Robił interesy z kilkoma dziewczynami z ulicy. Zarabiały dla niego kilka dodatkowych dolców i dotrzymywały mu towarzystwa. Czarna Wdowa bardzo psuł im robotę. Jazzbone odczuł to już na własnej kieszeni. Przypuszczał, że faceci, którzy przyjeżdżali ostatnio do miasta, znali wiadomość z CCN oraz pierwszych stron gazet. Woleli więc wypożyczyć sobie kasety z filmami i zostać w hotelach. Jazzbone nie miał do nich o to pretensji.

- Jest tu jeden taki, Dyniogłowy, który ma kilka dziewczyn - powiedział dziennikarzowi, który robił notatki. - Obserwowałem go.

- Co to za jeden, ten Dyniogłowy?

Właściciel baru bilardowego uśmiechnął się do naiwniaka złotym uśmiechem.

- Po prostu, Dyniogłowy. - Wskazał na swoją głowę. - Włosy pomarańczowe jak dynia, splecione w warkoczyki tuż przy skórze. Taki jeden skurwysyn.

- Zna pan jego nazwisko? - zapytał Brazil.

- Nie było mi potrzebne - odrzekł Jazzbone.

Virginia West, kierująca miejską dochodzeniówką, nic nie słyszała o żadnym Dyniogłowym w kontekście zabójstw Czarnej Wdowy. Kiedy Brazil zadzwonił do niej z budki telefonicznej, nie chcąc przekazywać poufnych informacji przez telefon komórkowy, wyczuła w jego głosie wielkie podniecenie i napięcie. Na wszelki wypadek zapisała wszystko, co jej powiedział, ale nie traktowała tych rewelacji poważnie. Specjalna grupa operacyjna Phantom Force, złożona z pracowników operacyjnych pracujących po cywilnemu, od tygodni działała w mieście. Brazil spędził piętnaście minut w barze Jazzbone'a i znalazł rozwiązanie zagadki? Nie

wierzyła w to. Nie czuła też ani odrobiny sympatii do dwulicowego, sprzedajnego dziennikarza.

- Jak się czuje komendantka? - zapytał.

- Może ty mi to powiesz? - odwzajemniła się pytaniem.

- Słucham?

- Wiesz co, nie mam czasu na pogawędki - dodała opryskliwie.

Brazil rozmawiał z telefonu przed gmachem sądu federalnego i czekający w kolejce ludzie patrzyli na niego z wściekłością. Nic go to jednak nie obchodziło.

- Co ja takiego zrobiłem? - wyrzucił z siebie. - Kiedy ostatni raz się do mnie odezwałaś? Nie dzwonisz, nie prosisz mnie o nic, nie interesuje cię nawet, co u mnie słychać?

To nie było w stylu Virginii. Nigdy nie telefonowała do Rainesa. Nigdy nie dzwoniła do żadnych facetów i nigdy nie będzie tego robić. Brazil był do pewnego stopnia wyjątkiem. Więc o co, do cholery, mu chodziło i dlaczego tak się wściekał?

- Odniosłam wrażenie, że kontaktujesz się ze mną tylko wtedy, gdy masz jakąś sprawę - odpowiedziała. - Przestało mi się to podobać. Poza tym Niles doprowadza mnie do szału. Nie wiem, dlaczego nie dzwoniłam, rozumiesz? Ale tyle już dla ciebie zrobiłam, że nie powinienesz robić mi wymówek.

- Chcesz zagrać w tenisa? - zapytał szybko.

Wciąż jeszcze miała drewnianą rakietę Billie Jean King, choć już dawno przestali je produkować. Miała też całe pudełko starych piłek firmy Tretorn, które nie wiotczeją, tylko pękają jak skorupki jajek. Jej ostatnia para butów do tenisa, śnieżnobiałe Converse, także stała się już zabytkiem. Zresztą, nie wiedziała nawet, gdzie są, i nie miała sportowego stroju. Już dawno przestała się pasjonować sportem w telewizji, poza tym na obecnym poziomie własnej ewolucji wolała baseball. Z tych właśnie złożonych powodów udzieliła Brazilowi takiej, a nie innej odpowiedzi.

- Zapomnij o tym.

Odłożyła słuchawkę i poszła prosto do gabinetu komendantki. Tego dnia Horgess nie był tak otwarty i przyjacielski, jak zwykle. Współczuła mu. Chociaż szefowa wielokrotnie powtarzała, aby przestał się zadreć, nie mógł przeboleć tego, że zamiast telefonu użył wtedy radia. To właśnie on, tak lubiący schlebiać swojej przełożonej oficer dyżurny, spowodował, że cały świat dowiedział się o kompromitującej strzelaninie w jej domu. Wszyscy już o tym mówili i spekulowali o przyczynach zajścia. Virginia za wszelką cenę chciała uchronić Judy przed dowcipami na jej temat, jakich można się było spodziewać przy tej okazji. Horgess był blady i roztrzęsiony. Ledwo skinął przybyłej głową.

- Jest u siebie? - zapytała.

- Tak myślę - powiedział przygnębiony.

Virginia zapukała i od razu weszła do środka. Szefowa rozmawiała przez telefon, stukając długopisem o bloczek różowych kartek. Wyglądała na zadziwiająco opanowaną i pewną siebie, ubrana w ciemnobrązowy spodniom i bluzkę w białozółte paski, Virginia zdziwiła się i ucieszyła zarazem, widząc, że komendantka znowu nosi spodnie i czólenka. Przysunęła sobie krzesło i czekała, aż Judy Hammer skończy rozmowę.

- Nie chciałam ci przeszkadzać - przeprosiła szefową.

- W porządku, w porządku - odpowiedziała komendantka, odkładając słuchawkę.

Po chwili skupiła całą swoją uwagę na Virginii, składając dłonie na blacie uporządkowanego biurka, które należało do osoby, mającej na głowie zbyt wiele ważnych spraw. Mimo to Judy nigdy nie ugięła się pod ich ciężarem. Nigdy tak nie było i nie będzie. To nie leżało w jej naturze. Im była starsza, tym bardziej wątpliwe wydawały się jej problemy, które kiedyś uważała za ważne. W ostatnich dniach jej perspektywa wyraźnie się przesunęła, Judy mogłaby to porównać do lodowca tworzącego nowe kontynenty i jednocześnie niszczącego stare światy.

- Właściwie nie miałyśmy okazji pogadać - zaczęła delikatnie Virginia. -

Jak sobie z tym radzisz?

Szefowa posłała jej słaby uśmiech, w którym pojawił się smutek, zanim zdążyła nad sobą zapanować.

- Najlepiej jak potrafię, Virginio. Dziękuję, że pytasz.

- Te wstępniaki, historyjki obrazkowe, to wszystko, co wypisują w gazetach, jest naprawdę okropne - mówiła dalej Virginia. - Za to artykuł Brazila to naprawdę świetny tekst. - W tym momencie zawahała się, bo temat Andy'ego Brazila wciąż ją drażnił, chociaż do końca nie wiedziała dlaczego.

Za to Judy rozumiała ją doskonale.

- Posłuchaj, Virginio - powiedziała, znowu się uśmiechając, ale tym razem nieco rozbawiona. - On jest bardzo wrażliwy, muszę to przyznać. Ale jeśli chodzi o mnie, nie musisz się niczego obawiać.

- Słucham? - Porucznik West zmarszczyła brwi.

Brazil spacerował w słońcu po takiej części miasta, gdzie nie powinien się pokazywać bez broni. Znajdował się w okolicy skrzyżowania zwanego Five Points. W tym miejscu główna arteria Interstate 77 rozgałęziała się na State, Trade, Fifth Streets, Beatties Ford i Rozzelles Ferry Roads, którymi to ulicami przyjezdni mogli się dostać do centrum miasta. Wśród nich było tysiące biznesmenów, jadących z międzynarodowego lotniska Charlotte-Douglas do Queen City. Na przybyłych czekali już różni cwaniacy, wśród nich seryjny morderca, Dyniogłowy.

Dyniogłowy uważany był przez tych nielicznych, którzy zauważali obecność alfonsa, za nią-niego. Miał kilka dziewczyn, a te zawsze spotykały się z klientami w jego furgonetce, granatowym fordzie rocznik 84, z oknami tylko w przedniej części wozu. Cokolwiek działo się z tyłu, pozostawało prywatną sprawą Dyniogłowego, który również tam spał. Tego słonecznego ranka furgonetka parkowała na swoim zwykłym miejscu przy Fifth Street, na Ulubionym Parkingu, którego właściciel wiedział, że ma jej właściciela zostawić w spokoju, za co mógł czasami korzystać z usług świadczonych

przez firmę Dyniogłowego.

Ten czytał gazetę i jadł trzecią kanapkę z jajecznicą, bekonem, masłem i ostrym sosem, które przyniósł mu właściciel parkingu. Już jakiś czas temu zwrócił uwagę na spacerującego w pobliżu białego chłopaka z notesem w rękę. W okolicy nazywano tego gościa Blondie i Dyniogłowy doskonale wiedział, co ten frajer chciał wyniuchać. Bardzo mu się to nie podobało. Obserwował go, rozmyślając, a kiedy skończył śniadanie, otworzył puszkę Michelob Dry i wrócił do artykułu na pierwszej stronie „Observera”.

Dziennikarz o nazwisku Brazil napisał coś zbyt osobistego o Dyniogłowym, a to nie było przyjemne. Przede wszystkim nie podobało mu się, że ludzie kojarzą go z jakimś pajakiem, a pomarańczowy symbol, który morderca malował na ciele ofiar, odczytywali jako klepsydrę. Dyniogłowy malował to, ponieważ lubił pomarańczowy kolor. Zamierzał załatwić i obrabować ośmiu biznesmenów i zakończyć swoją działalność. Siedzenie dłużej w tej samej okolicy mogłoby być ryzykowne, a cyfra osiem była jedynie przypomnieniem, że już wkrótce nadejdzie dzień, kiedy on i Cykuta wsiądą do furgonetki i wyjadą daleko stąd.

W tym samym artykule dziennikarz o nazwisku Brazil podał charakterystykę Dyniogłowego, przygotowaną przez psychologa z FBI. Zdaniem agenta specjalnego Birda Czarna Wdowa miał trudności w kontaktach z ludźmi, nigdy nie był żonaty ani nigdy dłużej nie pracował, był seksualnie niedopasowany, podobnie jak i w innych dziedzinach, oraz cierpiał z powodu kryzysu tożsamości seksualnej. Dyniogłowy, którego oczywiście nazywano mordercą, czytał i oglądał przez całe życie dużo twardej pornografii, pochodził z rodziny patologicznej i nigdy nie ukończył szkoły średniej, o ile w ogóle tam trafił. Miał samochód, zapewne stary, amerykański, i przez większą część swojego dorosłego życia mieszkał z ojcem, którego nienawidził. Zabójca był niechlujny, możliwe, że gruby, i używał wulgarnego języka.

Dalej agent specjalny Bird przewidywał, że morderca już wkrótce straci

kontrolę nad tym, co robił, i wtedy może popełnić błąd, przeliczyć się z własnymi siłami i pogubić. Z psychopatami zawsze tak było. Czytający ze wstrętem odrzucił gazetę. Najwyraźniej ktoś tu niuchał, bo do prasy przedostały się szczegóły z jego życia. Nadal obserwował Blondiego, który zatrzymał się przy barze Cadillac Grill, skąd pochodziły kanapki Dyniogłowego. Po chwili wahania blondyn zdecydował się wejść do środka.

Klienci Cadillaca nie byli zadowoleni, widząc go tutaj. Wiedzieli, że Blondie jest dziennikarzem, i nie chcieli mieć z nim nic wspólnego, a tym bardziej odpowiadać na pytania. Co on sobie wyobrażał? Że byli szaleni? Że mieliby ryzykować i sypnąć Dyniogłowego, wiedząc, iż to kończy się zwykle kulą w głowie? Ten alfons był obrzydliwą kreaturą, znieawidzoną przez wszystkich w okolicy Five Points, i oczywiście chcieli, żeby się stąd wyniósł lub żeby ktoś go załatwił. Ale jednocześnie, tak jak to się zdarzało w reżimach faszystowskich, nikt nie miał wystarczającej odwagi ani czasu, aby się zbuntować przeciwko Dyniogłowemu. Żołnierzom, którzy do późna w nocy popijali Night Train, palili trawę i grali w bilard, zabrakło energii i jasnych myśli.

Głównym kucharzem w Cadillacu był Remus Wheelon, potężny Irlandczyk z tatuażami. On także słyszał już o Blondiem i nie chciał widzieć tego kapusia na swoim terenie. Remus właśnie skończył przyrządzać dla Dyniogłowego trzy wykwintne kanapki „Wschód słońca”, a to gównno, które morduje z zimną krwią, siedziało prawdopodobnie w swojej furgonetce, obserwowało okolicę i czekało, kiedy Remus poda Blondiemu filiżankę kawy. Remus także czekał za kontuarem. Zajął się czyszczeniem grilla. Zrobił więcej kawy i zaczął czytać „Observera”.

Brazil zajął miejsce przy barze i zaczął przeglądać oprawione w laminat, wypisane ręcznie zatłuszczone menu z dość przystępnymi cenami. Czuł, że ludzie w barze przyglądają mu się z wyraźną wrogością. Uśmiechnął się do nich miło, jakby znajdował się w Naleśnikowym Domu Ciotki Sarah, co

zbiło ich nieco z pantałyku. Andy nie zamierzał rezygnować ze swojej misji. Nagle zadzwonił jego pager. Wszyscy wokół to usłyszeli i Brazil złapał aparat tak gwałtownie, jakby urządzenie zamierzało go pokąsać. Rozpoznał numer telefonu i bardzo się zdziwił. Rozejrzał się dookoła i uznał, że w towarzystwie, w jakim się znajdował, nie należało wyciągać telefonu komórkowego i dzwonić do biura burmistrza.

Właśnie zamierzał wyjść, ale zmienił zdanie, gdy drzwi się otworzyły i zadzwieczał przymocowany do nich dzwoneczek. Do baru weszła młoda prostytutka i Andy poczuł nagle, że krew zaczyna szybciej krążyć mu w żyłach. Nie potrafiłby powiedzieć, co go zafascynowało w tej dziewczynie. Po prostu nie mógł oderwać od niej oczu, czując jednocześnie wielką litość i równie dojmujący lęk. Miała na sobie wysoko wycięte dżinsowe szorty, sandały na gumowych podeszwach i kusy podkoszulek bez rękawów z wizerunkiem Grateful Dead. Gdy szła, jej piersi kołysały się rytmicznie. Zajęła miejsce na wprost Brazila i bezczelnie utkwiała w nim wzrok, odrzucając do tyłu pasmo tłustych blond włosów.

Remus przyniósł jej kawę, zanim jeszcze wzięła do ręki menu. Dziewczyna z trudem czytała ręcznie wypisaną kartę dań, a słowa jej się plątały, niczym żyłka wędkę na brzegu jeziora Algae, jak bogaci mieszkańcy Davidson nazywali staw przy zbiegu ulic Griffith i Main, dokąd ojciec zabrał ją kilka razy na ryby. Była wtedy jeszcze dzieckiem, a matka pracowała jako pomoc domowa w Best Western. Ojciec był kierowcą ciężarówki w firmie Southeastern i dużo czasu spędzał w trasach. Gdy wracał z długiej podróży, matki często nie było w domu.

Cravon Jones wyobrażał sobie, że wszystkie trzy córki należały do niego, a to, jak miał ochotę wyrażać im swoje uczucie, było tylko i wyłącznie jego sprawą i jego prawem. Bez wątpienia największą słabość czuł do Addie, która odziedziczyła imię po jego teściowej, szczerze przezeń znienawidzonej. Od urodzenia Addie była śliczna i miała złociste blond włosy. Urocza

dziewczynka, która uwielbiała tulić się do tatusia, w przeciwieństwie do jej matki. Pani Jones miała już dość powrotów do domu, w którym czekał na nią pijany, odpychający i cuchnący facet, próbujący się do niej dobierać, a kiedy mu się sprzeciwiała, raz nawet złamał jej nos i szczękę. Tylko córki, co zrozumiały, lgnęły do niego bez lęku.

Kiedy Addie skończyła jedenaście lat, ojciec pewnego dnia wślizgnął się do jej łóżka. Śmierdział kwaśnym potem i alkoholem, gdy przyciskał do niej swój twardy członek, a następnie wniknął w nią, aż na prześcieradle pojawiła się krew, a w oczach dziewczynki łzy. Siostry Addie były wówczas w tym samym pokoju i wszystko słyszały. Żadna z nich nie wspomniała jednak o tym, co się zdarzyło, ani nie potwierdziła, że zdarzyło się naprawdę, a pani Jones mogła udawać, że o niczym nie wie. Ale wiedziała cholernie dobrze i Addie czytała to w oczach matki, która coraz więcej piła i coraz mniej się nią interesowała. To trwało do czasu, aż Addie skończyła czternaście lat i pewnej nocy uciekła z domu, gdy pani Jones była w pracy, a tatuś gdzieś w trasie. Addie dotarła aż do Winston-Salem, a tu spotkała swojego pierwszego faceta, który się nią zaopiekował.

Od tamtej pory było ich wielu. Dawali jej kokainę i heroinę, papierosy, smażone kurczaki, wszystko, co tylko chciała. Miała dwadzieścia trzy lata, gdy kilka miesięcy temu wysiadła z autobusu Greyhound w Charlotte. Co prawda, Addie niewiele z tego pamiętała. Ostatnią rzeczą, jaka utkwiała jej w pamięci jeszcze z Atlanty, to wspomnienie, jak szczytowała z jakimś bogatym klientem, który jechał leksusem i zgodził się zapłacić ekstra dwadzieścia dolarów, aby móc się wy szczać na jej twarz. Potrafiła dużo znieść pod warunkiem, że była przymulona, a jedyną drogą prowadzącą do tego błogiego stanu spokoju były narkotyki. Sea, jej ostatni facet, zbił ją pewnej nocy wieszakiem na ubranie, ponieważ dostała drgawek i nie mogła zarabiać pieniędzy. Wtedy po raz kolejny w swoim życiu uciekła. Wybrała Charlotte, ponieważ wiedziała, gdzie znajduje się to miasto i akurat starczyło jej na bilet, który kupiła za pieniądze ukradzione z torebki pewnej starszej

pani.

Addie Jones, którą tak rzadko nazywano jej prawdziwym imieniem, że prawie o nim zapomniała, miała ze sobą kradzioną torbę brezentową z napisem „Atlanta Braves”. W środku było trochę rzeczy, więc ręce bolały ją od dźwigania, gdy szła wzdłuż West Trade, zbliżając się do Presto Grill, naprzeciwko parkingu, gdzie w swojej furgonetce siedział Dyniogłowy i polował. Większość jego najlepszych zdobywczy wysiadała z autobusów. Sami życiowi nieudacznicy, ślepym trafem wyrzuceni na brzeg, a ich historie były do siebie bardzo podobne. Dyniogłowy wiedział o tym doskonale, bo sam jakiś czas temu wysiadł z takiego autobusu.

Piętnaście minut później Addie była już w jego granatowej furgonetce, a Dyniogłowy miał pewność, że tym razem znalazł kogoś naprawdę interesującego. Potrzebował takiej dziewczyny nie tylko dla siebie. Był pewien, że okoliczni klienci nieźle zapłacą za jej sprężyste ciało, płonące oczy i namiętne usta. Ochrzcił swoją nową zdobycz ksywką Cykuta i oboje rozpoczęli przejmowanie kontroli nad okolicą. Inni alfonsi początkowo zareagowali na to dość gwałtownie. Potem rozpoczęły się morderstwa i wszędzie zaroilo się od glin. Pojawiły się opowieści o dziwnej amunicji, pomarańczowych malowankach i jeszcze coś o pająku. Wszyscy się przerazili.

- Co będzie? - zapytał Remus Cykutę, która paliła papierosa, gapiąc się na ulicę.

- Może być bekon - powiedziała z akcentem, który nie brzmiał ani jak biały, ani nawet jak amerykański.

W trakcie wieloletniej praktyki Remus zauważył pewną prawidłowość. Dziwki zwykle przejmowały akcent i gestykulację swoich alfonsów. Czarne prostytutki mówiły jak białe, a białe jak czarne, biali żigolacy chodzili jak koszykarze z NBA, a czarni stąpali dumnie jak John Wayne. Remus zdążył się już do tego przyzwyczaić. Przygotowywał potrawy i popalał dzointy, żył i dawał żyć innym. Nie chciał żadnych problemów, a Cykuta niepokoiła go jak

sopel lodu sterczący zbyt blisko oka. Uśmiechała się szyderczo, jakby drwiła z niego. Remus domyślał się, że morderstwo z zimną krwią to dla niej świetna zabawa, nawet gdyby on miał być ofiarą.

Brazil siedział jakiś czas przy barze, obserwując klientelę spelunki. Bębnił palcami po plastikowym menu, a blat jego stolika wciąż pozostawał pusty, bo nikt nie kwapił się, aby go obsłużyć. Obserwował młodą prostytutkę, która właśnie kończyła śniadanie. Rzuciła na stół trochę drobnych i wyszła. Andy odprowadził ją wzrokiem do drzwi. Strasznie go korciło, aby zamienić z nią kilka słów, ale miał pietra. Kiedy dzwonek u drzwi zamilkł, także wstał od stolika. Zapomniał, że nic nie zamówił, i zostawił na stoliku napiwek. Wyszedł z baru, wyjął notes, rozejrzał się w lewo i w prawo, przeszedł jedną przecznicę, bacznie przyglądając się parkingowi przy Fifth Street, ale dziewczyny nigdzie nie było. Rozczarowany, postanowił pokręcić się jeszcze trochę po okolicy.

Obok niego wolno przejechała czarna furgonetka z przyciemnionymi szybami, lecz nie zwrócił na nią najmniejszej uwagi, zbyt zajęty rozmyślaniami, jak otworzyć sejf, do którego z całą pewnością znał kombinację liczb, lecz jeszcze nie mógł się tam dostać.

Mungo przyglądał się Blondiemu przez przednią szybę i czuł, że problem robi się coraz poważniejszy.

Obserwował powolny, wręcz ospały krok młodzieńca, który co chwila się zatrzymywał, obserwował przechodzących ludzi i robił jakieś notatki. Zainteresowanie tajniaka podskoczyło gwałtownie, gdy Blondie zbliżył się do Sheny, jednej z najstarszych kurew w okolicy.

Siedziała na frontowych schodach zrujnowanego, drewnianego domu i popijała colę, usiłując zapomnieć o minionej nocy i przygotować się do kolejnej. Blondie podszedł do niej, jakby znali się od lat. Coś jej powiedział. Wzruszyła ramionami, machnęła ręką, a potem zaczęła się od niego opędzać

jak od komara, przysiadającego na jej nodze. No, no, pomyślał Mungo. Ten chłoptaş-wabik, który przeniósł się już do kolejnego ulicznego stanowiska, to najwyraźniej ktoś, kim powinien się bliżej zainteresować. Prawdopodobnie szukał klientów na narkotyki, oferował im towar, być może proponował także wyrafinowane usługi seksualne i czerpał z tego zyski.

Mungo miał pewność, że jeśli pogrzebałby głębiej, mogłoby się okazać, że Blondie jest ogniwem całego łańcucha handlu narkotykami, być może sterowanego z Nowego Jorku. A kto wie, czy to nie miało związku z morderstwami Czarnej Wdowy. Mungo wyciągnął kamerę wideo i nakręcił kilka ujęć z tą najładniejszą i najlepiej ostrzyżoną męską prostytutką, jaką udało mu się do tej pory spotkać, oczywiście nie licząc tych na filmach. Potem szybko ruszył w stronę departamentu policji.

Virginia całą noc nie zmrużyła oka. Robiła, co mogła, aby Niles przestał się kręcić i mruzczyć. Zrzucała go z łóżka tyle razy, że aż zdrętwiały jej ramiona. Próbowwała z nim rozmawiać jak z kimś dorosłym i przekonać go, że jest potwornie zmęczona i musi się zdrzemnąć. Potem krzyczała na niego, groziła, aż wreszcie wyrzuciła kota z sypialni i zamknęła za nim drzwi. Rano wbiegła do kuchni, porządnie już spóźniona do pracy, a Niles wyglądał na wypoczętego i radośnie posapywał, siedząc na swoim ulubionym parapecie. Dzień nie zaczął się zbyt dobrze. Kiedy Mungo wkroczył do pokoju konferencyjnego w trakcie odprawy z oddziałem Phantom Force, Virginia spojrzała na niego z naganą w oczach.

- Mamy spotkanie - poinformowała detektywa.

- A ja mam coś, co chcielibyście zobaczyć. - Z dumą trzymał przed sobą taśmę wideo. - To z pewnością naganiacz, a może i ktoś więcej, może to nawet nasz morderca lub przynajmniej ktoś z nim powiązany. - Wywiadowca ciężko sapał i wyglądał tak, jakby przejechał wiele kilometrów na rowerze.

Komendantka ciągle rozmawiała przez telefon i Virginia włączyła radio, aby się z nią skontaktować. Poprosiła szefową, aby do niej oddzwoniła.

- Nie chciałabym rozbudzać twoich nadziei - powiedziała chwilę później.
- Ale to brzmi bardzo obiecująco.
- Opisz mi go - poprosiła Judy.
- Biały mężczyzna, wzrost około stu siedemdziesięciu pięciu centymetrów, waga sześćdziesiąt pięć kilogramów, blondyn, obcisłe, czarne dżinsy, obcisła, czarna koszulka typu polo, buty firmy Nike. Włóczy się w okolicy Trade i Fifth, przygląda się samochodom, rozmawia z prostytutkami. Prawdopodobnie poszedł do Presto, aby pogadać o narkotykach i lokalnych źródłach. Poza tym - mówiła dalej Virginia - pamiętasz Cykutę, znaną też jako Addie Jones?
- Oczywiście - potwierdziła jej szefowa, chociaż nie miała pojęcia, o kogo chodzi.
- Byli razem w Cadillac Grill, spędzili tam sporo czasu. Potem ona wyszła pierwsza, a on zaraz po niej. W tym miejscu się rozstali i każde wróciło do swojej roboty.
- Gdzie jest taśma wideo? - zapytała komendantka.
- U mnie.
- Oglądałaś ją już?
- Mungo poszedł po specjalny odtwarzacz do VHS i zaraz będzie można ją obejrzeć.
- Przyjdźcie do mnie - poprosiła Judy. - Zobaczymy, co to.

ROZDZIAŁ 19

Brazil wiercił się niecierpliwie na kanapie w poczekalni przed gabinetem burmistrza, robił notatki i obserwował, jak sekretarka, Ruth Lafone, rozmawiała przez telefon. Współczuła odrobinę młodemu dziennikarzowi, bo dobrze wiedziała, po co został wezwany, on i jeszcze inni przed nim. Telefon zadzwonił ponownie. Ruth podniosła słuchawkę i uśmiechnęła się grzecznie. Była miła i z szacunkiem odnosiła się do człowieka, którego wybrała przeważająca większość głosujących, aby służył obywatelom tego miasta. Odłożyła słuchawkę i wstała z krzesła. Spojrzała na Brazila.

- Pan burmistrz przyjmie pana teraz - powiedziała.

Andy czuł się odrobinę zdezorientowany. Stracił już rachubę, ile razy bezskutecznie prosił burmistrza Searcha o komentarz, wywiad czy opinię do gazety. I nagle burmistrz zadzwonił do niego, niespodziewanie wyrażając zgodę na spotkanie. Jakie spotkanie? Brazil wolałby tego dnia być bardziej elegancko ubrany, w coś innego niż przyciasne czarne dżinsy. Zanim tu wszedł, zatrzymał się na chwilę w męskiej toalecie i wepchnął w spodnie nieco wyblakłą czerwoną koszulkę, która była na niego za krótka. Ponieważ schudł ostatnio i ubranie wisiało na nim jak na wieszaku, wyciągnął z szafy dżinsy i podkoszulki, które nosił jeszcze w szkole średniej.

- Jeśli mogę panią zapytać - zwrócił się do sekretarki, wstając z kanapy - to chciałbym wiedzieć, czy istnieje jakiś szczególny powód, dla którego akurat teraz otrzymałem zgodę na wywiad, inny niż moje prośby o rozmowę z burmistrzem, o którą ubiegałem się od początku pracy w gazecie?

- Przykro mi, ale pan burmistrz nie zawsze może natychmiast na wszystko reagować - przeprosiła, wygłaszając formułkę, która zawsze się sprawdzała.

Andy przyglądał się jej dłuższą chwilę i zawahał się, analizując coś w sposobie, w jaki odwróciła od niego oczy.

- Rozumiem - powiedział. - Dziękuję.

- Proszę bardzo.

Prowadziła go na rzeź, ponieważ zależało jej na tej pracy.

Burmistrz Search był dystyngowanym, eleganckim mężczyzną w skrojonym według europejskiej mody letnim garniturze popielatego koloru. Do tego nosił białą koszulę i czarny krawat. Siedział za ogromnym, orzechowym biurkiem, a przez okna w gabinecie widać było całą panoramę miasta. Po sąsiedzku wznosił się budynek US-Bank Corporate Center, lecz aby zobaczyć wieńczącą go koronę, burmistrz musiałby podejść do okna i zadrzeć w górę głowę.

- Bardzo dziękuję, że znalazł pan czas, aby się ze mną spotkać - odezwał się na przywitanie Brazil, siadając na krześle naprzeciwko Searcha.

- Rozumiem, że jesteś zadowolony z pracy w naszym mieście - powiedział burmistrz.

- Tak, proszę pana. I doceniam to.

To nie był jeden z tych cwanych dziennikarzy, z którymi Search miewał do czynienia rano, w południe i wieczorem. To był dzieciak o szeroko otwartych, niewinnych oczach, *grzeczny*, umiejący okazać szacunek i pełen poświęcenia. Burmistrz wiedział, jak groźni bywają tacy uczciwi ludzie. Są gotowi umrzeć za sprawę, zrobią wszystko dla Jezusa, poświęcają się wyższym celom, wierzą w gorejące krzewy i nie dadzą się nakłonić do grzechu przez żonę Putyfara. To nie będzie aż tak proste, jak się spodziewał.

- Pozwól, synu, że coś ci powiem - zaczął Search z przejęciem i stanowczo, tonem, który zwykle onieśmiał tych, którym udało się zdobyć chwilę jego cennego czasu. - Nikt nie kocha naszego departamentu policji bardziej niż ja. Ale mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, że każda historia ma dwie strony?

- Zwykle nawet więcej, proszę pana, tak wynika z moich doświadczeń -

odrzekł Brazil.

Judy Hammer rozmawiała w sekretariacie z Horgessem. Czekala na Virginię West i film wideo, modląc się, aby ujawnił to, czego się spodziewał Mungo. Może tym razem szczęście im dopisze.

- Fred, daj spokój - powiedziała, stojąc przed biurkiem swego asystenta i trzymając ręce w kieszeniach brązowego kostiumu.

- Pani komendant, to dlatego, że tak podle się czuję. Nie mogę uwierzyć, że zrobiłem coś takiego. Pani ma do mnie zaufanie i powinienem ułatwiać pani życie, być wiarygodnym pracownikiem. A proszę, co zrobiłem, gdy sytuacja trochę się skomplikowała - żalił się Horgess tym samym, smutnym, oskarżycielskim tonem.

Przypominał jej Seta, a ostatnią rzeczą, jakiej sobie teraz życzyła, był mąż w biurze, tak samo żaloszny jak ten, który leżał w pokoju numer trzysta trzydzieści trzy w Carolinas Medical Center.

- Fred, co mówiliśmy o pomyłkach? Czyż nie są wliczone w specyfikę naszej pracy? - perswadowała mu.

- Tak, ja wiem. - Nie mógł jednak spojrzeć jej w oczy.

- Po pierwsze, dopuszczamy możliwość pomyłki, jeśli popełniłeś ją, próbując zrobić coś dobrze, a po drugie, jeśli przyznałeś się komuś, że ją popełniłeś. Po trzecie wreszcie, jeśli powiadomisz o niej innych, aby później sami jej nie popełnili.

- Nie spełniłem punktu dwa i trzy - powiedział Horgess.

- To prawda - musiała się zgodzić Judy, kiwając głową do wchodzącej właśnie porucznik West. - Punkt drugi nie jest niezbędny, ponieważ i tak wszyscy już o tym wiedzą. Najpóźniej do piątej chcę zobaczyć na swoim biurku twój komentarz do „Informatora”, w którym opiszesz tę pomyłkę. - Spojrzała na niego znad okularów.

Burmistrz Search nie znał pierwszej zasady uprawiania polityki

społecznej ani też żadnej innej, która nie karałaby ludzi za popełnianie pomyłek, zwłaszcza tych szczególnie rażących, które odczuła ostatnio na własnej skórze komendant Hammer. Jemu nigdy by się coś takiego nie zdarzyło, ponieważ umiał postępować z ludźmi, a także z mediami.

- To absolutne kłamstwo, że nasze miasto zrobiło się niebezpieczne - oświadczył i nagle okazało się, że w gabinecie jest duszno i gorąco, a także jakby ubyło przestrzeni.

- Ale w ciągu kilku zaledwie tygodni zamordowano tu pięciu przyjezdnych biznesmenów - odpowiedział młody dziennikarz. - Nie rozumiem, jak pan...

- Przypadek. Odosobniony. Incydenty. - Pot spływał mu po twarzy; Search czuł, że robi się czerwony.

- Właściciele hoteli i restauracji w centrum miasta twierdzą, że ich obroty spadły o około dwudziestu procent. - Andy nie chciał się kłócić. Pragnął tylko oprzeć rozmowę na faktach.

- Tacy ludzie jak ty jedynie pogarszają sytuację.

- Search wytarł czoło chusteczką, przeklinając Cahooną, że zwałił mu na kark tego dziennikarza.

- Panie burmistrzu, ja chcę tylko pisać prawdę - odpowiedział Brazil. - Ukrywanie jej z pewnością nie pomoże w rozwiązywaniu problemów.

Search ratował się sarkazmem, drwiąc z prostej logiki tego chłopca. Czuł, jak w żyłach zaczyna mu płynąć gorzki sok, podnosi się poziom żółci, a twarz niebezpiecznie purpurowieje. Burmistrz zaczynał tracić kontrolę nad sobą.

- Nie mogę w to uwierzyć. - Roześmiał się szyderczo na myśl o tym młokosie, który był kompletnym zerem. - Ty robisz mi wykład! Posłuchaj, nie zamierzam tu siedzieć i zapewniać cię, że interesy idą dobrze. I nie będę włączył się w nocy po centrum miasta.

Zaśmiał się jeszcze głośniej, coraz głośniej, upojony władzą.

O szóstej po południu, w radosnej godzinie, porucznik West i Raines byli już w tawernie Jacka Strawa, tuż obok Ladeeda i Dwóch Sióstr na East Seventh Street. Virginia zdążyła się przebrać i miała na sobie dżinsy, luźny bawełniany podkoszulek i sandały. Piła Sierra Nevada Stout, piwo miesiąca, i wciąż nie mogła dojść do siebie po tym, co razem z Judy Hammer zobaczyły na taśmie wideo.

- Masz pojęcie, w jakim świetle postawiło to mnie i moją grupę dochodzeniową? - zapytała już chyba po raz czwarty. - Chryste, proszę, powiedz mi, że to tylko zły sen. Proszę, proszę. Zaraz się obudzę, prawda?

Raines pił chardonnay Field Stone, wino miesiąca. Ubrany w spodenki gimnastyczne, buty firmy Nike, które nosił na gołych stopach, i obcisły podkoszulek bez rękawów, zwracał na siebie uwagę wszystkich, poza tą jedną osobą, siedzącą naprzeciwko niego przy stole. Co się z nią działo? Zawsze rozmawiała tylko o pracy i ewentualnie o tamtym nudziarzu z gazety, z którym jeździła na patrole. No i o Nilesie, oczywiście, nie można zapomnieć o tym parszywym kocie. He razy to zwierzę zepsuło mu nastrojowy moment? Niles wydawał się dobrze wiedzieć, kiedy zwrócić na siebie uwagę. Skok na plecy lub głowę Rainesa, ugryzienie w duży palec u nogi to jego ulubione metody. A co było wtedy, gdy usiadł na pilocie i tak długo go naciskał, aż Kenny G brzmiał jak odrzutowiec?

- To nie była twoja wina - po raz czwarty powie - dział Raines, grzebiąc widelcem w sosie szpinakowym.

Virginia zjadała właśnie kolejnego pikla smażonego w cieście, gdy Jump Little Children zaczęli rozkładać swoje instrumenty. W tym przytulnym miejscu z niebieskimi, plastikowymi obrusami i barwnymi elementami sztuki Indian będzie rozbrzmiewała tego wieczora muzyka rockowa, wyzwalając prymitywne żądze i libido. Raines miał nadzieję, że uda mu się zatrzymać Virginię przynajmniej do drugiej przerwy. Prawdę powiedziawszy, uważał, że to, co się jej dzisiaj przydarzyło w pracy, było bardzo zabawne. Jedyne, co mógł teraz zrobić, to być dla niej czułym i troskliwym słuchaczem.

Wyobraził sobie Mungo-Jumbo wtaczającego się do baru Presto, aby wrzucić coś na ruszt. Facet zauważa klienta z bananem w kieszeni, który jest szefem kartelu Geezer Grill. Formuje się grupa specjalna, a wszystko kończy się nagraniem na taśmie wideo Blondiego, King of Vice i głównego podejrzanego w seryjnych morderstwach Czarnej Wdowy, który krąży po Five Points w obcisłych, czarnych spodniach, z notesem w ręku. Ileż by dał, aby zobaczyć nagranie z Judy Hammer, która siedziała w swojej sali konferencyjnej i oglądała to gównem! Chryste! Usiłował opanować uśmiech, ale nie bardzo mu się udało. Twarz go bolała od skurczu mięśni, podobnie zresztą żołądek.

- Co się z tobą dzieje? - Virginia spojrzała na niego wściekle. - W tym nie ma nic śmiesznego, do cholery.

- Oczywiście, że nie ma - potwierdził słabym głosem, ale chwilę potem wybuchnął śmiechem. Rozparł się na krześle, a łzy spływały mu po twarzy.

Trwało to tak długo, aż Jump Little Children ustawili wzmacniacze, sprawdzili elektryczne gitary firmy Fender, perkusję i talerze, a także instrumenty klawiszowe Yamahy. Mrugali do siebie porozumiewawczo, odrzucając do tyłu długie włosy, a w przyćmionym świetle wyraźniej błyszcząły kolczyki w uszach. Ten facet był ugotowany. Rany, spójrzcie tylko na niego. Świetnie. Jego dziewczyna także nie mogła tego znieść. On już jest gotowy, ona nie. Tylko dziwne, że popijał to pieprzone chardonnay.

Virginia była tak wściekła, że miała ochotę po kowbojsku przeskoczyć przez stół. Chciała skoczyć na Rainesa, skuć mu nadgarstki i stopy kajdankami i zostawić jego żalostną dupę w tę gorącą czwartkową noc pośrodku knajpy Jacka Strawa. Niemal wierzyła, że Mungo pracował dla Jeannie Goode. Może obiecała mu coś w zamian za taką kompromitację, za zburzenie jej wiarygodności i dobrych stosunków z Judy Hammer. Boże! Kiedy siedziały przy tym błyszczącym stole konferencyjnym i na taśmie pojawiły się pierwsze ujęcia, sądziła początkowo, że to jakaś pomyłka.

Brazil, niemal naturalnych rozmiarów, spacerował po ulicy i robił notatki,

tak, Chryste Panie! Hu seryjnych morderców lub handlarzy narkotyków spaceruje po mieście w biały dzień i robi notatki?

Jeśli chodziło zaś o opis fizyczny Andy'ego, to Mungo Mamut pomylił się o jakieś dwadzieścia kilogramów i piętnaście centymetrów, chociaż Virginia musiała przyznać, że nigdy dotąd nie widziała Brazila w tak obcisłych ciuchach. Nie miała pojęcia, skąd ta zmiana. Czarne dzinsy były tak wąskie, że gdy szedł, widać było grę mięśni na jego udach, czerwona koszulka polo oblepiała tors jak farba, mięśnie były doskonale ukształtowane, ciało naprężone. Może chciał się upodobnić do lokalnej społeczności? To by wszystko tłumaczyło.

- Powiedz mi, co ona zrobiła - zapytał Raines, krztusząc się ze śmiechu i wycierając oczy.

Virginia dała znać kelnerce, że prosi o następną kolejkę.

- Nie chcę o tym rozmawiać.

- Ależ, skarbie, daj spokój. Powiedz mi, proszę. Musisz. - Wyprostował się na krześle. - Powiedz mi, co zrobiła komendant Hammer, gdy zobaczyła tę taśmę.

- Nie - upierała się Virginia.

Prawdę powiedziawszy, szefowa zrobiła niewiele. Jak zwykle siedziała u szczytu stołu konferencyjnego, wpatrując się w milczeniu w dwudziestoczerocalowy monitor firmy Mitsubishi. Obejrzała całą taśmę, całe czterdzieści dwie minuty, każdy kawałek długiej parady Brazila i wysłuchała jego rozmów z najgorszymi mętami śródmieścia. Obie razem przyglądały się, jak młody dziennikarz wzruszał ramionami, zapisywał coś pośpiesznie w notesie, obserwował okolicę, schylał się, aby zawiązać sobie sznurówki, zrobił to zresztą dwa razy, aż w końcu wrócił na parking, gdzie stało jego BMW. Po dłuższej, brzemiennej ciszy komendantka zdjęła okulary.

- Co to było? - zwróciła się do swojej zastępczyni, szefowej dochodzeniówki.

- Nie wiem, co powiedzieć - odrzekła Virginia, czując, jak ogarnia ją fala nienawiści do Mungo.

- I to wszystko zaczęło się tego dnia, gdy jadłyśmy lunch w Presto, a ty zobaczyłaś jakiegoś mężczyznę z bananem w kieszeni. - Judy Hammer chciała być pewna, że trzyma się w tej sprawie faktów.

- Naprawdę nie jestem pewna, czy to fair łączyć te dwa wydarzenia.

Szefowa wstała, ale Virginia się nie poruszyła.

- Oczywiście, że to jest fair - powiedziała Judy, znowu trzymając ręce w kieszeniach. - Nie zrozum mnie źle, nie winię cię za to, Virginio. - Zaczęła chodzić po pokoju. - Jak Mungo mógł nie rozpoznać Andy'ego Brazila? Kręci się po mieście rano, w południe i w nocy, pracując albo dla nas, albo dla „Observera”.

- Mungo jest głęboko utajniony - wyjaśniła jej zastępczyni. - Dla zasady unika miejsc, gdzie mógłby spotkać policję lub prasę. Nie sądzę też, aby dużo czytał.

Judy pokiwała głową. W zasadzie mogła to zrozumieć. Nie była osobą, która lubiła gwałtownie reagować na niezręczności lub uczciwe pomyłki innych, niezależnie od tego, czy był to Horgess, Mungo czy nawet Virginia West, która tak naprawdę nie popełniała błędów, może z wyjątkiem skierowania Mungo do jakiegokolwiek pracy.

- Chcesz, abym to zniszczyła? - zapytała Virginia, wyjmując taśmę wideo z odtwarzacza. - To znaczy, wolałabym ją zachować. Na niektórych fragmentach są znane prostytutki, takie jak Cukiereczek, Podwójna Frytka, Ślamazara, Lufka, Błyskawica, Landrynka, Cykuta.

- Wszystkie tam były? - zapytała zaskoczona szefowa, otwierając drzwi sali konferencyjnej.

- Przewinęły się. Trzeba wiedzieć, gdzie patrzeć.

- Wrócimy jeszcze do tego - zdecydowała Judy.

Raines znowu ryczał ze śmiechu i Virginia była wściekła na siebie, że opowiedziała mu tę historię. Opierał głowę o blat stołu, zakrywając twarz

dłońmi. Porucznik West przetarła czoło serwetką, pocąc się i czerwieniąc, jakby była w tropikach. Zespół był już gotowy do występu i w knajpie robiło się coraz tłoczniej. Zauważyła, że przyszedł Tommy Axel. Rozpoznała go ze zdjęcia w gazecie. Był z nim jakiś inny facet, obaj ubrani podobnie do Rainesa, eksponując to, co trzeba. Dlaczego większość gejów to tacy przystojni faceci? Uznała, że to niesprawiedliwe. Nie dość, że byli facetami w świecie facetów, ze wszystkimi tego profitami, to jeszcze ich DNA zdołało w jakiś sposób przyswoić od kobiet to, co najlepsze, na przykład wdzięk i urodę.

Oczywiście, geje mieli też swoje wady. Byli śliscy jak węże, lubili gierki, nadmiernie dbali o swój wygląd, robili się próżni i uwielbiali zakupy. Zresztą, może to nie miało nic wspólnego z płcią, zastanawiała się Virginia. Może w ogóle nie było czegoś takiego jak płć. Może biologicznie ludzie są jak pojazdy, jak samochody. Słyszała, że za oceanem samochody mają kierownicę po innej stronie niż tutejsze. Inna płć? Chyba nie. Może po prostu inne samochody, których działanie zależało od tego, kto siedzi na fotelu kierowcy.

- Mam już dość - szepnęła do Rainesa.

Wypiła Sierrę Nevadę i rozpoczęła kolejne piwo.

Mogła sobie na to pozwolić, prowadził Raines.

- Przepraszam. Przepraszam. - Zrobił głęboki oddech. - Nie wyglądasz najlepiej - zauważył z niepokojem w głosie. - Tu jest trochę duszno.

Jeszcze raz przetarła czoło, a jej ubranie zrobiło się wilgotne, chociaż nie z powodów, na jakie miał nadzieję Raines. To bogini płodności przypominała Virginii każdego miesiąca coraz bardziej dotkliwie, że czas ucieka. Jej ginekolog przypominał już kilkakrotnie, całkiem poważnie, że w tym wieku mogą się zacząć kłopoty. Doktor Alice Bourgeois mówiła coś o karze, gdy kobieta nie miała dzieci i nie planowała ciąży. Nigdy nie lekcewał biologii, zawsze powtarzała.

Zamówili cheeseburgery, frytki i jeszcze jedną kolejkę drinków. Virginia

znowu przetarła twarz i poczuła się nieco lepiej, chociaż nie była pewna, czy ma ochotę jeszcze coś zjeść. Przyglądała się, jak zespół muzyczny kończy ustawiać sprzęt na podium, obserwowała też ludzi przy innych stolikach. Przez chwilę nic nie mówiła, podsłuchując parę z sąsiedztwa, mówiącą w obcym języku, być może po niemiecku. Poczuła, że ogarnia ją sentymentalny nastrój.

- Wydajesz się czymś pochłonięta - zauważył intuicyjnie Raines.

- Pamiętasz zabójstwo tych niemieckich turystów w Miami? Jak to się skończyło dla turystyki? - zapytała.

Raines, jako mężczyzna, traktował sprawę seryjnych morderstw bardzo osobiście. Widział ciała ofiar Czarnej Wdowy, a przynajmniej większość z nich. To niewyobrażalne uczucie, mieć pistolet przystawiony do głowy, a sekundę później mózg eksploduje. Nikt nie wspominał, jak bardzo upokorzono tych mężczyzn przed śmiercią, a poza tym skąd wiadomo, że zabójca nie ściągał im spodni wcześniej, że nie zostali najpierw zgwałceni, a dopiero potem pomalowano im genitalia pomarańczową farbą? Czy można to stwierdzić, jeśli morderca założył prezerwatywę? Virginia powiedziała coś, co wprawiło Rainesa w kiepski nastrój. Teraz on był skwaszony.

- A więc chodzi o biznes turystyczny? - powiedział, pochylając się nad stołem i gestykulując. - Zapominasz, że ci faceci zostali wywleczeni z samochodów, rozwalono im głowy, a jaja pomalowano jak graffiti!

Ponownie wytarła twarz i wyciągnęła z kieszeni pastylkę advilu.

- To nie jest graffiti. To symbol.

Raines skrzyżował pod stołem nogi, jakby nagle poczuł się zagrożony. Kelnerka przyniosła im zamówioną kolację. Złapał za butelkę keczupu, gryząc w zębach frytkę.

- Robi mi się od tego niedobrze - powiedział.

- Każdemu powinno się robić niedobrze. - Virginia nie mogła patrzeć na jedzenie.

- Jak sądzisz, kto to robi? - Polał wiązkę złocistych frytek czerwonym

sosem.

- Może jakiś onona.

Virginia była zlaną zimnym potem. Miała wilgotne włosy wokół twarzy i u nasady karku, jakby właśnie wróciła z pościgu za kimś.

- Co? - Raines spojrział na nią zdziwiony, zagłębiając zęby w bułce.

- Onaon. Jednej nocy kobieta, innej mężczyzna, w zależności od nastroju - wyjaśniła.

- Aha. To coś jak ty. - Sięgnął po majonez.

- Cholera. - Odsunęła od siebie talerz. - Nie mam ochoty na jedzenie.

W barze dały się słyszeć pierwsze dźwięki elektrycznych gitar i uderzenia pałeczek perkusyjnych. Muzycy walili talerzami, a Axel owinął swoją stopę wokół kostki Jona i po raz setny tego dnia pomyślał o Braziliu.

Packer także rozmyślał o Braziliu, gdy wynosił przez tylne drzwi Dufusa, który wyglądał jak mała, kręcąca się piłka, i siedł z psem pod japoński klon. Dufus musiał zawsze chodzić na spacer w to samo miejsce, przyzwyczyił się do niego i tylko tam odnajdywał swoje zapachy. Nie miało znaczenia, że drzewo rosło na tyłach domu i że zaczynał padać deszcz. Packer postawił szczeniaka na tym samym kawałku ziemi co zawsze, obok wystającego korzenia. Z trudem łapiąc oddech, obserwował zabiegi Dufusa.

- Czemu nie podniesiesz nogi jak prawdziwy mężczyzna? - mrucał, podczas gdy pies obserwował go swoimi wyłupiastymi ślepiami, węsząc różowym nosem. - Sikaj - rozkazał.

Zdezelowany pager redaktora zaczął wibrować dość wcześnie tego wieczora, kiedy Packer kosił trawę, korzystając z wolnego dnia. Dzwonił Panesa, aby mu powiedzieć, że burmistrz przyznał się, iż nawet on nie miałby odwagi jeździć nocą po centrum miasta! Chryste Panie, to wprost niewiarygodne! Oczywiście, gazeta była na dobrej drodze do zdobycia nagrody Pulitzera za serię artykułów o istotnych dla społeczeństwa sprawach. Dlaczego, do cholery, musiało się to zdarzyć właśnie wówczas, gdy Packera nie było w redakcji. Siedział tam przez trzydzieści dwa lata, a w momencie

gdy zdecydował się spojrzeć na swoje życie z perspektywy, świadomy, że za oknem czeka już atak serca, akurat wtedy pojawił się Andy Brazil.

Nadszedł czas, aby jelita Dufusa rozluźniły się i wydalily z siebie coś, co zdaniem Packera, powinno być hańbą dla każdego stworzenia, no może z wyjątkiem domowego kota. Dufus nie gonił Packera ani sam do niego nie przychodził, to było oczywiste. Redaktor usiadł na stopniach werandy, a pies jego żony tak długo wachał trawę, aż wreszcie wyrzucił z siebie ów wyczelowany prezent. Packer westchnął i wstał. Wrócił do swojego klimatyzowanego domu, a szczeniak deptał mu po piętach.

- Przyszedł mój mały chłopczyk - rozplynęła się na jego widok Mildred, Dufus zaś skakał i ślinił się, dopóki nie podniosła go z ziemi i nie ukołysała w kochających ramionach.

- Nie wspominaj mi o nim - powiedział Packer, siadając na fotelu i włączając telewizor.

Kilka godzin później wciąż jeszcze tam siedział, jedząc kawałki kurczaka maczane w sosie barbecue. Włożył rękę do wielkiej torby z chipsami i wrzucił je także do sosu. Po kilku meksykańskich piwach Corona z cytryną zapomniał o oknie i czyhającym za nim atakiem serca. Mildred oglądała po raz kolejny „Dom na wakacje”, ponieważ wydawało jej się, że tak właśnie wygląda ich życie. Bzdura. Po pierwsze, Packer nie grał na organach, ona nie nosiła peruki, nie paliła i nie mieszkali w małym miasteczku. Ich córka nigdy nie została wyrzucona z pracy, a już na pewno nie z galerii sztuki. To było chyba jedyne miejsce, w którym jeszcze nie pracowała, pewnie dlatego, że nie rozróżniała kolorów. Ich syn nie był gejem, a w każdym razie Packer nic o tym nie wiedział ani też się tym nie interesował, podobnie jak żadnymi innymi intymnymi faktami dotyczącymi bliźnich, w przeciwieństwie do swojej żony.

Packer władczy gestem wziął do ręki pilota. Zmienił program na Kanał Trzeci, a wszechobecny Webb gapił się w kamerę w taki sposób, że redaktor od razu zwęszył kłopoty.

- Cholera - powiedział, podnosząc się wyżej na fotelu.

- W rzadkiej, wręcz szokującej chwili szczerości - mówił reporter ze szczerym wyrazem twarzy - burmistrz Charles Search przyznał dzisiaj, że z uwagi na seryjne morderstwa Czarnej Wdowy obroty hoteli i restauracji spadły więcej niż o dwadzieścia procent, a on sam nie czułby się bezpiecznie, jadąc w nocy przez centrum miasta. Burmistrz Search błagał obywateli Charlotte, aby pomogli policji schwytać mordercę, który z zimną krwią zabił pięć...

Packer już wykręcał numer telefonu, torba z chipsami upadła na podłogę, a jej zawartość rozsypała się na dywan.

- ...psycholog z FBI scharakteryzował sprawcę jako psychopatę na tle seksualnym, seryjnego zabójcę, który nie przestanie... - mówił dalej Webb.

- Słuchasz tego? - krzyknął, gdy tylko w słuchawce rozległ się głos Panesy.

- Nagrywam to - powiedział wydawca morderczym tonem, który rzadko można było u niego usłyszeć. - To się musi skończyć.

ROZDZIAŁ 20

Brazil nie oglądał telewizji, ponieważ jego matka zawładnęła jedynym odbiornikiem w domu, a on nie chadzał zbyt często do licznych w Charlotte barów, gdzie w każdym rogu stały wielkie monitory. Nie słyszał więc tego, co mówiono w wiadomościach o jedenastej wieczorem, nikt nie przysłał mu informacji ani nie trudił się, aby go odszukać. W okolicy panował kompletny spokój, gdy biegł w ciemnościach po bieżni w Davidson. Dochodziła północ, Andy słyszał tylko rytm własnego oddechu i uderzenia stóp. Chociaż było mu przyjemnie, że zbliżał się w tak wspaniałym stylu do dziennikarskiej mety, bynajmniej nie czuł się szczęśliwy.

Inni też tam zmierzali. Na przykład Webb. Niezależnie jednak od tego, jak wiele cennych informacji zdobył i z jaką pasją je przekazywał, głównym jego celem było ujawnienie tych materiałów przed innymi dziennikarzami. Andy nigdy nie pisał niczego z takim zamierzeniem. Po prostu tak jakoś wychodziło, że jego artykuły zawsze trafiały na pierwszą stronę, docierały do opinii publicznej i wywoływały dużo zamieszania. Brazil byłby zadowolony, gdyby do końca swoich dni mógł pisać tylko takie teksty. Nagrody niewiele dla niego znaczyły, naprawdę. Był jednak realistą. Wiedział, że jeśli nie będzie pierwszy zdobywał sensacyjnych materiałów, nie zajrzy za kulisy zbrodni, pewnego dnia nie zapłacą mu za teksty.

A wtedy, pomyślał dalej, mógłby zostać gliniarzem. To przypomniało mu o Virginii West i nagle poczuł, jak z twardego gruntu przenosi się do ciemnych, splątanych i budzących lęk zarośli, które raniły go tym mocniej, im gwałtowniej próbował się z nich wydostać. Biegł coraz szybciej, mijając słupki bramek na boisku, puste trybuny, wypełnione wspomnieniami o

meczach, w większości przegranych, wspominając jesienne wieczory, podczas których zwykle się uczył lub spacerował po kampusie pod rozgwieżdżonym niebem. Czasami chował twarz w kaptur bluzy, idąc do biblioteki lub kryjąc się w pewnym zacisznym miejscu w świetlicy, aby napisać pracę semestralną lub wiersz i nie chcąc, by ktokolwiek mu przeszkadzał.

Nawet jeśli Virginia nie miała ochoty grać w tenisa, nie powinna być w stosunku do niego taka niegrzeczna, chyba że go nienawdziła. „Zapomnij o tym”. Biegł coraz szybciej, a w uszach wciąż mu rozbrzmiewały jej bezlitosne słowa. Czuł, jak płuca zaczynają mu płonąć, gdy sadził do przodu coraz większymi susami, znacząc swój ślad kroplami potu. Usiłował uciec przed tym głosem i osobą, do której należał. Niósł go gniew. Gdy zwolnił, nogi miał jak z waty. Upadł na chłodną, wilgotną trawę. Serce o mało nie rozsadziło mu klatki piersiowej i miał wrażenie, że zaraz umrze.

Virginia West czuła się podobnie. Leżała w łóżku, światła były zgaszone, a w pobliżu leżała w pogotowiu butelka z gorącą wodą, gdyby skurcze stały się nie do wytrzymania. Odkąd skończyła czternaście lat, raz w miesiącu przechodziła potworne męki. Czasami ból był tak wielki, że odsyłano ją ze szkoły do domu, musiała przerywać randkę lub pracę i wymyślać jakieś kłamstwa, połykając tabletki przeciwbólowe. Gdy sanitariusz Raines odwiózł ją do domu, wzięła aż cztery motrinole, niestety trochę za późno. Czyż doktor Bourgeois nie mówiła jej, że musi zażywać dwieście miligramów ibuprofenu cztery razy dziennie na trzy dni przed pojawieniem się problemu, aby leki zadziałały prewencyjnie? Porucznik West, jak zwykle, była zbyt zajęta, aby przejmować się takimi przyziemnymi sprawami, tak trywialnymi jak własne zdrowie. Niles od razu poznał, że zaczęły się comiesięczne kłopoty, i ze współczuciem zwinął się w kłębek przy swojej pani, ogrzewając ją własnym ciałem. Był zadowolony, że nigdzie nie wychodzi i będą mogli spać razem.

Komendant Judy Hammer także rozmyślała o chorobach, siedząc przy łóżku na oddziale intensywnej terapii w Carolinas Medical Center. Stan Seta był poważny i nic nie wskazywało na to, że szybko się poprawi. Była przerażona. Ubrana w fartuch, maskę i rękawiczki czuwała przy jego boku. Do żył jej męża skapywała duża dawka penicyliny, clindamycyny i immunoglobuliny, mających za zadanie zwalczyć martwicze zapalenie powięzi. Była to bardzo rzadka infekcja, łącząca się z infekcją układową, która błyskawicznie się rozprzestrzeniała. Potwierdzały to obserwacje Hammer i informacje, jakie otrzymywała od lekarzy.

Wszystko to miało jakiś związek z pospolitymi paciorkowcami z grupy A i gronkowcem złocistym, o których Judy wiedziała tylko tyle, że te mikroskopijne bestie żywcem zjadały jej męża. W tym czasie poziom tlenu w jego krwi spadł poniżej normy i cały szpital ogarnęła panika. Personel medyczny zajął się Sethem z największą pieczołowitością i specjaliści w zasadzie nie opuszczali jego pokoju. Judy nie miała jednak siły, aby z nimi rozmawiać. Nie była w stanie myśleć, gdy patrzyła na wymęczoną gorączką twarz męża i nawet przez sterylną maskę czuła, że on umiera.

W czasach wojny domowej chirurdzy zdiagnozowaliby przypadek jej męża jako gangrenę. Ten nieprzyjemnie brzmiący łaciński termin oznaczał, że ciało wokół rany zmieniało barwę na czarną i zieloną, a dotknięty ową chorobą człowiek zaczynał po prostu żywcem gnić. Jedynym lekarstwem na tę infekcję były antybiotyki, zabieg chirurgiczny i amputacja. Rocznie w Stanach Zjednoczonych zapadało na gangrenę około trzystu do pięciuset osób, z czego jedna trzecia umierała. Judy dowiedziała się o tym z Internetu.

Nie znalazła tam jednak niczego, co mogłoby ją pocieszyć lub dać nadzieję. Te śmiertelne bakterie uaktywniły się znowu w ostatnich latach, zabijając w Anglii jedenaście osób. „Zabójczy mikrob zjadł mi twarz”, pisano w „Daily Star”. „Śmiertelna bakteria, która pożera ciało”, głosił tytuł w innym piśmie. Hammer dowiedziała się z Internetu, że to właśnie ona zabiła Jima Hensona, twórcę Muppetów, i zapewne ta sama złośliwa forma

paciorkowca na początku dziewiętnastego wieku wywołała epidemię szkarłatnej gorączki. W niektórych przypadkach martwica rozwijała się tak błyskawicznie, że antybiotyki nie miały szansy zadziałać. Obawiano się, że tak właśnie może być w przypadku Setha. Ponieważ był traktowany jak VIP, natychmiast zastosowano najlepszy sposób leczenia, tak więc problem nie leżał w opiece medycznej, lecz w kondycji jego organizmu.

Seth był w kiepskiej formie. Męczyła go depresja. Miał za sobą długi okres tęgiego picia i cierpiał na naczyniową arteriosklerozę. Jego organizm przeżywał szok, spowodowany niegojącą się raną i obcym ciałem, którego nie można było usunąć. Zdaniem doktora Cabela, pacjent pozbawiony był odporności i tracił średnio pół kilograma wagi ciała na godzinę, nie licząc tego, co usunięto mu podczas zabiegów chirurgicznych, aby dostać się do zdrowej, krwawiącej tkanki, która zresztą wkrótce, mimo wszelkich wysiłków i modlitw, także przybrała czarną i zieloną barwę. Judy Hammer siedziała nieruchomo na krześle, przeżywając wciąż na nowo każde słowo, wypowiedziane wcześniej do męża, każdy swój uczynek, który podyktowany był złością lub wydawał się nieprzyjemny. Nie myślała o żadnych błędach popełnionych przez Setha.

To wszystko stało się z jej winy. To był jej rewolwer trzydziestkaósemka i jej naboje typu Remington +P. To na jej polecenie zaczął szukać broni pod przykryciem, aby ją oddać. To Judy postawiła ultimatum w sprawie wagi i teraz bliska była obwiniania się, że obecne dolegliwości męża nie były dziełem nieszczęśliwego zbiegu okoliczności, ale zaburzeń funkcjonowania jego organizmu. Seth rozmyślał się jej przed oczami, co godzina mniejszy i odrobinę cieńszy po każdym zabiegu chirurgicznym. To nie takiej kuracji odchudzającej pragnęła dla niego. Karał teraz Judy za wszystkie te lata, kiedy żył w jej cieniu, był wiatrem pod skrzydłami żony, jej inspiracją i największym wielbicielem.

- Pani komendant?

Dotarło do niej, że ktoś ją woła, i zobaczyła stojącego obok doktora

Cabela, w chirurgicznych zieleniach, czapce, masce, rękawiczkach i ochraniaczach na butach. Nie był starszy od jego syna. Boże, dopomóż mi, westchnęła Judy, wstając z krzesła.

- Chciałbym zostać z nim na minutkę sam - poinformował ją doktor Cabel.

Czekając, aż skończy się badanie, wyszła na sterylny, jasny korytarz. Przyglądała się pielęgniarcom, lekarzom, rodzinom i przyjacielom pacjentów, którzy rozlokowani w różnych salach, spoczywali na wąskich, hydraulicznych łóżkach, podłączeni do monitorów, na których widać było, jak chorzy walczą o życie. Stała tak, pogrążona w myślach, dopóki z pokoju Setha nie wyszedł doktor Cabel, który wrzucił do koperty na drzwiach kartę chorobową pacjenta.

- Jak on się czuje? - zapytała po raz kolejny Judy, ściągając maskę.

Doktor Cabel pozostał w masce. Nie chciał ryzykować i nawet biorąc w domu prysznic, mył się od stóp do głów mydłem antybakteryjnym. Zamknął drzwi do separatki, w jego oczach malowała się troska. Komendantka była kobietą bardzo precyzyjną i nie interesowały jej frazesy, wykrętne opinie i uniki. Jeśli ten młody doktor od chorób zakaźnych myślał, że ukryje przed nią prawdę, to się grubo mylił.

- Chcemy ponownie zabrać go na salę operacyjną - powiedział. - Na tym etapie to rutynowe działanie.

- A na jakim etapie jest teraz mój mąż? - chciała wiedzieć Judy.

- Drugi dzień progresywnej gangreny wywołanej paciorkowcami i martwiczym zapaleniem powięzi - odpowiedział. - Obumieranie tkanek widoczne jest poza marginesami chirurgicznego cięcia.

Chociaż doktor Cabel szanował komendant Hammer, nie chciał mieć z nią już dłużej do czynienia. Rozejrzał się, szukając pielęgniarki. Cholera. Wszystkie były zajęte przy innych pacjentach.

- Musimy zaczynać - oświadczył.

- Chwileczkę - powstrzymała go Judy. - Na czym, dokładnie, ma polegać

ta operacja?

- Będziemy wiedzieć lepiej, gdy ją zaczniemy.
- Rozumiem, że ryzykujecie. - Miała ochotę go uderzyć.

- W zaistniałej sytuacji rana powinna zostać ponownie oczyszczona aż do krwawiącej, zdrowej tkanki. Prawdopodobnie nasączymy pacjenta fizjologicznym roztworem soli, a całość zabezpieczymy wyjałowioną gazą. Dwa razy dziennie będziemy kontynuować terapię tlenową, poza tym zalecam wzmocnienie organizmu kroplówką.

- A zatem multiwitaminy - powiedziała.
- Również. - Lekarz był nieco zaskoczony jej zdolnością kojarzenia.

Judy przez lata kupowała witaminy i dobrze się na nich znała. Doktor Cabel zbierał się do odejścia. Złapała go za poły zielonego fartucha.

- Porozmawiajmy poważnie - odezwała się stanowczym tonem. - Seth nieraz miał paciorkowce w gardle. Czemu obecnie rozwinęła się tak poważna infekcja? Zostawmy na boku jego niewydolny system immunologiczny.

- To nie to samo, co paciorkowce wywołujące choroby gardła.
- No więc?

Ta kobieta nie zamierzała zostawić go w spokoju. Lekarz współczuł teraz Sethowi jeszcze z innego powodu. Życie z taką żoną mogło wykończyć każdego. Czy potrafiłby wyobrazić sobie, jak prosi ją o podanie kawy? Kiedy zawodziło wszystko inne, doktor Cabel zwykle szukał ratunku w języku zrozumiałym jedynie dla lekarzy.

- Całkiem możliwe, że ten paciorkowiec posiada nową informację genetyczną. To zdarza się przy infekcjach wywołanych bakteriofagiem.

- Co to jest bakteriofag? - Pani Hammer się nie poddawała.

- To taki wirus, który potrafi wcielić swoje DNA w bakterię-gospodarza - wyjaśnił. - Istnieje hipoteza, że niektóre szczepy M1 paciorkowców grupy A w mniej więcej czterdziestu procentach ostatnio obserwowanych infekcji inwazyjnych otrzymały materiał genetyczny z fagu. Tak przynajmniej głoszą raporty WHO.

- Who? - zmarszczyła brwi Judy.

- Właśnie. - Wymownie spojrział na zegarek.

- Co, do diabła, znaczy to who? - dopytywała się z uporem.

- Światowa Organizacja Zdrowia. Przeprowadzają tam badania dotyczące paciorkowców. Krótko mówiąc, ta nowa informacja genetyczna jest odpowiedzialna za wydzielanie toksyny pod nazwą superantygen, najprawdopodobniej odpowiedzialnej za zespół wstrząsu toksycznego.

- A więc mój mąż ma tę samą bakterię, którą można złapać z tamponu? - Judy podniosła głos.

- Można powiedzieć, że to daleki kuzyn.

- I w takich wypadkach zawsze wykonujecie amputację? - Tak stanowczo domagała się odpowiedzi, że przechodzący obok pacjenci z zainteresowaniem przyglądali się dwojgu ludziom w zieleni, sprzeczącym się w czystym, rześkim oświetlonym korytarzu.

- Nie, nie. - Musiał pozbyć się tej kobiety, postanowił więc wspomóc się Szekspirem. - Proszę pani, w przypadku pani męża zabieg chirurgiczny to najbardziej skuteczna terapia. - „Bądź mężny, nieugięty, srogi” *[* „Makbet”, akt IV, scena 1., przeł. Józef Paszkowski.] - rzucił cytatem. - „Król Lear”.

- „Makbet” - powiedziała Judy, która uwielbiała teatr, gdy lekarz się oddalił.

Czuwała w pobliżu tak długo, aby zobaczyć jeszcze, jak Seta wieziono na salę operacyjną. Wtedy wróciła do domu. O dziewiątej wieczorem leżała już w łóżku, zbyt wyczerpana i spięta, aby dłużej pozostawać w stanie świadomości. Ona i Virginia West, każda w swoim domu, jedna z kotem, druga bez, niespokojnie przespały resztę nocy.

Brazil także przerzucał pościel na różne strony, ściągał ją pod nogi, znowu się przykrywał, kładł się na niej, to na jednym boku, to na drugim, to na brzuchu. Wreszcie ułożył się na plecach i gapiąc się w ciemność, wsłuchiwał się w mamrocący za ścianą telewizor w salonie, gdzie jego matka leżała

pijana na kanapie.

Wciąż myślał o tym, co powiedziała Virginia. Mógł się wyprowadzić, znaleźć sobie mieszkanie. Ale za każdym razem, gdy zrobił kilka kroków na tej budzącej lęk, choć ekscytującej drodze, zawsze wpadał na tego samego stracha na wróble, którego widok kazał mu zawracać. Co zrobić z matką? Co by się z nią stało, gdyby zostawił ją samą? W dalszym ciągu mógłby jej przynosić zakupy ze sklepu spożywczego, lecz przestałby ją kontrolować, załatwiać za nią wszystko i spełniać jej polecenia. Andy zmagął się ze swoimi lękami, wiercił się na łóżku, nękany o trzeciej nad ranem koszmarami jak z horroru.

Pomyślał o porucznik West i opanował go jeszcze gorszy nastrój. Właściwie to wcale jej nie lubił. Nie była taką miłą, wykształconą kobietą jak pani Hammer. Któregoś dnia Andy z pewnością znajdzie sobie dziewczynę podobną do komendantki. Będą się lubić i szanować, będą grywać w tenisa, biegać, trenować, gotować, jeździć samochodem, chodzić na plażę, czytać dobrą literaturę i poezję, wszystko będą robić razem, chyba że zechcą pobyć sami. Co Virginia West może o tym wiedzieć? Buduje płoty, ścina trawę kosiarką elektryczną, ponieważ jest zbyt leniwa, aby użyć mechanicznej, a przecież jej ogródek to zaledwie pół akra. Ma fatalne nawyki żywieniowe i pali papierosy. Brazil znowu zmienił pozycję, rozrzucając bezradnie ramiona na boki.

O piątej dał za wygraną i ruszył truchtem na bieżnię. Szybko przebiegł dwanaście kilometrów i mógłby biec dalej, ale znudził się i postanowił jechać do miasta. To dziwne. W ciągu kilku dni przeszedł od stanu całkowitego wyczerpania do nadaktywności. Nie pamiętał, aby kiedykolwiek wcześniej chemia rządziła nim tak jak teraz. Raz był śmiertelnie wykończony, to znowu czuł nienaturalny przypływ energii i podniecenia, zupełnie bez powodu. Zastanawiał się nawet, czy nie było to efektem burzy hormonów. Jeśli bowiem mężczyzna nie ulegnie swoim popędom między szesnastym a

dwudziestym rokiem życia, biologia go później za to ukarze.

Kiedyś rozmawiał o tych sprawach z lekarzem. Doktor Rush, który miał praktykę rodzinną w Cornelius, badał Brazila, gdy ten był na pierwszym roku college'u w Davidson. Zorientowawszy się, że chłopak nie miał ojca i potrzebował wskazówek, powiedział mu, że wielu młodych mężczyzn często popełnia tragiczne błędy, gdy ich ciała stają się gotowe do prokreacji. Zdaniem doktora Rusha to nic innego, jak powrót do epoki osadnictwa, kiedy szesnaście lat stanowiło ponad połowę przeciętnego wieku mężczyzny, pod warunkiem oczywiście, że wcześniej nie zginął z rąk Indian lub sąsiadów. W tamtych czasach wczesne folgowanie seksualnemu pożądaniu i prymitywnym instynktom miało sens, Andy jednak postanowił dołożyć wszelkich starań, aby im się nie poddać.

W przyszłym roku w maju będzie miał już dwadzieścia trzy lata, ale popęd seksualny wcale z czasem nie osłabł. Wciąż jednak Andy wierzył w to, co powiedział mu doktor Rush, który, jak głosiły lokalne plotki, nie był wierny swojej żonie. Andy rozmyślał o seksie, biegnąc sprintem do domu. Do tej pory wydawało mu się, że miłość i seks zawsze idą w parze, lecz może wcale nie musi tak być. Miłość sprawiała, że stawał się rozmarzony i zadumany. Dzięki miłości dostrzegał kwiaty i miał ochotę je zrywać. Dzięki miłości powstały jego najlepsze wiersze, a pod wpływem seksu tworzył tylko mocne, przyziemne pentametry, których nie zamierzał nikomu pokazywać ani publikować.

Wrócił do domu i wziął dłuższy niż zwykle prysznic. Pięć po ósmej stał już w kolejce po kawę w kawiarni znajdującej się w budynku Knight-Ridder. Miał na sobie dzinsy, pager przy pasku, a ludzie z ciekawością gapili się na chłopaka, ciekawskiego dziennikarza, który odgrywał policjanta i zawsze wydawał się taki samotny. Brazil sięgał właśnie po muesli z rodzynkami, gdy nagle usłyszał w głośniku fragment popularnego i prześmiewczego programu „Nie rozpoczynaj poranka” z Dave'em i Dave'em.

- Wczoraj wieczorem - mówił Dave swoim głębokim, radiowym głosem -

okazało się, że nawet burmistrz naszego miasta nie pojechałby teraz w nocy do centrum.

- Pytanie brzmi, po co miałyby to robić? - zapytał Dave.

- O to samo moglibyśmy zapytać senatora Butlera.

- Po prostu sprawdzał, jak żyją jego wyborcy, Dave. Próbował na coś się przydać.

- A wtedy podkradł się do niego jakiś złowrogi pajak...

- Ależ, Dave, to się wymyka spod kontroli.

- Hej, w tym programie możemy mówić o wszystkim. To jest w umowie.

Dave był jak zwykle dowcipny, naprawdę lepszy niż Howard Stern.

- Poważnie. Burmistrz Search prosi wszystkich o pomoc, aby złapać morderczą Czarną Wdowę - wyjaśnił Dave. - Jeszcze chwila, a zwróci się z tym do Madonny, Amy Grant i Roda Stewarta...

Młody człowiek zatrzymał się w środku kolejki, słuchając radia, a ludzie przechodzili obok niego. Chwilę potem w kawiarni pojawił się Packer, wypatrując Brazila, któremu właśnie świat rozpadł się na kawałki. Zapłacił za śniadanie i odwrócił się, aby stawić czoło nadciągającej katastrofie.

- Co się dzieje? - zapytał, zanim redaktor z ponurą miną sam się do niego odezwał.

- Idziemy na górę - powiedział Packer. - Mamy problem.

Tym razem Andy nie biegł po ruchomych schodach. Nie odzywał się do szefa, który zresztą nie miał mu nic więcej do powiedzenia. Nie chciał mieć z tym nic wspólnego. Nie zamierzał pakować sobie stopy do ust. Wielki Richard Panesa sam się tym zajmie. Za to przecież Knight-Ridder płaciło mu kupę szmalu. Podczas wszystkich lat nauki Andy tylko dwa razy odwiedził gabinet dyrektora szkoły. W żadnym wypadku nie zrobił nic złego. Za pierwszym razem wsadził palec do klatki z chomikiem i zwierzątko go ugryzło. Za drugim razem wpakował palec do dziury na podstawce do pisania i nie mógł go wyciągnąć.

Pan Kenny skorzystał z obcęgów, aby uwolnić młodego Brazila, który

czuł się poniżony i załamany. Niebieska plastikowa podkładka z mapą Stanów Zjednoczonych była kompletnie zniszczona. Pan Kenny wyrzucił ją do śmieci, a chłopiec stał dzielnie obok, powstrzymując się od płaczu. Wiedział, że matki nie będzie stać, aby kupić mu drugą. Zapytał cicho, czy mógłby przez tydzień zostawać w szkole po lekcjach i czyścić gumki, aby zarobić na nową podkładkę. Tak byłoby najlepiej.

Brazil zastanawiał się teraz, co mógłby zaoferować Panesie, aby zrekompensować to, co zrobił, chociaż nie miał zielonego pojęcia, na czym polegało jego przewinienie. Gdy wszedł do przeszklonego, onieśmielającego gabinetu wydawcy, ten, w eleganckim włoskim garniturze, siedział na skórzanym fotelu za swoim mahoniowym biurkiem. Nie wstał ani nie dał żadnego znaku, że zauważył Andy'ego. Przeglądał wydruk wstępnego artykułu do niedzielnego wydania gazety, w którym skrytykował burmistrza Searcha za jego nieprzemyślaną, aczkolwiek szczerą wypowiedź o tym, że obecnie niechętnie zapuszcza się nocą do centrum miasta.

- Możesz zamknąć za sobą drzwi - powiedział Panesa do młodego dziennikarza.

Brazil zrobił to i usiadł na krześle po drugiej stronie biurka.

- Andy - zapytał go szef - czy oglądasz telewizję? Brazil był coraz bardziej zdziwiony.

- Rzadko mam czas...

- A zatem nie możesz wiedzieć, że jesteś obrabiany na lewo i prawo.

- Co to znaczy? - W Brazili zbudził się smok.

Panesa dostrzegł w jego oczach ogień. To dobry znak. Jedynym sposobem, aby taki wrażliwy, inteligentny i zdolny młody człowiek przetrwał w tym kryminalnym świecie, była walka, wydawca wiedział o tym z własnego doświadczenia. Nie zamierzał mu niczego ułatwiać. Andy Brazili, witaj w Piekielnej Szkole, pomyślał, sięgając po pilota.

- To znaczy - przycisnął guzik i z sufitu zjechał ekran - że ostatnie cztery lub pięć poważnych materiałów, jakie przygotowałeś, pojawiały się w

telewizji w noc przed wydrukowaniem ich w gazecie, zwykle w wiadomościach o jedenastej wieczorem. - Nacisnął inny guzik i uruchomił projektor. - Następnie stacje radiowe podawały je w porannych wiadomościach. Zanim ludzie mieli możliwość przeczytania o tym na pierwszych stronach naszej gazety.

Brazil zerwał się z krzesła, przerażony i wściekły.

- To niemożliwe! Nigdy nikogo z dziennikarzy nie było tam, skąd brałem materiały! - wykrzyknął, zaciskając pięści.

Panesa znowu uruchomił pilota i na ekranie pojawiła się olbrzymia twarz Webba.

- „...w wywiadzie, jakiego udzieliła wyłącznie Kanałowi Trzeciemu, powiedziała, że późno w nocy wróciła na miejsce katastrofy i płakała, siedząc w swoim samochodzie. Funkcjonariuszka Johnson, która rano zwróciła odznakę policyjną, wyznała, że żałuje, iż nie zginęła w tym wypadku razem z nimi...”.

Wydawca przyglądał się Brazilowi, który najwyraźniej stracił mowę. Wściekłość na Webba przerodziła się w nienawiść do wszystkich. Dopiero po dłuższej chwili młody dziennikarz policyjny zebrał siły i przemówił.

- Tę informację podano po ukazaniu się mojego artykułu? - zapytał, chociaż znał już odpowiedź.

- Przed - odpowiedział szef, bacznie go obserwując. - W noc poprzedzającą wydanie gazety. Tak było we wszystkich wypadkach. I na końcu ten o burmistrzu. To kropla przepełniająca puchar. Wiemy, że tym razem musiał być jakiś przeciek. Webb nie mógł znać jego wypowiedzi, no chyba że założył podsłuch w gabinecie Searcha.

- To niemożliwe! - stanowczo zaprotestował Brazil. - To nie moja wina!

- Nie chodzi tu o niczyją winę - uspokoił go Panesa. - Trzeba z tym skończyć. Natychmiast. To nam naprawdę szkodzi.

Patrzył, jak wzburzony Brazil wybiega z jego gabinetu. Wydawca miał umówione spotkanie, ale został jeszcze chwilę przy biurku. Przeglądał

notatki i dyktował tekst swojej sekretarce, cały czas obserwując przez szybę młodego człowieka, który z wściekłością otwierał szuflady biurka, szukał czegoś w pudle pod blatem, wrzucał do teczki notatniki i inne osobiste drobiazgi. Potem wybiegł z redakcji, jakby nie zamierzał tam już nigdy wrócić. Panesa podniósł słuchawkę.

- Połącz mnie z Virginią West - powiedział.

Tommy Axel też widział, że zdenerwowany Brazil wypadł z redakcji i zastanawiał się, co się, do cholery, stało. Miał pewne podejrzenia. Słyszał o Webbie, o jakichś przeciekach i nie dziwił się, że tamten stracił głowę. Axel nie wyobrażał sobie, jak sam by zareagował, gdyby jemu przytrafiło się coś podobnego, gdyby ktoś kradł mu świetne pomysły i recenzje pisane do działu muzycznego. Boże. Biedny chłopak.

Brenda Bond także słyszała o całym zamieszaniu. Usiłowała właśnie uruchomić komputer, który co trzy dni się zawieszał, ponieważ jakiś głupi dziennikarz piszący o ogrodach miał talent i ciągle naciskał taką kombinację klawiszy, że maszyna odmawiała współpracy lub tłumaczyła jego pliki na niezrozumiałe znaki. Pani Bond poczuła dreszczyk podniecenia, gdy weszła do menedżera systemu. Z trudem udało jej się skoncentrować.

Porucznik West stała przy swoim biurku, usiłując jednocześnie dopiąć teczkę, nałożyć przykrywkę na kubek z kawą i zapakować kanapki, których nie zdążyła zjeść. Wyglądała na zmartwioną i wściekłą jednocześnie, gdy rozmawiała z Panesą przez telefon.

- Domyślasz się, dokąd mógł pójść? - dopytywała się głośno.

- Może do domu? - próbował zgadywać wydawca. - Mieszka z matką.

Z przerażeniem spojrzała na zegarek. W ciągu dziewięćdziesięciu sekund powinna być w gabinecie Judy Hammer. Nie wyobrażała sobie, aby mogła spóźnić się, kazać szefowej czekać, nie przyjść lub zapomnieć o spotkaniu.

Zamknęła wreszcie teczkę i wsunęła krótkofalówkę do futerału przy pasku. Była w rozterce.

- Zrobię, co będę mogła - obiecała Panesie. - Niestety, muszę być dziś rano w sądzie. Moim zdaniem Brazil musi odreagować. Wróci, gdy się uspokoi. Andy się nie poddaje.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz.

- Jeśli nie pojawi się do mojego powrotu, zacznę go szukać - obiecała.

- Świetny pomysł.

Liczyła na to, że Johnny Martino przyzna się do winy. Judy Hammer natomiast wolałaby, aby było inaczej. Była w nastroju do walki. Doktor Cabel naprawdę wyświadczył jej przysługę. Wyzwolił w niej iskry gniewu i im stawały się jaśniejsze, tym bardziej rozwiewała się mgła depresji i złe samopoczucie komendantki. Szła tak szybko, że nawet Virginia była zdziwiona. Pod pachą ścisnęła zapinaną na suwak torebkę, na oczach miała przeciwsłoneczne okulary. Obie zmierzały w ten gorący poranek do budynku Sądu Kryminalnego, zbudowanego z granitu w 1987 roku, a zatem starszego niż inne domy w Charlotte. Policjantki ustawiły się wraz z innymi w kolejce do bramki kontrolnej z promieniami rentgenowskimi.

- Nie martw się - Virginia próbowała pocieszyć swoją szefową, gdy posuwały się wolno do przodu za jakimiś ważnymi obywatelami. - On się przyzna do winy.

- Ja się nie martwię - odpowiedziała szefowa.

Za to Virginia się martwiła. Tego dnia na wokandzie znalazły się setki spraw, co było znacznie większym problemem niż kwestia, czy Martino przyzna się do winy, czy też będzie próbował się bronić. Strażnik Octavius Able wypatrzył w kolejce dwie kobiety i nagle zaczął niezwykle skrupulatnie wykonywać swoje obowiązki. Porucznik West nie przechodziła przez aparaturę prześwietlającą od czasów, gdy maszyna stała jeszcze w starym budynku sądów.

Able nigdy dotąd nie miał okazji przyjrzeć się komendant Hammer tak

dokładnie. Nigdy nie miał nad nią takiej kontroli jak teraz. Porucznik West była w mundurze i ominęła bramkę, która co chwila brzęczała, wykrywając pagery, monety, klucze i scyzoryki. Judy także ominęła bramkę, uważając, że wolno jej to zrobić ze względu na zajmowane stanowisko.

- Przepraszam, proszę pani! - zawołał głośno Able, aby wszyscy słyszeli. - Proszę pani! Proszę tędy.

- To jest szefowa policji - szeptem wyjaśniła mu Virginia, chociaż uważała, że sam powinien to wiedzieć.

- Proszę okazać dowód tożsamości - zażądał władczym tonem Able.

Długa kolejka zatrzymała się w miejscu, a oczy wszystkich zwróciły się na elegancko ubraną kobietę o znajomej twarzy. Kto to mógł być? Gdzieś już ją widzieli. Może występowała w telewizji, w wiadomościach, w jakimś talk show? Do diabła! Tinsley Owen, szósty w kolejce, wezwany do sądu za brawurową jazdę samochodem, domyślił się nagle. Ta kobieta w perłach to z pewnością żona kogoś bardzo ważnego, może nawet Billy'ego Grahama. Judy była wyraźnie zakłopotana, przeszukując torebkę, i to trochę zaniepokoiło Able'a. W końcu uśmiechnęła się do niego, pokazując swoją odznakę.

- Dziękuję za sprawdzenie. - Ton jej głosu mógł go znokautować. - A na wypadek gdyby ktoś miał wątpliwości, czy w naszym sądzie prawidłowo działa ochrona, poproszę pana o nazwisko. - Przysunęła się, aby zobaczyć, co miał napisane na plakietce. - O.T. Able - przeczytała na głos, starając się zapamiętać.

Koniec. Z pewnością komendantka złoży na niego skargę.

- Wykonywałem tylko swoje obowiązki - powiedział słabym głosem, a kolejka zrobiła się nagie bardzo długa, otaczała cały świat, całą ludzką rasę, która była świadkiem jego upadku.

- Z pewnością - zgodziła się pani Hammer. - Chcę się tylko upewnić, czy szeryf wie, jak bardzo powinien pana docenić.

Gdy Able zorientował się, że komendantka mówiła to wszystko zupełnie

serio, poczuł się nagle wyższy i szczuplejszy. Jego mundur w kolorze khaki leżał na nim jak ulał. Był przystojny i nie tak stary, jak mu się wydawało jeszcze tego ranka, gdy brał paliwo na stacji BP, a młodzież z autobusu wyśmiewała się z niego i obrzucała rasistowskimi wyzwiskami. Octavius Able wstydził się, że potraktował z wyższością szefową policji. Nigdy dotąd tak się nie zachowywał i nie miał pojęcia, co mu się stało.

ROZDZIAŁ 21

Judy Hammer i Virginia West podpisały się w biurze przepustek sądu i odbiły swoje karty zegarowe. Weszły na drugie piętro, gdzie na długim korytarzu tłoczyli się ludzie, szukający płatnych telefonów lub toalet. Niektórzy przysypiali na ławkach z klonowego drewna, inni przeglądali „Observera”, aby sprawdzić, czy jest jakaś wzmianka o ich sprawie. Gdy Virginia otworzyła drzwi do sali rozpraw numer 2107, jej rozdrażnienie jeszcze wzrosło. Sala była pełna czekających na wyroki oskarżonych i policjantów, którzy ich zatrzymali. Judy Hammer skierowała się do pierwszego rzędu i usiadła po stronie prawników i policji. Zastępca prokuratora okręgowego, Melvin Pond, natychmiast spostrzegł dwie najwyższej rangi policjantki i poczuł dreszcz podniecenia. Czekał na nie. To była jego szansa.

Sędzina Tyler Bovine z okręgu dwudziestego piątego także czekała na tę chwilę, podobnie jak przedstawiciele lokalnych i krajowych mediów. Batman i Robin, pomyślała z wyraźną satysfakcją sędzina, wychodząc z gabinetu. Przyjrzy się tej sprawie, gdy już zasiądzie na sali w majestacie prawa, odziana w długą, czarną togę, która kryła jej masywne ciało. Virginia West czuła narastający niepokój, wywołany porannym telefonem Panesy. Martwiła się o Brazila i przeczuwała, że nie będzie mogła szybko stąd wyjść i sprawdzić, co się z nim dzieje. Tyler Bovine, podobnie jak większość jej kolegów, pracowała na wyjeździe. Rezydowała po drugiej stronie rzeki Catawba i lekceważyła sobie Charlotte, a także jej obywateli. Była przekonana, że to tylko kwestia czasu, zanim Charlotte wchłonie jej rodzinne miasto Gastonię i resztę terenów, których nie udało się zdobyć generałowi

Cornwallisowi.

- Proszę wstać, sąd idzie.

Wszyscy wstali i sędzina Bovine, uśmiechając się do siebie, wkroczyła na salę rozpraw, gdzie natychmiast zauważyła obie policjantki. Wiedziała, że dziennikarze dostali cynk, aby nie tracili dzisiaj swojego cennego czasu, gdyż Batman i Robin wrócą tu w poniedziałek. O tak, wrócą. Sędzina usiadła i włożyła okulary, co dodało jej powagi i majestatu. Zastępca prokuratora okręgowego Pond wpatrywał się w rejestr spraw przewidzianych na ten dzień, jakby po raz pierwszy w życiu widział taki dokument na oczy. Przewidywał, że czeka go walka, ale miał zamiar zwyciężyć.

- Wnoszę o rozpatrzenie sprawy Stan Karoliny Północnej versus Johnny Martino - odezwał się z przekonaniem, którego wcale nie czuł.

- Sąd nie jest gotów, aby wysłuchać jej teraz. - Sędzina Bovine powiedziała to znudzonym głosem.

Virginia West trąciła łokciem szefową, która myślała o Secie i o tym, że nie wyobraża sobie, co zrobi, gdy jej mąż umrze. Nie miało znaczenia, jak bardzo ze sobą walczyli, ile razy doprowadzali się nawzajem do szaleństwa, udowadniając ponad wszelką wątpliwość, że mężczyzna i kobieta nie mogą być bratnimi duszami ani przyjaciółmi. Na twarzy Judy Hammer malowało się cierpienie i zastępca prokuratora okręgowego przeczuwał, że będzie to miało wpływ na jego przyszłość zawodową. Zawiódł tę wspaniałą, dzielną kobietę, której mąż leżał ranny w szpitalu. Komendant Hammer nie powinna tu siedzieć razem z tymi wszystkimi kretynami. Sędzina również zwróciła uwagę na jej wyraz twarzy i także opacznie go zinterpretowała. Szefowa policji nie poparła pani Bovine w ostatnich wyborach. Teraz się okaże, jak wielka i potężna jest Judy Hammer.

- Proszę wstać, gdy wywołam nazwisko. Maury Anthony - odezwał się Pond.

Rozejrzał się po sali pełnej ludzi. Jedni byli załamani, inni olewali wszystko, jeszcze inni drzemali. Maury Anthony i jego obrońca z urzędu

wstali i podeszli do stolika zastępcy prokuratora okręgowego.

- Panie Anthony, czy przyznaje się pan do posiadania kokainy, z zamiarem jej sprzedania? - zapytał zastępca prokuratora.

- Tak - odpowiedział Anthony.

Sędzina Bovine przyglądała się oskarżonemu, który niczym nie różnił się od innych.

- Panie Anthony. Zdaje pan sobie sprawę, że przyznając się do winy, pozbawia się pan prawa do apelacji - stwierdziła raczej, niż zapytała.

Oskarżony spojrzał na swojego obrońcę z urzędu, który skinął głową. Anthony skierował swoją uwagę z powrotem na sędzinę.

- Tak, proszę pana - powiedział.

Ci, którzy nie spali i śledzili przebieg wydarzeń na sali rozpraw, wybuchnęli gromkim śmiechem. Anthony natychmiast pojął, że palnął straszną gafę, i uśmiechnął się nieśmiało.

- Przepraszam panią. Moje oczy nie są już tak dobre jak kiedyś.

Znowu dał się słyszeć śmiech.

Wielka twarz sędziny Bovine wyglądała jak wykuta z kamienia.

- Stanowisko stanu? - zapytała, popijając wodę Evian z dwulitrowej butelki.

Pond zajrzał do notatek. Rzucił okiem na policjantki, mając nadzieję, że słuchały uważnie. Miał szansę wykazać się elokwencją, niezależnie od tego, jak durna była to sprawa.

- Wysoki Sądzie - zaczął mówić - w nocy dwudziestego drugiego lipca, około jedenastej trzydzieści Maury Anthony popijał w towarzystwie na Fourth Street, niedaleko Graham...

- Sąd oczekuje dokładnego adresu - przerwała mu sędzina Bovine.

- Oczywiście, Wysoki Sądzie, ale problem polega na tym, że tam nie ma żadnego adresu.

- Jakiś musi być - upierała się sędzina.

- Stojący w tym miejscu budynek zburzono w tysiąc dziewięćset

dziewięćdziesiątym piątym roku, Wysoki Sądzie. Oskarżony i jego koledzy siedzieli w zaroślach...

- Jaki był adres zburzonego budynku?

- Nie wiem - przyznał się Pond po chwili zastanowienia.

Anthony uśmiechnął się, jego obrońca z urzędu także wyglądał na zadowolonego. Virginia czuła, że zaczyna boleć ją głowa. Judy Hammer była zatopiona w swoich myślach. Sędzina znowu napiła się wody.

- Proszę podać sądowi adres - poleciła sędzina, zamykając butelkę.

- Tak, Wysoki Sądzie. Jednak ta transakcja nie odbywała się dokładnie pod starym adresem, raczej jakieś dwadzieścia pięć metrów za i jakieś piętnaście metrów, tak sędzę, pod kątem sześćdziesięciu stopni na północ od budynku Independence Welfare, który tam właśnie się znajdował i został zburzony, w zaroślach, gdzie pan Anthony stworzył coś w rodzaju obozowiska dla włóczęgów, gdzie kupowano, sprzedawano i zażywano kokainę crack tamtej nocy i jedzono kraby. Dwudziestego drugiego lipca.

Pondowi udało się, na krótko, zwrócić na siebie uwagę komendant Hammer, porucznik West, matki Johnny'ego Martino i śledzącej rozprawę części publiczności na sali sądowej, a także dwóch pomocników szeryfa i opiekuna sądowego młodocianych przestępców. Wszyscy patrzyli na niego ze zdziwieniem i niewiele rozumieli.

- Sąd domaga się podania adresu - powtórzyła sędzina.

Wypiła kolejny łyk wody i poczuła pogardę dla swojego psychiatry oraz dla wszystkich ludzi cierpiących na psychozę maniakalno-depresyjną. W wyniku kuracji litem nie tylko musiała wypijać dziennie wannę wody, ale także często oddawać mocz, co było źródłem dodatkowych problemów. Jej pęcherz i nerki zmieniały się w przelewową zaparżarkę do kawy, co czuła i doświadczała tego każdego dnia, jeżdżąc tam i z powrotem po hrabstwie Gaston, siedząc za stołem sędziowskim w sali rozpraw, idąc do kina czy lecąc zatłoczonym samolotem.

Ponieważ pracowała w sądzie wyższej instancji, mogła zarządzać przerwę

co piętnaście, dwadzieścia lub trzydzieści minut, a nawet dłuższą, do lunchu, jeśli tylko tego potrzebowała. Jednak nigdy dotąd nie zrobiła jednej rzeczy i nigdy tego nie robi. Nigdy nie przerwała toczącej się rozprawy, ponieważ bez względu na wszystko sędzina była dobrze wychowaną damą, która dorastała w rodzinie z tradycjami i skończyła Queens College. Sędzina Bovine była ostra, ale zachowywała się z klasą. Nie tolerowała głupców i ludzi pozbawionych klasy i nikt nie mógłby jej oskarżyć o brak dobrych manier. Tak naprawdę najważniejsze były maniery.

Pond się zawahał. Judy znowu zatopiła się w swoich myślach. Virginia niespokojnie wierciła się na ławce, której drewniane oparcie uwierało ją w plecy. Pociła się i niecierpliwie czekała, aż jej pager zacznie wibrować. Brazil może zrobić jakieś głupstwo, czuła to, chociaż nie bardzo wiedziała dlaczego i zastanawiała się, co z tym zrobić.

- Panie Pond - powiedziała sędzina - proszę kontynuować.

- Dziękuję, Wysoki Sądzie. Tej właśnie nocy, dwudziestego drugiego lipca, pan Anthony sprzedał kokainę crack policjantowi z Charlotte, który był po cywilnemu.

- Czy ten policjant jest na sali sądowej? Sędzina spojrzała na mrowie nikczemników, którzy siedzieli poniżej jej stołu.

Mungo wstał. Virginia West odwróciła się i zamarła z przerażenia, widząc, kto tak sapie, szura i hałasuje. Mój Boże, znowu to samo! Przeczuwała kolejne nieszczęście. Judy przypomniała sobie właśnie, jak Seth przyniósł jej kiedyś śniadanie do łóżka i położył na tacy kluczyki do samochodu. Nowy triumph spitfire był zielony, z drewnianym wykończeniem wewnątrz. Ona miała wówczas stopień sierżanta i sporo wolnego czasu, on zaś był bogatym synem zamożnego handlarza nieruchomościami. Wtedy wyjeżdżali jeszcze na długie wycieczki i na pikniki. Gdy wracała z pracy do domu, w salonie rozbrzmiewała muzyka. Kiedy przestał słuchać Beethovena, Mozarta, Mahlera i Bacha, a zaczął oglądać telewizję? Kiedy Seth zdecydował, że chce umrzeć?

- Podejrzany, pan Anthony - odezwał się Mungo - siedział na kocu w zaroślach, o których wspominał pan Pond. Był z dwoma innymi osobami, pili magnum forty-four i colt forty-five. Przed nimi stała brązowa, papierowa torba z tuzinem gotowanych krabów.

- Tuzin? - dopytywała się sędzina Bovine. - Czy pan je policzył, detektywie Mungo?

- Większości z nich już zjedli, Wysoki Sądzie. Powiedziano mi, że początkowo było ich tuzin. Wydaje mi się, że gdy je widziałem, zostały zaledwie trzy.

- No dobrze, proszę dalej.

Cierpliwość, jaką sędzina wykazywała dla tych bredni, była odwrotnie proporcjonalna do tej, z jaką wytrzymywała parcie na pęcherz. Wypiła kolejny łyk wody i zaczęła się zastanawiać, co zje na lunch.

- Podejrzany, pan Anthony, chciał mi sprzedać porcję cracku, kokainy, za piętnaście dolarów - kontynuował zeznania Mungo.

- Bzdura - skomentował to Anthony. - Człowieku, poczęstowałem cię cholernym krabem.

- Panie Anthony, jeśli się pan nie uspokoi, ukarzę pana za obrazę sądu - ostrzegła go sędzina Bovine.

- To był krab. Raz tylko użyłem słowa krab, gdy powiedziałem mu, że może się poczęstować.

- Wysoki Sądzie, zapytałem podejrzanego, co jest w torbie, a on wyraźnie powiedział, że crack - upierał się Mungo.

- Nic podobnego.

Anthony najwyraźniej zamierzał podejść do sędziny, ale obrońca z urzędu przytrzymał go za rękaw koszuli, do którego przyszyta była metka.

- To prawda - podtrzymywał swoje zeznanie Mungo.

- Nieprawda!

- Prawda.

- Nic podobnego!

- Spokój! - zarządziła sędzina. - Panie Anthony, jeszcze jedno takie wystąpienie i...

- Proszę mi pozwolić przedstawić moją wersję! - domagał się oskarżony.

- Po to właśnie ma pan adwokata - przypomniała mu sędzina z groźną miną, zaczynając już czuć wypitą wodę i tracąc opanowanie.

- Czyżby? Ten kawałek gówna? - Anthony spojrzał lekceważąco na swojego obrońcę z urzędu.

Siedzący na sali sądowej ożywili się i wykazywali większe zainteresowanie sprawą, niż Pond kiedykolwiek przedtem widział w tym miejscu. Coś wisiało w powietrzu i nikt nie chciał tego stracić, ludzie tręcali się łokciami i robili ciche zakłady. Jake, z trzeciego rzędu po stronie obrońcy, postawił pewną kwotę na to, że Anthony skończy w pierdłu. Shontay, dwa rzędy dalej, stawiała na detektywa po cywilnemu, który przypominał jej kopę siana ubraną w pognieciony garnitur. Wiadomo było, że gliny zawsze bywają górą, niezależnie od tego, jak są kiepscy. Quik, siedzący jeszcze dalej, miał to wszystko w dupie i kiwał rytmicznie kciukiem. Ten gnojek, który odpowiadał za jego obecność na sali sądowej, zapłaci za to. Tak go wrobić. Człowieku.

- Detektywie Mungo. - Sędzina Bovine miała już dość. - Na jakiej podstawie przeszukał pan brązową, papierową torbę pana Anthony?

- Wysoki Sądzie, było jak mówiłem. - Mungo stał bez ruchu. - Zapytałem go, co jest w torbie. I on mi wyjaśnił.

- Powiedział, że ma tam kraby i że może pan sobie jednego wziąć - podsumowała sędzina, która czuła, że naprawdę musi wyjść.

- Nie jestem tego pewien. Wydawało mi się, że powiedział crack. - Mungo starał się być rzetelny.

Takie rzeczy często mu się zdarzały. Zwykle słyszał to, co chciał usłyszeć. Sprawa została oddalona, ale nim sędzina mogła się udać do swojego gabinetu, nad wyraz gorliwy zastępca prokuratora okręgowego przedstawił kolejną sprawę i kolejną, i jeszcze jedną, a pani Bovine nie mogła

zarządzić przerwy, ponieważ nie było to zgodne z jej zasadami. Obywatele zatrzymani za włamania, kradzieże samochodów, gwałt, morderstwo, handel narkotykami stawali przed nią wraz ze swoimi obrońcami z urzędu. Pond rozumiał wymowny język jej ciała i żalną sytuację. Był przyzwyczajony do częstych wizyt sędziny w gabinecie i wiedział, że tylko wykorzystując jej przypadłość, może coś wygrać.

Za każdym razem, gdy Wysoki Sąd zamierzał powstać z ławy, zastępca prokuratora okręgowego zrywał się z miejsca i zgłaszał następną sprawę. Gdy tylko mógł, zapowiedział ponownie rozpatrzenie sprawy Johnny'ego Martino w nadziei, że złamie sędzinę, wystawi ją na próbę wody, której pani Bovine nie wytrzyma. Gdyby Wysoki Sąd wysłuchał sprawy Stan Karolina Północna versus Johnny Martino, pani Hammer i porucznik West mogłyby wrócić do pracy i do szpitala. Zastępca prokuratora okręgowego modlił się, aby komendantka pamiętała jego wysiłki, gdy za trzy lata sam się będzie ubiegał o urząd prokuratora okręgowego.

- Johnny Martino - znowu zgłosił Pond.

- Sąd nie jest jeszcze gotowy, aby wysłuchać sprawy. - Sędzina ledwo była w stanie mówić.

- Alex Brown - wyrzucił z siebie Pond.

- Jestem - Brown wstał, podobnie jak jego obrońca.

- Czy oskarżony przyznaje się do umyślnego zranienia?

- To on zaczął - zeznawał Brown. - Co miałem zrobić? Kupiłem ćwierć kilo wątróbek drobiowych, a on uznał, że chce dokładnie to samo, właśnie moją porcję i to bez płacenia.

Judy Hammer od pewnego czasu przysłuchiwała się temu, co działo się na sali sądowej, i zdążyła już sobie wyrobić opinię. To, co zobaczyła, było dużo bardziej przygnębiające, niż przypuszczała. Nic dziwnego, że policjanci z grupy operacyjnej i detektywi byli tacy zniechęceni i cyniczni, a ich zaangażowanie słabło. W swoim czasie nie miała żadnego współczucia dla takich ludzi, nie widziała dla nich żadnych szans. Byli leniwymi,

autodestruktywnymi, skupionymi na sobie darmozjadami, którzy nie mają społeczeństwu nic do zaoferowania, ale biorą, co chcą, od innych. Ale teraz myślała o Secie, o jego pieniądzach, pozycji, szansie. Pomyślała o miłości, jaką ona i inni go darzyli. Komendantka знаła wielu ludzi, którzy tak naprawdę wcale nie byli lepsi od tych na sali sądowej.

Virginia West miała ochotę zabić sędzinę Bovine. To oburzające, że szefowa i ona musiały tak długo czekać. Myśli o Brazylu nie dawały jej spokoju. Zastanawiała się, czy wrócił już do redakcji, i z każdą minutą ogarniały ją coraz gorsze przeczucia. Jeśli wkrótce stąd nie wyjdzie, może wywołać skandal. A co najdziwniejsze, jej przełożona wróciła do rzeczywistości i wydawała się interesować wszystkim, co działo się na sali, jakby pragnęła siedzieć tu cały dzień i rozmyślać o swoich prywatnych sprawach, o tym, kim była.

- Johnny Martino - znowu spróbował Pond.

- Sąd nie wysłucha teraz tej sprawy - warknęła sędzina, ostrożnie wstając z fotela.

No to mamy to z głowy przynajmniej na pół godziny, z wściekłością pomyślała Virginia. Przesiedzą obie ten czas na korytarzu. Wspaniale. I tak by się właśnie stało, gdyby pozwoliła na to matka Johnny'ego Martino. Podobnie jak porucznik West, pani Martino była już u kresu wytrzymałości. Doskonale wiedziała, co się dzieje. Zdawała sobie sprawę, że te dwie kobiety siedzące w pierwszym rzędzie to Batman i Robin i że sędzina musi iść do toalety. Szybko wstała z miejsca, zanim Wysoki Sąd zdążył zejść ze swojego podwyższenia.

- Chwileczkę - powiedziała głośno pani Martino, ubrana w elegancką sukienkę i pantofle, podchodząc do sędziny. - Siedzę tu cały czas i dokładnie wiem, co się dzieje.

- Proszę pani! - zaprotestowała sędzina, stojąc z zaciśniętymi nogami, podczas gdy na salę wślizgnął się już dziennikarz z radia New Country WTDR.

- Nie jestem żadną panią! - Pani Martino pokiwała palcem. - Ten chłopak, który obrabował wszystkich tamtych niewinnych ludzi, to mój syn. Mam więc prawo powiedzieć, co myślę. Wiem także, kim są te dwie panie. - Ukłoniła im się z szacunkiem. - Ryzykowały życie, aby pomóc biednym ludziom, gdy mój synalek, zepsuty do szpiku kości, wszedł do autobusu z pistoletem, który zdobył od jakiegoś handlarza narkotyków. To właśnie chcę wam powiedzieć.

Virginia West, Judy Hammer, zastępca prokuratora okręgowego Pond i cała sala słuchali pani Martino z wielkim zainteresowaniem. Sędzina uznała, że najlepiej będzie, jeśli usiądzie i zachowa zimną krew. Pani Martino całe życie czekała na swój wielki dzień w sądzie i zaczęła chodzić po sali jak doświadczony prawnik procesowy. Tim Nicks, reporter z radia, zapisywał każde jej słowo, a w uszach radośnie huczała mu krew. To zbyt piękne, aby było prawdziwe.'

- Coś pani powiem, pani sędzino - mówiła dalej matka Johnny'ego Martino. - Od razu zorientowałam się w tej grze. Za każdym razem, gdy mogła pani pozwolić tym zapracowanym paniom opuścić salę sądową, nie robiła pani tego, mówiła pani, proszę dalej, nie mogę, nie teraz i tak dalej. - Pokręciła głową, unosząc ramiona. - Dlaczego robi to pani ludziom, którzy pomagają, ludziom, którym na czymś zależy? To hańba, tak właśnie uważam.

- Zechce pani usiąść. - Wysoki Sąd jeszcze raz spróbował zapanować nad sytuacją.

Johnny Martino ubrany był w pomarańczowy strój więzienny, typowy dla okręgu Mecklenburg. Podniósł w górę prawą rękę i po raz kolejny w życiu przysięgał, że będzie mówił prawdę. Judy siedziała wyprostowana, pełna podziwu dla pani Martino, która wcale nie zamierzała zamilknąć, wręcz przeciwnie, dopiero zaczynała mówić. Virginia zastanawiała się, jak sędzina Krowa zamierza wyjść z tej kompromitującej sytuacji. Opanowała śmiech, niemal na granicy hysterii, który ogarnął ją razem z kolejną falą gorąca. Pond też się uśmiechał, a reporter radiowy gorączkowo robił notatki.

- Wysoki Sąd chce, abym usiadła? - Pani Martino podeszła bliżej stołu sędziny i oparła dłonie na biodrach. - No to coś pani powiem. Dobrze pani robi. Wysłucha pani sprawy Johnny'ego, wysłucha pani, jak ten łobuz przyznaje się do winy. A wtedy te dzielne kobiety będą mogły stąd wyjść, aby ratować życie innych, pomagać tym, którzy potrzebują pomocy, i oczyszczać nas od zła.

- Proszę pani, wysłucham tej sprawy - próbowała wyjaśnić sędzina Bovine. - To właśnie teraz robię...

Jednak pani Martino sama dobrze wiedziała, jak takie sprawy powinny przebiegać. Odwróciła się i popatrzyła na syna.

- Proszę mi powiedzieć - rozłożyła ramiona, jakby chciała objąć wszystkich na sali sądowej - czy jest tu ktoś, kto się nie zgadza, aby teraz rozpatrzyć sprawę, która dotyczy tych chrześcijańskich kobiet? - Rozejrzała się wokoło. Na sali panowała cisza, żadnej ręki w górze. - A zatem dobrze! Czy chcemy, aby te panie jak najszybciej mogły udać się do swoich obowiązków?

Na sali sądowej wybuchły oklaski i okrzyki, ludzie pozdrawiali Batmana i Robina, które siedziały nieruchomo, oniemiałe.

- Johnny Martino, czy przyznajesz się do popełnienia dziesięciu przestępstw rozboju z użyciem broni? - zapytał Pond.

Sędzina Bovine zacisnęła zęby, powstrzymując się od protestu i skupiając całą energię na utrzymaniu moczu.

- Przyznaję się - wymamrotał Johnny Martino.

- Co ma do powiedzenia stan? - wyszeptała z bólem sędzina.

- Jedenastego lipca o godzinie pierwszej jedenaście po południu Johnny Martino wsiadł do autobusu Greyhound - zaczął Pond. - Obrabował dziesięciu pasażerów, grożąc im bronią, zanim został obezwładniony przez komendant policji Judy Hammer i jej zastępczynię Virginie West...

- Niech żyje Batman! - zawołał ktoś z sali.

- I Robin!

Na sali znowu rozległy się okrzyki i spontaniczny aplauz. Sędzina Bovine nie była już w stanie dłużej tego wytrzymać. Mogła oczywiście wezwać szeryfa i poprosić go o interwencję, ale miała ważniejsze zmartwienia. Była kobietą uprzejmą, odpowiednio wychowaną, znającą dobre maniery i mimo to straciła panowanie nad salą sądową. To po pierwsze. Ktoś powinien za to zapłacić. Równie dobrze może to być ów skurczybyk, który sprowokował całą sytuację, gdy wszedł do jakiegoś cholernego autobusu.

- Stan zgadza się, aby wydać wyrok łączny za dziesięć przestępstw - oznajmiła nagle zupełnie opanowanym głosem. - Oskarżony jest recydywistą i zostanie skazany za każde z dziesięciu przestępstw na minimum siedemdziesiąt miesięcy lub maksimum na dziewięćdziesiąt trzy miesiące, co daje w sumie siedemset miesięcy minimum lub dziewięćset trzydzieści miesięcy maksimum. Sąd ogłasza przerwę do godziny pierwszej. - Zebrała w jedną rękę swoją togę i wyszła z sali, podczas gdy pani Martino zajęła się sprawdzaniem sądowej matematyki.

Reporter Nicks wrócił na South McDowell Street, skąd na częstotliwości 96,9 nadawano program „Najnowsza muzyka country i ulubione przeboje”. Jego stacja bardzo rzadko pierwsza podawała sensacyjne wiadomości lub ujawniała przecieki, zakładając z góry, że słuchacze muzyki country nie interesują się przestępstwami i nie dbają o to, czy handlarze narkotyków znajdują się w więzieniu. Z tego powodu, gdy działo się coś ważnego, władający miastem urzędnicy lub anonimowi informatorzy nigdy nie brali pod uwagę Nicksa. To był jego wielki dzień. Wskoczył ze swojego chevelle rocznik 67 tak szybko, że musiał dwa razy wracać, aby zabrać notatki i zamknąć wóz.

ROZDZIAŁ 22

Na falach radiowych podawano informację o zdumiewającym przedstawieniu w sądzie z udziałem dzielnych rycerzy, siedzących w pierwszym rzędzie, których sędzina przez długi czas całkowicie ignorowała. Wiadomość przekazywano z jednej stacji radiowej do drugiej w obu stanach Karolina. Don Imus podchwycił ją i ubarwił, jak tylko on potrafił, a Paul Harvey opowiedział resztę historii. Komendant Hammer wróciła do szpitala i natychmiast o wszystkim zapomniała, porucznik West natomiast jeździła po ulicach Charlotte, szukając Brazila, którego nikt nie widział od czwartku. A była niedziela rano.

Kiedy zadzwoniła, Packer znowu był z psem na podwórku. Podszedł do telefonu rozdrażniony i zakłopotany. On także nie miał wieści od młodego dziennikarza. W Davidson pani Brazil pochrapywała na kanapie, jak zwykle przesypiając telewizyjne kazanie Billy'ego Grahama. Telefon dzwonił i dzwonił, na stoliku stała butelka wódki i pełna petów popielniczka. Przejeżdżając obok budynku Knight-Ridder, Virginia po raz kolejny, zdenerwowana nie na żarty, zatelefonowała do Brazila z komórki.

- Cholera! - wybuchnęła. - Andy! Nie rób tego.

Pani Brazil z trudem otworzyła oczy. Udało jej się usiąść, bo miała wrażenie, że coś słyszy. Chór w błękitnozłotyach stułach modlił się do Boga. Może to ten hałas ją obudził. Sięgnęła po szklankę i dzwoniąc zębami o szkło, skończyła to, co zaczęła wieczorem. Potem oparła się z powrotem na starych poduszkach, gdy magiczny trunek rozgrzewał jej ciało, unosząc ją gdzieś, nie wiadomo gdzie. Wypiła jeszcze trochę i wtedy dotarło do niej, że skończyło się paliwo, został tylko quick mart. Zastanawiała się, skąd wziąć

piwo lub wino. Gdzie jest Andy? Czy przyszedł i wyszedł, gdy odpoczywała?

Nadszedł wieczór i Virginia została w domu. Nie chciała nikogo widzieć. Dusiło ją w piersiach i nie była w stanie dłużej usiedzieć na jednym miejscu ani na niczym się skoncentrować. Raines dzwonił kilkakrotnie, ale gdy słyszała jego głos na automatycznej sekretarce, nie podnosiła słuchawki. Wszystko wskazywało na to, że Brazil zniknął. Virginia nie mogła myśleć o niczym innym. To jakiś obłąd. Wierzyła, że nie zrobi niczego głupiego. Mimo to nawiedzały ją horrory, z jakimi często spotykała się w swojej pracy.

Widziała ofiary po przedawkowaniu narkotyków i zwłoki samobójców, którzy odebrali sobie życie z broni palnej, a ich ciała odnaleziono po kilku miesiącach, gdy myśliwi wrócili do lasów. Przed oczami policjantki przesuwaly się, jak nocne koszmary, wraki samochodów zatopionych w tajemniczych głębinach jezior i rzek, a ciała ich pasażerów wypływały dopiero podczas wiosennych roztopów lub po obfitych deszczach.

Nawet Judy Hammer, mimo osobistych problemów i braku czasu, kontaktowała się z Virginią kilka razy, zaniepokojona zniknięciem młodego wolontariusza. Cały weekend spędziła w szpitalu, zawiadomiła także synów, aby jak najszybciej przyjechali, gdyż ich ojciec coraz bardziej odchodził w dolinę cieni. Gdy weszła do pokoju, Seth nie mógł już mówić i powitał żonę niewidzącym wzrokiem.

Proces kojarzeniowy nie przebiegał w jego umyśle normalnie, myśli powstawały z fragmentów wspomnień i niewyrażonych emocji, które jednak zdołałyby stworzyć pełne znaczeń, złożone całości, dające się wyartykułować. Ale na to był zbyt słaby, bez sił i podłączony do urządzeń medycznych. Podczas rzadkich momentów świadomości, jakie pojawiały się w tych dniach, których rachubę już stracił, mógłby pomóc Judy, by zrozumiała jego intencje, lecz całkowicie paraliżował go ból. Został pokonany. Mógł tylko patrzeć przez łzy na jedyną kobietę, którą w życiu kochał. Seth czuł się zmęczony i było mu bardzo przykro. Miał dużo czasu, aby wszystko przemyśleć.

„Tak mi przykro, Judy. Nic na to nie mogłem poradzić, znasz mnie. Musisz czytać w moich myślach. Nie mogę ci już nic powiedzieć. Jestem taki zmęczony, ciągle mnie operują, wycinają i nie wiem, co jeszcze ze mnie zostało. Karałem cię, ponieważ nie potrafiłem ci niczego wynagrodzić. Za późno to zrozumiałem. Chciałem, żebyś się mną opiekowała. I zobacz, co się stało. Jak myślisz, czyja to wina? Z pewnością nie twoja. Chciałbym, żebyś trzymała mnie za rękę”.

Judy siedziała na krześle i tak jak to robiła przez dwadzieścia sześć lat, teraz także pilnowała swojego męża. Miał ręce przywiązane do łóżka, aby nie mógł wyciągnąć sobie rurek. Leżał na boku, kolor jego skóry był myląco zdrowy, nie dlatego, że organizm zwalczał chorobę, tylko dzięki dostarczanemu tlenowi - co uznała za tak typowe dla męża, że aż zakrawało na ironię losu. Seta pociągały w niej siła i niezależność, a potem, z tego samego powodu, zaczął jej nienawidzić. Pragnęła wziąć go za rękę, ale był taki kruchy, sztywny, cały spętany rurkami i tasiemkami.

Pochyliła się i położyła dłoń na czole męża. Zamrugał niewidzącymi oczami, pełnymi łez. Sprawiał wrażenie bardzo śpiącego, Judy była jednak przekonana, że jej mąż podświadomie wyczuwa, iż przy nim siedziała. Skalpele i bakterie zniszczyły już jego pośladki i teraz atakowały brzuch i uda. W pokoju strasznie śmierdziało, nie zwracała jednak na to uwagi.

- Seth - odezwała się spokojnym, opanowanym głosem. - Wiem, że możesz mnie nie słyszeć, lecz na wypadek gdyby było inaczej, chcę ci coś powiedzieć. Jadą tu już twoi synowie. Powinni być dziś po południu i przyjdą prosto do szpitala. U nich wszystko w porządku. Ja też tu jestem. Wszyscy bardzo się o ciebie martwimy.

Chory zamrugał oczami. Leżał nieruchomo, wdychając tlen, podczas gdy monitory pokazywały ciśnienie jego krwi i puls.

- Zawsze się o ciebie troszczyłam - mówiła dalej. - Zawsze cię po swojemu kochałam. Ale już dawno uświadomiłam sobie, że czułeś do mnie sympatię, bo wydawało ci się, że możesz mnie zmienić. Ty zaś pociągałeś

mnie tak bardzo, ponieważ myślałam, że się nie zmienisz. To było dość głupie, tak mi się teraz wydaje. - Przerwała, czując ukłucie w sercu, gdy na nią spojrział. - Były rzeczy, które mogłam zrobić lepiej i inaczej. Muszę wybaczyć sobie i muszę wybaczyć tobie. Ty musisz wybaczyć mnie, a ja sama muszę wybaczyć sobie.

Zgadzał się z tym, co mówiła, i pragnął to jakoś wyrazić, dać jej znać, co czuje i myśli. Jego ciało było jak urządzenie wyłączone z kontaktu, zepsute, pozbawione baterii. Włączył przełączniki w swoim mózgu, lecz nic się nie wydarzyło. A to wszystko dlatego, że wypił zbyt dużo, gdy bawił się w łóżku pistoletem, aby ją ukarać.

- Wyjdziemy z tego - zapewniała go Judy, połykając łzy. - Dobrze, Seth? Zostawimy to za sobą i wyciągniemy wnioski. Mamy przed sobą przyszłość. - Mówiła z trudem. - To, dlaczego wzięliśmy ślub, nie ma już żadnego znaczenia. Jesteśmy przyjaciółmi, kumplami. Nie żyjemy dla prokreacji ani żeby nawzajem spełniać swoje fantazje seksualne. Jesteśmy po to, aby się razem zestarzeć i nie czuć się samotnymi. Przyjaciele. - Uścisnęła jego ramię.

Z oczu Setha popłynęły łzy. To był jedyny znak, jaki dał, i Judy się wzruszyła. Płakała przez pół godziny, a Seth robił się coraz słabszy. Paciorkowce z grupy A sączyły toksyny do jego duszy i nic sobie nie robiły ze wszystkich antybiotyków, immunoglobuliny i witamin, pompowanych do jego wnętrza. Ta choroba sprawiła, że był jak pieczony comber, jak padlina na autostradzie.

Randy i Jude weszli do pokoju ojca kwadrans po szóstej i nie zastali go już przytomnego. Seth nie wiedział nawet, że byli przy jego łóżku, ale wystarczyła mu świadomość, że do niego jechali.

Virginia przejeżdżała obok baru Cadillac Grill, bilardu Jazzbone'a i w końcu skręciła do Davidson, podejrzewając, że może Brazil siedzi w domu i nie odpowiada na telefony. Zatrzymała się na zniszczonym podjeździe i zobaczyła, że był tu tylko ten okropny cadillac. Między płytami

chodnikowymi rosły chwasty. Wysiadła z policyjnego wozu i podeszła do frontowego wyjścia. Kilka razy nacisnęła dzwonek, a potem zaczęła dobijać się do drzwi. Nikt nie odpowiadał, więc z wściekłością uderzyła w nie policyjną pałką.

- Policja! - krzyknęła. - Otwierać!

Po dłuższej chwili drzwi się otworzyły i stanęła w nich pani Brazil, przecierając zaspane oczy. Utrzymywała równowagę, opierając się o framugę.

- Gdzie jest Andy? - zapytała Virginia.

- Nie widziałam go. - Matka Brazila przycisnęła dłoń do czoła, rzucając spojrzenie z ukosa, jakby świat nie służył jej zdrowiu. - Jest chyba w pracy - wymamrotała.

- Nie, nie było go tam od czwartku - odpowiedziała policjantka. - Jest pani pewna, że nie dzwonił?

- Spałam.

- A co z automatyczną sekretarką? Sprawdzała pani? - pytała dalej.

- Trzyma ją w swoim zamkniętym pokoju. - Pani Brazil chciała już wrócić na kanapę. - Nie mogę tam wejść.

Chociaż Virginia nie wzięła ze sobą narzędzi, potrafiła się dostać do wielu miejsc. Odkręciła klamkę i w ciągu kilku minut była już w pokoju Andy'ego. Pani Brazil wróciła do saloniku i posadziła swoje opuchnięte, zatrute ciało na kanapie. Nie chciała wchodzić do pokoju syna. Nie pozwalał jej na to, odkąd oskarżył ją o wyciąganie pieniędzy z portfela, który trzymał pod skarpetkami. Oskarżył ją też o grzebanie w jego szkolnych papierach, o zrzucenie trofeum ze stanowych mistrzostw w tenisie dla graczy do osiemnastu lat, które paskudnie się wgniotło, a figurka małego ludzika odpadła.

Na automatycznej sekretarce, stojącej obok schludnie zasłanego podwójnego łóżka ze skromną, zieloną kapą, pulsowało czerwone światełko. Virginia włączyła urządzenie i zaczęła się rozglądać. Na półkach stały brązowe i srebrne trofea sportowe. Na ścianach wisiały dyplomy za

osiągnięcia w nauce, Brazil nawet nie oprawił ich w ramki, tylko przytwierdził pinezkami. Pod krzesłem stały zniszczone buty tenisowe firmy Nike, jeden był przewrócony. Na ich widok poczuła skurcz w okolicach serca. Znowu ogarnęły ją przygnębienie i złość. Przypomniała sobie, jak Andy patrzył na nią tymi swoimi niebieskimi oczami. Przypomniała sobie brzmienie jego głosu przez radio i śmieszny sposób, w jaki próbował kawy językiem, choć Virginia ciągle mu powtarzała, że to nie jest elegancka forma sprawdzenia, czy kawa nadaje się do picia. Trzy pierwsze telefony zarejestrowane na sekretarce skończyły się odłożeniem słuchawki.

- Cześć - zaczynał się czwarty. - Tu Axel. Mam bilety na Bruce'a Hornsby'ego...

Przewinęła taśmę.

- Andy? Mówi Packer. Zadzwoń do mnie.

Ponownie przewinęła taśmę i usłyszała swój własny głos. Dalej znowu ktoś dwa razy odłożył słuchawkę. Virginia otworzyła szafę i zaniepokoiła się, widząc, że jest pusta. Zaczęła otwierać kolejne szuflady, w których także nic nie było. Zostawił natomiast książki i komputer, co tylko zwiększyło jej obawy i jeszcze bardziej zagmatwało obraz całej sprawy. Przecież to były jego największe skarby. Nie zostawiłby ich, chyba że zamierzał coś sobie zrobić. Zajrzała pod łóżko i podniosła materace, przeszukując każdy skrawek prywatnej przestrzeni Brazila. Nie znalazła też pistoletu, który od niej pożyczył.

Prawie całą noc jeździła po mieście, wycierając sobie twarz chusteczką, połykając proszki przeciwbólowe oraz włączając i wyłączając klimatyzację w samochodzie, w zależności od tego, czy było jej gorąco czy zimno. W okolicach South College zwolniła, przyglądając się badawczo przechodniom na ulicy, jakby oczekiwała, że ktoś z nich okaże się Andym. Rozpoznała Cykutę, młodą prostytutkę, którą widziała właśnie na taśmie wideo. Szła, a właściwie płynęła, wzdłuż trotuaru, paląc papierosa i ciesząc się z tego, że jest obserwowana. Odprowadziła szklanym wzrokiem granatowy, policyjny

wóz i Virginia długo jeszcze czuła na sobie jej natrętnie spojrzenie. Pomyślała o Brazilu, o jego niemal obsesyjnym zainteresowaniu wykolejeńcami i powodami, dla których takimi właśnie się stali.

Dokonali wyboru. Virginia cały czas to podkreślała i taka była prawda.

Zazdrościła jednak Andy'emu świeżości i niewinnej jasności sądów. Prawdę powiedziawszy, podchodził do życia z mądrością podobną do jej własnej, ale jego zrodziła się z wrażliwości, a nie z doświadczeń, które czasami osłabiały współczucie policjantki i topiły jej emocje na wielu skomplikowanych poziomach. Sposób widzenia świata Virginii kształtował się przez długi czas i najprawdopodobniej był nieodwracalny. Uważała, że każdy, kto bywa wystawiony w życiu na ciężkie próby, dochodzi w pewnym momencie do punktu, z którego nie ma odwrotu. Ona sama wiele przeżyła, była bita, ranna, musiała też zabić. Przekroczyła pewną granicę. Czuła, że spełnia pewną misję, ale delikatne, łagodne kontury życia były dla innych.

Przy Tryon Street zatrzymała się na światłach ulicznych w pobliżu baru Jake'a, kolejnego ulubionego miejsca na śniadanie. Thelma doskonale przyrządzała steki, kawa też tu była znakomita. Virginia patrzyła przed siebie, wybiegając wzrokiem do przodu, za budynek First Union Bank, na którego ścianie wymalowany był gigantyczny szerszeń. Nagle jej uwagę zwrócił ciemny, pudełkowaty kształt samochodu i czerwone światła w kształcie stożków. Była za daleko, aby odczytać rejestrację, ale zamierzała to sprawdzić.

Gdy światła zmieniły się na zielone, dodała gazu i po chwili siedziała już na ogonie starego BMW. Serce jej zabiło mocniej, gdy zobaczyła numer rejestracyjny. Nacisnęła klakson i zaczęła machać ręką, Brazil jednak jechał dalej. Goniąc go, jeszcze raz zatrąbiła, tym razem dłużej, ale dziennikarz najwyraźniej nie chciał jej rozpoznać, chociaż jechała przez centrum miasta tuż za nim. Wiedział, że to ona, ale miał wszystko w nosie, i popijał budweisera z puszki trzymanej między udami. Złamał prawo na oczach przedstawicielki prawa i wiedział, że ona to zauważyła, lecz zupełnie się tym

nie przejął.

- Cholerny skurczybyk! - wykrzyknęła Virginia, włączając światła alarmowe.

Przyśpieszył i nie mogła uwierzyć w to, co się działo. Jak on mógł zrobić coś tak głupiego?

- Ja ci pokażę!

Włączyła syrenę policyjną.

Andy już nieraz uczestniczył w pościgu, ale nigdy nie jechał na czele. Zwykle kogoś gonił, siedząc na przednim fotelu w samochodzie Virginii West. Znowu pociągnął łyk piwa, które kupił na parkingu dla ciężarówek tuż za wjazdem Sunset East na autostradę. Przydałoby mu się jeszcze jedno. Mógłby skręcić w Trade Street i tam uzupełnić zapasy. Rzucił pustą puszkę na tylne siedzenie, gdzie leżało już kilka innych, także opróżnionych. Aluminium zadźwięczało, jakaś puszka spadła na podłogę. Zepsuty szybkościomierz pozwalał mu wierzyć, że jechał z prędkością pięćdziesięciu kilometrów na godzinę.

Gdyby jednak licznik działał, wskazywałby blisko setkę i z taką szybkością Brazil skręcił na międzystanową autostradę. Virginia wciąż za nim jechała, a jej wściekłość i obawy ciągle rosły. Jeśli wezwałaby na pomoc inne radiowozy, Andy byłby skończony, straciłby pracę jako wolontariusz i miałby poważne kłopoty. Poza tym wcale nie była pewna, czy dzięki posiłkom udałoby się go zatrzymać, bo mógł do reszty stracić panowanie nad sobą. Poczuliby się zdesperowani i osaczony, a wiedziała, jak to się zwykle kończy. Już widywała na różnych drogach takie ostatnie rozdziały, pocięty metal karoserii, ostry jak brzytwa, potłuczone szkło, wyciekający olej, krew i czarny plastikowy worek w drodze do kostnicy.

Brazil jechał już z prędkością stu czterdziestu kilometrów na godzinę, a ona tuż za nim, z włączonymi światłami alarmowymi i syreną. Dotarło do niego, że nie wezwała pomocy przez radio. Słyszałby to przez swój skaner, a poza tym pojawiłyby się już inne policyjne radiowozy. Nie wiedział tylko,

czy powinien być zadowolony. Może nie traktowała go poważnie. Nikt nie traktował go poważnie i nikt już nie będzie, a wszystko przez Webba, przez nieuczciwość, bezwzględność życia i całą resztę.

Zjechał z autostrady przy Sunset Road East i zaczął zwalniać. To koniec. Brakowało mu paliwa. Ten pościg miał swoje granice. Właściwie równie dobrze mógłby się zatrzymać. Ogarnęło go jeszcze większe przygnębienie i wbiło po prostu w fotel, gdy zatrzymywał samochód na krawędzi asfaltu, z daleka od osiemnastokółowych ciężarówek z pomalowanymi na jaskrawe kolory kabinami i lśniącym chromem. Zgasił silnik i oparł się na kierownicy. Zamknął oczy, czekając na nieuchronną karę. Pani porucznik West nie oszczędzi mu żadnej zniewagi. W mundurze i z bronią, była przede wszystkim gliniarzem, srogim, nieprzyjemnym gliniarzem. Nic dla niej nie znaczyło, że stali się partnerami, chodzili razem na strzelnicę i rozmawiali.

- Andy! - Zapukała głośno w szybę. - Wyjdź - poleciła swoim zawodowym, policyjnym głosem.

Czuł się potwornie zmęczony, gdy wysiadał z wozu, który jego ojciec, Drew, tak bardzo lubił. Zdjął kurtkę ojca i rzucił ją na tylne siedzenie. Na zewnątrz było bardzo ciepło, ponad dwadzieścia stopni, wokół sodowych lamp fruwały chmary komarów i ciem. Andy był mokry od potu. Kluczyki od samochodu włożył do kieszeni obcisłych spodni, które według Munga wskazywały na przynależność do przestępczego środowiska. Virginia zaświeciła latarką przez tylne okno, przyglądając się aluminiowym półlitrowym puszkom po piwie. Naliczyła ich jedenaście.

- Czy wypiliśmy to wszystko dziś wieczorem? - zapytała, zamykając drzwi.

- Nie.

- A ile poszło dzisiaj?

- Nie liczyłem. - Patrzył na nią prowokacyjnie.

- Zawsze ignorujesz policyjne światła i syrenę? - zapytała wściekła. - A może dziś miałeś jakiś szczególny powód?

Brazil otworzył tylne drzwi BMW i z furią wyciągnął pogniecioną

sportową koszulkę. W milczeniu zdjął mokre polo i przebrał się. Virginia nigdy dotąd nie widziała go półnagiego.

- Powinnam cię zamknąć - powiedziała już mniej służbowo.
- Bardzo proszę - odparł.

Randy i Jude przylecieli na międzynarodowe lotnisko Charlotte-Douglas w odstępie czterdziestu pięciu minut, a matka czekała na nich tam, gdzie odbiera się bagaż. W ponurych nastrojach pojechali razem do Carolinas Medical Center. Judy była szczęśliwa, widząc swoich chłopców, odżyły stare wspomnienia, których dawno nie wydobywała z mroków pamięci. Obaj odziedziczyli po niej budowę ciała i olśniewająco białe zęby, a także przenikliwy wzrok i niespotykaną inteligencję.

Seth natomiast wyposażył synów w czterocyndrowe silniki, które nadawały im niewielką prędkość, kierując na prostą drogę, bez żadnych przeszkód. Randy i Jude byli szczęśliwi z samego faktu, że żyją, i donikąd się nie śpieszyli. Czerpali zadowolenie i radość ze swoich marzeń, a także od stałych gości w restauracjach, gdzie od czasu do czasu pracowali. Byli szczęśliwi u boku wyrozumiałych kobiet, które kochały ich mimo wszystko. Randy czuł się dumny z drobnych ról w filmach, mimo że nikt ich nie oglądał. Jude cieszył się, gdy mógł zagrać z kolegami w jakimś klubie jazzowym. Grywał z zamiłowaniem na perkusji nawet wtedy, gdy słuchało go nie więcej niż osiem, dziewięć osób.

Paradoksalnie, to nie odnosząca sukcesy zawodowe Judy miała pretensję do synów, że nie osiągnęli w życiu żadnej pozycji. To właśnie Seth wstydził się tego i był niezadowolony. Wykazywał taki brak zrozumienia i cierpliwości, że obaj woleli wyprowadzić się z domu. Oczywiście, Judy rozumiała psychologiczne przyczyny, które ukształtowały jego postawę. Seth nienawidził w synach tego, czego nienawidził u siebie. Aby sobie to uświadomić, nie trzeba było wielkiej przenikliwości. Jednak wiedza ta do

niczego się nie przydała. Dopiero tragedia, poważna choroba, sprawiła, że rodzina ponownie się zjednoczyła.

- Mamo, trzymasz się?

Jude siedział z tyłu w prywatnym samochodzie Judy. Pogłaskał ją po ramieniu.

- Staram się. - Z trudem przełknęła ślinę, gdy Randy spojrzął na nią z troską z przedniego fotela.

- Słuchaj, nie chcę go widzieć - powiedział, ściskając bukiet kwiatów, które kupił dla ojca na lotnisku.

- Rozumiem. - Pokiwała głową, patrząc w lusterko podczas zmiany pasa. - Jak moje wnuczeta?

- Świetnie - zapewnił ją Jude. - Benji uczy się grać na saksofonie.

- Nie mogę się doczekać, aby usłyszeć, jak gra. A Owen?

- Jest jeszcze za mała na instrumenty, ale świetnie tańczy. Gdy tylko słyszy muzykę, zaraz zaczyna podskakiwać, najchętniej ze Spring - opowiadał Jude. - Mówię ci, mamo, umarłabyś za śmiechu, gdybyś to widziała. To takie zabawne!

Spring była artystką, z którą Jude mieszkał od ośmiu lat w Greenwich Village. Żaden z synów Hammer nie był żonaty. Mieli po dwoje dzieci i Judy uwielbiała każdy złoty kosmyk na głowach swoich wnucząt. Nie mogła pogodzić się z faktem, że dorastają w odległych miastach, mając tylko sporadyczny kontakt ze swoją prawie legendarną babcią. Nie chciała stać się dla nich kimś, o kim będą kiedyś mówić, ale kogo tak naprawdę nigdy dobrze nie poznają.

- Smith i Fen bardzo chcieli ze mną przyjechać - powiedział Randy, biorąc matkę za rękę. - Wszystko będzie dobrze, zobaczysz.

Ogarnęła go kolejna fala nienawiści do ojca.

Virginia nie miała pojęcia, co zrobić ze swoim więźniem. Andy zapadł się w fotelu i skrzyżował ręce na piersiach, przyjmując buntowniczą pozę,

absolutnie bez cienia skruchy lub wyrzutów sumienia. Nie patrzył na Virginie, obserwował przez przednią szybę samochodu, jak nietoperze i ćmy fruwały w świetle lamp. Przyglądał się też kierowcom ciężarówek, którzy w kowbojskich butach o spiczastych nosach wracali do swoich potężnych rumaków, a potem, oparci o kabiny, palili papierosy, trzymając je jak facet z reklamy Marlboro.

- Masz papierosy? - zapytał Brazil. Spojrzała na niego, jakby stracił rozum.

- Zapomnij o tym.

- Daj mi jednego.

- Akurat. Nigdy nie paliłeś, a ja nie mam zamiaru ci w tym pomagać - oświadczyła, chociaż też miała ochotę zapalić.

- Nie wiesz, czy paliłem kiedyś fajki, gandzię czy inne rzeczy - odrzekł z przekąsem. - Tak! Wydaje ci się, że dużo wiesz. Gówno wiesz. Gliny. I ich ciemne, wąskie koleiny mózgowe.

- Doprawdy? A ja sądziłam, że też jesteś gliną. Czyżbyś z tego również zrezygnował?

Andy patrzył bezradnie przez boczną szybę. Zrobiło jej się go żal, ale nadal była wściekła. Chciałaby wiedzieć, o co tak naprawdę chodziło.

- Do diabła, co się z tobą dzieje?

Spróbowała innej taktyki, tym razem pytając na poważnie. Brazil milczał.

- Chcesz sobie zrujnować życie? A co by było, gdyby wcześniej zauważyli cię inni gliniarze? Zdajesz sobie sprawę, w jakie wpadłbyś tarapaty?

- Nic mnie to nie obchodzi - odpowiedział łamiącym się głosem.

- Nieprawda, obchodzi, do cholery! Spójrz na mnie!

Patrzył przed siebie, obserwując szklanym wzrokiem niewyraźne sylwetki na parkingu dla ciężarówek, mężczyzn i kobiety, których losy były tak inne od jego, i którzy nigdy by nie zrozumieli, co to znaczy żyć tak jak on. Gdyby przyjrzeni mu się bliżej, pewnie zaczęliby nim pogardzać, bo sądziliby, że jest

w uprzywilejowanej sytuacji, życie go rozpieszcza, ale tak naprawdę nigdy nie zdołaliby zrozumieć rzeczywistości, w jakiej on żył.

Tak właśnie myślał Bubba i zupełnie przypadkiem zatrzymał się swoim king cabem na tym samym parkingu. Najpierw zauważył BMW, a zaraz potem policyjny samochód swojego wroga. Nie mógł uwierzyć w takie szczęście. Zachowując spokój, poszedł najpierw zrobić zakupy. Kupił gumę do żucia, piwo i ostatni numer „Playboya”.

Brazil z trudem nad sobą panował, a Virginia usiłowała być twarda, co nie do końca jej się udawało. Zależało jej na nim, chociaż nie potrafiła powiedzieć dlaczego i to właśnie w dużej mierze było powodem, dla którego ten facet tak bardzo ją niepokoił, a jednocześnie wpędzał w zakłopotanie. Lubiała go, bo był zdolnym, dobrze zapowiadającym się stażystą, kimś, kogo mogłaby wprowadzać w tajniki zawodu, a gdyby się już wszystkiego nauczył, zostawić samemu sobie. Nie miała brata, lecz wyobrażała sobie, że mógłby być właśnie taki jak Andy: młody, inteligentny, wrażliwy i miły. Uważała go za przyjaciela, jednak nigdy nie dała mu tego wyraźnie do zrozumienia. Poza tym był przystojny, chociaż wydawał się nie przywiązywać do tego wagi.

- Andy - powiedziała cicho - proszę, powiedz mi, co się stało.

- W jakiś sposób dostał się do mojego komputera, do moich plików i nadawał wszystko w wiadomościach, zanim jeszcze coś pojawiło się w gazecie. Pierwszy podawał moje informacje. - Głos mu drżał i nie chciał, aby Virginia widziała go w takim stanie.

Słuchała jego słów zdumiona.

- On? - zapytała. - Jaki on?

- Webb. - Z trudem wymówił to nazwisko. - Takie gównno, które dmucha twoją koleżankę, zastępczynię komendantki!

- Co? - Nie miała pojęcia, o czym mówił.

- Goode - wyjaśnił. - Wszyscy o tym wiedzą.

- Ja nie wiedziałam. - Zastanawiała się, jak mogła przeoczyć taki fakt.

Brazil był zdruzgotany. Virginia otarła pot z czoła i nie bardzo wiedziała, co robić.

Bubba wrócił do swojej ciężarówki, kryjąc się w krzakach. Nalaną twarz ze zniekształconym nosem zasłaniał daszek czapki baseballowej. Wspiął się z zakupami do kabiny i siedział tam po ciemku, obserwując przez przednią szybę policyjny samochód. Po chwili zaczął kartkować kolorowe pismo, zatrzymując się dłużej przy naprawdę ciekawych historiach. Było ich wiele i Bubba starał się nie myśleć o swojej żonie ani nie robić żadnych porównań, zastanawiając się jednocześnie nad najlepszym sposobem ataku.

Tym razem był lekko uzbrojony, w kaburze miał tylko siedmiostrzałowy pistolet colta trzydziestkęósemkę. Gdyby wiedział, że spotka się z glinami, z pewnością wziąłby coś bardziej stosownego. Na szczęście miał wsparcie. Między siedzeniami leżał karabin Quality Parts Shorty E-2, z magazynkiem na trzydzieści kul, regulowanymi przyrządami celowniczymi, lufą wykończoną chromem i pokrytą fosforanem manganu, dzięki czemu nie połyskiwała w ciemnościach. W celach praktycznych mógł jeszcze użyć M-16, którym załatwiłby samochód policyjny w stylu Bonnie i Clyde'a. Przekręcił kolejną kartkę i korzystając z ciemności, zajął się naprawdę wielkimi sprawami.

Virginia nie była stworzona do pocieszania przedstawicieli rodzaju męskiego. Rzadko bywała w takich sytuacjach, poza tym nie pamiętała precedensów, na których mogłaby się wzorować. To mówił jej głos rozsądku. Brazil ukrył twarz w dłoniach. Bardzo mu współczuła. Co za niefortunny obrót spraw.

- Nie jest aż tak źle, naprawdę - powiedziała. - Rozumiesz? - Poklepała go po ramieniu. - Znajdziemy jakieś wyjście, dobrze? - Poklepała go jeszcze raz, a kiedy nie zareagował, wykrztusiła wreszcie z siebie. - Chodź tu.

Objęła go ramieniem i przyciągnęła do siebie. Położył głowę na jej kolanach, tuląc się jak skrzywdzone dziecko, którym przecież nie był. Virginia poczuła, że uderzenia gorąca nagle się nasiliły, a hormony przypuściły taki szturm, jak nigdy dotąd. Brazil chował twarz w jej mundurze, niezgrabnie ją obejmując i w pewnej chwili coś się w niej obudziło, coś, co zadziwiło ją samą. Widać poczuł to samo, uniósł głowę i posuwał się w górę, aż do szyi, i jeszcze dalej, aż znalazł usta Virginii. Przez chwilę oboje stracili nad sobą kontrolę. Ich umysły doznały szoku, doszły do głosu podstawowe instynkty, ponieważ matka natura tak właśnie działała, aby skusić pary do prokreacji.

Ci dwoje nie posunęli się jednak na tyle, aby się zastanawiać, jakie środki antykoncepcyjne byłyby najlepsze, biorąc pod uwagę ich budowę anatomiczną, potrzeby, gusty, system wartości, własne preferencje, fantazje, ukryte pragnienia lub wiarę w badania konsumenckie. Ten rodzaj kontaktu był dla nich czymś nowym, zwlekali więc jak mogli, aby dłużej nacieszyć się miejscami, które zawsze ich interesowały. Jednak rzeczywistość skwapliwie dała znać o sobie; Virginia wyprostowała się nagle i wyjrzała przez okno policyjnego radiowozu. Przypomniała sobie, że jest na służbie i tuli do siebie mężczyznę.

- Andy - powiedziała.

Brazil był zajęty.

- Andy - spróbowała jeszcze raz. - Wstań. Siedzisz na moim... pistolecie. - Usiłowała go odsunąć, ale robiła to bez energii i bez entuzjazmu, ponieważ wcale nie chciała, aby przestał. To istne piekło, a ona była zgubiona. - Usiądź - powiedziała, ocierając czoło. Jej życie legło w gruzach. - To jest kazirodztwo, pedofilia - wymamrotała, biorąc głęboki dech, podczas gdy Brazil kontynuował to, co zaczął wcześniej.

- Masz rację, masz rację - mrucał bez przekonania, zapoznając się z cudami jej ciała w sposób zupełnie dla niej nieznanym i porywającym.

Trudno dokładnie przewidzieć, czym mogłoby się to zakończyć, gdyby

nie interwencja Bubby. Niedaleko, przy szosie I-77, znajdował się hotel Holiday Inn Express, z basenem, telewizją kablową, odbierającą czterdzieści dwa programy, darmowymi rozmowami lokalnymi i prasą, a także kontynentalnym śniadaniem. Być może ci dwoje znaleźliby się nad ranem w jednym z tych pokoi i popadli w jeszcze większe tarapaty. Pewnie by się ze sobą przespali, chociaż w tym miejscu Virginia zwykle wyznaczała sobie granicę. Seks to jedno, ale nie sypiała z nikim, w kim nie była zakochana, a to znaczyło, że nie sypiała z żadnym żywym stworzeniem poza Nilesem.

Jednak takie rozważania stają się abstrakcyjne, gdy nagle słyszysz głośne stuknięcie w szybę i przed oczami pojawia ci się lufa karabinu, co przypomina Bośnię lub raczej Miami. Virginia nie miała okularów, jednak prymityw z bronią na zewnątrz policyjnego wozu wydał jej się dziwnie znajomy.

- Usiądź bardzo powoli - poleciała Brazilowi.
- Co się dzieje? - Nie miał jeszcze ochoty kończyć.
- Zaufaj mi - powiedziała.

Na szczęście szyby samochodu zaparowały, Bubba nie widział więc wyraźnie, co działo się wewnątrz granatowego forda crown victoria, chociaż oczywiście się domyślał. To tylko wzmogło jego podniecenie i jeszcze bardziej utwierdziło w przekonaniu, że zanim unicestwi tych dwoje, najpierw powinno im się przytrafić coś naprawdę, ale to naprawdę bardzo złego. Były dwie rzeczy, których Bubba nie był w stanie znieść: obmacujących się pedałów i obmacujących się heteryków. Kiedy widział migdałących się pedziów, miał ochotę wycisnąć im gówno uszami i zostawić w rynsztoku, aby zdechli. Kiedy zobaczył w policyjnym wozie to, co wydawało mu się, że widział, poczuł taki sam wstręt. Ludzie z pieniędzmi, pozycją lub udanym życiem seksualnym, a zwłaszcza tacy, którzy mieli to wszystko naraz, wywoływali w nim wręcz chorobliwą nienawiść. To była jego misja, aby zniszczyć ich w imię dobra Ameryki, wiedział o tym.

Virginia nie przeraziła się karabinu z trzydziestoma nabojami, choć z pewnością większość ludzi paraliżowałby zimny strach. Jej umysł pracował na pełnych obrotach. Miała wrażenie, że to ten sam typ, którego aresztowano w Latta Park za obnażanie się. Domyślała się już, dlaczego w krzakach koło domu znalazła klej Super Glue, i była wściekła, że Brazil całkiem nie rozwalił temu facetowi nosa. Poza tym umiała radzić sobie z agresją. Kiedy ktoś celował do niej z broni, potrafiła zachować zimną krew i działać racjonalnie. Odczepiła mikrofon i położyła go na fotelu obok siebie. Prawą ręką włączyła przycisk blokujący wysyłanie komunikatów przez wszystkie inne radiostacje w jej zasięgu. Dyspozytorzy, gliniarze, dziennikarze i przestępcy ze skanerami słyszeli teraz tylko ją. Następnie odsunęła szybę o kilka centymetrów.

- Proszę, nie strzelaj - powiedziała głośno. Bubba był zaskoczony i zadowolony z jej uległości.

- Otwórz drzwi - polecił.

- Dobrze, dobrze - mówiła głośno i wyraźnie. - Otworzę drzwi bardzo wolno. Proszę, nie strzelaj. Proszę. Jakoś to załatwimy, dobrze? A jeśli zaczniesz strzelać, wszyscy na siedemdziesiątym szóstym parkingu dla ciężarówek to usłyszą, a przecież tego nie chcesz, prawda?

Bubba też już o tym myślał i wiedział, że miała rację.

- Wsiądziecie oboje do mojej ciężarówki - polecił. - Pojedziemy na przejażdżkę.

- Dlaczego? - zapytała Virginia. - Czego od nas chcesz? My cię nie zaczepiamy.

- Czyżby? - Mocniej zacisnął palce na strzelbie, upajając się widokiem tej suki w mundurze, która skomlała przed nim, przed wielkim Bubbą. - A tamtego wieczora na strzelnicy, kiedy ten lalusz mnie uderzył?

- To ty zacząłeś - zaprotestował Brazil, co usłyszeli wszyscy na kanale drugim.

- Możemy to jakoś załatwić - powtórzyła Virginia. - Posłuchaj. Wrócimy

na Sunset i może spotkamy się tam w jakimś miejscu, gdzie będziemy mogli pogadać? Tu przyjeżdżają ciężarówki i wszyscy się na nas gapią. A przecież nie chcesz żadnych świadków, poza tym to nie jest dobre miejsce, aby rozmawiać.

Ale Bubbie wcale nie o to chodziło. Miał zamiar zastrzelić ich gdzieś nad jeziorem, przywiązać do ciał po kawałku cementowego bloku i wrzucić do wody w miejscu, gdzie nikt ich nie znajdzie, dopóki żółwie błotne nie wyjrzą im twarzy. Słyszał o takich przypadkach. Kraby też były w tym dobre, podobnie jak zwierzęta domowe, zwłaszcza koty, gdy zamknięte z ciałem właściciela, bez jedzenia, nie miały innego wyboru.

Kiedy tak się nad tym zastanawiał, autostradą I-77 pędziło osiem radiowozów policyjnych z Charlotte, z migającymi światłami alarmowymi. Dojeżdżały już do parkingu dla ciężarówek. Broń była wyjęta i gotowa do strzału. Z dachu budynku centrum odlatywał policyjny helikopter ze strzelcem wyborowym na pokładzie. Specjalna jednostka policyjna szykowała się do akcji. Zawiadomiono FBI i postawiono w stan pogotowia negocjatorów do rozmów z porywaczami i terrorystami, a także specjalną grupę zajmującą się porwaniami dzieci i seryjnymi morderstwami oraz jednostkę ratującą zakładników.

- Wsiadajcie z wozu! - rozkazał Bubba.

Nie pamiętał, że miał na sobie szorty w kratkę, białe skarpetki i biały podkoszulek firmy Fruit of the Loom, który nigdy nie był prany z użyciem wybielacza. Wyobrażał sobie, że jest w wojskowym moro, włosy ma wygolone, pod oczami czarne smugi, a muskuły prężą mu się, gdy ściska w dłoniach strzelbę, przygotowując się do zdobycia dwóch kolejnych punktów dla swojego kraju i dla chłopaków w klubie myśliwskim. To on, Bubba. Znał doskonałe miejsce nad jeziorem, gdzie mógłby spełnić swój obowiązek, przedtem zabawiwszy się trochę z tą lalą. Kto teraz jest górą, ty suko?

Policyjne radiowozy były już na Sunset East. Jechały jeden za drugim z migającymi światłami alarmowymi. Na postoju dla ciężarówek kilku

kierowców przestało się na chwilę interesować podgrzewanymi w kuchenkach mikrofalowych tortillami, cheeseburgerami i piwem. Gapili się przez szklane ściany, obserwując, co dzieje się na końcu parkingu, gdy tymczasem między drzewami widać już było migające niebieskoczerwone światła.

- Niech mnie, on ma strzelbę - powiedziała Betsy, przeżuwając kęs jedzenia.

- Tak, też to widzę - przyznał Al.

- Może powinniśmy pójść i pomóc.

- Pomóc komu? - spytał Tex.

Zastanawiali się jeszcze chwilę, aż policyjne wozy podjechały bliżej i słychać już było warkot helikoptera.

- Mnie się wydaje, że to Bubba zaczął - stwierdził Pete.

- Więc powstrzymajmy go.

- Słyszałeś, że ma broń?

- Przecież nas nie zastrzeli.

Argument był dyskusyjny. Bubba zorientował się, że otaczają go armie wroga, i wpadł w popłoch.

- Wyłączyć, ale to już, albo stracę cierpliwość! - krzyknął, wkładając nabój do komory, gdzie był już jeden.

- Nie strzelaj - Virginia podniosła rękę, widząc, że załadował broń. - Już otwieram drzwi, w porządku?

- Natychmiast! - ryknął i wycelował w nią lufę.

Virginia przyjęła najlepszą pozycję i oparła stopę na drzwiach. Następnie nacisnęła dłonią na klamkę i z całych sił uderzyła napastnika drzwiami, dokładnie w tym samym czasie, kiedy osiem radiowozów z wyjącymi syrenami i migającymi światłami wjechało na pełnym gazie na parking, zakłócając ciszę nocną. Mężczyzna otrzymał cios w brzuch i przewrócił się na plecy. Strzelba wypadła mu z ręki i potoczyła się po asfalcie. Virginia

błyskawicznie wyskoczyła z auta i usiadła na Bubbie, zanim jeszcze zdążyła dotknąć stopami ziemi. Nie czekała na posiłki. Nie zwracała też uwagi na wybiegających z baru kierowców ciężarówek, którzy w końcu zdecydowali się pomóc napadniętym. Brazil także wypadł z samochodu i wspólnie przewrócili pojmanego na tłusty brzuch, a następnie skuli go kajdankami. Mieli wielką ochotę dać mu potężny wycisk, ale się powstrzymali.

- Ty cholerny skurwysynu, ty gówniany kutasie! - krzyczał Brazil.

- Rusz się tylko, a rozwalę ci łeb! - wtórowała mu Virginia West, przyciskając pistolet do szyi Bubby.

Policjanci zabrali przestępcę, nie korzystając z pomocy kierowców, którzy wrócili do swoich posiłków i papierosów. Virginia i Andy siedzieli przez chwilę w milczeniu w jej samochodzie.

- Zawsze pakujesz mnie w kłopoty - powiedziała, zapalając silnik.

- Hej! - zdziwił się Brazil. - Dokąd jedziemy?

- Odwożę cię do domu.

- Ja już nie mieszkam w domu.

- Od kiedy? - Starła się nie okazać po sobie, że jest mile zaskoczona.

- Od przedwczoraj. Wynająłem mieszkanie w Charlotte Wood, na Woodlawn.

- No to tam cię zawiozę - oświadczyła.

- Ale tu jest mój samochód - przypomniał jej.

- A ty piłeś cały wieczór - powiedziała, zapinając pasy. - Wrócimy tu po twój wóz, gdy wytrzeźwiejesz.

- Ja jestem trzeźwy - upierał się Andy.

- Jak co? Jutro nie będziesz o niczym pamiętał.

Nie. Przez resztę swojego umęczonego życia Brazil będzie pamiętał każdą sekundę tego, co się wydarzyło. Ziewnął jednak i ostentacyjnie zaczął rozcierać sobie kostki.

- Chyba masz rację - przyznał, bo podejrzewał, że dla niej nie miało to większego znaczenia.

A więc dla niego także nie.

- Oczywiście, że mam rację.

Uśmiechnęła się do siebie. Natychmiast zauważyła obojętność Brazila. Jeszcze jeden typowy dupek. A ona kimże w końcu była, jeśli nie mającą nie najlepszą figurę kobietą w średnim wieku, która nigdy nie widziała większego lub bardziej interesującego miasta niż to, gdzie pracowała, odkąd skończyła college? Po prostu sprawdzał, na ile może sobie z nią pozwolić, przeprowadzając swój pierwszy test na starym, zdezelowanym samochodzie, którego nie byłoby mu szkoda, gdyby popełnił jakiś błąd. Miała ochotę zatrzymać się i kazać Brazilowi iść na piechotę. Wreszcie stanęła na parkingu pod blokiem i czekała, aż wysiadł, nie żegnając go żadnym ciepłym słowem.

Andy stał chwilę przed samochodem, trzymając rękę na klamce, i patrzył na Virginie.

- No to o której jutro?

- O dziesiątej - rzuciła krótko.

Trzasnął drzwiami i szybko odszedł, dotknięty i zirytowany. Wszystkie kobiety były takie same. Przez chwilę ciepłe i cudowne, bardzo podniecone i chętne, później wpadały w zły humor, robiły się obojętne i nie przywiązywały wagi do tego, co się stało. Nie rozumiał, jak po czymś tak wyjątkowym, co przeżyli wspólnie na parkingu, ich wzajemne stosunki do tego stopnia się ochłodziły, jakby nawet nie byli ze sobą po imieniu. Wykorzystała go, to wszystko. Dla niej nie miało to najmniejszego znaczenia i z pewnością zawsze się tak zachowywała. Była starsza, miała pozycję i doświadczenie, nie mówiąc już o urodzie i figurze, która przyprawiała go o zawrót głowy. Virginia West mogła zabawiać się z każdym, kto wpadł jej w oko.

Podobnie myślała żona Blaira Mauneya EL Polly Mauney martwiła się, że jej mąż mógłby się w coś wplątać w Charlotte, dokąd leciał następnego dnia samolotem USA-ir lot numer 392 z Asheville, gdzie mieszkali w pięknym

domu w stylu Tudorów. Blair Mauney pochodził ze starej, zamożnej rodziny i właśnie wrócił do domu po wyczerpującym meczu tenisowym, prysznicu, masażu i kilku drinkach z kolegami. Jego rodzina od kilku pokoleń zajmowała się bankowością, poczynając od dziadka, Blaira Mauneya, który był założycielem American Trust Company.

Ojciec Blaira Mauneya III, Blair Mauney Jr., został wiceprezesem spółki, gdy American Commercial połączył się z First National z Raleigh. Ogólnokrajowy system bankowy się rozwijał i wkrótce powstały kolejne fuzje, aż w końcu założono North Carolina National Bank. Interesy kwitły, a pod koniec lat osiemdziesiątych, w wyniku kryzysu S&L, te banki, które nie zostały jeszcze sprzedane, oferowano po niezwykle atrakcyjnych cenach. NCNB stał się czwartym co do wielkości bankiem w kraju i zmienił nazwę na US-Bank. Blair Mauney HI znał każdą minutę niezwyklej historii swojego znakomitego banku. Wiedział, ile zarabiał prezes, przewodniczący rady, wiceprezes, a także księgowy i dyrektor.

Sam piastował stanowisko wiceprzewodniczącego seniora US-Banku w obu stanach Karolina i rutynowo odbywał co pewien czas służbowe podróże do Charlotte. Bardzo mu to odpowiadało, ponieważ kiedy tylko chciał, mógł się oderwać od żony i nastoletnich dzieci, co najlepiej rozumieli jego koledzy, rezydujący w swoich podniebnych biurach. Tylko oni rozumieli strach, wdzierający się do serca każdego bankiera, że pewnego dnia Cahoon, który nie był tolerancyjny, może poinformować takich wyrobników jak Mauney, iż wypadli z łask. Blair rzucił torbę tenisową na podłogę w swojej zmodernizowanej ostatnio kuchni i otworzył drzwi lodówki, mając ochotę na kolejne amstel light.

- Kochanie? - zawołał, otwierając puszkę.
- Tak, mój drogi? - Żona weszła do kuchni. - Jak tenis?
- Wygraliśmy.
- Świetnie! - ucieszyła się Polly.
- Whiltersi dwadzieścia razy popełnili podwójne faule. - Przełknął piwo. -

Odbijali też na spalonym, ale tego nie liczyliśmy. Co dzisiaj było na obiad? - Ledwo spojrzał na Polly Mauney, swoją małżonkę od dwudziestu dwóch lat.

- Spaghetti bolognese, sałata i chleb siedem ziaren. - Zajrzała do jego torby i wyjęła przepocone szorty, koszulkę oraz skarpetki. Zawsze to robiła i będzie robić.

- Został jakiś makaron?

- Mnóstwo. Z przyjemnością coś ci przygotuję, kochanie.

- Może później. - Poczul ból w ścięgnach. - Chyba się przeforsowałem. Może to artretyzm, jak sądzisz?

- Z pewnością nie. Pozwolisz, że zrobię ci masaż, kochanie?

Masując męża, przypomniała sobie, co powiedział jej chirurg plastyczny, gdy rozmawiała z nim o terapii laserowej, za pomocą której chciała się pozbyć zmarszczek na twarzy i brązowej plamki na podbródku. Polly Mauney przeraziła się, kiedy lekarz oświadczył, że żadna wiązka światła nie zastąpi skalpela. To znaczyło, że z jej skórą jest fatalnie.

- Proszę pani - oznajmił chirurg. - Nie sądzę, aby kuracja laserowa była wystarczająca. Najbardziej widoczne zmarszczki są zbyt głębokie. - Delikatnie przesunął po nich palcem. Natychmiast się odprężyła, przepadała za pieszczotami. Pani Mauney uzależniła się od swojego lekarza. Lubiła, gdy dotykał jej skóry, uwielbiała, gdy na nią patrzył, wykonywał analizy, badał i oglądał ją po zabiegach lub zmianach kuracji.

- Dobrze - odrzekła - rozumiem, że tego pan nie poleca. Domyślam się, że lepszy byłby lifting twarzy.

- Zdecydowanie. Także oczu. - Podał jej lusterko.

Skóra pod i nad oczami zaczynała opadać. To nieuniknione. Powiedział jej, że nic się nie da zrobić, nie pomogą żadne okłady z zimnej wody, z ogórka, ograniczanie alkoholu i soli.

- A co z moim biustem? - dopytywała się Polly.

Chirurg plastyczny cofnął się o krok, aby lepiej widzieć.

- A co myśli o nim pani mąż? - zapytał.

- Pewnie wolałby, aby był większy.

Lekarz się roześmiał. Czemu nie powie jej tego wprost? O ile facet nie jest pedofilem lub gejem, zawsze woli większe.

- Nie możemy zrobić wszystkiego naraz - ostrzegł ją. - Implanty i lifting twarzy to dwa zupełnie różne zabiegi i musimy je rozdzielić, aby mogła pani odzyskać siły.

- Jak długo będę musiała czekać? - zapytała zmartwiona.

ROZDZIAŁ 23

Już w domu, po zamknięciu drzwi na noc, Virginia uświadomiła sobie, że będzie musiała nastawić budzik. Jednym z niewielu luksusów w jej życiu było spanie w niedziele tak długo, jak chciała, lub jak długo pozwalał jej Niles. Potem piła kawę i przeglądała gazetę, myśląc o rodzicach, którzy w niedzielę chodzili do kościoła baptystów w Dover, niedaleko Chevon i Pauline's Beauty Shop, gdzie jej matka każdej soboty o dziesiątej rano układała sobie włosy. Virginia co niedziela telefonowała do rodziców, zwykle w porze, gdy siadali do obiadu, żałując, że jej miejsce przy stole jest puste.

- Świetnie - powiedziała do siebie, wyjmując z lodówki piwo, podczas gdy Niles sadowił się na parapecie nad zlewozmywakiem. - A więc muszę nastawić budzik na wpół do dziewiątej. Możesz to sobie wyobrazić?

Już dawno zastanawiała się, na co Niles tak ciągle patrzy. Z tej części Dilworth nie było widać miasta, nad którego bezpieczeństwem czuwała, jeśli nie liczyć wierzchołka drapacza chmur, siedziby US-Banku, jaśniejącego nad niedokończonym płotem Virginii. Niles każdego wieczora siadywał w tym samym miejscu i gapił się przez okno, przypominając jej ET, tęskniącego za domem.

- Na co tak patrzysz? - Przesunęła palcami po jedwabistym rudym futerku kota, który zawsze wtedy zaczynał mruścić.

Nie odpowiedział i dalej patrzył przez okno jak w transie.

- Niles? - Zaczęła się niepokoić. - Co ci jest, malutki? Źle się czujesz? Połknąłeś sierść? Jesteś na mnie wściekły? Pewnie o to chodzi, mam rację? - Westchnęła i napiła się piwa. - Naprawdę chciałabym, abyś był dla mnie

bardziej wyrozumiały, Niles. Ciężko pracuję, robię wszystko, aby zapewnić ci bezpieczny i przyjemny dom. Przecież wiesz, że cię kocham, prawda? Ale ty nie możesz sobie darować i musisz sprawiać mi przykrość. Spędzam tam całe dni. - Wskazała palcem za okno. - I co z tego? Ty jesteś tutaj. To jest twój świat, a to znaczy, że twoja perspektywa nie jest tak duża, jak moja, nieprawdaż? Więc się wściekasz, że mnie tu nie ma. To nieuczciwe. Chciałabym, żebyś poważnie się nad tym zastanowił. Zrozumiałeś?

Słowa pani docierały do niego jak monotonne trajkotanie, brzęczenie owadów czy dźwięki wydobywające się z radia ustawionego na stoliku przy łóżku. Niles nie słuchał, wpatrywał się w samotnego króla Usbeece, który odwzajemniał jego spojrzenie. Niles czuł się wybrany. Nad krajem Usbeeceenów zawisło nieszczęście i tylko on mógł zapobiec katastrofie, ponieważ tylko on potrafił słuchać. Wszyscy inni patrzyli w górę na potężnego króla i w duchu szydzili z niego, podobnie jak między sobą, sądząc, że łaskawy monarcha tego nie słyszy. Oni, ludzie, chcieli przybycia Jego Wysokości. Chcieli jego domów opieki nad dziećmi i dzieł sztuki, szans na zrobienie kariery i jego bogactwa. A potem zaczęli być zazdrośni o jego potęgę, o jego wszechwładną i chwalebłą obecność. Zarówno ci stąd, jak i inni, z dalekich portów stali się zachłanni i *knuli* spisek, któremu tylko Niles był w stanie zapobiec.

- W każdym razie - kontynuowała Virginia, otwierając kolejną puszkę piwa, gdy ten szurnięty kot nie przestawał gapić się w noc - ścigałam go na południe, drogą numer siedemdziesiąt siedem, jadąc dziewięćdziesiąt mil na godzinę. Uwierzysz w to? Możesz być pewien, że gdyby nie ja, siedziałby teraz w więzieniu.

Pociągnęła łyk Miller Genuine Draft, zastanawiając się, czy nie powinna czegoś zjeść. Ale chyba po raz pierwszy od pamiętnej grypy, którą przechodziła kilka lat temu, nie była głodna. Czuła się lekko i jakoś dziwnie,

w ogóle nie chciało jej się spać. Próbowwała sobie przypomnieć, ile wypła dzisiaj kawy i czy to przypadkiem nie jest przyczyną jej problemu. Ale nie. Uznała jednak, że to raczej hormony, chociaż bestia już tak nie szalała, w zasadzie była spokojna przez większą część dnia i ukryta w jaskini, czekała na pełnię księżyca.

Król Usbeece posiadał władzę nad kilkoma słowami i Niles musiał dokładnie wsłuchiwać się w to, co mówił. Najbardziej sprzyjające były wschody i zachody słońca, kiedy okna lśniły bielą i złotem w łunie jego majestatu. Nocami Niles obserwował czerwone światełko, mrugające na szczycie korony niby latarnia morska i powtarzające mu ciągle: mryg-mryg - myg. A po niemal niezauważalnej przerwie jeszcze trzy mrugnięcia i tak w kółko. Trwało to tygodniami i Niles wiedział już, że szyfr wskazywał mu trójsylabowego wroga, którego armie w tym czasie zbliżały się do Queen City, gdzie rządził król.

- No więc, skoro jesteś taki miły - powiedziała Virginia do kota oschłym tonem - idę zrobić pranie.

Zdziwiony Niles wyprężył się i spojrzał na nią zmrużonymi oczami, czując zamęt w głowie. Co powiedział król? Co, co, co? Czyż wcześniej dziś wieczorem, kiedy Niles przyglądał się władcy, ten nie nadawał właśnie sygnału alarmowego? Światło” krążyło wówczas wokół budynku tam i z powrotem, tam i z powrotem, co przypominało pracę tego dużego, białego pudła, które włączała jego pani, gdy robiła pranie? Zbieg okoliczności? Niles był innego zdania. Zeskoczył z parapetu na blat i pobiegł za panią do pomieszczenia gospodarczego. Sierść zjeżyła mu się na karku, gdy Virginia włożyła rękę do kieszeni spodni i wyjęła z nich pieniądze przed wrzuceniem ubrania do bębna maszyny. Niles doznał olśnienia. Jak oszalały zaczął się ocierać o nogi pani, trącał ją nosem i czepiał się pazurami jej spodni, usiłując dać znak.

- Cholera! - Virginia strąciła z siebie kota. - Co się z tobą dzieje, do diabła?

Brazil leżał w śpiworze na podłodze w swoim wynajętym, nieumeblowanym, jednopokojowym mieszkaniu. Bolała go głowa i męczyło pragnienie. Przez dwa dni pił piwo i ta świadomość go przeraziła. Jego matka prawdopodobnie zaczynała dokładnie tak samo, a teraz poszedł w jej ślady. Wiedział wystarczająco dużo o genetyce, aby się domyślać, że mógł odziedziczyć po matce skłonność do autodestrukcji. Czuł się wstrząśnięty taką perspektywą. Wstydział się swojego zachowania i był przekonany, że Virginia jedynie pobłażała pijanemu chłopcu i to, co między nimi zaszło, nigdy się już nie powtórzy.

Leżał bez ruchu, z rękami pod głową, wpatrując się po ciemku w sufit i słuchając muzyki. Przez okno widział wierzchołek US-Bank Corporate Center, który niemal dotykał srebrzystego księżyca, a na szczycie korony pulsowało czerwone światelko. Gdy tak leżał, nagle zdał sobie z czegoś sprawę. Następnego dnia mijały dwa tygodnie od ostatniego morderstwa Czarnej Wdowy.

- Chryste!

Brazil usiadł. Był spocony i ciężko oddychał.

Odrzucił śpiwór i wstał. Zaczął krążyć nerwowo po pokoju, ubrany tylko w spodenki gimnastyczne. Nalał sobie wody i pił ją w swojej pustej kuchni, patrząc na budynek US-Banku i zastanawiając się, co robić. Gdzieś tam znajdował się jakiś biznesmen, który może stać się kolejną ofiarą! Gdyby tylko potrafił temu zapobiec. Gdzie był teraz zabójca? O czym myślał ten bandyta, gdy ładował broń, czekając na swoim miejscu przy Five Points na kolejny wynajęty samochód jadący w kierunku miasta?

Niles chodził za Virginią po całym domu. Była pewna, że oszalał, co czasami przytrafiało się kotom syjamskim, abisyńskim lub innym przerasowanym stworzeniom, które towarzyszą ludziom od tysięcy lat. Niles kręcił się pomiędzy jej nogami i dwukrotnie omal się przez niego nie

przewróciła. Nie miała wyboru i musiała go kopnąć tak, że przeleciał przez pół pokoju.

Miauknął, ale nie przestał. Potem zaś wściekł się na dobre. Jeszcze raz mnie kopniesz, a zobaczysz! Pani wepchnęła go bokiem stopy pod łóżko, zdobywając kolejny punkt.

Niles obserwował pokój z ciemnego kąta między sprężynami łóżka a parkietem, machając ogonem. Począł, aż Virginia zdjęła buty i skarpetki, a wtedy wypadł i ugryzł ją w miękkie miejsce z tyłu pięty, tuż za kostką. Wiedział, że to bolało, ponieważ już wcześniej tak robił. Ściagała go po domu przez dziesięć minut, a on uciekał naprawdę, bo zdawał sobie sprawę, że żarty się skończyły, a w oczach pani jarzyła się mordercza wściekłość. Wrócił pod łóżko i pozostał tam do czasu, aż Virginia poczuła się zmęczona i zasnęła. Wtedy wyslizgnął się i poszedł do kuchni. Zwinął się w kłębek na parapecie, gdzie w ciemne i samotne noce czuwał nad nim dobry i kochający król.

Rano zaczął padać deszcz. Nieprzyjemny dzwonek budzika wyrwał Virginie ze snu. Jęknęła, buntując się przeciwko wstawaniu z łóżka, gdy wielkie krople bębniły o dach. To doskonała pogoda do spania. Dlaczego ma wstawać? Po chwili przypomniała sobie o Brazili i jego BMW, a także o dziwnym zachowaniu Nilesa poprzedniego wieczora. To jeszcze bardziej zepsuło jej humor, ale jednocześnie podnieciło. Bez sensu. Podciągnęła kołdrę pod brodę, a wówczas napłynęły wspomnienia, niepokojące, lecz w jakiś sposób pokrewne temu, o czym marzyła. Gdy leżała bez ruchu, niemal czuła ręce i usta Brazila na swoim ciele. To ją przeraziło i jeszcze przez jakiś czas nie wstawała.

Niles, mając trochę swobody, wślizgnął się do pomieszczenia z pralką. Interesowało go duże, białe pudło, w którym znajdowały się wilgotne ubrania. Na wierzchu leżało kilka banknotów i trochę drobnych. Wskoczył na górę, mając już pomysł, jak przekazać swojej pani wiadomość od króla Usbeece. Niles był pewien, że potrafiłaby zapobiec niebezpieczeństwu, na

jakie był narażony król. Mogłaby coś zrobić, gdy włoży ten swój mundur ze wszystkimi skórzanymi i metalowymi, niebezpiecznymi zabawkami. Niles domyślał się, że o to właśnie chodziło. Król mówił do niego i chciał, aby przekazał te informacje swojej pani. A ona powinna zaalarmować innych. Wezwać posiłki, a wtedy król i Usbeeceenowie zostaną uratowani.

Niles spędził pięć ciężkich minut, usiłując otworzyć klapę pralki. Wsadził tam łapę i wyciągnął wilgotną szmatkę. Następnie wziął w zęby banknot pięciodolarowy i zeskoczył na podłogę, zadowolony i przekonany, że jego pani też się ucieszy. Ale wcale tak nie było. Virginia z furią usiadła na łóżku, gdy na jej twarzy wylądowały wilgotne majtki. Wpatrywała się w nie oraz w pięciodolarowy banknot na swojej piersi i nagle poczuła zimny dreszcz.

- Poczekaj chwilę - powiedziała do Nilesa, który na wszelki wypadek uciekł. - Wracaj. Naprawdę.

Zatrzymał się i spojrzał na nią z daleka, machając ogonem. Nie ufał jej.

- No dobrze. Rozejm - obiecała. - Coś się dzieje. To nie jest twój kolejny pomysł na zabawę, prawda? Chodź tutaj i powiedz mi.

Niles wywnioskował z tonu jej głosu, że mówiła szczerze, a nawet była trochę skruszona. Przeszedł przez sypialnię i wskoczył na łóżko, jakby nigdy nic. Utkwił wzrok w swej pani, która zaczęła go głaskać.

- Przyniosłeś mi majtki i pieniądze - powiedziała. - Czy to coś znaczy?

Jego ogon poruszył się, lecz bez entuzjazmu.

- Czy to ma coś wspólnego z majtkami? Ogon znieruchomiał.

- Z bielizną? Brak reakcji.

- Seksem? Ani drgnął.

- Cholera - mruknęła. - Co jeszcze? Dobrze, prześledźmy tę sprawę, popracujmy nad nią jak nad kryminałem. Poszedłeś do pralki, otworzyłeś pokrywę, wyciągnąłeś to, chociaż jest wilgotne i nie było jeszcze w suszarce. Co dokładnie chciałeś wyjąć i przynieść mi? Ubranie?

Niles zaczynał się już nudzić.

- Oczywiście, że nie - upomniała samą siebie. Kot mógł wziąć jej ubranie

skądkolwiek, z krzesła, z podłogi. A on tak się namęczył z jedną parą majtek.

- Poszedłeś do pralni - powiedziała.

Niles machnął ogonem.

- Aha, ciepło. Pralnia? O to chodzi?

Przybiegł do niej, machając jak oszalały ogonem i liżąc ją po rękę. Virginia postanowiła zająć się pięciodolarowym banknotem. Już po drugiej próbie pojęła, że chodzi o słowo „pieniądze”.

- Pralnia i pieniądze - mruknęła zdziwiona.

Niles nie mógł już bardziej jej pomóc, ale był przekonany, że dokładnie przekazał wiadomość od króla. Zeskoczył z łóżka i wrócił do kuchni. Niestety, strugi deszczu przesłoniły poranne powitanie, jakie ten zwykle przesyłał swojemu wiernemu słudze. Kot był rozczarowany, a Virginia spóźniona. Wybiegła z domu, lecz po chwili wróciła, zapomniawszy najważniejszej rzeczy, małego pudełka, które odłączyła od telefonu. Pędziła East Boulevard w kierunku South Boulevard, a następnie skręciła w Woodlawn. Brazil miał na sobie wiatrówkę z kapturem i czekał na parkingu, ponieważ nie chciał, aby zobaczyła jego maleńkie puste mieszkanko.

- Cześć - przywitał ją.

- Przepraszam za spóźnienie. - Nie patrzyła na niego. - Mój kot oszalał.

Zaczynało się nieźle, uznał z ponurą miną. On myślał o niej, a ona o swoim kocie.

- Co z nim? - zapytał.

Virginia wyjeżdżała z parkingu w strugach deszczu. Opony ślizgały się po mokrych ulicach. Brazil zachowywał się tak, jakby nic się nie wydarzyło. To tylko utwierdziło ją w przekonaniu, że wszyscy faceci są tacy sami. Uważała, że jego zamach na jej intymność nie był niczym innym niż przekartkowaniem magazynu z gołymi kobietami. Okropieństwo.

- Po prostu oszalał, to wszystko - powiedziała. - Ciągłe gapi się w okno, wyciąga rzeczy z pralki, gryzie mnie. Wydaje z siebie jakieś dziwne dźwięki.

- Czy to coś nowego w jego zachowaniu? - zapytał Brazil tonem

psychologa.

- Tak.

- A jakie dźwięki wydaje? - interesował się dalej.

- Coś w rodzaju yowl-owl-owl. Potem milknie i po chwili znowu to samo.

Zawsze trzy sylaby.

- Według mnie Niles próbuje ci coś przekazać, lecz ty go nie słuchasz. Być może wskazuje ci coś, co jest pod twoim nosem, ale ty jesteś zajęta czymś innym albo nie chcesz go zrozumieć. - Najwyraźniej był z siebie zadowolony.

- Od kiedy jesteś kocim psychoanalitykiem? - Spojrzała na niego i znowu doznała przyprawiającego ją o zawrót głowy uczucia ucisku w jelitach, jakby wykluwały się tam kijanki.

Andy wzruszył ramionami.

- Wszystko dotyczy natury ludzkiej lub zwierzęcej. Możesz to nazwać, jak chcesz. Jeśli tylko poświęcimy trochę czasu i spróbujemy spojrzeć na rzeczywistość z perspektywy kogoś innego, z odrobiną zrozumienia, wtedy wszystko może wyglądać inaczej.

- Ha! - rzuciła, wyjeżdżając przez Sunset East.

- Właśnie minęłaś parking dla ciężarówek. I co znaczyło to „ha”?

- Sądzisz, że wyuczyłeś się swojej roli perfekcyjnie, prawda, chłopcze? - Roześmiała się w nieprzyjemny sposób.

- Nie jestem chłopcem, szkoda, że jeszcze tego nie zauważyłaś - odparł i nagle po raz pierwszy zdał sobie sprawę, że Virginia West się boi. To go zaskoczyło. - Jestem dorosły i nie ucę się żadnej roli. Musiałaś spotkać w swoim życiu wielu złych ludzi.

Jego uwagi szczerze ją rozbawiły. Śmiała się, a deszcz padał coraz bardziej. Włączyła wycieraczki i radio. Brazil obserwował błakający się na jej ustach uśmiech, chociaż doprawdy nie miał pojęcia, co takiego śmiesznego powiedział.

- Czy spotkałam wielu złych ludzi? - Z trudem udało jej się coś

wykrztusić między kolejnymi wybuchami śmiechu. - A jak ja, na litość boską, zarabiam na życie? Pracuję w piekarni, sprzedaję lody czy może układam kwiaty? - Znowu się roześmiała.

- Nie miałem na myśli twojej pracy - wyjaśnił Andy.- Żli ludzie, których spotykasz jako policjantka, tak naprawdę nie są w stanie cię zranić. Chodzi mi o tych spoza pracy. No wiesz, przyjaciół, rodzinę.

- Tak. Masz rację. - Virginia spoważniała. - Dobrze o tym wiem. I co z tego? - Spojrzała na niego. - Nie masz o niczym pojęcia. Nie wiesz o mnie nic, nie wyobrażasz sobie, przez jakie gówna musiałam przejść, najmniej się tego spodziewając.

- I dlatego nie wyszłaś za mąż ani z nikim nie jesteś - dodał.

- I dlatego zmienimy temat. A poza tym, to ty masz mówić.

Rozkręciła głośniej radio, a deszcz walił o dach jej prywatnego auta.

Judy Hammer patrzyła na deszcz przez okno w szpitalnym pokoju męża, podczas gdy Randy i Jude siedzieli sztywno na krzesłach przy jego łóżku. Wpatrywali się w monitory, obserwując każdą zmianę pulsu i rytm, w jakim ojciec wdychał tlen. Z godziny na godzinę odór gnijącego ciała był coraz większy, a chwile świadomości Setha przypominały niesione wiatrem, leciutkie nasionka, które nie mogły się zdecydować, czy lecieć dalej czy gdzieś wylądować. Dryfował w nieświadomości, a jego rodzina nie miała nawet pojęcia, czy wiedział o ich przybyciu i trosce. Było to szczególnie gorzkie dla jego synów. Ciągle to samo. Ojciec aż do końca nie miał dla nich uznania.

Deszcz zacinał w szyby, zmieniając świat na szary i mokry, a Judy niemal cały ranek stała w tej samej pozycji: ręce skrzyżowane na piersiach, czoło oparte o szybę. Czasami o czymś myślała, czasami się modliła. Jej rozmowa z Bogiem nie zawsze dotyczyła męża. Prawdę mówiąc, Judy bardziej martwiła się o siebie. Wiedziała, że dotarła do rozstajnych dróg i czekało ją coś nowego, coś, co wymagało o wiele więcej wysiłku, niż mogła z siebie

dać, mając u boku ciągnącego ją w dół Seta, jak to było przez wszystkie minione lata. Dzieci były już na swoim. Niedługo zostanie całkiem sama. Nie potrzebowała specjalisty, aby jej to uświadomił, gdy patrzyła, jak choroba żarłocznie pochłaniała ciało jej męża.

Zrobię wszystko, co będziesz chciał - zwróciła się do Wszechmogącego. - Cokolwiek miałyby to być. Ale tak naprawdę, co to znaczy? To fakt, że nie byłam najlepszą żoną. Przyznaję, że nie wykazałam się w tej dziedzinie talentem. Zresztą, być może także jako matka. Teraz jednak chciałabym to wszystkim wynagrodzić. Tylko powiedz mi jak.

Wszechmocny, który poświęcił Judy Hammer więcej czasu i był z nią bardziej związany, niż zdawała sobie z tego sprawę, z zadowoleniem słuchał tych słów, ponieważ miał wobec niej wielkie plany. Nie teraz, później, gdy nadejdzie czas. Sama się przekona. To może się okazać dość zaskakujące. W tym czasie Randy i Jude przyglądali się matce, jakby zobaczyli ją tego dnia po raz pierwszy. Widzieli jej głowę, rysującą się na tle szyby, jej niezwykle spokojny, zadziwiający dla kogoś, kto w zasadzie zawsze był w ruchu. Przepojeni głęboką miłością i szacunkiem do matki podeszli obaj i objęli ją ramionami.

- Wszystko będzie dobrze, mamo - powiedział cicho Randy.

- Jesteśmy z tobą - zapewnił Jude. - Chciałbym być jakimś sławnym prawnikiem, lekarzem, finansistą lub kimś w tym stylu, abym mógł się tobą zaopiekować.

- Ja też - poparł go Randy. - Ale jeśli się nas nie wstydzisz, zostaniemy przynajmniej najlepszymi przyjaciółmi, dobrze?

Nie mogła powstrzymać łez. Wszyscy troje mocno się obejmowali, a serce Seta biło coraz słabiej. Nie miało już sił albo Seth Bridges jakąś częścią swojej świadomości uznał, że może odejść właśnie teraz. Odszedł jedenaście minut po jedenastej i ani lekarze, ani urządzenia medyczne nie zdołali przywołać go z powrotem.

ROZDZIAŁ 24

Virginia świadomie przejechała zjazd Sunset East. Nie zamierzała jeszcze zajmować się samochodem Brazila. Dochodził kwadrans po jedenastej i większość ludzi siedziała w kościołach, modląc się, aby pastor jak najszybciej zakończył mszę. Porucznik West była wyraźnie przygnębiona. Czuła się tak, jakby przytłaczał ją potworny ciężar. Nie potrafiła sobie wytłumaczyć tego stanu, chciało jej się płakać i winiła za to ów szczególny okres, który co miesiąc pojawiał się w życiu kobiety.

- Wszystko w porządku? - Brazil wyczuł jej nastrój.

- Nie wiem - powiedziała bezradnie.

- Wyglądasz na przygnębiają - zauważył.

- To naprawdę niesamowite. - Spojrzała na prędkościomierz i rozejrzała się, czy w pobliżu nie ma drogówki. - Ogarnęło mnie nagle złe samopoczucie, jakby działo się coś naprawdę strasznego.

- Mnie też się to czasami zdarza - wyznał. - Jakbym przechwycił nie wiadomo skąd jakąś informację, wiesz, co mam na myśli?

Doskonale wiedziała, ale nie rozumiała, dlaczego. Nigdy nie uważała się za podatną na przeczucia.

- W ten sposób często orientowałem się, jaki był stan mojej matki - mówił dalej Brazil. - Zanim jeszcze wszedłem do domu, już wiedziałem, że jest w kiepskiej formie.

- A teraz?

Virginia była zdziwiona tym, co się z nią działo. Uważała się za kobietę pragmatyczną i mającą wszystko pod kontrolą. Teraz zaś odbierała pozaziemskie sygnały i rozmawiała o tym z dwudziestodwuletnim

dziennikarzem, z którym niedawno pieściła się w policyjnym wozie.

- Moja matka od dawna nie bywa w dobrej formie. - Jego głos był twardy.

- Już dłużej nie chcę przewidywać, co się z nią dzieje.

- W porządku, pozwól, że coś ci powiem, Andy Brazilu - zaczęła Virginia, która znała życie. - Nie interesuje mnie, czy wyprowadziłeś się z domu, ale nie możesz jej wymazać z tablicy swojej egzystencji, rozumiesz? - Wyjęła papierosa. - Musisz się z tym uporać, choć to twoja matka, bo jeśli tego nie zrobisz, będziesz miał spafraną resztę życia.

- No świetnie. Już mi spaprała dwadzieścia dwa lata, a teraz okazuje się, że zniszczy mi także całą resztę! - Spojrzał przez okno.

- Jediną osobą, która naprawdę może spaprać ci życie, jesteś ty sam. I wiesz co? - Wydmuchnęła dym z papierosa. - Jeśli chcesz znać moje zdanie, to jak dotąd cholernie dobrze radziłeś sobie z własnym życiem.

Brazil milczał, rozmyślając o Webbie, a wspomnienie tego, co zrobił reporter, podziałało na niego jak kubeł lodowatej wody.

- A tak właściwie, to dlaczego jedziemy do mojego domu? - zapytał wreszcie.

- Na twojej sekretarce było za dużo przypadków odkładanych słuchawek - wyjaśniła Virginia. - Powiesz mi coś o tym?

- Jakiś zboczeniec - mruknął.

- Kto?

- Skąd, do diabła, mam wiedzieć? - Ten temat go nudził i irytował zarazem.

- Jakiś gej?

- Mam wrażenie, że to kobieta - odpowiedział.

- Kiedy to się zaczęło? - dopytywała się Virginia.

- Nie pamiętam. - Serce mu się ścisnęło, gdy wjechali na podjazd przed domem matki i zaparkowali za starym cadillakiem. - Chyba wtedy, gdy zacząłem pracować w gazecie - dodał.

Przyjrzała mu się, zaskoczona smutkiem w jego oczach, gdy patrzył na

śmietnik, który nazywał swoim domem, usiłując nie myśleć o potwornościach, jakie w sobie skrywał.

- Andy - odezwała się łagodnie - a co myśli twoja matka? Czy wie, że się wyprowadziłeś?

- Zostawiłem jej list - wyjaśnił. - Gdy się pakowałem, spała.

Virginia domyślała się już, że słowo „spała” znaczyło, że była pijana.

- Czy od tamtej pory rozmawiałeś z nią?

Brazil wysiadł. Virginia zabrała z tylnego siedzenia swój telefoniczny identyfikator i weszła za Andym do domu. Pani Brazil była w kuchni i drżącymi dłońmi rozprowadzała masło orzechowe na ryżowych krakersach. Słyszała, jak podjeżdżali, i miała czas, aby przygotować siły obronne. Nie odzywała się do żadnego z nich.

- Dzień dobry - przywitała się Virginia.

- Jak leci, mamó? - Brazil usiłował objąć matkę, ale nie miała na to ochoty i powstrzymała go, machając nożem.

Zauważył, że ktoś odkręcił gałkę w drzwiach jego pokoju. Spojrzał na Virginie i uśmiechnął się lekko.

- Zapomniałem o tobie i twoich narzędziach - powiedział.

- Przepraszam, powinnam była ją przykręcić z powrotem. - Rozejrzała się, jakby szukała śrubokręta.

- Nie przejmuj się tym.

Weszli do jego pokoju. Virginia z pewnym wahaniem zdjęła płaszcz od deszczu i zaczęła się rozglądać, jakby była tu po raz pierwszy. Krępowała ją obecność Brazila w tym intymnym zakątku jego życia, gdzie mieszkał jako chłopiec, stawał się mężczyzną i marzył. Gdy podłączała urządzenie identyfikujące do jego telefonu, poczuła, że ogarnia ją kolejna fala gorąca, a twarz oblała się czerwienią.

- To oczywiście nie zadziała, gdy będziesz miał nowy numer telefonu w swoim mieszkaniu - wyjaśniła. - Ale trzeba się dowiedzieć, kto dzwoni tutaj.

- Wyprostowała się. - Czy ktoś poza twoją matką i mną wie, że się

wyprowadziłeś?

- Nie - odrzekł, patrząc na nią.

Nigdy dotąd w jego pokoju nie było żadnej kobiety, oczywiście poza matką. Andy rozejrzał się, mając nadzieję, że nie zostawił niczego, co mogłoby go wprowadzić w zakłopotanie lub ujawnić coś, czego nie powinna wiedzieć. Virginia także się rozglądała, żadne z nich nie śpieszyło się, aby wyjść.

- Masz dużo nagród - zauważyła.

Brazil wzruszył ramionami, podchodząc do półek zastawionych sportowymi trofeami, które obecnie niewiele już dla niego znaczą. Pokazał jej te najważniejsze i wyjaśnił, za co je otrzymał. Opowiedział o kilku najbardziej dramatycznych rozgrywkach i przez chwilę siedzieli razem na jego łóżku. Andy wspominał swoją młodość, bardzo samotną, spędzoną w otoczeniu obcych ludzi. Mówił też o ojcu, a Virginia próbowała przywołać z pamięci postać Drew Brazila, o którym słyszała jako młoda policjantka.

- Wiedziałaś tylko, kto to, w zasadzie nic więcej - powiedziała. - Dopiero zaczęłam pracę, chciałam zostać sierżantem. Pamiętam, że wszystkie koleżanki uważały go za przystojnego mężczyznę. - Uśmiechnęła się. - Dużo się o tym mówiło, a także o tym, że był miłym facetem.

- Bo był miły - potwierdził Brazil. - Wydaje mi się też, że pod pewnymi względami staroświecki, ale w takich czasach żył. - Pochylił głowę. - Szalał na punkcie mojej matki. Ale ona zawsze miała inklinacje do złego. To sprawa wychowania. Nie mogła pogodzić się z jego śmiercią, ponieważ utraciła jedyną osobę, która kochała ją do szaleństwa i troszczyła się o nią.

- Nie sądzisz, że go kochała?

Virginia rozmawiała z nim, mając jednocześnie świadomość, jak blisko siebie siedzą na łóżku. Na szczęście drzwi były uchylone, a klamka wyjęta.

- Moja matka nie potrafi nikogo kochać, nawet samej siebie.

Brazil patrzył na nią, cały czas czuła na sobie jego gorący wzrok. Na zewnątrz deszcz się wzmagił, a grzmoty i błyskawice toczyły ze sobą walkę.

Odwzajemniła spojrzenie, zastanawiając się jednocześnie, czy ten chłopak straci swój wdzięk, gdy się zestarzeje. Była pewna, że tak właśnie się stanie. Wstała.

- Rano zadzwoni od razu do firmy telefonicznej - poradziła mu. - Powiedz, że chciałbyś mieć identyfikację numerów. To małe urządzenie niewiele ci pomoże, jeśli nie zamówisz takiej usługi, rozumiesz?

Patrzył na nią jeszcze chwilę w milczeniu.

- Ile to kosztuje? - chciał wiedzieć.

- Dasz radę. Ktoś z gazety cię podrywa? - zapytała, podchodząc do drzwi.

- Axel i parę kobiet. - Wzruszył ramionami. - Nie bardzo się orientuję, nie zwracam na to uwagi.

- Czy ktoś może wejść do twojego komputera? - pytała dalej, a za oknem znowu zagrzmiało.

- Nie mam pojęcia, jak by to było możliwe.

Virginia spojrzała na jego komputer.

- Przenieś go do swojego mieszkania. Na razie nie miałem czasu.

- Może powinieneś następny tekst napisać na nim - zaproponowała.

Brazil znowu jej się przyglądał. Oparł się na łóżku, z rękami pod głową.

- To nic nie da - powiedział. - Tak czy inaczej muszę go potem przenieść do komputera w gazecie.

- A jeśli zmienilibyś hasło? - Włożyła ręce do kieszeni i oparła się o ścianę.

- Już to zrobiliśmy.

Za oknem rozjarzyła się kolejna błyskawica, a wiatr szarpał konarami drzew.

- My? - zdziwiła się Virginia.

Brenda Bond siedziała przy klawiaturze centralnego komputera, pracując w niedzielę, bo niby co innego mogłaby robić? Życie nie oferowało jej zbyt wiele atrakcji. Miała na nosie okulary w drogich, czarnych oprawkach firmy

Modo, które kupiła, ponieważ Tommy Axel świetnie w takich wyglądał. Naśladowała go także w innych sprawach, bo krytyk muzyczny przypominał jej Matta Dillona i był naprawdę fajny. Brenda Bond, analityczka systemów, przeglądała kilometry wydruków i wcale nie czuła się zadowolona z tego, co tam znalazła.

Główny schemat skomputeryzowanego systemu pocztowego gazety powinien zostać zmieniony. Brenda chciała, aby był prosty i przejrzysty, ale miała już dość przekonywania o tym Panesy i pokazywania mu różnych rozwiązań, na które nawet nie raczył rzucić okiem. Głównym jej argumentem było to, że kiedy użytkownik wysyła pocztę do UA, ten przekazuje ją następnie do lokalnego MTA, MTA wysyła wiadomość do następnego MTA, a ten do następnego MTA i tak dalej, aż poczta dotrze do ostatniego MTA w systemie docelowym. Używając Magie Makera, Brenda Bond zobrazowała to wszystko za pomocą żywych kolorów, dodając strzałki i kreski, które ukazywały możliwe połączenia komunikacyjne.

Przemyślenia Brendy zaczynały się krystalizować. Przerwała na chwilę pracę i nagle ze zdumieniem zobaczyła, że do pokoju wchodzi Virginia West w służbowym mundurze. Był kwadrans po trzeciej. Szefowa dochodzeniówki od razu wyczuła, że Brenda jest tchórzliwym, małym robakiem, kobietą w średnim wieku, pasującą jak ulał do charakterystyki osób podkładających ogień, wysyłających pocztą bomby i nękających innych listami z pogrózkami i obrzydliwymi, anonimowymi telefonami. Virginia przysunęła sobie krzesło, odwróciła je tyłem i usiadła okrakiem, składając ręce na oparciu, jak to robią mężczyźni.

- Wiesz, to ciekawe - powiedziała. - Większość ludzi sądzi, że jeśli używają telefonów komórkowych, to nie można sprawdzić, kto dzwonił. Nie wiedzą, że sygnały wracają do wieży. A wieże obsługują sektory nie większe niż dwa i pół kilometra kwadratowego.

Brenda zaczęła drzeć, blef zadziałał.

- Pewien młody dziennikarz dostaje obsceniczne telefony - mówiła dalej

policjantka - i zgadnij, co się okazało? - Przerwała celowo. - Sygnały pochodzą z sektora, w którym mieszkasz, panno Bond.

- Ja, ja, ja... - wymamrotała Brenda, a przed jej oczami zamajaczyła więzienna cela.

- Ale bardziej niepokoją mnie włamanie do jego komputera. - Głos Virginii stał się ostrzejszy, poruszyła się na krześle. - To jest przestępstwo. Podobnie jak przekazywanie jego tekstów do Kanału Trzeciego. Możesz to sobie wyobrazić? To tak, jakby ktoś ukradł twoje programy i sprzedał je konkurencji.

- Nie! - zawołała analityczka. - Nie! Nigdy niczego nie sprzedawałam!

- A więc po prostu dawałaś jego materiały Webbowi.

- Nie! - Brenda wpadła w panikę. - Nigdy nawet z nim nie rozmawiałam. Ja tylko pomagałam policji.

Virginia przez chwilę milczała. Nie spodziewała się tego.

- Komu z policji pomagałaś? - zapytała w końcu.

- Prosiła mnie o to Jeannie Goode. - Brenda przyznała się od razu, gdyż miała niezłego pietra. - Powiedziała, że to część tajnej operacji policyjnej.

Krzesło zaskrzypiało, gdy Virginia wstała. To wówczas, telefonując do szefowej, dowiedziała się o śmierci Seta i zrobiło jej się niedobrze.

- Mój Boże - powiedziała do Jude'a, który odebrał telefon. - Nie wiedziałam. Przepraszam, że przeszkadzam w takiej chwili. Mogę w czymś pomóc?

Komendantka wzięła słuchawkę z rąk syna.

- Jude, pozwól mi - uśmiechnęła się słabo i pogładziła go po ramieniu. - Virginia?

Jeannie Goode oglądała na kasecie „Prawdziwe kłamstwa”. Odpoczywała na kanapie, czekając na telefon od Webba. Płonął gazowy kominek, w mieszkaniu była włączona klimatyzacja. Webb obiecał, że wpadnie do niej przed wiadomościami o szóstej i jej podniecenie rosło. Jeśli nie przyjdzie w

ciągu kilku minut, nie będzie czasu na nic. Gdy zadzwonił telefon, podniosła słuchawkę tak szybko, jakby od tego zależało życie osoby na drugiej stronie linii, kimkolwiek była. Jeannie Goode nie spodziewała się telefonu od komendantki. Nie spodziewała się, że ta przygnębionym głosem powie jej o śmierci swojego męża i poleci stawić się w swoim gabinecie punktualnie o czwartej trzydzieści. Pełna energii i niemal w euforii zerwała się z kanapy. To mogło znaczyć tylko jedno: szefowa zamierza wziąć długi urlop, aby uporządkować swoje sprawy, i chce, aby Goode ją zastępowała.

Judy Hammer miała wszakże zupełnie inne plany w stosunku do swojej drugiej zastępczyni. Chociaż ludzie wokół niej nie mogli zrozumieć, jak w takiej sytuacji mogła myśleć o pracy, tak naprawdę nie było nic bardziej terapeutycznego. Umysł Judy pracował sprawnie. Kiedy się obudziła, w jej żyłach płonął błękitny ogień złości, i czuła, że mogłaby spalić kogoś tylko spojrzeniem. Założyła połyskliwie szare bawełniane spodnie i blezer, szarą jedwabną bluzkę i perły. Uczesała się i spryskała nadgarstki odrobiną wody Hermes.

Potem wsiadła do granatowego służbowego samochodu i włączyła wycieraczki, aby usunąć liście, strącone przez deszcz. „Wyjechała tyłem z podjazdu i skręciła w Pine Street. Słońce zaczynało się właśnie przedzierać przez powłokę postrzępionych chmur. Judy poczuła, że coś ściska ją w gardle, z trudem przełykała ślinę. Do oczu napłynęły jej łzy. Zamrugła powiekami i zrobiła głęboki oddech, patrząc na swoją ulicę i otaczający świat, po raz pierwszy bez niego. Na pierwszy rzut oka wszystko wyglądało tak samo, lecz ona dostrzegła różnicę. O, tak. Jadąc, miarowo wdychała powietrze, serce miała obolałe, ale krew burzyła jej się z gniewu. Z pewnością Jeannie Goode nie mogła wybrać gorszego momentu, aby dać się przyłapać na tak karygodnym uczynku.

Jeannie Goode zaś była pewna siebie, przekonana o własnej wartości i nie

widziała najmniejszego powodu, aby włożyć mundur lub przynajmniej kostium, okazując tym szacunek i współczucie szefowej w trudnych dla niej chwilach. Zamiast tego pojechała do centrum w szortach koloru khaki i podkoszulku, noszonych przez cały dzień, kiedy oczekiwała na Webba, który w tym czasie ciężko pracował w ogrodzie, pilnowany przez żonę, wykazującą ostatnio większe zainteresowanie tym, co robił jej mąż. Jeannie zaparkowała miatę na swoim miejscu i była bardziej niż zwykle nieprzyjemna dla wszystkich ludzi spotkanych w windzie, jadąc na trzecie piętro, gdzie znajdował się jej gabinet, sąsiadujący z tym, który już wkrótce miał należeć do niej.

Zatrzasnęła za sobą drzwi i wykonała rutynowy telefon do Webba. Zwykle odkładała słuchawkę, gdy odebrał ktoś inny. Korzystała z dobrodziejstw linii policyjnej, która miksowała sygnały, czyniąc bezużytecznym jakikolwiek telefoniczny identyfikator numerów. Właśnie przerwała połączenie, słysząc po drugiej stronie głos żony reportera, gdy drzwi do jej pokoju otworzyły się gwałtownie. Do środka weszła komendantka. Pierwszą reakcją Jeannie była myśl, że jej szefowa doskonale wygląda w szarościach. Drugim i ostatnim spostrzeżeniem zaś to, że Judy Hammer nie wyglądała na pogrążoną w żałobie wdowę, gdy szybkim i zdecydowanym krokiem podeszła do biurka i wzięła do ręki mosiężną tabliczkę z nazwiskiem Goode.

- Jesteś zwolniona - powiedziała głosem nieznoszącym sprzeciwu. - Proszę zwrócić odznakę i broń. Od razu zajmij się porządkowaniem biurka. Pomogę ci.

Po czym wyrzuciła mosiężną tabliczkę do kosza na śmieci, odwróciła się i wyszła z pokoju. Szła jak burza korytarzami departamentu policji, ale grzecznie odpowiadała na ukłony i saluty mijających ją podwładnych. Przez radio podano już wiadomość o śmierci jej męża i wszyscy pracownicy komendy policji w Charlotte bardzo współczuli swojej szefowej, którą darzyli teraz jeszcze większym szacunkiem. Mimo tragedii, jaka ją spotkała,

zjawiała się tutaj, do cholery, i nie zawiodła ich. Kiedy jeden z sierżantów zobaczył, jak Jeannie Goode chyłkiem wsiada do swojego samochodu, objuczona torbami i pudłami, w których mieścił się cały jej dobytek, w rejonach Adam, Baker, Charlie i Davis nie było końca radości, podobnie jak wśród detektywów i jednostek pomocniczych. Także na parkingach i w komisariatach policjanci gratulowali sobie i cieszyli się z tej wiadomości. Oficer dyżurny zaś dla uczczenia tak radosnego faktu zapalił cygaro w pomieszczeniu, gdzie obowiązywał całkowity zakaz palenia.

Brazil otrzymał wiadomość na pager, gdy na parkingu zmieniał olej w samochodzie. Wsiadł do wozu i zatelefonował do Virginii do domu.

- Brenda Bond nie będzie cię już więcej niepokoić - Virginia starała się nie okazywać emocji, ale była z siebie bardzo zadowolona. - A Jeannie Goode nie będzie już więcej z pomocą tej łachudry wyciągać twoich materiałów i przekazywać ich Webbowi.

- Nie żartuj! - Był zaskoczony i uradowany.

- Nic podobnego. Zrobione. Szefowa wylała Goode, a Brenda Bond jest niemal sparaliżowana.

- To ona do mnie dzwoniła?

Wydawało mu się to kompletnie absurdalne. - Tak.

Brazil był nieco rozczarowany, że to nie ktoś bardziej atrakcyjny miał hopla na jego punkcie. Virginia wyczuła, o czym myślał.

- Chyba nie podchodzisz do tego w odpowiedni sposób.

- Do czego, mianowicie?

- Andy, cały czas mam do czynienia z takimi sprawami. Uwierz mi, nie ma najmniejszego znaczenia, kto to robi, mężczyzna czy kobieta, chyba tylko tyle, że kobiety zwykle nie ujawniają się swoim ofiarom, co jest dużym plusem - wyjaśniała. - W tych sprawach nie chodzi o seks czy atrakcyjność w normalnym sensie tych pojęć. Chodzi o kontrolę i władzę, o chęć poniżenia. Tak naprawdę to forma gwałtu.

- Wiem o tym - odrzekł.

Jednak mimo wszystko wolałby, aby jego słowna uwodzicielka była bardziej atrakcyjna. Zastanawiał się, czy przypadkiem to nie w nim tkwiła przyczyna, że przyciągał ludzi takich jak tamten facet na stacji benzynowej, a teraz Brenda Bond. Tylko dlaczego? Czyżby wysyłał sygnały, które pozwalały im sądzić, że uda się go do czegoś zachęcić? Mógłby się założyć, że nikt nie próbował czegoś takiego z porucznik West lub komendant Hammer.

- Muszę kończyć - powiedziała Virginia, zostawiając Andy'ego rozczarowanego i poirytowanego.

Wrócił więc do wymiany oleju. Bardzo się śpieszył, gdyż do głowy przyszedł mu pewien pomysł.

Virginia także wpadła na pewien pomysł. Zadzwoiła do Rainesa, co było zdecydowanie nienormalną i zaskakującą decyzją. Nigdy sama do niego nie telefonowała, podobnie jak do nikogo innego, z wyjątkiem Brazila. Wszyscy znajomi wiedzieli o tym i akceptowali jej dziwactwo. Raines tej nocy nie pracował i właśnie zamierzał obejrzeć nową kasetę wideo ze sportowymi wypadkami, którą dostał na weekend, Virginia zaś miała ochotę na pizzę. Ustalili, że łatwo pogodzą te przyjemności i sanitariusz ruszył w stronę jej domu swoją przerobioną, czarną corvetta stingay, z tłumikami i przyciemnioną szybą. Virginia zwykle słyszała, kiedy podjeżdżał.

Brazil pomyślał, że mógłby podziękować jej za pomoc w rozwiązaniu jego życiowych problemów. Wyobraził sobie, jak świętują przezwycięzenie kryzysu, dlaczego by nie? To wielki dzień dla obojga. Uwolniła go od Brendy Bond i Webba, cały departament policji zaś pozbył się Jeannie Goode. Andy pośpieszył do najbliższego Hop-In i wybrał butelkę najlepszego wina, jakie tam znalazł, wytrawne Creek Vineyard 1992 Fume Blanc, za całe dziewięć dolarów i czterdzieści dziewięć centów.

Będzie zaskoczona i zadowolona, kto wie, czy nie pozwoli mu nawet pobawić się z Nilesem. Może Brazil będzie mógł spędzić z nią trochę więcej czasu i dowiedzieć się o niej czegoś jeszcze. Może zaprosi go na telewizję albo posłuchają razem muzyki, popijając wino w jej salonie, rozmawiając i opowiadając sobie o swojej młodości i marzeniach.

Jechał w kierunku Dilworth pełen radości, że jego problemy wreszcie się rozwiązały i zdobył tak wspaniałą przyjaciółkę jak Virginia West. Myślał też o swojej matce, zastanawiając się, jak sobie radzi, zadowolony, że już więcej nie będzie go zdręczać.

W salonie Virginii światła były zgaszone, grał telewizor. Oboje siedzieli na kanapie, jedząc pizzę z Pizza Hut. Raines rozpierał się na poduszce, popijał piwo i przeglądał nową kasetę. Bez wątpienia była najlepsza ze wszystkich, jakie do tej pory widział, i wolałby, aby Virginia pozwoliła mu ją spokojnie obejrzeć. Ale przytulała się do niego, całowała, pieściła, przesuwając palcami po jego gęstych, kręconych, czarnych włosach. Zaczynała już działać mu na nerwy i generalnie zachowywała się jak ktoś bez charakteru.

- Do cholery, co w ciebie wstąpiło? - zapytał zniecierpliwiony. Usiłował dojrzeć coś na ekranie ponad jej głową, bawiąc się włosami Virginii z entuzjazmem podobnym do tego, z jakim Niles ugniatał koc na łóżku. - Tak! Tak! Co za palant! Zwal tę tablicę! O cholera! Nieee! Spójrz na to! Chryste! Prosto w słupek! Boże, człowieku! - Usiadł z powrotem na kanapie.

Przez następne pięć minut był hokej na lodzie. Bramkarz trzymał kij między nogami. Krążek odbił się rykoszetem od dwóch masek osłaniających twarze zawodników i uderzył sędziego prosto w usta. Denny szalał z radości. Niczego tak bardzo nie lubił jak sportu i uszkodzeń ciała, zwłaszcza gdy jedno wiązało się z drugim. Przy każdym wypadku wyobrażał sobie, jak biegnie na ratunek poszkodowanemu ze swoją walizką i noszami. Virginia zaczęła odpinać guziki bluzki i nagle rzuciła się na niego, wpijając mu się w

usta. Raines odstawił pizzę.

- Znowu hormony?

Nigdy dotąd nie widział jej w takim stanie.

- Nie wiem.

Gorączkowo porozpinała pozostałe guziki.

Na kanapie sprawy przybrały poważny obrót, podczas gdy Niles przebywał w swoim ulubionym miejscu nad zlewem. Nie był wielbicielem Opony, jak nazywał Rainesa od czasu, gdy zauważył w koszu na śmieci gazety z ogłoszeniami na ten temat. Opona bardzo głośno się zachowywał i nigdy nie był dla niego miły. Kilka razy zrzucił go nawet z kanapy.

Niles wpatrywał się w swojego uwielbianego, smutnego króla. Pomogę ci. Nie bój się. Moja pani wie o pieniądzach i pralce. Jest bardzo potężna i potrafi obronić ciebie i Usbeeceenów. Kot podrapał się za uchem, słysząc nadjeżdżający samochód. Tym razem był to miły, warkoczący dźwięk, który natychmiast rozpoznał. To Pianista, ten miły facet, który drapał go po grzbiecie, po brzuszku i za uszami, jakby przebierał palcami po klawiaturze, aż Niles przewrócił się z rozkoszy na grzbiet. Ucieszył się, słysząc, że Pianista zatrzymał samochód przed ich domem, tam gdzie parkował już wcześniej, kiedy tu wpadał od czasu do czasu dla takiej czy innej przyczyny.

Gdy rozległ się dzwonek u drzwi, znajdowali się w bardzo niewygodnej pozycji na kanapie. Do tego czasu Denny skupił się już całkowicie na tym, co robił, i wydawał się bardzo bliski zwycięstwa. W takim momencie wizyta kogoś niezapowiedzianego była absolutnie nie na miejscu. Rainesa ogarnęła wściekłość i żądza mordy, kiedy wycofał się na swój kawałek kanapy, z trudem łapiąc oddech.

- Co za cholerny intruz - wybuchnął.

- Otworzę - powiedziała Virginia.

Wstała, poprawiła ubranie i zapinając guziki ruszyła w stronę drzwi, po

drodze przeczesując włosy. Dzwonek znowu zabręczał. Miała nadzieję, że to nie pani Grabman, sąsiadka mieszkająca dwa domy dalej. Pani Grabman była dość miłą, starszą damą, ale miała uciążliwy zwyczaj odwiedzania Virginii w każdy weekend, jeśli ta była w domu. Zwykle przynosiła warzywa ze swojego ogródka, które służyły jako pretekst, aby pogadać i ponarzekać na kogoś podejrzanego z sąsiedztwa. Virginia miała już na parapecie cały rząd dojrzewających pomidorów oraz dwie szuflady pełne okry i fasoli, a także cukinie i dynie w lodówce.

Na wszelki wypadek, ponieważ nigdy nie znalazła czasu, aby zainstalować przy drzwiach alarm antywłamaniowy, postanowiła sprawdzić, kto przyszedł.

- Kto tam?

- To ja - odpowiedział Brazil.

Stał na schodach z butelką wina, podekscytowany i pełen oczekiwań. Sądził, że stara czarna corvetta na ulicy należy do jakiegoś dzieciaka z okolicy. Nigdy nie przypuszczał, że Denny Raines mógłby poruszać się czymś innym niż ambulansem. Virginia otworzyła drzwi, a Brazil na jej widok poczuł ukłucie w sercu. Podał jej butelkę wina w brązowej, papierowej torbie.

- Pomyślałem, że moglibyśmy wypić toast za... - zaczął.

Zażenowana wzięła wino, doskonale zdając sobie sprawę, jakie wrażenie zrobiły na nim jej potargane włosy, czerwone znaki na szyi i nierówno zapięta bluzka. Uśmiech na twarzy młodego dziennikarza zamierał, w miarę jak Andy przyglądał się miejscu przestępstwa. Za plecami pani domu pojawił się Raines i z wysokości schodów spojrzał na przybyłego.

- Hej, co powiesz na sport? - Denny uśmiechnął się krzywo. - Lubię te twoje kawałki w...

Brazil pobiegł do samochodu, jakby ktoś go gonił.

- Andy! - zawołała za nim Virginia. - Andy!

Zbiegła ze schodów, gdy jego BMW odjeżdżało z piskiem opon w

kierunku zachodzącego słońca.

Chwilę potem wraz z Rainesem wróciła do salonu. Zapięła równo bluzkę i nerwowo poprawiła włosy. Postawiła na stole wino, ale tak, aby nie stało w zasięgu jej wzroku, by nie musiała myśleć o tym, kto je przyniósł.

- Do cholery, jakie on ma znowu problemy? - zapytał Denny.

- Pisarz z humorami - rzuciła lekkim tonem. Raines więcej się tym nie interesował. On i Virginia mieli jeszcze wiele do zrobienia. Objął ją od tyłu, przytulił i zaczął namiętnie pieścić jej ucho językiem. Gra została jednak przerwana, gdy partnerka oswobodziła się i zostawiła go daleko za sobą, zabierając piłkę.

- Jestem zmęczona - burknęła.

Denny zmrzążył oczy. Miał dość braku ducha sportowego Virginii i kartek za przewinienia.

- W porządku - powiedział, wyciągając kasetę z magnetowidu. - Chcę cię tylko o coś zapytać, Virginio. - Zdecydowanym krokiem ruszył w kierunku drzwi, ale zatrzymał się jeszcze na chwilę i utkwiał w niej przenikliwe spojrzenie. - Gdy zadzwoni ktoś do ciebie w trakcie posiłku, co robisz, gdy chwilę później odłożysz słuchawkę? Wracasz do jedzenia czy może także je zostawisz? Rezygnujesz, ponieważ miałaś małą przerwę?

- To zależy od tego, co jadłam - odpowiedziała ostro.

Brazil jadł kolację późno w Shark Finn's na Old Pineville Road przy Bourbon Street. Kiedy odjechał z piskiem opon spod domu porucznik West, kręcił się trochę po okolicy, starając się opanować ogarniającą go wściekłość. Z całą pewnością nie postąpił rozsądnie, zatrzymując się przed różowymi drzwiami condominium na Fourth Ward, gdzie mieszkał Tommy Axel. Kiedy wychodził z parkingu, zauważył kilku mężczyzn, którzy przyglądali mu się z zainteresowaniem. Nie był do nich pozytywnie nastawiony, podobnie zresztą jak do krytyka.

To, co Axel potraktował jako pierwszą randkę, a Brazil uważał za rewanż, zaczęło się w Shark Finn's Jaws Raw Bar, gdzie ozdobą sali była złapana w

sieci, wielka, zasuszona tropikalna ryba z otwartym pyskiem i zdumionymi, szklanymi oczami. Gołe blaty drewnianych stołów harmonizowały z podłogą z surowych desek. Na dekorację sali składały się także portrety wyrzeźbione w skorupach kokosów, rozgwieżdżone i witraże. Brazil zamówił piwo Red Stripe i zastanawiał się, czy do reszty stracił rozum, ulegając głupiemu impulsowi, który sprowadził go w tym momencie do takiego miejsca.

Axel wpatrywał się w niego płonącymi oczami, snując zuchwałą fantazję, pełen obaw, że wizja może zniknąć, jeśli chociaż na sekundę odwróci wzrok. Andy był pewien, że pozostali goście, połykający surowe ostrygi i pijący drinki, z łatwością odgadywali intencje Tommy'ego, chociaż mylili się co do jego towarzysza. Było to o tyle niefortunne, że większość tych facetów wyglądała na kierowców ciężarówek, którzy wierzyli, że ich powołaniem jest zapładnianie kobiet, noszenie broni i zabijanie pedałów.

- Często tu przychodzisz? - Zamieszał piwo w ciemnobrązowej butelce.

- Czasami. Jesteś głodny? - Axel uśmiechnął się, pokazując ładne, białe zęby.

- Tak jakby - przyznał Brazil.

Przeszli do innej sali, która niewiele się różniła od surowego w wystroju baru, poza tym że przy stolikach stały kapitańskie krzeselka, a wentylatory na suficie kręciły się tak szybko, jakby zaraz miały wystartować. Usiedli przy stoliku, na którym stały świeca i sos tabasco. Stolik się kiwał i Brazil podłożył pod jedną nogę kilka serwetek. Axel zamówił Shark Attack z dużą ilością rumu Myers i namawiał Andy'ego na rum Runnera, w którym było tyle alkoholu, że starczyłoby na wygaszenie świateł w połowie jego umysłu.

Jakby Brazil nie miał dość kłopotów, tamten zamówił dodatkowo kilka butelek dobrze schłodzonego piwa Rolling Rock. Krytyk muzyczny był pewien, że to ułatwi mu zadanie. Jego towarzysz był zupełnie niedoświadczony i należało nad nim popracować. Axel ze zdumieniem pomyślał, że ten chłopak chyba nigdy jeszcze nie był pijany. To niewiarygodne. Gdzie on się wychowywał? W klasztorze, w kościele

mormońskim? Andy znowu miał na sobie obcisłe džinsy, które pamiętały jeszcze jego szkolne lata, i sportowy podkoszulek. Tommy starał się nie myśleć o tym, co by było, gdyby udało mu się zdjąć z niego ubranie.

- Tu wszystko jest dobre - oświadczył, nie patrząc w kartę i pochylając się nad świecą. - Muszlowe placuszki, ciastka z krabami, kanapki Po-Boy. Ja zwykle biorę piwo i smażone małże.

- W porządku - powiedział Brazil do obu Axelów, siedzących na wprost niego. - Myślę, że chcesz mnie upić.

- Skądże znowu - zaprotestował Tommy, dając znak kelnerce. - Chyba rzadko ci się to zdarza.

- Owszem. A dziś rano przebiegłem dwanaście kilometrów - odrzekł Andy.

- Człowieku, żyjesz jak pod kloszem. Wygląda na to, że muszę cię trochę wyedukować.

- Nie sądzę. - Brazil miał ochotę wrócić do domu i położyć się do łóżka. - Nie czuję się najlepiej, Tommy.

Axel przekonywał go, że posiłek dobrze mu zrobi, i w pewnym sensie miał rację. Andy poczuł się lepiej, gdy zwymiotował w toalecie. Zamówił mrożoną herbatę, czekając, aż jego wewnętrzny stan całkiem się wyklaruje.

- Muszę już iść - oświadczył Axelowi, który wyraźnie zmarkotniał.

- Jeszcze nie - zaprotestował Tommy, jakby to od niego zależało.

- Ależ tak. Wychodzę - nalegał Brazil.

- Nie mieliśmy okazji pogadać.

- O czym?

- Wiesz dobrze.

- Mam zgadywać?

Andy zaczynał się niecierpliwić, cały czas krążył myślami wokół Dilworth.

- Przecież wiesz - powtórzył Axel, patrząc mu głęboko w oczy.

- Chcę, abyśmy byli przyjaciółmi, to wszystko - przekonywał go Brazil.

- Ja chcę dokładnie tego samego. - Nie mógł zaprzeczyć. - Chcę, abyśmy się dobrze poznali, a wtedy z pewnością zostaniemy przyjaciółmi.

Andy natychmiast wyczuł podtekst.

- Ty chciałbyś się ze mną zaprzyjaźnić znacznie bardziej, niż mogę ci na to pozwolić. I chcesz to zrobić już teraz. Niezależnie od tego, co mówisz, wiem, o co ci chodzi, Tommy. Nie jesteś ze mną szczery. Jeśli powiedziałbym ci teraz, że chcę iść z tobą do domu, przystałbyś na to natychmiast. - Pstryknął palcami.

- I co w tym złego? - Axelowi bardzo się ten pomysł spodobał i zastanawiał się, czy rzeczywiście byłoby to możliwe.

Widzisz. Na tym właśnie polega nieporozumienie. Tu nie chodzi o przyjaźń, tylko o pójście do łóżka - oświecił go Andy. - Nie jestem kawałem mięsa, nie nadaję się też na faceta na jedną noc.

- A kto mówił o jednej nocy? Jestem długodystansowcem - zapewnił go krytyk.

Brazil już wcześniej zauważył dwóch muskularnych i wytatuowanych koleśków, ubranych w przybrudzone ogrodniczki, którzy popijali budweisera i najwyraźniej podsłuchiwali ich rozmowę. To nie wróżyło niczego dobrego, lecz Axel był tak przejęty nagabywaniem Andy'ego, że nie zwrócił uwagi na ich serdelkowate paluchy, bębniące po blacie stołu, ani wykałaczki w ponurych gębach, ani też porozumiewawcze spojrzenia, jakie sobie przesyłali, planując już w myślach, co zrobią z tymi dwoma pedałami, gdy tylko znajdą się na ciemnym parkingu.

- Andy, czuję do ciebie coś bardzo głębokiego - zapewniał go Axel. - Mówiąc prawdę, jestem w tobie zakochany. - Odsunął się na krześle do tyłu i dramatycznym gestem wyrzucił w górę ręce. - Tak. Wreszcie to powiedziałem. Możesz mnie nienawidzić, jeśli chcesz, i unikać mnie.

- Uch! - powiedział Rizzo, ten z tatuażem przedstawiającym kobietę o wielkim biuście, która nazywała się Tiny.

- Muszę zaczerpnąć świeżego powietrza - zgodził się jego kumpel, Buzz

Shifflet.

- Tommy, sądzę, że powinniśmy wykazać się inteligencją i wyjść stąd najszybciej, jak to możliwe - spokojnie, ale stanowczo zasugerował Brazil. - Popełniłem błąd i przepraszam za to, w porządku? Nie powinienem tu przychodzić i nie powinniśmy się tu spotkać. To wina mojego złego nastroju, który chciałem sobie odbić na tobie. Teraz musimy się stąd ewakuować albo już po nas.

- A więc nienawidzisz mnie. - Axel był załamany i chciał pokazać, jak bardzo został zraniony.

- Poczekaaj na mnie przy stoliku. - Brazil wstał. - Przyprowadzę samochód pod drzwi, a ty szybko do niego wskoczysz. Kapujesz?

Znowu pomyślał o Virginii West i poprzednia złość wróciła.

Rozejrzał się po sali, jakby lada moment spodziewał się strzelaniny i był na nią przygotowany, chociaż znał swoje słabe strony. Towarzystwo było dość prymitywne, wszyscy pili piwo, jedli smażone ryby z keczupem i sosami. Kmiotki wyraźnie interesowały się nimi dwoma. Axel zrozumiał wreszcie, dlaczego Andy chciał pójść po samochód.

- To ja w tym czasie ureguluję rachunek - powiedział. - Jesteś moim gościem.

Brazil podejrzewał, że dwaj potężnie zbudowani faceci w ogrodniczkach wyszli na słabo oświetlony parking i zaczęli się tam na parę pedałów. O ile nie przejmował się specjalnie faktem, że błędnie ocenili jego i wybory, jakich dokonywał w życiu, to bynajmniej nie był zainteresowany, aby dostać od nich wycisk. Chwilę się zastanawiał, a potem odszukał kelnerkę, która w sali z barem wypisywała kredą na tablicy dania na kolejny dzień, paląc przy tym papierosa.

- Proszę pani - zwrócił się do niej. - Czy mogłaby mi pani pomóc? Mam pewien problem.

Dziewczyna spojrzała na niego sceptycznie i z wyraźną niechęcią. Co wieczór słyszała podobne słowa od facetów, którzy wypili zbyt dużą ilość

piwa. Problem był zawsze taki sam i dość prosty do rozwiązania, gdyby tylko zdecydowała się pójść z nimi na jakieś dziesięć minut na tyły restauracji i ściągnąć spodnie.

- Jaki? - Nie przerywała pisania, ignorując palanta.

- Potrzebna mi szpilka - powiedział.

- Co? - Spojrzała na niego. - Chodzi panu o spinkę?

- Nie, proszę pani. Szpilkę albo igłę i coś, czym mogę ją wysterylizować.

- Po co to panu? - Zmarszczyła brwi i otworzyła grubą plastikową kosmetyczkę.

- Drzazga.

- Aha! - Zrozumiała wreszcie. - Mnie też się to zdarza. Pełno tu tego. Proszę, kochany.

Znalazła mały zestaw do szycia w przezroczystym, plastikowym pudełeczku, wzięty z hotelu, do którego zaprosił ją pewien bogaty facet. Wyjęła jedną igłę i podała gościowi razem z buteleczką zmywacza do paznokci. Brazil zanurzył igłę w acetonie i wyszedł z knajpy. Był pewien, że osiłki czekają gdzieś w pobliżu. Rzeczywiście, gdy tylko go zobaczyli, ruszyli w jego kierunku. Andy błyskawicznie nakłuł igłą najpierw lewy palec wskazujący, potem prawy i na koniec kciuk. Wycisnął tyle krwi, ile się tylko dało i rozsmarował ją sobie po twarzy, a potem zasłonił się dłońmi i zaczął udawać, że się zatacza.

- Och, Boże - mamrotał, potykając się na schodach. - Chryste. - Oparł się o balustradę przed wejściem do restauracji, jęcząc i zakrywając pomazaną krwią twarz.

- Cholera. - Rizzo podszedł bliżej, kompletnie zaskoczony. - Co, do kurwy nędzy, ci się stało?

- Mój kuzyn tam został - powiedział słabym głosem Brazil.

- Masz na myśli tę ciotę, z którą siedziałeś? - zapytał Shifflet.

Andy pokiwał głową.

- Tak, chłopie. Ten skurczysyn ma AIDS i pochłapał mnie swoją krwią.

Rozumiesz? Och, Boże. - Zataczając się, zszedł stopień niżej. Shifflet i Rizzo odsunęli się z drogi. - Dostała mi się do oczu i do ust! Wiecie, co to znaczy! Gdzie tu jest najbliższy szpital? Muszę się dostać do szpitala! Możecie mnie tam zawieźć, proszę?

Zachwiał się i niemal na nich upadł. Shifflet i Rizzo, nie oglądając się do tyłu, uciekli na parking i wskoczyli do swojego nissana o potężnych oponach, które bez trudu miażdżyły kamienie.

ROZDZIAŁ 25

Następnego wieczoru, w poniedziałek, Blair Mauney III także zjadł smaczny posiłek w Queen City. Bankier był na kolacji w Morton's of Chicago, gdzie zwykle zaglądał, gdy interesy wzywały go do Charlotte. Lokal, steak house z witrażowymi szybami w oknach, znajdował się obok Carillona, naprzeciwko kościoła prezbiteriańskiego, w którym również były witraże, tylko starsze i bardziej okazałe. Wyglądały pięknie zwłaszcza o zmroku, gdy Mauney poczuł się samotny i w nastroju do szukania towarzystwa.

Blair nie potrzebował pomocy ze strony młodej jeszcze kelnerki, jeżdżącej po sali z wózkiem, na którym leżało surowe mięso i żywy homar poruszający związanymi szczypcami. Zawsze zamawiał średnio wysmażoną pręgę wołową po nowojorsku, pieczone kartofle polane masłem oraz czerwoną cebulę i sałatkę z pomidorów ze słynnym dresingiem z pleśniowym serem, specjalność lokalu. To wszystko z dużą ilością Jack Blacka z lodem. Następnego dnia był umówiony na śniadanie z Cahoonem, przewodniczącym korporacyjnej sekcji polityki do spraw ryzyka i przewodniczącym sekcji kredytów korporacyjnych oraz przewodniczącym US-Bank South i kilkoma innymi prezesami. To stały zestaw. Spotkają się przy zabawnym stole w zabawnym biurze Cahoona na Górze Olimp. Do Mauneya nie dotarły ostatnio żadne informacje o kryzysie, nie słyszał również nic o sukcesach banku, więc spotkanie będzie zapewne podobne do poprzednich i oczekiwał go bez emocji.

Bank został założony w 1874 roku przez jego przodków. To Mauney powinien mieć swoją siedzibę na wierzchołku wewnątrz korony i to jego

czarnobiałe zdjęcie powinno być regularnie zamieszczane w „Wall Street Journal”. Blair szczerze nienawidził prezesa i kiedy tylko mógł, obrzucał dyrektora zatrutymi kulami, rozsiewał złośliwe plotki o jego ekscentrycznych skłonnościach, niekorzystnych dla firmy decyzjach, głupocie i podejrzanym motywacjach, jakie stały za pozytywnymi działaniami Cahoon. Mauney poprosił o zapakowanie resztek posiłku na wynos, co zwykle robił, ponieważ nigdy nie wiadomo, czy nie poczuje się nagle głodny w swoim apartamencie w luksusowym Park Hotel, niedaleko Southpark Mail.

Zapłacił za kolację siedemdziesiąt trzy dolary i siedemdziesiąt centów, zostawiając trzynastą procent napiwku zamiast zwyczajowych piętnastu. Wyliczył wszystko co do centa na kalkulatorze, który zawsze nosił w portfelu. Kelnerka zbyt opieszale przynosiła mu czwartego drinka, a potem nie przeprosiła za to. Mauney wyszedł na chodnik przed restauracją na West Trade Street i natychmiast ktoś z obsługi podjechał wynajętym przez niego czarnym lincolnem Continental. Blair uznał, że nie jest w nastroju, aby już wracać do pokoju hotelowego.

Przez chwilę pomyślał o swojej żonie i jej niekończących się operacjach plastycznych, jak również innych medycznych kaprysach. Wydał na nią w ciągu roku majątek, ale prawdę powiedziawszy, ani jeden szew nie zmienił niczego na lepsze. Była jak manekin, który gotuje i chodzi na przyjęcia. W głębi korporacyjnego umysłu Mauneya tkwiły wspomnienia o Polly ze Sweetbriar, gdzie przyjechał pewnej sobotniej, majowej nocy z kolegami na tańce. Wyglądała prześlicznie w błękitnej sukni i nie chciała się z nim zadawać.

Zakłęcie zostało wypowiedziane, Blair postanowił, że dziewczyna musi być jego. Polly jednak okazała się bardzo zajęta, trudno ją było zastać, a ona sama kompletnie się nim nie interesowała. Zaczął wydzwaniać dwa razy dziennie, a także przychodził na kampus beznadziejnie zakochany. Polly oczywiście dobrze wiedziała, co robi, uczono ją tego w domu, szkole oraz znakomitym, żeńskim college’u, do którego uczęszczała. Wiedziała, jacy

bywają mężczyźni, gdy dziewczyna odwzajemni ich zainteresowanie. Polly potrafiła poprowadzić tę grę. Mauney miał to wszystko, co obiecywano jej od dzieciństwa i co było jej przeznaczeniem: pochodził ze znakomitej rodziny i był bogaty. Pobrali się czternaście miesięcy po pierwszym spotkaniu, a dokładnie w dwa tygodnie po otrzymaniu przez Polly dyplomu z wyróżnieniem z filologii angielskiej, co zdaniem jej dumnego młodego małżonka, czyniło żonę niezwykle użyteczną przy wypisywaniu zaproszeń i układaniu listów z podziękowaniami.

Nie mógł sobie dokładnie przypomnieć, kiedy zaczęły się kłopoty zdrowotne jego żony. Mniej więcej do urodzenia drugiego dziecka Polly grywała w tenisa, była w świetnej formie i pełna wigoru, słowem cieszyła się szczęściem, jakie potrafił jej stworzyć. Kobiety. Blair nigdy ich nie rozumiał. Znalazł Fifth Street i jechał po niej wolno, co zdarzało mu się wtedy, gdy był głęboko zatopiony w myślach. W miarę jednak jak obserwował nocne życie miasta, stawał się coraz bardziej ożywiony i zastanawiał się nad podróżą, którą planował następnego dnia po południu. Jego żona myślała, że spędzi w Charlotte trzy dni. Cahoon i koledzy sądzili zaś, że Mauney wróci po śniadaniu do Asheville. Wszyscy byli w błędzie.

Podczas gdy z odległych miast, takich jak Los Angeles i Nowy Jork, zjeżdżała do Charlotte rodzina, pogrążona w żalu Judy i jej synowie przeglądali szafy i szuflady, spełniając bolesny obowiązek przejrzania i spakowania garderoby oraz rzeczy osobistych Setha. Nie mogła patrzeć na łóżko swojego zmarłego męża, gdzie zaczął się ten koszmar, kiedy Seth się upił i snuł fantazje o tym, co mógłby zrobić, aby naprawdę ją zranić. Tak, Seth, zrobiłeś to. Wymyśliłeś to wreszcie. Składała wielkie koszule, spodnie, bieliznę, skarpetki i wrzucała wszystko do papierowych toreb z przeznaczeniem dla Armii Zbawienia.

Nie podjęli żadnych decyzji w sprawie wartościowych rzeczy Setha, takich jak jego cztery zegarki marki Rolex, ślubna obrączka, która wchodziła

mu na palec tylko przez pierwszych dziesięć lat, kolekcja złotych zegarków kieszonkowych, która należała do jego dziadka, oraz jaguar, nie mówiąc już o akcjach i gotówce. Judy na niczym nie zależało i prawdę powiedziawszy, miała nadzieję, że mąż ukarał ją także w swoim testamencie. Nigdy nie przywiązywała wagi do pieniędzy i już taka zostanie.

- Nic nie wiem o jego sprawach - wyznała synom, którzy także się tym nie interesowali.

- Wyobrażam sobie - powiedział Jude, zdejmując z wieszaka kolejny garnitur i składając go w kostkę. - Pewnie przypuszczałaś, że przedyskutuje z tobą zapis w testamencie, mamó.

- To częściowo moja wina. - Zamknęła szufladę, zastanawiając się, czy dałaby radę zrobić to wszystko sama. - Nigdy go nie pytałam.

- Nie musiałaś pytać - oświadczył stanowczo Jude. - To oczywiste, że ludzie, którzy są razem, mówią sobie o wszystkich ważnych sprawach, prawda? Tak było w waszym przypadku, więc może powinniście zaplanować przyszłość na wypadek, gdyby ojcu coś się stało. Co trzeba było przewidzieć, biorąc pod uwagę jego nadszarpnięte zdrowie.

- Ja zaplanowałam swoją własną przyszłość. - Judy rozejrzała się po pokoju z mocnym postanowieniem, że wszystko tu musi ulec zmianie. - A nie czuję się jeszcze tak źle.

Randy był młodszy i bardziej krytyczny. Zawsze uważał ojca za egoistę i neurotyka, który był zepsuty do szpiku kości i nigdy nie myślał o ludziach inaczej niż tylko pod kątem tego, jak mógłby ich wykorzystać w swojej samolubnej, zachłannej egzystencji. Randy bardziej niż inni ubolewał nad tym, jak Seth traktował matkę. Zasługiwała na kogoś, kto by ją podziwiał i kochał za dobroć i odwagę. Podszedł i objął ją, gdy składała koszulę firmy Key West, którą Seth kupił podczas jednych z ich nielicznych wspólnych wakacji.

- Nie.

Delikatnie odsunęła syna od siebie, czując, jak do oczu napływają jej łzy.

- Czemu nie chcesz zamieszkać przez jakiś czas z nami w Los Angeles? - zapytał Randy.

Pokręciła głową, wracając do pracy, zdecydowana jak najszybciej pozbyć się z domu wszystkiego, co przypominało jej Seta, i wrócić do normalnego życia.

- Najlepiej zrobi mi praca - powiedziała. - A tam czeka na mnie wiele problemów, które powinnam rozwiązać.

- Problemy są zawsze i wszędzie, mam - zauważył Jude. - Chcielibyśmy, abyś przyjechała do Nowego Jorku.

- Wiesz coś o tym kluczu z Phi Beta Kappa? - zapytał Randy, trzymając go za łańcuszek. - Znalazłem go w Biblii, w głębi szuflady.

Judy ze zdumieniem przyglądała się wisiorowi. Był pamiątką jeszcze z czasów uniwersytetu w Bostonie, gdzie spędziła cztery bardzo owocne lata i zdobyła dyplom, jako jedna z najlepszych studentek na roku, uzyskując podwójną specjalizację z prawa karnego i historii. Dorastała w przekonaniu, że nie powinna liczyć na zbyt wiele. Miała czterech braci, a w ich rodzinie nigdy się nie przelewało. Dla Judy Hammer klucz Phi Beta Kappa był symbolem zwycięstwa. Podarowała go Sethowi, gdy się zaręczyli. Nie rozstawał się z nim przez długie lata, aż do czasu, gdy utył i znenawidził wszystkich dookoła.

- Powiedział mi, że go zgubił - wyjaśniła i w tej chwili zadzwonił telefon.

Virginia czuła się okropnie, bo po raz kolejny zawracała głowę swojej szefowej. Przepraszała ją, dzwoniąc z telefonu komórkowego w drodze do centrum miasta. Inne radiowozy i karetka pogotowia także jechały na pełnym gazie do serca Five Points, gdzie znaleziono ciało kolejnej ofiary, przyjeźdnego mężczyzny, który został brutalnie zamordowany.

- Mój Boże - wyszeptała Judy, zamykając oczy. - Gdzie?

- Podjadę po ciebie - zaproponowała jej zastępczyni.

- Nie, nie - odmówiła komendantka. - Powiedz mi tylko, gdzie.

- Cedar Street, za stadionem - objaśniła Virginia, przejeżdżając przez żółte

światło. - Są tam opuszczone budynki. Obok zakładów spawalniczych. Zobaczysz nas.

Judy schwyciła kluczyki od samochodu ze stolika przy drzwiach i wybiegła z domu, nie myśląc nawet o tym, aby się przebrać i zdjąć perły. Brazil był niedaleko, gdy usłyszał przez skaner informację o morderstwie. Szybko przyjechał na miejsce, ale nie wpuszczono go za żółtą taśmę. Nie mógł zrozumieć, dlaczego policjanci potraktowali go jak wszystkich innych kręcących się tam dziennikarzy. Czyżby nie pamiętali, że także nosił mundur i noc w noc pracował z nimi, łapał przestępców i szarpał się z nimi?

Virginia zjawiała się na miejscu przestępstwa kilka sekund przed swoją szefową i obie poszły razem w stronę gęsto zarośniętego terenu, gdzie stał zaparkowany czarny lincoln Continental, z dala od Cedar Street i First Street, w pobliżu Dumpster. Sylwetka budynku zakładów spawalniczych ponuro rysowała się na tle ciemnego nieba. Światła policyjnych radiowozów pulsowały w mroku, a z daleka dobiegał dźwięk syren, sygnalizując, że nieszczęścia zdarzały się także w innych częściach miasta. Pociąg Norfolk Souther przejechał z łoskotem po pobliskich torach, ale maszynista zdążył zauważyć, że zdarzył się jakiś wypadek.

Tak jak poprzednio, samochód był wynajęty, drzwi od strony kierowcy otwarte, wewnętrzny alarm włączony, a reflektory zapalone. Policja przeszukiwała teren, błyskały flesze, pracowały kamery wideo. Brazil dostrzegł Judy Hammer i jej zastępczynię, wokół których zebrali się dziennikarze, ale nie usłyszeli ani słowa komentarza. Andy utkwiał wzrok w Virginii, która spojrzała nań jak na obcego. Nie zamierzała mu w niczym pomagać. Zachowywała się tak, jakby w ogóle się nie znali i jej obojętność zraniła go w samo serce. Pani Hammer również zdawała się go nie dostrzegać. Brazil obserwował obie kobiety, głęboko przekonany, że go zdradziły. Obie policjantki były zajęte i wyraźnie zdenerwowane.

- Nie ma wątpliwości - powiedziała Judy do Virginii.

- Tak. Zupełnie tak samo jak we wcześniejszych przypadkach -

stwierdziła ponuro szefowa dochodzeniówki, gdy przeszły pod taśmą na miejsce zbrodni. - Nie mam najmniejszych wątpliwości. Ten sam modus operandi.

Judy Hammer wzięła głęboki oddech. Na jej twarzy malowały się ból i przerażenie, gdy patrzyła na samochód, a później na zarośla, gdzie pracował na klęczkach doktor Odom. Z miejsca, w którym stała, widziała zakrwawione rękawiczki lekarza sądowego, połyskujące w świetle rozstawionych wokół ciała lamp. Podniosła głowę, słysząc warkot helikoptera ekipy telewizyjnej Kanału Trzeciego, nagrywającej materiał do wiadomości o godzinie jedenastej. Pod stopami chrzęściło rozbite szkło, gdy obie kobiety podeszły do ciała ofiary. Doktor Odom właśnie kończył oględziny podziurawionej kulami głowy denata. Zabity mężczyzna ubrany był w granatowy garnitur Ralpho Laurena, białą koszulę, przy której brakowało spinek, i krawat firmy Countess Mara. Miał siwiejące, kręcone włosy i opaloną twarz, być może przystojną, ale teraz trudno to było stwierdzić. Komendantka nie zauważyła żadnej biżuterii, wywnioskowała jednak, że cokolwiek należało do tego człowieka, z pewnością nie było tanie. Potrafiła rozpoznać pieniądze.

- Znamy jego tożsamość? - zapytała lekarza.

Blair Mauney trzeci, czterdzieści pięć lat, z Asheville - odpowiedział, fotografując wymalowany pomarańczową farbą w sprayu znak klepsydry na genitaliach ofiary. Doktor Odom spojrzał na Judy Hammer. - Ilu jeszcze?

- Co z łuskami? - zapytała Virginia West.

Detektyw Brewster kucał obok, przeszukując krzaki dzikich róż.

- Jak dotąd znaleźliśmy trzy - poinformował swoją szefową. - Wyglądają jak poprzednie.

- Chryste! - westchnął doktor Odom.

Jego wyobraźnia pracowała. Widział siebie, przyjeżdżającego na spotkanie do obcego miasta, po którym poruszał się wynajętym samochodem i, być może, zgubił drogę. Wyobrażał sobie, że nagle jakiś potwór wyciąga go z samochodu i prowadzi do takiego miejsca jak to, aby odstrzelić mu

głowę za zegarek, portfel i obrączkę. Odom niemal czuł ów strach, jaki ogarniał ofiary, gdy błagały o życie, patrząc prosto w lufę czterdziestkiipięćki gotowej do strzału. Był pewien, że plamy na ich spodenkach, które widział w każdym przypadku, nie powstały postmortem. Do cholery, z pewnością nie. Mordowani biznesmeni nie tracili kontroli nad odbytnicą i pęcherzem, gdy wraz z krwią tracili życie. Ci faceci byli przerażeni, trzęśli się, mieli rozszerzone źrenice, trawienie ustawało, gdy krew spływała do członków, gotowi do walki, która nie została im dana. Gdy doktor otwierał kolejny czarny worek, czuł przyspieszone pulsowanie w tętnicy szyjnej.

Virginia dokładnie zbadała wnętrze lincolna, podczas gdy alarm wciąż sygnalizował, że drzwi od strony kierowcy są otwarte, a światła włączone. Zauważyła, że torba podróżna Mauneya i jego teczka zostały przeszukane, ich zawartość piętrzyła się na tylnym siedzeniu. Zobaczyła rozsypane wizytówki US-Banku. Kiedy się schyliła, przeczytała, że należały do Blaira Mauneya III, tego samego mężczyzny, którego prawo jazdy pokazał jej detektyw Brewster. Wyciągnęła z tylnej kieszeni swoich spodni plastikowe rękawiczki.

Była tak pochłonięta ich zakładaniem, że nie zwracała uwagi na pracującą obok niej ekipę dochodzeniową, jak również na specjalny samochód-platformę, który wezwano, aby przetransportować lincolna do departamentu policji w celu przeprowadzenia dokładnych oględzin. Virginia już od lat nie pracowała na miejscu przestępstwa, ale kiedyś była w tym naprawdę dobra. Zawdzięczała to swojej skrupulatności, wytrwałości i intuicji, która i tym razem podpowiadała jej, że powinna dokładnie przejrzeć rzeczy ofiary, rozrzucone przez mordercę na tylnym siedzeniu auta. Zaczęła od biletu lotniczego. Wzięła go do ręki delikatnie, dosłownie za sam rożek, i rozłożyła na fotelu, starając się jak najmniej dotykać. Jej obawy się potwierdziły.

Mauney przyleciał do Charlotte z Asheville w dniu popełnienia zbrodni. Wylądował na lotnisku Charlotte-Douglas International o piątej trzydzieści po południu. Bilet powrotny miał wykupiony na następny dzień, ale nie do

Asheville, lecz do Miami, skąd miał polecieć na Grand Cayman w Indiach Zachodnich. Virginia zaczęła przeglądać kolejne bilety, a serce biło jej coraz szybciej, poziom adrenaliny wzrastał. Mauney planował powrót z Kajmanów w środę, z sześciogodzinnym postojem w Miami. Potem miał przylecieć ponownie do Charlotte, a wreszcie udać się do domu w Asheville. Porucznik West znalazła także więcej niepokojących szczegółów, które prawdopodobnie nie miały związku z zabójstwem Mauneya, ale wskazywały na przestępstwa w jego życiu.

Nie mogła powstrzymać się od gorzkiej refleksji, zwykle towarzyszącej jej w podobnych przypadkach. Śmierć polowała na ludzi, którzy mieli do czynienia z narkotykami, pili lub wdawali się w romanse hetero - lub homoseksualne, na tych, którzy uprawiali seks sadomasochistyczny lub podniecali się w ekstremalny sposób, zaciskając sobie pętlę na szyi i dokonując masturbacji. Ludzka fantazja nie miała granic, Virginia dobrze to wiedziała. Wyjęła długopis i końcówką zaczęła przewracać inne dokumenty. Chociaż nie była specjalistką od finansów, papierów wartościowych, lokat bankowych, inwestycji korporacyjnych i innych operacji bankowych, wiedziała o nich wystarczająco dużo, aby się zorientować, w jakim celu ten mężczyzna odbywał swoje podróże.

Po pierwsze, zabity posiadał dokumenty tożsamości wystawione na inną osobę, niejakiego Jacka Morgana, w paszporcie którego, jak również w prawie jazdy, widniały zdjęcia Mauneya. Znalazła w sumie osiem kart kredytowych i dwie książeczki czekowe na oba nazwiska. Wszystko wskazywało na to, że zarówno Mauney, jak i Morgan bardzo interesowali się nabywaniem nieruchomości, zwłaszcza hoteli wzdłuż Miami Beach. Zdaniem Virginii denat zamierzał zainwestować jakieś sto milionów dolarów w te walące się ruiny w pastelowych kolorach. Dlaczego? Do cholery, kto w dzisiejszych czasach jeździ do Miami Beach? Przejrzała resztę dokumentów, pocąc się z podniecenia. Czemu Mauney planował podróż na Kajmany, do tej światowej stolicy prania brudnych pieniędzy?

- Mój Boże - wymamrotała, uświadamiając sobie, że nazwa „Grand Cayman” składa się z trzech sylab.

Wyprostowała się i spojrzała na rozświetloną panoramę miasta oraz na potężną sylwetkę US-Bank Corporate Center wznoszącą się ponad wszystkim. Czerwone światełko na samym szczycie mrugało leniwie, ostrzegając pilotów helikopterów i nisko przelatujących samolotów. Patrzyła na ten symbol sukcesów ekonomicznych, potęgi i ciężkiej pracy w interesie wielu ludzi i ogarnęła ją złość. Virginia, podobnie jak większość obywateli tego miasta, oszczędzała pieniądze na rachunkach w US-Banku. Sfinansowała z nich nowy samochód. Kasjerzy zawsze byli uprzejmi i ciężko harowali. Po pracy wracali do swoich domów i robili, co mogli, aby związać koniec z końcem, jak wielu innych ludzi. I nagle pojawił się jakiś obcy, który postanowił ich oszukać, okraść, okpić, wykorzystać jak zwykły bandyta i skompromitować uczciwy interes i związanych z nim ludzi. Virginia poszukała wzrokiem Judy Hammer i dała jej znak, aby podeszła.

- Spójrz na to - powiedziała szeptem do szefowej.

Komendantka ukucnęła w otwartych drzwiach lincolna i zaczęła przeglądać rozłożone dokumenty, starając się ich nie dotykać. Niemal przez całe życie oszczędzała i inwestowała pieniądze. Od razu rozpoznała nielegalne machinacje bankowe i z początku była zaskoczona, a potem, gdy zaczęła domyślać się prawdy, zde gustowana. Wszystko wskazywało, że to właśnie Blair Mauney III stał za setkami milionów dolarów pożyczonych Dominion Tobacco, firmie, która miała liczne powiązania z grupą inwestorów w nieruchomości, zwaną Southman Corporation, z siedzibą na Kajmanach. Oczywiście, na tym wstępnym etapie nie sposób było jeszcze niczego udowodnić. Z całą tą finansową operacją miały związek liczne numery kont bankowych bez identyfikacji. Jak również kilka powtarzających się numerów telefonów w Miami, oznaczonych przez Mauneya wyłącznie inicjałami. Wszystko to odnosiło się do jakiegoś projektu pod nazwą US-Choice.

- Co o tym myślisz? - spytała szeptem Virginia.

- Na pierwszy rzut oka, ewidentne oszustwo. Prześlemy to do FBI, do Sekcji Czwartej i zobaczymy, co oni powiedzą.

Nad ich głowami przeleciał kolejny helikopter. Zapakowane w plastikowy worek ciało wkładano już do ambulansu.

- Co z Cahoonem? - zapytała Virginia.

Judy zaczerpnęła powietrza. Współczuła temu facetowi. Jak wiele złych wiadomości człowiek jest w stanie przyjąć w ciągu jednej nocy?

- Zadzwoń do niego i powiem, co podejrzewamy - powiedziała posępnym głosem.

- Czy ujawnimy dzisiaj tożsamość Mauneya?

- Zaczekałabym z tym do jutra rana. - Komendantka spojrzała na ludzi zgromadzonych za żółtą taśmą policyjną. - Masz chyba gościa - poinformowała swą zastępczynię.

Brazil kręcił się poza zamkniętym terenem, robiąc notatki. Tym razem nie miał na sobie munduru. Rysy jego twarzy stężały, gdy napotkał wzrok Virginii. Wytrzymał jej spojrzenie. Ruszyła w jego stronę i oboje odeszli kilka kroków od najbliższej grupki ludzi, pozostając każde po swojej stronie policyjnej taśmy.

- Nie wydajemy dziś żadnych oświadczeń - powiedziała.

- Będę robił tylko to, co zwykle - zapewnił ją Brazil, unosząc w górę taśmę.

- Nie. - Zagroziła mu drogę. - Nikogo nie wpuszczamy. Nie tym razem.

- Dlaczego? - zapytał zdziwiony.

- Mamy dużo komplikacji.

- Zawsze były. - Oczy mu błyszczały.

- Przykro mi - powiedziała Virginia.

- Przedtem wchodziłem do środka - zaprotestował. - Dlaczego teraz nie mogę?

- Przedtem wchodziłeś do środka, ponieważ byłeś ze mną. - Wykonała

ruch, jakby zamierzała odejść.

- Ponieważ byłem...? - Poczł ból niemal nie do wytrzymania. - Ależ ja jestem z tobą!

Virginia rozejrzała się wokół i pomyślała, że powinien mówić ciszej. Nie mogła mu powiedzieć, co znalazła w samochodzie ofiary i jaki to może mieć związek z Blairem Mauneyem III. Poszukała wzrokiem Judy. Komendantka wciąż tkwiła obok lincolna, przeglądając papiery, być może wdzięczna losowi, że odwrócił jej uwagę od osobistych tragedii. Virginia przypominała sobie reakcję Brazila podczas ostatniej wizyty w jej domu, gdy oboje z Rainesem oglądali kasetę wideo. Co za zamieszanie, tego nie można dalej ciągnąć. Podjęła już właściwą decyzję, co dobrze wpłynęło na jej stan psychiczny. Klamka zapadła. Koniec.

- Nie możesz mi tego zrobić! - gorączkował się Andy. - Nie zasłużyłem na to!

- Proszę cię, nie rób scen albo będę musiała ci nakazać, abyś stąd odszedł - przywołała go do porządku oficjalnym tonem.

Zraniony i wściekły Brazil pojął wreszcie, co się stało.

- Nie chcesz już, żebym z tobą jeździł.

Virginia zawahała się, myśląc, jak mu to ułatwić.

- Andy - powiedziała - to nie mogło trwać w nieskończoność i od początku o tym wiedziałeś. Chryste Panie. - Dała się ponieść emocjom. - Jestem za stara... Jestem...

Brazil cofnął się, nie spuszczać wzroku z tej zdrajczynie, diabolicznej, tyrana o kamiennym sercu, najgorszego nikczemnika, jakiego spotkał w swoim życiu. Nic jej nie obchodził. Nigdy nic jej nie obchodził.

- Nie potrzebuję cię - rzucił zimno. Okręcił się na pięcie i uciekł. Tak szybko, jak tylko mógł, biegł w stronę swojego BMW.

- Na litość boską! - zawołała Virginia, widząc, że szefowa zmierza w jej stronę.

- Jakiś problem?

Komendantka trzymała ręce w kieszeniach, patrząc na oddalającego się dziennikarza.

- Ciągłe to samo. - Virginia miała ochotę go zabić. - Jeszcze sobie coś zrobi.

- Potrafisz dedukować. - Oczy Judy były smutne i zmęczone, ale wciąż można w nich było dostrzec odwagę i chęć życia.

- Lepiej za nim pojedę - zdecydowała Virginia i zanurkowała pod taśmą.

Komendantka została sama. Pulsujące niebieskoczerwone światła tańczyły na jej twarzy, gdy patrzyła, jak Virginia, omijając dziennikarzy, zmierzała w stronę swojego wozu. Rozmyślała o miłości, o tym, że ludzie szaleją na swoim punkcie, ale nie chcą tego przyjąć do wiadomości, walczą z uczuciem, uciekają od niego, bronią się przed nim. Usłyszała klakson ambulansu, odjeżdżającego z tym, co zostało po człowieku, dla którego tym razem nie miała wiele współczucia. Oczywiście, nigdy nie życzyłaby nikomu tak przerażającego gwałtu, jakiego na nim dokonano, ale swoją drogą, co z niego za gnojek! Kradł, przysparzał ludziom cierpienia i najprawdopodobniej był także zamieszany w handel narkotykami. Judy zamierzała sama poprowadzić dochodzenie w tej sprawie i jeśli okazałoby się to konieczne, ujawnić poczynania Blaira Mauneya HI, który planował podczas jednej podróży wydmuchać bank i prostytutkę.

- Ludzie umierają tak, jak żyją - powiedziała do Brewstera, klepiąc go po ramieniu.

- Pani komendant - detektyw zakładał nowy film do aparatu - jest mi bardzo przykro w związku ze śmiercią pani męża.

- Mnie też. Z wielu powodów, o których nie masz pojęcia.

Zanurkowała pod żółtą taśmą.

Brazil znowu poruszał się po mieście z nadmierną prędkością lub ukrył się w jakiejś małej uliczce. Virginia jechała West Trade Street, wypatrując starego BMW. Zerkała w lusterka, ale nigdzie nie było śladu Andy'ego, tylko

policyjny skaner informował o kolejnych problemach w mieście. Wystukała na komórce numer redakcji „Observera”. Po trzech dzwonekach została automatycznie połączona z kimś przy sąsiednim biurku, więc zrezygnowała. Skręciła w Fifth Street, zapalając jedną ręką papierosa. Obserwowała facetów w samochodach, szukających towaru na nocnym rynku. Włączyła syrenę i światła alarmowe, siejąc panikę wśród amatorów zakazanego owocu. Widziała, jak prostytutki i faceci przebrani za kobiety rozbiegają się po ciemnych zaułkach, wściekli, że stracili potencjalnych klientów.

- Głupie mendo! - burknęła, strzepując popiół przez okno. - Warto za to umierać? - zawołała do nich.

Cahoon mieszkał w Myers Park na Cherokee Place. Okazała rezydencja z czerwonej cegły była tylko częściowo oświetlona, ponieważ właściciel, jego żona i najmłodsza córka poszli już spać. Judy ani trochę to nie spieszyło. Zamierzała przecież zachować się przyzwoicie wobec dyrektora i wielkiego dobroczyńcy miasta. Nacisnęła dzwonek u drzwi. W duszy czuła przerażającą pustkę i samotność. Nie mogła znieść myśli o powrocie do domu, poruszaniu się po tych samych miejscach, po których chodził Seth, gdzie siadywał, leżał, i które przetrząsał w poszukiwaniu czegoś do jedzenia. Nie chciała już więcej patrzeć na przedmioty przypominające o jego życiu. Ulubiony kubek do kawy. Czekoladowe lody Ben & Jerry, których nie zdążył zjeść. Zabytkowy srebrny otwieracz do listów, prezent od niego pod choinkę w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim roku, leżący na biurku w jej gabinecie od tamtej Gwiazdki.

Cahoon usłyszał dzwonek w swoich apartamentach na górze, skąd ponad bukszpanami i drzewem starej magnolii miał doskonały widok na swój potężny budynek zwieńczony koroną. Odrzucił kołdrę z monogramem, zastanawiając się, kto, do diabła, śmie go niepokoić w domu o tak nieprzyzwoitej porze. Podszedł do wideomonitora, zamontowanego na ścianie, i podniósł słuchawkę. Zdumiony, zobaczył na ekranie twarz komendant Hammer.

- Judy? - zapytał.

- Wiem, że jest bardzo późno, Sol. - Patrzyła prosto w kamerę i mówiła do domofonu. - Ale muszę natychmiast z tobą porozmawiać.

- Czy wszystko w porządku?

W panice pomyślał o swoich dzieciach. Wiedział, że Rachael spała w domu. Lecz jego dwaj starsi synowie mogli być wszędzie.

- Obawiam się, że nie - odpowiedziała komendantka.

Cahoon chwycił szlafrok i zarzucił go na piżamę. Jego kapcie klapały po długim, starym perskim dywanie, którym wyłożone były schody. Palcem wskazującym zaczął nerwowo stukać po klawiaturze systemu antywłamaniowego, wyłączając po kolei zabezpieczenia okien, sensory ruchu, fotokomórki we wszystkich drzwiach i oknach, omijając podziemia i bezcenną kolekcję dzieł sztuki, która znajdowała się w innym skrzydle i miała osobny system alarmowy. Kiedy skończył, otworzył drzwi. Mrużył oczy, oślepiiony jaskrawym światłem na zewnątrz, które zapalało się automatycznie, gdy cokolwiek wzrostu powyżej trzydziestu centymetrów pojawiało się w promieniu dwóch metrów od budynku. Judy Hammer wyglądała fatalnie. Cahoon nie pojmował, dlaczego była na nogach o tej porze, zaraz po niespodziewanej śmierci męża.

- Proszę, wejź - powiedział, całkiem już obudzony i bardziej uprzejmy niż zwykle. - Napijesz się czegoś?

Komendantka weszła za nim do przestronnego salonu, a Cahoon zajął się przygotowaniem drinków. Była tu przedtem tylko raz, na wytwornym przyjęciu, na którym grał kwartet smyczkowy, a w olbrzymich, srebrnych misach leżały na lodzie wielkie krewetki. Pan domu lubił angielskie antyki i kolekcjonował stare książki w skórzanych oprawach.

- Poproszę bourbona - zdecydowała.

Cahoon ucieszył się, chociaż nie wolno mu było jeść tłuszczu, pić alkoholu i zażywać innych przyjemności. Postanowił także nalać sobie podwójną porcję, bez lodu. Otworzył butelkę Blanton's Kentucky, nie

zwracając najmniejszej uwagi na koktajlowe serwetki z monogramami, które bardzo lubiła jego żona. Wiedział, że powinien się wzmocnić, ponieważ Judy nie przyszła tu z dobrą nowiną. Drogi Boże, żeby tylko nie stało się nic złego żadnemu z chłopców! Czy nadejdzie kiedyś taki dzień, gdy ojciec nie będzie się o nich martwił, o intensywne życie, jakie prowadzili, mknąc w swoich sportowych wozach lub na motorach Kawasaki Jet Skis o mocy stu koni?

Proszę, aby nic się im nie stało, obiecuję, że postaram się być lepszy, modlił się w duchu Cahoon.

- Słyszałem o twoim mężu... - zaczął.

- Dziękuję. Lekarze musieli dokonać bardzo rozległych amputacji, Sol. - Judy przełknęła ślinę. Wypiła łyk bourbona i poczuła przyjemne ciepło. - Jego organizm nie był na tyle silny, aby zwalczyć chorobę. Cieszę się tylko, że długo nie cierpiał.

Jak zwykle, starała się dostrzec jaśniejszą stronę życia, mimo że jej serce było zranione i pełne bólu. Nie mogła i nie potrafiła jeszcze zaakceptować faktu, że kiedy tego ranka, i każdego następnego dnia wszędzie słońce, w jej domu będzie panowała cisza. Nie usłyszy więcej nocnych odgłosów myszkowania po szafkach w kuchni i włączania telewizora. Nie będzie już nikogo, komu mogłaby powiedzieć, że wróci później do domu lub zje obiad w mieście. Nie była dobrą żoną. Nie była nawet dobrym przyjacielem. Cahoon był wstrząśnięty, widząc tę silną kobietę ze łzami w oczach. Starła się odzyskać nad sobą kontrolę, ale brakowało jej sił. Podniósł się ze skózanego fotela i przygasił nieco kinkiety z ciemnego mahoni, które pochodziły z Anglii, z szesnastowiecznej rezydencji w stylu Tudorów. Następnie podszedł do komendantki i usiadł obok niej na sofie. Wziął ją delikatnie za rękę.

- Wszystko będzie dobrze, Judy - powiedział cicho, wzruszony. - Masz pełne prawo tak się czuć, nie rób sobie wyrzutów. Jesteśmy tu sami, ty i ja, dwie ludzkie istoty. To, kim jesteśmy, nie ma w tej chwili najmniejszego znaczenia.

- Dziękuję, Sol - wyszeptała drżącym głosem, wycierając oczy. Wypiła jeszcze trochę bourbona.

- Możesz się upić, jeśli chcesz - zaproponował. - Mamy dużo gościnnych pokoi, nie będziesz musiała wracać do domu samochodem.

Poklepała go po ręku, skrzyżowała ramiona i zrobiła głęboki oddech.

- Porozmawiajmy o tobie - zaproponowała.

Zaniepokojony Cahoon wrócił na swój fotel i spojrzał na nią z niepokojem.

- Proszę, tylko nie mów mi, że chodzi o Michaela lub Jeremiego - odezwał się ledwie słyszalnym głosem. - Wiem, że to nie dotyczy Rachael, bo śpi na górze w swoim pokoju. Podobnie jak moja żona. - Przerwał na chwilę, zbierając myśli. - Moi synowie wciąż jeszcze są trochę nieokiełznani, obaj pracują dla mnie, ale buntują się z tego powodu. Wiem, że grają nieco za ostro, zdecydowanie za ostro, mówiąc prawdę.

Judy pomyślała o swoich synach i nagle przeraziła się, że mogła wywołać niepokój w sercu siedzącego naprzeciw niej ojca.

- Sol, to nie to, nie o to chodzi - zapewniła go szybko. - To nie ma nic wspólnego z twoimi synami, z nikim z twojej rodziny.

- Dzięki Bogu. - Pociągnął łyk ze szklaneczki. - Dzięki ci Boże, dzięki.

W następny piątek zostawi większy niż zwykle datek w synagodze. Może nawet sfinansuje budowę kolejnego centrum opieki nad dziećmi, ufunduje nowe stypendium, wpłaci pieniądze na fundusz dla emerytów, dla miejskiej szkoły, w której uczy się trudna młodzież, lub na sierociniec. Niech to cholera! Cahoon miał już dość nieszczęść i ludzkiego cierpienia, nienawidził zbrodni, jakby dotykała go osobiście.

- Co chcesz, abym zrobił? - zapytał, pochylając się do przodu, gotowy do podjęcia jakichś decyzji.

- Zrobić? - zdziwiła się Judy. - Z czym?

- Wreszcie zrozumiałem pewne rzeczy.

Teraz ona poczuła się zakłopotana. Czy to możliwe, żeby wiedział, z

czym do niego przyszła? Cahoon wstał i zaczął przemierzać salon w swoich kapciach od Gucciego.

- Dość już tego - powiedział z przejęciem. - Zgadza się z tobą, widzę to tak samo jak ty. W tym mieście zabija się ludzi, napada i gwałci bezbronnych. Rabuje się domy, kradnie samochody, molestuje dzieci. W naszym mieście. To prawda, że zdarza się to na całym świecie, w tym kraju jednak każdy może mieć broń. Można dostać ją wszędzie. Ludzie ranią innych i siebie samych, czasami nawet nie mając takiego zamiaru. To impuls. - Odwrócił się i zaczął iść w drugą stronę. - Ich psychika bywa osłabiona przez narkotyki i alkohol. Do wielu samobójstw mogłoby nie dojść, gdyby nie było pod ręką pistoletu. Wypad... - Przerwał, przypominając sobie, co stało się z mężem Judy. - Co chcesz, abym ja, aby bank, zrobił? - Zatrzymał się i utkwiał w niej wzrok.

Nie o tym chciała rozmawiać, gdy dzwoniła do jego domu, ale miała szansę wykorzystać tę okazję.

- Sol, z pewnością możesz być szlachetnym rycerzem - odpowiedziała z przekonaniem.

Rycerz. Cahoonowi spodobał się ten pomysł. Może Judy wreszcie się przekona, że on też ma jaja. Usiadł na fotelu i przypomniał sobie o alkoholu.

- Chcesz pomóc? - zapytała. - A więc nigdy więcej ukrywania, co się naprawdę dzieje w mieście. Żadnych głupot w stylu stu pięciu procent wykrywalności przestępstw. Ludzie muszą znać prawdę. Potrzebują kogoś takiego jak ty, kto zainspiruje ich do działania.

Sol pokiwał głową, wyraźnie poruszony.

- Wiesz, to nie był mój pomysł z tą wykrywalnością. Wymyślił to burmistrz.

- Oczywiście - powiedziała.

- A przy okazji - zainteresował się Cahoon - jak jest naprawdę?

- Nieźle. - Judy napiła się jeszcze. - Około siedemdziesięciu pięciu procent, to jest w przybliżeniu mniej więcej tyle, ile być powinno,

aczkolwiek więcej niż w wielu innych miastach. Więc jeśli chcesz wliczać w to sprawy sprzed dziesięciu lat, które już dawno udało się wyjaśnić, spisywać nazwiska z cmentarza lub przyjąć, że zabity handlarz narkotyków był sprawcą trzech niewyjaśnionych przestępstw...

Cahoon uniósł w górę rękę, aby jej przerwać.

- Rozumiem, Judy. To się już nie powtórzy. Uczciwie stawiając sprawę, nie znałem szczegółów. Burmistrz Search to idiota. Może powinniśmy znaleźć kogoś innego na jego miejsce. - Zaczął bębnić palcami po poręczy fotela.

- Sol. - Poczekala, aż na nią spojrzy. - Przykro mi, ale mam niedobre wiadomości i chciałam, abyś dowiedział się o tym ode mnie, zanim wywęszą to media.

Cahoon znowu ogarnął niepokój. Wstał, aby napełnić kieliszki, a Judy opowiadała mu o Blairze Mauneyu III i o tym, co wydarzyło się tej nocy. Powiedziała, co znalazła w papierach zabitego, pozostawionych w wynajętym wozie. Sol słuchał zaszokowany i krew powoli odpływała mu z twarzy. Nie mógł uwierzyć w śmierć Mauneya, w to, że został zamordowany, wymalowany farbą w sprayu i porzucony gdzieś w śmieciach, między krzewami jeżyn. Nie chodziło o to, że jakoś szczególnie lubił tego człowieka. Mauney, jego zdaniem, miał szczerzą naturę i przejawiał skłonności do podejmowania nieuprawnionych decyzji, więc posądzenie go o nieuczciwość specjalnie Cahoon nie zaskoczyło. Zmartwił się natomiast sprawą papierosów US-Choice, które miały kryć w sobie tyle dobrodziejstw, no i te maleńkie korony. Jak mógł uwierzyć w coś takiego?

- Teraz moja kolej na pytania - zakończyła Judy.

- Co chcesz, abym zrobiła?

- Jezu - jęknął, a jego niestrudzony umysł cały czas analizował możliwości, obciążenia finansowe, zdolności płatnicze i niemożności, a także kwestie związane z delikatną materią całej sprawy.

- Nie jestem pewien. Ale zdecydowanie potrzebuję czasu.

- Ile? - Komendantka obracała w rękę szklaneczkę z bourbonem.

- Trzy albo cztery dni - odpowiedział. - Moim zdaniem większość pieniędzy wciąż jest jeszcze na Kajmanach, na różnych rachunkach, których numery niełatwo będzie znaleźć. Jeśli wiadomość o śmierci Mauneya dotrze do mediów, mogę dać głowę, że nigdy nie odzyskamy pieniędzy i niezależnie od tego, co będą mówić inni, ta strata uderzy we wszystkich, w każde dziecko, które trzymało swoje kieszonkowe w naszym banku, w każde małżeństwo oczekujące na pożyczkę, w każdego emeryta z oszczędnościami na czarną godzinę.

- Oczywiście, zdaję sobie sprawę - odrzekła Judy, która także zaufała bankowi Cahoon. - To potwierdza moją teorię, Sol. Każdy to odczuje. Przesłanki dotyczą nas wszystkich. Nie wspomnę już, co to znaczy dla wizerunku twojego banku.

Był zdruzgotany.

- To jest zawsze największa strata. Reputacja i kary, jakie nałożą na nas kontrolerzy federalni.

- Ale to nie była twoja wina.

Dominion Tabacco i te ich tajne badania godne Nagrody Nobla od początku mnie niepokoiły. Sądzę, iż po prostu chciałem wierzyć, że to prawda - przyznał się. - Ale bank powinien być czujny, aby nic takiego nie mogło się zdarzyć.

- No więc jak mogło do tego dojść? - zapytała.

- Wyobraź sobie, że masz wiceprzewodniczącego seniora, który posiada dostęp do wszystkich procedur związanych z komercyjnymi pożyczkami, i ufasz mu. Czasami więc robisz wyjątki od zasad banku i procedur. I wtedy pojawiają się kłopoty. - Wydawał się kompletnie załamany. - Cholera, powinienem lepiej pilnować tego skurczybyka.

- Czy gdyby nie zginął, udałoby mu się doprowadzić to do końca? - zapytała.

- Oczywiście - odrzekł Cahoon. - Jedyne, czego musiał dopilnować, to

zwrot pożyczki. Naturalnie, byłyby to forsa z narkotyków, o czym my nie mielibyśmy pojęcia. On dostałby jakieś dziesięć procent od całej sumy, którą wypraliby dzięki zakupowi nieruchomości i pożyczce z banku. I sądzę, że ci ludzie, kimkolwiek by byli, nie poprzestaliby na tym, wykorzystywaliby nas do międzystanowych operacji prania gotówki. Prawda mogłaby wyjść na jaw zupełnie przypadkowo. A wtedy US-Bank byłby zrujnowany.

Judy słuchała uważnie i czuła, że nabiera szacunku do tego człowieka, którego, aż do dzisiejszego ranka, nie rozumiała i źle osądzała.

- Powiedz mi, jak mogę ci pomóc? - spytała ponownie.

- Jeśli mogłabyś opóźnić identyfikację zwłok i nie ujawniać żadnych informacji na temat operacji finansowych Mauneya, spróbujemy uratować, co się da, i zorientować się w rozmiarach całej operacji - powiedział. - A potem sporządzimy raport i podamy rzecz do publicznej wiadomości.

Judy spojrzała na zegarek. Dochodziła trzecia rano.

- Natychmiast poinformujemy o wszystkim FBI. Oni także będą chcieli zyskać trochę na czasie. Jeśli zaś chodzi o Mauneya, nie mamy jeszcze pełnych danych do identyfikacji ciała, a jestem pewna, że doktor Odom nie musi się z tym śpieszyć, dopóki nie otrzyma kartoteki dentystycznej, potwierdzenia odcisków palców denata i tym podobnych rzeczy, a wiesz sam, jaki jest zajęty. - Przerwała na chwilę.

- To zajmie nam trochę czasu - obiecała.

Cahoon pomyślał o pani Mauney III, którą widywał od czasu do czasu na oficjalnych przyjęciach.

- Ktoś powinien zawiadomić Polly - powiedział.

- Żonę Mauneya. Mógłbym to zrobić, jeśli nie widzisz przeszkód.

Judy wstała i uśmiechnęła się do niego.

- Wiesz co, Sol? Nie jesteś aż tak zepsuty, jak mi się wydawało.

- Wzajemnie, moja droga. - Cahoon wstał.

- Z pewnością, Sol.

- Jesteś głodna?

- Umieram z głodu.
- Co może być otwarte o tej porze? - zaczął się zastanawiać.
- Byłeś kiedyś w Presto Grill?
- Czy to jakiś klub?
- Tak - odpowiedziała. - I wiesz co, Sol? Nadszedł czas, abyś został jego członkiem.

ROZDZIAŁ 26

O tak późnej porze nocy na ulicach można było spotkać jedynie ludzi, którym nie chodziło po głowie nic dobrego, i kiedy Virginia jeździła ulicami, szukając samochodu Brazila, z minuty na minutę pogarszał się jej humor. Z jednej strony martwiła się o niego, ale jednocześnie wzbudzał w niej taką wściekłość, że miała ochotę spuścić mu lanie. Kim on jest, szaleńcem? Skąd się biorą u niego te irracjonalne napady złego humoru? Gdyby był kobietą, pomyślałaby, że cierpi na zespół napięcia przedmiesiączkowego, i poradziłaby mu, aby poszedł do ginekologa. Wzięła do ręki telefon komórkowy i ponownie wystukała numer.

- Redakcja - usłyszała obcy głos.

- Proszę z Andym Brazilem.

- Nie ma go.

- A czy był w redakcji w ciągu ostatnich kilku godzin? - zapytała zdenerwowana. - Mieliście od niego jakieś wiadomości?

- O ile mi wiadomo, nie.

Virginia nacisnęła przycisk kończący rozmowę i rzuciła komórkę na fotel. Uderzyła pięścią w kierownicę.

- Cholera, cholera, Andy! - krzyknęła.

Dalej krążyła po ulicach, gdy nagle zadzwonił telefon. To Andy. Była tego pewna, gdy podnosiła go do ucha. Myliła się, niestety.

- Tu Hammer - usłyszała głos szefowej. - Co ty robisz w mieście o tej porze?

- Nie mogę go znaleźć.

- Jesteś pewna, że nie ma go w domu albo w gazecie?

- Sprawdziłam. Jest gdzieś na mieście i szuka guza - wybuchnęła Virginia.

- Kochanie - powiedziała szefowa - właśnie mamy zamiar pójść z Cahoonem na śniadanie. Chciałaby cię o czymś powiadomić. Nie udzielaj nikomu żadnych informacji o ostatnim zabójstwie ani o tożsamości ofiary aż do odwołania. Na razie śledztwo jest w toku. Musimy zyskać na czasie z uwagi na tę drugą sprawę.

- Uważam, że to rozsądne - odpowiedziała Virginia, patrząc w lusterko i rozglądając się na boki.

Minęła się z Brazilem o dwie minuty, co zresztą zdarzyło się już kilkakrotnie w ciągu tych kilku godzin. Skręciła w jakąś ulicę, podczas gdy on zaraz potem przejechał obok miejsca, gdzie dopiero co była. Krążył teraz w okolicy Cadillac Grill na West Trade Street, rozglądając się po zabitych deskami slumsach, odwiedzanych przez władców nocy. Z daleka zobaczył młodą prostytutkę, pochyloną nad thunderbirdem. Rozmawiała z facetem, który chciał coś zainwestować. Młody dziennikarz był w bojowym nastroju, podjechał nieco bliżej i patrzył. Klient dodał gazu i zniknął, a kurewka odwróciła się do Brazila z wrogością w oczach, zła, że zepsuł jej interes. Andy opuścił szybę.

- Hej! - krzyknął do niej.

Cykuta spojrzała z kpiną w oczach na tego, którego na ulicy nazywali Blondie. Ruszyła wolno wzdłuż krawężnika. Ten kapuś-przystojniaczek ciągle za nią łąził, najwyraźniej miał coś do niej, szykował się, a może myślał, że uda mu się zdobyć jakieś nowe informacje dla policji i gazety. To wydało jej się zabawne. Brazil odpiął pasy i zaczął opuszczać szybę po stronie pasażera. Tym razem mu nie umknie. O, nie. Schował pistolet pod siedzenie i ruszył powoli do przodu.

- Przepraszam! Przepraszam panią! - wołał za nią. - Chcę porozmawiać.

W tym samym czasie Judy Hammer przejeżdżała tuż obok, a Cahoon jechał za nią swoim czarnym mercedesem sedanem 600S V-12 ze skórzaną tapicerką. W tej części miasta nie czuł się bezpiecznie i jeszcze raz sprawdził zamki, podczas gdy komendantka włączyła policyjne radio i poprosiła dyspozytora o dziesięć-pięć z jednostką siedemset. Po chwili miała już łączność w eterze z Virginią.

- Szukany przez ciebie osobnik znajduje się na rogu West Trade i Cedar - przekazała jej wiadomość. - Powinnaś szybko tam pojechać.

- Dziesięć-cztery.

Policjanci byli zdumieni, wręcz gubili się w domysłach, gdy usłyszeli rozmowę między szefową i jej zastępczynią. Nie zapomnieli jeszcze tego, co komendant Hammer mówiła o śledzeniu i nękanii obywateli. Może byłoby rozsądniej odczekać chwilę lub dwie, aż zorientują się, o co w tym wszystkim chodzi. Virginia dodała gazu, cofając wóz w stronę West Trade.

Cykuta zatrzymała się i powoli zaczęła iść w kierunku Brazila, w jej oczach tliła się obietnica takich wrażeń, jakich ten kapuś w BMW nie potrafiłby sobie nawet wyobrazić.

Komendant Hammer nie była pewna, czy to odpowiedni moment, aby wprowadzić Cahooną do Presto Grill. Aura kłopotów unosiła się nad ulicą jak żar w upalny dzień, a Judy doskonale wiedziała, że nie osiągnęłaby w życiu niczego, gdyby ignorowała swój instynkt. Jedyne w sprawach osobistych szukała kompromisu, wyciszała się i zaprzeczała temu, co było oczywiste. Skręciła na parking All Right obok baru i pomachała przez okno do Cahooną. Zatrzymał swój samochód obok jej nieoznakowanego wozu i także opuścił szybę.

- Co się dzieje? - zapytał.

- Zaparkuj i wsiadaj do mnie. - Co?

Judy Hammer rozejrzała się po okolicy. Z całą pewnością zanosilo się na coś niedobrego. Czula odór zła, rozpoznawala smród bestii. Nie bylo czasu

do stracenia.

- Nie mogę tu zostawić samochodu - zauważył rozsądnie Cahoon, ponieważ jego mercedes byłby jedynym wozem na tym parkingu, a prawdopodobnie także w promieniu osiemdziesięciu kilometrów, który kosztował około stu dwudziestu tysięcy dolarów.

Komendantka połączyła się z dyspozytorem.

- Przyślijcie radiowóz na parking All Right, West Trade pięćset. Niech pilnują aż do odwołania najnowszego modelu mercedesa.

Dyspozytor Radar nie przepadał za Judy Hammer, ponieważ była kobietą. Ale ponieważ była też szefową policji, a on miał dobrego nosa, nie chciał się narazić tej suce. Nie miał pojęcia, co komendantka robi o tak późnej porze na ulicy, lecz na wszelki wypadek wysłał dwa radiowozy pod wskazany adres. Cykuta wolno zbliżała się do samochodu Brazila od strony okna dla pasażera, uśmiechając się do własnych myśli. Zajrzała do środka, jak to miała w zwyczaju, i taksującym spojrzeniem oceniła wypielegnowaną, skórzaną tapicerkę. Zauważyła teczkę, długopisy, firmowe notesy „Charlotte Observera”, starą skórzaną kurtkę lotniczą, a przede wszystkim policyjny skaner i radio.

- Jesteś z policji? - zapytała, przeciągając sylaby i zastanawiając się, kim, do diabła, był Blondie.

- Jestem dziennikarzem. Z „Observera” - odrzekł Andy, ponieważ nie czuł się już policjantem.

Porucznik West wystarczająco dobitnie dała mu to do zrozumienia.

Cykuta ze złowrogą kokieterią zastanawiała się, na ile go oceniać. Dziennikarze nieźle zarabiali, a przy okazji prawda wyszła na jaw. Blondie nie jest kapusiem. Był tym pismakiem, którego artykuł tak rozgniewał Dyniogłowego.

- Co sprzedajesz, chłopczyku? - zapytała.

- Informacje. - Serce Brazila waliło jak młotem. - Płacą mi za to.

Kobiecie zaświeciły się oczy, rozchyliła usta w wesołym uśmiechu,

ukazując rzadko rozstawione zęby. Okrążyła wóz i podeszła do okna od strony kierowcy. Jej zapach był intensywny jak woń kadzidełka.

- A jakich potrzebujesz, chłopczyku? - chciała wiedzieć.

Andy rozumiał, że powinien być ostrożny, ale okazja wydawała się intrygująca. Nigdy przedtem nie znalazł się w takiej sytuacji i usiłował sobie wyobrazić doświadczonych, obytych mężczyzn i sekretne rozkosze, jakim się oddawali. Był ciekaw, czy się bali, pozwalając komuś takiemu jak ona wsiąść do samochodu. Czy zapytałiby ją o imię lub jakieś szczegóły z życia?

- Interesuje mnie, co się tu dzieje - zaczął wyjaśniać nerwowo. - Te morderstwa. Widywałem cię już przedtem w tej okolicy. To znaczy, czasami. Może wiesz coś o tym.

- Może tak, a może nie - odpowiedziała tajemniczo, przesuwając palcem po jego ramieniu.

Virginia West jechała bardzo szybko, mijając te same obskurne miejsca, obok których nie tak dawno przejeżdżał Brazil. Judy Hammer podążała za nią. Cahoon nabijał strzelbę, oczy miał szeroko otwarte, jakby nagle znalazł się w rzeczywistości zupełnie innej niż jego życie.

- To będzie cię kosztowało pięćdziesiątkę, chłopczyku - oświadczyła Cykuta.

Nie miał tyle przy sobie, ale nie chciał się do tego przyznać.

- Dwadzieścia pięć - próbował negocjować cenę, jakby robił to od zawsze.

Prostytutka cofnęła się o krok, taksując go spojrzeniem i myśląc o Dyniogłowym, który siedział w swojej furgonetce i obserwował ich. Poprzedniego dnia nakrzyczał na nią i dotkliwie ją pobił. Karał ją za to, co Brazil napisał w gazecie. Cykuta poczuła, że ogarnia ją nienawiść, i podjęła decyzję, która raczej nie była mądra, zważywszy na to, że razem z Dyniogłowym załatwili już tego wieczora jednego dzianego frajera, co wystarczyłoby im na tydzień, a poza tym w okolicy kręciły się gliny.

Wyglądała na zadowoloną z czegoś, o czym Brazil nie mógł wiedzieć.

- Widzisz tamten róg, chłopczyku? - zapytała. - Ten stary, opuszczony budynek? Nikt tam już nie mieszka. Spotkajmy się na tyłach, tutaj nic ci nie powiem.

Patrzyła na ciemny zaułek po drugiej stronie ulicy, gdzie Dyniogłowy czekał w swojej furgonetce bez okien, ukrytej w mroku. Domyślał się, co zamierza jego współpracowniczka, i był gotów do działania, w nastroju do mordowania, ponieważ coraz łatwiej mu to przychodziło i coraz szybciej na nowo ogarniało go złowrogie napięcie. Czuł niezaspokojoną żądzę zemsty, gdy myślał o Blondiem, co było nawet bardziej podniecające niż seks. Nie mógł się już doczekać, kiedy ten pierdolony kapuś zapaskudzi sobie te modne dzinsy i na kolanach będzie błagał o życie wszechmocnego Dyniogłowego. Jeszcze nigdy, w całym swoim nikczemnym, małym, paskudnym, wypełnionym nienawiścią życiu, nie pragnął bardziej kogoś zniszczyć i jego podniecenie wzrosło do granic możliwości.

Virginia zauważyła przed sobą samochód Brazila. Zobaczyła też odchodzącą w stronę ciemnego zaułka prostytutkę, za którą jechał Andy, znikając właśnie za rogiem. Nie uszła także jej uwagi furgonetka bez okien, sunąca wolno, niby wąż, w stronę opuszczonego domu.

- Chryste! - Policjantka wpadła w panikę. - Andy, nie! - Złapała nadajnik i dodała gazu, włączając światła alarmowe. - Siedemset, wzywam posiłki - krzyczała w eter. - West Trade dwieście. Natychmiast!

Judy Hammer także usłyszała wezwanie i przyśpieszyła.

- Cholera! - zaklęła.

- Do diabła, co się dzieje? - Cahoon był w bojowym nastroju, gotów zmierzyć się z wrogiem.

- Nie wiem, ale z pewnością nic dobrego.

Komendantka włączyła światła i syrenę, na pełnym gazie mijając nielicznych przechodniów.

- Masz pod ręką jakąś inną broń? - zapytał Cahoon.

Znowu był w oddziałach piechoty morskiej, rzucał granaty na Koreańczyków, czołgał się wśród martwych towarzyszy walki. Nikt, kto przez to przeszedł, nie był już takim samym człowiekiem. Nikt nie wygra z Cahoonem, ponieważ on wie coś, o czym inni nie mają pojęcia. Są rzeczy dużo gorsze niż śmierć, a jedną z nich jest lęk przed umieraniem. Sol odpiął pasy.

- Zapnij się - poleciała mu Judy, gdy mknęli przez miasto.

Virginia szukała miejsca, aby zawrócić. Z impetem uderzyła o betonowy murek dzielący pasy ruchu, odbiła się od niego i z piskiem opon zmieniła kierunek jazdy. Straciła z oczu Brazila, prostytutkę i furgonetkę. Czuła ogarniającą ją panikę i rozpacz.

- Błagam. Boże, pomóż mi! - gorączkowo powtarzała. - Błagam, Boże!

Brazil skręcił za rogiem rozsypującej się ruiny z drzwiami zabitymi deskami i oknami bez szyb, które wyglądały jak puste oczodoły. Nigdzie nie widać było śladu życia. Zatrzymał samochód i siedział chwilę bez ruchu. Rozglądał się dookoła, coraz bardziej zdenerwowany. Może to nie był dobry pomysł. Zaczął przeszukiwać kieszenie spodni, wyciągając z nich pogniecione banknoty, gdy nagle obok jego wozu pojawiła się młoda prostytutka. Paliła papierosa i uśmiechała się w taki sposób, że Andy'ego ogarnęły nagle złe przeczucia. Dopiero teraz zauważył w jej oczach szaleństwo, a może to sytuacja się zmieniła.

- Wsiadaj - powiedziała, kiwając na niego palcem. - Najpierw muszę zobaczyć forszę.

Otworzył drzwi i wysiadł, jednak w tym samym momencie usłyszał z tyłu ryk silnika. Z ciemności wyłoniła się ciemna, stara furgonetka bez okien. Brazil przeraził się nie na żarty. Wskoczył do swojego wozu i wrzucił tylny bieg. Za późno. Furgonetka blokowała wyjazd, a z przodu majaczyły w mroku gęste krzaki i głęboki dół. Złapany w pułapkę Andy patrzył, jak

otwierają się drzwi furgonetki. Zobaczył w nich zwalistą, paskudną kreaturę o pomarańczowych włosach, zaplecionych w warkoczyki tuż przy czaszce. Mężczyzna wyskoczył z samochodu, uśmiechając się przebiegle, i ruszył w stronę Brazila, trzymając w jednym ręku pistolet dużego kalibru, a drugą potrząsając puszką farby w sprayu.

- Dorwaliśmy kogoś słodkiego - powiedział Dyniogłowy do Cykuty. - To może być zabawne. Nauczymy go, co się robi z kapusiami.

- Nie jestem kapusiem - zaprotestował Andy.

- To dziennikarz - wyjaśniła prostytutka.

- Dziennikarz! - zadrwił morderca i zawrzała w nim wściekłość na wspomnienie o artykułach na temat Czarnej Wdowy.

Gniew w nim narastał, sięgał trzewi, ogarniał ciało płomieniem.

Cykuta się zaśmiała. W ciemności błysnęło ostrze sprężynowego noża.

- Wsiadaj z wozu i oddaj mi kluczyki - Dyniogłowy podszedł bliżej swojej zdobyczy, kierując lufę pistoletu między oczy Brazila.

- W porządku. W porządku. Proszę, nie strzelaj. - Andy wiedział, w jakich sytuacjach należy współpracować.

- Schwytaliśmy tchórza. - Dyniogłowy wydał z siebie ostre szczeknięcie, mające być śmiechem. - Proszę, nie strzelaj - przedrzeźniał swą ofiarę.

- Pociachajmy go najpierw. - Cykuta czekała przed drzwiami BMW z nożem gotowym do zadania ciosu tak, aby naprawdę bolało.

Brazil zgasił silnik i zwlekał z wyjęciem kluczyków ze stacyjki, które w końcu upadły na podłogę. Schylił się po nie w chwili, gdy Virginia z piskiem opon brała zakręt, wjeżdżając na tyły opuszczonego budynku. Usłyszała strzały. Bambam i znowu bambam. Pistolet wypalił jeszcze cztery razy przy dźwiękach policyjnej syreny. Komendant Hammer pokonała ten sam zakręt cztery sekundy po swej zastępczyni, także słysząc odgłosy strzałów. Włączyła syrenę w wozie, podczas gdy ze wszystkich stron Queen City nadjeżdżały już posiłki. Noc zamieniła się w strefę wojny, rozświetlaną czerwono-niebieskimi światłami.

Virginia wyskoczyła z samochodu, trzymając w ręku pistolet, Judy i jej towarzysz byli tuż za nią, z bronią gotową do strzału. Obie kobiety wpatrywały się w stojącą furgonetkę z włączonym silnikiem. Tuż obok leżały dwa nieruchome, zakrwawione ciała, przy nich nóż sprężynowy i puszka farby. Andy ścisnął w dłoniach pożyczony pistolet trzydziestkęósemkę, jakby tamci dwoje mogli go jeszcze dopaść. Cahoon zrobił kilka kroków w kierunku miejsca tragedii. Przez chwilę patrzył na leżące zwłoki, a potem przeniósł wzrok na rozświetlone miasto, nad którym górował budynek jego banku.

Virginia podeszła do Brazila. Delikatnie wyjęła mu z rąk pistolet i włożyła broń do plastikowej torby razem z łuskami od wystrzelonych naboju.

- Wszystko w porządku - uspokoiła go.

Zamrugnął oczami, jakby coś go oślepiło, zadrżał i spojrzał na nią półprzytomnie.

- Andy - powiedziała cicho. - Jesteś w szoku. Sama przez to przechodziłam, więc wiem, jak się czujesz, i będę przy tobie cały czas. Jestem tu po to, aby ci pomóc. Rozumiesz? - Przytuliła go mocno do siebie.

Andy Brazil zatopił palce we włosach Virginii, zamknął oczy i objął ją mocno.

O autorce



Patricia Carroll Cornwell, z d. Daniels (ur. 9 czerwca 1956 w Miami) – amerykańska pisarka, autorka powieści kryminalnych, znana głównie jako twórczyni postaci dr Kay Scarpetty, lekarza sądowego.